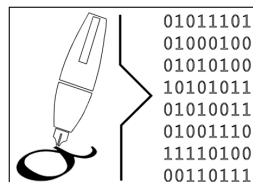


# ROBERT JORDAN

## Wschodzący cień

czwarty tom z cyklu „Koło Czasu” cz. 1

Przełożyła: Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

*The Shadow Rising Vol. 1*

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1992 r.

# ZIARNA CIENIA

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, a potem nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekiem, Wiekiem, który dopiero nadejdzie, Wiekiem dawno już minionym, na wielkiej równinie, zwanej Stepami Caralain, podniósł się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją początki ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej był to jakiś początek.

Na północ i na zachód wiał ten wiatr, pod słońcem wczesnego poranka, przez bezkresne mile falujących traw i rzadko rozsianych zarośli, ponad bystrą rzeką Luan, obok kła ułamanego wierzchołka Góry Smoka, wznoszącej się nad łagodnymi wzniesieniami pofałdowanej równiny, góry tak niebotycznej, iż chmury spowijały ją swym wieńcem już w pół drogi do dymiącego szczytu. Legendarna Góra Smoka, na stokach której poległ Smok — a wraz z nim, jak mawiali niektórzy, skończył się Wiek Legend — i gdzie zgodnie z prorocstwami miał się narodzić na nowo. Albo już się narodził. Na północ i na zachód, przez wioski Jualdhe, Darein i Alindaer, od których mosty, podobne kamiennym koronkom, sięgały łukiem do Lśniących Murów, tych wielkich, białych murów, przez wielu nazywanych największym miastem na świecie. Tar Valon. Miasto, które zachłanny cień Góry Smoka zaledwie muskał każdego wieczora.

Skryte za tymi murami budowle, skonstruowane przez ogirów przed dobrymi dwoma tysiącami lat, zdawały się wyrastać z ziemi i podobne były bardziej do dzieł wiatru i wody niżli do tworów rąk mularzy z ludu ogirów, rąk osławionych przez baśnie. Niektóre przywodziły na myśl ptaki zrywające się do lotu albo ogromne muszle z odległych mórz. Strzeliste wieże, wybrzuszone, żłobkowane lub spiralne, złączone były mostami na wysokości setek stóp ponad ziemią, częstokroć pozbawionymi poręczy. Jedynie ci, którzy od dawna przebywali w Tar Valon, potrafili nie wytrzeszczać w podziwie oczu niczym wieśniacy, którzy po raz pierwszy w życiu znaleźli się z dala od swej farmy.

Nad miastem dominowała najwyższa z wież, Biała Wieża, lśniąc w słońcu jak wypolerowana kość. „Koło Czasu obraca się wokół Tar Valon” — tak mawiali ludzie w mieście „a Tar Valon obraca się wokół Wieży”. Pierwszą rzeczą, jaka jawiła

się oczom podróżników przybywających do Tar Valon — zanim ich konie dotarły do miejsca, z którego rozciągał się widok na mosty, zanim kapitanowie rzecznych statków, na których tu przyплыnęli, dostrzegli wyspę — była Wieża, która odbijała promienie słoneczne niczym latarnia morska. Nic dziwnego zatem, że wielki plac, otaczający warowne tereny Wieży, przytłoczony jej ogromem wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości, a ludzie na nim karłowacieli do owadzych rozmiarów. Biała Wieża mogła być zresztą najmniejsza w całym Tar Valon, jednak jako serce potęgi Aes Sedai i tak zawsze przejmowałaby grozą całe wyspiarskie miasto.

Mimo swej liczebności tłumy nigdy nie zapełniały całej przestrzeni placu. Zbici we wrącą masę na jego skrajach ludzie przepychali się w gonitwie za swymi codziennymi sprawami, im bliżej jednak terenów Wieży, tym więcej ludzi ubywało, aż do pasma nagich kamieni brukowych, szerokości co najmniej pięćdziesięciu kroków, który graniczył z wysokimi, białymi murami. Rzecz jasna, Aes Sedai w Tar Valon szanowano, a nawet więcej niż szanowano, i Zasiadająca na Tronie Amyrlin władała miastem tak samo, jak władała Aes Sedai, niewielu jednak pragnęło znaleźć się bliżej potęgi Aes Sedai, niż nakazywała konieczność. Czym innym jest duma z posiadania okazałego kominka we własnej izbie, czym innym wejście w płonący w nim ogień.

Niektórzy jednak podchodzili bliżej, do szerokich stopni, które wiodły do samej Wieży, do zawile rzeźbionych drzwi, tak szerokich, iż mogły pomieścić szereg złożony z dwunastu ludzi. Te drzwi zawsze stały otworem, zawsze zapraszały. Zawsze jacyś ludzie potrzebowali wsparcia albo wyjaśnienia, którego jak im się zdawało, udzielić mogły tylko Aes Sedai, a przybywali tak z daleka jak i z bliska, z Arafel i Ghealdan, z Saldaei i Illian. Wielu znajdowało pomoc albo poradę w Białej Wieży, aczkolwiek często wcale nie taką, na jaką czekali lub liczyli.

Min nasunęła na głowę obszerny kaptur swego kaftana, kryjąc twarz w jego cieniu. Mimo ciepłego dnia ten ubiór był na tyle lekki, by nie wywołać komentarzy, zwłaszcza w stosunku do kobiety tak nieśmiałej. Zresztą niewielu ludziom udawało się nie stracić śmiałości po wejściu do Wieży. Nic w wyglądzie Min nie mogło przyciągać uwagi. Ciemne włosy miała dłuższe niż podczas ostatniego pobytu w Tar Valon, mimo że jeszcze nie sięgały do ramion, natomiast suknia, niebieska i prosta, z wyjątkiem wąskich pasemek białej koronki z Jaerecuz przy karku i nadgarstkach, pasowałaby na córkę zamożnego farmera, która na wizytę w Wieży wdziała najlepszy, świąteczny przyodziewek, aby nie różnić się od innych kobiet wchodzących na te szerokie stopnie. Przynajmniej taką miała nadzieję. Musiała powstrzymać się od gapienia się na nie, by stwierdzić, czy ich sposób chodzenia lub ubierania się jest odmienny.

„Stać mnie na to” — powtarzała sobie.

Z pewnością nie pokonała całej tej drogi po to tylko, by teraz zawrócić. Suknia stanowiła dobre przebranie. Ci, którzy pamiętali ją z Wieży, pamiętali młodą kobietę z krótko przystrzyżonymi włosami, zawsze ubraną w chłpiący kaftan

i spodnie, nigdy w suknię. To musiało być dobre przebranie. Nie miała innego wyboru. Naprawdę nie miała.

W miarę jak zbliżała się do Wieży, zaczęło ją coraz mocniej ścisnąć w żołądku, silniej przycisnęła tobolek do piersi. Miała w nim ukryte swe zwykłe ubranie, a także mocne, wysokie buty oraz cały dobytek. Konia zostawiła przy gospodzie niedaleko placu. Jeżeli szczęście dopisze, za kilka godzin znowu dosiądzie swego wafacha, by ruszyć w stronę mostu Ostrein, a stamtąd drogą wiodącą na południe.

Tak naprawdę wcale się nie paliła, by znowu dosiąść konia, po tylu tygodniach spędzonych w siodle bez dnia odpoczynku, bardzo jednak pragnęła opuścić już to miejsce. Nigdy nie uważała Białej Wieży za gościnną, a teraz wydawała jej się równie okropna jak więzienie Czarnego w Shayol Ghul. Cała drząc, pożałowała myśli o Czarnym.

„Ciekawe, czy Moiraine sądzi, że przyjechałam tu tylko dlatego, bo mnie o to poprosiła? Światłości, dopomóż, zachowuję się jak pierwsza lepsza głupia dziewczyna. Robię głupstwa z powodu jakiegoś głupca!”

Mozolnie wspięła się po stopniach tak szerokich, że trzeba było robić dwa kroki, by stanąć na następnym. Jednak w przeciwieństwie do innych nie zatrzymała się, by objąć przepelnionym zgrozą spojrzeniem białe wierzchołki Wieży. Chciała mieć już wszystko za sobą.

Zwieńczone łukami drzwi prowadziły ze wszystkich stron do wielkiej, owalnej sali przyjęć, jednakże petenci tłoczyli się na jej środku, pod płaską kopułą sklepienia, niespokojnie przestępując z nogi na nogę. Jasny kamień posadzek przez całe stulecia wycierały i polerowały niezliczone, niepewne stopy. Nikt nie myślał o niczym innym, jak tylko gdzie jest i dlaczego. Jakiś farmer i jego żona, w ubraniach z grubej wełny, złączeni uściskiem pokrytych odciskami dłoni, ocierali się o kupca w jedwabiach z aksamitnymi wstawkami i czyjaś służącą w zdartych butach, która ścisnęła małą, inkrustowaną srebrem kasetkę, bez wątplenia dar jej pani dla Wieży. Gdzie indziej jakaś handlarka spoglądała znad zadartego nosa na wieśniaków, którzy skupili się w tak ciasną gromadkę, że nieomal bez przerwy zderzali się czołami i cofali gwałtownie — słowa przeprosin cisnęły im się na usta. Nie teraz jednak. Nie tutaj.

Wśród petentów niewielu było mężczyzn, co wcale Min nie zaskoczyło. Mężczyźni na ogół robili się nerwowi w obecności Aes Sedai. Wszyscy wiedzieli, że to oni, w czasach gdy wciąż jeszcze należeli do Aes Sedai, byli odpowiedzialni za Pęknięcie Świata. Trzy tysiące lat nie wymazało tego wspomnienia, nawet jeśli czas zatarł i zniekształcił wiele szczegółów. Dzieci nadal straszły się opowieściami o mężczyznach, którzy potrafili przenosić Jedyną Moc, o skazanych na obłąd z powodu skazy, którą Czarny pozostawił na *saidinie*, o męskiej połowie Prawdziwego Źródła. Najbardziej potworna była opowieść o Lewsie Therinie Telamonie, Smoku, Lewsie Therinie Zabójcy Rodu, który zapoczątkował Pęknięcie. Zresztą historie te przejmowały zgrozą również dorosłych. Proroctwo głosiło, że

Smok narodzi się powtórnie w godzinie największej potrzeby ludzkości, by walczyć z Czarnym w Tarmon Gai'don, Ostatniej Bitwie. Nie zmieniało to jednak sposobu, w jaki większość ludzi postrzegała związki mężczyzn z Mocą. Jednym z celów, które stawiały sobie Aes Sedai, było poszukiwanie mężczyzn, którzy potrafią przynieść Moc, z Siedmiu Ajah zaś tylko Czerwone zajmowały się tym.

Rzecz jasna nie miało to nic wspólnego z szukaniem pomocy u Aes Sedai, niemniej jednak niewielu mężczyzn czułoby się swobodnie w sytuacji, w którą zaangażowane były Aes Sedai oraz Moc. Wyjąwszy oczywiście Strażników, ale każdego Strażnika łączyła więź z Aes Sedai, a resztą Strażników raczej trudno było traktować jak przeciętnych mężczyzn. Istniało takie powiedzenie: „Chcąc pozbyć się drzazgi, mężczyzna raczej rękę sobie odetnie, niż poprosi o pomoc Aes Sedai”. Kobiety uważały to za komentarz do upartej głupoty mężczyzn, jednak Min zdarzało się naprawdę słyszeć mężczyzn, którzy twierdzili, że w istocie utrata ręki może stanowić lepsze wyjście.

Ciekawiło ją, co ci wszyscy ludzie by zrobili, gdyby wiedzieli to, co ona. Być może z krzykiem poderwałyby się do ucieczki. Gdyby zaś znali powód, dla którego ona się tutaj znalazła, być może nie uchroniłaby się przed strażami Wieży, które pojmałyby ją i wtrąciły do jakiejś celi. Miała wprawdzie w Wieży przyjaciółki, ale żadna nie dysponowała ani władzą, ani wpływami. Gdyby poznano cel jej wizyty, to bardziej byłoby prawdopodobne, że trafią przez nią na szubienicę albo w ręce kata, niż że jej pomogą. O ile rzecz jasna miałyby dożyć do procesu. Najpewniej zamknięto by jej usta na zawsze, na długo przed procesem.

Powiedziała sobie, że musi przestać tak myśleć.

„Uda mi się wejść i tak samo wyjść. Oby Rand al'Thor szczeł w Światłości za to, że mnie w to wpakował!”

Trzy, może cztery Przyjęte, kobiety w wieku Min, może troszkę starsze, krążyły po owalnej izbie, przemawiając cichymi głosami do petentów. Ich białe suknie były pozbawione wszelkich ozdób, z wyjątkiem siedmiu kolorowych pasków przy kraju spódnic, które symbolizowały poszczególne Ajah. Od czasu do czasu zjawiała się nowicjuszka, jeszcze młodsza kobieta lub dziewczyna, cała w bieli, by poprowadzić kogoś w głąb Wieży. Petenci szli za nowicjuszkami, przepelnieni dziwną mieszanką zapału, ożywiającego podniecenie, oraz niechęci, która kazała im powłóczyć nogami.

Min ścisnęła tobolek jeszcze mocniej, gdy zatrzymała się przed nią jedna z Przyjętych.

— Niechaj cię Światłość oświeci — powiedziała niedbale kobieta o kręconych włosach. — Zwą mnie Faolain. W jaki sposób Wieża może ci pomóc?

Ciemna, okrągła twarz Faolain wyrażała cierpliwość kogoś, kto wykonuje jakieś żmudne zajęcie, pragnąc jednocześnie robić coś całkiem innego. Zapewne zdobywać wiedzę, osądziła Min na podstawie tego, co wiedziała o Przyjętych. Uczyc się, by zostać Aes Sedai. Najważniejsze jednak, że w oczach Przyjętej nie

było znaku, iż ją rozpoznała, choć obydwie poznały się przelotnie podczas ostatniego pobytu Min w Wieży.

Min odpowiedziała jej dokładnie takim samym spojrzeniem, po czym z udawaną nieśmiałością opuściła głowę. Nie było to nienaturalne, niewielu bowiem wieśniaków rozumiało do końca wielką przepaść dzielącą Przyjęte od pełnych Aes Sedai. Kryjąc rysy twarzy za rąbkiem kaftana, odwróciła wzrok od Faolain.

— Mam pytanie, które muszę zadać Zasiadającej na Tronie Amyrlin — zaczęła, po czym nagle urwała, kiedy trzy Aes Sedai przystanęły, by zajrzeć do sali przyjęć, dwie w jednym wejściu, trzecia w innym.

Przyjęte i nowicjuszki kłaniały się, gdy trasa ich obchodu zawiodła je akurat w pobliże którejś Aes Sedai, ale poza tym kontynuowały wypełnianie swych obowiązków, może tylko odrobinę gorliwiej niż przedtem. I na tym koniec. Inaczej petenci. Ci zamarli bez ruchu, jakby wszystkim naraz zapało dech. Z dala od Białej Wieży, z dala od Tar Valon, mogli te Aes Sedai uznać zwyczajnie za trzy kobiety, których wiek trudno ocenić, za trzy kobiety w pełnym rozkwicie młodości, a przy tym bardziej dojrzałe niż sugerowały ich gładkie policzki. W Wieży było jednak inaczej. Kobietę, która od dawna parała się Jedyną Mocą, czas traktował inaczej niż pozostałe. Tutaj nikt nie musiał widzieć złotego pierścienia z Wielkim Wężem, aby rozpoznać Aes Sedai.

Ludzka ciżba zafalowała dygnięciami i nerwowymi ukłonami. Dwoje, może troje, padło nawet na kolana. Bogata handlarka wyglądała na przestraszoną, para farmerów u jej boku wpatrywała się z rozdziawionymi ustami w ożywające legendy. Większość знаła sposoby postępowania z Aes Sedai z pogłosek; nieprawdopodobne, by ktoś z tutaj zebranych, wyjąwszy tych, którzy żyli w Tar Valon, widział wcześniej jakąś Aes Sedai, a zapewne nawet mieszkańcy Tar Valon nigdy nie znajdowali się równie blisko którejś z nich.

Jednak to nie widok Aes Sedai spowodował, że Min słowa zamarły na ustach. Czasami, niezbyt często, zdarzało jej się widzieć różne rzeczy, kiedy patrzyła na ludzi: obrazy i aury, które na ogół rozbłyskiwały, by po kilku chwilach zniknąć. Sporadycznie rozumiała nawet, co one oznaczają. To przytrafiało się rzadko — jeszcze rzadziej niż wizje — ale kiedy już coś zobaczyła, możliwość pomyłki nie wchodziła w grę.

Aes Sedai tym właśnie różniły się od większości ludzi, że obrazy i aury zawsze im towarzyszyły. Dotyczyło to również Strażników. Czasami od ich zmiennego, roztańczonego natłoku Min aż kręciło się w głowie. Niemniej wielość nie miała znaczenia dla interpretacji — wizje towarzyszące Aes Sedai rozumiała równie rzadko jak w przypadku innych osób. Tym razem jednak zobaczyła więcej niż trzeba; wstrząsnęły nią dreszcze.

Szczupła kobieta z czarnymi włosami opadającymi do pasa, o imieniu Ananda i należąca do Żółtych Ajah, była jedną z trzech, którą rozpoznała. Otaczała ją poświata niezdrowej, brązowej barwy, pomarszczona i porozdzierana od gnijących

pęknięć, które w miarę rozkładu zapadały się do środka i rozstępowały. Sądząc po szalu z zielonymi frędzlami, niska, jasnowłosa Aes Sedai towarzysząca Anandzie, musiała należeć do Zielonych Ajah. Kiedy odwróciła się tyłem, na szalu przez chwilę mignął Biały Płomień Tar Valon. Na ramieniu natomiast, jakby gnieźdząc się pośród winorośli i gałązek kwitnącej jabłoni wyhaftowanych na szalu, przycupnęła ludzka czaszka — niewielka, kobieca czaszka, oczyszczona i wytrawiona promieniami słońca do czysta. Trzecia, pulchna urodziwa kobieta, stojąca w drugiej części izby, nie miała na sobie szala, większość bowiem Aes Sedai nosiła je tylko podczas ceremonii. Uniesiony podbródek i układ ramion znamionowały siłę i dumę. Zdawało się, że spojrzenie zimnych, niebieskich oczu rzuca na petentów zza postrzępionej zastony z krwi, zza purpurowych serpentyn spływających na twarz.

Krew, czaszka i poświęta zgasły w tańcu obrazów wokół całej trójki, pojawiły się znowu i znowu zniknęły. Petenci przypatrywali się z lękiem, widząc jedynie trzy kobiety, które potrafią dotykać Prawdziwego Źródła i przenosić Jedyńą Moc. Nikt oprócz Min nie wiedział reszty. Nikt oprócz Min nie wiedział, że te kobiety umrą. Wszystkie tego samego dnia.

— Amyrlin nie jest w stanie przyjąć każdego — odparła Faolain z źle skrywanym zniecierpliwieniem. — Jej następna publiczna audiencja nie odbędzie się wcześniej jak za dziesięć dni. Powiedz mi, czego chcesz, to załatwię ci spotkanie z siostrą, która będzie mogła najlepiej ci pomóc.

Spojrzenie Min uciekło do tobołka tulonego w ramionach i tam już zostało, po części dlatego, że nie chciała być zmuszona do oglądania raz jeszcze tego, co zobaczyła.

„Wszystkie trzy! Światłości!”

Jaki przypadek miałby zrządzić, że te trzy Aes Sedai umrą tego samego dnia? A jednak wiedziała, że tak się stanie. Wiedziała.

— Mam prawo spotkać się z Zasiadającą na Tronie Amyrlin. We własnej osobie.

Było to prawo, na które rzadko kto się powoływał — któż by się wszak odważył? — mimo to obowiązywało.

— Każda kobieta ma do tego prawo i ja się go dopraszam.

— Sądysz, że Zasiadająca na Tronie Amyrlin jest w stanie przyjąć osobiście każdego, kto przybywa do Białej Wieży? Z pewnością jakaś inna Aes Sedai może ci pomóc. — Faolain mocno akcentowała tytuły, jakby chciała ją onieśmielić. Teraz powiedz mi, czego dotyczy pytanie. I podaj mi swoje imię, żeby nowicjuszka wiedziała, po kogo przyjść.

— Na imię mam... Elmindreda. — Min skrzywiła się mimowolnie. Nienawidziła swego imienia, ale Amyrlin była jedną z nielicznych żyjących osób, które kiedykolwiek je poznały. Żeby tylko pamiętała. — Mam prawo do rozmowy z Amyrlin. I moje pytanie jest przeznaczone wyłącznie dla niej. Mam takie pra-



wo.

Przyjęta wygięła brew w łuk.

— Elmindreda? — Usta jej zadrgały, jakby chciały się uśmiechnąć z rozba-  
wieniem. — I domagasz się swoich praw. Bardzo dobrze. Przekażę Opiekunce  
Kronik, że życzysz sobie widzieć Zasiadającą na Tronie Amyrlin osobiście, El-  
mindredo.

Min miała ochotę spoliczkować tę kobietę za sposób, w jaki podkreśliła „El-  
mindredę”, ale zamiast tego wydusiła z siebie tylko:

— Dziękuję.

— Jeszcze mi nie dziękuj. Bez wątpienia upłynie wiele godzin, zanim Opie-  
kunka znajdzie czas na odpowiedź, a i wówczas z pewnością poinformuje cię, że  
będziesz mogła zadać swe pytanie Matce podczas następnej audiencji publicznej.  
Czekaj cierpliwie, Elmindredo. — Odwracając się obdarzyła Min skąpym, niemal  
drwiącym uśmiechem.

Min zgrzytając zębami, podniosła swój tobolek i przystanęła pod ścianą dzie-  
lącą dwa łuki wejściowe, tak by wtopić swą niepozorną sylwetkę w tło jasnego  
kamienia.

„Nie ufaj nikomu i unikaj zwracania uwagi, dopóki nie dotrzesz do Amyrlin”  
— przykazała jej Moiraine. Moiraine była jedyną Aes Sedai, której Min rzeczywi-  
ście ufała. Na ogół. W każdym razie była to dobra rada. Wystarczy tylko dotrzeć  
do Amyrlin i będzie po wszystkim. Będzie mogła wdziać swoje własne rzeczy,  
zobaczyć się z przyjaciółkami i wyjechać. Zniknie potrzeba maskarady.

Z ulgą spostrzegła, że Aes Sedai zniknęły. Trzy Aes Sedai, które umrą jednego  
dnia. Niemożliwe, tylko tym jednym słowem dało się to określić. A jednak tak  
miało się stać. Nic, co powie lub zrobi, tego nie zmieni — kiedy wiedziała, co  
znaczy dany obraz, zapowiedziane zdarzenie następowało nieodwołalnie — ale  
musiała o tym powiedzieć Amyrlin. To mogło być nawet równie ważne jak wieści,  
które przywiozła od Moiraine, choć trudno było dać temu wiarę.

Pojawiła się jeszcze jedna Przyjęta, by zastąpić którąś z już obecnych, i przed  
oczyma Min spod jej policzków barwy jabłek wykwitły pręty, podobne do prętów  
klatki. Do sali zajrzała Sheriam, Mistrzynie Nowicjuszek, która знаła Min aż za  
dobrze. Wystarczył jeden rzut oka, by Min nie potrafiła już oderwać wzroku od  
kamienia pod swymi stopami, albowiem twarz rudowłosej Aes Sedai wyglądała  
na pobitą i posiniaczoną. Była to tylko wizja, rzecz jasna, ale Min i tak musiała  
zagryźć wargi, żeby stłumić okrzyk. Sheriam, z jej pełnym rozwagi autorytetem  
i wewnętrzną pewnością, sprawiała wrażenie równie niezniszczalnej jak Wieża.  
Z pewnością nic nie mogło zaszkodzić Sheriam. A jednak miało się stać przeciw-  
nie.

Krępej kobiecie w najprzedniejszej, czerwonej wełnie towarzyszyła do drzwi  
Aes Sedai w szalu Brązowych Ajah, której Min nie znała. Krępa kobieta szła  
krokiem tak lekkim jak młoda dziewczyna, twarz jej promieniała, niemal śmiała

się z zadowolenia. Brązowa siostra także się uśmiechała, a otaczająca ją wizja gasła niczym płomyk stopionej świecy.

Śmierć. Rany, niewola i śmierć. Min równie dobrze mogła mieć to wszystko spisane na kartce papieru.

Utkwiła wzrok w swoich stopach. Nie chciała widzieć już nic więcej.

„Żeby tylko pamiętała”.

W żadnym momencie swej długiej jazdy przez Góry Mgły nie czuła rozpaczy, nawet wówczas kiedy, dwukrotnie, ktoś usiłował ukraść jej konia; teraz zalewały ją fale najczarniejszych myśli.

„Światłości, żeby ona tylko pamiętała moje cholerne imię”.

— Pani Elmindreda?

Min wzdrygnęła się. Czarnowłosa nowicjuszka, która stanęła przed nią, była tak młoda, że zapewne zupełnie niedawno opuściła swój dom rodzinny. Jednak mimo swych zaledwie piętnastu czy szesnastu lat jej postać promieniowała wystudiowaną godnością.

— Tak? To ja... To moje imię.

— Jestem Sahra. Jeżeli zechcesz pójść ze mną — w piskliwym głosie zabrzmiała nuta zadziwienia — wówczas Zasiadająca na Tronie Amyrlin przyjmie cię teraz w swoim gabinecie.

Min westchnęła z ulgą i ochoczo ruszyła w ślad za Sahrą.

Głęboki kaptur kaftana nadal skrywał jej twarz, ale nie zasłaniał pola widzenia, a im więcej widziała, tym mocniej pragnęła dotrzeć do Amyrlin. Niewielu ludzi szło przez szerokie korytarze, które pięły się spiralnie w górę, po wielobarwnych kafelkach podłóg, wśród gobelinów i złotych lamp wiszących na ścianach — Wieża została zbudowana tak, by pomieścić więcej mieszkańców, niż obecnie liczyła — ale niemal każdemu, kogo spotkała podczas tej wspinaczki, towarzyszył obraz albo wizja, które opowiadały o przemocy i niebezpieczeństwie.

Strażnicy, mężczyźni, poruszający się niczym polujące wilki, z mieczami, kryjącymi w sobie śmiertcionośną siłę, mijali je pośpiesznie, ledwie muskając spojrzeniem. Ich twarze zdawały się zalane krwią, ciała pokrywały ziejące rany. Wokół ich głów płąsały w przerażającym tańcu miecze i włócznie. Otaczające ich aury błyskały dziko, migotały na krawędzi noża śmierci. Widziała idące trupy, wiedziała, że oni wszyscy umrą tego samego dnia co Aes Sedai z sali przyjęć, w najlepszym przypadku dzień później. Nawet niektórzy z ich służących, mężczyźni i kobiety z Płomieniem Tar Valon na piersiach, uwijający się wokół swych obowiązków, nosili na sobie piętno przemocy. Jakaś Aes Sedai, dostrzeżona przelotnie w bocznym korytarzu, wydawała się skrzepowana łańcuchami, inna zaś, która właśnie przeszła przez korytarz, nosiła srebrną obrozę na szyi. W tym momencie Min zapało dech, miała ochotę krzyknąć.

— To otoczenie potrafi przytłoczyć kogoś, kto nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział — zagała Sahra, bezskutecznie starając się mówić takim tonem, jakby

obecnie Wieża była dla niej czymś równie zwyczajnym jak rodzinna wioska. — Ale jesteś tu bezpieczna. Zasiadająca na Tronie Amyrlin zrobi, co trzeba. — Głos jej zaskrzypiał, kiedy wspomniała Amyrlin.

— Światłości, oby tak było — mruknęła Min.

Nowicjuszka obdarzyła ją uśmiechem, który miał dodać otuchy.

Zanim dotarły do sali przed gabinetem Amyrlin, Min czuła, jak piecze ją w żołądku, niemal deptała nowicjuszce po piętach. Jedynie konieczność udawania, że jest tu obca, powstrzymywała ją, by nie pobiec naprzód.

Jedne z drzwi wiodących do komnat Amyrlin otworzyły się i majestatycznym krokiem wyszedł z nich młodzieniec o rudożółtych włosach, omal nie zderzając się z Min i jej eskortą. Gawyn, starszy syn Morgase, królowej Andoru, z dynastii Trakand, wysoki, wyprostowany i silny, w niebieskim kaftanie gęsto haftowanym złotem na rękawach i kołnierzu, w każdym calu wyglądał na dumnego, młodego lorda. Na młodego lorda doprowadzonego do pasji. Nie starczyło czasu na opuszczenie głowy, spojrzał do wnętrza kaptura, prosto w jej twarz.

Wytrzeszczył oczy ze zdumienia, po czym zmrużył je tak, iż wyglądały niczym szczeliny błękitnego lodu.

— A więc wróciłaś. Czy wiesz może, dokąd się udały moja siostra i Egwene?

— To ich tu nie ma? — W rosnącym przyptywie paniki Min zapomniała o wszystkim. Nim się połapała, co robi, schwyciła go za rękaw i wpiła weń natarczywy wzrok zmuszając, by cofnął się o krok. — Gawyn, one wyruszyły do Wieży wiele miesięcy temu! Elayne, Egwene, również Nynaeve. Razem z Verin Sedai i... Gawyn, ja... ja...

— Uspokój się — powiedział, delikatnie rozprostowując jej palce zaciśnięte na materii kaftana. — Światłości! Nie chciałem tak cię przestraszyć. Dotarły bezpiecznie. I nie powiedziały ani słowa, gdzie były i dlaczego. Nie mnie, w każdym razie. Nadzieja, że ty mi powiesz, jest niewielka, jak mniemam? — Myślała, że zachowała kamienną twarz, ale on spojrzał tylko raz i dodał: — Wiedziałem, że nie. To miejsce kryje więcej tajemnic niż... Znowu zniknęły. Nynaeve też.

O Nynaeve wyrażał się dość bezceremonialnie, mogła być przyjaciółką Min, ale dla niego nic nie znaczyła. Głos ponownie stawał się opryskliwy, z każdą sekundą stając się coraz bardziej obcy.

— Znowu ani słowa. Ani słowa! Zapewne przebywają na jakiejś farmie w ramach pokuty za swoją ucieczkę, ale ja nie mogę się dowiedzieć, gdzie to jest. Amyrlin nie chce mi udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Min wzdrygnęła się, pasma zaschłej krwi na moment przemieniły jego twarz w koszmarną maskę. Przypominało to cios obuchem. Jej przyjaciółki wyjechały — informacja o tym, że tu były, przyniosła jej ulgę — ale Gawyn zostanie ranny tego samego dnia, kiedy zginą tamte Aes Sedai.

Niezależnie od tego, co widziała od momentu wejścia do Wieży i mimo swych obaw, aż do tej chwili nic właściwie nie dotyczyło jej osobiście. Nieszczęście,

które dotknie Wieżę, miało sięgnąć daleko poza Tar Valon, ale ona przecież nie należała i nigdy nie mogła należeć do Wieży. Jednak Gawyn był kimś, kogo znała, kimś, kogo lubiła, a miało mu się stać coś gorszego niż to, przed czym ostrzegała krew, coś gorszego niż rany zadane ciału. Poraziła ją myśl, że jeśli nieszczęście spadnie na Wieżę, to krzywda stanie się nie tylko jakimś dalekim Aes Sedai, kobietom, z którymi nigdy nie miała czuć żadnej więzi, lecz również jej przyjaciółkom. One należały do Wieży.

W pewien sposób cieszyła się, że Egwene oraz jej przyjaciółek tu nie ma, cieszyła się, że nie może widzieć ich twarzy, a na nich, być może, piętna śmierci. A jednak pragnęła na nie popatrzeć, upewnić się, popatrzeć na przyjaciółki i nie zobaczyć nic albo zobaczyć, że będą żyły. Gdzie one są, na Światłość? Dokąd one pojechały? Znając je, uznała, że Gawyn nie wie, gdzie one są, dlatego być może, że sobie tego nie życzą. Tak mogło być.

Nagle przypomniała sobie, gdzie jest i dlaczego, i że nie jest sama z Gawynem. Sahra jakby zapomniała, iż prowadzi Min do Amyrlin, jakby zapomniała o wszystkim z wyjątkiem młodego lorda; wbiła weń wzrok cielejących oczu, którego on nie zauważał. Teraz nie było sensu udawać, że jest obca w Wieży. Stała przed drzwiami Amyrlin, nic już jej nie mogło zatrzymać.

— Gawyn, nie wiem, gdzie one są, ale jeśli odbywają pokutę na jakiejś farmie, to prawdopodobnie całe są złane potem, zagrzebane po pas w błocie, więc ty jesteś ostatnią osobą, którą chciałyby oglądać. — Prawdę powiedziawszy, zaniepokoiła się ich nieobecnością wcale nie mniej niż Gawyn. Zbyt wiele już się wydarzyło i zbyt wiele wiązało z nimi i z nią. Jednak nie było zupełnie niemożliwe, żeby odesłano je dla odbycia kary. — Nie pomożesz im, jeśli rozżościsz Amyrlin.

— Nie mam pewności, czy one rzeczywiście są na jakiejś farmie. Czy w ogóle żyją. Po co całe to ukrywanie i uniki, jeśli zwyczajnie wyrrywają chwasty? Jeśli cokolwiek się stanie mojej siostrze... Albo Egwene... — Marszcząc czoło, wbił wzrok w swoje buty. — Moim obowiązkiem jest opiekować się Elayne. Jak mogę ją chronić, skoro nie wiem, gdzie ona jest?

Min westchnęła.

— Myślisz, że ona wymaga opieki? Że którakolwiek z nich jej potrzebuje? — Skoro jednak Amyrlin gdzieś je wysłała, to może i tak było. Amyrlin umiałaby wysłać kobietę do jaskini niedźwiedzia z niczym prócz wierzbowej witki, gdyby to odpowiadało jej celom. I spodziewałaby się, że tamta wróci w niedźwiedziej skórce albo z niedźwiedziem na smyczy, w zależności od tego, jak brzmiałoby polecenie. Jednakże powiedzenie czegoś takiego Gawynowi tylko by zaogniło jego nastrój lub pogłębiło strapienie. — Gawyn, one złożyły przysięgę Wieży. Nie podziękują ci za wtrącanie się w ich sprawy.

— Wiem, że Elayne nie jest dzieckiem — odparł cierpliwym głosem — nawet jeśli wiecznie się waha między powrotem do dzieciństwa a udawaniem, że jest Aes Sedai. Ale to moja siostra, a poza tym jest Dziedziczką Tronu Andoru. Będzie

królową, po matce. Andor potrzebuje jej całej i zdrowej, nie można dopuścić do kolejnej sukcesji.

Zabawa w Aes Sedai? Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów talentu swej siostry. Dziedziczki Tronu Andoru wysyłano do Wieży na szkolenie od tak dawna, jak istniał Andor, jednak Elayne była pierwszą, która miała dość talentu, by zostać wyniesioną do godności Aes Sedai, i to potężnej Aes Sedai, skoro już o tym mowa. Prawdopodobnie nie wiedział, że Egwene jest równie silna.

— A zatem będziesz ją chronił, czy ona sobie tego życzy czy nie? — Powiedziała to beznamiętnym głosem, który mu miał uświadomić, że jest w błędzie, ale on nie dosłyszał ostrzeżenia i skinął głową na potwierdzenie.

— To mój obowiązek, od dnia, w którym się urodziła. Moja krew rozlana przed jej krwią, moje życie oddane przed jej życiem. Złożyłem tę przysięgę, kiedy ledwie potrafiłem zajrzeć do jej kołyski. Gareth Bryne musiał mi wyjaśnić, co ona oznacza. Nie złamię jej teraz. Andor bardziej potrzebuje Elayne niż mnie.

Przemawiał ze spokojem i powagą, jakby akceptując coś, co jest najzupełniej naturalne i właściwe, a ją przechodziły ciarki. Zawsze uważała, że Gawyn zachowuje się jak mały chłopiec, który dużo się śmieje i lubi dokuczać. Teraz jednak stał przed nią ktoś obcy. Pomyślała, że Stwórca musiał być zmęczony, kiedy zabrał się za tworzenie mężczyzn, czasami ledwie przypominali ludzkie istoty.

— A Egwene? Jaką to przysięgę złożyłeś w związku z nią?

Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale zaalarmowany przestąpił z nogi na nogę.

— Naturalnie martwię się o Egwene. I o Nynaeve. Co się stanie towarzyszkom Elayne, może się przytrafić samej Elayne. Zakładam, że wciąż są razem; kiedy tu były, rzadko widywałem którąś osobno.

— Moja matka zawsze mi powtarzała, że powinnam wyjść za kiepskiego łgarza, a ty się znakomicie kwalifikujesz do tej roli. Zdaje się tylko, że pierwszeństwo należy się komuś innemu.

— Jednym rzeczom jest pisane stać się — powiedział cicho — a innym nigdy. Galad jest przybity zniknięciem Egwene.

Galad był jego przyrodnim bratem, obu wysłano do Tar Valon, żeby się szkolili na Strażników, w ramach jeszcze jednej andorańskiej tradycji. Zdaniem Min, Galadedrid Damodred był człowiekiem, który zabierał się za robienie właściwych rzeczy w taki sposób, że stale groziła mu porażka, lecz Gawyn nie uważał tego za złą cechę. Poza tym nie wypowiadał się o swych uczuciach względem kobiety, ku której Galad skierował swe serce.

Miała ochotę nim potrząsnąć, wbić mu do głowy chociaż odrobinę rozsądku, ale nie było na to teraz czasu, ponieważ Amyrlin czekała; nie było, bo miała tak dużo do powiedzenia oczekującej na nią Amyrlin. Z pewnością nie chciała mówić w obecności stojącej obok Sahry, niezależnie od tego jak nieprzytomne byłyby oczy tamtej.

— Gawyn, zostałam wezwana do Amyrlin. Gdzie mogę cię znaleźć, kiedy już mnie odprawi?

— Będę na dziedzińcu ćwiczeń. Przystaję się martwić tylko wtedy, gdy razem z Hammarem pracuję nad sztuką władania mieczem. — Hammar był mistrzem miecza, Strażnikiem, który uczył nowicjuszy szermierki. — Przebywam tam prawie całymi dniami, dopóki nie zajdzie słońce.

— Dobrze zatem. Przyjdę, kiedy tylko będę mogła. I staraj się uważać na to, co mówisz. Jeżeli rozgniewasz Amyrlin, Elayne i Egwene też mogą oberwać.

— Tego obiecać nie mogę — oświadczył stanowczo. — Coś złego dzieje się ze światem. Wojna domowa szaleje w Cairhien. Tak samo, a nawet i gorzej jest w Tarabon i Arad Doman. Wszędzie pełno Fałszywych Smoków. Wszędzie kłopoty albo zapowiedzi kłopotów. Nie twierdzę, że stoi za tym Wieża, ale nawet tutaj sprawy nie mają się tak, jak powinny. Albo jak się wydają. Zniknięcie Elayne i Egwene to nie wszystko. A jednak jest to zdarzenie, które najbardziej mnie niepokoi. Dowiem się, gdzie one są. A jeśli coś im się stało... Jeżeli one nie żyją...

Zrobił chmurną minę i na moment jego twarz znowu przemieniła się w krwawą maskę. Nie tylko: nad jego głową unosił się miecz, a za nim powiewał jakiś sztandar. Był to miecz o długiej rękojeści, jakiego używała większość Strażników, z czapłą — symbolem mistrza miecza — wygrawerowaną na lekko zakrzywionym ostrzu, i Min nie potrafiła określić, czy ten miecz należy do Gawyna, czy raczej mu zagraża. Na sztandarze widniał szarżujący Biały Dzik, znak Gawyna, ale na tle zielonym, a nie na czerwieni Andoru. Zarówno miecz, jak i sztandar zniknęły po chwili, razem z nimi rozwiały się strugi krwi.

— Bądź ostrożny, Gawyn. — Przestroga kryła w sobie podwójne znaczenie.

Miał uważać na to, co mówi, ale także zachować ostrożność w postępowaniu i w sprawie, której sama nie potrafiła zrozumieć.

— Musisz być bardzo ostrożny.

Studiował jej twarz, jakby dotarła doń część tego głębszego znaczenia.

— Postaram się — powiedział w końcu. Uśmiechnął się szeroko, nieomal tym samym uśmiechem, który zapamiętała, a jednak z oczywistym wysiłkiem. — Przypuszczam, że lepiej będzie, jak powrócę na dziedziniec ćwiczeń, jeżeli mam dorównać Galadowi. Dziś rano wygrałem dwie walki na pięć z Hammarem, ale Galad wygrał ostatnim razem trzy.

Ni stąd, ni zowąd wydało mu się, że widzi Min po raz pierwszy, a jego uśmiech stał się mniej wymuszony.

— Powinnaś częściej nosić suknie. Pięknie ci w sukni. Pamiętaj, będę tam do zachodu słońca.

Kiedy odchodził, krokiem bliskim niebezpiecznej gracji Strażników, Min przyłapała się na tym, że wygląda suknię na biodrze i zrozumiał, co robi, natychmiast w myśli skarciła samą siebie.

„Oby wszyscy mężczyźni szczęśli w Światłości!”

Sahra głośno westchnęła, jakby dotąd cały czas wstrzymywała oddech.

— On jest bardzo przystojny, nieprawdaż? — zauważyła rozmarzonym tonem.  
— Oczywiście nie tak przystojny jak lord Galad. I ty go rzeczywiście znasz... —  
Było to w połowie pytanie, ale tylko w połowie.

Min powtórzyła westchnienie Sahry niczym echo. Dziewczyna będzie rozmawiała z przyjaciółkami w kwaterach nowicjuszek. Syn królowej stanowił oczywiście temat do rozmów, zwłaszcza gdy był tak przystojny i gdy sprawiał wrażenie, że jest bohaterem z opowieści barda. Jedynie jakaś dziwna kobieta nadawała się do bardziej interesujących spekulacji.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin pewnie się zastanawia, dlaczego nie przychodzimy — zauważyła.

Sahra doszła do siebie, wzdrygnęła się, wytrzeszczyła oczy i głośno przełknęła ślinę. Jedną ręką chwyciła Min za rękaw, drugą otworzyła drzwi, pociągając ją za sobą. W momencie gdy znalazły się w środku, nowicjuszka dygnęła pośpiesznie i pełna przestachu wybuchnęła:

— Przyprowaźiłam ją, Leane Sedai. Pani Elmindreda? Czy Zasiadająca na Tronie Amyrlin zechce ją zobaczyć?

Wysoka kobieta o skórze barwy miedzi, którą zastały w przedsionku, miała na sobie szeroką na dłoń stułę Opiekunki Kronik, a niebieska barwa wskazywała, że kobieta została wyniesiona do swej godności z Błękitnych Ajah. Z pięściami wspartymi na biodrach czekała, aż dziewczyna skończy, po czym odprawiła ją zgryźliwymi słowami:

— Coś dużo czasu ci to zajęło, dziecko. Wracaj zaraz do swych obowiązków.

Sakra zakołysała się w jeszcze jednym ukłonie i czmychnęła z izby równie prędko, jak do niej weszła.

Min stanęła z oczyma wbitymi w podłogę, kaptur wciąż skrywał jej twarz. Tamta wpadka w obecności Sakry była dostatecznie niefortunna — chociaż na szczęście nowicjuszka nie poznała jej imienia — jednak Leane znała ją lepiej niż ktokolwiek w Wieży, oprócz samej Amyrlin. Min była przekonana, że to już niczego nie zmieni, lecz po tym, co zaszło na korytarzu, miała zamiar trzymać się instrukcji Moiraine tak długo, aż nie znajdzie się sam na sam z Amyrlin.

Tym razem środki ostrożności na nic się nie zdały. Leane zrobiła dwa kroki, zerwała kaptur i głośno wciągnęła powietrze, jakby nagle coś ostrego wbiło jej się w żołądek. Min podniosła głowę i butnie odwzajemniła spojrzenie, usiłując udawać, że wcale nie próbowała przemknąć niepostrzeżenie obok. Na twarzy Opiekunki, którą okalały proste, ciemne włosy, tylko trochę dłuższe od jej kosmyków, gościł wyraz Aes Sedai stanowiący mieszaninę zdziwienia i niezadowolenia, że tak łatwo dała się zaskoczyć.

— A więc to ty jesteś Elmindreda, czy tak? — spytała gromkim głosem Leane. Zawsze była energiczna. — Muszę powiedzieć, że wyglądasz lepiej w tej sukni

niż w twoim zwykłym... przyodziewku.

— Po prostu Min, Leane Sedai, jeśli pozwolisz. — Min udało się zachować niewzruszoną twarz, ale trudno jej było nie patrzeć wzrokiem pełnym złości. Rozbawienie nazbyt wyraźnie brzmiało w głosie Opiekunki. Skoro jej matka koniecznie musiała nazwać ją imieniem powieściowej bohaterki, to czemu to musiała być akurat kobieta, która, zdaje się, większość chwil, podczas których nie odgrywała roli muzy wobec mężczyzn komponujących pieśni o jej oczach lub uśmiechu, spędzała na wzdychaniu do innych mężczyzn?

— Proszę bardzo. Min. Nie będę pytała, gdzie była ani dlaczego wracasz ubrana w suknię, pragnąc rzekomo zadać jakieś pytanie Amyrlin. W każdym razie nie teraz. — Jej twarz mówiła, że jednak zamierza zapytać o to później i że życzy sobie, by jej udzielono odpowiedzi. — Przypuszczam, że Matka wie, kim jest Elmindreda? Naturalnie. Powinam się była domyślić, kiedy kazała cię natychmiast przysłać, i to bez towarzystwa. Światłość tylko wie, dlaczego ona tak ci pobraża. — Urwała, z troską marszcząc czoło. — O co chodzi, dziewczyno? Jesteś może chora?

Min postarała się, by jej twarz przybrała obojętny wyraz.

— Nie. Nie, nic mi nie jest. — Przed chwilą Opiekunka spojrzała na nią zza przezroczystej maski jej własnej twarzy, maski wykrzywionej w grymasie przeźliwego wrasku. — Czy mogę już wejść, Leane Sedai?

Leane przypatrywała jej się badawczo jeszcze przez chwilę, po czym energicznym ruchem głowy wskazała drzwi wiodące do wewnętrznej komnaty.

— A wchodź sobie. — Skwapliwość, z jaką Min okazała posłuszeństwo, zadowoliliby najgorszą ciemńczycielkę poddanych.

Gabinet Zasiadającej na Tronie Amyrlin zamieszkiwało od stuleci wiele znakomitych i potężnych kobiet, toteż pamiątki po nich wypełniały całe wnętrze, począwszy od wysokiego kominka z Kandoru, zbudowanego w całości ze złotego marmuru, a skończywszy na ścianach wyłożonych płytami z dziwnego, pasiastego drewna, twardego jak żelazo, a mimo to pokrytego płaskorzeźbami przedstawiającymi baśniowe zwierzęta i ptactwo o niezwykłym upierzeniu. Płyty te zostały przywiezione z tajemniczych ziem, położonych za Pustkowiec Aiel, przed co najmniej tysiącem lat, kominiek natomiast był ponad dwa razy starszy. Wypolerowany, czerwony kamień posadzek pochodził z Gór Mgły. Wysokie, zwieńczone łukami okna wychodziły na balkon. Opalizujący kamień, z którego wykonano ramy okien, lśnił jak perły, a uratowano go z pozostałości po pewnym mieście, które po Pęknięciu Świata zapadło się na dno Morza Burz; nikt nigdy nie widział podobnego.

Obecna mieszkanka, Sivan Sanche, urodziła się w Łzie w rodzinie rybaka i umeblowanie przez nią wybrane było proste, aczkolwiek udatnie wykonane i pięknie wypolerowane. Siedziała na mocnym krześle za wielkim stołem, tak zwyczajnym, że znakomicie by pasował do domostwa jakiegoś farmera. Drugie



krzesło, równie zwykłe i zazwyczaj stawiane z boku, stało teraz przed stołem, na niewielkim taireńskim dywanie, utkanym z niewyszukanych błękitów, czerwieni i złota. Na kilku postumentach spoczywało jakieś pół tuzina otwartych ksiąg. I na tym koniec. Nad kominkiem wisiał rysunek: maleńkie łódzie rybackie w trzcinach porastających Palce Smoka, dokładnie takie same jak łódka jej ojca.

Na pierwszy rzut oka, mimo gładkich rysów Aes Sedai, sama Siuan Sanche wyglądała na równie pospolitą jak jej meble. Była osobą krzepką i raczej przystojną niżli piękną. Na tle jej szaty szeroka stuła oraz kolorowe paski symbolizujące wszystkie Siedem Ajah sprawiały wrażenie ekstrawagancji. Poza tym ten jej nieokreślony wiek, jak u każdej Aes Sedai, ciemne włosy nie zdradzające nawet śladu siwizny. Przenikliwe, niebieskie oczy nie znosiły niedorzeczności, a stanowcza szczęka mówiła o determinacji najmłodszej z wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek wybrano na Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Przez dobre dziesięć lat Siuan Sanche potrafiła wzywać do siebie władców i możnych, a oni przybywali, nawet jeśli nienawidzili Białej Wieży i bali się Aes Sedai.

Kiedy Amyrlin wstała, Min postawiła tobolek i próbowała niezdarnie dygnąć, mamrocząc do siebie zirytowana. Nie wyrażała tym braku szacunku — coś takiego nawet nie mogło przyjść do głowy komuś, kto stał przed obliczem kobiety pokroju Siuan Sanche — tylko zirytowanie tym, że ukłon, który zazwyczaj wykonywała, wydawał się po prostu głupi w sukni, a o dyganiu miała raczej mgliste pojęcie.

Zastygła w połowie ukłonu z rozpostartymi spódnicami, niczym gotowa do skoku ropucha. Siuan Sanche, która przecież stała przed nią, władca jak królowa, przez chwilę, mocą jej wizji, leżała na podłodze, naga. W obrazie tym, pomijając sam widok obnażonej Aes Sedai, było coś dziwnego, ale zniknął, zanim Min zdążyła się zorientować, co to jest. Tak wyraźnej wizji nigdy przedtem nie miała, zupełnie jednak nie potrafiła określić jej znaczenia.

— Znowu widzisz rzeczy, nieprawdaz? — spytała Amyrlin. — Cóż, z pewnością przyda mi się twoja umiejętność. Mogła mi się przydać podczas tych miesięcy, kiedy cię nie było. Ale nie będziemy o tym rozmawiały. Co się stało, już się nie odstanie. Koło obraca się tak, jak chce. — Uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami. — Ale jeśli jeszcze raz to zrobisz, to każę uszyć rękawiczki z twej skóry. Wyprostuj się, dziewczyno. Leane zmusza mnie każdego miesiąca do tyłu ceremonii, ile każdej rozsądnej kobiecie wystarczyłoby na rok. Nie mam na to czasu. Przynajmniej teraz. No dobrze, co właściwie zobaczyłaś?

Min wyprostowała się powoli. To ulga spotkać się z kimś, kto wiedział o jej talencie, nawet jeśli to była sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Przed nią nie musiała ukrywać tego, co zobaczyła. Wręcz przeciwnie.

— Byłaś... Nie miałaś na sobie ubrania. Ja... ja nie wiem, co to oznacza, Matko.

Siuan wybuchnęła krótkim śmiechem pozbawionym wesołości.

— Bez wątpienia, że wezmę sobie kochanka. Ale na to też nie mam czasu. Kiedy się wylewa wodę z łodzi, nie ma czasu na mruganie do mężczyzn.

— Być może — wolno odpowiedziała Min. Tak mogło być, ona w to jednak wątpiła. — Po prostu nie wiem. Ale, Matko, cały czas, odkąd weszłam do Wieży, widzę jakieś rzeczy. Stanie się coś złego. Coś strasznego.

Zacząła od Aes Sedai w sali przyjęć i opowiedziała o wszystkim, co widziała, jak również o tym, co te wizje oznaczały, gdy była pewna interpretacji. Zatrzymała jednak dla siebie to, co powiedział Gawyn, a przynajmniej większość, nie miałoby bowiem sensu pouczanie go, aby nie budził gniewu Amyrlin, skoro ona zrobiłaby to za niego. Resztę wyłożyła równie wyraziście. Strach powrócił częściowo, gdy ponownie wywlekała wszystko z siebie, gdy raz jeszcze wizje stawały jej przed oczami. Zanim skończyła, jej głos drżał.

Wyraz twarzy Amyrlin ani na moment nie uległ zmianie.

— A więc rozmawiałaś z młodym Gawynem — powiedziała, gdy Min skończyła. — Cóż, myślę, że umiem go przekonać do milczenia. A co do Sahry, jeśli dobrze ją pamiętam, to z pewnością zechce popracować jakiś czas na wsi. Nie będzie rozgłaszała żadnych plotek w trakcie obrabiania motyką poletka warzyw.

— Nie rozumiem — powiedziała Min. — Dlaczego Gawyn miałby milczeć? Na jaki temat? Nic mu nie powiedziałam. A Sahra. . . ? Matko, może nie wyraziłam się dość jasno. Aes Sedai i Strażnicy zginą. To musi oznaczać bitwę. Jeśli nie odeślesz większości Aes Sedai i Strażników gdzie indziej, łącznie ze służbą, bo widziałam także martwych i rannych służących, jeśli tego nie zrobisz, ta bitwa się tu odbędzie! W Tar Valon!

— Widziałaś to? — zażądała odpowiedzi Amyrlin. — Bitwę? Wiesz to, dzięki swemu. . . talentowi, czy raczej zgadujesz?

— Cóż mogłoby to być innego? Co najmniej cztery Aes Sedai nie żyją jak nic. Matko, odkąd wróciłam, widziałam zaledwie dziewięć z was, a z nich aż cztery mają zginąć! I Strażnicy. . . Cóż jeszcze mogłoby to być?

— Więcej rzeczy niż mam ochotę sobie wyobrazić — odparła ponuro Suan. — Kiedy? Ile upłynie czasu, nim zdarzy się. . . ta. . . rzecz?

Min pokręciła głową.

— Nie wiem. Większość zdarzeń nastąpi na przestrzeni dnia, może dwóch, ale to może się stać jutro albo za rok. Albo za dziesięć lat.

— Módlmy się zatem o dziesięć. Jeśli ma się to zdarzyć jutro, niewiele mogę poradzić.

Min skrzywiła się. Tylko dwie Aes Sedai oprócz Suan Sanche wiedziały, do czego jest zdolna: Moiraine i Verin Mathwin, które usiłowały zbadać jej dar. Żadnej nie udało się zrozumieć do końca zasad, na jakich on działa, wyjąwszy fakt, że nie ma nic wspólnego z Mocą. Być może tylko dlatego Moiraine potrafiła przystać na nieuchronność zapowiadanych w jej wizjach zdarzeń.

— Może to Białe Płaszczce, Matko. Pełno ich było w Alindaer, kiedy przekraczałam most. — Nie wierzyła, by Synowie Światłości mieli coś wspólnego z tym, co miało nastąpić, ale niechętnie mówiła o tym, w co wierzyła. Wierzyła czy nie, to i tak było dostatecznie paskudne.

Zanim jednak Min zdążyła skończyć, Amyrlin już kręciła głową.

— Gdyby mogli, to by się na coś odważyli, nie wątpię, że z chęcią zaatakowałyby Wieżę, ale Eamon Valda nie podejmie żadnych jawnych działań bez rozkazów Lorda Kapitana Komandora, Pedron Niall zaś nie wyda takiego rozkazu, o ile nie uzna, że jesteśmy odpowiednio osłabione. Aż za dobrze zna naszą potęgę, żeby nie kierować się rozsądkiem. Białe Płaszczce postępują tak od tysiąca lat. To srebrawa, zacząta w trzcinach, która czeka na ślad krwi Aes Sedai w wodzie. Ale jeszcze jej nie zobaczył i nie zobaczy, jeśli uda mi się temu zaradzić.

— A jeśli Valda naprawdę spróbuje zrobić coś na własną rękę...

Siuan przerwała jej.

— W pobliżu Tar Valon nie zostawił więcej jak pięciuset swoich ludzi, dziewczyno. Resztę odesłał wiele tygodni temu, by sprawiali kłopoty gdzie indziej. Lśniące Mury zatrzymały Aielów. A także Artura Hawkwinga. Valda nigdy nie zdobędzie Tar Valon, chyba że miasto rozpadnie się od środka. — Mówiła dalej, nie zmieniając tonu. — Bardzo chcesz, bym uwierzyła, że kłopoty pojawią się z winy Białych Płaszczki. Dlaczego? — Jej oczy lśniły.

— Bo ja chcę w to wierzyć — wymamrotała Min. Oblizła wargi i wymówiła słowa, których wcale nie chciała wypowiadać. — Srebrna obręcz, którą zobaczyłam na szyi pewnej Aes Sedai. Matko, wyglądała... Wyglądała jak te smycze, których... Seanchanie używają do... do kontrolowania kobiet, potrafiących przenosić Moc. — Głos jej ucichł, gdy Siuan wygięła usta z niesmakiem.

— Obrzydlistwo — warknęła Amyrlin. — Dlatego większość ludzi nie wierzy nawet w ćwierć tego, co słyszy o Seanchanach. Ale istnieje większe prawdopodobieństwo, że to jednak będą Białe Płaszczce. Jeżeli Seanchanie znowu wylądują, obojętnie gdzie, dowiem się o tym w ciągu kilku dni dzięki gołębiom, a od morza do Tar Valon wiedzie długa droga. Otrzymam całe mnóstwo ostrzeżeń, jeśli się znowu pojawią. Nie, obawiam się, że to, co ty widzisz, jest daleko gorsze od Seanchan. Obawiam się, że to mogą być wyłącznie Czarne Ajah. Wie o nich jedynie garstka wśród nas i nie uśmiecha mi się perspektywa tego, do czego dojdzie, gdy wiedza ta stanie się powszechna, ale to właśnie one stanowią największe, bezpośrednie zagrożenie dla Wieży.

Min zorientowała się, że aż do bólu palców miętosi materię spódnic, w ustach zaschło jej na pył. Biała Wieża zawsze chłodno przeczyła istnieniu ukrytych Ajah, oddanych Czarnemu. Najpewniejszym sposobem na rozgniewanie Aes Sedai była najdrobniejsza o nich wzmianka. Potwierdzenie istnienia Czarnych Ajah, z ust samej Zasiadającej na Tronie Amyrlin, podane tak zdawkowym tonem, sprawiło, że kręgosłup Min zamienił się w sople lodu.

Amyrlin ciągnęła dalej, jakby nie powiedziała nic niezwykłego:

— Ale nie pokonałaś całej tej drogi po to tylko, by mieć te swoje widzenia. Jakie są wieści od Moiraine? Wiem, mówiąc najogólniej, że cała ziemia od Arad Doman do Tarabon jest pogrążona w chaosie.

Było to powiedziane istotnie najogólniej, a tymczasem ludzie wspierający Smoka Odrodzonego walczyli z tymi, którzy się mu przeciwstawiali, pogrążając oba kraje w wojnie domowej, celem której było zdobycie kontroli nad Równiną Almoth. Ton głosu Siuan Sanche zdawał się jednak bagatelizować to wszystko niczym nieistotny szczegół.

— Jednakże od miesiący nie słyszałam nic o Randzie al'Thorze. To on stanowi zarzewie wszystkiego. Gdzie on jest? Co Moiraine kazała mu zrobić? Siadaj, dziewczyno. Siadaj. — Gestem wskazała krzesło stojące przed stołem.

Min chwiejnie podeszła do krzesła i osunęła się na nie bezwiednie.

„Czarne Ajah! O Światłości!”

Zadaniem Aes Sedai była obrona Światłości. Tak było zawsze, nawet jeśli nie ufano im w pełni. Aes Sedai i cała potęga Aes Sedai wspierały Światłość, przeciwstawiając się Cieniowi. A teraz to już przestało być prawdą. Ledwie słyszała własne słowa, gdy zduszonym szeptem mówiła:

— On jest w drodze do Łzy.

— Łza! A więc *Callandor*. Moiraine chce, by on zabrał z Kamienia Łzy Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Przysięgam, że ją powieszę na słońcu, by wyszła na kość! Sprawię, że będzie pragnęła na powrót stać się nowicjuską! On nie jest jeszcze do tego gotów!

— To nie była... — Min urwała, by odkaslnąć. — To się nie stało z woli Moiraine. Rand wyjechał w samym środku nocy, z własnej woli. Pozostali pojechali za nim, a Moiraine przysłała mnie, bym ci przekazała informacje. Mogą już być w Łzie. Na ile się orientuję, Rand być może ma już *Callandora*.

— A żeby szczęść! — warknęła Siuan. — Teraz może już nie żyje! Szkoda, że kiedykolwiek usłyszał o Proroctwach Smoka. Gdybym tak mogła mu przeszkodzić w usłyszeniu kolejnego, na pewno bym to zrobiła.

— Ale czy to on nie winien sprawić, by Proroctwa się spełniły? Nie rozumiem.

Amyrlin ze znużeniem wsparła łokcie o stół.

— Jakby ktokolwiek w ogóle je rozumiał! To nie Proroctwa czynią go Smokiem Odrodzonym. Wystarczy, żeby sam uznał, że nim jest, a pewnie tak się stało, skoro wyruszył po *Callandora*. Przeznaczeniem Proroctw jest obwieszczenie świata, kim on jest, przygotowanie świata na to, co nastąpi. Jeżeli Moiraine potrafi zachować nad nim odrobinę kontroli, to pozwoli mu urzeczywistnić jedynie te z Proroctw, których możemy być pewni... i to wówczas, gdy dopiero będzie gotów!... — a co do reszty, ufam, że wystarczą jego czyny. Taką mam nadzieję. Ale jak widać, już spełniły się Proroctwa, których żadna z nas nie rozumie. Światłości, spraw, by na tym wszystko się skończyło.

— A zatem chcesz go kontrolować. Mówił, że będziesz próbowała go wykorzystać, ale po raz pierwszy słyszę, jak się do tego przyznajesz. — Min poczuła wewnętrzny chłód. Rozzłoszczona, dodała: — Jak dotąd nie wywiązałyście się najlepiej ze swego zadania, ani ty, ani Moiraine.

Ramiona Siuan zdawało się przygniatać zmęczenie. Wyprostowała się i z góry spojrzała na Min.

— Lepiej będzie dla ciebie, jeśli jednak nam uwierzysz. Myślałaś, że pozwolimy mu biegać samopas? Uprzykrzony i uparty, niewyszkolony, nie przygotowany, być może już popada w obłąd. Sądzisz, że możemy zaufać Wzorowi, jego przeznaczeniu, że sam utrzyma go przy życiu, niczym w jakiejś opowieści? To nie jest żadna opowieść, on nie jest żadnym niepokonanym bohaterem, a jeśli jego wątek zostanie wypruty ze Wzoru, wówczas Koło Czasu nie zauważy jego zniknięcia, a Stwórcą nie uczyni cudu, żeby nas uratować. Jeżeli Moiraine nie uda się zrefować jego żagli, wówczas może zginąć, a wtedy co się z nami wszystkimi stanie? Co się stanie ze światem? Więzienie Czarnego rozpada się. Czarny znowu dotknie świat, to tylko kwestia czasu. Jeśli Randa al'Thora tam nie będzie, by stanął z nim do walki w Ostatniej Bitwie, jeśli ten uparty, młody głupiec da się pierwemu zabić, świat będzie skazany na zagładę. Wojna o Moc powtórzy się, bez Lewsa Therina i jego Stu Towarzyszy. Potem ogień i cień, na zawsze. — Umilkła nagle, spozierając na twarz Min. — A więc to w tę stronę powiał wiatr, zgadza się? Ty i Rand. Tego się nie spodziewałam.

Min energicznie pokręciła głową czując, jak czerwienieją jej policzki.

— Ależ jasne, że nie! Byłam... To Ostatnia Bitwa. I Czarny. Światłości, już sama myśl o Czarnym, grasującym na wolności, powinna zamrozić szpik Strażnikowi. A Czarne Ajah...

— Nie próbuj się wykręcać — skarciła ją Amyrlin. — Myślisz, że po raz pierwszy widzę kobietę, która się boi o życie swego mężczyzny? Równie dobrze mogłabyś się przyznać.

Min wierciła się na krześle. Oczy Siuan wpijały się w nią, pełne wiedzy i zniecierpliwienia.

— W porządku — mruknęła w końcu. — Powiem ci wszystko, niezależnie ile dobrego wyniknie z tego dla każdej z nas. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Randa, spostrzegłam twarze trzech kobiet i jedna z nich to była moja twarz. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam niczego na swój temat, ale wiedziałam, co to oznacza. Miałam się w nim zakochać. Wszystkie trzy miałyśmy.

— Trzy. A te pozostałe dwie?

Min obdarzyła ją gorzkim uśmiechem.

— Twarze były zamazane, nie wiem, kim one są.

— Nic, by stwierdzić, że on odwzajemni twoją miłość?

— Nic! Nigdy nie spojrział na mnie inaczej niż przelotnie. Ja myślę, że on uważa mnie za... za siostrę. Tak więc nie sądzę, byś mogła mnie wykorzystać,

abym go do siebie przywiązała. To się nie uda!

— A jednak go kochasz.

— Nie mam wyboru. — Min starała się, by jej głos brzmiał mniej ponuro. — Usiłowałam traktować wszystko jako żart, ale teraz już nie umiem się z tego śmiać. Możesz mi nie wierzyć, ale gdy wiem, co dana wizja oznacza, nic nie jest potem w stanie zapobiec jej spełnieniu.

Amyrlin dotknęła palcem wargi i przyjrzała się jej badawczo.

Zaniepokoiło ją to spojrzenie. Nie chciała robić z siebie widowiska, nie chciała zdradzać aż tyle. Nie wyznała wprawdzie wszystkiego, jednak powinna się już do tej pory nauczyć, że Aes Sedai nie należy dawać żadnej, najlżejszej choćby przesłanki, wówczas bowiem z pewnością ją wykorzystają. Miały swoje sposoby.

— Matko, dostarczyłam wiadomość od Moiraine i powiedziałam wszystko, co wiem, o znaczeniu moich wizji. Nie widzę powodu, dla którego nie miałabym teraz włożyć własnych ubrań i wyjechać.

— Dokąd?

— Do Łzy. — Ale najpierw rozmowa z Gawynem, trzeba dopilnować, by nie zrobił czegoś głupiego. Żałowała, że nie ośmieliła się spytać, gdzie jest Egwene oraz jej przyjaciółki, skoro jednak Amyrlin nie chciała tego zdradzić bratu Elayne, to szansa, że powie jej, była doprawdy niewielka. A oczy Siuan Sanche wciąż patrzyły tym szacującym spojrzeniem. — Tam, gdzie jest Rand, gdziekolwiek byłby. Może zachowuję się głupio, ale nie jestem pierwszą kobietą, która zgłupiała na punkcie mężczyzny.

— Jesteś pierwszą, która zgłupiała na punkcie Smoka Odrodzonego. Kiedy świat się dowie, kim oraz czym jest Rand al'Thor, przebywanie w jego towarzystwie będzie doprawdy niebezpieczne. A jeśli zdobył *Callandora*, to świat dowie się o tym naprawdę szybko. Połowa ludzkości będzie chciała go zabić, jakby w ten sposób miała nie dopuścić do Ostatniej Bitwy i uwolnienia Czarnego. Bardzo wielu, spośród stojących najbliżej niego, zginie. Będzie lepiej dla ciebie, jeśli zostaniesz tutaj.

W głosie Amyrlin brzmiało współczucie, ale Min nie wierzyła w jego szczerść. Nie wierzyła, by Siuan Sanche była zdolna do współczucia.

— Podejmę ryzyko, być może będę mogła mu pomóc. Dzięki temu, co widzę. Wieża wcale nie jest aż tak bezpiecznym miejscem, przynajmniej dopóki przebywa w niej bodaj jedna Czerwona siostra. Zobaczą mężczyznę, który potrafi przenosić, i zapomną o Ostatniej Bitwie oraz o Proroctwach Smoka.

— Podobnie jak wielu innych — wtrąciła spokojnie Siuan. — Dawne sposoby myślenia trudno wykorzenić, tak z Aes Sedai, jak i z reszty ludzkości.

Min obdarzyła ją zdziwionym spojrzeniem. W tej chwili Amyrlin zdawała się podzielać jej stanowisko.

— To nie tajemnica, że przyjaźnię się z Egwene i Nynaeve, nie jest też tajemnicą, że one pochodzą z tej samej wioski co Rand. Dla Czerwonych Ajah to

wystarczający związek. Kiedy Wieża się dowie, czym on jest, prawdopodobnie nim skończy się dzień, zostanie aresztowana. Podobnie Egwene i Nynaeve, o ile nie kazałaś ich gdzieś ukryć.

— A zatem nie możesz zostać rozpoznana. Ryby, które widzą sieć, nie dają się złapać. Proponuję, byś na jakiś czas zapomniała o kaftanie i spodniach. — Amyrlin uśmiechnęła się w taki sposób, w jaki kot mógłby uśmiechać się do myszy.

— Jakież to ryby spodziewasz się łapać razem ze mną? — spytała słabym głosem Min. Przypuszczała, że zna odpowiedź, ale rozpaczliwie pragnęła nie mieć racji.

Jej pragnienie okazało się daremne. Amyrlin oznajmiła:

— Czarne Ajah. Trzyńście uciekło, ale obawiam się, że jakieś zostały. Nie mogę być pewna, komu mogę ufać, a przez pewien czas bałam się zaufać komukolwiek. Nie jesteś Sprzymierzeńcem Ciemności, wiem to, a twój szczególny talent może się akurat przydać. A w każdym razie będziesz jeszcze jedną, wiarygodną parą oczu.

— Zaplanowałaś to od razu, jak się tylko pojawiłam, prawda? Dlatego właśnie chcesz uciszyć Gawyna i Sahrę. Gniew nagromadził się w niej niczym para w imbryku. Ta kobieta rzucała hasło „Żaba!” i spodziewała się, że ludzie będą skakać. Ona nie jest żadną żabą, żadną tańczącą kukiełką. Czy to właśnie zrobiłaś z Egwene, Elayne i Nynaeve? Wysłałaś je śladem Czarnych Ajah? Nie puściłabym ci tego płazem!

— Ty dogłdasz własnych sieci, dziecko, a one niech dogładają swoich. Dla ciebie one odprawiają pokutę na jakiejś farmie. Czy wyraziłam się dość jasno?

Pod wpływem tego niewzruszonego spojrzenia Min nerwowo poruszyła się na krześle. Amyrlin łatwo się było sprzeciwiać — dopóki nie wpiła w człowieka swych przenikliwych, zimnych, niebieskich oczu.

— Tak, Matko. — Potulność własnej odpowiedzi napełniła ją goryczą, ale rzut oka na Amyrlin przekonał ją, że lepiej nie budzić licha. Skubnęła cienką wełnę swej sukni. — Myślę, że nie umrę, jak jeszcze trochę to ponoszę.

Na twarzy Siuan, ni stąd, ni zowąd, pojawiło się rozbawienie. Min poczuła, jak znowu narasta w niej wściekłość.

— Obawiam się, że to nie wystarczy. Min w sukni to nadal Min w sukni dla każdego, kto przyjrzy się uważniej. Nie możesz wiecznie nosić kaftana z zaciągniętym kapturem. Nie, musisz zmienić wszystko, co tylko się da. Przede wszystkim nadal będziesz uchodziła za Elmindredę. To w końcu twoje imię.

Min skrzywiła się.

— Masz włosy niemal równie długie jak Leane, tak długie, że dadzą skrócić się w loki. Co do reszty... Ja sama nigdy nie korzystałam z różu, pudru i szminek, ale Leane jeszcze pamięta, jak się ich używa.

Od momentu wzmianki o lokach oczy Min robiły się coraz szersze.

— Och, nie — westchnęła głośno.

— Nikt nie rozpozna w tobie tej Min, która nosiła spodnie, kiedy Leane prze-  
robi cię na doskonałą Elmindredę.

— Och, nie!

— Jeśli zaś chodzi o powód twojego pobytu w Wieży, musi być on odpo-  
wiedni dla młodej trzpiotki, która wygląda i zachowuje się zupełnie inaczej niż  
prawdziwa Min. — Pograżona w myślach Amyrlin zmarszczyła czoło, ignorując  
Min, która usiłowała wtrącić choć słowo. — Tak. Pozwolę rozgłosić, że pani El-  
mindredzie udało się ośmielić dwóch konkurentów do tego stopnia, że musi się  
schronić w Wieży, dopóki nie będzie potrafiła powziąć decyzji. Co roku kilka ko-  
biet korzysta z naszego azylu, niekiedy z równie głupich powodów. — Rysy jej  
twarzy stwardniały, a oczy nabrały drapieżnego wyrazu. — Jeśli nadal myślisz  
o Łzie, to przemyśl wszystko raz jeszcze. Zastanów się, czy bardziej przydasz się  
Randowi tutaj czy tam. Jeżeli Czarne Ajah doprowadzą Wieżę do upadku albo  
co gorsza przejmą nad nią kontrolę, straci nawet tę niewielką pomoc, jakiej ja  
mogę mu udzielić. No i jak? Zachowasz się jak kobieta czy jak chora z miłości  
dziewoja?

Potrask, w jaki wpadła, Min widziała równie wyminie, jakby mogła zobaczyć  
zwykle, materialne pęta na swoich nogach.

— Zawsze w ten sposób radzisz sobie z ludźmi, Matko?

Tym razem uśmiech Amyrlin był jeszcze chłodniejszy.

— Zazwyczaj, dziecko. Zazwyczaj.

\* \* \*

Poprawiając swój szal z czerwonymi frędzlami, Elaida przypatrywała się z na-  
mysłem drzwiom do gabinetu Amyrlin, za którymi dopiero co zniknęły dwie mło-  
de kobiety. Nowicjuszka wróciła niemal natychmiast, spojrzała raz na twarz Ela-  
idy i zabeczła niczym przerażona owca. Elaidzie wydało się, że ją poznaje, acz-  
kolwiek nie mogła sobie przypomnieć imienia dziewczyny. Swoją czas wykorzy-  
stywała do zadań ważniejszych niż udzielanie nauk żalonym dziewczątkom.

— Twoje imię?

— Sahra, Elaida Sedai.

Dziewczyna udzieliła odpowiedzi zziąjanym głosem, prawie piskiem. Elaida  
mogła się nie interesować nowicjuszkami, jednakże one znały ją, a także jej repu-  
tację.

Teraz przypomniła sobie tę dziewczynę. Marzycielka obdarzona umiarkowa-  
nymi zdolnościami, która nigdy nie miała osiągnąć żadnej realnej potęgi. Wątpli-  
we, by mogła wiedzieć więcej, niż Elaida dotąd zobaczyła albo usłyszała — ani



by pamiętała coś więcej prócz uśmiechu Gawyna, jeżeli już o to chodzi. Idiotka. Elaida odprawiła ją gestem dłoni.

Dziewczyna dygnęła tak głęboko, że omal nie dotknęła twarzą płytek posadzki, po czym uciekła na łeb, na szyję.

Elaida nawet nie odprowadziła jej wzrokiem, zawróciła, zapominając o nowicjusze. Kiedy sunęła korytarzem, ani jedna zmarszczka nie psuła jej gładkich rysów, mimo że myśli wrzały jak oszalałe. Nie zauważała posługaczek, nowicjuszek i Przyjętych, które pośpiesznie umykały jej z drogi dygając, kiedy je mijała. Raz omal nie wpadła na Brązową siostrę, której nos utkwiony był w pliku notatek. Krępa Aes Sedai odskoczyła z okrzykiem zdumienia, którego Elaida nawet nie usłyszała.

Suknia, nie suknia, znała tę młodą kobietę, która przyszła na spotkanie z Zasiadającą. To ta Min, która spędziła tyle czasu z Amyrlin podczas pierwszej wizyty w Wieży, z powodu, którego nikt nie znał. Min, która przyjaźniła się z Elayne, Egwene i Nynaeve. Amyrlin zataiła miejsce pobytu wszystkich trzech. Elaida była o tym przekonana. Wszelkie doniesienia, że odprawiają pokutę na jakiejś farmie, ostatecznie swoje źródło miały w gabinecie Suan Sanche; do Elaidy docierały z trzeciej lub czwartej ręki, co wystarczyło, by ukryć wszelkie zniekształcenia faktów i w ten sposób uniknąć jawnego kłamstwa. Nie wspominając już, że znaczne wysiłki Elaidy, zmierzające ku odszukaniu tej farmy, spełzły na niczym.

— Oby szczęła w Światłości!

Przez chwilę na jej twarzy malował się otwarty gniew. Nie była pewna, czy chodzi jej o Suan Sanche czy raczej o Dziedziczkę Tronu. Obie się przysłużyły. Usłyszała ją jakaś szczupła Przyjęta, zerknęła na twarz Elaidy, a jej oblicze stało się białe niczym materia sukni. Elaida przeszła obok, nie widząc jej.

Poza tym złościło ją, że nie może znaleźć Elayne. Dzięki swej zdatności widzenia przyszłych zdarzeń, Elaida zdolna była czasami formułować Przepowiednie. Nawet jeżeli zdarzało się to rzadko, a treść wróżb była mało zrozumiała, to i tak miewała rację częściej niż inne Aes Sedai od czasów Kitary Moroso, zmarłej przed dwudziestu laty. Pierwszą rzeczą, jaką Elaida przepowiedziała, będąc jeszcze Przyjętą — a już wtedy wiedziała dość, by zatrzymać wszystko dla siebie — była kluczowa rola królewskiej dynastii Andoru w pokonaniu Czarnego podczas Ostatniej Bitwy. Towarzyszyła więc Morgase od chwili, gdy tylko stało się jasne, iż tamta wstąpi na tron, i cierpliwie, rok za rokiem, budowała sieć swoich wpływów. A teraz wszystkie jej starania, jej poświęcenie — sama mogła zostać Zasiadającą na Tronie Amyrlin, gdyby nie skupiła całej swojej energii na Andorze — mogły pójść na marne, ponieważ Elayne zniknęła.

Z wysiłkiem skoncentrowała myśli na tym, co teraz było istotne. Egwene i Nynaeve pochodziły z tej samej wsi co ten dziwny młody człowiek, Rand al'Thor. Również Min go znała, aczkolwiek usiłowała ukryć ten fakt. Rand al'Thor stanowił sedno całej sprawy.

Elaida widziała go jedynie raz, rzekomo był pasterzem z andorańskiej prowincji Dwie Rzeki, niemniej w każdym calu wyglądał na Aiela. Na sam jego widok mogła od razu przepowiadać. Był *ta'veren*, jedną z tych rzadkich osób, które zamiast być wplecione do Wzoru, tak jak tego chce Koło Czasu, zmuszają Wzór, by kształtował się wokół nich, przynajmniej przez jakiś czas. A Elaida zobaczyła wirujący wokół niego chaos, secesję i walkę o Andor, być może nawet o większą część świata. Andor musiał pozostać całością, cokolwiek by się działo — przekonała ją o tym tamta pierwsza Przepowiednia.

Istniały jeszcze inne wątki, dość by schwytać Suan w jej własną sieć. Jeżeli należało wierzyć pogłoskom, *ta'veren* było trzech, nie tylko jeden. Wszyscy trzej z tej samej wioski, z Pola Emonda, i wszyscy trzej byli mniej więcej w tym samym wieku, co już stanowiło wyśmienity temat do krążących po Wieży plotek. A podczas podróży do Shienaru, przed niespełna rokiem, Suan spotkała ich, a nawet z nimi rozmawiała. Rand al'Thor. Perrin Aybara. Matrim Cauthon. Mówiono, że to zwykły przypadek. Zwykły szczęśliwy traf. Tak mówiono. Ci, którzy tak twierdzili, nawet nie podejrzewali tego, co wiedziała Elaida.

Kiedy Elaida spotkała tego młodego al'Thora, Moiraine sprawiła wówczas, że się ulotnił. Moiraine, która w Shienarze towarzyszyła jemu i pozostałym dwóm *ta'veren*. Moiraine Damodred, najlepsza przyjaciółka Suan Sanche; jeszcze z czasów, kiedy obie były nowicjuszkami. Gdyby Elaida zwykła robić zakłady, założyłaby się, że nikt inny w Wieży nie pamięta tej przyjaźni. W dniu, w którym wyniesiono je do godności Aes Sedai, pod koniec Wojny o Aiel, Suan i Moiraine rozstały się z sobą, a potem zachowywały się jak obce osoby. Jednakże Elaida była Przyjętą, stojącą wyżej od tych dwóch nowicjuszek, udzielała im lekcji i besztala za zbyt powolne wykonywanie codziennych obowiązków, więc pamiętała. Trudno jej było uwierzyć, że ich spisek mógł sięgać tak daleko wstecz al'Thor nie mógł się urodzić dużo wcześniej — a jednak gdzieś w mrokach przeszłości kryła się łącząca je więź. Dla niej to wystarczało.

Nieważne, do czego zmierza Suan, trzeba ją powstrzymać. Wszędzie mnożą się zamieszki i chaos. Czarny z całą pewnością wyrwie się na wolność — Elaida od samej tej myśli zadygotała i owinęła się ciaśniej szalem — a Wieża powinna trzymać się z dala od wojen zwykłych ludzi, by móc jemu stawić czoło. Wieża powinna być wolna, by móc pociągać za sznurki, dzięki czemu narody staną obok siebie, wolne od waśni, które spowoduje Rand al'Thor. Powinno się go w jakiś sposób powstrzymać, zanim zniszczy Andor.

Nikomui nie powiedziała, co wie o Randzie al'Thorze. Na ile okaże się to tylko możliwe, miała zamiar załatwić całą sprawę z nim po kryjomu. Komnata Wieży już mówiła o obserwacji, a nawet kontroli tych *ta'veren*: nigdy by nie wyrażono zgody na pozbycie się ich, a szczególnie tego jednego. A przecież trzeba się było go pozbyć. Dla dobra Wieży. Dla dobra świata.

Dźwięk, który wydobyła z głębi gardła, zabrzmiał prawie jak warknięcie. Siu-

an zawsze była uparta, nawet jako nowicjuszka, zawsze uważała siebie za córkę ubogiego rybaka, ale jak mogła być taka głupia, by wplątać w to wszystko Wieżę, nie informując jednocześnie Komnaty. Wiedziała, co się wydarzy, równie dobrze jak inni. Gorzej byłoby chyba tylko wtedy, gdyby. . .

Elaida zatrzymała się nagle, zapatrzona w jakiś nie istniejący punkt. Czy to możliwe, by ten al'Thor potrafił przenosić Moc? Albo któryś z pozostałych? Najprawdopodobniej musiał to być al'Thor. Nie. Na pewno nie. Nawet Suan nie wdałaby się w coś takiego. Nie mogłaby.

— Kto wie, do czego jest zdolna ta kobieta? — mruknęła. — Nigdy nie była odpowiednia na Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

— Mówisz do siebie, Elaido? Wiem, że wy, Czerwone, nigdy nie zawierałyście przyjaźni poza swoimi Ajah, ale z pewnością przyjaźnicie się między sobą, a więc chyba masz z kim porozmawiać?

Elaida odwróciła głowę, by zmierzyć wzrokiem Alviarin. Obdarzona łabędzią szyją Aes Sedai odwzajemniła spojrzenie z nieznośnym chłodem, co było cechą charakterystyczną Białych Ajah. Nie było miłości między Czerwonymi i Białymi, od tysiąca lat stawały po przeciwległych stronach Komnaty Wieży. Białe obok Niebieskich, a Suan przecież należała kiedyś do Niebieskich. Niemniej jednak Białe chętnie się swą beznamietną logiką.

— Przespaceruj się ze mną — zaproponowała Elaida.

Alviarin zawahała się przez moment, nim ruszyła jej śladem.

Z początku Biała siostra lekceważąco unosiła brew, słuchając rewelacji Elaidy na temat Suan, jednak pod koniec przemowy tamtej marszczyła już w skupieniu czoło.

— Nie masz dowodów na nic. . . niewłaściwego — powiedziała, kiedy Elaida nareszcie umilkła.

— Na razie — odparła z przekonaniem Elaida. Pozwoliła sobie na skąpy uśmiech, kiedy Alviarin przytaknęła. To był początek. Któregoś dnia Suan zostanie powstrzymana, i to zanim uda jej się zniszczyć Wieżę.

\* \* \*

Dain Bornhald, dobrze ukryty w kępie wysokich drzew skórzanych, nad północnym brzegiem rzeki Taren, odrzucił poję białego płaszcza, ozdobionego na piersiach płonącym złociście słońcem, i przyłożył do oka sztywną, skórzaną tubę ze szkłem powiększającym. Wokół jego głowy buczała chmura maleńkich bite-mów, ale nie zwracał na nie uwagi. W wiosce położonej przy przystani promu, kursującego przez Taren, po drugiej stronie rzeki, widział duże kamienne do-

my, które dzięki wysokim fundamentom każdej wiosny opierały się powodziom. Wieśniacy wychylali się z okien albo stali na werandach, wgapieni w spowitych w białe płaszcze jeźdźców na koniach w wypolerowanych zbrojach. Na powitanie konnych wyszła delegacja wieśniaków i ich kobiet. Bornhald zauważył, że na szczęście dla nich uważnie słuchali słów Jareta Byara.

Bornhald niemalże mógł słyszeć głos swego ojca.

„Gdy sobie pomyślą, że mają szansę, to zawsze znajdzie się jakiś głupiec, który zechce z niej skorzystać. Wówczas trzeba będzie ich zabijać, a jakiś inny głupiec będzie próbował pomścić tych zabitych, a więc będzie jeszcze więcej zabijania. Od początku należy zaszcześcić w nich strach przed Światłością, nauczyć, że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli będą postępować, jak im się nakazuje. A wtedy i wy nie będziecie mieli kłopotów”.

Na myśl o ojcu, już nie żyjącym, zacisnął szczęki. Zamierzał coś z tym zrobić, i to już wkrótce. Był przekonany, że tylko Byar wie, dlaczego tak ochoczo przystał na ten rozkaz, wysyłający go w jakiś całkiem zapomniany zakątek Andoru, ale Byar będzie trzymał język za zębami. Byar był wierny ojcu Daina niczym pies myśliwski i tę lojalność przeniósł potem na niego. Kiedy Eamon Valda przekazał mu dowodzenie, Bornhald nie wahał się uczynić Byara drugim po sobie.

Byar zawrócił konia i z powrotem wjechał na prom. Przewoźnicy natychmiast odbili od brzegu i zaczęli przeciągać barkę na drugi brzeg za pomocą ciężkiej liny, przewieszanej ponad rwącymi wodami. Byar zerknął na mężczyzn uwijających się przy lince, spoglądali na niego nerwowym wzrokiem, kiedy drobnymi krokami przebiegali całą długość barki i biegli z powrotem, żeby znowu pociągnąć linę. Wszystko wyglądało właściwie.

— Lord Bornhald?

Bornhald opuścił tubę ze szkłem powiększającym i odwrócił głowę. Mężczyzna o hardej twarzy, który pojawił się obok niego, stał sztywno wyprostowany, patrząc prosto przed siebie spod stożkowatego hełmu. Nawet po ciężkiej podróży z Tar Valon — a Bornhald naglił do pośpiechu przy każdej mili jego zbroja błyszcząca równie jasno jak śnieżny płaszcz ze złotym słońcem.

— Tak, Synu Ivon?

— Przysłał mnie setnik Farran, mój panie. Chodzi o Druciarzy. Ordeith rozmawiał z trzema spośród nich, mój panie, i teraz żadnego nie można znaleźć.

— Krew i popioły! — Bornhald okręcił się na podeszwie buta i długimi krokami wrócił między drzewa, Ivon deptał mu po piętach.

Niewidoczni od strony rzeki jeźdźcy w białych płaszcach zajmowali każdy cal wolnej przestrzeni między drzewami skórzanymi i sosnami. Z niedbałą wprawą ściskali w dłoniach lance, łuki wisiały przewieszane przez łęki siodeł. Konie niecierpliwie stukały kopytami i machały ogonami. Jeźdźców stać było na większe opanowanie, przecież nie była to ich pierwsza przeprawa przez rzekę na obce terytorium, zresztą tym razem nie było nikogo, kto by spróbował ich zatrzymy-

wać.

Na dużej polanie, za drzewami, wśród których stajonowali konni, stała karawana Tuatha'anów, Ludu Wędrowców. Druciarzy. Blisko stoi zaprzęzonych w konie wozów, stanowiących jednocześnie małe, pudełkowate domy na kołach, tworzyło drażniącą oko mieszaninę barw — czerwieni, zieleni, żółci oraz wszystkich ich odcieni w kombinacjach, które jedynie Druciarzom mogły się podobać. Nosili zresztą ubrania, przy których te wozy zdawały się całkiem matowe. Siedzieli na ziemi, zbici w dużą gromadę, spozierając na jeźdźców z niepokojem, przez który przeziarało jednak niezwykle opanowanie; płaczące cicho dziecko szybko uspokoiła matka. W pobliżu znajdował się kopczyk utworzony przez cielska martwych mastiffów, już rojący się od much. Druciarze nie podnoszą ręki, żeby się bronić, a te psy były tylko na pokaz, ale Bornhald nie miał zamiaru ryzykować.

Uznał, że sześciu ludzi wystarczy do pilnowania Druciarzy. Mimo surowych twarzy wyglądali na zażenowanych. Nikt nie patrzył na siódmego człowieka, siedzącego na koniu blisko wozów, chuderławego mężczyznę obdarzonego wydatnym nosem, w ciemnoszarym kaftanie, jakby za dużym, mimo znakomitego kroju, wskazującego, iż szyto go na miarę. Farran, brodaty olbrzym, a jednak zwinny mimo wzrostu i potężnych barków, spoglądał jednakowo groźnie na wszystkich siedmiu. Setnik zasalutował, przyciskając do serca odzianą w rękawicę dłoń, jednak nie odezwał się słowem.

— Jedno słowo, panie Ordeith — powiedział Bornhald.

Chuderławy mężczyzna, zanim zsiadł z konia, przekrzywił głowę, patrząc na Bornhalda przez dłuższą chwilę. Farran coś burknął, lecz Bornhald nie podnosił głosu.

— Nie można znaleźć trzech Druciarzy, panie Ordeith. Czyżbyś przypadkiem zaczął urzeczywistniać którąś ze swych propozycji?

Pierwsze słowa, jakie padły z ust Ordeitha na widok Druciarzy, brzmiały: „Zabić ich. Na nic się nie przydadzą”. Bornhald zabijał ludzi, jednak nigdy nie osiągnął tej obojętności, z jaką przemawiał mały człowieczek.

Ordeith potarł palcem bok swego wydatnego nosa.

— Ależ po cóż miałbym ich zabijać? I to po tym, jak mnie zrugalesz za to, że tylko o tym napomknąłem. — Lługardzki akcent, jeszcze jedna cecha tego człowieka, która niepokoiła Bornhalda, był tego dnia wyjątkowo ciężki, pojawiał się i znikał, czego tamten zdawał się nie zauważać.

— A zatem pozwoliłeś im uciec, czy tak?

— Cóż, istotnie zabrałem kilku z nich tam, gdzie mogłem sprawdzić, co wiedzą. Bez przeszkód, rozumiesz.

— Co wiedzieli? Co, na Światłość, mogli Druciarze wiedzieć dla nas użytecznego?

— Nie sposób tego wiedzieć, dopóki nie spytasz, czyż nie? — odparł Ordeith. — Nie zrobiłem im większej krzywdy i kazałem wracać do wozów. Kto by

przewidział, że zdobędą się na odwagę, by uciec, skoro w okolicy kręci się tylu waszych ludzi?

Bornhald uświadomił sobie, że zgrzyta zębami. Otrzymał rozkaz, że musi zrobić wszystko, by zdążyć w porę na spotkanie z tym dziwnym jegomościem, który z kolei miał mu przekazać kolejne rozkazy. Bornhaldowi żaden z rozkazów się nie spodobał, aczkolwiek oba komplety były opatrzone pieczęcią i podpisem Pedrona Nialla, Lorda Kapitana Komandora Synów Światłości.

Za dużo zostało niedopowiedziane, łącznie z niedookreśleniem statusu Ordeitha. Mały człowieczek miał doradzać Bornhaldowi, Bornhald zaś miał z nim współpracować. Niejasne było, czy Ordeith pozostaje pod jego rozkazami, nie podobała mu się również wyraźna sugestia, iż ma słuchać jego rad. Nawet powód, dla którego wysłano Synów do tej dziczy, pozostawał niejasny. By wyplenić Sprzymierzeńców Ciemności, naturalnie, oraz szerzyć Światłość, to się rozumiało samo przez się. Jednak blisko pół legiona na andorańskiej ziemi bez zezwolenia — wykonanie rozkazu niosło z sobą wielkie ryzyko, gdyby wieść o tym dotarła do Królowej Andoru. Za wiele do stracenia w porównaniu z nielicznymi wyjaśnieniami, które Bornhald dostał.

Wszystko wiązało się z Ordeithem. Bornhald nie rozumiał, jak Lord Kapitan Komandor mógł ufać temu człowiekowi, jego chytrym uśmieszkom, czarnym nastrojom i hardym spojrzeniom, za sprawą których nigdy nie było się pewnym, z jakim to typem człowieka się rozmawia. Nie wspominając już o akcencie, położonym w samym środku zdania. Pięćdziesięciu Synów, którzy towarzyszyli Ordeithowi, stanowiło najbardziej posępną i niezadowoloną grupę, jaką Bornhald kiedykolwiek widział. Uznał, że Ordeith musiał pewnie sam ich sobie wybrać, skoro odbierał tyle krzywych spojrzeń, a to mówi coś o człowieku, który się na coś takiego decyduje. Nawet to imię, Ordeith, oznaczało w Dawnej Mowie „robaczywe drzewo”. A jednak Bornhald miał swoje powody, żeby być tam, gdzie on. Miał zamiar współpracować z tym człowiekiem, bo tak mu kazano. Ale tylko do takiego stopnia, w jakim okaże się to konieczne.

— Panie Ordeith — powiedział starannie wyważonym tonem — ten prom to jedyna droga, jaką można wjechać albo wyjechać z prowincji Dwie Rzeki.

Nie była to całkiem prawda. Zgodnie z posiadaną przezeń mapą nie było innej drogi przez Taren, w górnym biegu Manetherendrelle, graniczącej z tym obszarem od południa, nie było bowiem żadnych brodów. Na wschodzie z kolei rozciągały się mokradła i bagna. Niemniej jednak na zachód musiała wieść jakaś droga, przez Góry Mgły. W najlepszym przypadku byłaby to mozolna przeprawa, której wielu z jego ludzi mogłoby nie przeżyć, a on nie miał zamiaru informować Ordeitha nawet o tak mizernej szansie.

— Kiedy nadejdzie czas, ty przeprawisz się pierwszy, jeśli stwierdzę, że andorańscy żołnierze strzegą tamtego brzegu. Na własnej skórze poznasz trud przeprawiania się przez rzekę tak szeroką, zobaczysz, jakie to interesujące.

— Czyżby to był twój pierwszy rozkaz? — W głosie Ordeitha słychać było ślad drwiny.

— Być może ta część na mapie należy do Andoru, jednakże Caemlyn od wielu pokoleń nie posyłało poborcy podatków tak daleko na zachód. Kto uwierzy trzem Druciarzom, nawet gdyby zaczęli mówić? Jeżeli uważasz, że niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie, to przypomnij sobie, czyja pieczęć widnieje na twych rozkazach.

Farran zerknął ukradkiem na Bornhald, jego dłoń wykonała lekki ruch ku rękojeści miecza. Bornhald lekko potrząsnął głową i ręka setnika opadła.

— Ja mówię o przeprawie przez rzekę, panie Ordeith. Przeprawię się, nawet wówczas, jeśli się dowiem, że Gareth Bryne i Straże Królowej dotrą tu przed zachodem słońca.

— Oczywiście — odparł Ordeith, nagle pojednawczym tonem. — Chwały tu zaznasz tyle samo, co w Tar Valon, zapewniam cię. — Jego głębokie, ciemne oczy zaszyły szklistą powłoką; wpatrzone w jakiś daleki punkt.

Bornhald pokręcił głową.

„A ja muszę z nim współpracować”.

Do Farrana podjechał Jaret Byar, zatrzymał się i zeskoczył z siodła. Dorównujący wzrostem setnikowi Byar miał pociągłą twarz i ciemne, głęboko osadzone oczy. Wyglądał tak, jakby cały tłuszcz wygotował się z jego ciała, co do uncji.

— Wieś została zabezpieczona, mój panie. Lucellin sprawdza, czy nikt się nie wyślizgnie. Omal nie zanieczyścili sobie spodni, kiedy wspomniałem o Sprzymierzeńcach Ciemności. Nikt z tej wioski ich nie popiera, powiadają. Mówią jednak, że lud mieszkający dalej na południe to Sprzymierzeńcy.

— Dalej na południe, ha? — ożywił się Bornhald. — Zobaczymy. Przerzuć trzystu za rzekę, Byar. Farran będzie pierwszy. I dopilnuj, by nikt więcej nie uciekł.

— Oczywiście Dwie Rzeki — wtrącił Ordeith. Jego wąska twarz była wykrzywiona, w kącikach ust pieniała się ślina. — Wychłószczemy ich i obedrzemy ze skóry! Obiecałem mu! Teraz do mnie przyjdzie! Przyjdzie!

Bornhald skinął głową w stronę Byara i Farrana, dając im znać, że mają wykonać jego rozkazy.

„Szaleniec — pomyślał. — Lord Kapitan Komandor nastął na mnie szaleńca. Ale przynajmniej znajdę dojście do Perrina z Dwu Rzek. Pomszczę ojca, choćby nie wiem ile to kosztowało!”

\* \* \*

Czcigodna Suroth przypatrywała się rozległej, niesymetrycznej niecce portu

Cantorin z otoczonego arkadami tarasu na szczycie wzgórza. Ponad wygolonymi wysoko skroniami szeroki czub z czarnych włosów spływał jej na kark. Dłonie Suroth, wsparte lekko na gładkiej kamiennej balustradzie, były równie białe jak nieskazitelna suknia zaprasowana w niezliczone fałdy. Słychać było ciche, rytmiczne postukiwanie długich na cal paznokci, którymi nieświadomie bębniła o krawędź balustrady. Paznokcie palców wskazujących krył niebieski lakier.

Od oceanu Aryth wiała lekka bryza, wraz z chłodem przynosząc nieco więcej niż tylko ślad soli. Dwie młode kobiety, klęczące pod ścianą za plecami Czcigodnej, trzymały dwa wachlarze z piór, na wypadek gdyby bryza ustała. Rząd skulonych postaci, w każdej chwili gotowych służyć, dopełniały jeszcze dwie inne kobiety oraz czterech młodzieńców. Wszyscy ośmioro byli bosi i ubrani w proste szaty, by zgrabnymi liniami kończyn oraz gracją ruchów zadowolić estetyczny zmysł Czcigodnej. Teraz jednak Suroth kompletnie nie zdawała sobie sprawy z ich obecności, zresztą w najlepszym razie traktowała ich jak części umeblowania.

Widziała natomiast sześciu strażników ze Straży Skazańców, którzy stali z obu stron arkad, sztywni jak posągi, z włóczniami ozdobionymi czarnymi chwostami oraz polakierowanymi na czarno tarczami. Symbolizowali jej zwycięstwo i jednocześnie zagrożenie, jakie zawisło nad nią. Ci strażnicy służyli jedynie Cesarzowej oraz wybranym przez nią reprezentantom, a zabijali i ginęli w jednakim ferworze, zależnie od konieczności. Istniało takie powiedzenie: „Na wysokościach ścieżki wybrukowane są ostrzami sztyletów”.

Paznokcie zaszczękały na kamiennej balustradzie. Jakże cienkie było ostrze brzytwy, po którym stapała.

Wewnętrzny port, za tamą, wypełniały statki Atha'an Miere, Ludu Morza, nawet największy zdawał się nazbyt smukły, by był zdolny stawić czoło wyższej fali. Poprzecinane sztagi sprawiały, że reje i bomby pochylały się pod szaleńczymi kątami. Pokłady były puste, załogi znajdowały się na łodzi pod strażą, podobnie jak wszyscy pozostali mieszkańcy wysp, którzy posiadali umiejętność żeglowania na otwartym morzu. Dwadzieścia ogromnych seanchańskich statków, z wiosłami ustawionymi prostopadle do burt, stało w zewnętrznym porcie albo kotwiczyło u jego wyjścia. Jeden, z żebrowanymi żaglami wydętymi na wietrze, eskortował rój małych łodek rybackich w stronę portu na wyspie. Gdyby te łódki rozproszyły się po morzu, wówczas niektóre mogłyby uciec, jednakże na pokładzie seanchańskiego statku znajdowała się *damane*, a jedna demonstracja potęgi *damane* wystarczała na ogół, by rybacy rezygnowali z takich pomysłów. Na mierzei, blisko wyjścia z portu wciąż straszył zwęglony, potraskany kadłub statku Ludu Morza.

Nie wiedziała, jak długo uda jej się utrzymać Lud Morza — oraz tych przeklętych mieszkańców lądu — w nieświadomości, że przejęła władzę nad tymi wyspami.

„Dość długo — powiedziała do siebie. — Musi mi wystarczyć czasu”.

W pewnym sensie udało jej się dokonać cudu, polegającego na pozbieraniu



większości wojsk seanchańskich po pogromie, do którego doprowadził je Turak. Zaledwie garstka statków, która uciekła z Falme, znajdowała się pod jej kontrolą, ale nikt nie kwestionował jej prawa do wydawania rozkazów *Hailene*, Zwiastunom. Jeżeli cud będzie trwał, to nikt na lądzie nie domyśli się, że oni tam są. Czekali, by przejąć ziemie, do odzyskania których posłała ich Cesarzowa, czekali na Corenne, Powrót. Jej zwiadowcy już badali drogę. Nie będzie musiała wracać, żeby stanąć przed Sądem Dziewięciu Księżyców i przeproszać Cesarzową za porażkę, do której wcale się nie przyczyniła.

Zadygotała na myśl o konieczności przeproszenia Cesarzowej. Takie przeprosiny były zwykle upokarzające i zazwyczaj bolesne, ale dreszcz wywoływała w niej ewentualność, że zostanie jej odmówione prawo do śmierci, że będzie zmuszona żyć nadal, jakby nic się nie zdarzyło, podczas gdy wszyscy, zarówno pospólstwo, jak i Krew, będą wiedzieli o jej degradacji. Obok niej pojawił się przystojny, młody służący. Przyniósł bladozieloną szatę, którą zdobiły jaskrawo upierzone ptaki rozkoszy. Wyciągnęła ręce, by odebrać strój, nie zwracając na służącego większej uwagi niż na grudkę błota obok jej atłasowego trzewika.

By uniknąć przeprosin, musi odebrać to, co zostało utracone przed tysiącem lat. A żeby tego dokonać, musi się zająć tym człowiekiem, który, jak donosili agenci z lądu, twierdził, iż jest Smokiem Odrodzonym.

„Jeżeli nie znajdę sposobu na poradzenie sobie z nim, to niezadowolenie Cesarzowej będzie najmniejszym z moich zmartwień”.

Odwróciła się i przeszła z tarasu do przylegającej doń długiej komnaty. Zewnętrzna ściana komnaty składała się w całości z drzwi i wysokich okien, przez które docierał do środka oddech morza. Jedyne jasne drewno ścian, gładkie i połyskliwe niczym satyna, Suroth uznała za odpowiednie dla zajmowanych przez siebie pomieszczeń, usunęła natomiast całą resztę umeblowania, jakie pozostało po poprzednim właścicielu, byłym gubernatorze Cantorin, wywodzącym się z Atha'an Miere, i zastąpiła je wysokimi parawanami, malowanymi zazwyczaj w ptaki i kwiaty. Dwa tylko były inne. Na jednym widniał wielki jak kuc, cętkowany kot z Sen T'jore, na drugim czarny orzeł górski, z wyprostowanym czubem przypominającym koronę oraz skrzydłami rozpostartymi na szerokość pełnych siedmiu stóp. Parawany takie uważano za wulgarne, ale Suroth lubiła zwierzęta. Nie mogąc przewieźć swej menażerii przez ocean Aryth, zamówiła parawany przedstawiające jej dwóch faworytów. Nie znosiła, gdy stawiano jej jakieś przeszkody.

W środku czekały na nią trzy kobiety w takich samych pozycjach, w jakich je zostawiła. Dwie klęczały, jedna leżała wyprostowana na nagiej, wypolerowanej posadzce, intarsjowanej jasnym i ciemnym drewnem. Klęczące kobiety były ubrane w granatowe suknie *sul'dam*, z czerwonymi wstawkami na piersiach i po bokach spódnic, przedstawiającymi rozszczepioną, srebrną błyskawicą. Jedną z nich, Alwhin, niebieskooka kobieta, obdarzona ostrymi rysami twarzy, z nie-

odmiennie groźnym spojrzeniem, miała wygoloną lewą stronę głowy. Reszta włosów ujęta w jasnobrazowy warkocz spływała jej przez ramię.

Na widok Alwhin Suroth momentalnie zacisnęła usta. Nigdy przedtem żadna *sul'dam* nie została wyniesiona do godności *so'jhin*, dziedzicznych wyższych urzędników Krwi, nie mówiąc już o przyjęciu do kasty Głosu Krwi. A jednak w przypadku Alwhin zaistniały ku temu powody. Alwhin za dużo wiedziała.

Tak czy inaczej, uwagę Suroth skupiała na sobie przede wszystkim kobieta leżąca twarzą ku ziemi, od stóp do głów odziana w proste, ciemne szarości. Jej szyję otaczała szeroka obręcz ze srebrzystego metalu, połączona błyszczącą smyczą z bransoletą z tego samego materiału na nadgarstku drugiej *sul'dam*, Taisy. Dzięki smyczy i obręczy, *a'dam*, Taisa mogła kontrolować ubraną na szaro kobietę. Kontrola była konieczna. Tamta była *damane*, kobietą, która potrafi przynieść Moc, nazbyt przez to niebezpieczną, by mogła przebywać na wolności. Wspomnienia Armii Nocy wciąż jeszcze były silne w pamięci Seanchan, choć tysiąc już lat minęło od starcia jej na proch.

Oczy Suroth błysnęły niespokojnie w stronę obu *sul'dam*. Nie ufała żadnej *sul'dam*, a jednak nie miała wyboru. Nikt inny nie potrafił kontrolować *damane*, a bez *damane*. . . Już sam taki pomysł był niesłychany. Potęga Seanchan, potęga Kryształowego Tronu, została zbudowana dzięki zniewolonym *damane*. Za wiele było rzeczy, które nie dawały Suroth możliwości wyboru. Na przykład Alwhin, która patrzyła takim wzrokiem, jakby całe życie była *so'jhin*. Więcej, jakby wywodziła się z Krwi, a klęczała tutaj tylko dlatego, że taki był jej kaprys.

— Pura.

*Damane* nosiła kiedyś inne imię, w czasie gdy należała do znieawidzonych Aes Sedai, zanim jeszcze wpadła w seanchańskie ręce, ale Suroth ani go nie знаła, ani też nie chciała znać. Mięśnie odzianej na siarą kobietę stężały, ale nawet odrobinę nie uniosła głowy — szkolono ją metodami nad wyraz surowymi.

— Zapytam raz jeszcze, Pura. W jaki sposób Biała Wieża sprawuje kontrolę nad tym mężczyzną, który nazywa siebie Smokiem Odrodzonym?

*Damane* nieznacznie poruszyła głowę, dość, by posłać przerażone spojrzenie w stronę Taisy. Jeżeli jej odpowiedź okaże się niezadowolająca, wówczas *sul'dam* sprawi jej ból, nawet nie kiwnąwszy palcem, wyłącznie za pomocą *a'dam*.

— Wieża nie będzie próbowała sprawować kontroli nad Fałszywym Smokiem, Czcigodna — wydyszała Pura. — Pojmają go i poskromią.

W spojrzeniu Taisy skierowanym na Suroth widać było pytanie połączone z oburzeniem. Odpowiedź stanowiła unik przed indagacjami Suroth, być może nawet dawała do zrozumienia, że ktoś z Krwi mówi nieprawdę. Suroth zaprzeczyła nieznacznym ruchem głowy — nie miała zamiaru czekać, zanim *damane* oprzytomnieje po wymierzonej jej karze a Taisa przytaknęła na znak, że rozumie.

— Raz jeszcze, Pura, co wiesz o Aes Sedai. . . — Usta Suroth, skalane tym mianem, wykrzywiły się, Alwhin chrząknęła z niesmakiem — . . . Aes Sedai, któ-

re wspierają tego mężczyznę? Ostrzegam cię. Nasi żołnierze walczyli w Fahne z kobietami z Wieży, z kobietami przenoszącymi Moc, więc nie próbuj zaprzeczać.

— Pura... Pura nie wie, Czcigodna — W głosie *damane* brzmiał paniczny lęk i niepewność, rzuciła jeszcze jedno spojrzenie zognionymi oczu na Taisę. Było jasne, że rozpaczliwie pragnie, aby jej uwierzono. — Być może... Być może Amyrlin albo Komnata Wieży... Nie, one nie. Pura nie wie, o Czcigodna.

— Ten mężczyzna potrafi przenosić — szorstko przerwała jej Suroth.

Leżąca na podłodze kobieta jęknęła, mimo że już wcześniej słyszała te słowa od Suroth. Suroth, powtarzając je, poczuła ucisk w żołądku, ale nie dopuściła, by cokolwiek odbiło się na jej twarzy. Niewielka część wydarzeń, które nastąpiły w Falme, stanowiła efekt działania Mocy, przenoszonej przez kobiety, *damane* by ją wyczuły, a *sul'dam* nosząca bransoletę zawsze wie, co czuje jej *damane*. To znaczyło, iż musiały być wywołane przez tego mężczyznę. Co z kolei prowadziło do wniosku, że jest on niewiarygodnie potężny. Tak potężny, że Suroth, czując coraz większe mdłości, raz czy dwa zastanawiała się zupełnie poważnie, czy on naprawdę nie jest Smokiem Odrodzonym.

„To niemożliwe” — powiedziała sobie stanowczo. W każdym razie to i tak w żaden sposób nie zmieniało jej planów.

— Nie sposób uwierzyć, by Biała Wieża pozwoliła takiemu człowiekowi chodzić swobodnie po świecie. Jak one go kontrolują?

*Damane* leżała bez ruchu, twarzą do posadzki. Ramiona jej się trzęsły, łkała bezgłośnie.

— Odpowiedz Czcigodnej! — rozkazała Taisa. Nie poruszyła się, a mimo to Pura głośno jęknęła wzdrygając się, jakby ugodzono ją w pośladki. Od ciosu zadanego przez *a'dam*.

— P-Pura n-nie wie. — *Damane* wyciągnęła z wahaniem rękę, jakby chciała dotknąć stopy Suroth. — Błagam. Pura nauczyła się posłuszeństwa. Pura mówi wyłącznie prawdę. Błagam, nie karz Pury.

Suroth cofnęła się zwinnie, ani trochę nie zdradzając, że jest zirytowana. Zirytowana, bo jakaś *damane* zmusiła ją do poruszenia się. Bo omal nie dotknął jej ktoś, kto potrafi przenosić. Poczuła potrzebę zanurzenia się w kąpiel, jakby naprawdę zbrukał ją kontakt, do którego nie doszło.

Taisie oczy omal nie wyszły z orbit, policzki poczerwieniały ze wstydu. Jak coś takiego mogło się zdarzyć, kiedy ona nosiła bransoletę. Wyraźnie nie wiedziała, czy paść na posadzkę obok *damane*, by błagać o przebaczenie, czy raczej ukarać ją, teraz, zaraz. Alwhin patrzyła z pogardą, zacisnąwszy usta. Wyraz jej twarzy mówił jednoznacznie, że takie rzeczy nie zdarzały się, kiedy ona nosiła bransoletę.

Suroth uniosła nieznacznie palec, wykonując gest, który każda *so'jhin* знаła od dzieciństwa, a który oznaczał odprawę.

Alwhin zawahała się przez chwilę, zanim właściwie go zinterpretowała, po czym usiłowała ukryć swoje uchybienie ostrą napaścią na Taisę.

— Zabierz to... stworzenie sprzed oblicza Czcigodnej Suroth. A kiedy już ją ukarzesz, udaj się do Sureli i powiedz jej, że nie panujesz nad swoimi umiejętnościami. Powiedz jej, że masz zostać...

Suroth zamknęła swe uszy przed głosem Alwhin. Oprócz odprawy nie wydała żadnego rozkazu, postanowiła jednak nie zwracać uwagi na kłótnie *sul'dam*. Żałowała, że nie ma sposobu, by dowiedzieć się, czy Pura była w stanie coś ukryć. Agenci twierdzili, że kobiety z Białej Wieży nie potrafią kłamać. Nie dało się zmusić Pury do wypowiedzenia najprostszego kłamstwa, stwierdzenia na przykład, że biały szal jest czarny, ale to jeszcze nie wystarczało do wyciągnięcia ostatecznych wniosków. Byli tacy, którzy akceptowali łązy *damane*, jej protesty, zaklinania o niemożności, mimo to, co robiła z nimi *sul'dam*, takim jednak nie dane było stanąć na czele Powrotu. Pura mogła jeszcze dysponować jakimś zapasem woli, mogła być dostatecznie sprytna, by wykorzystać przekonanie, że jest niezdolna do kłamstwa. Żadna z kobiet, którym założono obręcz na łądzie, nie była posłuszna bez reszty, godna bezwarunkowego zaufania, w przeciwieństwie do *damane* przywiezionych z Seanchan. Żadna nie godziła się w pełni na swój los, tak jak seanchańskie *damane*. Kto mógł stwierdzić, jakie sekrety może kryć taka, która twierdzi, że jest Aes Sedai?

Nie po raz pierwszy Suroth pożałowała, że nie ma tej innej Aes Sedai, którą pojmano na Głowie Tomana. Gdyby można było zadawać pytania dwóm, byłoby znacznie więcej okazji do przyłapania ich na kłamstwach i unikach. Ten żal był teraz bezcelowy. Ta druga mogła już nie żyć — leżała na dnie morza albo stanowiła eksponat na wystawie w Sądzie Dziewięciu Księżyców. Niektórym statkom, których Suroth nie udało się przechwycić, z pewnością mogła się powieść przeprawa przez ocean; nic nie stało na przeszkodzie, by ta kobieta znajdowała się na pokładzie jednego z nich.

Sama wysłała statek z chytrze opracowanymi raportami, blisko pół roku temu, gdy tylko umocniła swą władzę nad Zwiastunami. Kapitan i załoga wywodzili się z rodzin, które służyły jej rodowi od czasów, gdy Luthair Paendrag ogłosił się Cesarzem, co miało miejsce blisko tysiąc lat temu. Wysłanie statku stanowiło ryzyko, Cesarzowa bowiem mogła przysłać z powrotem kogoś, kto zająłby miejsce Suroth. Gdyby jednak tego statku nie wysłała, naraziłaby się na ryzyko jeszcze większe i wówczas mogłoby ją uratować jedynie całkowite i miażdżące zwycięstwo. A może nawet i nie to. Tak więc Cesarzowa wiedziała o Falme, wiedziała o klęsce Turaka i znała zamiary Suroth. Tylko co myślała o tym wszystkim i co zrobiła z tą wiedzą? To większy powód do zmartwienia niż jakaś tam *damane*, kimkolwiek była, zanim założono jej obręcz.

A jednak Cesarzowa nie wiedziała wszystkiego. Najgorszej wiadomości nie można było powierzyć posłańcowi, nieważne jak oddanemu. Tę informację moż-

na było przekazać jedynie szeptem z ust Suroth do ucha Cesarzowej, dołożyła więc wszelkich starań, żeby tak pozostało. Jedynie cztery osoby, spośród żyjących, znały tajemnicę, a dwie z nich nigdy by jej nikomu nie zdradziły, z pewnością nie z własnej woli.

„Jedynie śmierć trojga ludzi zapewniłaby całkowite bezpieczeństwo tajemnicy”.

Suroth nie zdawała sobie sprawy, że to ostatnie zdanie mruknęła na głos, dopóki Alwhin nie powiedziała:

— Czcigodna potrzebuje wszystkich trzech żywych.

Zachowała odpowiednio korną postawę, uciekając się nawet do sztuczki ze spuszczeniem oczu. Jej głos brzmiał równie pokornie.

— Kto wie, o Czcigodna, co Cesarzowa... oby żyła wiecznie!... mogłaby uczynić, gdyby dowiedziała się o próbie ukrycia przed nią tej informacji?

Zamiast odpowiedzieć, Suroth raz jeszcze wykonała ledwie zauważalny gest, oznaczający odprawę. Alwhin ponownie zawahała się — tym razem mógł to być zwykły brak ochoty do opuszczenia komnaty, ta kobieta przechodziła samą siebie! zanim ukłoniła się głęboko i wycofała przed oblicza Suroth.

Suroth z wysiłkiem narzuciła sobie opanowanie. *Sul'dam* oraz pozostałe dwie kobiety stanowiły problem, którego aktualnie rozwiązać nie potrafiła, jednakże cierpliwość to dla Krwi konieczność. Ci, którym jej brakowało, jakże często kończyli w Wieży Kruków.

Kiedy znowu pojawiła się na tarasie, klęczący słudzy pochylili się jeszcze odrobinę, wyrażając jeszcze większą gotowość. Żołnierze nadal pilnowali, by nic jej nie przeszkadzało. Suroth zajęła swoje stanowisko przy balustradzie, tym razem spoglądając daleko w morze, na wschód, gdzie w odległości setek mil rozciągał się ład.

Jakiż byłby to honor, być tą, której udało się poprowadzić Zwiastunów, oznajmających Powrót. Być może nawet czekałaby ją adopcja do rodziny Cesarzowej, choć był to zaszczyt nie pozbawiony komplikacji.

Być również tą, która pojmała Smoka!

„Ale jeśli... kiedy go pochwycę, czy mam go oddać Cesarzowej? Oto jest pytanie”.

Długie paznokcie znowu zastukały po szerokiej, kamiennej poręczy.

## WIRY WE WZORZE

Tamtej upalnej nocy wiatr wiał w głąb łądu, na północ, ponad rozległą deltą zwaną Palcami Smoka, krętym labiryntem kanałów, szerokich i wąskich, zarosniętych miejscami szablą trawą. Bezkresne połączenie sitowia rozdzielały skupiska płaskich wysp, porośniętych drzewami o pajęczych korzeniach, jakich nie spotykało się nigdzie indziej. Przy końcu delta ustępowała miejsca swemu źródłu, rzecze Erinin, której całą ogromną szerokość nakrapiały światła łódek rybackich. Łódki i światła kołysały się gwałtownie, a niektórzy starzy ludzie przebąkiwali coś o złu, które działo się tamtej nocy. Młodzi śmiali się z tego, ale ciągnęli sieci z tym większym zapałem, pragnąc znaleźć się w domu, z dala od mroku. Zgodnie z opowieściami zło nie przestąpi twego progu, dopóki nie zaprosisz go do środka. Tak jest w opowieściach. Za to w mroku. . .

Uleciał ostatni słony powiew, nim wiatr zdołał dotrzeć do Łzy, usytuowanego nie opodal rzeki wielkiego miasta, w którym kryte dachówkami gospody i sklepy walczyły o miejsce z wysokimi pałacami, o wieżach połyskujących w świetle księżyca. Żaden jednak pałac nie był w połowie tak wysoki jak masywne cielsko, góra niemalże, które ciągnęło się od serca miasta aż po sam skraj wody. Kamień Łzy, opiewana w legendach forteca, najstarsza warownia ludzkości, wzniesiona podczas ostatnich dni Pęknięcia Świata. Narody i imperia rodziły się i upadały, ustępowały miejsca innym, które również upadały, a Kamień wciąż stał. Skąła, na której armie łamały sobie włócznie, miecze i serca przez trzy tysiące lat. I przez cały ten czas nigdy nie wpadł w ramiona najeźdźcy. Aż do teraz.

Ulice miasta, tawerny i gospody spowite parnym mrokiem, całkiem opustoszały, ludzie przezornie pochowali się w swoich czterech ścianach. Ten, kto władał Kamieniem, był panem Łzy, miasta i kraju. Tak było zawsze i lud Łzy to akceptował. Za dnia wiwatowali nowemu panu z tym samym entuzjazmem, z jakim wiwatowali staremu, nocą tulili się do siebie, drżąc mimo upału, a wiatr wył nad dachami niczym tysiąc lamentujących żałobnic. Dziwne nowe nadzieje płaszały im w głowach, nadzieje, na które nikt w Łzie się nie odważał od stu pokoleń, nadzieje przemieszane z lękami dawnymi jak Pęknięcie.

Wiatr targał długim, białym sztandarem, powierzchnię którego wypełnił falisty kształt przypominający węża z nogami, pokrytego szkarłatnymi i złotymi

łuskami, ze złocistą grzywą jak u lwa, który zdawał się dosiadać wiatr niczym konia. Sztandar prorocstwa, sztandar, w który wierzono i którego się obawiano. Sztandar Smoka. Smoka Odrodzonego. Zwiastuna zbawienia świata, herolda nowego Pęknięcia. Wiatr, jakby rozwścieczony taką butą, tłukł o twarde mury Kamienia. Smok płynął, mimo nocnej pory niepomny niczego, w oczekiwaniu potężniejszych burz.

W komnacie, położonej w połowie wysokości południowego skrzydła Kamienia, na skrzyni u stóp łoża nakrytego baldachimem siedział Perrin i przypatrywał się ciemnowłosej kobiecie spacerującej tam i z powrotem po pomieszczeniu. Jego złote oczy zdradzały ślady zmęczenia. Faile zazwyczaj przekomarzała się z nim, nawet łagodnie podkpiwała sobie z jego rozważnej natury, lecz tego wieczora nie powiedziała nawet dziesięciu słów od chwili, gdy przekroczyła próg. Czuł woń różanych płatków, które powkładano w jej ubranie po praniu oraz zapach, który był po prostu nią. Jednakże w śladzie czystego potu w powietrzu wyczuwał zdenerwowanie. Faile niemalże nigdy nie zdradzała tak wyraźnego niepokoju. Dziwiło go, dlaczego czuł przez nią to mrowienie między łopatkami, które nie miało nic wspólnego z nocnym żarem. Wąskie, rozcięte spódnice miękko szeleściły przy każdym jej kroku.

Zirytowany potarł dwutygodniowy zarost. Włosy na brodzie kręciły mu się jeszcze bardziej niż te na głowie. Poza tym było gorąco. Po raz setny pomyślał o goleniu.

— Pasuje do ciebie — przemówiła niespodziewanie, zatrzymując się w pół kroku.

Zmieszany wzruszył ramionami, silnymi od długich godzin przepracowanych w kuźni. Czasami odpowiadała na nie wypowiedziane pytania, jakby znała treść jego myśli.

— Swędzi — mruknął i pożałował, że nie oświadczył tego dobitniej. To była jego broda, mógł ją zgolić, kiedy tylko mu się spodoba.

Przyglądała mu się wnikliwie, z głową przekrzywioną na bok. Wydatny nos i wystające kości policzkowe sprawiały, że jej spojrzenie zdawało się sięgać aż do jego wnętrza. Wobec przenikliwości jej wzroku, kontrast stanowił łagodny głos, którym stwierdziła:

— Jest ci z nią do twarzy.

Perrin westchnął i ponownie wzruszył ramionami. Nie poprosiła go o to, by zostawił zarost, i nie miała takiego zamiaru. Wiedział jednak, że znowu odłoży golenie na później. Zastanawiał się, jak jego przyjaciel, Mat, poradziłby sobie z tą sytuacją. Prawdopodobnie uszczypnąłby, pocałował i wygłosił jakąś uwagę, od której by się śmiała, i wreszcie przekonałby ją do swego punktu widzenia. Perrin wiedział, że nie potrafi postępować z dziewczynami tak jak Mat. Mat nigdy by się nie skazywał na pocenie pod brodą, nawet gdyby jakaś kobieta uznała to za konieczne. No, chyba żeby tą kobietą była Faile. Perrin podejrzewał, iż jej ojciec

musi mocno żałować, że wyjechała z domu, i to nie tylko dlatego, że jest jego córką. Był największym handlarzem futer w Saldaei, tak przynajmniej twierdziła, i Perrin potrafił ją sobie wyobrazić, że za każdym razem uzyskuje taką cenę, jakiej sobie zażyczy.

— Coś cię dręczy, Faile, i to nie jest tylko moja broda. Co to takiego?

Jej twarz zmieniła się w maskę bez wyrazu. Unikała jego spojrzenia, a jej wzrok wędrował po pomieszczeniu, z pogardą zatrzymując się na kolejnych elementach wystroju wnętrza.

Wszystko, począwszy od wysokiej szafy i filarów łoża, grubych jak jego udo, a skończywszy na wyściełanej ławie przed wystygłym marmurowym kominkiem, zdobiły rzeźbione lamparty, lwy, jastrzębie rzucające się na zdobycz i sceny z polowań. Niektóre ze zwierząt miały oczy z granatów.

Usiłował przekonać majhere, że chce mieszkać w jakimś prostym wnętrzu, ale zdawała się nie rozumieć. Co nie znaczyło, że była głupia albo myślała opieszale. Majhere dowodziła armią służących, przekraczającą liczebnie Obrońców Kamienia, i obojętne, kto dowodził Kamieniem, obojętne, kto bronił jego murów, ona doglądała codziennych spraw, tak by wszystko funkcjonowało należycie. Spoglądała jednak na świat taireńskimi oczyma. Mimo ubioru musiał być kimś ważniejszym niż młody wieśniak, na jakiego wyglądał, pospólstwo nigdy bowiem nie mieszkało w Kamieniu — oczywiście nie licząc Obrońców i służby. Ponadto należał do grupy towarzyszącej Randowi, przyjaciel, wyznawca, w każdym razie ktoś będący w najbliższym otoczeniu Smoka Odrodzonego. Według majhere to stawiało go, najskromniej szacując, na jednym poziomie z Lordami Prowincji, o ile nie wręcz na równi z samymi Wysokimi Lordami. Była zresztą mocno zgorzonna, że umieszcza go tutaj, gdzie nie było nawet bawialni. Odniosł wrażenie, że mogłaby zemdleć, gdyby się uparł przy jeszcze skromniejszej komnacie. Jakby w ogóle były tu jakieś skromniejsze komnaty, z wyjątkiem oczywiście izb służących oraz Obrońców. Przynajmniej, poza świecznikami, nic tutaj nie było pozłacane.

Jednakże Faile była odmiennego zdania.

— Powinieneś być dostać coś lepszego. Zasługujesz na to. Możesz się założyć o ostatniego miedziaka, że Mat ma lepszą izbę.

— Mat lubi zbytek — odparł zwięźle.

— Nie cenisz siebie.

Nie skomentował. Niepokój, którym pachniała, nie był spowodowany ani stanem tej komnaty, ani też jego brodą.

Po krótkiej chwili milczenia powiedziała:

— Lord Smok jakby stracił zainteresowanie tobą. Obecnie cały swój czas poświęca Wysokim Lordom.

Mrowienie między łopatkami nasiliło się, wiedział teraz, co ją tak niepokoi. Starał się mówić beztroskim tonem.

— Lord Smok? Mówisz jak Tairenka. On ma na imię Rand.



— Jest twoim przyjacielem, Perrinie Aybara, nie moim. O ile taki człowiek może mieć przyjaciół. — Zrobiła głęboki wdech i mówiła dalej spokojniejszym tonem. — Zastanawiałam się nad wyjazdem z Kamienia. Nad wyjazdem z Łzy. Nie sądzę, by Moiraine próbowała mnie zatrzymać. Wieści o... Randzie już przed dwoma tygodniami wydostały się z miasta. On chyba nie sądzi, że jego pobyt tutaj stanowi jeszcze tajemnicę.

Ledwie mu się udało nie westchnąć ponownie.

— Ja też nie sądzę, by chciała. Myślę, że tak w ogóle, jej zdaniem to tylko przeszkadzasz. Prawdopodobnie da ci pieniądze, byle tylko wystać cię w drogę.

Z pięściami wspartymi na biodrach podeszła bliżej i spiorunowała go wzrokiem.

— To wszystko, co masz do powiedzenia?

— A co chcesz, żebym powiedział? — Gniew we własnym głosie zaskoczył go. Był zły na nią, nie na siebie. Zły, bo tego nie przewidział, zły, bo nie wiedział, co teraz zrobić. Dobrze się czuł, gdy miał możliwość przemyślenia wszystkiego. Łatwo kogoś niechący zranić, kiedy się działa pochopnie. Właśnie to zrobił. Ciemne oczy Faile rozszerzyło zaskoczenie. Usiłował załagodzić swe słowa. — Naprawdę chcę, żebyś została, Faile, ale może powinnaś wyjechać. Wiem, że nie jesteś tchórzliwa, ale Smok Odrodzony, Przekłęci...

Co nie znaczyło, by jakieś inne miejsce było naprawdę bezpieczne — nie na długo, nie teraz — a jednak istniały miejsca bezpieczniejsze niż Kamień. W każdym razie do czasu. Choć on nie był na tyle głupi, by jej o tym oznajmić wprost.

Jego starania nie wywarły na niej jednak większego wrażenia.

— Została? Oświeć mnie, Światłości! Wszystko jest lepsze od siedzenia tutaj jak głaz, ale... — Uklękła przed nim z wdziękiem, wspierając dłonie na jego kolanach. — Perrin, nie mam ochoty się zastanawiać, kiedy za rogiem korytarza spotkam jednego z Przeklętych, nie mam ochoty się zastanawiać, kiedy Smok Odrodzony nas wszystkich pozabija. Ostatecznie zrobił to podczas Pęknięcia. Zabił wszystkich, którzy byli mu bliscy.

— Rand nie jest Lewsem Therinem Zabójcą Rodu — zaprotestował Perrin. — To znaczy chciałem powiedzieć, że on jest Smokiem Odrodzonym, ale nie jest... nie mógłby...

Zawiesił głos nie wiedząc, jak skończyć. Rand był odrodzonym Lewsem Therinem Telamonem, oto, co oznaczało bycie Smokiem Odrodzonym. Czy to jednak oznaczało również, że Rand jest skazany na los Lewsa Therina? Że nie tylko popadnie w obłąd — a groziło to każdemu mężczyźnie, który przynosił Moc — i potem zemrze w zgniliźnie, ale że zabije każdego, komu na nim zależy?

— Rozmawiałam z Bain i Chiad, Perrin.

Nie było to żadną niespodzianką. Spędzała znaczną ilość czasu w towarzystwie kobiet z plemienia Aielów. Przyjaźnie nawiązywała z trudnością, ale wydawała się je lubić, w takim samym stopniu, w jakim gardziła taireńskimi szlach-

ciankami, zamieszkującymi Kamień. W jej stwierdzeniu nie potrafił jednak dopatrzeć się żadnego związku z wcześniejszym tematem ich rozmowy.

— Mówią, że Moiraine wypytuje czasem, gdzie jesteś. Albo Mat. Nie rozumiesz? Nie musiałaby tego robić, gdyby mogła pilnować cię, korzystając z Mocy.

— Pilnować mnie, korzystając z Mocy? — spytał cicho. Nigdy nawet się nad tym nie zastanawiał.

— Nie może. Jedź ze mną, Perrin. Zdołamy ujechać dwadzieścia mil od rzeki, zanim zaczniesz za nami tęsknić.

— Nie mogę — odparł strapiony. Usiłował odwrócić jej uwagę pocałunkiem, Faile jednak zerwała się na równe nogi i cofnęła tak gwałtownie, że omal nie upadł. Nie było sensu jej przekonywać. Jej ręce skrzyżowane na piersiach wyglądały jak barykada.

— Nie mów mi, że się jej boisz. Wiem, że ona jest Aes Sedai i że wszyscy tańczycie, kiedy ona pociągnie za sznurki. Być może nawet lo... Rand... nie może się uwolnić, a Światłość wie, że ani Egwene, Elayne, a nawet Nynaeve, nie chcą tego, ale ty możesz zerwać z nią więzi, jeśli spróbujesz.

— To nie ma nic wspólnego z Moiraine, tylko z tym, co muszę zrobić. Ja... .

Weszła mu brutalnie w słowo.

— Tylko się nie odważ pleść tych bzdur spod znaku włochatego torsu o tym, że mężczyzna winien się wywiązywać ze swych obowiązków. Wiem, co to obowiązek równie dobrze jak ty, a ty tutaj nie masz żadnych obowiązków. Możesz być *ta'veren*, nawet jeśli ja tego wcale nie widzę, ale to on jest Smokiem Odrodzonym, nie ty.

— Zechcesz mnie wysłuchać? — krzyknął, patrząc z taką furią, że aż podskoczyła. Nigdy wcześniej na nią nie krzyczał, nie w taki sposób. Podniosła podbródek i wzdrygnęła się, ale nic nie powiedziała. Ciągnął dalej: — Uważam, że z jakiejś przyczyny jestem częścią przeznaczenia Randa. Podobnie Mat. Uważam, że on nie dokona tego, co powinien, dopóki my nie wypełnimy naszych ról. Na tym polega obowiązek. Jak miałbym wyjechać, skoro mogłoby to oznaczać, że Rand poniesie porażkę?

— Mogłoby? — W jej głosie słychać było ślad pytania, ale tylko ślad. Zastanawiał się, czy umiałby się zmusić, by krzyżeć na nią częściej. — To Moiraine powiedziała ci o tym, Perrin? Już powinieneś wiedzieć, że trzeba uważnie słuchać tego, co mówi Moiraine.

— Sam do tego doszedłem. Myślę, że *ta'veren* ciągną do siebie. Albo może to Rand nas do siebie przyciąga, Mata i mnie. Podobno jest najsilniejszym *ta'veren* od czasu Artura Hawkwinga, może nawet od Pęknięcia. Mat nawet się nie przyzna, że jest *ta'veren*, ale jakby nie próbował się wykręcać, zawsze ostatecznie wraca do Randa. Loial twierdzi, że nigdy nie słyszał o trzech *ta'veren*, wszystkich w jednym wieku i z tego samego miejsca.

Faile parsknęła głośno.

— Loial nie wie wszystkiego. Jak na ogira, wcale nie jest taki stary.

— Ma ponad dziewięćdziesiąt lat — zaczepnie odparł Perrin, na co ona się kpiąco uśmiechnęła. W przypadku ogira dziewięćdziesiąt lat oznaczało, że nie jest wiele starszy od Perrina. A może nawet młodszy. Nie wiedział wiele o ogirach. W każdym razie tylu ksiązek, ile Loial przeczytał, Perrin nigdy w życiu nawet nie widział. Czasami wydawało mu się, że Loial przeczytał wszystkie książki, jakie kiedykolwiek wydrukowano. — Poza tym on wie więcej niż ty czy ja. On sądzi, że może ja mam do tego prawo. I tak samo Moiraine. Nie, nie pytałem jej, ale z jakiego innego powodu ona mnie tak pilnuje? Myślałaś, że ona chce, abym zrobił dla niej nóż kuchenny?

Przez chwilę milczała, a kiedy przemówiła, w jej głosie słychać było współczucie.

— Biedny Perrin. Wyjechałam z Saldaei, żeby szukać przygody, a teraz znalazłam się w samym jej sercu, w sercu największej przygody od czasu Pęknięcia i pragnę już stąd uciec. Ty chcesz być tylko kowalem, a znajdziesz się w opowieściach, czy tego chcesz czy nie.

Odwrócił wzrok, ale mimo to jej zapach nadal wypełniał mu myśli. Nie sądził, by było prawdopodobne, że stanie się bohaterem opowieści, w każdym razie nie wcześniej, nim jego tajemnica rozprzestrzeni się daleko poza tych nielicznych, którzy już ją znali. Faile uważała, że wie o nim wszystko, ale myliła się.

Pod ścianą naprzeciwko niego stały topór i młot, oba proste i funkcjonalne, z trzonkiem długości jego ramienia. Topór, który składał się ze złowrogiego ostrza w kształcie półksiężyca, zrównoważonego po przeciwnej stronie grubym kołcem, służył do zadawania śmierci. Za pomocą młota mógł zaś wytwarzać i wytwarzał różne przedmioty w kuźni. Obuch młota ważył ponad dwa razy więcej niż ostrze topora, ale to topór wydawał się cięższy za każdym razem, kiedy go podnosił. Dzięki toporowi... Zachmurzył się, nie chcąc o tym myśleć. Miała rację. Chciał być tylko kowalem, wrócić do domu, zobaczyć znowu rodzinę i popracować w kuźni. Było to jednak niemożliwe, wiedział o tym.

Podźwignął się z miejsca, tylko na tyle, by móc podnieść młot, po czym na powrót usiadł. Dotyk narzędzia w jakiś sposób przynosił ulgę.

— Pan Luhhan zawsze powtarza, że człowiek nie ucieknie przed tym, co musi zrobić. — Mówił coraz szybciej, zdając sobie sprawę, że za bardzo jest bliski tego, co nazywała bzdurami spod znaku włochatego torsu. — To kowal z moich okolic, człowiek, u którego terminowałem. Opowiadałem ci o nim.

Ku jego zdumieniu nie skorzystała z okazji, by wskazać, że zawtórował jej niemalże jak echo. W rzeczy samej nic nie powiedziała, tylko spojrzała na niego, czekając na coś. Po chwili zrozumiał.

— A zatem wyjeżdżasz? — spytał.

Wstała, otrzepała spódnice. Przez dłuższą chwilę milczała, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Nie wiem — odparła w końcu. — Wciągnąłeś mnie w niezłe tarapaty.

— Ja? Co ja takiego zrobiłem?

Cóż, jeśli sam nie wiesz, ja ci na pewno nie powiem.

Znowu podrapał się po brodzie i zapatrzył się w młot, który trzymał w drugiej dłoni. Mat pewnie by wiedział, o co jej chodzi. Albo choćby Thom Merrill. Siwowłosy bard twierdził, że kobiet nikt nie rozumie, ale kiedy wyłaniał się ze swej maleńkiej izdebki, usytuowanej w samych trzewiach Kamienia, natychmiast otaczało go pół tuzina dziewcząt, dostatecznie młodych, aby mogły być jego wnuczkami, które wzdychały i przysłuchiwały się, jak gra na harfie i opowiada o wielkich przygodach i romansach. Faile była jedyną kobietą, której Perrin pragnął, ale czasami czuł się przy niej jak ryba, która próbuje zrozumieć ptaka.

Wiedział, że ona chce, by zadał pytanie. Tyle wiedział. Mogła mu odpowiedzieć albo nie, ale jego obowiązkiem było zapytać. Uparcie nie otwierał ust. Tym razem postanowił ją przeczekać.

Na zewnątrz, w ciemnościach, rozległo się pianie koguta.

Faile zadygotała i objęła się ramionami.

— Moja niania zwykła mówić, że to oznacza nadejście śmierci. Oczywiście ja w to nie wierzę.

Już otwierał usta, by przyznać jej rację, potwierdzić głupotę przesądów, mimo że sam chwilę wcześniej również zadrżał, zamiast tego jednak odwrócił głowę w stronę, z której dobiegł go nagły zgrzyt i łomot. Topór przewrócił się na podłogę. Zdażył jeszcze zmarszczyć czoło zastanawiając się, co też sprawiło, że upadł, gdy nagle topór znowu się poruszył, przez nikogo nie dotykany, a potem ruszył prosto na niego.

Nie myśląc zamachnął się młotem. Brzęk metalu uderzającego o metal zagłuszył przeraźliwy krzyk Faile, topór przeleciał przez izbę, odbił się od przeciwległej ściany i pomknął z powrotem w jego stronę, ostrzem do przodu. Miał wrażenie, że zjeżyły się naraz wszystkie włosy na jego ciele.

Gdy topór przemknął obok niej, Faile skoczyła do przodu i pochwyciła trzon. Broń zawirowała w jej dłoniach, teraz ostrze celowało w twarz, z której wyzierały szeroko wytrzeszczone oczy. Perrin poderwał się na czas, upuszczając młot, by złapać topór; zdażył w ostatniej chwili, zanim półksiężyc ostrza wbił się w jej głowę. Pomyślał, że pewnie umarłby, gdyby ten topór — jego topór — ją zranił. Pociągnął go w swoją stronę z taką siłą, że ciężki kolec omal nie ugodził go w pierś. Powstrzymanie topora na pozór zdawało się proste, po chwili jednak, bliski mdłości, zaczął sądzić, że może okazać się niewykonalne.

Topór miotał się niczym żywa istota, niczym przepełniony wrogością stwór. Chciał dostać Perrina — ten wiedział o tym, słyszał jakby jego krzyk — i próbował użyć podstęp. Kiedy Perrin odciągnął go od Faile, wykorzystał ów ruch, by zaatakować. Nieważne bowiem, z jaką siłą ten ścisnął trzonek, topór obracał się w jego dłoniach, grożąc na przemian kolcem lub zakrzywionym ostrzem. Rę-

ce zaczęły go już boleć od wysiłku, potężne ramiona napięły się, mięśnie stężały. Twarz spływała potem. Nie był pewien, jak długo to jeszcze wytrzyma, nim topór się wyrwie z uścisku. To wszystko było szaleństwem, czystym szaleństwem, brakowało jednak czasu, by pomyśleć.

— Uciekaj — mruknął przez zaciśnięte zęby. — Uciekaj stąd, Faile!

Jej twarz nabrała barwy śnieżnej bieli, ale potrzęsnęła głową i walczyła z toporem.

— Nie! Nie zostawię cię!

— Zabije nas oboje!

Znowu potrzęsnęła głową.

Charcząc oderwał jedną rękę od topora, ramię drugiej zadygotało od nacisku, a obracający się trzonek parzył wewnątrz dłoni — i popchnął Faile. Zaskowytała, gdy siłą pociągnął ją w stronę drzwi. Ignorując jej okrzyki i uderzenia pięści, przytrzymał ją pod ścianą ramieniem, aż wreszcie udało mu się otworzyć drzwi i wypchnąć ją na korytarz.

Zatrzasnąwszy za nią drzwi, wsparł się o nie plecami, zasunął biodrem rygiel, jednocześnie na powrót chwytając topór obiema rękami. Ciężkie ostrze, połyskliwe i ostre, zadrżało w odległości kilku cali od jego twarzy. Z najwyższym wysiłkiem odepchnął je na długość ramienia. Stłumione okrzyki Faile przenikały przez grube drzwi, czuł, że wali w nie pięściami, ale ledwie docierało to do niego. Jego żółte oczy zdawały się lśnić, jakby odbijały każdą odrobinę światła w izbie.

— Teraz tylko ty i ja — warknął do topora. — Krew i popioły, jak ja cię nienawidzę! — Coś w nim, jakaś jego część była blisko wybuchu historycznego śmiechu.

„To Rand miał popaść w obłęd, a tymczasem ja rozmawiam z toporem! Rand! A niechby szczeł!”

Z zębami obnażonymi z wysiłku odciągnął topór o cały krok od drzwi. Broń wibrowała, usiłując zatopić się w ciele, niemal czuł bijącą od niej żądzę krwi. Ze zwierzęcym rykiem pociągnął gwałtownie zakrzywione ostrze ku sobie, jednocześnie odskakując w tył. Był przekonany, że gdyby topór żył naprawdę, to usłyszałby okrzyk triumfu, gdy ten połyskując spadał na jego głowę. W ostatniej chwili Perrin zrobił skręt tułowia, kierując topór za siebie. Z ciężkim łupnięciem ostrze zaryło się w drzwiach.

Poczuł, jak życie — nie potrafił inaczej tego nazwać — uchodzi z uwięzionej broni. Powoli odjął ręce. Topór pozostał tam, gdzie utknął, znowu zamieniając się w stal i drewno. Wyglądało na to, że można go tam bezpiecznie zostawić. Drżącą dłonią otarł pot z twarzy.

„Obłęd. Obłęd chadza wszędzie tam, gdzie jest Rand”.

Nagle uświadomił sobie, że nie słyszy już ani krzyku Faile, ani też łomotu jej pięści. Odsunawszy rygiel, pośpiesznie otworzył drzwi. Po drugiej stronie grube-

go drewna wystawał połyskliwy, stalowy łuk, odbijając światło lamp rozstawionych w dużych odstępach wzdłuż obwieszonych arrasami korytarza.

Stała tam Faile, podniesionymi rękami wsparta o drzwi. Wytrzeszczyła pełne zdumienia oczy, opuściła dłoń i palcem dotknęła czubka nosa.

— Jeden cal więcej — powiedziała omdlewającym głosem — a...

Nagle rzuciła się na niego i zaczęła go do siebie zapalczywie tulić, obsypywać gradem pocałunków jego szyję i brodę, coś niespójnie pomrukując. Odskoczyła równie prędko, zaniepokojonymi dłońmi obmacując mu pierś i ramiona.

— Czy coś ci się stało? Jesteś ranny? Czy to...?

— Nic mi nie jest — zapewnił. — A ty? Nie chciałem cię przestraszyć.

Zerknęła na jego twarz.

— Naprawdę? Nie jesteś ranny?

— Ani trochę. Ja...

Od policzka wymierzonego z pełnego zamachu aż mu zadźwięczało w głowie, jakby to młot uderzył o kowadło.

— Ty wielki, włochaty baranie! Myślałam, że nie żyjesz! Bałam się, że on cię zabił! Myślałam...! — Urwała, kiedy schwytał jej rękę, zanim zdążyła zamachnąć się ponownie.

— Proszę, nie rób tego więcej — powiedział cicho. Piekący odcisk jej dłoni palił policzek, miał wrażenie, że szczeka będzie go bolała przez resztę nocy.

Ścisnął jej nadgarstek tak delikatnie, jakby to był ptak, ale mimo że usiłowała się wyrwać, jego ręka nie ustąpiła ani o cal. W porównaniu z całodziennym wymachiwaniem młotem, trzymanie jej nie wymagało żadnego wysiłku, nawet po walce z toporem. Nagle jakby zdecydowała, że zignoruje jego uścisk, i spojrzała mu w twarz.

— Mogłam ci pomóc. Nie miałeś prawa...

— Miałem wszelkie prawo — oznajmił stanowczo. — Nie mogłaś pomóc. Gdybyś została, obydwójce bylibyśmy teraz martwi. Nie mogłem walczyć w taki sposób, w jaki musiałem, i jednocześnie dbać, byś była bezpieczna. — Otworzyła oczy, ale podniósł tylko głos i mówił dalej: — Wiem, że nienawidzisz tego słowa. Będę się starał ze wszystkich sił, żeby cię nie traktować jak figurkę z porcelany, ale jeśli zechcesz, bym spokojnie patrzył na twoją śmierć, to zwiążę cię jak barana i odeślę do pani Luhhan. Ona nie pozwoli na żadne takie brednie.

Dotykając językiem zęba i zastanawiając się, czy przypadkiem się nie obłuzował, żałował prawie, że nie może zobaczyć Faile usiłującej znęcać się nad Alsbet Luhhan. Żona kowala krótko trzymała swego męża, wkładając w to niewiele więcej wysiłku niż w prowadzenie domu. Nawet Nynaeve uważała na swój niewyparzony język w obecności pani Luhhan. Stwierdził, że ząb wciąż siedzi nieruchomo.

Faile roześmiała się nagle niskim, gardłowym śmiechem.

— Ty też nie, prawda? Ale wcale nie uważam, że nie zatańczyłbyś z Czarnym, gdybyś się o to starał.

Perrin był zanadto zaskoczony, by ją puścić. Nie widział żadnej rzeczywistej różnicy między tym, co właśnie powiedział, a tym, co powiedział wcześniej, ale tamto ją rozwścieczyło, a to przyjęła z... czułością. W sumie nie był pewien, czy jej groźba była do końca żartem. Faile nosiła ukryte przy sobie noże i wiedziała, jak się nimi posługiwać.

Ostentacyjnie roztarła nadgarstek i mruknęła coś pod nosem. Wychwycił słowa „włochaty wół” i obiecał sobie, że zgoli ostatni kosmyk z tej głupiej brody. Zrobi to.

— Topór — powiedziała głośno. — To był on, prawda? To Smok Odrodzony próbował nas zabić.

— To musiał być Rand. — Imię Randa wymówił z naciskiem. Nie lubił myśleć o Randzie w inny sposób. Wolał pamiętać tego Randa, z którym razem wyrastał w Polu Emonda. — Ale nie próbował nas zabić. Nie on.

Obdarzyła go krzywym uśmiechem, który raczej przypominał grymas.

— Jeśli nie próbował, to mam nadzieję, że nigdy nie spróbuje.

— Nie wiem, co on robił, ale mam zamiar powiedzieć mu, by przestał, i to natychmiast.

— Nie wiem, dlaczego tak lubię człowieka, który do tego stopnia się martwi o swoje bezpieczeństwo — mruknęła.

Zdezorientowany zmarszczył czoło zastanawiając się, o co jej chodzi, ale ona tylko wsunęła mu rękę pod ramię. Wciąż jeszcze się zastanawiał, kiedy wyruszyli na wędrowkę po korytarzach Kamienia. Zostawił topór tam, gdzie był — wbity w drzwi nie mógł nikomu nic zrobić.

\* \* \*

Zaciskając w zębach fajkę o długim cybuchu, Mat rozchylił odrobinę poły kaftana i spróbował skupić się na kartach leżących obliczami w dół oraz na monetach rozsypanych na środku stołu. Miał na sobie jaskrawoczerwony kaftan, uszyty na andorańską modłę z najlepszej wełny, ze złotym haftem wijącym się wokół mankietów i długiego kołnierza, mimo to dzień po dniu przypominano mu, że Łza jest położona o wiele dalej na południe niż Andor. Pot spływał mu po twarzy, koszula lepiła się do grzbietu.

Żaden z jego towarzyszy zasiadających przy stole nie zdawał się w ogóle zauważać tego upału, mimo kaftanów, wyglądających nawet na grubsze od jego odzienia, z sutymi, bufiastymi rękawami, wywatowanych jedwabiem, brokatem

i satynowymi paskami. Dwaj mężczyźni w czerwono-złoty liberach dolewali wina do srebrnych pucharów i podsuwali mu błyszczące, srebrne tace, pełne oliwek, serów i orzechów. Również na nich upał zdawał się nie działać, aczkolwiek co jakiś czas ziewali, osłaniając usta dłonią, gdy myśleli, że nikt nie patrzy. Noc nie była już młoda.

Mat ociągał się z wzięciem kart do ręki, żeby je ponownie sprawdzić. Nie mogły się zmienić. Trzech Władców, najwyższe karty w trzech z pięciu kolorów, już wystarczało, by pokonać większość układów.

Znacznie mniej skrupowany byłby przy grze w kości; w miejscach, w których zazwyczaj uprawiał hazard, rzadko kiedy można było znaleźć talię kart, tam srebro wędrowało z ręki do ręki przy pięćdziesięciu różnych odmianach gry w kości, ale te młode paniątka wolałyby raczej nosić łachmany niż grać w kości. Uważali bez wątpienia, że przystoi to tylko wieśniakom, dbali jednak, by nie mówić tego na głos w jego obecności. Nie złościł ich obawa, lecz tych, których uważali za jego przyjaciół. Grali w grę zwaną „zamianą”, godzinę za godziną, noc w noc, używając kart, malowanych i lakierowanych ręcznie przez człowieka z miasta, którego ci jegomoście oraz im podobni uczynili zamożnym. Jedynie kobiety albo konie potrafiły ich odciągnąć od stołu, żadne jednak na długo.

Tak czy inaczej, szybko pojął zasady i nawet jeśli szczęście nie dopisywało mu aż tak jak przy kościach, gra mu odpowiadała. Obok jego kart leżała wypchana sakiewka, a w kieszeni spoczywała druga, grubsza nawet od tamtej. Kiedyś, jeszcze w Polu Emonda, pomyślałby, że to fortuna, która wystarczy, by przeżyć resztę życia w dostatku. Jego pojęcie o dostatkach zmieniło się wszakże od czasu wyjazdu z Dwu Rzek. Młodzi lordowie trzymali swoje monety w niechlujnych, połyskujących stosach, on jednak nie miał zamiaru zmieniać dawnych przyzwyczajeń. Czasami niektóre tawerny i gospody należało opuszczać bardzo szybko. Szczególnie jeśli szczęście naprawdę dopisywało.

Planował równie szybko opuścić Kamień, gdy już zgromadzi tyle, by móc żyć tak, jak chce. Zanim Moiraine się dowie, co zamierza. Wyjechałby już dawno temu. Został tylko dla tego złota. Podczas jednej nocy spędzonej przy tym stole zarabiał więcej niż przez tydzień grania w kości po tawernach. Żeby tylko szczęście go nie opuściło.

Skrzywił się nieznacznie i zaciągnął fajkę, niepewny, czy ma dostatecznie dobre karty, by móc wejść do gry. Dwóch młodych lordów również trzymało w zębach fajki, inkrustowane srebrem, z bursztynowymi ustnikami. W dusznym, nieruchomym powietrzu ich perfumowany tytoń pachniał niczym pożar w gotowni jakiejś damy. Nie znaczyło to wcale, że Mat był kiedykolwiek w gotowni jakiejś damy. Choroba, która omal go nie zabiła, zostawiła po sobie luki w pamięci, która teraz prezentowała się niczym najprzedniejsza koronka, nie wątpił jednak, że coś takiego musiałby sobie przypomnieć.

„Nawet Czarny nie byłby taki wredny, żeby mi kazać o tym zapomnieć”.



— Dzisiaj do doku wpłynął statek Ludu Morza — mruknął Reimon, nie wyjmując fajki z ust. Broda barczystego, młodego lorda była natłuszczona i przystrzyżona w równy szpic. Taka moda panowała ostatnio wśród młodszych lordów, a Reimon uganiał się za ostatnimi nowinkami mody równie wytrwale jak za kobietami. Czyli tylko odrobinę mniej pracowicie niż uprawiał hazard. Cisnął srebrną koronę na stos leżący na środku stołu, chcąc dokupić jeszcze jedną kartę. — To raker. Powiadają, że te rakery to najszybsze statki. Mogą stawać w zawody z wiatrem. Chciałbym to zobaczyć. Niech mi szczerze dusza, chciałbym. — Nie raczył nawet spojrzeć na otrzymaną kartę, nigdy tego nie robił, dopóki nie zgromadził wszystkich pięciu.

Przysadzisty mężczyzna o zaróżowionych policzkach, który siedział między Reimonem i Matem, zachichotał rozweselony.

— Chcesz zobaczyć statek, Reimon? Tobie chodzi o dziewczęta, czy nie tak? O kobiety. Egzotyczne piękności Ludu Morza, z ich pierścionkami, świecidełkami i kołyszącym krokiem, co? — Położył koronę, wziął swoją kartę i zerknąwszy na nią, skrzywił się. Nie znaczyło to nic, bo gdyby coś osądzać po jego minie, karty Edoriona były zawsze kiepskie i źle dobrane. A jednak zazwyczaj raczej wygrywał. — Cóż, może będę miał więcej szczęścia z dziewczętami Ludu Morza.

Rozdający, wysoki i szczupły mężczyzna, który siedział po drugiej strony obok Mata, ze spiczastą, ciemną brodą, bujniejszą niż broda Reimona, potarł palcem bok nosa.

— Uważasz, że ci się z nimi powiedzie, Edorionie? One się tak szanują, że będziesz miał szczęście, jeśli schwytasz woń ich perfum. — Powachlował się dłonią, z westchnieniem wdychając powietrze, a pozostali lordowie wybuchnęli śmiechem, nawet Edorion.

Najgłośniejszy z wszystkich śmiał się Estean, młodzieniec o pospolitej twarzy, przeczesując palcami rzadkie włosy, które stale opadały mu na czoło. Gdyby zamienić ten wyborny, żółty kaftan na burą wełnę, można by wziąć go za farmera, nie zaś za syna Wysokiego Lorda, posiadacza najbogatszych majątków w Łzie. Wypił więcej wina niż pozostali.

Zataczając się na siedzącego obok wyfiokowanego jegomościa o imieniu Baren, który zawsze zdawał się patrzeć na wszystko znad swego ostrego nosa, Estean dźgnął rozdającego karty nieco chwiejnym palcem. Baren odchylił się w tył, krzywiąc obejmujące cybuch fajki usta, jakby się obawiał, że Estean będzie wymiotował.

— A to dobre, Carlomin — wybełkotał Estean. — Ty też tak myślisz, prawda, Baren? Edorion nawet nie powącha ich perfum. Gdyby chciał wypróbować swoje szczęście... zaryzykować... to powinien się wziąć za te dziewczuchy Aielów, tak jak Mat. Za te włócznie i noże. Niech szczerze ma dusza. To jakby zapraszać lwa do tańca. — Dookoła stołu zapadła martwa cisza. Estean nadal się śmiał, samotnie, po chwili zamrugął i znowu przeczesał palcami włosy. — O co chodzi?

Czy ja coś powiedziałem? Ano tak. To przez nich.

Mat ledwie skrył gniew. Ten głupiec musiał wspomnieć Aielów. Gorszym tematem rozmowy mogły być jedynie Aes Sedai. Ci tutaj woleliby zapewne pozwolić Aielom spokojnie spacerować po korytarzach i patrzeć z góry na wszystkich mieszkańców Łzy, którzy wejdą im w drogę, niż gościć bodaj jedną Aes Sedai. W ich mniemaniu obecnie przebywały tu cztery. Wygrzebał z sakiewki srebrną koronę andorańską i dorzucił ją do puli. Carlomin wydał mu kartę powolnym ruchem.

Mat odchylił ją ostrożnie paznokciem kciuka i nie pozwolił sobie na więcej jak na mrugnięcie powieką. Władca Kielichów, Wysoki Lord Łzy. Władcy w danej talii różnili się w zależności od kraju, w którym wykonano karty, przy czym jego był zawsze przedstawiony jako Władca Kielichów, i to był najwyższy kolor. Ta talia była stara. Widział już nowsze, z twarzą Randa lub podobną do niej na karcie z Władcą Pucharów, łącznie ze sztandarem Smoka. Rand, władca Łzy, to nadal wydawało się tak absurdalne, że miał ochotę się uszczypnąć. Rand był pasterzem, znakomitym kompanem do zabawy, kiedy nie robił się przesadnie poważny i odpowiedzialny. Rand, obecnie Smok Odrodzony; to mu przypomniało, że jest głupi jak baran, tak siedząc tutaj, gdzie Moiraine może go osiągnąć, kiedy tylko zechce, i czekając, by sprawdzić, co dalej zrobi Rand. Może Thom Merrillin z nim pojedzie. Albo Perrin. Tylko że Thom najwyraźniej tak się rozgościł w Kamieniu, jakby nigdy nie miał zamiaru wyjechać, a Perrin nigdzie się nie wybierze, dopóki Faile nie kiwnie palcem. Cóż, Mat był gotów podróżować samotnie, gdyby okazało się to konieczne.

A jednak na środku stołu leżało srebro, przed lordami złoto, i jeśli dostanie piątego władcę, wówczas nikt z nim nie wygra. Nie, żeby tak naprawdę tego potrzebował. Nagle poczuł w umyśle łaskotanie szczęścia. Nie to samo mrowienie jak przy grze w kości, rzecz jasna, był jednak pewien, że nikt nie pobije czterech władców. Tairenianie całą noc licytowali jak szaleni, złoto, za które można było kupić dziesięć farm, wielokrotnie wędrowało z jednej strony stołu na drugą, przechodząc z rąk do rąk.

Niemniej jednak Carlomin wpatrywał się w wachlarz kart w swoim ręku, zamiast dokupić czwartą, Baren natomiast zachłannie zaciągał się fajką i układał leżące przed nim monety w stosy, jakby był gotów wepchnąć je zaraz do kieszeni. Broda Reimona skrywała chmurny wyraz oblicza, a Edorian krzywił się do swych paznokci. Tylko Estean wyglądał na nieporuszonego, wodził wzrokiem dookoła stołu, uśmiechając się niepewnie. Być może zapomniał już, co przed chwilą powiedział. Zazwyczaj udawało im się robić dobrą minę w sytuacji, gdy rozmowa przypadkiem dotknęła tematu Aielów, ale godzina była późna, a wino wcześniej łało się szeroką strugą.

Mat przetrząsał umysł w poszukiwaniu sposobu na zatrzymanie ich oraz ich złota przy stole. Jedno spojrzenie na twarze lordów wystarczyło, by wiedzieć, że

zwykła zmiana tematu nie wystarczy. Istniała też inna metoda. Jeśli sprawi, że będą się śmiali z Aielów...

„Czy warto, by śmiali się również ze mnie?” Gryząc cybuch fajki, usiłował wymyślić coś lepszego.

Baren wziął w każdą dłoń po kupce złota i zaczął upychać je po kieszeniach.

— Powinienem chociaż spróbować z tymi kobietami Ludu Morza — rzucił pośpiesznie Mat, gestykulując fajką. — Niesamowite rzeczy się dzieją, jak człowiek ugania się za dziewczętami Aielów. Wyjątkowo niesamowite. Na przykład przy tej zabawie, którą nazywają Pocałunkiem Panny. — Przyciągnął ich uwagę, ale mimo to Baren nie odłożył monet, a Carlomin nadal nie zamierzał kupować karty.

Estean zarechotał pijackim śmiechem.

— Pewnie cię całują stała w zębra. Panny Włóczni, rozumiecie. Stal. Włócznią w zębra. A niech szczeźnie ma dusza!

Nikt inny się nie śmiał. Pozostali słuchali.

— Nie całkiem. — Mat zdobył się na szeroki uśmiech.

„Niech szczeżnę, już tyle powiedziałem. Równie dobrze mogę dopowiedzieć resztę”.

— Rhurarc powiedział, że jeśli chcę dać sobie radę z Pannami, to mam je spytać, jak się gra w „Pocałunek Panien”. Podobno to najlepszy sposób, by je bliżej poznać. — Ze skąpego opisu wnosił, że wszystko miało być podobne do zabawy w pocałunki, które znał z domu, na przykład „Całuj Stokrotki”. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że wódz klanu Aielów to człowiek skory do płatania figli. Następnym razem będzie ostrożniejszy. Z trudem zdobył się na jeszcze szerszy uśmiech. — Tak więc poszedłem do Bain i...

Reimon skrzywił się z irytacji. Nie znali imion żadnego z Aielów, wyjąwszy Rhurarc, i nie mieli ochoty ich poznawać. Mat zrezygnował więc z wymieniania ich i brnął dalej:

— ...poszedłem tam durny, niczym skrzyżowanie gęsi z wołem, i poprosiłem, żeby mi pokazały. — Powinien był się czegoś domyśleć na widok szerokich uśmiechów, które wykwitły na ich twarzach. Tak wyglądają koty zaproszone do tańca przez mysz. — Nim się zorientowałem, co się dzieje, na szyi miałem ostrza włóczni, taki niby kołnierz. Mogłem się ogolić jednym kichnięciem.

Pozostali siedzący wokół stołu wybuchnęli śmiechem, począwszy od Reimona z jego charczeniem, a skończywszy na Easteanie i jego przepojonym winem ryku.

Mat nie protestował. Wspomniawszy grotę włóczni, przeświadczenie, że przebijają go, jeśli bodaj ruszy palcem. Bain, nie przestając się śmiać, wyjaśniła, że nigdy nie słyszała o żadnym mężczyźnie, który by rzeczywiście chciał wziąć udział w „Pocałunku Panien”.

Carlomin pogładził się po brodzie i przerwał wahanie Mata.

— Nie wolno ci na tym poprzestać. Mów dalej. Kiedy to było? Założę się, że dwie noce temu, kiedy nie przyszedłeś grać i nikt nie wiedział, gdzie jesteś.

— Tamtej nocy grałem w kamienie z Thomem Merrilinem — szybko odparł Mat. — To było wiele dni temu. — Cieszył się, że udało mu się skłamać z kamienną twarzą. — Każda odebrała pocałunek. To wszystko. Jak uznała, że pocałunek jej się spodobał, to wszystkie odsuwały włócznie. Jak nie, to napierały nieco mocniej, można rzec dla zachęty. Powiem wam jedno, podczas golenia potrafię gorzej się pociąć.

Wsadził z powrotem fajkę między zęby. Jeśli chcą dowiedzieć się czegoś więcej, to niech sami pójdą i poproszą, by zabawiono się z nimi. Nieledwie miał nadzieję, że niektórzy są dostatecznie głupi.

„Cholerne kobiety z Pustkowiec i ich cholerne włócznie”.

Tamtej nocy trafił do łóżka dopiero przed świtem.

— Dla mnie to aż nadto — odparł sucho Carlomin. — Oby ma dusza szczyła w Światłości. — Cisnął srebrną koronę na środek stołu i wydał sobie następną kartę. — „Pocałunek Panien”. — Zatrząsał się z rozbawienia, a stół opłynęła kolejna fala śmiechu.

Baren kupił następną kartę, a Estean wygrzebał jakąś monetę z rozsypanego przed nim stosu i przyjrzał się jej uważnie. Teraz już nie mogli skończyć.

— Barbarzyńcy — mruknął Baren, nie wyjmując fajki z ust. — Ciemni barbarzyńcy. Oto, kim są, niech szczerze ma dusza. Żyją w jaskiniach, gdzieś na Pustkowiec. W jaskiniach! Nikt prócz barbarzyńcy nie mógłby żyć na Pustkowiec.

Reimon przytaknął.

— Przynajmniej służy Lordowi Smokowi. Gdyby nie to, wziąłbym stu Obrońców i oczyścił Kamień.

Baren i Carlomin poparli go z zapalem.

Mat bez wysiłku zachował kamienną twarz. Już wcześniej zdarzało mu się słyszeć mniej więcej to samo. Łatwo się przechwalać, kiedy nikt nie oczekuje, że udowodnisz prawdziwość swych słów. Stu Obrońców? Nawet gdyby Rand z jakiegoś powodu trzymał się z boku, tych kilkuset Aielów, którzy opanowali Kamień, prawdopodobnie obroniłoby go przed każdą armią, jaką zebrałaby Łza. Co wcale nie znaczyło, że naprawdę chcieli mieć Kamień. Mat podejrzewał, że są w twierdzy tylko dlatego, bo jest w niej Rand. Nie sądził, by któremuś z tych młodych lordów przyszło to już do głowy — dokładali wszelkich wysiłków, by ignorować Aielów — ale wątpił, czy od takiej myśli poczuliby się lepiej.

— Mat. — Estean przekładał karty w wachlarzu trzymanym w jednej ręce, jakby nie mógł się zdecydować, w jakim porządku mają być ułożone. — Mat, porozmawiasz z Lordem Smokiem, prawda?

— O czym? — spytał podejrzliwie Mat. Zbyt wielu, jego zdaniem, Tairenian wiedziało, że on i Rand dorastali razem; ponadto najwyraźniej sądzili, że kiedy nie grają razem, on resztę czasu spędza z Randem. Żaden nie zbliżyłby się do wła-

snego brata, gdyby ten potrafił przenosić Moc. Nie rozumiał, dlaczego uważają go za większego głupca od siebie.

— Czyżbym nie wspomniał o tym? — Mężczyzna o pospolitej twarzy spojrział zezem na swoje karty, podrapał się po głowie i rozpromienił się. — Tak. O jego proklamacji, Mat. O proklamacji Lorda Smoka. Tej ostatniej. Tej, w której oznajmia, że pospółstwo ma prawo wzywać lordów pod sąd. Słyszał kto kiedy o lordzie wezwanym pod sąd? I to przez chłopów!

Mat ścisnął sakiewkę tak mocno, że aż zazgrzytały monety.

— To byłaby hańba — stwierdził przyciszonym głosem — gdyby was osądzono i skazano tylko za to, żeście się zabawili z jakąś córką rybaka, nieważne, czy sama tego chciała, albo za wychłostanie byle farmera za to, że wam opryskał błotem kaftan.

Pozostali poruszyli się niespokojnie, poddając się jego nastrojowi, jedynie przytakującemu gorliwie Esteanowi głowa trzęsła się tak mocno, jakby zaraz miała odpaść.

— Tak właśnie. Ale naturalnie do tego nie dojdzie. Lord przed sądem? A gdzież tam. W życiu. — Zarechotał do swych kart pijackim śmiechem. — Tylko nie córki rybaków. Smród ryb, rozumiecie, jakbyście ich nie myli. Najlepsza jest pulchna dziewczyna z farmy.

Mat powiedział sobie, że jest tu po to, by grać w karty na pieniądze, że powinien ignorować paplaninę tego durnia. Przypomniawszy sobie, ile złota może wyciągnąć z sakiewki Estean. Jednak język sam wymknął mu się spod kontroli.

— Kto wie, do czego to może doprowadzić? Może zaczną wieszać?

Edorion spojrział na niego z ukosa, czujnie i niespokojnie.

— Czy musimy rozmawiać o... o pospółstwie, Estean? A co z córkami starego Astorila? Zdecydowałeś już, z którą się ożenisz?

— Co? Ach tak. Myślę, że będę rzucał monetą. — Estean skrzywił się do swych kart, przełożył jedną i znowu się skrzywił. — Medore ma dwie albo trzy piękne służebne. Może Medore.

Mat upił tęgi łyk ze srebrnego pucharu, aby zająć czymś ręce, które same się rwały, by bić w tę chłopską twarz. Wciąż pił pierwszy kielich, dwóch służących zrezygnowało z prób dolewania mu. Gdyby uderzył Estean, nikt nie podniósłby ręki, żeby go powstrzymać. Nawet Estean, ponieważ był przyjacielem Lorda Smoka. Żałował, że nie znajduje się teraz w jakiejś tawernie na mieście, gdzie jakiś doker zakwestionowałby jego szczęście i tylko prędki język, prędkie nogi albo prędkie ręce pozwoliłyby mu ujść cało. Ta myśl była rzeczywiście głupia.

Edorion znowu zerknął na Matę, oceniając jego nastrój.

— Słyszałem dziś pewną plotkę. Podobno Lord Smok poprowadzi nas na wojnę z Illian.

Mat zakrztusił się winem.

— Na wojnę? — parsknął.

— Jesteś pewien? — spytał Carlomin, a Baren dodał:

— Nie słyszałem żadnych plotek.

— Słyszałem to nie dalej jak dzisiaj, z trzech albo czterech ust. — Edorion udawał, że absorbuje go karty. — Kto może potwierdzić, na ile to prawda?

— To musi być prawda — odparł Reimon. — Jak Lord Smok nas poprowadzi, z *Callandorem* w rękę, to nawet nie będziemy musieli walczyć. Rozpędzi ich wojska, a my pomaszerujemy wprost do samego serca Illian. Wielka szkoda z pewnego względu. Chciałbym mieć okazję zmierzyć się na miecze z tymi z Illian.

— Taka okazja nie będzie ci dana, jeśli Lord Smok będzie dowodził — powiedział Baren. — Na widok sztandaru Smoka padną na kolana.

— A jeśli nie — dodał ze śmiechem Carlomin — to Lord Smok za pomocą swoich piorunów wysadzi ich w powietrze, tak jak stoją.

— Najpierw Illian — dodał Reimon. — A potem. . . Potem razem z Lordem Smokiem podbijemy cały świat. Przekaż mu, że ja tak powiedziałem, Mat. Cały świat.

Mat potrząsnął głową. Nie dalej jak przed miesiącem już sama wizja mężczyzny, potrafiącego przenosić, skazanego na obłąd i śmierć w okropnych okolicznościach, przeraziłaby ich śmiertelnie. Obecnie byli gotowi pójść za Randem w bój wierząc, że zwycięży za sprawą swej mocy. Uwierzyli w Moc, choć mało prawdopodobne, żeby się do tego przyznali. Przypuszczał jednak, że potrzebowali czegoś, czego mogli się ucześcić. Niezwyciężony Kamień znalazł się w rękach Aielów. Smok Odrodzony przebywał w komnatach położonych na wysokości stu stóp ponad ich głowami, a przy sobie miał *Callandora*. Trzy tysiące lat wierzeń i cała historia Łzy legły w gruzach, a świat stanął na głowie. Zastanawiał się, czy sam znosił to lepiej, jego własny świat stanął na głowie w czasie niewiele dłuższym niż rok. Obracał w palcach złotą koronę. Jakby sobie nie radził, wrócić i tak nie mógł.

— Kiedy wyruszamy, Mat? — spytał Baren.

— Nie wiem — odparł wolno. — Nie sądzę, by Rand chciał wszczynać wojnę. — Chyba że już popadł w obłąd. O tym lepiej było nie myśleć.

Pozostali spojrzeli tak, jakby ich zapewniał, że słońce nie wzejdzie następnego dnia.

— Oczywiście my wszyscy jesteśmy lojalni względem Lorda Smoka. — Edorion zmarszczył brwi, wbijając wzrok w swe karty. — Ale na wsi. . . Słyszałem, że są tacy, kilku Wysokich Lordów, którzy próbują zebrać armię, chcąc odbić Kamień. — Nagle nikt już nie patrzył na Mata, a Estean wciąż zdawał się szacować swoje karty. — Oczywiście, kiedy Lord Smok poprowadzi nas na wojnę, to wszystko zamrze. W każdym razie my, tu w Kamieniu, jesteśmy lojalni. Jestem pewien, że Wysocy Lordowie również. To tylko tych kilku na wsi.

Ich lojalność zapewne nie trwałaby chwili dłużej niżli strach przed Smokiem

Odrodzonym. Przez chwilę Mat czuł się tak, jakby planował wrzucić Randa do dołu pełnego jadowitych węży. Potem przypomniał sobie, czym jest Rand. Bardziej to wyglądało jak pozostawienie łasicy w kurniku. Rand był przyjacielem. Ale Smok Odrodzony. . . Kto mógł się przyjaźnić ze Smokiem Odrodzonym?

„Ja nikogo nie opuściłem. On pewnie, gdyby zechciał, mógłby im zwalić Kamień na głowy. Na moją głowę również”.

Raz jeszcze powtórzył sobie, że najwyższy czas wyjechać.

— Żadnych córek rybaków — wybełkotał Estean. — Powtórz to Lordowi Smokowi.

— Twoja kolej, Mat — wtrącił lekko Carlomin. Wyglądał na przestraszonego, choć czego się obawiał, czy tego, że Estean znów rozgniewa Mata, czy raczej, że rozmowa ponownie zejdzie na temat lojalności, nie sposób było określić. — Kupujesz piątą kartę czy wszystkie pięć?

Mat zorientował się, że nie uważał. Wszyscy prócz niego i Carlomina mieli po pięć kart, przy czym Reimon ułożył swoje w równym stosie kolorami w dół, obok puli, by zademonstrować, że wypada z gry. Mat zawahał się udając, że się zastanawia, potem westchnął i dorzucił jeszcze jedną monetę do stosu.

Gdy srebrna korona zawirowała, podskakując na krawędziach, poczuł nagle, że szczęście, sączące się dotąd strumykiem, rozlewa się teraz falą powodzi. Każdy brzęk srebra padającego na drewniany blat rozbrzmiewał wyraźnie w jego głowie, mógł przywołać awers lub rewers i wiedział, na którą stronę upadnie moneta przy dowolnym podskoku. Tak samo wiedział, jaką teraz dostanie kartę, zanim jeszcze Carlomin położył ją przed nim.

Zgarnawszy karty ze stołu, ułożył je w wachlarz. Wpatrywała się w niego Władczyni Płomieni, Zasiadająca na Tronie Amyrlin, ważąc na dłoni płomień, wcale zresztą niepodobna do Siuan Sanche. Tairenianie, niezależnie od uczuć, jakie żywili względem Aes Sedai, uznawali potęgę Tar Valon, nawet jeśli w istocie Płomienie stanowiły najśłabszy kolor.

Jak wyglądały jego szanse z wszystkimi pięcioma Władcami? Największe szczęście dopisywało mu tam, gdzie zdawał się na ślepy traf, na przykład przy grze w kości, być może jednak przy kartach też zaczyna mu służyć coraz lepiej.

— Niechaj mi Światłość spali kości na popiół, jeśli tak nie jest — mruknął. W każdym razie zamierzał powiedzieć mniej więcej coś takiego.

— Proszę bardzo — prawie krzyknął Estean. — Tym razem nie możecie zaprzeczyć. To była Dawna Mowa. Coś o paleniu i kościach. — Rozejrzał się z uśmiechem po siedzących wokół stołu. — Mój nauczyciel byłby dumny. Powinieniem posłać mu jakiś podarek. O ile się dowiem, gdzie on się teraz podziewa.

Żywiono powszechnie przekonanie, że szlachetnie urodzeni posługują się swobodnie Dawną Mową, choć w rzeczywistości niewielu rozumiało ją lepiej niż Estean. Młodzi lordowie zaczęli się sprzeczać o to, co dokładnie powiedział Mat. Najwyraźniej uznali, że to uwaga na temat upału.

Skórę Mata pokryła gęsia skórka, kiedy usiłował sobie przypomnieć słowa, które właśnie padły z jego ust. Ciąg bredni, a jednak wydawało się, że powinien je rozumieć.

„A niechby ta Moiraine szczeźła! Gdyby mnie zostawiła w spokoju, to nie miałbym dziur w pamięci tak wielkich, że przejechałby przez nie wóz z zaprzęgiem, i nie wygłaszałbym takich mów o... w ogóle nie wiadomo o czym!”

Doiłby również krowy swego ojca, zamiast wędrować po świecie z kieszeniami pełnymi złota, ale ten fakt udało mu się przeoczyć.

— Jesteście tu, by grać — powiedział ostrym tonem — czy po to, by trajkotać jak stare baby podczas robienia na drutach!

— Żeby grać — odparował Baran. — Trzy złote korony! — Dorzucił monety do puli.

— I jeszcze trzy — czknał Estean i dodał trzy złote korony do stosu.

Tłumiąc uśmiech, Mat zapomniał o swych słowach w Dawnej Mowie. To było raczej łatwe, nie chciał o nich myśleć. A poza tym, skoro zaczęli od tak wysokich stawek, w tym rozdaniu mógł wygrać tyle, by móc rano wyjechać.

„Jeśli on jest tak szalony, by zaczynać wojnę, to wyjeżdżam, choćbym musiał iść na własnych nogach”.

Na zewnątrz, w ciemnościach, rozległo się pianie koguta. Mat poruszył się niespokojnie, ale po chwili skarcił się za głupie myśli. Bzdura. Nikt nie umrze.

Spojrzał na karty i... aż zamrugał. W dłoni Amyrlin zamiast płomienia załśnił nóż. Kiedy tłumaczył sobie, że jest zmęczony i coś mu się przywidziało, zatopiła maleńkie ostrze w jego dłoni.

Ochryple krzycząc, odrzucił karty i rzucił się całym ciałem w tył, podczas upadku przewracając krzesło i kopiąc stół obiema stopami. Powietrze zdawało się gęste niczym miód. Czas na pozór zwolnił bieg, a jednocześnie wszystko wydawało się dziać równocześnie. Rozległy się inne krzyki, niczym echo jego krzyku, głuche, z pogłosem, jakby dobiegały z wnętrza jaskini. Popłynął, razem z krzesłem padając na wznak, stół powoli uniósł się w górę.

Władczyni Płomieni zawisła w powietrzu, wbiła weń wzrok i uśmiechając się okrutnie, zaczęła rosnać. Bliska już normalnych, ludzkich rozmiarów zaczęła wychodzić z karty, wciąż zachowując postać, w jakiej ją przedstawiono, pozbawioną głębi. Usiłowała go trafić nożem, czerwonym od krwi, jakby już wcześniej ostrze piło szkarłat z jego serca. Obok niej pęczniał Władca Pucharów — Wysoki Lord Łzy dobywał miecza.

Mat zawisł w powietrzu, jakoś jednak udało mu się dosięgnąć sztyletu ukrytego w lewym rękawie i cisnąć go jednym ruchem prosto w serce Amyrlin. O ile to coś w ogóle miało serce. Drugi nóż trafił do lewej dłoni jeszcze szybciej i jeszcze szybciej ją opuścił. Dwa ostrza podryfowały, lekkie jak puch ostu. Miał ochotę znów przeraźliwie wrzasnąć, ale z ust wciąż dobywał mu się tamten pierwszy okrzyk szoku i wzburzenia. Obok dwóch pierwszych kart rozrastała się teraz



Władczyni Róźdzek — królowa Andoru ścisnęła różdżkę niczym pałkę, rudozłote włosy okalały twarz z obłąkańczym grymasem.

Wciąż jeszcze padał na posadzkę, wciąż krzyczał przewlekłym krzykiem. Amyrlin już uwolniła się z karty, podobnie Wysoki Lord z mieczem w rękę. Płaskie sylwetki poruszały się prawie tak wolno jak on. Prawie. Miał dowód, że stał w ich dłoniach potrafi ciąć, a różdżka niechybnie mogła roztrzaskać czaszkę. Jego czaszkę.

Sztylety poruszały się tak, jakby tonęły w galarecie. Był przekonany, że tamten kogut piał dla niego. Nieważne, co mówił ojciec, ten omen był prawdziwy. Nie miał jednak zamiaru poddać się i zginąć. Jakoś udało mu się wyciągnąć jeszcze dwa sztylety spod kaftana, trzymał teraz po jednym w każdej dłoni. Ze wszystkich sił starał się obrócić w powietrzu, żeby paść stopami na posadzkę. Cisnął jeden z noży w stronę złotowłosej postaci z pałką. Rękojeść drugiego zacisnął z całej siły, gotów się zmierzyć z...

Świat zamigotał, czas ponownie przyspieszył biegu. Upadł niezgrabnie na bok, uderzając w posadzkę z siłą, która niemalże zaparła mu dech w piersiach. Rozpaczliwie usiłował się podnieść, wyciągając spod kaftana kolejny nóż. Zbyt wielu nie powinno się nosić przy sobie, twierdził Thom. Żaden już nie był potrzebny.

Przez chwilę myślał, że karty i figury zniknęły. Że wszystko sobie wyobraził. Może to on popadał w obłąd. Potem zobaczył karty, na powrót mające normalne rozmiary, przybite do ściennego panelu z ciemnego drewna. Rękojeści jego noży jeszcze wibrowały. Wciągnął głęboki, urywany oddech.

Stół leżał na boku, monety jeszcze toczyły się po podłodze, a lordowie i służący kulili się wśród rozsypanych kart. Gapili się na Mata i jego noże, te w rękach i te wbite w ścianę, jednakowo wytrzeszczonymi oczyma. Estean chwycił srebrny dzban, który jakimś cudem się nie przewrócił i zaczął wlewać sobie wino prosto do gardła pozwalając, by nadmiar spływał mu po brodzie i piersi.

— Tylko dlatego, że brak ci kart, dzięki którym mógłbyś wygrać — wychrypiał Edorion — nie musisz... — Urwał wzdrygając się.

— Przecież też to widzieliście. — Mat pochował noże do pochew. Z maleńkiej ranki na dłoni ciekł cienki strumyczek krwi. — Nie udawajcie, żeście oślepli!

— Nic nie widziałem — odparł drewnianym głosem Reimon. — Nic!

Zaczął pełzać po podłodze, zbierając złoto i srebro, skupiony na monetach, jakby stanowiły najważniejszą rzecz na świecie. Pozostali wzięli się za to samo, z wyjątkiem Estean, który gramolił się na czworakach pośród przewracanych dzbanów w poszukiwaniu takiego, w którym zostało wino. Jeden ze służących krył twarz w dłoniach, drugi, z zamkniętymi oczyma, najwyraźniej się modlił, cichym, zadyszonym skowytym.

Burknąwszy pod nosem przekleństwo, Mat podszedł do miejsca, gdzie jego noże przyspiliły do ściany trzy karty. Były to znowu normalne karty do gry, zwy-

kły sztywny papier pokryty popękanym lakierem. A jednak figura przedstawiająca Amyrlin nadal trzymała sztylet zamiast płomienia. Poczul smak krwi i dopiero wtedy zauważył, że ssie nacięcie na dłoni.

Pośpiesznie wyswobodził noże, przedzierając każdą kartę na pół przed wyciągnięciem ostrza. Po chwili zaczął szperać wśród kart zaścielających posadzkę, aż wreszcie znalazł Władców Monet i Wiatrów i również je przedarł. Czuł się trochę głupio — już było po wszystkim, karty na powrót stały się tylko kartami — ale nie mógł się powstrzymać.

Żaden z młodych lordów, pełzających na czworakach, nie próbował go zatrzymać. Usuwali mu się z drogi, nawet na niego nie patrząc. Tej nocy i być może przez kilka następnych nie miało już być żadnej gry. W każdym razie nie z nim. Cokolwiek się stało, było bezspornie wymierzone przeciwko niemu. A nawet bardziej niż bezspornie, nastąpiło bowiem przy udziale Jedynej Mocy. Nie chcieli, by ich w to wciągano.

— Rand, a żebyś szczeź! — mruknął bezgłośnie. — Jeśli musisz popaść w obłąd, to mnie w to nie mieszaj ! — Jego fajka rozpadła się na dwie części, cybuch był ewidentnie przegryziony na pół. Ze złością chwycił swoją sakiewkę z podłogi i wymknął się z komnaty.

\* \* \*

W pociemniałej komnacie sypialnej Rand rzucał się niespokojnie na swoim łóżu, tak szerokim, że mogło pomieścić pięciu ludzi. Śnił.

Moiraine szturchała go ostrym kijem, gnając przez cienisty las, w stronę pnia, na którym siedziała i czekała na nich Zasiadająca na Tronie Amyrlin, z uździenicą w rękach przeznaczoną dla jego karku. Wśród drzew przemykały ciemne, częściowo tylko widoczne sylwetki, skradały się, polowały na niego; gdzieś w gasnącym świetle błysnęło ostrze sztyletu, gdzie indziej dostrzegł w przelocie powrozy, gotowe go związać. Szczupła, sięgająca mu zaledwie do ramienia Moiraine miała minę, jakiej Rand nigdy wcześniej nie widział na jej twarzy. Strach. Cała spocona, popędzała go coraz brutalniej, starając się jak najszybciej doprowadzić do uździenicy Amyrlin. W ukryciu Sprzymierzeńcy Ciemności i Przekłęci, w przodzie smycz Białej Wieży, z tyłu Moiraine. Uchylił się przed kijem Moiraine i uciekł.

— Za późno na to! — zawołała w ślad za nim, ale on musiał wrócić. Wrócić.

Mamrocząc rzucał się na łóżku, po czym znieruchomiał i przez czas jakiś oddychał swobodniej.

Był w Wodnym Lesie, z powrotem w rodzinnych stronach, promienie słońca

iskrzyły się na powierzchni stawu. Na pobliskim brzegu kamienie porastał zielony mech, a w odległości trzydziestu kroków od przeciwległego końca łąkowe kwiaty tworzyły łuk. To właśnie tam, jeszcze jako mały chłopiec, nauczył się pływać.

— Powinieneś teraz popływać.

Wystraszony odwrócił się. Zobaczył Min, w chłopięcym kaftanie i spodniach, uśmiechającą się do niego, a obok niej Elayne, z jej rudozłotymi lokami, w sukni z zielonego jedwabiu, bardziej stosownej do wnętrza pałacu jej matki niż do lasu.

Te słowa wymówiła Min, a Elayne dodała:

— Ta woda zdaje się zapraszać, Rand. Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał.

— Nie wiem — zaczął wolno. Przerwała mu Min, oplótła dłońmi jego kark i stanęła na palcach, żeby go pocałować.

Łagodnie mruczając, powtórzyła słowa Elayne.

— Nikt nam tu nie będzie przeszkadzał. — Zrobiła krok w tył i zrzuciła kaftan, a potem zaatakowała tasiemki przy koszuli.

Rand wytrzeszczył oczy, zwłaszcza że zauważył suknię Elayne leżącą na mchu. Dziedziczka Tronu pochyliła się i skrzyżowawszy ramiona, zadarła rąbek koszuli.

— Co wy robicie? — spytał zduszonym głosem.

— Szykujemy się do kąpieli razem z tobą — odparła Min.

Elayne błysnęła zębami w uśmiechu i przeciągnęła koszulę przez głowę.

Odwrócił się pośpiesznie, mimo że tak naprawdę wcale nie chciał. I okazało się, że stoi twarzą w twarz z Egwene, której wielkie ciemne oczy wpatrywały się w niego ze smutkiem. Odwróciła się bez słowa i zniknęła wśród drzew.

— Zaczekaj! — krzyknął. — Wszystko wytłumaczę.

Zaczął biec, musiał ją znaleźć. Kiedy jednak dotarł do skraju lasu, zatrzymał go głos Min.

— Nie odchódź, Rand.

Ona i Elayne zanurzyły się już w wodzie i teraz płynęły leniwymi ruchami na środek stawu, wystawiając głowy nad powierzchnię.

— Wracaj — zawołała Elayne, unosząc szczupłe ramię, by przywołać go gestem. — Czy chociaż raz dla odmiany nie mógłbyś dostać tego, czego pragniesz?

Przestąpił z nogi na nogę, usiłując się poruszyć, niezdolny zdecydować, w którą stronę. To, czego pragnie. Te słowa zabrzmiały dziwnie. Podniósł rękę do twarzy, żeby otrzeć to coś, co było jak pot. Czapla wypalona we wnętrzu dłoni niemal zniknęła w ropijącym ciele, przez zaognione rozstępy skóry prześwitywały białe kości.

Oprzytomniał nagle. Leżał w upalnych ciemnościach, wstrząsały nim dreszcze. Krótkie spodnie i lniane prześcieradło pod jego plecami doszczętnie przemoczył pot. Bolał go bok, stara rana nigdy nie zagoiła się do końca. Wymacał palcem chropowatą bliznę, o prawie całowym przekroju, mimo upływu czasu wciąż była wrażliwa na dotyk. Nawet Moiraine nie potrafiła uzdrowić tej rany.

„Ale ja jeszcze nie gniję. Jeszcze nie popadłem w obłąd. Jeszcze nie”.

Jeszcze nie. Nic dodać, nic ująć. Omal nie wybuchnął śmiechem... przyszło mu jednak do głowy, że niezrozumiała wesołość może być pierwszą oznaką owładającego nim obłąkania.

Sny o Min i Elayne, sny o nich, jak... Cóż, to nie był obłąd, ale z pewnością głupota. Na jawie, żadna z nich nigdy nie patrzyła na niego w taki sposób: Egwene, z którą był zaręczony prawie od dziecka. Słowa o zrękowinach nigdy nie zostały wymówione przed Kołem Kobiet, ale wszyscy w Polu Emonda, a nawet w okolicy, wiedzieli, że któregoś dnia się pobiorą.

Oczywiście ten dzień nie miał nigdy nadejść, nie teraz, nie dla mężczyzny, który potrafił przynosić Moc. Egwene też to rozumiała. Na pewno. Zaangażowała się bez reszty w pomysł zostania Aes Sedai. Kobiety jednak są dziwne, być może ona dalej wierzyła, że będąc Aes Sedai, mimo to go poślubi, niezależnie od tego, czy przynosi, czy nie przynosi Mocy. Jak miał jej powiedzieć, że już nie chce się z nią żenić, że kocha ją jak siostrę? Był jednak przekonany, iż nie będzie musiał niczego mówić. Skryje się za tym, czym jest. Powinna zrozumieć. Jaki mężczyzna oświadczy się kobiecie wiedząc, że o ile dopisze mu szczęście, ma przed sobą tylko kilka lat, zanim postrada rozum, zanim zacznie gnijć za życia? Zadrzał mimo upału.

„Potrzebuję snu”.

Rankiem wróć Wysocy Lordowie, będą korzystali z rozmaitych podstępów, by wkraść się w jego łaski. W łaski Smoka Odrodzonego.

„Może tym razem nic mi się nie przyśni”.

Zaczął się przewracać na drugi bok, szukając suchego miejsca na prześcieradle — i zamarł, słysząc cichy szelest, który dobiegał z ciemności panujących w komnacie. Nie był sam.

Miecz Który Nie Jest Mieczem spoczywał po drugiej stronie izby, poza jego zasięgiem, na podobnym do tronu postumencie, który ofiarowali mu Wysocy Lordowie, bez wątpienia w nadziei, że będzie trzymał *Callandora* z daleka od ich spojrzeń.

„Ktoś chce ukraść *Callandora*”.

Pojawiła się druga myśl.

„Albo zabić Smoka Odrodzonego”.

Nie potrzebował tych ostrzeżeń, których szeptem udzielał mu Thom, by wiedzieć, że zapewnienia Wysokich Lordów o nieustającej lojalności podyktowane są jedynie polityczną koniecznością.

Wyzbył się myśli i emocji, przywołał Pustkę. Powiodło się bez najmniejszego wysiłku. Unosząc się w zimnej, pustej przestrzeni własnego wnętrza, pozostawiając myśli i emocje na zewnątrz, sięgnął do Prawdziwego Źródła. Tym razem dotknął go bez trudu, co nie zdarzało się zawsze.

*Saidin* zalał go niczym potok białego żaru i światła, napełniając życiem, skaza Czarnego, podobna do brudnej piany na powierzchni czystej, słodkiej wody, wywoływała mdłości. Potok groził, że go uniesie, doszczętnie spali, porwie w otchłań.

Stoczył walkę z powodzią, poskramiając ją samym wysiłkiem woli, po czym sturlał się z łóżka i przeniósł Moc, stawiając od razu stopy w pozycji, od której zaczynała się forma miecza zwana Kwieciami Jabłoni na Wietrze. Wrogów nie mogło być wielu, bo inaczej narobiliby większego hałasu, jednak forma o tak wdzięcznej nazwie była przeznaczona do walki z więcej niż jednym przeciwnikiem.

W momencie gdy stopy dotknęły dywanu, w dłoniach zmaterializował się miecz, z długą rękojeścią i lekko zakrzywionym jednostronnym ostrzem. Wyglądał jak wykuty z płomienia, a mimo to w dotyku nie parzył. Na żółto-czerwonym tle ostrza odznaczała się czarna sylwetka czapli. Dokładnie w tej samej chwili zapłonęły wszystkie świece i pozłacane lampy, niewielkie lustra za nimi nabrzmiały światłem, które pochwyciły również większe, ścienne i stojące zwierciadła, aż w ogromnym pomieszczeniu zrobiło się tak jasno, że bez trudu można byłoby czytać w każdym jego zakątku.

*Callandor*, miecz, którego ostrze i rękojeść wyglądały jak wykute ze szkła, spoczywał nieruchomo na postumencie rozmiarów człowieka. Drewniany tron postumentu zdobiły rzeźby, złocenia i drogie kamienie. Umeblowanie izby — łóżko, krzesła i ławy, szafy, skrzynie i umywalnię — również pokryto złoceniami i klejnotami. Dzban i misę wykonano ze złotej porcelany Ludu Morza, cienkiej jak liść. Za cenę szerokiego tarabońskiego dywanu, ze szkarłatnymi, złotymi i błękitnymi wzorami, mogłaby przez wiele miesięcy wyżywić się cała wieś. Niemal wszystkie płaskie powierzchnie zajmowała delikatna porcelana Ludu Morza albo puchary, misy i ozdoby ze złota inkrustowanego srebrem, tudzież srebra czyszczonego złotem. Na szerokiej, marmurowej półce nad kominkiem dwa srebrne wilki z rubinowymi oczyma usiłowały rozedrzeć na strzępy wysokiego na trzy stopy, złotego jelenia. Na wąskich oknach wisały, kołysząc się lekko na omdlewającym wietrze, draperie ze szkarłatnego jedwabiu, z wyhaftowanymi złotą nicią orłami. Wszędzie, gdzie tylko było miejsce, leżały książki, oprawne w skórę lub drewno, niektóre sfatygowane i jeszcze pokryte kurzem najbardziej niedostępnych półek biblioteki Kamienia.

Pośrodku dywanu, tam gdzie spodziewał się zobaczyć skrytobójców albo złodziei, stała piękna, młoda kobieta, niepewna i zaskoczona, czarne włosy spływały jej lśniąco falami na ramiona. Suknia z cienkiego, białego jedwabiu więcej uwydatniała, niż kryła. Berelain, władczyni miasta-państwa Mayene, była ostatnią osobą, której oczekiwałby o tej porze w swej komnacie.

Drgnęła, rozwarła szeroko oczy, ale zaraz potem dygnęła głęboko, z wielką gracją, sprawiając, że jej ubiór jeszcze ściślej przylgnał do ciała.

— Jestem nie uzbrojona, Lordzie Smoku. Jeśli mi nie ufasz, pozwalam ci, abyś mnie przeszukał.

Na widok jej uśmiechu, speszony, uświadomił sobie raptownie, że nie ma na sobie nic prócz krótkich spodni.

„Niech skonam, jeśli na jej widok natychmiast rzucę się na poszukiwanie czegoś, czym mógłbym się okryć”.

Ta myśl unosiła się poza granicami Pustki.

„Nie prosiłem jej, żeby mnie nachodziła”.

Żeby się tu zakradła! Pustka odsunęła odeń również gniew i wstyd, a jednak rumieniec tak czy inaczej wykwitł na jego twarzy. We wnętrzu Pustki taki zimny, na zewnątrz. . . Czuł poszczególne krople potu spływające mu po piersiach i plecach. Potrzebował prawdziwego wysiłku nieustępliwej woli, by pod jej wzrokiem, dalej tak tkwić nieruchomo.

„Przeszukać ją? Światłości, dopomóż!”

Rozluźnił się, pozwolił mieczowi zniknąć i pozostał tylko cienki strumień łączący go z *saidinem*. Przypominało to spijanie wody przeciekającej przez wąską szczelinę w tamie, ledwie wytrzymującej napór z przeciwnej strony. Woda była słodka niczym wino z miodem, a jednocześnie wywoływała mdłości, jakby sączyła się przez śmietnisko.

Nie wiedział wiele o tej kobiecie prócz tego, że czuła się w Kamieniu tak swobodnie, jakby znajdowała się w swoim pałacu w Mayene. Thom twierdził, że Pierwsza z Mayene bezustannie zadaje wszystkim pytania. Pytania o Randa. Co mogło być naturalne, biorąc pod uwagę, czym był, ale to go nie uspokajało. Poza tym nie wróciła do Mayene. I to już nie było naturalne. Trzymano ją w niewoli przez całe miesiące aż do jego przybycia, odseparowaną od tronu i władzy nad jej małym państwem. Większość ludzi skorzystałaby z pierwszej nadarzącej się okazji, by uciec przed mężczyzną, który potrafi przenosić Moc.

— Co ty tu robisz? — Wiedział, że jego słowa zabrzmiały szorstko, ale nie dbał o to. — Kiedy udawałem się na spoczynek, tych drzwi strzegli Aielowie. Jak przeszłaś obok nich?

Kąciaki ust Berelain uniosły się leciutko, a Randowi wydało się, że w izbie zrobiło się nagle jeszcze goręcej.

— Natychmiast mnie przepuścili, kiedy powiedziałam, że zostałam wezwana przez Lorda Smoka.

— Wezwana? Nikogo nie wzywałem.

„Przestań — przykazał sobie. — Ona jest królową albo prawie królową. Wiesz tyle samo o manierach królowych co o lataniu”.

Usiłował zachowywać się obyczajnie, nie wiedział jednak, jak powinien tytułować Pierwszą z Mayene.

— Moja pani. . . — To musiało wystarczyć. — . . . czemu miałbym cię wzywać o tak późnej porze?

Wybuchnęła niskim, perlistym śmiechem, z głębi gardła; niby otulała go pozbawiona emocji Pustka, a jednak ten śmiech zdawał się go łaskotać, sprawiać, że zjeżyły mu się włosy na rękach i nogach. Nagle, jakby po raz pierwszy, dostrzegł jej skąpy ubiór i poczuł, że znowu się czerwieni.

„Jej nie może chodzić o... Nie może? Światłości, nigdy dotąd nie zamieniłem z nią choćby dwóch słów”.

— Może miałbyś ochotę chwilę porozmawiać, Lordzie Smoku. — Pozwoliła swej białej sukni opaść na posadzkę, odsłaniając jeszcze cieńszą szatę z delikatnego jedwabiu, w której nie mógł dopatrzeć się niczego innego jak koszuli nocnej, całkowicie obnażającej jej ramiona i ukazującej dużą część łona. Przyłapał się na tym, że zastanawia się, na czym ta koszula się trzyma. Trudno było nie wytrzeszczać oczu. — Podobnie jak ja znalazłeś się daleko od domu. Szczególnie samotne zdają się noce.

— Będę szczęśliwy, mogąc porozmawiać z tobą jutro.

— Ale za dnia otaczają cię ludzie. Petenci. Wysocy Lordowie. Aielowie.

Wzdrygnęła się, a on powiedział sobie, że naprawdę powinien już odwrócić wzrok, ale z równą łatwością mógłby przestać oddychać. Nigdy przedtem, kiedy otaczała go Pustka, nie był do tego stopnia świadom własnych reakcji.

— Aielowie mnie przerażają, a lordów Łzy nie lubię.

Gotów był uwierzyć w to, co powiedziała o lordach, nie wierzył jednak, by cokolwiek mogło ją przerazić.

„Niech szczenę, ona przebywa w sypialni obcego mężczyzny, w samym środku nocy, na poły rozebrana, a ja, Pustka, nie Pustka, jestem tak zdenerwowany jak kot, który ucieka przed psem”.

Czas położyć wszystkim kres, zanim sprawy zajdą za daleko.

— Byłoby lepiej, gdybyś wróciła do swej izby, moja pani. — Zapragnął jej również powiedzieć, by włożyła jakiś kaftan. Gruby kaftan. Ale to pragnienie nie było całkiem szczere. — Jest... jest doprawdy zbyt późno na rozmowę. Jutro. Za dnia.

Obdarzyła go zagadkowym spojrzeniem z ukosa.

— Czyżbyś już przyswoił sobie te przestarzałe obyczaje, które panują w Łzie, Lordzie Smoku? A może ową powściągliwość dyktuje ci sposób bycia, właściwy dla twoich Dwu Rzek? My, w Mayene, nie jesteśmy... tacy... oficjalni.

— Moja pani... — Usiłować mówić tonem jak najbardziej chłodnym, jeśli miałby ją rozczarować, to tym lepiej. — Jestem przyrzeczony Egwene al'Vere, moja pani.

— Masz na myśli tę Aes Sedai, Lordzie Smoku? Jeśli to naprawdę Aes Sedai. Jest raczej młoda, być może nazbyt młoda, by nosić pierścień i szal. — Berelain tak to ujęła, jakby Egwene była dzieckiem, choć sama nie mogła być więcej niż o rok starsza od Randa, o ile w ogóle, a on sam był starszy od Egwene zaledwie dwa lata i trochę. — Lordzie Smoku, nie chcę wchodzić między was. Ożeń się

z nią, jeśli ona należy do Zielonych Ajah. Nigdy bym nie aspirowała do poślubienia samego Smoka Odrodzonego. Wybacz, jeśli się zagalopowałam, ale już ci wyjaśniłam, że my w Mayene nie jesteśmy tacy... oficjalni. Czy mogę mówić ci po imieniu, Rand?

Rand westchnął z żalem, czym zadziwił sam siebie. W jej oczach mignął przelotny błysk, nieznacznie zmieniły wyraz, kiedy napomknęła o poślubieniu Smoka Odrodzonego. Jeśli nie rozważała tego wcześniej, to z pewnością teraz właśnie przyszło jej do głowy. Smok Odrodzony, a nie Rand al'Thor, bohater prorocत्व, nie zaś pasterz z Dwu Rzek. Właściwie nie był zaskoczony, niektóre dziewczęta z jego rodzinnych okolic wzdychały do każdego, który okazał się najszybszy albo najsilniejszy w grach organizowanych podczas Bel Tine albo w Niedzielę, niejedną kobietą wlepiła wzrok w mężczyznę, który posiadał najżyźniejsze pola albo największe stada. Jakże przyjemnie jednak byłoby wierzyć, że ona pragnie Randa al'Thora.

— Czas, byś już poszła, moja pani — powiedział cicho.

Podeszła bliżej.

— Czuję twój wzrok na sobie, Rand. — Jej głos płonął żarem. — Nie jestem młodą wieśniaczką, uwiązaną do fartucha swej matki, i wiem, że ty chcesz...

— Ty myślisz, że jestem zrobiony z kamienia, kobieto?

Wzdrygnęła się, usłyszawszy jego dziki okrzyk, ale już w następnej chwili szła po dywanie, wyciągając ku niemu ręce, z oczyma jak dwie czarne studnie, które mogły wciągnąć mężczyznę do swych głębi.

— Twoje ramiona wyglądają na tak silne, jakby wykuto je z kamienia. Jeśli uważasz, że musisz być względem mnie surowy, to bądź surowy, pod warunkiem że będziesz mnie obejmował. — Dotknęła jego twarzy dłońmi, z których zdawały się sypać iskry.

Mimo woli przeniósł Moc — z *saidinem* wciąż łączył go cieniutki strumyczek — i nagle Berelain zatoczyła się w tył, z oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia, jakby napierał na nią mur zbudowany z powietrza. Zorientował się, że to rzeczywiście Powietrze, często bowiem bezwiednie dokonywał różnych rzeczy, w istocie znacznie częściej do końca nie wiedział, niżli zdawał sobie sprawę, co robi. W każdym razie, kiedy raz coś wykonał, potrafił potem to odtworzyć.

Niewidzialny, ruchomy mur pofałdował dywan, zmiatając porzuconą szatę Berelain, wysoki but, który Rand odrzucił na bok, kiedy się rozbierał, oraz czerwony, wyłożony skórą taboret, na którym spoczywał otwarty tom *Historii Kamienia Łzy Ebana Vandesa*. Pchał to wszystko przed sobą, stopniowo przypierając Berelain do ściany. Odgradzał ją od niego. Odwiązał strumień — tylko w ten sposób potrafił określić, co zrobił i nie musiał już dłużej się osłaniać. Przez chwilę rozpamiętywał strukturę niedawnego dzieła, dopóki się nie upewnił, że będzie umiał je powtórzyć. Rzecz wyglądała na użyteczną, szczególnie to „odwiązywanie”.

Wciąż wytrzeszczając oczy, Berelain obmacała drżącymi dłońmi granice swe-



go niewidzialnego więzienia. Twarz miała nieomal tak białą jak jej kusa, jedwabna koszula. U jej stóp, zaplątane w materię sukni, leżały: stołek, but i książka.

— Ku memu wielkiemu ubolewaniu — powiedział jej nie będziemy już więcej rozmawiać inaczej jak tylko publicznie, moja pani. — Naprawdę żałował. Niezależnie od jej motywów, była piękna.

„Niech skonam, co za głupiec ze mnie!”

Nie był pewien, do czego odnosiła się ta myśl — czy do tego, iż uważa ją za piękność, czy do tego, że ją wypędza.

— W rzeczy samej byłoby najlepiej, gdybyś, w miarę możliwości jak najszybciej, zorganizowała sobie podróż powrotną do Mayene. Obiecuję ci, że Łza nie będzie więcej nękać Mayene. Masz moje słowo.

Obietnica była wiążąca, jedynie dopóki żył, być może zostanie anulowana, w chwili gdy opuści Łzę, ale musiał jej coś ofiarować. Okład na zranioną dumę, podarunek, dzięki któremu mogłaby zapomnieć o strachu.

Ona jednak zdołała już opanować strach, a przynajmniej jego zewnętrzne objawy. Na jej twarzy malowały się teraz szczerść i otwartość, najwyraźniej zrezygnowała już z prób uwiedzenia go.

— Wybacz mi. Źle się za to zabrałam. Nie chciałam cię urazić. W moim kraju kobieta może swobodnie powiedzieć mężczyźnie to, co o nim myśli, i na odwrót. Rand, musisz wiedzieć, że jesteś przystojnym mężczyzną, wysokim, silnym. To ja musiałabym być zrobiona z kamienia, gdybym tego nie dostrzegą i nie podziwiała. Proszę, nie oddalaj mnie od siebie. Będę o to błagała, jeśli tak sobie życzysz. — Ukłękła z wdziękiem, jakby tańczyła. Z wyrazu jej twarzy wynikało, że nadal mówi szczerze, że przyznaje się do wszystkiego, z drugiej strony jednak, podczas klęknięcia udało się jej pociągnąć rąbek koszuli jeszcze bardziej w dół i wyglądało na to, że zaraz naprawdę z niej spadnie. — Proszę, Rand.

Mimo że osłaniała go Pustka, gapił się na Berelain i nie miało to nic wspólnego z jej urodą ani faktem, że była prawie naga. No, właściwie tylko częściowo. Gdyby obrońcy Kamienia byli w połowie tak zdeterminowani jak ta kobieta, w połowie tak wytrwali w dążeniu do celu, to dziesięć tysięcy Aielów nigdy by nie zdobyło ich twierdzy.

— Schlebiasz mi, moja pani — odparł dyplomatycznie. — Wierz mi, naprawdę. Ale to nie byłoby uczciwe względem ciebie. Nie mogę ci dać tego, na co zasługujesz.

„I niech z tym zrobi, co zechce”.

Na zewnątrz, w ciemnościach, rozległo się pianie koguta.

Ku zdziwieniu Randa, Berelain ni stąd, ni zowąd wbiła wzrok w jakiś punkt za jego plecami, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Otworzyła szeroko usta, a jej smukłe gardło napiął wysiłek krzyku, którego nie potrafiła zeń wydobyć. Odwrócił się błyskawicznie, w jego ręce z powrotem rozbłysnął żółto-czerwony płomień miecza.

Jedno z luster stojących po drugiej stronie izby wypluło na zewnątrz jego własne odbicie, wysokiego młodzieńca, obdarzonego rudawymi włosami i szarymi oczyma, ubranego w krótkie spodnie z białego lnu, z mieczem wykutym z ognia w rękę. Odbicie stanęło na dywanie, podnosząc miecz.

„Popadłem w obłąd”.

Myśl sunęła po granicach Pustki.

„Nie! Ona to zobaczyła. To rzeczywistość”.

Kątem oka pochwycił jakiś ruch z lewej strony. Nie zastanawiając się nawet przez moment, odwrócił się, miecz zatoczył zamaszysty łuk Księżyca Wschodzącego Nad Wodą. Ostrze przeszło postać — jego własną postać — wychodzącą z lustra na ścianie. Zamigotała, rozleciała na wszystkie strony niczym drobiny kurzu unoszące się w powietrzu, zniknęła. W lustrze ponownie pojawiło się odbicie Randa, ale tym razem wczepiło się dłońmi w jego ramę. Zauważył ruch we wszystkich lustrach w izbie.

Pełen rozpaczy uderzył mieczem w lustro. Posrebrzane szkło roztrzaskało się, przy czym wyglądało to tak, jakby odbity w nim obraz pękł wcześniej. W jego głowie rozbrzmiewał echem odległy krzyk, własny głos, który na przemian to krzyczał, to milkł. Okruchy lustra wciąż sypały się na podłogę, a on smagał dookoła Jedyńą Mocą. Zwierciadła w izbie eksplodowały cicho, rozbryzgując na dywan fontanny szkła. W jego głowie znowu rozległo się echo zamierającego krzyku, dreszczem przenikając w dół kręgosłupa. To był jego głos, ledwie wierzył, że nie wydobywa się z jego gardła.

Odwrócił się błyskawicznie, stanął twarzą w twarz z odbiciem, które wydoستاło się na zewnątrz, w samą porę, by odeprzeć atak, by Rozwijaniem Wachlarza odparować Kamienie Spadające z Góry. Postać odskoczyła w tył i nagle Rand spostrzegł, że tamten nie jest sam. Kiedy rozbijał lustra, dwa inne odbicia zdążyły umknąć jego ciosom. Teraz stały naprzeciw niego, trzy sobowtóry, nie brakowało im nawet obrzmiałej okrągłej blizny w boku. Patrzyły na niego, a ich twarze wykrzywiały nienawiść i pogarda, płonęła w nich perwersyjna żądza. Tylko oczy wydawały się puste, pozbawione życia. Rzuciły się na niego, nie dając mu nawet czasu na zaczerpnięcie oddechu.

Rand przestępował z nogi na nogę, kawałki rozbitego lustra cięły mu stopy, cały czas w ruchu, zmieniał pozycje, zmieniał formy, starając się walczyć tylko z jednym przeciwnikiem naraz. Zastosował wszystko, czego podczas codziennych ćwiczeń nauczył go o mieczu Lan, Strażnik Moiraine.

Gdyby ci trzech walczyli zespołowo, gdyby wspierali się wzajemnie, zginąłby w pierwszej minucie, ale każdy atakował go indywidualnie, tak jakby pozostali nie istnieli. Mimo to jednak nie był w stanie całkowicie odpierać ich ostrzy, po kilku minutach twarz, piersi, ramiona ociekały mu krwią. Dodatkowo otworzyła się stara rana, plamiąc spodnie czerwienią. Przewracali stoły i krzesła, skorupy bezcennej porcelany Ludu Morza zaścielały dywan.

Czuł, że ubywa mu sił. Żadne ze skaleczeń nie było poważne, z wyjątkiem oczywiście starej rany, lecz wszystkie razem. . . Nie myślał o wezwaniu na pomoc stojących za drzwiami Aielów. Grube mury z łatwością stłumiłyby nawet przedśmiertny krzyk. Zdany był tylko na siebie. Walczył, otulony chłodną obojętnością Pustki, lecz strach skrobał w jej ściany niczym chłostane wiatrem gałęzie, które nocą drapią szyby okien.

Jego ostrze ześlizgnęło się po ciele przeciwnika, tnąc twarz tuż pod oczami — mimo woli skrzywił się, to była jednak jego twarz — jej właściciel odskoczył w tył dostatecznie daleko, by uniknąć śmiertelnego ciosu. Krew trysnęła z rany, spowijając usta i brodę ciemną purpurą, ale zniekształcone oblicze nie zmieniło wyrazu, a puste oczy ani razu nie rozbłyły życiem. Postać pragnęła jego śmierci tak, jak umierający z głodu pragnie pożywienia.

„Czy cokolwiek może ich zabić?”

Wszyscy trzej krwawili od ran, które udało mu się zadać, ale w przeciwieństwie do niego rany wcale nie spowalniały ich ruchów. Próbowali unikać jego ciosów, najwyraźniej jednak nie czuli ich wcale, gdy dosięgały celu.

„O ile rzeczywiście istnieją — pomyślał z rozpaczą. — Światłości, skoro krwawią, to przecież mogą ich zranić. Muszą to czuć!”

Potrzebował odrobiny odpoczynku, chwili niezbędnej dla nabrania oddechu, wzięcia się w garść. Znienacka odskoczył w tył, w stronę łóżka, przetoczył się po nim. Wyczuł raczej, niż zobaczył, ostrza, które cięły prześcieradła, o mały włos unikając jego stóp. Stał się chwiejnie, wspierając się o mały stolik, by odzyskać równowagę. Błyszcząca, inkrustowana złotem misa zachybotła się. Jeden z sobowtórów wspiął się na pocięte łożo i zaczął przekradać się po nim na drugą stronę, z mieczem w pogotowiu, rozkopując gęsi puch. Pozostali dwaj powoli szli dookoła, nadal ignorując się wzajemnie, widząc tylko Randa. Ich oczy lśniły jak szkło.

Rand zadygotał, gdy ból przeszył jego dłoń wspartą o blat stolika. Jego replika, nie wyższa niż sześć cali, dobytej maleńkiego miecza. Instynktownie chwycił karzełka, zanim zdążył ponownie zadać cios. Sobowtór wił się w jego uścisku, szczerząc ząbki. Zauważył, że wszędzie, w całej izbie, coś się mrowi, że z wypolerowanego srebra występują całe rzesze kolejnych jego odbić. Ręka zaczęła mu drętwieć, marzła, jakby stwór wysysał z ciała całe ciepło. W jego wnętrzu wezbrał żar *saidina*, głowę wypełnił rwący pęd i ogień wsączył się do zlodowaciałej dłoni.

Nagle mała postać pękła niczym bańka mydlana i po chwili poczuł się, jakby coś odzyskał, jakby wracała doń niewielka część utraconej siły. Targnęły nim drgawki, po skórze przebiegł grad mikroskopijnych, ożywczych wstrząsów.

Kiedy podniósł głowę — zastanawiając się, dlaczego nie umarł — niewielkie odbicia, które uchwycił kątem oka, zniknęły. Trzy większe zamigotały i zbladły, jakby siły, które odzyskał dla nich, oznaczały utratę. Jednakże, kiedy im się tak przypatrywał, zestaliły się ponownie i ruszyły na niego, tym razem ostrożniej.

Zaczął się cofać, gorączkowo myśląc, wygrażając mieczem pierwszemu, potem drugiemu. Jeżeli dalej będzie walczył w taki sposób jak dotąd, to prędzej czy później i tak go zabiją. Był tego pewien, jak i pewien był, że krwawi. A jednak odbicia były jakoś ze sobą połączone. Wchłaniając tamto małe — od tej myśli zrobiło mu się niedobrze, ale tak to właśnie było — nie tylko pozbył się pozostałych, ale także wpłynął na większe, na moment przynajmniej. Gdyby mógł zrobić to sarno z jednym, wówczas może udałoby mu się zniszczyć wszystkie trzy.

Sama myśl, że miałby ich wchłonać w siebie, sprawiła, że jego żołądek skrzył się w ciasny supeł, nie potrafił jednak nic innego wymyślić.

„Nie wiem jak. Jak ja to zrobiłem? Światłości, co ja zrobiłem?”

Musiał stoczyć z jednym walkę wręcz albo przynajmniej go dotknąć, o tym był z niewiadomych powodów przekonany. Ale jeśli spróbuje podejść tak blisko, to trzy ostrza przeszyją go w czasie odmierzonego przez tyleż uderzeń serca.

„Odbicia. Czy to są wciąż jeszcze odbicia?”

W nadziei, że nie jest skończonym głupcem — jeśli tak, to równie dobrze mógłby być martwym głupcem — pozwolił mieczowi zniknąć. Był gotów przywołać go błyskawicznie z powrotem, ale kiedy jego ostrze z wygiętego płomienia zamigotało i przestało istnieć, miecze sobowtórów również zniknęły. Przez chwilę na ich krwawiących twarzach malowała się dezorientacja. Zanim jednak zdążył rzucić się na któregoś z nich, skoczyli na niego i wszyscy czterej runęli z łomotem na podłogę, tworząc płataninę kończyn, przetaczającą się po zasłanym odłamkami szkła i porcelany dywanie.

Ciało Randa przeniknął chłód. Odrętwienie wpełzło w kończyny, dotarło do kości, aż wreszcie niemalże przestał czuć odłamki luster i porcelanowe skorupy, które wbijały się w jego ciało. Na powierzchni Pustki zamigotało uczucie pokrewne panice. Być może popełnił śmiertelny błąd. Byli więksi od tego, którego wchłonał, i wysysali z niego więcej ciepła. I nie tylko ciepła. W miarę jak przepełniało go zimno, szkliste szare oczy, wpatrujące się w niego, nabierały życia. Z lodowatą pewnością wiedział, że nawet gdyby umarł, walka się nie skończy. Tych trzech będzie toczyć bój, aż wreszcie zostanie tylko jeden, a ten będzie posiadał jego życie, jego wspomnienia, stanie się nim.

Walczył uparcie, z tym większą zawziętością, im był słabszy. Przyciągnął *saidina*, starając się wypełnić jego żarem. Nawet ta skaza, która wywracała żołądek na nice, była mile witana, bo im silniej ją czuł, tym mocniej zalewał go *saidin*.

Skoro jego żołądek się buntował, to znaczyło, że jeszcze żył, a skoro żył, to mógł walczyć.

„Ale jak? Jak? Co ja wtedy zrobiłem?”

*Saidin* płynął przez niego rwącym potokiem, zaczęło mu się wydawać, że jeśli nawet pokona napastników, to i tak potem strawi go Moc.

„Jak ja to zrobiłem?”

Mógł tylko przyciągnąć *saidina* i próbować... dosięgnąć... wyciągnąć się...

Jeden z trzech zniknął — Rand poczuł, jak wsuwa się w niego, wyglądało to tak, jakby spadł z wysokości, rozplaszczając się na kamiennym podłożu — a potem wchłonął od razu pozostałych dwóch. Siła uderzenia rzuciła go na plecy i teraz leżał bez ruchu, wpatrzony w sufit, w sztukaterie z pozłacanymi wypukłościami, leżał, rozkoszując się faktem, że wciąż jeszcze żyje.

Moc nadal wzbierała w każdej szczelinie jego istoty. Miał ochotę zwymiotować wszystkie posiłki, które zjadł w życiu. Czuł się tak żywy, że w porównaniu z tym stanem, życie nie nasączone *saidinem* przypominało egzystencję zanurzoną w wiecznym cieniu. Czuł pszczeli wosk świec i oliwę w lampach. Czuł każde włókno dywanu pod plecami. Czuł każde nacięcie w ciele, każdą ranę, zadrapanie, siniak. Wciąż jednak nie wypuszczał *saidina*.

Próbował go zabić któryś z Przeklętych. Albo wszyscy Przekłęci naraz. Tak musiało być, chyba że Czarny znowu się uwolnił, nie sądził jednak, by w takim przypadku czekało go coś równie łatwego i prostego. Tak więc nie przerywał więzi z Prawdziwym Źródłem.

„Chyba iż ja sam to zrobiłem. Czyżbym tak nienawidził tego, czym jestem, że aż próbowałem zabić sam siebie? Nie wiedząc nawet, co robię? Światłości, muszę się nauczyć, jak nad tym panować. Muszę!”

Podźwignął się, jęcząc z bólu. Pozostawiając krwawe odciski stóp na dywanie, pokuśtykał do postumentu, na którym spoczywał *Callandor*. Od stóp do głów zalany był krwią z niezliczonych ran. Miecz, kiedy go podniósł, rozjarzył się cały przepływającą przezeń Mocą. Miecz Który Nie Jest Mieczem. To ostrze, na pozór szklane, mogło ciąć równie dobrze jak najcieńsza stal, choć *Callandor* w istocie wcale nie był mieczem, lecz *sa'angrealem*, pozostałością po Wieku Legend. Za pomocą tych stosunkowo nielicznych *angreali*, które odnaleziono po Wojnie z Cieniem i Pęknięciu Świata, można było przenosić strumienie Jedynej Mocy, które bez nich spaliłyby przenoszącego. Dzięki któremuś z jeszcze rzadszych *sa'angreali* strumienie dawało się potęgować w takim stopniu, w jakim przenoszenie za pomocą *angreala* różniło się od przenoszenia bez wspomaganie. A *Callandor*, którego użyć mógł jedynie mężczyzna związany ze Smokiem Odrodzonym, legendą i prorocstwem liczącymi sobie trzy tysiące lat, był jednym z najpotężniejszych *sa'angreali*, jakie kiedykolwiek wykonano. Z *Callandorem* w ręku mógł za sprawą jednego ciosu równać z ziemią całe miasta. Z *Callandorem* w ręku mógł stawić czoło nawet jednemu z Przeklętych.

„To byli oni. To musieli być oni”.

Nagle uświadomił sobie, że w ogóle nie słyszy Berelain. Odwrócił się, mocno przestraszony, że zobaczy ją martwą.

Ciągle jeszcze klęcząc, wzdrygnęła się. Znowu miała na sobie szatę, przyciskała ją do ciała niczym stalową zbroję albo obronny mur. Z twarzą zbieła jak śnieg oblizwała wargi.

— Który to...? — Przełknęła ślinę i zaczęła od nowa. — Który to...? — Nie

była w stanie dokończyć.

— Tylko ja tu jestem — odparł łagodnym głosem. — Ten, którego traktowałeś tak, jakbyś była z nim zaręczona.

Chciał ją uspokoić, może nawet sprawić, by się uśmiechnęła — z pewnością kobieta tak silna, jaką bez wątpienia była, potrafiła się uśmiechać, nawet jeśli stał przed nią zalany krwią człowiek — a jednak Berelain pochyliła się ku przodowi, skłaniając twarz do posadzki.

— Pokornie przepraszam za to, że tak ciężko ci ubliżyłam, Lordzie Smoku. — W jej głosie, ledwie słyszalnym, istotnie brzmiała pokora, a także strach. Zupełnie do niej niepodobne. — Błagam, zapomnij, że cię obraziłam, i przebacz. Nie będę cię więcej nachodziła. Przysięgam, Lordzie Smoku. Na imię mej matki, pod Światłością, przysięgam.

Poluźnił zawiązany strumień, niewidzialna ściana, która ograniczała jej ruchy, zadrgała, naciskając na szatę.

— Nie mam czego wybaczać — odparł znużonym głosem. — Możesz odejść, jeśli chcesz.

Wyprostowała się niepewnie, wyciągnęła rękę i westchnęła z ulgą, gdy jej palce natrafiły na przeszkodę. Zgarnawszy spódnice, poszła ostrożnie przez usłany szkłem dywan, przy akompaniamencie zgrzytu okruchów, który dobywał się spod podeszew jej aksamitnych trzewików. Przed drzwiami zatrzymała się i z wyraźnym trudem odwróciła się w jego stronę. Nie bardzo umiała spojrzeć mu w oczy.

— Przyślę do ciebie Aielów, jeśli chcesz. Mogę też posłać po jedną z Aes Sedai, by opatrzyła twe rany.

„Prędzej wolałaby znaleźć się w jednej izbie z Myrdraalem albo samym Czarnym, nie jest jednak aż tak tchórzliwa”.

— Dziękuję ci — odparł — ale nie. Byłbym wdzięczny, gdybyś nikomu nie mówiła, co tu się stało. Przynajmniej na razie. Sam zrobię, co trzeba.

„To musieli być Przeklęci”.

— Jak Lord Smok rozkaże. — Dygnęła sztywno i pośpiesznie wybiegła z izby, być może obawiając się, że mógłby zmienić zdanie i jej nie puścić.

— Prędzej z Czarnym — mruknął do siebie, gdy drzwi się zamknęły.

Dokuśtykawszy do łoża, opadł na stojącą u jego stóp skrzynię i ułożył *Callandora* na kolanach, wspierając zakrwawione dłonie na rozjarzonej rękojeści. Z *Callandorem* w ręku przestraszyłby nawet Przekłętego. Za chwilę pośle po Moiraine, żeby uzdrowiła mu rany. Za moment przemówi do skrytych za drzwiami Aielów i na nowo stanie się Smokiem Odrodzonym. Na razie chciał tylko posiedzieć i powspominać pewnego pasterza, który nazywał się Rand al'Thor.

# ODBICIE

Mimo późnej pory tłoczno było w szerokich korytarzach fortecy, pełnił po nich jednostajny strumień mężczyzn i kobiet, ubranych w czerń i złoto służby Kamienia, względnie w liberie któregoś z Wysokich Lordów. Nierzadko można było dostrzec wśród nich Obrońców, z gołymi głowami, nieuzbrojonych, często w rozpiętych kaftanach. Służący, którym zdarzyło się znaleźć w pobliżu Perrina i Faile, kłaniali się albo dygali i zaraz biegli dalej, ledwie się zatrzymawszy. Większość żołnierzy natomiast wzdrygała się na ich widok. Niektórzy kłaniali się sztywno, z ręką przyłożoną do serca, wszyscy jednak bez wyjątku przyśpieszali kroku, jakby nagle przypominali sobie, że dokądś się śpieszą.

Na każde trzy lub cztery lampy paliła się tylko jedna. Szara mgiełka cieni kryła zawieszona na ścianach gobeliny i przygodnie rozstawione skrzynie. Tylko wzrok Perrina potrafił przeniknąć tę ciemność. W mętnych czeluściach korytarza jego oczy jarzyły się niczym wypolerowane złoto. Szedł szybko od lampy do lampy, ze spuszczonej powiekami, dopóki nie znalazł się w pełnym świetle. Tak czy owak większość mieszkańców Kamienia wiedziała o dziwnej barwie jego oczu. Nikt naturalnie o nich nie mówił. Nawet Faile zdawała się uważać, że ta barwa jest wynikiem jego związków z Aes Sedai, a więc czymś, co należało po prostu zaakceptować, nie zaś poddawać dalszym wyjaśnieniom. A jednak za każdym razem ciarki przechodziły mu po plecach, gdy spostrzegał, że ktoś obcy wzdrygał się w ciemnościach na widok jego błyszczących źrenic. Nawet jeśli trzymali języki za zębami, ich milczenie dodatkowo podkreślało jego odmienność.

— Wolałbym, żeby tak na mnie nie patrzyli — mruknął, gdy jakiś szpakowaty Obrońca, dwakroć odeń starszy, mijając go, omal nie zaczął biec. — Zupełnie jakby się mnie bali. Dlaczego ci wszyscy ludzie nie leżą jeszcze w łóżkach?

Jakaś kobieta, ze szczotką i wiadrem, dygnęła i umknęła z pochyloną głową.

Faile, z ręką oplecioną wokół jego ramienia, zerknęła na niego z ukosa.

— Ja bym powiedziała, że to Strażników nie powinno się widzieć w tej części Kamienia, jeśli akurat nie pełnią służby. Najlepsza pora, by pościskać się ze służebną na krześle lorda, a może nawet poudawać, że jest się lordem i lady, bo wszak oni dwoje teraz śpią. Strażnicy pewnie się boją, że mógłbyś na nich donieść. Natomiast służący wykonują większość prac w nocy. Któż by chciał, żeby

mu się za dnia płatali pod nogami, zamiatali, odkurzali i polerowali?

Niezdecydowanie pokiwał głową. Przypuszczał, że wiedzę o takich rzeczach wyniosła z domu swego ojca. Zamożny kupiec zatrudniał pewnie służbę oraz strażników do pilnowania wozów. Tym ludziom przynajmniej nie zdarzyło się to, co jemu. W takim przypadku nie tylko nie leżeliby teraz w łózkach, ale zapewne opuściliby natychmiast Kamień i do tej pory chyba by jeszcze biegli. Tylko dlaczego akurat on stał się niedoszłą ofiarą? Nie dążył do konfrontacji z Randem, ale ze wszech miar pragnął wiedzieć. Faile musiała mocno wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć.

Mimo całego splendoru, złota, misternych rzeźbień i intarsji, wnętrze Kamienia zostało zaprojektowane dla celów obronnych. Sklepienia nad wszystkimi skrzyżowaniami korytarzy oznaczone były otworami dla skrytobójców. Nigdy nie używane szczeliny łucznicze przecinały ściany izb w miejscach, z których można było ostrzeliwać cały korytarz. Perrin i Faile wspinali się na górę po wąskich, krętych schodach, wbudowanych w mury lub odpowiednio ogrodzonych, skąd przez dodatkowe szczeliny łucznicze dawało się wyjrzeć na biegnący niżej korytarz. Naturalnie żaden z tych elementów konstrukcyjnych nie powstrzymał Aielów, pierwszych wrogów, którym udało się sforsować zewnętrzne mury.

Gdy wbiegli na kolejny odcinek kręconych schodów Perrin nawet nie zauważył, że biegną, mimo że poruszały się jeszcze szybciej, gdyby nie Faile, uwieszona u jego ramienia — złowił zapach zastarzałego potu i ledwie wyczuwalny ślad mdląco słodkich perfum, jednak zarejestrował te wonie tylko marginalną częścią swego umysłu. Bez reszty pochłaniało go to, co zamierzał powiedzieć Randowi.

„Dlaczego próbowałeś mnie zabić? Czyżbyś już popadł w obłęd?”

Niełatwo będzie o to pytać, podobnie jak nie będzie prostych odpowiedzi.

Gdy wyszedł na ciemny korytarz, położony już prawie u samego szczytu Kamienia, w polu jego widzenia pojawiły się plecy jakiegoś lorda oraz jego dwóch przybocznych Strażników. Jedyne Obrońcom wolno było nosić w Kamieniu broń, a tych trzech miało przypasane do bioder miecze. Nie to, rzecz jasna, było takie niezwykle, lecz fakt, że znajdowali się tutaj, na tym piętrze, w tych cieniach, że wpatrywali się z napięciem w plamę jasnego światła na przeciwległym końcu korytarza to wcale nie było normalne. Światło padało z przedsionka komnat, które dano Randowi. Albo które sam sobie wziął. Czy wreszcie do których upchnęła go Moiraine.

Perrin i Faile nie zadali sobie trudu, by zachować ciszę podczas wspinaczki po schodach, niemniej jednak trzech mężczyzn trwali na swym stanowisku z takim napięciem, że z początku żaden ich nie zauważył. Potem jeden ze Strażników w niebieskim kaftanie odwrócił głowę, jakby nagle coś ukuło go w kark... i opadła mu szczeka. Mnąc w ustach przekleństwo, zakręcił się błyskawicznie, by stanąć twarzą w twarz z Perrinem, ostrze teraz na poły wyskoczyło z pochwy. Drugi spóźnił się zaledwie o uderzenie serca. Stali teraz napięci, gotowi, lecz ich



oczy biegały niespokojnie, umykając przed wzrokiem Perrina. Wydzielali kwaśny odór strachu. Podobnie Wysoki Lord, z tą różnicą, że temu udało się okiełznać do pewnego stopnia swój strach.

Wysoki Lord Torean, którego ciemną, spiczastą brodę przetykała biel, poruszał się ospale, jakby tańczył na balu. Wyciągnął z rękawa trochę nazbyt słodko pachnącą chusteczkę i przytknął ją do wydatnego nosa. Zresztą ten nos wcale nie wydawał się aż taki duży, kiedy porównało się go z uszami. Uszyty z cienkiego jedwabiu i ozdobiony mankietami z czerwonej satyny kaftan, przesadnie podkreślał pospolite rysy twarzy. Objął spojrzeniem rękawy koszuli Perrina, ponownie wytarł nos i dopiero wtedy nieznacznie skłonił głowę.

— Niechaj cię Światłość oświeci — zagaił uprzejmie. Jego wzrok pochwyciły żółte oczy Perrina, wzdrygnął się, lecz nie zmienił wyrazu twarzy. — Ufam, że dobrze się miewasz?

Coś jakby zanadto uprzejmie.

Perrin nie przejął się specjalnie tonem jego głosu, ale pięści same mu się zaciśniły, kiedy zobaczył, jak Torean od stóp do głów mierzy wzrokiem Faile, udając na dodatek, że jego zainteresowanie jest czysto przypadkowe. Odpowiedział jednak w sposób najzupełniej obojętny.

— Niechaj cię Światłość oświeci, Wysoki Lordzie Torean. Cieszy mnie, że również strzeżesz Lorda Smoka. Człowieka o twojej pozycji wcale nie musiałyby cieszyć jego obecność w Kamieniu.

Wąskie brwi Toreana zadrgały.

— Proroctwo się wypełnia, a Łza zajmuje przeznaczone dla niej miejsce w tym proroctwie. Być może Smok Odrodzony poprowadzi Łzę ku jeszcze wspanialszemu przeznaczeniu. Jakiegoż człowieka mogłoby to nie cieszyć? Ale późno już. Życzę dobrej nocy. — Raz jeszcze zmierzył wzrokiem Faile, wydymając wargi, i krokiem nieco zbyt żwawym ruszył przed siebie, w głąb korytarza, oddalając się od światła przedsionka. Strażnicy deptali mu po piętach niczym dobrze wyszkolone psy.

— Nie było potrzeby, byś zachowywał się w sposób równie nieokrzesany — zauważyła z przekąsem Faile, kiedy Torean znalazł się poza zasięgiem jej głosu. — Rozmawiałeś z nim takim tonem, jakbyś miał język z zamarzniętego żelaza. Jeśli masz zamiar tu zostać, to lepiej naucz się, jak traktować lordów.

— Patrzył na ciebie w taki sposób, jakby chciał cię posadzić na swoich kolanach. I to wcale nie w ojcowski sposób.

Lekceważąco pociągnęła nosem.

— To nie pierwszy mężczyzna, który tak na mnie spojrzał. Gdyby miał chęć posunąć się dalej, usadziłabym go na miejscu uniesieniem brwi i spojrzeniem. Nie musisz występować w moim imieniu, Perrinie Aybara. — Nadal jednak nie słyszał w jej głosie prawdziwego niezadowolenia.

Drapiąc się po brodzie, obejrzał się ukradkiem za Toreanem i zobaczył, jak

lord oraz jego Strażnicy znikają za dalekim zakrętem. Zastanawiał się, jak lordowie Łzy to robią, że nie wypacają z siebie ostatnich kropel wody.

— Zauważyłaś, Faile? Jego psy nie spuściły rąk z rękojeści mieczy, dopóki nie oddalił się od nas na odległość dziesięciu kroków.

Popatrzyła krzywo na niego, potem w głąb korytarza w ślad za oddalającą się trójką i wolno skinęła głową.

— Masz rację. Ale nie rozumiem. Niby nie płaszczą się tak jak przed nim, a jednak wszyscy obchodzą was, ciebie i Mata, równie ostrożnie, jakbyście byli Aes Sedai.

— Może przyjaźń ze Smokiem Odrodzonym nie stanowi już takiej ochrony jak jeszcze niedawno.

Nie przypomniała mu po raz kolejny o wyjeździe, w każdym razie nie powiedziała na głos ani słowa, niemniej jej spojrzenie mówiło samo za siebie. Łatwiej przychodziło mu jednak ignorować niewypowiedziane sugestie.

Zanim dotarli do końca korytarza, w plamie światła przedsiönka pojawiła się znieścacka Berelain, kurczowo przyciskając swą białą szatę do ciała. Gdyby Pierwsza z Mayene jeszcze odrobinę przyspieszyła kroku, wówczas można by sądzić, że ucieka, zdjęta paniką.

Chcąc zademonstrować Faile, że zgodnie z jej życzeniem stać go na uprzejmość, wykonał zamaszty ukłön, który, gotów był się założyć, nawet Matowi nie wyszedłby lepiej. W przeciwieństwie do niego Faile, zamiast dygnąć, poprzestała na nieznacznym skinieniu głową i lekkim ugięciu kolana. Ledwie to zauważył. Kiedy Berelain minęła ich w pędzie, nawet nie obdarzywszy przelotnym spojrzeniem, nozdrza mu zadrgały, gdy uderzył w nie odór strachu, cuchnącego i cierpkiego, jakby dobywał się z gnijącej rany. W porównaniu z nim strach Toreana w ogóle się nie liczył. To była obłąkańcza panika, trzymana na uwięzi za pomocą przetartego powroza. Wyprostował się powoli, odprowadzając ją wzrokiem.

— Sycisz oczy? — spytała cicho Faile.

Pochłonięty widokiem Berelain, ciekaw, co ją tak rozstroiło, bez zastanowienia odparł:

— Pachniała. . .

Na końcu korytarza, z bocznego odgałęzienia wyłonił się niespodzianie Torean i schwycił Berelain za ramię. Zaczął gwałtownie coś do niej mówić, ale Perrin nie był w stanie wychwycić więcej niż garść oderwanych słów, coś o przekraczaniu przez nią granic godności, a nadto coś, co brzmiało, jakby proponował jej swoją ochronę. Odpowiedź była krótka, cięta i zupełnie niesłyszalna. Pierwsza z Mayene uniosła dumnie podbródek, wyswobodziła się z uścisku Wysokiego Lorda i oddaliła, nie obejrzawszy ani razu za siebie; najwyraźniej odzyskała już panowanie nad sobą. Torean, który już miał pójść za nią, zauważył, że Perrin ich obserwuje. Przytykając chusteczkę do nosa, zniknął w bocznym korytarzu.

— Nie obchodzi mnie, czy pachniała „Esencją Świtu” — odparła ponurym

głosem Faile. — Takiej nie interesuje polowanie na niedźwiedzia, choćby nie wiadomo jak wspaniale wyglądała na ścianie jego rozpostarta skóra. Ona poluje na słońce.

Zmarszczył czoło.

— Słońce? Niedźwiedź? O czym ty mówisz?

— Idź sam. Ja chyba jednak wrócę do łóżka.

— Jeśli tak sobie życzysz — powiedział wolno — ale myślałem, że podobnie jak ja chcesz się dowiedzieć, co się stało.

— Chyba nie. Nie będę udawała, że pragnę zobaczyć... Randa... zwłaszcza że dotąd cały czas tego unikałam. I teraz też nie mam na to szczególnej ochoty. Bez wątpienia wam dwóm będzie się świetnie rozmawiało beze mnie. Przy winie zwłaszcza.

— Mówisz od rzeczy — mruknął, przeczesując dłonią włosy. — Chcesz się położyć, nie ma sprawy, ale wolałbym, żebyś powiedziała coś, co zrozumiem.

Przez długą chwilę badała jego twarz, po czym nagle zagryzła wargę. Miał wrażenie, że powstrzymuje się od śmiechu.

— Och, Perrin, czasami myślę, że najbardziej ze wszystkiego uwielbiam twoją niewinność. — Raczej nie było wątpliwości, odległe dzwoneczki śmiechu srebrzyły jej głos. — Idź do... swego przyjaciela, opowiesz mi o wszystkim rano. Tyle, ile będziesz chciał. — Przyciągnęła jego głowę, by musnąć przelotnie usta, zbyt szybko jak na prawdziwy pocałunek, a potem pobiegła korytarzem.

Kręcąc głową, odprowadzał ją wzrokiem, aż skręciła w stronę schodów, na których nie było już ani śladu po Toreanie. Zdarzało się czasem, że rozmawiała z nim jakby całkiem innym językiem. Ruszył w kierunku światła.

Przedsionek był owalną komnatą o szerokości jakichś pięćdziesięciu, może więcej, kroków. Z wysokiego sklepienia zwisało na łańcuchach ze sto pozłaczanych lamp. Kolumny z wypolerowanego czerwonego kamienia tworzyły wewnętrzny pierścień, posadzka wyglądała jak jeden ogromny blok czarnego marmuru, przetykanego złotymi żyłami. Był to przedsionek komnat królewskich w czasach, kiedy w Łzie panowali królowie, zanim Artur Hawkwing podporządkował wszystkie ziemie, począwszy od Grzbietu Świata, a skończywszy na oceanie Aryth, jednemu królowi. Po rozpadzie imperium Hawkwinga królowie Łzy nie powrócili na swój tron i przez tysiąc lat jedynymi mieszkańcami tych apartamentów były buszujące w kurzu myszy. Żaden Wysoki Lord nie zdobył nigdy dość władzy, by móc rościć sobie do nich prawo.

Na środku izby stał krąg utworzony przez pięćdziesięciu wyprężonych Obrońców, w błyszczących napierśnikach, hennach z wywiniętymi brzegami, z włóczniami ustawionymi pod równym kątem. Tak rozstawieni, by widzieć izbę z wszystkich stron, mieli za zadanie nie dopuszczać do obecnego władcy Kamienia żadnych intruzów. Ich dowódca, kapitan, którego wyróżniały dwa krótkie, białe pióra na hełmie, przybrał zaledwie odrobinę mniej sztywną postawę. Prę-

żył się, z jedną ręką wspartą na rękojeści miecza, drugą na biodrze, przekonany o niezwykłej doniosłości swej misji. Wszyscy pachnieli strachem i niepewnością, podobni ludziom, którzy mieszkają pod zapadającym się klifem, wierząc, że nigdy się nie zawali. A w każdym razie jeszcze nie tej nocy. Przynajmniej nie w ciągu najbliższej godziny.

Perrin minął ich, stukot jego obcasów niósł się echem. Oficer ruszył w jego stronę, zawahał się jednak, gdy tamten nie przystanął, by poddać się kontroli. Wiedział oczywiście, kim jest Perrin, a przynajmniej wiedział tyle samo, co pozostali mieszkańcy Łzy. Towarzysz podróży Aes Sedai, przyjaciółki Lorda Smoka. Człowiek, któremu zwykły oficer Obrońców Kamienia nie miał prawa stanąć na drodze. Rzekomo miał za zadanie strzec odpoczynku Lorda Smoka i mimo że prawdopodobnie nigdy by się nie przyznał do tego nawet przed samym sobą, musiał wiedzieć, że jego rola na tym się kończy, że ogranicza się do dziarskiego paradowania w wypolerowanej zbroi. Prawdziwych strażników Perrin napotkał, gdy przekroczył krąg kolumn i zbliżył się do drzwi wiodących do komnat Randa.

Sześć Panien Włóczni, sześć kobiet z ludu Aielów, które wybrały życie wojowniczek zamiast domowego ogniska, siedziało tak nieruchomo za kolumnami, że zdawały się stapiać z kamieniem, mimo że ich kaftany i spodnie — w różnych odcieniach szarości i brązu, uszyte tak, by maskować ich obecność w Pustkowiu — tutaj zdradzały je przy każdym ruchu. Wysokie jak na kobiety, najwyższa zaledwie o dłoń niższa od niego, opalone, z krótko przystrzyżonymi włosami, żółtymi, rudawymi oraz we wszystkich pośrednich odcieniach. Błyskawicznie stanęły między nim a drzwiami, w wysoko sznurowanych butach z miękkiej skóry poruszały się zupełnie bezgłośnie. Dwie trzymały w rękach zakrzywione łuki z rogu ze strzałami nasadzonymi na cięciwy. Pozostałe miały małe skórzane tarcze, a wszystkie po trzy lub cztery krótkie włócznie — krótkie, a za to wyposażone w groty tak długie, że wbijały się w ciało, zostawiając kilka cali zapasu.

— Nie sędzę, bym mogła cię wpuścić — oświadczyła kobieta o włosach płomienistej barwy, uśmiechając się nieznacznie, by załagodzić ostrość swoich słów. Aielowie nie uśmiechali się tak szeroko jak inni ludzie, zasadniczo też nie zdradzali emocji. — Wydaje mi się, że on nie życzy sobie nikogo widzieć tej nocy.

— Wchodzę, Bain. — Usiłował schwycić ją za ramiona, ignorując ostrze jej włóczni. To znaczy starał się je zignorować, nie sposób wszakże nie zwracać zupełnie uwagi na stal przytkniętą do gardła. Dwa ostrza, jeśli już o to chodzi, z drugiej strony bowiem doskoczyła Chiad, kobieta o nieco jaśniejszych włosach niż Bain, i teraz stał, czując nacisk obu ostrzy na szyi. Pozostałe kobiety tylko ich obserwowały, przekonane, że Bain i Chiad potrafią same dać sobie radę. Perrin stanął jednak na wysokości zadania.

— Nie mam czasu na spory z wami. Zwłaszcza że nie słuchacie ludzi, którzy się z wami spierają. Wchodzę. — Najdelikatniej jak potrafił, podniósł Bain i odsunął ją na bok.

Włócznia Chiad napięła skórę jego szyi, najlżejszy nacisk wystarczyłby, żeby pokazała się krew, lecz Bain nagle opuściła włócznię i uśmiechnęła się szeroko.

— Chciałbyś może poznać zabawę zwaną „Pocałunkiem Panien”, Perrin? Sądzę, że byłbyś niezłym graczem. A w każdym razie czegoś byś się nauczył.

Któraś wybuchnęła śmiechem. Ostrze Chiad odsunęło się od jego szyi.

Wciągnął oddech, mając nadzieję, iż nie zauważą, że zrobił to po raz pierwszy, od chwili, gdy z bliska zobaczył śmiertelne ostrza. Nie osłoniły twarzy — *shoufy*, podobne do ciemnych szali, miały związane na szyjach — nie wiedział jednak, czy Aielowie obowiązani są osłaniać twarze, zanim zabiją, czy raczej jest to tylko zwyczajowy znak ostrzegawczy.

— Może innym razem — odparł uprzejmie. Wszystkie uśmiechały się szeroko, jakby Bain powiedziała coś zabawnego, a to, że on nic nie zrozumiał, stanowiło część żartu. Thom miał rację. Jego zdaniem, mężczyzna prędzej oszaleje, zanim zrozumie kobietę, nieważne z jakiego pochodzi kraju albo czym się w życiu zajmuje.

Gdy dotykał już gałki w drzwiach, w kształcie wierzgającego, złotego lwa, Bain dodała:

— Dobrze się nad tym zastanów. Dzisiejszej nocy wypędził już od siebie takich, których trudno nie uznać za lepsze towarzystwo niż ty.

„Prawda — pomyślał, otwierając drzwi. — Berelain. Ona stąd wyszła. Tej nocy wszystko się odmienia. . .”

Myśl o Pierwszej z Mayene rozwiła się bez śladu, kiedy tylko ogarnął wzrokiem komnatę. Na ścianach wisiały porozbijane lustra, posadzkę zaścieniały odłamki szkła, okruchy porcelany i kłęby pierza z pociętych materaców. Między poprzewracanymi krzesłami i ławami wałały się otwarte księgi. Rand natomiast siedział u stóp łoża, wsparty o jeden z filarów, z zamkniętymi oczyma i dłońmi na *Callandorze*, spoczywającym na kolanach. Wyglądał, jakby przed chwilą zanurzył się w wannie pełnej krwi.

— Sprowadźcie Moiraine! — rozkazał Perrin Pannom Włóczni. Czy on jeszcze żyje? Jeśli tak, to Aes Sedai powinna go uzdrowić. — Powiedzcie jej, że ma się pospieszyć! Usłyszał za sobą zduszony okrzyk, a potem stłumiony tupot miękkich butów.

Rand podniósł głowę. Smugi szkarłatu rozmazane na twarzy tworzyły rodzaj maski.

— Zamknij drzwi.

— Zaraz tu będzie Moiraine, Rand. Odpoczywaj. Ona. . .

— Zamknij drzwi, Perrin.

Wojowniczkę skrzywiły się, mrużąc coś do siebie półgłosem, ale w końcu wyszły. Perrin zatrzaskał drzwi, tłumiąc pytający okrzyk, który wyrwał się oficerowi Obrońców.

Gdy szedł przez dywan w kierunku Randa, pod butami chrupało mu szkło. Oddał pas z porzniętego lnianego prześcieradła i przytknął go do rany w boku Randa. Ucisk sprawił, że dłonie rannego zacisnęły się kurczowo na przezroczystym mieczu, po chwili osłabły. Krew niemal natychmiast przeciekła przez bandaż. Nacięcia i rany pokrywały jego skórę od podbicia stóp aż po czubek głowy, w wielu iskrzyły się odłamki szkła. Perrin bezradnie wzruszył ramionami. Nie wiedział, co mógłby zrobić więcej prócz czekania na Moiraine.

— Cóżes ty, na Światłość, chciał zrobić, Rand? Wyglądasz, jakbyś próbował sam się obdrzeć ze skóry. Poza tym omal mnie nie zabiłeś.

— To nie ja — odparł w końcu Rand, niemal szeptem. — Jeden z Przeklętych.

Perrin usiłował rozluźnić napięte mięśnie, miał wrażenie, że za chwilę zaczną łapać go kurcze. W rozmowie z Faile wspomniał Przeklętych, nie całkiem przypadkowo, ale ogólnie rzecz biorąc, starał się nie myśleć o tym, co mogliby zrobić, gdyby odkryli, gdzie jest Rand. Gdyby któremuś lub którejś z nich udało się pokonać Smoka Odrodzonego, wówczas przejąłby władzę nad pozostałymi, stając się namiestnikiem Czarnego na ziemi. Później Czarny wydostałby się z więzienia, wygrywając Ostatnią. Bitwę jeszcze przed jej rozpoczęciem.

— Jesteś pewien? — zapytał równie cichym głosem.

— Tak musiało być, Perrin. Na pewno.

— Skoro jeden z nich zaatakował nie tylko ciebie, ale również mnie...? Gdzie teraz jest Mat, Rand? Jeżeli żyje i przeszedł to samo co ja, to pewnie tak samo jak ja rozumuje. Że to byłeś ty. Powinien już tu być, żeby cię przekląć.

— Albo dosiadł konia i jest już w połowie drogi do bram miasta. — Rand wyteżył siły, starał się usiąść prosto. Zasychające smugi krwi popękały i znów po piersi i ramionach spłynęły strumyczki świeżej czerwieni. — Jeżeli on zginął, Perrin, musisz uciekać ode mnie, najdalej jak się da. Uważam, że w tej sprawie obaj z Loialem macie rację. — Umilkł, przyglądając się badawczo Perrinowi. — Ty i Mat wolelibyście pewnie, żebym się nigdy nie urodził. Albo przynajmniej żebyście mnie nigdy nie poznali.

Nie miało sensu iść i sprawdzać — jeśli Matowi coś się stało, to teraz już i tak było za późno. Poza tym odnosił wrażenie, że prowizoryczny opatrunek, który przyciskał do boku Randa, może podtrzymać go przy życiu do czasu przybycia Moiraine.

— Wyraźnie cię nie obchodzi, czy on wyjechał. Niech skonam, Mat też jest ważny. Co zrobisz, jeśli wyjechał? Albo zginął, Światłości, spraw, żeby tak się nie stało.

— To, czego spodziewasz się najmniej. — Oczy Randa przypominały poranną mgłę przesłaniającą brzask, przez błękitną szarość przebijała luna gorączki. Brzmienie głosu wskazywało, że jest zupełnie rozstrojony. — W każdym razie to, co muszę zrobić. To, czego nikt się nie spodziewa.

Perrin powoli wciągnął oddech. Rand ma prawo, by mieć stargane nerwy. To

nie objawy rodzącego się obłądu. Trzeba przestać doszukiwać się ich wszędzie. I tak niebawem wystąpią, czy chcą tego czy nie; tymczasem bezustanne podejrzenia powodowały tylko niepotrzebne zdenerwowanie. Nie ma sensu przejmować się tym, co się stać musi.

— Co to takiego? — spytał cicho.

Rand zamknął oczy.

— Wiem tylko, że muszę ich wziąć z zaskoczenia. Wziąć wszystkich z zaskoczenia — mamrotał gorączkowo.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł wysoki Aiel, o ciemnorudych włosach poprzetykanych pasmami siwizny. Za jego plecami podskakiwał pióropusz oficera, klócącego się z Pannami. Oficer nie przestał wymyślać nawet wtedy, gdy Bain zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Rhuarc zlustrował wnętrze spojrzeniem przenikliwych, błękitnych oczu, jakby podejrzewał, że za draperiami albo którymś z przewróconych krzesel kryje się wróg. Prócz noża z ciężkim ostrzem u pasa na pozór nie miał przy sobie żadnej broni, jednakże jego autorytet i odwaga same w sobie zdawały się częścią jego uzbrojenia, niemalże mógłby je nosić w pochwie przy pasie, obok noża. *Shoufe* miał przewieszoną przez ramię — gdy jakiś Aiel nosił przy sobie coś, czym mógł osłonić twarz, każdy, kto znał choć trochę obyczaje groźnych wojowników, powinien wiedzieć, co to oznacza.

— Tamten głupiec za drzwiami posłał wiadomość do swego dowódcy, że coś się tu stało — oznajmił Rhuarc — więc plotki kielkują już niczym trupi mech w głębokiej jaskini. Według jednej z nich cała Biała Wieża usiłowała cię zabić podczas Ostatniej Bitwy stoczonej w tej izbie.

Perrin otworzył usta, jednak Rhuarc powstrzymał go, podnosząc rękę.

— Przypadkiem spotkałem Berelain, która wyglądała tak, jakby przed chwilą poznała datę własnej śmierci. To ona mi powiedziała, co tu naprawdę zaszło.

— Posłałem po Moiraine — oświadczył Perrin.

Rhuarc skinął głową. Oczywiście Panny opowiedzą mu o wszystkim, czego się dowiedziały.

Rand rozkaszał się zbolatym śmiechem.

— Kazałem jej milczeć. Można by pomyśleć, że Lord Smok wcale nie jest władcą Mayene. — Najwyraźniej dopisywał mu kwaśny humor.

— Mam córki starsze od tej kobiety — oświadczył Rhuarc. — Nie wierzę, by komuś jeszcze o wszystkim opowiedziała. Myślę, że z chęcią zapomni jak najszybciej o wydarzeniach tej nocy.

— Natomiast ja chętnie bym się dowiedziała, co się tej nocy zdarzyło — oznajmiła Moiraine, wślizgując się do komnaty.

Mimo że tak drobna i szczupła — Rhuarc znacznie był od niej wyższy, podobnie jak Lan, jej Strażnik, który za nią wszedł do pomieszczenia — Aes Sedai natychmiast całkowicie zdominowała wszystkich obecnych. Musiała biec, skoro

zjawiała się tak prędko, jednak jej twarz spokojna była niczym skute lodem jezioro. Zburzenie spokoju Moiraine wymagało nie lada zachodu. Miała na sobie szatę z błękitnego jedwabiu, z wysokim koronkowym kołnierzem i rozcięciami na rękawach, wypełnionymi ciemniejszym aksamitem, a mimo to upał i wilgoć zdawały się nie dokuczać jej w najmniejszym stopniu. Mały, błękitny kamyk, zawieszony na cienkim, złotym łańcuszku, zdobiącym jej czoło, błyszczał w świetle, podkreślając gładkość i świeżość cery.

Jak zwykle podczas wzajemnych spotkań spojrzenia lodowato niebieskich oczu Lana i Rhurca niemal tryskały iskrami. Ciemne włosy Strażnika, przetykane na skroniach siwymi pasmami, podtrzymywała opaska ze splecionego rzemienia. Twarz, złożona z samych płaszczyzn i kątów, sprawiała wrażenie wykutej z kamienia, a zawieszony u pasa miecz prezentował się jak część ciała. Perrin nie umiał osądzić, który z nich dwóch jest bardziej niebezpieczny, czuł jednak, że na tej różnicy mysz by się nie pożywiła.

Strażnik spojrzał na Randa.

— Myślałem, że jesteś dostatecznie dorosły, by golić się bez pomocy obcej ręki.

Rhuarc uśmiechnął się nieznacznie. Perrin po raz pierwszy zauważył, by w obecności Lana zdobył się na taki gest.

— Jest jeszcze młody. Nauczy się.

Lan zerknął na Aiela i równie powściągliwie odwzajemnił uśmiech.

Moiraine obdarzyła obydwu mężczyzn przelotnym, miazdzącym spojrzeniem. Na pozór szła na skos przez dywan, zupełnie nie patrząc pod nogi, ale stapała tak lekko, unosząc spódnice, że ani jeden odłamek szkła nie zgrzytnął pod jej stopami. Omiotła wzrokiem całe wnętrze, Perrin pewien był, że nie przeoczyła najdrobniejszego szczegółu. Przyglądała mu się przez chwilę — nie spojrzał jej w oczy, za dużo o nim wiedziała, by mógł to zrobić z czystym sumieniem — ale cały czas sunęła w stronę Randa niczym milcząca lawina.

Perrin opuścił rękę, ustępując jej miejsca. Zwinięta tkanina przykleiła się do boku Randa, przytrzymywała ją teraz krzepnąca krew. Krew, którą był umazany od stóp do głów, zaczynała już zasychać, tworząc czarne smugi i plamy. W świetle lamp połyskiwały odpryski szkła, które utkwiły w skórze. Moiraine dotknęła zakrwawionej materii opuszkami palców, po czym odjęła dłoń, jakby postanowiła jednak nie sprawdzać, co jest pod spodem. Perrin dziwił się, jak Aes Sedai może patrzeć na Randa i nie krzywić się, jej gładka twarz ani na moment nie zmieniła wyrazu. Dobiegał od niej ulotny zapach różanego mydła.

— Przynajmniej żyjesz. — Jej głos brzmiał jak melodia, w tej chwili jednak chłodna i gniewna. — To, co się stało, może poczekać. Spróbuj dotknąć Prawdziwego Źródła.

— Po co? — spytał czujnym tonem Rand. — Nie mogę sam siebie uzdrowić, nawet gdybym wiedział, jak to się robi. Nikt nie może. Tyle wiem.



Przez moment wydawało się, że Moiraine zadziwi ich wybuchem gniewu, lecz już z następnym oddechem na powrót okryła się spokojem, tak głębokim, że z pewnością nic nie mogło go zburzyć.

— Tylko część siły niezbędnej do uzdrowienia pochodzi od Uzdrowiającego. Moc może zastąpić to, co pochodzi od Uzdrowianego. Bez tego spędzisz cały jutrzejszy dzień, leżąc płasko na plecach, a być może również i dzień następny. Sięgnij po Moc, jeśli możesz, ale nic z nią nie rób. Po prostu ją obejmij. Użyj, jeśli będziesz zmuszony. — Nie musiała się mocno pochylać, by dotknąć *Callandora*.

Rand usunął miecz spod jej dłoni.

— Trzymać po prostu, powiadasz. — Mówił takim tonem, jakby zbierało mu się na śmiech. — Ależ proszę bardzo.

Perrin nie zauważył, by coś się stało, w każdym razie nie nastąpiło nic, czego mógłby oczekiwać. Rand siedział na swym miejscu, niczym niedobitek po przegranej bitwie, patrząc na Moiraine, która ledwie mrugnęła powieką. Dwa razy, jakby bezwiednie, przejechała czubkami palców po wnętrzu dłoni.

Po jakimś czasie Rand westchnął.

— Nawet nie potrafię przywołać Pustki. Chyba nie jestem w stanie się skupić. — Przelotny uśmiech sprawił, że popękała skorupa zaschniętej krwi na jego twarzy. — Nie rozumiem dlaczego. — Spod lewego oka pociekła kropelka zgęstniałej czerwieni.

— A zatem zrobię to w taki sposób jak zwykle — oznajmiła Moiraine i ujęła dłoń Randa w swoje dłonie, nie zważając na krew, która plamiła jej palce.

Rand poderwał się na równe nogi, dusząc przeraźliwy krzyk, jakby mu wyciśnięto całe powietrze z płuc, tak mocno odginając głowę w tył, że omal się nie wyrwał z uścisku Moiraine. Jedno ramię wykonało szeroki zamach, palce rozczapierzyły się i zgięły tak mocno, jakby miały zaraz popękać, druga dłoń schwytała rękojęść *Callandora*, mięśnie przedramienia wyraźnie napięły się pod skórą. Dygotał niczym kawałek tkaniny łopoczący na wietrze. Posypały się ciemne płatki zaschłej krwi, okruchy szkła dźwięcząc spadały na pierś i posadzkę, wybrzuszone brzegi ran zakłęsały się i zrastały ze sobą.

Perrin drżał, jakby ta wichura szalała wokół niego. Widział już kiedyś, i to nie raz, uzdrawianie, dotyczące znacznie poważniejszych obrażeń, nie potrafił jednak znieść łatwo widoku używania względem kogoś Mocy, nawet jeżeli było to dla jego dobra. Opowieści o Aes Sedai, przywożone przez strażników kupieckich karawan oraz woźniców, zakorzeniły się głęboko w jego umyśle na wiele lat wcześniej, zanim poznał Moiraine. Rhurarc wydzielał woń niepokoju. Jedynie Lan przyjmował to jako coś oczywistego. Lan i Moiraine.

Skończyło się niemal tak szybko, jak się zaczęło. Moiraine odsunęła dłonie, a Rand osunął się bezwładnie, opierając o kolumnę łoża, by nie upaść. Trudno było orzec, czy mocniej ścisła ją czy raczej *Callandora*. Kiedy Moiraine usiłowała wziąć miecz, by umieścić go na ozdobnym postumencie pod ścianą, wyrwał go

jej stanowczo, niemal brutalnie.

Zacisnęła usta, poprzestała jednak na oderwaniu zwiniętej tkaniny od jego boku, by zetrzeć niektóre pozostałe plamy. Stara rana na powrót zmieniła się we wrażliwą bliznę. Inne obrażenia zwyczajnie zniknęły. Większość zaschłej krwi, która wciąż pokrywała ciało, równie dobrze mogła pochodzić od kogoś innego.

Moiraine zmarszczyła czoło.

— Nadal nie reaguje — mruknęła, częściowo do siebie. — Nie uzdrowi się całkowicie.

— To ona właśnie mnie zabije, prawda? — spytał ją cicho, potem zacytował: — „Jego krew na skalnych zboczach Shayol Ghul, która zmywa Ciebie, poświęcenie dla zbawienia człowieka”.

— Za dużo czytasz — upomniała go — a za mało rozumiesz.

— A ty rozumiesz więcej? Jeśli tak, to mi wyjaśnij.

— On tylko usiłuje odnaleźć własną drogę. — Niespodziewanie wtrącił się Lan. — Żaden człowiek nie lubi biec na oślep, gdy wie, że gdzieś z przodu znajduje się urwiste zbocze.

Perrin drgnął zaskoczony. Lan zasadniczo nigdy nie sprzeciwiał się Moiraine, a przynajmniej nie w obliczu innych ludzi. Ostatnio jednak spędzał sporo czasu z Randem, ucząc go posługiwania się mieczem.

W ciemnych oczach Moiraine zamigotał błysk.

— On musi się położyć do łóżka — powiedziała. — Zechcesz poprosić o przygotowanie wody do mycia i dodatkową sypialnię? Ta wymaga starannego sprzętania i nowego materaca.

Lan przytaknął i na moment wysunął głowę do przedsionka, by z kimś porozmawiać cichym głosem.

— Będę spał tutaj, Moiraine. — Ran wyprostował się i wbijając czubek *Callandora* w zaśmiecony dywan, wsparł się oburącz na rękojeści. Nawet jeśli używał miecza jako podpórki, to specjalnie nie rzucało się to w oczy. — Nikt już nie będzie na mnie polował. Zwłaszcza we własnym łóżku.

— *Tai'shar Manetheren* — mruknął Lan.

Tym razem nawet Rhuarc wyglądał na zaskoczonego, natomiast Moiraine, jeśli nawet usłyszała, jak Strażnik chwali Randa, to niczego nie pokazała po sobie. Wpatrywała się w Randa, z twarzą gładką wprawdzie, za to jej oczy miały błyskawice. Rand uśmiechnął się, nieznacznie, tajemniczo, jakby się zastanawiał, co ona teraz robi.

Perrin cofnął się ukradkiem w stronę drzwi. Jeśli Rand i Aes Sedai mieli zamiar stoczyć pojedynek woli, to on równie dobrze mógł znaleźć się gdzie indziej. Lana wyraźnie to nie interesowało, trudno było określić, jakie jest jego stanowisko, bo stał, jednocześnie jakby zgarbiony i wyprostowany. Mógł się nudzić do tego stopnia, że był gotów zasnąć tam, gdzie stoi, albo mógł natychmiast dobyć

miecza: jego postawa sugerowała, że jest zdolny do obu tych czynności równocześnie. Rhuarc zachowywał się mniej więcej tak samo, tyle że dodatkowo obserwował drzwi.

— Zostań tam, gdzie jesteś! — Wprawdzie Moiraine nie oderwała wzroku od Randa, a jej palec wskazywał miejsce znajdujące się gdzieś pomiędzy Perrinem i Rhuarkiem, mimo to stopy Perrina znieruchomiały. Rhuarc wzruszył ramionami i zaplótł ręce na piersiach.

— Co za upór — mruknęła Moiraine. Tym razem słowa były przeznaczone dla Randa. — Proszę bardzo. Jeśli masz zamiar stać tu tak długo, aż nie upadniesz na twarz, to wykorzystaj czas przed upadkiem, by mi wyjaśnić, co się stało. Nie mogę cię uczyć, ale jeśli powiesz, to być może określe, co złego zrobiłeś. Złego. Niewielka szansa, ale może się powiedzie. — Jej głos nabrał ostrzejszych tonów. — Musisz się nauczyć, jak to kontrolować, i nie chodzi tylko o takie zdarzenia jak to dzisiejsze. Jeśli się nie nauczysz kontrolować Mocy, ona cię zabije. Wiesz o tym. Powtarzałam ci to dostatecznie często. Musisz sam się nauczyć. Musisz to w sobie odnaleźć.

— Ja po prostu przeżyłem, nie zrobiłem nic więcej — odparł oschle. — Myślisz, że mógłbym przenosić i o tym nie wiedzieć? Nie robiłem tego przez sen. To się zdarzyło, gdy byłem przytomny. — Zachwiał się i wsparł na mieczu.

— Nawet ty nie mógłbyś niczego przenieść oprócz uśpionego Ducha — powiedziała chłodnym tonem Moiraine — a to wcale się nie odbyło przy udziale Ducha. Chciałabym się dowiedzieć, co tak naprawdę tu zaszło.

Kiedy Rand opowiadał swoją historię, Perrin czuł, jak jeżą mu się włosy na głowie. Sprawa z toporem wyglądała paskudnie, lecz topór jest przynajmniej czymś materialnym, realnym. Ale żeby twoje własne odbicia wyskakiwały na ciebie z lustra... Mimo woli przestąpił z nogi na nogę, starając się nie stąpać na odłamki szkła.

Po rozpoczęciu opowieści Rand obejrzał się ukradkiem w stronę skrzyni, jakby nie chciał, by Moiraine widziała, co robi. Po chwili okruchy posrebrzanego szkła zaszeleściły i zsunęły się na dywan, zmiecione jakby niewidzialną miotłą. Rand zamienił spojrzenia z Moiraine, usiadł powoli i kontynuował dzieło. Perrin nie bardzo wiedział; które z nich oczyściło wieko skrzyni. W jego opowieści nie było słowa na temat Berelain.

— To musiał być któryś z Przeklętych — zakończył wreszcie Rand. — Może Sammael. Mówiłaś, że on jest w Illian. Chyba że któryś z nich jest w Łzie. Czy Sammael mógł dotrzeć z Illian do Kamienia?

— Nie mógłby, nawet gdyby miał *Callandora* — odparła Moiraine. — Sammael to tylko człowiek, nie Czarny.

Tylko człowiek? Nie najlepszy to opis, pomyślał Perrin. Mężczyzna, który potrafi przenosić i jakoś nie popadł w obłąd, w każdym razie jeszcze nie, a przynajmniej nikomu nie było o tym wiadomo. Człowiek być może dorównujący siłą

Randowi, z tą różnicą, że Rand próbował się jeszcze uczyć, Sammael natomiast poznał już wszystkie sztuczki, które potęgowały możliwości jego talentu. Człowiek, który spędził trzy tysiące lat w pułapce więzienia Czarnego, człowiek, który z własnej woli przeszedł na stronę Cienia. Nie. Stwierdzenie „tylko człowiek” w najmniejszej mierze nie opisywało Sammaela ani żadnego z Przeklętych, niezależnie od płci.

— A zatem jedno z nich jest tutaj. W mieście. — Rand wsparł głowę na przegubach dłoni, ale natychmiast wyprostował się gwałtownie, patrząc posępnie po zgromadzonych. — Już więcej nie będą na mnie polować. Teraz to ja będę psem gończym. Znajdę go albo ją, i...

— To nie był żaden z Przeklętych — wtrąciła Moiraine. — To było zbyt proste. I zarazem zbyt skomplikowane.

Rand mówił opanowanym głosem.

— Tylko bez zagadek, Moiraine. Jeśli nie Przekłęci, to kto? Albo co?

Aes Sedai, której twarz w oczach Perrina do złudzenia przypominała kowadło, zawahała się jednak, jakby analizując swe emocje. Nie można było stwierdzić, czy nie zna odpowiedzi, czy raczej zastanawia się, ile prawdy ujawnić.

— Gdy słabną pieczęcie zabezpieczające więzienie Czarnego — powiedziała po krótkiej chwili — to nie do uniknięcia jest, że jakiś... miazmat... się wymknie, nawet jeśli on dalej będzie uwięziony. Niczym te bańki powietrza, które wznoszą się od gnijących odpadów na dnie stawu. I te bańki będą dryfowały po powierzchni Wzoru, aż w końcu dotrą do jakiegoś wątku i wybuchną.

— Światłości! — Wyrwało się Perrinowi, zanim potrafił się powstrzymać. Moiraine zwróciła ku niemu spojrzenie. — Chcesz powiedzieć, że to, co się przytrafiło Randowi, zacznie się przytrafiać wszystkim?

— Nie każdemu. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Sądzę, że na początku pojawi się tylko kilka baniek, prześlizgujących się przez szczeliny, do których Czarny ma dostęp. A później... kto wie? I myślę, że *ta'veren*, tak jak oplatają wątki Wzoru wokół siebie, będą być może przyciągali te bańki silniej niż inni. — Oczy Aes Sedai zdradzały, że ona wie, iż Rand nie jest jedynym, który przeżył koszmar na jawie. Przelotny uśmiech, który pojawił się i zniknął, ledwie Perrin zdążył go zauważyć, mówił, że ma prawo milczeć, jeśli chce to zachować w tajemnicy przed innymi. Ona jednak o wszystkim wiedziała. — Ale przez najbliższe miesiące... lata, o ile dopisze nam szczęście, byśmy dożyli... obawiam się, że całkiem sporo ludzi zobaczy rzeczy, od których osiwieją. Jeżeli, oczywiście, uda im się je przeżyć.

— Mat — powiedział Rand. — Wiesz może, czy on...? Czy on?

— Dowiem się dostatecznie szybko — odparła spokojnie Moiraine. — Co się stało, już się nie odstanie, ale możemy mieć nadzieję.

Niezależnie jednak od tonu swej wypowiedzi wyraźnie pachniała niepokojem. Wtedy odezwał się Rhuarc.

— Nic mu nie jest. A raczej nic nie było, kiedy spotkałem go, idąc tutaj.

— Dokąd szedł? — spytała rozdrażnionym głosem Moiraine.

— Najwyraźniej kierował się do izb mieszkalnych służby — odpowiedział Aiel. Wiedział, że Rand, Mat i Perrin są *ta'veren*, o ile nie czymś więcej, a znał Mata dostatecznie dobrze, by dodać: — Nie do stajni, Aes Sedai. W przeciwną stronę, ku rzece. A w dokach Kamienia nie ma żadnych łodzi. — Nie zająknął się przy takich terminach jak „łodzi” oraz „doki”, w przeciwieństwie do większości Aielów, dla których owe rzeczy istniały jedynie w opowieściach.

Przytaknęła, jakby nie spodziewała się niczego innego. Perrin potrząsnął głową. Moiraine do tego stopnia przywykła ukrywać swe myśli, że najwyraźniej przeszło jej to w nałóg.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wsunęły się Bain oraz Chiad, nie miały przy sobie włóczni. Bain niosła dużą, białą misę oraz pękaty dzban, z którego unosiła się para. Chiad trzymała pod pachą złożone ręczniki.

— Po co to przyniosłyście? — spytała Moiraine.

Chiad wzruszyła ramionami

— Nie chciała tu wchodzić.

Rand parsknął śmiechem.

— Nawet służące wiedzą, że powinny się trzymać z daleka ode mnie. Postawcie to gdzieś.

— Twój czas się kończy, Rand — oznajmiła Moiraine. — Mieszkańcy Łzy w pewien sposób przyzwyczaili się do ciebie, a nikt nie boi się tego, co mu znajome w takim samym stopniu jak tego, co obce. Ile upłynie tygodni, albo i dni, zanim ktoś spróbuje wbić ci strzałę w plecy lub zatruć twój posiłek? Ile upłynie czasu, nim jeden z Przeklętych zaatakuje albo jakaś inna bańka przemknie się po Wzorze?

— Nie próbuj mnie dręczyć, Moiraine. — Ubrudzony krwią, obnażony do pasa, żeby usiedzieć prosto, musiał naprawdę mocno wspierać się na *Callandorze*, a jednak udało mu się wygłosić te słowa w taki sposób, że zabrzmiały jak rozkaz. — Dla ciebie też nie będę biegał.

— Zdecyduj się jak najszybciej — odparła. — I tym razem poinformuj mnie, co masz zamiar zrobić. Nie wesprę cię swoją wiedzą, jeśli nie zechcesz przyjąć mej pomocy.

— Twojej pomocy? — spytał znużonym głosem. — Przyjmę twoją pomoc. Ale to ja będę decydował, nie ty. — Spojrzał na Perrina, jakby próbował przekazać mu coś bez słów, nie przeznaczone dla innych uszu. Perrin nie miał pojęcia, co to takiego. Po chwili westchnął, głowę skłonił lekko na piersi. — Chcę spać. Odejdźcie wszyscy. Proszę. Jutro pogadamy. — Jego oczy pomknęły znowu w stronę Perrina podkreślając, że te słowa są przeznaczone dla niego.

Moiraine przeszła przez izbę w stronę Bain i Chiad, obie kobiety nachyliły ku niej głowy, by nikt więcej nie słyszał, o czym mówią. Perrin słyszał jedynie

szmer i zastanawiał się, czy Aes Sedai używa Mocy, aby udaremnić mu podsłuchiwanie. Wiedziała, jak czuły ma zmysł słuchu. Przekonał się, że tak jest, kiedy Bain coś szepnęła w odpowiedzi, a on nadal niczego nie rozumiał. Jednak Aes Sedai nie zrobiła nic z jego zmysłem węchu. Słuchając jej, kobiety popatrywały na Randa i pachniały czujnością. Nie bały się, lecz patrzyły na Randa, jakby ten był jakimś ogromnym zwierzęciem, które może się stać niebezpieczne, gdy zrobi się niewłaściwy krok.

Aes Sedai zwróciła się znowu do Randa.

— Porozmawiamy jutro. Nie możesz tu siedzieć jak przepiórka, która czeka, aż spadnie na nią sieć myśliwego.

Ruszyła w stronę drzwi, nim Rand zdążył odpowiedzieć. Lan spojrział na niego takim wzrokiem, jakby chciał coś dodać, ale wyszedł za nią bez słowa.

— Rand? — powiedział Perrin.

— Zrobimy, co musimy zrobić. — Rand nie podniósł głowy znad przezroczystej rękocyfry ściskanej w dłoniach. — Wszyscy zrobimy to, co musimy. — Pachniał strachem.

Perrin skinął głową i wyszedł z izby za Rhuarkiem. Nigdzie nie było ani śladu Moiraine ani Lana. Taireński oficer wpatrywał się w drzwi, stojąc w odległości dziesięciu kroków i próbując stworzyć wrażenie, że nie ma nic wspólnego z czterema obserwującymi go Pannami Włóczy. Perrin zorientował się, że pozostałe dwie jeszcze zostały w komnacie. Usłyszał dobiegające stamtąd głosy.

— Odejdźcie — mówił zmęczony Rand. — Postawcie to gdzieś po prostu i odejdźcie.

— Jeśli dasz radę wstać — pogodnie odparła Chiad — to odejdziemy. Tylko wstań.

Rozległ się plusk wody wlewanej do miski.

— Już nam zdarzało się opiekować rannymi — uspokajała go Bain. — A poza tym myślałam moich braci, kiedy byli mali.

Rhuarc zatrzasnął za sobą drzwi, zagłuszając rozmowę.

— Traktujecie go inaczej niż Tairenianie — cicho zauważył Perrin. — Bez tego płaszczenia się. Zdaje mi się, że ani razu nie słyszałem, by ktoś z was nazwał go Lordem Smokiem.

— Smok Odrodzony to prorocstwo wilgotnych ziem — odparł Rhuarc. — My nazywamy go: Ten Który Przychodzi Ze Świtem.

— Myślałem, że to jest to samo. Bo w przeciwnym razie po co przybylibyście do Kamienia? Niech szczenę, Rhuarc, wy, Aielowie, jesteście Ludem Smoka, tak mówią Proroctwa. Przyznajecie się do tego, nawet jeśli nie rozgłaszacie wszem i wobec.

Rhuarc zignorował tę ostatnią uwagę.

— W waszych Proroctwach Smoka upadek Kamienia i przejęcie *Callandora* oznaczają, że Odrodził się Smok. Nasze prorocstwo powiada jedynie, że Kamień

musi paść, zanim Ten Który Przychodzi Ze Świtem pojawi się, by zabrać nas z powrotem do miejsca, które niegdyś należało do nas. To może być jeden i ten sam człowiek, wątpię jednak, czy nawet Mądre potrafią to stwierdzić z całą pewnością. Jeśli Rand jest nim właśnie, to są jeszcze rzeczy, których musi dokonać, by to udowodnić.

— Co? — spytał Perrin.

— Jeśli jest, to będzie wiedział i zrobi je. Jeśli nie, to nasze poszukiwania będą trwały nadal.

Jakiś trudny do odczytania ton w głosie Aiela zazgrzytał Perrinowi w uszach.

— A jeśli on nie jest tym, którego poszukujecie? To co wtedy, Rhuarc?

— Śpij dobrze i bezpiecznie, Perrin. — Miękkie buty Rhuarca nie wydawały żadnego dźwięku na czarnym marmurze.

Taireński oficer wciąż odprowadzał wzrokiem Panny, wydzielając woń strachu, bezskutecznie usiłując zamaskować gniew i nienawiść malującą się na jego twarzy. Jeśli Aielowie stwierdzą, że Rand to nie Ten Który Przychodzi ze Świtem... Perrin przypatrzył się twarzy oficera, pomyślał o nieobecnych Pannach, o Kamieniu, w którym nie będzie Aielów, i zadrżał. Musi dopilnować, by Faile naprawdę wyjechała. To było najważniejsze. Musiała wyjechać, i to bez niego.

## SZTURKI

Thom Merrillin posypał piaskiem napisany właśnie dokument, żeby osuszyć atrament, potem pieczołowicie wsypał piasek z powrotem do słoika i zakręcił wieko. Poszperał wśród papierów tworzących na stole niechlujne sterty — sześć świec łojowych groziło pożarem, ale potrzebował światła — i wybrał zmięty arkusz naznaczony kleksem. Uważnie porównał go z tym, co sam stworzył, potem z zadowoleniem pogładził długiego siwego węża kciukiem i pozwolił, by jego pomarszczona twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Sam lord Carleon uznałby, że to jego własna ręka.

„Strzeż się. Twój mąż coś podejrzewa”.

Tylko te słowa i żadnego podpisu. Teraz żeby jeszcze udało się zaaranżować, by lord Tedosian znalazł kartkę tam, gdzie jego żona, lady Alteima, mogła ją beztrudno zostawić...

Aż podskoczył, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Nikt go nie odwiedzał o tak późnej porze.

— Chwilę! — zawołał, pośpiesznie upychając pióra, atrament i wybrane papiery do sfatygowanej szkatuły z przyborami do pisania. — Chwilę, tylko założę koszulę.

Zamknąwszy szkatułę na klucz, wsunął ją pod stół, gdzie nie mogła zostać przypadkowo zauważona, po czym omiół wzrokiem swą małą, pozbawioną okien izdebkę, by sprawdzić, czy nie zostawił czegoś, co nie powinno być zobaczone. Ob ręce i piłeczki do żonglowania tworzyły bałagan na wąskim, nie zaślanym łóżku, leżały również wśród przyborów do golenia na pojedynczej półce razem z pogrzebaczami i drobnymi przedmiotami służącymi do uprawiania sztuki kuglarskiej. Płaszcz barda, pokryty trzepoczącymi łatkami o stu barwach, wisiał na kołku wbitym w ścianę, razem z zapasowym ubraniem oraz futerałami z twardej skóry, które kryły harfę i flet. Do paska futerału z harfą przywiązana była kobieca, przezroczysta chusta z czerwonego jedwabiu, nie sposób było stwierdzić, do kogo wcześniej należała.

Nie bardzo pamiętał, kto ją tam przywiązał, starał się nie wyróżniać żadnej kobiety, zresztą wszystko odbywało się w atmosferze beztrudki i zabawy. Rozśmieszał je, sprawiał nawet, że wzdychały, unikał jednak zaangażowania, nie miał



na to czasu. Bez przerwy sobie to powtarzał.

— Już idę. — Z irytacją pokuśtykał do drzwi. Kiedyś wyduszał „ochy” i „achy” z ludzi, którzy ledwie potrafili dać wiarę, nawet własnym oczom, że kościsty, siwowłosy starzec umie fikać kozły i stawać na głowie, zwinnie i szybko jak młody chłopak. Nienawidził swej chromej nogi, która położyła temu kres. Energicznym ruchem otworzył drzwi i zamrugął ze zdziwienia.

— No, proszę. Wejź, Mat. Myślałem, że ciężko pracujesz nad opróżnianiem lordowskich sakiewek.

— Tego wieczora już nie chcieli grać — odparł Mat, osuwając się na trójnożny stół, który służył za drugie krzesło. Miał rozpięty kaftan i rozczochrane włosy. Brązowe oczy błądziły po wnętrzu izby, nie zatrzymując się dłużej na żadnym przedmiocie, ale brakowało im zwykłej iskry mówiącej, że ten chłopak zobaczył coś zabawnego, czego nie zauważył nikt inny.

Thom spojrział na niego z ukosa, zamyślił się. Mat nigdy nie przestępował jego progu bez jakiegoś żartu o nędznej izdebce. Mimo iż chłopak przystał na wyjaśnienie Thoma, że śpi obok izb dla służących, by dzięki temu ludzie zapomnieli, że przybył w cieniu Aes Sedai, to jednakże rzadko przepuszczał okazję do dowcipkowania. Gdyby pojął, iż dzięki tej izbie nikt również nie domyślał się, że Thom ma jakieś związki ze Smokiem Odrodzonym, wówczas, będąc w końcu Matem, prawdopodobnie uznałby to za przejaw rozsądku. Wystarczyły zaledwie dwa zdania, które Thom rzucił w pośpiechu podczas jakiejś rzadkiej chwili, gdy nikt akurat nie słuchał, by Rand zrozumiał prawdziwą przyczynę. Wszyscy słuchali barda, wszyscy na niego patrzyli, ale tak naprawdę to nikt go nie widział ani nikt nie pamiętał, z kim on rozmawiał, dopóki był tylko bardem, z jego rzywkami spod płota, przeznaczonymi dla wieśniaków, służących, być może także ku uciechu dam. Tak to widzieli Tairenianie. Ostatecznie nie traktowano go jak dworskiego barda.

Co dręczyło tego chłopca, że przyszedł tu o tej porze? Prawdopodobnie ta czy inna młoda kobieta, i to na tyle doświadczona, by nie dać się złapać na jego niecny uśmiech. Nadal jednak miał zamiar udawać, iż ta wizyta jest czymś najzupełniej zwyczajnym, dopóki chłopak nie powie, że jest inaczej.

— Przyniosę planszę do kamieni. Jest późno, ale mamy czas na jedną partię. — Nie mógł się oprzeć, by nie dodać: — Masz ochotę pograć na pieniądze?

Nie zagrałby z Matem w kości nawet o miedziaka, ale kamienie to była całkiem inna sprawa, jego zdaniem, gra ta miała w sobie zbyt dużo uporządkowania i regularności, by mogło sprostać jej dziwaczne szczęście Mata.

— Co? Ach. Nie, za późno na grę. Thom, czy...? Czy coś... czy coś się tu działo?

Wsparłszy planszę do gry o nogę stołu, Thom wygrzebał ze śmieci na stole mieszek z tytoniem i fajkę z długim cybuchem.

— Na przykład co? — spytał, upychając kciukiem tytoń. Zdążył przytknąć

zwitek papieru do płomienia jednej ze świec, zapalić fajkę i zdmuchnąć płonący zwitek, nim Mat wreszcie odpowiedział.

— Czy na przykład Rand nie popadł w obłąd, ot co. Nie, o to nie ma co pytać, wszyscy by wiedzieli, gdyby tak się stało.

Dziwne mrowienie sprawiło, że Thom poruszył ramionami, wydmuchnął jednak niebieskoszary kłębek dymu, najspokojniej jak potrafił, i usiadł na krześle, rozprostowując chorą nogę.

— Co się stało?

Mat zrobił głęboki wdech, a potem pośpiesznie wypuścił powietrze.

— Karty do gry próbowały mnie zabić. Amyrlin i ten Wysoki Lord i... To mi się nie przyśniło, Thom. Dlatego właśnie te nadęte gawrony nie chcą więcej grać. Boją się, że to się powtórzy. Thom, zastanawiam się nad wyjazdem ze Łzy.

Mrowienie stało się tak mocne, jakby ktoś wepchnął mu za koszulę pęk pokrzyw. Dlaczego nie wyjechał z Łzy już dawno temu? Zdecydowanie było to najrozsądniejsze wyjście. Gdzieś tam czekały setki wiosek, czekały na barda, żeby je zabawiał i zdumiewał. A w każdej gospoda albo dwie, pełne wina, w którym można topić wspomnienia. Gdyby jednak to zrobił, Rand nie miałby nikogo, prócz Moiraine, kto by nie pozwalał, by Wysocy Lordowie wpędzili go swymi wybiegami w kozi róg, a na koniec może nawet poderżnęli gardło. Ona, rzecz jasna, potrafiła to robić, stosując inne metody. Pochodziła z Cairhien, co oznaczało, że prawdopodobnie wyssała Grę Domów z mlekiem matki. I przy okazji przywiązywała Randa kolejnym sznurkiem do Białej Wieży. Wplątywała go w sieci Aes Sedai tak mocno, że nigdy nie uda mu się uciec. Jednak jeśli ten chłopiec już popadał w obłąd...

„Głupiec” — pomyślał o sobie Thom. Istny głupiec, skoro dalej się w to mieszał z powodu czegoś, co się zdarzyło przed piętnastu laty. Zostając niczego nie zmieni — co się stało, odstać się nie mogło. Musiał spotkać się z Randem w cztery oczy, nieważne, co mu powiedział o trzymaniu się z daleka. Może nikt nie uzna za dziwne, iż jakiś bard chce wykonać pieśń dla Lorda Smoka, pieśń skomponowaną specjalnie dla niego. Znał pewną nie bezpodstawnie zapomnianą melodię z Kandoru, wychwalającą pompatycznymi słowami nieznanego lorda za jego szlachetność i odwagę. Prawdopodobnie napisano ją na zamówienie jakiegoś lorda, którego czyny nie były warte wzmianki. Cóż, teraz ta pieśń mogła się przydać. O ile Moiraine nie stwierdzi, że jest dziwna. Byłoby to równie niepomyślne, jak przyciągnięcie uwagi Wysokich Lordów.

„Jestem głupcem! Nie powinno mnie tutaj być tej nocy!”

Czuł, że wrze wewnątrz, że kwas przepala mu żołądek, na szczęście jednak długie lata uczył się zachowywać kamienną twarz, jeszcze zanim przywdział płaszcz barda. Wydmuchnął trzy kółka z dymu, przepuszczając jedno przez drugie, i powiedział:

— Zastanawiałeś się nad wyjazdem z Łzy od dnia, w którym wszedłeś do

Kamienia.

Przycupnięty na brzegu stołka Mat obdarzył go spojrzeniem pełnym złości.

— I mam taki zamiar. Naprawdę. A może byś tak pojechał ze mną, Thom? Są takie miasta, gdzie myślą, że Smok Odrodzony jeszcze nie wydał pierwszego krzyku po wyjściu z łona matki, gdzie nie pamiętają o cholernych Proroctwach cholernego Smoka od lat. Miejsca, w których uważają, że Czarny to bohater z bajek, opowiadanych przez babcię, że trolloki to stwory z wydumanych opowieści podróżników i że Myrddraale ujeżdżają cienie po to, by straszyć dzieci. Ty mógłbyś grać na harfie i opowiadać swoje historie, a ja mógłbym pograć w kości. Moglibyśmy żyć jak lordowie, podróżować, jak chcemy, zatrzymywać się, gdzie chcemy, i nikt nie próbowałby nas zabić.

Zbyt dobrze trafiło to w sedno sprawy, by pocieszyć. Cóż, był głupcem i już; pozostawało tylko jak najlepiej to wykorzystać.

— Jeśli naprawdę chcesz odjechać, to czemu jeszcze tego nie zrobiłeś?

— Moiraine mnie pilnuje — odparł z goryczą Mat. — A kiedy tego nie robi, to ktoś ją zastępuje.

— Wiem. Aes Sedai nie pozwalają nikomu odejść, gdy już położą na nim swe ręce. — Nie wątpił, że jest nawet gorzej, gorzej niż było powszechnie wiadomo, Mat jednak zaprzeczał temu, a ci inni, którzy wiedzieli, też nic nie mówili, o ile naprawdę ktoś jeszcze oprócz Moiraine o tym wiedział. Nie miało to prawie znaczenia. Lubił Mata — w pewnym sensie uważał się nawet za jego dłużnika — jednakże w porównaniu z Randem Mat i jego kłopoty stanowiły osobliwość, którą się pokazuje w bocznej uliczce. — Ale nie wierzę, by kazała komuś cały czas cię pilnować.

— Niemalże tak. Stale wypytuje ludzi, gdzie jestem, co robię. To wraca potem do mnie. Znasz kogoś, kto nie powie Aes Sedai tego, co ona chce wiedzieć? Bo ja nie. Czyli jest tak, jakby mnie pilnowano.

— Mógłbyś uciec przed cudzym wzrokiem, gdybyś się postarał. Nigdy nie widziałem kogoś, kto by ci dorównywał w zakradaniu się do różnych miejsc. To miał być komplement.

— Coś się zawsze dzieje — burknął Mat. — Tu jest tyle złota do zdobycia. I jest ta wielkooka dziewczyna w kuchni, która lubi pocałunki i łaskotki, a jedna ze służebnych ma włosy jak jedwab, do samego pasa, i najbardziej okrągły... — Zawiesił głos, jakby nagle się połapał, jak głupio brzmią jego słowa.

— Czy przyszło ci do głowy, że to dlatego, bo...

— Jeśli wspomnisz o *ta'veren*, Thom, to wyjdę.

Thom zmienił więc zamiar i powiedział coś innego.

— ... dlatego, bo Rand jest twoim przyjacielem i nie chcesz go opuścić?

— Opuścić go! — Chłopiec poderwał się na równe nogi, przewracając stołek.

— Thom, on jest cholernym Smokiem Odrodzonym! Tak przynajmniej twierdzi Moiraine. Może nim jest. Potrafi przenosić i ma ten cholerny miecz, który wygła-

da jak ze szkła. Proroctwa! Nie wiem. Wiem jednak, że musiałbym być równie szalony jak ci Tairenianie, żeby zostać. — Urwał. — Nie myślisz chyba... Nie myślisz chyba, że Moiraine mnie tu zatrzymuje, prawda? Używając Mocy?

— Nie sądzę, by potrafiła — wolno odparł Thom. Wiedział sporo o Aes Sedai, dość, by mieć jakieś pojęcie, ile nie wie, i uważał, że w tej sprawie się nie myli.

Mat przeczesał palcami włosy.

— Thom, cały czas myślę o wyjeździe, ale... miewam te dziwne przeczucia. Tak jakby miało się stać coś dziwnego. Coś... doniosłego; to jest to słowo. Tak jakbym wiedział, że w Niedzielę odbędzie się pokaz sztucznych ogni, nie wiedząc jednocześnie, czego się spodziewać. Tak się dzieje za każdym razem, gdy za bardzo myślę o wyjeździe. I nagle znajduję powody, by zostać jeszcze jeden dzień. Zawsze tylko jeden cholerny dzień. Czy dla ciebie to nie brzmi jak robota Aes Sedai?

Thom przełknął słowo *ta'veren* i wyjął fajkę z ust, by przyjrzeć się żarzącemu tytoniowi. Nie wiedział wiele o *ta'veren*, ale nikt o nich nic nie wiedział z wyjątkiem Aes Sedai i może niektórych ogirów.

— Nigdy nie byłem zbyt dobry w pomaganiu ludziom, którzy mają kłopoty.

„A jeszcze gorszy w przypadku radzenia sobie z własnymi” — pomyślał.

— Jeśli pod ręką jest jakaś Aes Sedai, to namawiam większość ludzi, by zwrócili się do niej o pomoc.

„Rada, której sam bym nigdy nie przyjął”.

— Zwrócić się do Moiraine!

— Sądzę, że w tym przypadku to wykluczone. Za to Nynaeve była Wiedzącą w Polu Emonda. Wiedzące ze wsi są po to, by odpowiadać ludziom na pytania i pomagać w kłopotach.

Mat zaniósł się ochryłym śmiechem.

— I wytrzymać wykład o piciu, hazardzie i...? Thom, ona mnie tak traktuje, jakbym miał dziesięć lat. Czasami myślę, iż wierzy, że ożenię się z jakąś miłą dziewczyną i osiadę na farmie mojego ojca.

— Niektórzy ludzie nie mieliby nic przeciwko takiemu życiu — powiedział cicho Thom.

— Cóż, ja miałbym. Wolę mieć coś więcej niż krowy, owce i tytoń do końca życia. Chcę... — Potrząsnął głową. — Wszystkie te dziury w pamięci. Czasami mi się wydaje, że gdybym je wypełnił, to wiedziałbym... Niech szczenę, nie wiem, co wiedziałbym, ale wiem, że chciałybym wiedzieć. A to ci pokrętna zagadka, nieprawdaż?

— Nie jestem pewien, czy nawet jakaś Aes Sedai mogłaby w tym pomóc. Z pewnością nie bard.

— Powiedziałem, żadnych Aes Sedai.

Thom westchnął.

— Uspokój się, chłopcze. Ja tego nie sugerowałem.

— Wyjeżdżam. Jak tylko uda mi się pozbiierać rzeczy i znaleźć konia. Nie zostanę ani chwili dłużej.

— W środku nocy? Wystarczy rankiem. — Powstrzymał się, by nie dodać: — „Jeśli naprawdę wyjeżdżasz”. — Usiądź. Odpręż się. Zagramy w kamienie. Mam tu gdzieś dzban wina.

Mat wahał się, zerkając na drzwi. W końcu gwałtownym ruchem wygładził poły kaftana.

— Wystarczy rankiem. — Mówił niepewnym głosem, podniósł jednak przewrócony stołek i ustawił go obok stołu. — Tylko nie chcę wina — dodał i usiadł. — Już i tak dziwne rzeczy się dzieją, kiedy mam jasno w głowie. Chcę znać różnicę.

W trakcie rozstawiania planszy i torebek z kamieniami na stole Thom pograżył się w myślach. Z jaką łatwością ten chłopak dawał się namówić do gry. Ciągnął go za sobą jeszcze silniejszy *ta'veren*, imieniem Rand al'Thor, tak Thom to widział. Przyszło mu do głowy, że powinien się zastanowić, czy przypadkiem on sam nie dał się schwytać w taki sam sposób. Gdy po raz pierwszy zobaczył Randa, jego życie z całą pewnością nie kierowało go w stronę Kamienia Łzy i tej izby, od tego czasu jednak szarpało się niczym sznurek latawca. Gdyby postanowił wyjechać, gdyby, powiedzmy, Rand naprawdę popadł w obłąd, to czy znalazłby powody, by położyć mu kres?

— Co to jest, Thom? — But Mata natrafił na ukrytą pod stołem szkatułę z przyborami do pisania. — Nic się nie stanie, jeśli to odsunę, by mi nie przeszkadzało?

— Jasne. Zrób to. — Skrzywił się wewnątrz, gdy Mat brutalnie odsunął nogą szkatułę. Miał nadzieję, że dokładnie zakorkował wszystkie flakoniki z atramentem. — Wybieraj — powiedział, wyciągając zaciśnięte pięści.

Mat puknął w lewą i Thom otworzył ją, odsłaniając gładki, czarny kamień, płaski i owalny. Chłopiec omal się nie udławił ze śmiechu, że to on zaczyna grę, i położył kamień na kratkowanej planszy. Nikt, kto by zobaczył ten zapal w oczach, nie podejrzewałby, że zaledwie kilka chwil wcześniej, z jeszcze większym zapalem, mówił o wyjeździe. Doniosłość własnego losu, z którą nie chciał się pogodzić, przywarła mu do grzbietu, tak jak Aes Sedai, zdeterminowana zrobić z niego jedno ze swych ulubionych zwierząt.

Jeśli on też wpadł w potrzask, stwierdził Thom, to warto pomóc przynajmniej jednemu człowiekowi i uwolnić go od Aes Sedai. Warto, żeby spłacić dług zaciągnięty przed piętnastu laty.

Nagle poczuł dziwne zadowolenie, kładąc na planszy biały kamień.

— Czy kiedykolwiek ci opowiadałem — powiedział, nie wyjmując fajki z zębów — o tym, jak założyłem się z jedną kobietą z Arad Doman? Miała oczy, które potrafiły wypić duszę z mężczyzny, i dziwnego, czerwonego ptaka, którego kupiła od Ludu Morza. Twierdziła, że ptak potrafi przepowiadać przyszłość.

Miał gruby, żółty dziób, niemal długości tułowia, i . . .

# ŚLEDZTWO

Powinny już wrócić.

Egwene energicznie zatrzepotała wachlarzem z malowanego jedwabiu, zadowolona, że noce są przynajmniej odrobinę chłodniejsze niż dni. Tairenianki zawsze miały przy sobie wachlarze — w każdym razie te szlachetnie urodzone i zamienne — jednakże jej zdaniem pożytek miało się z nich jedynie po zachodzie słońca, a i wtedy niewielki. Nawet lampy, ogromne, wykonane ze złożonych, lustrzanych tafli, przytwierdzone do ścian na posrebrzanych klamrach, zdawały się potęgować upał.

— Co też mogło je zatrzymać? — Za godzinę, obiecała Moiraine, po raz pierwszy od wielu dni, po czym wyszła bez wyjaśnienia po pięciu jałowych minutach. — Czy wspomniała, do czego jej potrzebują, Aviendho? Albo kto jej potrzebuje, skoro już o tym mowa?

Usadowiona na skrzyżowanych nogach obok drzwi Panna Włóczni wzruszyła ramionami, w wielkich zielonych oczach, kontrastujących z opaloną twarzą, kryło się zdumienie. W samym kaftanie, spodniach i miękkich butach, z *shoufą* zapętloną wokół szyi, wyglądała na zupełnie bezbronną.

— Careen przekazała Moiraine Sedai swą wiadomość szeptem. Słuchać nie uchodziło. Przepraszam, Aes Sedai.

Przepełniona poczuciem winy Egwene przejechała palcem po pierścieniu z Wielkim Wężem, na którym złoty wąż pożerał własny ogon. Jako Przyjęta winna go była nosić na serdecznym palcu lewej, a nie prawej, dłoni, jednakże chcąc utrzymać lordów w przekonaniu, że mają w Kamieniu cztery pełne Aes Sedai, postępowały zgodnie z najlepszymi manierami albo według tego, co wśród taireńskiej szlachty uchodziło za maniery. Moiraine nie kłamała, rzecz jasna — wcale nie twierdziła, że one są czymś więcej niż Przyjętymi. Niemniej jednak wcale też nie powiedziała, iż są tylko Przyjętymi, i pozwoliła wszystkim myśleć to, co chcieli myśleć, wierzyć w to, co im się wydawało, że widzą. Moiraine nie mogła kłamać, ale potrafiła sprawić, że prawda płasała jak w tańcu.

Nie po raz pierwszy od wyjazdu z Wieży Egwene i jej przyjaciółki udawały, że są pełnymi siostrami, mimo to coraz częściej bywało jej nieswojo, że oszukuje Aviendhę. Lubiła tę dziewczynę, uważała, że mogłyby się stać przyjaciółkami,

gdyby miały okazję się lepiej poznać, to jednak było prawie niemożliwe dopóty, dopóki Aviendha uważała ją za Aes Sedai. Była tu jedynie z rozkazu Moiraine, wydanego dla jakichś niewiadomych powodów. Egwene podejrzewała, że chodziło o Strażnika dla nich, o Strażnika wywodzącego się z Aielów — jakby jeszcze nie nauczyły się same o siebie dbać. Niemniej jednak, gdyby ona i Aviendha zostały nawet przyjaciółkami, to i tak nie mogłaby powiedzieć jej prawdy. Najlepszy sposób na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy to dopilnować, by nie znał jej nikt, kto absolutnie nie musi jej znać. Kolejne zastrzeżenie, poczynione przez Moiraine. Egwene czasami uprzymniała sobie, że życzy Aes Sedai, by się myliła, srodze myliła, choć raz. W pewien sposób nie oznaczałoby to żadnej katastrofy, rzecz jasna. Na tym polegał cały problem.

— Tanchico — mruknęła Nynaeve.

Ciemny, gruby jak przedramię warkocz zwiślał jej do pasa, kiedy wyglądała przez wąskie okno, którego skrzydła rozchyłono na oścież w nadziei, że do wnętrza napłynie bodaj odrobina wiatru. Na szerokich wodach płynącej niżej Erinin podskakiwały latarnie tych kilku rybackich łódek, które nie odważyły się zapuścić w dół rzeki, Egwene nie była jednak pewna, czy to, co widzi, to rzeczywiście łódki.

— Na to wychodzi, że nie ma innego wyjścia, tylko jechać do Tanchico. — Nynaeve zaczęła bezwiednie miętosić fałdę zielonej sukni z głębokim dekoltem obnażającym ramiona. Zdarzało jej się robić to dość często. Zaprzeczyłaby, że nosi tę suknię dla Lana, Strażnika Moiraine, zaprzeczyłaby, gdyby Egwene odważyła się na taką sugestię, ale wydawało się, że to właśnie zieleń, błękit i biel Lan lubił na kobietach i wszystkie suknie, które nie były zielone, niebieskie albo białe, zniknęły z garderoby Nynaeve. — Nie ma innego wyjścia. — Nie powiedziała tego nazbyt szczęśliwym głosem.

Egwene zorientowała się, że mimo woli podciąga w górę swoją suknię. Dziwnie się nosiło te suknie, które przylegały tylko do ramion. Z drugiej strony jednak nie sądziła, by była w stanie nosić więcej okryć, ponieważ to bladoczerwone płótno z pozoru cienkie, w dotyku było jak wełna. Żałowała, że nie potrafi się zmusić do tych przezroczyстых szat, w które ubierała się Berelain. Wprawdzie nie uchodziło się pokazywać w nich publicznie, ale z pewnością wyglądały na przewiewne.

„Przestań się przejmować wygodami — przykazała sobie surowo. — Myśl tylko o bieżących sprawach”.

— Być może — powiedziała głośno. — Sama nie wiem.

Przez środek izby biegł długi, wąski stół, tak wypolerowany, że aż lśnił. Przy końcu, gdzie siedziała Egwene, stało wysokie krzesło, skromnie rzeźbione i miejscami poźłocone, dość proste jak na Łzę, natomiast oparcia kolejnych krzeseł stawały się stopniowo coraz niższe. Te, które ustawiono przy przeciwległym końcu, wyglądały na niewiele lepsze od zwykłych ław. Egwene nie miała pojęcia, do ja-



kich celów Tairenianie przeznaczili tę izbę. Razem ze swymi towarzyszkami wykorzystywała ją do przesłuchiwania dwóch kobiet wziętych do niewoli po upadku Kamienia.

Nie potrafiła się zmusić do zejścia do lochów, mimo że z rozkazu Randa wszystkie narzędzia, które dekorowały izbę Strażników, zostały przetopione albo spalone. Nynaeve i Elayne również nie miały ochoty tam wracać. Poza tym to jasno oświetlone pomieszczenie, z zamiecioną do czysta posadzką, wyłożoną zielonymi kafelkami oraz panelami na ścianach, na których wyrzeźbiono Trzy Półksiężycy Łzy, mocno kontrastowało z ponurym, szarym kamieniem cel, jednak mrocznych, wilgotnych i brudnych, co musiało w jakiś sposób zmiękczać dwie kobiety ubrane w zgrzebne, więzienne uniformy.

Niemniej jednak tylko ta bura suknia powiedziała by większości ludzi, że Joyia Byir, która stała za stołem, odwrócona plecami, jest więźniem. Była kiedyś Białą Ajah i nie utraciła nic z chłodnej arogancji Białych, gdy przeniosła swe śluby posłuszeństwa na Czarne Ajah. Całą swoją postawą obwieszczała, że wpatruje się sztywno w odległą ścianę wyłącznie z własnego wyboru. Tylko kobieta, która umiała przenosić, dostrzegłaby strumienie Powietrza grubości kciuka, które przyciskały ramiona Joyi do boków jej ciała i krępowały nogi w kostkach. Utkana z Powietrza klatka zmuszała ją do patrzenia prosto przed siebie. Nawet uszy miała zatkane, dzięki czemu nie mogła słyszeć tego, co mówili inni, dopóki sobie tego nie zażyczyli.

Po raz kolejny Egwene sprawdziła tarczę utkaną z Ducha, która nie pozwalała Joyi dotykać Prawdziwego Źródła. Tarcza spełniała zadanie tak, jak powinna. Osobiście oplotła i związała wszystkie strumienie wokół ciała Joyi, nie mogła się jednak czuć swobodnie w jednej izbie z kobietą Sprzymierzeńcem Ciemności, która potrafiła przenosić Moc, nawet jeśli ta zdolność została zablokowana. Z kimś groźniejszym od zwykłego Sprzymierzeńca Ciemności, z Czarną Ajah. Morderstwo było najłżejszą ze zbrodni popełnionych przez Joyię. Powinna była się ugiąć pod brzemieniem złamanych przez nią przysięg, zrujnowanych żywotów i skalanych dusz.

Jej towarzysze niewoli, siostrze z Czarnych Ajah, brakowało takiej siły. Amico Nagoyin, która stała przy drugim końcu stołu ze zgarbionymi ramionami i zwieszoną głową, zdawała się zapadać pod ziemię pod wpływem spojrzenia Egwene. Nie było potrzeby otaczać jej tarczą. Amico została ujarzmiona podczas pojmania. Nadal zdolna do wyczuwania Prawdziwego Źródła już nigdy nie miała go dotknąć, nigdy więcej przenosić. Pragnienie przenoszenia pozostanie, równie silne jak potrzeba oddychania, a poczucie straty i braku będzie jej towarzyszyć do końca życia, jak i świadomość, że nigdy nie dotknie *saidara*. Egwene żałowała, choć niezbyt mocno, że nie znajduje w sobie bodaj strzępka litości.

Amico mruknęła coś, wpatrując się w blat stołu.

— Co? — spytała Nynaeve. — Mów głośniej.

Amico uniosła twarz, prostując pokornie szczupły kark. Wciąż była piękną kobietą, obdarzoną wielkimi, ciemnymi oczyma, ale towarzyszyło jej też coś nowego, coś, czego Egwene jakoś nie potrafiła uchwycić. Nie strach, który kazał pojmanej miętosić szorstką więzienną suknię. Coś innego.

— Powinnyście jechać do Tanchico — powiedziała Amico, przełknąwszy ślinę.

— Mówiłaś to nam już dwadzieścia razy — odparła szorstko Nynaeve. — Pięćdziesiąt razy. Powiedz nam coś nowego. Wymień imiona, których jeszcze nie znamy. Kto jeszcze w Białej Wieży jest Czarną Ajah?

— Nie wiem. Musicie mi uwierzyć. — Słysząc było, że Amico jest zmęczona, całkowicie przybita. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy to one były więzione, a ona była ich dozorcą. — Zanim opuściliśmy Wieżę, znałam jedynie Liandrin, Chesmal i Rianne. Wydaje mi się, że żadna nie знаła więcej niż dwie lub trzy inne. Z wyjątkiem Liandrin. Powiedziałam wam wszystko, co wiem.

— A zatem jesteś wybitnie głupia jak na kobietę, która spodziewała się władać częścią świata, gdy Czarny się wyrwie na wolność — drwiąco zauważyła Egwene, dla wzmocnienia efektu z trzaskiem zamykając wachlarz. Nadal ją oszałamiało, że potrafi teraz wypowiedzieć z taką łatwością te słowa. Nadal ścisnęła ją w żołądku, a lodowate palce pełzły wzdłuż kręgosłupa, ale nie miała ochoty już krzyknąć ani uciekać z płaczem. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

— Podśledzałam pewnego razu Liandrin, gdy rozmawiała z Temaile — odparła zmęczonym głosem Amico, rozpoczynając opowieść, którą powtarzała im tyle razy. Podczas pierwszych dni niewoli usiłowała ulepszać tę historię, im bardziej jednak ją upiększała, tym bardziej się plątała we własnych kłamstwach. Teraz opowiadała ją w nieomal identyczny sposób jak za pierwszym razem, słowo w słowo. — Gdybyście mogły widzieć twarz Liandrin, kiedy mnie zauważyła. . . Zamordowałyby mnie na miejscu, gdyby uznała, że coś słyszałam. A Temaile lubi zadawać ból. Uwielbia to. Usłyszałam tylko trochę, zanim mnie zobaczyły. Liandrin powiedziała, że w Tanchico coś jest, jakieś zagrożenie. . . dla niego. — Miała na myśli Randa. Nie potrafiła wymówić jego imienia, a zwykła wzmianka o Smoku Odrodzonym wystarczała, by doprowadzić ją do łez. — Liandrin powiedziała, że to jest niebezpieczne dla każdego, kto tego użyje. Niemal równie niebezpieczne jak. . . dla niego. Dlatego właśnie jeszcze się za to nie zabrała. Dodała ponadto, że umiejętność przenoszenia Mocy go nie ochroni. Powiedziała: „Kiedy to znajdziemy, to ta jego parszywa zdolność go unieruchomi, dzięki czemu będzie nasz”. Pot spływał jej po twarzy, dygotała niemal niepoohamowanie.

Ani słowo nie uległo zmianie.

Egwene otworzyła już usta, ale Nynaeve odezwała się pierwsza.

— Dość się tego nasłuchiwałam. Sprawdźmy, czy druga ma coś nowego do powiedzenia.

Egwene spiorunowała ją wzrokiem, a Nynaeve odwzajemniła się równie groź-

nym spojrzeniem, żadna przy tym nawet nie mrugnęła.

„Jej się czasami wydaje, że wciąż jeszcze jest Wiedzącą — pomyślała ponuro Egwene — a ja młodą wieśniaczką, którą trzeba uczyć stosowania ziół. Lepiej dla niej, jak zrozumie, że wszystko się teraz zmieniło”.

Nynaeve była silna, potrafiła przenieść więcej Mocy niż Egwene, ale tylko wówczas, gdy udawało jej się nawiązać kontakt z Jedynym Źródłem; natomiast jeśli się nie rozzłościła, zupełnie jej to nie wychodziło.

Elayne zazwyczaj łagodziła ich sprzeczki, do których w rzeczy samej dochodziło znacznie częściej, niż powinno. Zanim Egwene zdążyła zrozumieć, że nie powinna się dać wciągnąć w kolejną kłótnię, na ogół zawsze już właściwy moment na wycofanie się mijał, zapierała się więc i odpowiadała atakiem na atak, przez co późniejsze, ewentualne próby załagodzenia konfliktu wyglądałyby na spuszczenie z tonu. Tak by to odebrała Nynaeve, Egwene była tego pewna. Nie pamiętała, by Nynaeve kiedykolwiek wykonała jakiś ruch, żeby się wycofać, więc z jakiej racji ona miała tak postępować? Tym razem Elayne nie było, Moiraine zabrała ze sobą Dziedziczkę Tronu, kiedy poszła z Panną, która po nią przybyła. Bez niej napięcie rosło, obie Przyjęte czekały, która mrugnie pierwsza. Avien-dha ledwie oddychała, zawsze się trzymała z dala od wszelkich konfrontacji. Bez wątplenia uważała, że stanie na uboczu to najprostsza mądrość życiowa.

O dziwo, tym razem impas przełamała Amico, choć najprawdopodobniej miała wyłącznie zamiar zademonstrować swą gotowość współpracy. Odwróciła twarz w stronę przeciwległej ściany, czekając cierpliwie, aż zostanie związana.

Egwene zniecierpliwiona rozumiała, jakie to wszystko głupie. Była w tej izbie jedyną kobietą, która potrafiła przenosić dopóki Nynaeve się nie rozzłości albo tarcza Joyi nie przestanie działać — a ona się tu wikła w walkę na spojrzenia, podczas gdy Amico czeka na swoje pęta. Przy innej okazji śmiałaby się z siebie w głos. Zamiast tego otworzyła się na *saidara*, to nigdy nie widziane, zawsze odczuwane, rozjarzone ciepło, które zdawało się czekać zawsze tuż przy granicy pola widzenia. Wypełniła ją Jedyna Moc, niczym zdwojone życie w radości, i wtedy oplótła swe strumienie wokół Amico.

Nynaeve tylko chrząknęła cicho; wątpliwe, by była tak szalona, by wyczuć, co robi Egwene — nie mogła, skoro nie wyprowadzono jej z równowagi — zauważyła jednak, że Amico sztywnieje, w momencie gdy dotknęły ją strumienie Powietrza, a potem wiotczeje, częściowo podtrzymywana przez strumienie, jakby chciała pokazać, jak niewielki stawia opór.

Aviendha wzdrygnęła się, jak zwykle, gdy wiedziała, że gdzieś blisko niej przenoszona jest Moc.

Egwene utkała blokady przeznaczone dla uszu Amico — przesłuchiwanie jednej po drugiej na nic się zdawało, gdy mogły słyszeć nawzajem swoje historie — i odwróciła się w stronę Joyi. Przełożyła wachlarz z ręki do ręki, by móc obie wytrzeć o suknię, i znieruchomiła z grymasem niesmaku. Spocone dłonie nie

miały nic wspólnego z temperaturą.

— Jej twarz — powiedziała nagle Aviendha. Co było zastanawiające, nigdy się nie odzywała pierwsza, czekała, aż Moiraine albo któraś z pozostałych kobiet z Białej Wieży się do niej zwróci. — Twarz Amico. Nie wygląda tak jak zawsze, to znaczy jakby nie miał się jej czas. Inaczej niż dotychczas. Czy to dlatego, że... została ujarzmiona? — wyrzuciła z siebie bez tchu. Od częstego przebywania w ich towarzystwie nabrała kilku nawyków. Żadna z kobiet Wieży nie umiała mówić o ujarzmianiu bez dreszczu.

Egwene ruszyła wzdłuż stołu, do miejsca, z którego mogła widzieć twarz Amico z boku i jednocześnie nie wchodzić w pole widzenia Joyi. Spojrzenie Joyi za każdym razem zmieniało jej żołądek w bryłę lodu.

Aviendha miała rację — to była ta różnica, którą sama spostrzegła i której nie potrafiła zrozumieć. Amico wyglądała młodo, może nawet młodziej niż na swoje lata, ale nie był to ten brak możliwości określenia wieku, charakterystyczny dla Aes Sedai, które całymi latami parały się Jedyną Mocą.

— Masz bystry wzrok, Aviendha, ale ja nie wiem, czy to ma coś wspólnego z ujarzmianiem. Sądzę jednak, że tak. Nie wiem, jak to inaczej wyjaśnić.

Uświadomiła sobie, że nie wyraża się, jak przystało na Aes Sedai, które na ogół przemawiały tak, jakby wiedziały wszystko. Gdy jakaś Aes Sedai mówiła, że czegoś nie wie, to zazwyczaj potrafiła dać do zrozumienia, iż jej odmowa kryje całe tomy wiedzy. Zaczęła łamać sobie głowę w poszukiwaniu czegoś odpowiednio złowieszczonego, ale z pomocą przysła jej Nynaeve.

— Stosunkowo niewiele Aes Sedai uległo wypaleniu, Aviendha, a jeszcze mniej ujarzmieniu.

„Wypaloną” nazywano taką, która przypadkiem straciła zdolność przenoszenia, ujarzmianie natomiast, w powszechnym mniemaniu, stanowiło rezultat procesu i wyroku. Egwene nie widziała w tym żadnego sensu; było to tak, jakby się używało dwóch określeń na upadek ze schodów, w zależności od tego, czy się potknęło, czy zostało popchniętym. Zresztą większość Aes Sedai zdawała się patrzeć na to w ten sam sposób, chyba że nauczyły o tym nowicjuszek albo Przyjęte. Właściwie chodziło o trzy słowa. Mężczyzn „poskramiano” zanim popadną w obłąd. Teraz jednak był Rand i Wieża nie odważyła się go poskromić.

Nynaeve wyłożyła to pouczającym tonem, bez wątpienia starając się udawać Aes Sedai. Naśladowała Sheriam stojącą przed klasą, pojęła Egwene, z rękoma wspartymi na biodrach, uśmiechając się nieznacznie, jakby to wszystko było takie proste, gdy się to stosuje samemu.

— Ujarzmianie nie jest rzeczą, którą chciałoby się badać, rozumiesz — kontynuowała Nynaeve. — Ogólnie przyjmuje się, że jest nieodwracalne. Nie da się zaszczepić na nowo tego, co czyni kobietę zdolną do przenoszenia, kiedy już się raz to usunie, podobnie jak uzdrawianie nie może przywrócić odciętej ręki. — W każdym razie jeszcze nikomu nie udało się uzdrowić ujarzmionej kobiety, mi-

mo że podejmowano takie próby. To, co powiedziała Nynaevae, zasadniczo stanowiło prawdę, aczkolwiek niektóre siostry z Brązowych Ajah badałyby wszystko, gdyby dać im szansę, a niektóre Żółte siostry, najlepsze Uzdrowicielki, próbowały się uczyć uzdrawiania wszystkiego, co się da. Jednak żadna nie odniosła nawet cienia sukcesu przy uzdrawianiu kobiety, która została ujarzmiona. — Prócz tego jedyne, namacalne faktu niewiele poza tym jest wiadome. Kobiety, które zostały ujarzmione, rzadko żyją dłużej niż kilka lat. Wydaje się, że tracą ochotę do życia, poddają się. Jak już wspomniałam, nie jest to przyjemny temat.

Aviendha poruszyła się niespokojnie.

— Ja tylko pomyślałam, że to pewnie z tego powodu — odparła głuchym głosem.

Egwene też tak pomyślała. Postanowiła, że spyta Moiraine. O ile uda jej się spotkać ją bez towarzystwa Aviendhy. Oszustwo najwyraźniej na równi stawało na przeszkodzie, co pomagało.

— Sprawdźmy, czy Joyia też opowie tę samą historię. — Tylko najpierw musiała się wziąć w garść, zanim rozsypła strumienie Powietrza, oplecione wokół tej kobiety.

Joyia musiała zeszywnieć od tak długiego stania nieruchomo, ale odwróciła się z wdziękiem w ich stronę. Paciorki potu na czole nie potrafiły umniejszyć jej godności i czujności, podobnie jak bura, szorstka suknia nie osłabiała otaczającej jej atmosfery, oznajmiającej wszem i wobec, że znalazła się tutaj z własnego wyboru. Była przystojną kobietą, o twarzy, która mimo pozbawionej śladu upływających lat gładkości miała w sobie coś macierzyńskiego, kojącego. I tylko oczy osadzone w tej twarzy nadawały jej jastrzębi wygląd. Uśmiechnęła się do nich uśmiechem, który ani razu nie objął tych oczu.

— Niechaj was Światłość oświeci. Oby chroniła was ręka Stwórcy.

— Nie będę tego słuchała z twoich ust. — Nynaevae mówiła cichym i spokojnym głosem, gwałtownie jednak przerzuciła warkocz przez ramię i szarpnęła jego koniec, tak jak zwykle, gdy była zła albo zdenerwowana. Tymczasem Egwene sądziła, że w przeciwieństwie do niej, Joyia raczej nie wywołuje dreszczy u Nynaevae.

— Wyraziłam żal za moje grzechy — odparła Joyia bez zająknięcia. — Smok się Odrodził i dzierży *Callandora*. Spełniły się Proroctwa. Czarny musi przegrać. Widzę to teraz. Moja skrucha jest prawdziwa. Nikt nie może tak długo żyć w Cieniu, by nie móc powrócić do Światłości.

Przy tym słowie twarz Nynaevae pociemniała. Egwene była pewna, że już dostatecznie się zezłościła, by móc przenosić, gdyby jednak to zrobiła, to prawdopodobnie po to, by udusić Joyię. Egwene naturalnie nie wierzyła w skruchę Joyi, nie bardziej niż Nynaevae, jednakże informacje udzielone przez tę kobietę mogły być prawdziwe. Joyia była jak najbardziej zdolna podjąć na zimno decyzję, dzięki której, we własnym przekonaniu, stałaby po zwycięskiej stronie. Albo mogła

tylko kupować czas, kłamiąc w nadziei na jakiś ratunek.

Aes Sedai nie powinna być zdolna do kłamstwa, jawnego kłamstwa, nawet taka Aes Sedai, która utraciła wszelkie prawa do tego miana. Sprawiała to pierwsza z Trzech Przysięg, które się składało z Różdżką Przysięg w dłoni. Niemniej jednak wszelkie przysięgi składane Czarnemu, podczas przystępowania do Czarnych Ajah, zdawały się znosić Trzy Przysięgi.

No cóż. Amyrlin zleciła im polowanie na Czarne Ajah, na Liandrin i pozostałą dwunastkę, które dopuściły się mordu, po czym uciekły z Wieży. A teraz wszystko, czym dysponowały, chcąc kontynuować zadanie, zależało od tego, co te dwie mogą lub zechcą im powiedzieć.

— Powtórz nam raz jeszcze swą bajkę — rozkazała Egwene. — Tym razem użyj innych słów. Męczy mnie wysłuchiwanie opowieści snutych z pamięci. — Jeśli kłamała, to istniała szansa, że potknie się przy opowiadaniu tego w odmienny sposób. — Wysłuchamy cię. — To było na użytek Nynaeve, która głośno pociągnęła nosem, a potem nieznacznie skinęła głową.

Joyia wzruszyła ramionami.

— Jak chcecie. Niech pomyślę. Inne słowa. Fałszywy Smok. Mazrim Taim, pojmany w Saldaei, potrafi przenosić Moc z niewiarygodną siłą. Być może z taką samą jak Rand al'Thor lub prawie taką, o ile należy wierzyć doniesieniom. Zanim zostanie sprowadzony do Tar Valon i poskromiony, Liandrin ma zamiar go uwolnić. Zostanie ogłoszony Smokiem Odrodzonym, dane mu będzie imię Rand al'Thor i zostanie popchnięty ku destrukcji na skalę, jakiej świat nie widział od Wojny Stu Lat.

— To niemożliwe — wtrąciła Nynaeve. — Wzór nie zaakceptuje fałszywego Smoka, nie teraz, gdy Rand się już proklamował.

Egwene westchnęła. Już przez to przechodziły, a jednak Nynaeve zawsze wchodziła się w spór przy tym punkcie. Nie była pewna, czy ona naprawdę wierzy, że Rand to Smok Odrodzony, niezależnie od tego, co mówiła, niezależnie od Proctw, *Callandora* i upadku Kamienia. Nynaeve była na tyle starsza od niego, by się nim opiekować, kiedy był mały, podobnie jak opiekowała się Egwene. Pochodził z Pola Emonda, a Nynaeve nadal uważała, że jej pierwszym obowiązkiem jest ochrona ludzi z Pola Emonda.

— Czy to właśnie powiedziała ci Moiraine? — spytała Joyia z nutą pogardy. — Moiraine spędziła niewiele czasu w Wieży, odkąd została wyniesiona, i niewiele więcej w towarzystwie swych sióstr przebywających poza Wieżą. Przypuszczam, że wie, na czym polega codzienne życie na wsi, może nawet zna się trochę na polityce narodów, ale nie może twierdzić, że rozumie to, czego nauczyć się można jedynie drogą badań i dyskusji z tymi, które znają się na tych sprawach. Ale może mieć rację. Równie dobrze Mazrim Taim mógł stwierdzić, że nie może się proklamować. Jeśli jednak zrobią to za niego inni, to czy coś się w znaczący sposób zmieni?

Egwene bardzo pragnęła powrotu Moiraine. Ta kobieta nie mówiłaby z takim przekonaniem, gdyby tu była Moiraine. Joyia doskonale wiedziała, że ona i Nynaeve są tylko Przyjętymi. To zmieniało całą sytuację.

— Mów dalej — przykazała Egwene, niemal równie surowo jak Nynaeve. — I pamiętaj, innymi słowami.

— Oczywiście — odparła Joyia, jakby reagowała na łaskawe zaproszenie, ale jej oczy załśniły niczym okruchy czarnego szkła. — Widzicie oczywisty rezultat. Rand al'Thor będzie obwiniony o kradzież imienia... Randa al'Thora. Nawet dowód, że nie jest tym samym człowiekiem, da się obalić. Ostatecznie kto potrafi orzec, do jakich sztuczek może się uciec Smok Odrodzony? Na przykład może przebywać w dwóch miejscach równocześnie. Nawet tacy, którzy się zawsze opowiadali po stronie fałszywego Smoka, zawahają się w obliczu masowej rzezi i jeszcze gorszych widoków, które rozścielą się u jego stóp. Ci, których mord nie odstręcza, będą szukali takiego Randa al'Thora, którego krew zdaje się upajać. Narody się zjednoczą tak jak podczas Wojny z Aielami... — Obdarzyła Aviendhę przepaszającym uśmiechem, bezsensownym w porównaniu z bezlitosnym wzrokiem. — ...tyle że bez wątpienia znacznie szybciej. Nawet Smok Odrodzony nie da rady się im przeciwstawić, nie na długo. Zostanie pokonany, jeszcze zanim rozpocznie się Ostatnia Bitwa, przez tych samych, których miał ratować. Czarny wyrwie się na wolność, nadejdzie dzień Tarmon Gai'don, Cień zakryje ziemię i przekształci Wzór na zawsze. Taki jest plan Liandrin. — Jej głos nie zdradzał ani śladu satysfakcji, jednak śmiertelnego przerażenia też w nim brakowało.

Była to wiarygodna opowieść, bardziej wiarygodna niż relacja Amico z kilku podsłuchanych zdań, mimo to Egwene wierzyła Amico, a nie Joyi. Może dlatego, że tak chciała. Łatwiej było stawić czoło niejasnemu zagrożeniu w Tanchico niż w pełni ukształtowanemu planowi, zgodnym z którym każda ręka miała się zwrócić przeciwko Randowi.

„Nie — pomyślała. — Joyia kłamie. Jestem pewna, że kłamie”.

Niemniej jednak nie mogły sobie pozwolić na zignorowanie obu opowieści. Nie mogły też podążyć tropem obydwu, chcąc zachować nadzieję na sukces.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do izby wkroczyła Moiraine, a za nią Elayne. Dziedziczka Tronu wbiła wzrok w posadzkę, pogrążona w jakichś mrocznych myślach, ale Moiraine... Tym razem cały spokój Aes Sedai zniknął, na jej twarzy malowała się furia.

# DRZWI

— Rand al'Thor — powiedziała w przestrzeń Moiraine, niskim, zdławionym głosem — to tępy jak muł, uparty jak głaz, głupiec jak. . . każdy mężczyzna.

Elayne ze złością zadarła podbródek. Jej niania, Lini, zwykła mawiać, że prędzej uda się utkać jedwab ze świńskiej szczeciny, niż stworzy się z mężczyzny coś więcej niż tylko mężczyznę. Jakkolwiek by szukać, nie było usprawiedliwienia dla Randa.

— Na takich ich wychowujemy w Dwu Rzekach. — Nynaeve cała się nagle przystroiła w ledwie skrywane uśmieški i zadowolenie. Rzadko kryła swą niechęć do Aes Sedai, bodaj w połowie tak udanie, jak jej się zdawało. — Kobiety z Dwu Rzek nigdy nie miały z nimi kłopotów.

Zdumione spojrzenie, którym obdarzyła ją Egwene, mówiło, że to Nynaeve należy się porządne mycie ust za tego rodzaju kłamstwa.

Moiraine ściągnęła brwi, jakby odpowiedź, którą zamierzała udzielić Nynaeve, miała być znacznie ostrzejsza. Elayne drgnęła, nie przyszło jej jednak do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, aby zażegnać kłótnię. Rand nadal jej skakał po głowie. Nie miał prawa! A jakie ona miała prawo?

Zamiast niej odezwała się Egwene.

— Co on zrobił, Moiraine?

Spojrzenie Aes Sedai pomknęło w stronę Egwene, tak twarde, że dziewczyna aż się cofnęła i rozłożyła wachlarz, nerwowo trzepocząc nim sobie przed oczyma. Jednakże wzrok Moiraine osiadł na Joyi i Amico, pierwszej obserwującej ją czujnie, drugiej związanej i niepomnej niczego prócz odległej ściany.

Elayne wzdrygnęła się nieznacznie pojąwszy, że Joyia nie jest związana. Pośpiesznie sprawdziła tarczę blokującą jej dostęp do Prawdziwego Źródła. Miała nadzieję, że żadna nie zauważyła jej reakcji, Joyia przerażała ją bowiem niemalże śmiertelnie, natomiast Egwene i Nynaeve bały się tej kobiety nie bardziej niż Moiraine. Czasami trudno było zdobyć się na odwagę, właściwą Dziedzicze Tronu Andoru, często żałowała, że nie panuje nad sobą tak umiejętnie jak jej dwie przyjaciółki.

— Strażniczki — mruknęła jakby do siebie Moiraine. — Widziałam je jeszcze na korytarzu, ale nigdy mi to nie przyszło do głowy. — Wygładziła suknię, opa-



nowując się z wyraźnym wysiłkiem. Elayne stwierdziła, że chyba nigdy dotąd nie widziała Moiraine podobnie wytraconej z równowagi jak tej nocy. Z kolei jednak Aes Sedai miała ku temu powód.

„Nie większy niż ja. Czyżby?”

Stwierdziła, że unika wzroku Egwene.

Gdyby to Egwene, Nynaeve albo Elayne były wytracone z równowagi, Joyia z pewnością powiedziała by coś, subtelnego i dwuznacznego, obliczonego na dodatkowe ich zdenerwowanie. W każdym razie gdyby były same. Przy Moiraine tylko obserwowała, niespokojna i milcząca.

Moiraine przeszła do drugiego końca stołu, odzyskując spokój. Joyia była od niej wyższa niemal o głowę, ale nawet gdyby miała na sobie jedwabie, to i tak nie byłoby wątpliwości, która panuje nad sytuacją. Joyia niby się cofnęła, a jednak jej dłonie miętosły przez chwilę rąbek spódnicy, nim potrafiła nad nimi zapanować.

— Poczyńłam przygotowania — powiedziała cicho Moiraine. — Za cztery dni zostaniecie zabrane statkiem w górę rzeki, do Tar Valon i Wieży. Tam nie będą z wami postępować tak łagodnie jak my. Jeśli nie znalazłyście do tej pory prawdy, to lepiej znajdźcie ją, nim dotrzecie do Południowego Portu, bo inaczej z pewnością traficie na szubienicę w Sądzie Zdrajczyń. Nie będę więcej z wami rozmawiała, chyba że prześlecie wiadomość, iż macie coś nowego do powiedzenia. I nie chcę od was słyszeć ani słowa, ani jednego słowa, jeśli nie wniesie czegoś nowego. Wierźcie mi, to wam zaoszczędzi bólu w TarValon. Aviendho, czy zechcesz powiedzieć kapitanowi, by przysłał tu dwóch ludzi?

Elayne zamrugnęła, gdy Panna Włóczyń wyprostowała się i zniknęła za drzwiami, czasami umiała siedzieć tak nieruchomo, że wydawało się, że jej tu wcale nie ma.

Twarz Joyi poruszyła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale Moiraine wbiła w nią wzrok i Czarna Ajah odwróciła oczy. Błyszczały niczym oczy kruka, przepełnione żądzą mordy, trzymała jednak język za zębami.

Natomiast Elayne spostrzegła od razu, jak Moiraine otoczyła się nagle złotobiałą luną, towarzyszącą tej, która obejmowała *saidara*. Zobaczyć to mogła tylko kobieta nauczona przenoszenia Mocy. Strumienie unieruchamiające Amico rozplątały się bardzo szybko, szybciej niż Elayne zdołałaby się z nimi uporać. Była silniejsza od Moiraine, przynajmniej potencjalnie. Kobiety, które ją szkoliły w Wieży, niemalże nie potrafiły dać wiary w ogrom jej możliwości, podobnie zresztą było w przypadku Egwene i Nynaeve. Nynaeve była z nich wszystkich najsilniejsza — kiedy już udało jej się przenieść Moc. Moiraine była natomiast doświadczona. To, czego one wciąż jeszcze musiały się uczyć, Moiraine potrafiłaby zrobić przez sen. Były jednak takie rzeczy, które Elayne potrafiła zrobić, podobnie jak jej dwie przyjaciółki, a których Aes Sedai nie umiała. Niewielką to stanowiło satysfakcję w porównaniu z łatwością, z jaką Moiraine nastraszyła Joyię.

Uwolniona, na powrót odzyskawszy słuch, Amico odwróciła się i dopiero teraz zdała sobie sprawę z obecności Moiraine. Pisnąwszy dygnęła głęboko jak nowicjuszka. Joyia wbiła ponury wzrok w drzwi, unikając oczu pozostałych. Nynaeve, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i ze zbieleńcami od ściskania warkocza stawami dłoni, patrzyła na Moiraine równie morderczym wzrokiem jak Joyia. Egwene gładziła palcami spódnice i patrzyła spode łba na Joyię, Elayne krzywiła się żalując, że nie jest równie odważna jak Egwene; czuła się w tej chwili tak, jakby zdradzała przyjaciółkę. Na to wszystko wszedł kapitan, a tuż za nim, depcząc mu po piętach, dwaj Obrońcy w czerni i złocie. Nie było z nimi Aviendhy, zapewne skorzystała z okazji, by uciec przed Aes Sedai.

Szpakowaty oficer, z dwoma krótkimi piórami na hełmie o wywiniętym brzegu, spłoszył się, gdy jego oczy napotkały Joyię, choć ona zdawała się w ogóle go nie dostrzegać. Jego niepewny wzrok biegał od kobiety do kobiety. Nastrój panujący w izbie zwiastował kłopoty, a żaden rozsądny człowiek nie miał ochoty się angażować w kłopotliwą sytuację, stworzoną przez osoby ich pokroju. Dwóch żołnierzy przycisnęło wysokie włócznie do boków, jakby się obawiali, że będą zmuszeni się bronić. Może rzeczywiście się tego spodziewali.

— Zabierzesz te dwie z powrotem do ich cel — zwięźle oznajmiła oficerowi Moiraine. — Powtórz swe instrukcje. Nie chcę żadnych błędów.

— Tak, Aes... — Słowa zdawały się zamierać Kapitanowi w gardle. Przełknął głośno powietrze. — Tak, moja pani — powiedział, zerkając z niepokojem, by sprawdzić, czy to wystarczy. Kiedy ona nadal patrzyła na niego czekając, słyszałnie westchnął z ulgą. — Więźniarki mają nie rozmawiać z nikim oprócz mnie, nawet ze sobą. Dwudziestu ludzi w izbie strażniczej i dwóch przed każdą celą na okrągło, a czterech, gdyby z jakiegoś powodu drzwi miały być otwierane. Osobiście będę doglądał przygotowania ich posiłków i będę je im zanosił. Wszystko, jak zarządziłaś, moja pani.

W jego głosie pobrzmiewał ślad pytania. Po Kamieniu krążyły setki plotek w sprawie uwięzionych kobiet i powodu, dla którego miały być strzeżone tak ściśle. Opowiadano też sobie szeptem różne historie o Aes Sedai, jedne mroczniejsze od drugih.

— Bardzo dobrze — pochwaliła go Moiraine. — Zabierz je.

Nie było jasne, kto ma większą ochotę opuścić tę izbę, pojmane czy Strażnicy. Nawet Joyia ruszyła szybkim krokiem, jakby ani chwili dłużej nie mogła znieść milczenia w obecności Moiraine.

Elayne była przekonana, że od momentu wejścia do izby jej twarz pozostała spokojna, Egwene jednak podeszła do niej i objęła ją ramieniem.

— O co chodzi, Elayne? Wyglądasz tak, jakbyś miała się rozplakać.

Pod wpływem troski w jej głosie Elayne poczuła, że zaraz zaleje się łzami.

„Światłości! — pomyślała. — Nie będę aż taka głupia. Nie będę! Płacząca kobieta jest jak wiadro bez dna”.

Lini знаła mnóstwo tego typu powiedzonek.

— Trzy razy... — wybuchnęła Nynaeva — tylko trzy! Zgodziłaś się, byśmy pomagały w przesłuchaniu. Tym razem znikasz, jeszcze zanim zaczęłyśmy, a teraz na dodatek spokojnie oznajmiasz, że je odsyłasz do Tar Valon! Jak nie pomagasz, to przynajmniej nie przeszkadzaj!

— Nie nadużywaj autorytetu Amyrlin — odparła chłodno Moiraine. — Mogła wam zlecić ściganie Liandrin, ale wy nadal jesteście tylko Przyjętymi, i to takimi, które wiedzą żałośnie mało. Nieważne, w czyje listy was wyposażono. A może macie zamiar wypytywać je przez całą wieczność, zanim podejmiecie jakąś decyzję? Wy, ludzie z Dwu Rzek, zdajecie się unikać decyzji, które koniecznie należy podjąć szybko. — Nynaeva otworzyła i zamknęła usta, wytrzeszczając oczy, jakby się zastanawiała, na które oskarżenie odpowiedzieć najpierw, w tym momencie Moiraine zwróciła się do Egwene i Elayne. — Weź się w garść, Elayne. Nie wiem, jak możesz wykonywać rozkazy Amyrlin, jeśli ci się wydaje, że w każdym kraju obowiązują obyczaje, do których nawykłaś. I nie wiem też, dlaczego jesteś taka zdenerwowana. Nie pozwalaj, by twoje uczucia raniły innych.

— O co ci chodzi? — spytała Egwene. — Jakie obyczaje? O czym ty mówisz?

— W komnatach Randa była Berelain — wyjaśniła cicho Elayne, zanim mogła się powstrzymać. Jej oczy, przepełnione poczuciem winy, pomknęły ku Egwene. Z pewnością udało jej się ukryć uczucia.

Moiraine zgaśniła ją wzrokiem i westchnęła.

— Oszczędziłabym ci tego, gdybym mogła, Egwene. Gdyby Elayne nie pozwoliła, by obrzydzenie do Berelain zawładnęło jej rozsądkiem. Obyczaje Mayene nie są takie, do jakich nawykłaś. Egwene, wiem, co czujesz do Randa, ale do tej pory winnaś była pojąć, że z tego nic nie wyjdzie. On należy do Wzoru i historii.

Pozornie ignorując Aes Sedai, Egwene spojrzała w oczy Elayne. Tamta miała ochotę odwrócić wzrok, ale nie mogła. Nagle Egwene podeszła bliżej i wyszeptowała coś, osłaniając usta dłonią.

— Kocham go. Jak brata. A ciebie jak siostrę. Życzę, by ci się z nim powiodło.

Oczy Elayne zrobiły się większe, a na jej twarzy powoli rozlał się szeroki uśmiech. Na uścisk Egwene odpowiedziała gorącym uściskiem.

— Dziękuję ci — wymruczała cicho. — Ja też cię kocham, siostrze. Och, jak ja ci dziękuję.

— Ona to źle zrozumiała — powiedziała, częściowo do siebie, Egwene, z uśmiechem zachwyty wykwitłym na twarzy. — Czy byłaś kiedykolwiek zakochana, Moiraine?

Co za zaskakujące pytanie. Elayne nie umiała sobie wyobrazić zakochanej Aes Sedai. Moiraine należała do Błękitnych Ajah, o których powiadano, że poświęcają wszelkie swoje namiętności na rzecz sprawy.

Szczupła kobieta wcale się nie oburzyła. Przez dłuższą chwilę mierzyła spokojnym wzrokiem obydwie, objęte ramionami. W końcu powiedziała:

— Założę się, że ja lepiej znam twarz mężczyzny, którego poślubię, niż którakolwiek z was zna swego przyszłego męża.

Egwene wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

— Kto? — wykrztusiła Elayne.

Aes Sedai wydawała się żałować, że się odezwała.

— Może tylko chciałam powiedzieć, że łączy nas ta sama niewiedza. Nie wycytujcie zbyt wielu rzeczy z kilku słów. — Oszacowała wzrokiem Nynaeve. — Gdybym kiedyś miała wybrać jakiegoś mężczyznę... gdybym, powtarzam... to nie byłby nim Lan. Tyle powiem.

Miało to ugłaskać Nynaeve, ale tamtej najwyraźniej się nie spodobało. Nynaeve miała coś, co Lini nazwałaby „zagonkiem trudnym w uprawie”, kochała nie tylko Strażnika, lecz również mężczyznę, który usiłował zaprzeczać, że odwzajemnia jej miłość. Głupi to był mężczyzna, opowiadał o wojnie z Cieniem, z której nie umiał zrezygnować i w której nigdy nie mógł zwyciężyć, o tym, że nie chce, by Nynaeve przywdziała szaty wdowy na swą weselną ucztę. Tego typu głupstwa. Elayne nie pojmowała, jak Nynaeve sobie z tym radzi. Nie należała do wybitnie cierpliwych.

— Jeśli już skończyłyście pogawędkę o mężczyznach — powiedziała kwaśnym tonem Nynaeve, jakby chciała właśnie udowodnić prawdziwość swego wizerunku w oczach Elayne — to może powrócimy do tego, co jest istotne? — Szarpnęła silnie warkocz i mówiła dalej, stopniowo nabierając rozpędu i gwałtowności niczym koło wodne z obluzowanymi trybami. — Jak możemy sprawdzić, czy Joyia albo Amico kłamie, skoro masz zamiar je odesłać? Lub czy obydwie kłamią? Czy żadna? Nie rozkoszuję się własnymi rozterkami, Moiraine, nieważne, co sobie myślisz, jednak wpadłam dotąd w zbyt wiele pułapek, by mieć ochotę na jeszcze jedną. I nie chcę też uganiać się za błędnymi ognikami. Ja... my... jesteśmy tymi, którym Amyrlin zleciła odszukanie Liandrin i jej towarzyszek. Wygląda na to, że skoro nie uważasz tego za na tyle ważne, by stracić więcej niż chwilę na pomaganiu nam, to przynajmniej nie wal nas po łydkach miotłą!

Sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar wyrwać swój warkocz z głowy i uduzić nim Aes Sedai. Moiraine natomiast demonstrowała ten niebezpiecznie chłodny, kryształowy spokój, który sugerował, że jest gotowa znowu udzielić lekcji na temat trzymania języka za zębami, takiej samej, jakiej udzieliła Joyi. Czas, stwierdziła Elayne, skończyć z myciem podłóg. Nie wiedziała, jak do tego doszło, że przypadła jej rola rozjemczymi w kręgu tych kobiet — czasami miała ochotę wziąć je wszystkie za karki i potrząsnąć — ale matka zawsze jej powtarzała, że decyzja podjęta w gniewie nie jest słuszna.

— Mogłabyś dodać do swej listy to, co chcesz wiedzieć — powiedziała — powód, dla którego zostałyśmy wezwane do Randa? Bo to tam nas zaprowadzi-

ła Careen. Teraz nic mu już nie jest, oczywiście. Moiraine go uzdrowiła. — Nie potrafiła stłumić dreszczu, przypominając sobie, co zobaczyła, gdy ukradkiem zajrzała do jego komnaty, tak czy inaczej, skierowanie uwagi na inny temat podziałało jak czar.

— Uzdrowiony! — wykrztusiła Nynaeve. — Co mu się stało?

— Omal nie umarł — powiedziała Aes Sedai, tak spokojnie, jakby mówiła, że rozlał dzbanek z herbatą.

Elayne poczuła, że Egwene się trzęsie, kiedy słuchały beznamietnego sprawozdania Moiraine, ale być może częściowo były to również jej dreszcze. Bańki zła dryfujące po Wzorze. Odbicia wyskakujące z luster. Rand cały we krwi i ranach. Trochę jakby po namyśle Moiraine dodała, że jest pewna, iż Perrin i Mat doświadczyli czegoś podobnego, tylko uszli z tego bez szwanku. Ta kobieta musiała mieć lód zamiast krwi.

„Nie, upór Randa ją mocno rozognił. I nie była też zimna, kiedy mówiła o małżeństwie, mimo że z całych sił udawała chłód”.

Teraz jednak równie dobrze mogłaby wieść dyskusję, czy barwa jakiejś sztuki jedwabiu nadaje się na suknię.

— I te... te rzeczy będą się dalej działy? — spytała Egwene, kiedy Moiraine skończyła mówić. — Czy nie możesz czegoś zrobić, żeby położyć temu kres? Nie możecie, ty albo Rand?

Mały, niebieski kamyk, zwisający nad czołem Moiraine, zakołysał się, gdy potrzęsnęła głową.

— Nie, dopóki nie nauczy się kontrolować swych zdolności. Może nawet i wówczas nie. Nie wiem, czy nawet on będzie dostatecznie silny, by odepchnąć od siebie ten miazmat. Ale tak czy owak, będzie przynajmniej w stanie sam się bronić.

— Czy nie możesz czegoś zrobić, żeby im pomóc? — spytała podniesionym głosem Nynaeve. — Jesteś tą z nas, która rzekomo wie wszystko, czy tylko taką udajesz? Nie możesz go nauczyć? Chociaż części? Tylko nie przytaczaj przysłów o ptakach uczących latać ryby.

— Wiedziałybyś więcej — odparła Moiraine — gdybyś skorzystała z udzielonych ci nauk tak, jak powinnaś. Powinnaś wiedzieć więcej. Chcesz posługiwać się Mocą, Nynaeve, ale nie masz ochoty się uczyć o Mocy. *Saidin* to nie *saidar*. Strumienie są inne, inaczej się je tworzy. Ptak ma większe szanse.

Tym razem przysła kolej na Egwene, żeby rozładować napięcie.

— A przy czym to upiera się Rand? — Gdy Nynaeve otworzyła usta, dodała: — Czasami potrafi być uparty jak głąz.

Nynaeve zamknęła usta, wszystkie wiedziały, ile w tym prawdy.

Pogrążona w myślach Moiraine zmierzyła je wzrokiem. Czasami Elayne nie była pewna, do jakiego stopnia Aes Sedai im ufa. I w ogóle komukolwiek.

— On musi wyjechać — powiedziała wreszcie Aes Sedai. — Zamiast tego siedzi tutaj, a mieszkańcy Łzy powoli przestają się go bać. On tu siedzi, a im dłużej siedzi, nie robiąc nic, tym bardziej Przekłęci będą patrzyli na jego bezczynność jak na oznakę słabości. Wzór rusza się i faluje, tylko martwi są nieruchomi. On musi działać, bo inaczej zginie. Od strzały z kuszy w plecach, trucizny w jedzeniu albo zabiją go Przekłęci, którzy skrzykną się, żeby wydrzeć mu z ciała duszę. Musi działać, bo inaczej zginie.

Elayne krzywiła się przy każdym niebezpieczeństwie wymienianym przez Moiraine, brzmiały tym gorzej, że były najzupełniej realne.

— I ty wiesz, co on powinien zrobić? — spytała drwiąco Nynaeve. — To ty zaplanowałaś tę akcję.

Moiraine skinęła głową.

— Wolałabyś, żeby znowu gdzieś hasał samopas? Nie odważę się na to ryzyko. Tym razem, zanim go znajdzie, mógłby zginąć albo jeszcze gorzej.

Była w tym wystarczająca doza słuszności, Rand ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co robi. I Elayne nie wątpiła, że Moiraine nie chce utracić tej odrobiny siły przewodniej, za pomocą której nadal nim kierowała. Tej odrobiny, na którą jej pozwalał.

— Czy zdradzisz nam swój plan? — zażądała Egwene. Z pewnością nie pomagała teraz oczyścić atmosfery.

— Och tak, zrób to — powiedziała Elayne, zadziwiając samą siebie zimnym echem tonu Egwene. Nigdy nie dążyła do konfrontacji, jeśli można jej było uniknąć, matka zawsze powtarzała, że lepiej kierować ludźmi, niż wbijać ich w szereg za pomocą młotka.

Jeśli ich zachowanie zirytowało Moiraine, to nie dała tego po sobie poznać.

— O ile zrozumiecie, że musicie go zachować dla siebie. Plan zdradzony to plan skazany na porażkę. Tak, widzę, że rozumiecie.

Elayne z pewnością rozumiała, plan był niebezpieczny i Moiraine nie była pewna, czy się powiedzie.

— Sammael jest w Illian — kontynuowała Moiraine. — Tairenianie są zawsze gotowi do wonny z Illian i na odwrót. Od tysiąca lat zabijają się wzajemnie i mówią o swych szansach tak, jak inni ludzie mówią o najbliższym święcie. Wątpię, czy wiedza o obecności Sammaela by to zmieniła, zwłaszcza że mają Smoka Odrodzonego, który by nimi pokierował. Łza z chęcią pójdzie za Randem w tym przedsięwzięciu, a jeśli on pokona Sammaela, to...

— Światłości! — zakrzyknęła Nynaeve. — Nie dość że chcesz, by on zaczął wojnę, to jeszcze chcesz, by dążył do walki z Przeklętym! Nic dziwnego, że się opiera. Jak na mężczyznę wcale nie jest głupcem.

— Musi w końcu zmierzyć się z Czarnym — odparła spokojnie Moiraine. — Naprawdę myślisz, że może teraz unikać Przeklętych? Jeśli chodzi o wojnę, to dość wojen się toczy bez jego udziału, bardziej jeszcze niepotrzebnych.

— Nie ma potrzebnych wojen — zaczęła Elayne, po czym umilkła, gdy nagle zrozumiała. Jej twarz musiała zdradzać również smutek i żal, ale przede wszystkim zrozumienie. Matka często ją uczyła, jak należy kierować i rządzić państwem, dwie różne rzeczy, ale obie konieczne. I czasami w imię obydwu trzeba było robić rzeczy co najmniej nieprzyjemne, aczkolwiek cena, jaką się płaciło za ich niezrobienie, była jeszcze większa.

Moiraine obdarzyła ją współczującym spojrzeniem.

— Nie jest to zawsze przyjemne, prawda? Kiedy byłaś już dostatecznie dorosła, by zrozumieć, twoja matka zaczęła, jak przypuszczam, uczyć cię tego, co ci się przyda, gdy już przejmiesz po niej tron. — Moiraine wyrastała w królewskim pałacu w Cairhien, nie przeznaczona, by władać, lecz spokrewniona z panującą rodziną, i bez wątplenia słuchała takich samych wykładów. — Ale czasami wydaje mi się, że lepiej być ignorantką, wieśniaczką, dla której świat się ogranicza do własnego poletka.

— Kolejne zagadki? — spytała z pogardą Nynaeve. — Wojna była czymś, o czym słuchałam od wędrownych handlarzy, czymś dalekim, czego tak naprawdę nie rozumiałam. Teraz wiem, co to takiego. To mężczyźni, którzy zabijają mężczyzn. Mężczyźni zachowujący się jak zwierzęta i zredukowani do poziomu zwierząt. Spalone wsie, farmy i pola. Głód, choroby i śmierć, jednako dla niewinnych jak i winnych. Co sprawia, że twoja wojna jest lepsza, Moiraine? Co sprawia, że jest czystsza?

— Elayne? — zapytała cicho Moiraine.

Potrząsnęła głową — nie chciała tego wyjaśniać — nie była jednak pewna, czy jej matka, która zasiadała na Lwim Tronie, milczałaby pod wpływem zniewalającego, ciemnookiego spojrzenia Moiraine.

— Wojna wybuchnie, czy Rand ją zacznie czy nie — powiedziała z niechęcią. Egwene zrobiła krok w tył, patrząc na nią z niedowierzaniem, być może nie tak wyraźnym jak malujące się na twarzy Nynaeve. Jednak sceptycyzm ich malał, w miarę jak mówiła dalej. — Przekleci nie będą czekali beczynn timer. Sammael nie może być jedynym, który okiełznał jakiś naród, choć tylko o nim wiemy. W końcu zaatakują Randa, być może osobiście, z pewnością przy pomocy swych armii, którymi dowodzą. A kraje, które są wolne od Przeklętych? Ilu wzniesie okrzyk na chwałę sztandaru Smoka i pójdzie za nim na Tarmon Gai'don, a ilu da się przekonać, że upadek Kamienia to kłamstwo i że Rand to tylko kolejny fałszywy Smok, być może dostatecznie silny, by im zagrażać, jeśli sami nie ruszą przeciwko niemu? — Urwała nagle. Było coś jeszcze, ale nie mogła, nie chciała im tego mówić.

Moiraine nie była taka powściągliwa.

— Bardzo dobrze — pochwaliła, kiwając głową — tylko to nie wszystko. — Spojrzenie, którym obdarzyła Elayne, mówiło, że ona wie, iż Elayne opuściła to, co ona miała na myśli. Z dłońmi skrzyżowanymi na podolku spokojnie zwróciła

się do Nynaeve i Egwene. — Nic nie sprawi, by ta wojna była lepsza albo czystsza. Tyle tylko, że zjednoczy z nim Tairenian, a Illianie w końcu pójdą za nim, tak jak to teraz robią Tairenianie. Jakże inaczej mogliby postąpić, gdy sztandar Smoka załopocze nad Illian? Same wieści o jego zwycięstwie mogą przesądzić o losie wojen w Tarabon i Arad Doman na jego korzyść; oto macie wojny, które się skończą.

— Dzięki jednemu uderzeniu zgromadzi takie siły ludzi i broni, że jedynie koalicja wszystkich pozostałych narodów odąd aż po Ugór mogłaby go pokonać, i za jednym zamachem pokaże Przeklętym, że nie jest tłustą przepiórką na gałęzi, która zaraz wpadnie w ich sieci. To sprawi, że zrobią się ostrożni, dzięki czemu dadzą mu czas, podczas którego nauczy się, jak wykorzystać swą moc. Musi ruszyć pierwszy, być młotem, nie gwoździem. — Aes Sedai się lekko skrzywiła, reminiscencje poprzedniego gniewu mąciły jej spokój. — Musi ruszyć pierwszy. A co on robi? Czyta. Zacztyuje się, dopraszając o jeszcze większe kłopoty.

Nynaeve wyglądała na wstrząśniętą, jakby wyobrażała sobie wszystkie te bitwy i śmierć, ciemne oczy Egwene zогromniały z przerażenia. Na widok ich twarzy Elayne zadygotała. Jedna przypatrywała się dorastaniu Randa, druga razem z nim dorastała. A teraz miały patrzeć, jak wszczyna wojnę. Nie Smok Odrodzony, lecz Rand al'Thor.

Egwene zmagą się wyraźnie ze sobą, wyszukując najdrobniejsze, najbardziej niekonsekwentne elementy tego, co powiedziała Moiraine.

— Dlaczego czytanie miałoby przysporzyć mu kłopotów? — Postanowił, że sam sprawdzi, co mówią Proroctwa Smoka. — Twarz Moiraine pozostała chłodna i gładka, ale nagle w jej głosie odezwało się to samo zmęczenie, które czuła Elayne. — Możliwe, że były w Łzie zakazane, ale Główny Bibliotekarz przechował dziewięć różnych tłumaczeń w zamkniętej szkatule. Teraz Rand ma je wszystkie. Wskazałam mu stosowny wers i on mi go zacytował, korzystając ze starego kandoryjskiego tłumaczenia.

„Moc Cienia przybrała ludzkie ciało,  
powstała do zamętu, walki i ruiny.  
Odrodzony, naznaczony i zbroczony krwią,  
Z mieczem tańczy we snach i we mgle,  
opasuje miot Cienia łańcuchem swej woli,  
z miasta, zatraconego i przeklętego,  
raz jeszcze włócznie na wojnę prowadzi,  
włócznie łamie i sprawia, że widzą,  
prawdę, od dawna ukrytą w starożytnym śnie”.

Skrzywiła się.

— Można to interpretować na wiele wygodnych sposobów. Illian pod Sammaelem jest z pewnością przeklętym miastem. Poprowadzi taireńskie włócznie



na wojnę, zakuje Sammaela w łańcuchy i już spełni proroctwo zawarte w tym wersie. Tylko że on tego nie zobaczy. Ma nawet egzemplarz napisany w Dawnej Mowie, jakby rozumiał z niej bodaj dwa słowa. Ugania się za cieniami, a Sammael, Rahvin albo Lanfear doskoczą mu do gardła, zanim uda mi się go przekonać, że popełnia błąd:

— Jest zdesperowany. — Elayne była pewna, że łagodny ton, który przybrała Nynaeve, nie jest przeznaczony dla Moiraine, lecz dla Randa. — Zdesperowany i usiłuje znaleźć jakieś wyjście.

— Ja też jestem zdesperowana — oświadczyła Moiraine. — Poświęciłam życie na odnalezienie Randa i nie pozwolę, by poniósł porażkę, skoro mogę temu zapobiec. Jestem niemalże równie zdesperowana, by... — Urwała, wydymając usta. — Wystarczy, jak powiem, że zrobię to, co muszę.

— To wcale nie wystarczy — zauważyła ostrym tonem Egwene. — Co masz zamiar zrobić?

— Macie inne powody do zmartwień — odparła Aes Sedai. — Czarne Ajah...

— Nie! — Głos Elayne był ostry jak nóż, rozkazujący, stawy dłoni zbielały, kiedy ścisnęła swe miękkie, niebieskie spódnice. — Wiele tajemnic dla siebie trzymasz, Moiraine, ale tę nam zdradź. Co zamierzasz z nim zrobić? — W myślach błysnęła jej wizja chwytania Moiraine i w razie konieczności wytrząsania z niej prawdy.

— Zrobić? Nic. Zresztą proszę bardzo. Nie widzę powodu, byście miały nie wiedzieć. Widziałyście to, co Tairenianie nazywają Wielką Przechowalnią?

Dziwne postępowanie jak na ludzi, którzy tak lękali się Mocy, ale Tairenianie zgromadzili w Kamieniu kolekcję przedmiotów związanych z Mocą, drugą co do wielkości po kolekcji z Białej Wieży. Elayne ze swojej strony uważała, iż powodem tego był fakt, że przez długi czas zmuszeni byli do ochrony *Callandora*, czy tego chcieli czy nie. Nawet Miecz Który Nie Jest Mieczem, gdy stał się jednym spośród wielu, mógł nabrać mniejszego znaczenia. Niemniej jednak Tairenianie nigdy nie zdobyli się na wystawienie swych trofeów na pokaz. Wielka Przechowalnia mieściła się w ciągu brudnych, zagraconych pomieszczeń, ukrytych jeszcze głębiej niżli lochy. Kiedy Elayne po raz pierwszy je zobaczyła, zamki w spróchniałych drzwiach od dawna były zardzewiałe.

— Spędziłyśmy tam cały dzień — oznajmiła Nynaeve — żeby sprawdzić, czy Liandrin i jej przyjaciółki coś zabrały. Moim zdaniem nie. Wszystko było pokryte warstwami pleśni i kurzu. Potrzeba będzie dziesięciu statków, żeby rzeczy te przewieźć do Wieży. Może tam nadadzą im jakiś sens, ja z pewnością nie potrafię. — Pokusa dokuczenia Moiraine była wyraźnie zbyt wielka, bo dodała: — Wiedziałybyś o tym wszystkim, gdybyś poświęciła nam nieco więcej swojego czasu.

Moiraine nie zwróciła uwagi na ostatnie słowa. Zdawała się zaglądać do swego wnętrza, badać własne myśli, a gdy się odezwała, to jakby tylko mówiła do siebie.

— W Wielkiej Przechowalni znajduje się pewien szczególny *ter'angreal*,

przedmiot, który przypomina . drzwi wykonane z czerwonego kamienia, odrobinę krzywe, gdy im się uważnie przyjrzeć. Jeśli nie uda mi się go zmusić do podjęcia jakiejś decyzji, to być może będę musiała przestąpić przez próg tych drzwi. — Mały niebieski kamyk na jej czole zadrżał, rozsyłając iskry. Najwyraźniej nie miała ochoty na ten krok.

Przy wzmiance o *ter'angrealu* Egwene instynktownie dotknęła stanika swej sukni. Przyszyła tam małą kieszonkę, by ukryć w niej kamienny pierścień będący *ter'angrealem*, potężnym mimo niewielkich rozmiarów. Elayne była jedną z trzech kobiet, które wiedziały, że ona go ma. Moiraine do tej trójki nie należała.

Dziwny to był przedmiot, taki *ter'angreal*, pozostałość Wieku Legend podobnie jak *angreale* i *sa'angreale*, nawet jeśli bardziej liczne. *Ter'angreal* nie pomnażał Jedynej Mocy, tylko ją wykorzystywał. Każdy został stworzony do wykonywania jednej, konkretnej rzeczy i chociaż niektórych obecnie używano, to nikt nie był pewien, czy właśnie w takim celu je wykonano. Różdżka Przysięg, na którą kobieta składała Trzy Przysięgi podczas ceremonii wyniesienia do godności Aes Sedai, była *ter'angrealem*, który sprawiał, że przysięgi te stawały się częścią jej ciała i krwi. Ostatni sprawdzian, przez jaki przechodziła nowicjuszka, gdy wynoszono ją do godności Przyjętej, odbywał się we wnętrzu innego *ter'angrealu*, który wydobywał z niej najgłębsze lęki i sprawiał, że zdawały się realne — albo może przenosił ją do miejsca, gdzie rzeczywiście stawały się realne. Dziwne rzeczy potrafiły się dziać z udziałem *ter'angrealu*. Aes Sedai ulegały wypaleniu, umierały albo zwyczajnie znikwały podczas próby ich zbadania. I używania.

— Widziałam te drzwi — powiedziała Elayne. — W ostatniej izbie przy końcu korytarza. Zgasła mi lampa i trzy razy upadłam, zanim tam dotarłam. — Policzki poczerwieniały jej lekko z zażenowania. — Bałam się tam przenosić, nawet po to tylko, by zapalić lampę. Moim zdaniem wiele rzeczy tam wygląda na zwykłe śmieci, sądzę, że Tairenianie po prostu brali wszystko, co czymś zdaniem mogło być związane z Mocą, ale myślę, że gdybym przeniosła, to mogłabym przypadkiem ożywić coś, co nie jest śmieciem, i kto wie, co by się wtedy stało.

— A gdybyś się potknęła w tych ciemnościach i wpadła do tych wykrzywionych drzwi? — spytała zgryźliwie Moiraine. — Przy nich nie trzeba przenosić, wystarczy zrobić krok.

— W jakim celu? — spytała Nynaeve.

— By zdobyć odpowiedzi. Trzy odpowiedzi, wszystkie prawdziwe, na temat przeszłości, teraźniejszości albo przyszłości.

Pierwszą rzeczą, jaka przyszła do głowy Elayne z powodu tych trzech odpowiedzi, była bajka dla dzieci, *Billy pod górą*. Siadem tej myśli natychmiast zjawiała się następna, nawiedzając nie tylko Elayne. Odezwała się w chwili, gdy Nynaeve i Egwene dopiero otwierały usta.

— Moiraine, to rozwiązanie naszego problemu. Możemy spytać, czy Joyia albo Amico mówią prawdę. Możemy spytać, gdzie jest Liandrin i pozostałe. O imio-

na Czarnych Ajah, które zostały w Wieży. . .

— Możemy spytać, jakie to niebezpieczeństwo grozi Randowi — wtrąciła Egwene, Nynaeve zaś dodała:

— Dlaczego wcześniej nam o tym nie powiedziałaś? Dlaczego pozwalałaś nam wysłuchiwać w kółko tych samych opowieści, dzień w dzień, skoro wszystko można było już ustalić do tej pory?

Aes Sedai skrzywiła się i wyrzuciła ręce w górę.

— Wszystkie trzy rzucacie się na oślep tam, gdzie Lan i stu Strażników stapałoby ostrożnie. Jak myślicie, dlaczego ja nie zrobiłam tego kroku? Już wiele dni temu mogłam spytać, co Rand ma zrobić, żeby przeżyć i zwyciężyć, w jaki sposób może pokonać Przeklętych i wystrzegać się obłędu dostatecznie długo, by zrobić to, co musi. — Czekala, z rękoma wspartymi o biodra, aż to do nich dotrze. Żadna się nie odezwała. — Tu trzeba przestrzegać pewnych zasad — podjęła temat — i wystrzegać się niebezpieczeństw. Nikt nie może przestąpić progu tych drzwi więcej niż raz. Tylko raz. Można zadać trzy pytania, ale trzeba zadać wszystkie trzy i wysłuchać odpowiedzi, zanim będzie można stamtąd wyjść. Za błahę pytania ponoć jest kara, ale może okazać się również, że to co dla jednych brzmi poważnie, dla innych brzmi błaho. A co najważniejsze, za pytania, które dotyczą Cienia, ponosi się straszliwe konsekwencje.

— Gdybyście spytały o Czarne Ajah, mogłybyście wrócić martwe albo jako bredzące obłąkane, o ile w ogóle byście stamtąd wyszły. A co do Randa. . . Nie jestem pewna, czy jest możliwe pytanie o Smoka Odrodzonego, które w jakiś sposób nie dotyczy Cienia. Rozumiecie? Czasami istnieją powody do zachowania ostrożności.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — spytała Nynaeve. Wsparłszy pięści o biodra, mierzyła wzrokiem Aes Sedai. — Wysocy Lordowie z pewnością nigdy nie pozwolili Aes Sedai badać żadnego przedmiotu z Wielkiej Przechowalni. Sądząc po brudzie, jaki tam jest, ani jeden element tej kolekcji nie widział światła dziennego od stu albo i więcej lat.

— Więcej, tak mi się zdaje — odparła chłodno Moiraine. — Przestali gromadzić te przedmioty przed blisko trzystu laty. Tuż przedtem weszli w posiadanie tego *ter'angreal*. Do tamtego czasu była to własność Pierwszych z Mayene, którzy wykorzystywali otrzymane za drzwiami odpowiedzi, żeby nie dopuścić, by Mayene wpadło w ręce Łzy. I zezwalali Aes Sedai na badania. Naturalnie w tajemnicy, Mayene nigdy bowiem nie miało odwagi jawnie rozgniewać Łzę.

— Jeśli to było takie ważne dla Mayene — powiedziała podejrzliwie Nynaeve — to czemu drzwi są tutaj, w Kamieniu?

— Są tu dlatego, bo Pierwsi podejmowali nie tylko dobre, ale również złe decyzje, żeby uchronić Mayene przed Łzą. Trzysta lat temu Wysocy Lordowie planowali zbudować flotę, która miała podążać za statkami Mayene i znajdować ławice oliwnych ryb. Halvar, ówczesny Pierwszy, mocno podniósł cenę oliwy do

lamp ponad cenę oliwy taireńskiej, a żeby dalej utwierdzać Wysokich Lordów w przekonaniu, że Mayene będzie zawsze przedkładało interesy Łzy nad swoje własne, sprezentował im ten *ter'angreal*. Sam z niego wcześniej skorzystał i teraz nie był mu przydatny. Jako że był równie młody jak Berelain obecnie, to czekało go długie panowanie, podczas którego, jak sądził, będzie potrzebował dobrej woli Łzy.

— Był głupcem — mruknęła Elayne. — Moja matka nigdy by nie popełniła takiego błędu.

— Może nie — powiedziała Moiraine. — Tylko że Andor nie jest małym państwem, zaszczytym przez znacznie większe i silniejsze mocarstwa. Halvar był głupcem, jak się okazało, gdyż Wysocy Lordowie zgładzili go potajemnie następnego roku, jednak dzięki jego głupocie będę mogła skorzystać z pewnej szansy, jeśli okaże się to konieczne.

Nynaeve mruknęła coś do siebie, być może rozczarowana.

— To pozostawia nas dokładnie w miejscu, gdzie utknęliśmy. — Egwene westchnęła. — Dalej nie wiemy, która kłamie albo czy obie kłamią.

— Wypytajcie je raz jeszcze, jeśli chcecie — odparła Moiraine. — Macie czas, dopóki nie zostaną wsadzone na statek, wątpię jednak, czy zmienią teraz swą opowieść. Moja rada to skoncentrować się na Tanchico. Jeśli Joyia mówi prawdę, wówczas Aes Sedai będą potrzebni Strażnicy, żeby strzec Mazrima Taima. Posłałam gołębia z ostrzeżeniem do Amyrlin. W rzeczy samej posłałam trzy gołębie, żeby mieć pewność, iż przynajmniej jeden dotrze do Wieży.

— Jak to uprzejmie z twojej strony, że nas zawsze o wszystkim informujesz — chłodno mruknęła Elayne. Ta kobieta naprawdę podążała własną drogą. Udawały tylko, że są pełnymi Aes Sedai, ale to jeszcze nie stanowiło powodu, by utrzymywać je w niewiedzy. Amyrlin zleciła im przecież ściganie Czarnych Ajah.

Moiraine lekko skłoniła głowę, jakby przyjęła to podziękowanie za dobrą monetę.

— Nie ma za co. Pamiętajcie, że wy jesteście psami gończymi, które Amyrlin posłała tropem Czarnych Ajah. — Nieznacznym uśmiechem, którym zareagowała na zachnięcie się Elayne, mówił, że wie dokładnie, co tamta sobie myśli. — Decyzja, dokąd się udać, musi należeć do was. Na to też zwróciłyście mi uwagę — dodała sucho. — Ufam, iż ta decyzja okaże się łatwiejsza niż moja. I ufam, że będziecie spały dobrze.

— Ta kobieta... — mruknęła Elayne, gdy za Aes Sedai zamknęły się drzwi. — Czasami mogłabym ją niemalże udusić. — Opadła na jedno z krzesel i wbiła kwaśne spojrzenie w swoje dłonie złożone na podołku.

Nynaeve chrząknęła, co mogło oznaczać zgodę. Potem podeszła do wąskiego stołu pod ścianą, na którym obok dwóch dzbanów stały srebrne puchary i słoje z przyprawami. Jeden z dzbanów, napełniony winem, spoczywał w połyskliwej misie, pełnej obecnie niemal całkiem stopionego lodu, przywiezionego aż

z Grzbietu Świata w skrzyniach z trocinami. Lód w lecie, do schłodzenia napoju jakiegoś lorda. Elayne ledwie potrafiła sobie coś takiego wyobrazić.

— Chłodny napój przed pójściem do łóżek dobrze nam wszystkim zrobi — stwierdziła Nyaneve.

Elayne uniosła głowę, kiedy obok niej usiadła Egwene.

— Czy powiedziałaś naprawdę to, co myślisz, Egwene? O Randzie? — Egwene skinęła głową, a Elayne westchnęła. — A pamiętasz, co zwykła mówić Min, wszystkie te jej żarty o dzieleniu się nim? Czasami zastanawiałam się, czy to się wiązało z jakimś widzeniem, o którym nam nie powiedziała. Myślałam, że jej chodziło o to, iż obie go kochamy i ona o tym wie. Ale to ty miałaś do niego prawo, a ja nie wiedziałam, co robić. Nadal nie wiem. Egwene, on kocha ciebie.

— Trzeba go po prostu wyprowadzić z błędu — stanowczo oświadczyła Egwene. — Wyjdę za mąż tylko dlatego, że będę chciała, a nie dlatego, że jakiś mężczyzna tego ode mnie oczekuje. Będę dla niego miła, Elayne, przedtem jednak będzie wiedział, że jest wolny. Moja matka powiada, że my chcemy być zakochane, ale tylko w tym, którego wybierzemy, mężczyzna zaś musi być zakochany, ale pokocha pierwszą kobietę, która uwiąże sznurek do jego serca.

— Wszystko bardzo pięknie — odparła Elayne ściśniętym głosem — ale Berelain była w jego komnatach.

Egwene prychnęła.

— Niezależnie od jej intencji, Berelain nie potrafi zainteresować się jednym mężczyzną dostatecznie długo, by go zmusić, żeby ją pokochał. Dwa dni temu wodziła wzrokiem za Rhuarkiem. Za dwa następne będzie się uśmiechała do kogoś innego. Ona jest jak Else Grinwell. Pamiętasz ją? Tę nowicjuszkę, która cały czas spędzała na podwórcach do ćwiczeń, trzepocząc rzęsami w stronę Strażników?

— Ona nie mogła wyłącznie trzepotać rzęsami w jego komnacie sypialnej o tej porze. Miała na sobie mniej niż zwykle, o ile to w ogóle możliwe!

— Masz zatem zamiar pozwolić, by ona go zdobyła?

— Nie! — Elayne powiedziała to wyjątkowo zapalczywie i naprawdę tak myślała, ale następne uderzenie serca już przyniosło rozpacz. — Och, Egwene. Nie wiem, co zrobić. Kocham go. Pragnę go poślubić. Światłości! Co powie matka? Wolałabym spędzić noc w celi Joyi, niż wysłuchiwać jej wykładów.

Andorańscy szlachcice, nawet z królewskich rodzin, żenili się z pospólstwem dostatecznie często, by nie wywoływało to komentarzy — przynajmniej w Andorze — jednak Rand nie był człowiekiem z pospólstwa. Jej matka była naprawdę w stanie wysłać Lini, by ją przywlokła do domu za ucho.

— Morgase raczej nie ma wiele do powiedzenia, jeśli wierzyć Matowi — uspokajała ją Egwene. — Nawet jeżeli w połowie mówi prawdę. Ten lord Gaebriel, do którego wzdycha twoja matka, raczej nie wydaje się odpowiedni dla kobiety zdolnej do samodzielnego myślenia.

— Jestem przekonana, że Mat przesadzał — uniosła się Elayne. Jej matka była zbyt mądra, by zgłupieć z powodu jakiegoś mężczyzny. Jeśli lord Gaebriel — nigdy przedtem nie słyszała tego imienia, dopóki Mat go nie wspomniał — jeśli ten jegomość sobie wyobraża, że zdobędzie władzę dzięki Morgase, to już ona go brutalnie przebudzi z jego snów o potędze.

Nynaeve przyniosła do stołu trzy puchary z winem przy prawionym korzeniami — po ich lśniących ściankach spływały paciorki skroplonej pary — a także małe zielonozłote serwetki uplecione ze słomy, dzięki którym wilgoć nie mogła zniszczyć połyskliwej powierzchni stołu.

— A zatem — powiedziała, przystawiając sobie krzesło — odkryłaś, że jesteś zakochana w Randzie, Elayne, a Egwene odkryła, że nie jest w nim zakochana.

Dwie młodsze kobiety zagapiły się na nią, jedna ciemnowłosa, druga jasna, obie jednak równo zdumione.

— Mam oczy — oznajmiła zadowolona z siebie Nynaeve. — I uszy, kiedy nie zadajecie sobie trudu, by rozmawiać szeptem. — Upiła łyk wina, a jej głos chłódł, w miarę jak kontynuowała. — Co macie zamiar z tym zrobić? Jeśli ta spryciarka, Berelain, wbije w niego swoje pazury, to nie będzie łatwe go z nich wyrwać. Jesteście pewne, że macie ochotę na taki wysiłek? Wiecie, czym on jest. Wiecie, co go czeka, nawet jeśli nie zważać na Proroctwa. Obłąd. Śmierć. Ile mu czasu zostało? Rok? Dwa? A może to się zacznie jeszcze przed końcem lata? On jest mężczyzną, który potrafi przenosić Moc. — Cedziła każde słowo głosem, którego brzmienie przywodziło na myśl stal. — Przypomnijcie sobie, czego was uczono. Przypomnijcie sobie, czym on jest.

Elayne uniosła wysoko głowę i spojrzała Nynaeve w oczy.

— To nie jest ważne. Może zachowuję się głupio. Nie dbam o to. Nie umiem zmienić serca na rozkaz, Nynaeve.

Nynaeve uśmiechnęła się niespodziewanie.

— Musiałam się upewnić — powiedziała ciepło. — Wy również musicie się upewnić. Nie jest łatwo kochać jakiegoś mężczyznę, ale kochanie tego człowieka jest jeszcze trudniejsze. — W miarę jak mówiła dalej, jej uśmiech gasł. — Moje pytanie nadal dopomina się odpowiedzi. Co macie zamiar z tym zrobić? Berelain wygląda na łagodną i z pewnością potrafi sprawić, że mężczyźni ją taką widzą, ale moim zdaniem ona nie jest taka. Będzie walczyła o to, czego pragnie. I jest osobą takiego pokroju, która z całej siły trzyma się czegoś tylko dlatego, że chce tego ktoś inny.

— Z chęcią wpakowałabym ją do beczki — oznajmiła Egwene, ściskając puchar tak, jakby to było gardło Pierwszej — i odesłała z powrotem do Mayene. Na dnie ładowni jakiegoś statku.

Warkocz Nynaeve zakołysał się, kiedy potrząsnęła głową.

— Wszystko bardzo dobrze, ale spróbuj znaleźć tu jakąś skuteczną radę. Jeśli nie możesz, milcz i pozwól jej zdecydować, co powinna zrobić. — Egwene za-

gapiła się na nią, a wtedy Nynaeve dodała: — Randem powinna się teraz zająć Elayne, nie ty. Ty się odsunęłaś, przypomnij sobie.

Słyszając tę uwagę, Elayne powinna się była uśmiechnąć, a jednak nie zrobiła tego.

— To wszystko miało być inaczej. — Westchnęła. — Myślałam, że spotkam jakiegoś mężczyznę, którego będę poznawała przez kilka miesięcy albo lat i powoli dojdę do przekonania, że go kocham. Randa ledwie znam. Rozmawiałam z nim nie więcej jak pół tuzina razy. Wiedziałam jednak, że go kocham w pięć minut po tym, kiedy moje oczy go ujrzały. — To, co teraz powiedziała, było naprawdę głupie. Tyle że była to prawda i nie obchodziło jej, iż brzmi głupio. Miała zamiar powiedzieć to samo w twarz swojej matce i Lini. Cóż, może nie Lini. Lini stosowała drastyczne metody w reakcji na głupotę i najwyraźniej sądziła, że Elayne nie ma więcej jak dziesięć lat. — Jednakże sprawy tak się mają, że nie mam nawet prawa być na niego zła. Ani na Berelain.

A jednak była.

„Miałabym ochotę tak go spoliczkować, że w uszach będzie mu dźwięczało przez cały rok! Chciałabym ją przytargać za włosy aż na pokład statku, który ją zabierze z powrotem do Mayene!”

Tylko nie miała do tego prawa, a to pogarszało całą sytuację. W jej głosie pojawiła się rozwścieczająco płaczliwa nuta.

— Cóż ja mogę zrobić? Nigdy nie spojrział na mnie dwa razy.

— W Dwu Rzekach — wolno powiedziała Egwene — jeśli kobieta chce, by mężczyzna wiedział, że ona się nim interesuje, przystraja mu włosy kwiatami w święto Bel Tine albo w Niedzielę. Haftuje też dla niego świąteczne koszule, w dowolnym czasie. Albo upiera się, by prosić go do tańca i nikogo innego. — Elayne obdarzyła ją niedowierzającym wzrokiem, toteż Egwene pośpiesznie dodała: — Nie proponuję, żebyś mu haftowała koszulę, ale są inne sposoby, byś go poinformowała, co czujesz.

— Mieszkańcy Mayene wierzą w wyznania. — Elayne nadal się łamał głos. — Być może to jest najlepszy sposób. Po prostu szczerze mu wszystko wyznać.

Pochwyciła swoje wino i wypila je, odchylając głowę w tył. Wyznać? Jak jakaś byle ladaczniczka z Mayene! Odstawiając pusty puchar na serwetkę, zrobiła głęboki wdech i mruknęła:

— Co powie matka?

— Ważniejsze jest to, co zrobisz, kiedy będziemy musiały stąd wyjechać — powiedziała łagodnie Nynaeve. — Czy to będzie Tanchico, Wieża czy jakieś inne miejsce, i tak będziemy musiały wyjechać. Powiesz mu właśnie, że go kochasz, i co zrobisz, gdy trzeba będzie zaraz potem wyjechać? A jeśli poprosi, żebyś z nim została? Jeśli spyta, czy chcesz zostać?

— Pojadę. — Zamiast wahania w odpowiedzi Elayne zabrzmiała jakaś szorstka nuta. Nynaeve nie powinna była o to pytać. — Skoro ja muszę się pogodzić

z faktem, że on jest Smokiem Odrodzonym, to on musi przystać na to, czym ja jestem, na to, że mam obowiązki. Chcę być Aes Sedai, Nynaeve. To nie jest jakaś jałowa rozrywka. Podobnie jak praca, którą wszystkie trzy mamy do wykonania. Naprawdę pomyślałaś, że mogłabym opuścić ciebie i Egwene?

Egwene pośpiesznie ją zapewniła, że taka myśl nigdy jej nie przyszła do głowy, Nynaeve zrobiła to samo, ale zwlekała dostatecznie długo, by w tym czasie okłamać samą siebie.

Elayne popatrzyła kolejno na obydwie.

— Prawdę mówiąc, obawiałam się, że mi powiecie, iż jestem głupia, bo się przejmuję takimi sprawami zamiast Czarnymi Ajah.

Leciutki błysk w oczach Egwene mówił, że taka myśl jej zaświtała, natomiast Nynaeve powiedziała:

— Rand nie jest jedynym, który może umrzeć za rok albo za miesiąc. My też możemy. Czasy się zmieniły i my też. Jeśli będziesz tylko siedziała i czekała na to, czego pragniesz, to możesz tego nie zobaczyć po tej stronie grobu.

Takie pocieszenie przejmowało dreszczem.



# IGRANIE Z OGNIEM

Następnego ranka, ledwie słońce weszło na horyzoncie, Egwene stawiała się przed drzwiami wiodącymi do komnat Randa, za nią, powłócząc nogami, szła Elayne. Dziedziczka Tronu była ubrana w suknię z długimi rękawami, uszytą z bładniebieskiego jedwabiu, skrojoną na taireńską modłę i po dłuższej dyskusji odrobinę przedłużoną. Błękit jej oczu podkreślał naszyjnik z szafirów barwy głębokiego, porannego nieba, drugi taki sam wplotła w rudozłote loki. Mimo wilgotnego ciepła Egwene otuliła ramiona prostą, ciemnoczerwoną chustą, wielką jak szal. To Aviendha dostarczyła chustę i szafiry. Dysponowała zdumiewająco ogromnym zapasem takich rzeczy.

Choć Egwene wiedziała, że oni tam są, przestraszyła się jednak, gdy strzegący drzwi Aielowie z zadziwiającą szybkością, bezszelestnie poderwali się na nogi. Elayne wydała cichy okrzyk, ale szybko zmierzyła ich władczyim spojrzeniem, które tak dobrze jej wychodziło, lecz tym razem nie wywarła wrażenia na tych sześciu ogorzałych mężczyznach. Należeli do *Shae'en M'taal*, Kamiennych Psów, i jak na Aielów przystało, wyglądali na spokojnych, a to oznaczało, że widzieli prawie wszystko dookoła, gotowi natychmiast ruszyć w dowolnym kierunku.

Egwene wyprostowała się, naśladując Elayne — naprawdę żałowała, że nie umie tego robić tak dobrze jak Dziedziczka Tronu — i oznajmiła:

— Ja... my... chcemy zobaczyć, w jakim stanie są rany Lorda Smoka.

To oświadczenie było zwyczajnie głupie, gdyby Aielowie znali się dostatecznie na uzdrawianiu, ale prawdopodobieństwo tego było niewielkie. Początkowo nie miała zamiaru podawać powodu, dla którego tu przyszła — wystarczyło, że uważali ją za Aes Sedai — uznała to jednak za dobry pomysł, w momencie gdy Aielowie niemalże wyskoczyli jak spod ziemi, mimo że nie wykonali żadnego ruchu, by zatrzymać ją albo Elayne. Ci mężczyźni byli po prostu tacy rośli, mieli takie kamienne twarze, a ze swymi krótkimi włóczniami i łukami z rogu obnosili się tak, jakby używanie ich było równie naturalne i łatwe niczym oddychanie. Na widok tych jasnych oczu, przypatrujących się jej tak bacznie, zbyt łatwo przypominały się historie o Aielach z twarzami osłoniętymi czarnym woalem, pozbawionych litości lub współczucia, historie o Wojnie z Aielami i o mężczyznach takich jak oni, którzy wycinali w pień posłane przeciwko nim armie i którzy wró-

cili do Pustkowiec po tym, jak walczące przez trzy przepojone krwią dni i noce sprzymierzone narody stanęły przed bramami samego Tar Valon. Omal nie objęła *saidara*.

Gaul, wódz Kamiennych Psów, skinął głową, patrząc na Elayne i na nią z odzieniem szacunku. Był przystojnym mężczyzną, mimo nieregularnych rysów, nieco starszym od Nynaeve, obdarzonym oczyma zielonymi i przejrzystymi jak wypolerowane klejnoty oraz długimi rzęsami, tak ciemnymi, że zdawały się otaczać jego oczy czarną obwódka.

— Możecie go zdenerwować. Jest dziś rano w złym nastroju. — Gaul uśmiechnął się, błyskając białymi zębami i dając do zrozumienia, że zna nastrój, który towarzyszy rannemu człowiekowi. — Już przegnał grupę lordów, jednego osobiście wyrzucił za drzwi. Jak brzmiało jego imię?

— Torean — odparł inny, jeszcze wyższy mężczyzna. Na cięciwę krótkiego, zakrzywionego łuku, który trzymał nieledwie niedbale, miał nałożoną strzałę. Szare oczy na moment zatrzymały się na dwóch kobietach, po czym znowu zaczęły obserwować przestrzeń między kolumnami otaczającymi przedsiónek.

— Torean — zgodził się Gaul. — Myślałem, że dojedzie aż do tych pięknych posągów... — Wskazał włócznią pierścien utworzony przez sztywno wyprostowanych obrońców. — ... ale zatrzymał się po trzech krokach. Przegrałem dobry taireski gobelin, z jastrzębiami haftowanymi złotą nicią, na korzyść Mangina.

Na twarzy wyższego mężczyzny rozbłysnął przelotny uśmiech zadowolenia.

Obraz Randa, miotającego ciałem Wysokiego Lorda przez komnatę, sprawił, że Egwene zamrugła oczyma. Nigdy nie uciekał się do przemocy, starał się unikać jej jak tylko mógł. Do jakiego stopnia się zmienił? One za bardzo były zaabsorbowane Joyią i Amico, on zaś Moiraine, Lanem i Wysokimi Lordami, by mieli dotąd czas na coś więcej niż zaledwie kilka słów na temat domu, zastanawiając się razem, jak się tego roku udało Bel Tine i jak powinna wypaść Niedziela, słów, które zamieniali podczas przelotnych spotkań w przypadkowych miejscach. I do tego jakże krótkich. W jakim stopniu się zmienił?

— Musimy go zobaczyć — oznajmiła Elayne, z lekkim drżeniem w głosie.

Gaul uklonił się, opierając czubek włóczni o czarny marmur.

— Oczywiście, Aes Sedai.

Egwene wkroczyła do komnat Randa, nieznacznie dygocząc, twarz Elayne zaś zdradzała cały bezmiar wysiłku, jaki kosztowało ją te kilka kroków.

Po honorze ostatniej nocy nie zostało ani śladu, chyba że wziąć pod uwagę brak luster, albowiem w miejscach, na boazerii, skąd je zabrano, jaśniały plamy. Co nie znaczyło, że w komnacie panował choćby jako taki porządek, książki leżały wszędzie, na każdym sprzęcie, niektóre otwarte, jakby porzucone w samym środku lektury, łóżko też nie zostało jeszcze pościelone. Purpurowe draperie były rozsunięte w oknach wyglądających na zachód, w stronę rzeki, głównej arterii Łzy, *Callandor* zaś iskrzył się niczym wypolerowany kryształ na ogromnym, po-

złaczonym postumencie, który kłuł w oczy krzykliwymi zdobieniami. Egwene pomyślała, że ten postument to najbrzydsza ozdoba, jaką kiedykolwiek widziała — dopóki nie dostrzegła na półce nad kominkiem srebrnych wilków pożerających złotego jelenia. Słaby wiatr od rzeki przynosił do komnaty chłód, niespotykany w innych partiach Kamienia.

Rand siedział w samej koszuli, rozparty na krześle z jedną nogą przełożoną przez oparcie, z książką oprawioną w skórę wspartą na kolanie. Na dźwięk kroków zatrzasnął ją i cisnął między inne na ozdobiony zawijaszami dywan, podrywając się na równe nogi, jakby już gotował się do walki. Chmurny wyraz twarzy zniknął, gdy zobaczył, kim są przybysze.

Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w Kamieniu, Egwene spróbowała doszukać się zmian, jakie w nim zaszły. I znalazła je.

Ile miesięcy minęło, od kiedy po raz ostami patrzyła nań uważnie? Dość, by twarz mu stwardniała, by otwartość, która kiedyś w niej była, znikła. Poruszał się również inaczej, trochę jak Lan, trochę jak Aiel. Przy jego budowie ciała, rudawych włosach i oczach, które teraz wydawały się raz niebieskie, raz szare, w zależności od światła, trochę za mocno przypominał Aiela, niepokojąco mocno. Czy jednak zmienił się wewnętrznie?

— Myślałem, że jesteście. . . gdzie indziej — wymamrotał, wymieniając z nimi spojrzenia pełne zażenowania.

To był Rand, którego znała, łącznie z tym rumieńcem, który występował na jego policzki, gdy patrzył na nią albo Elayne.

— Niektórzy. . . ludzie chcą rzeczy, których nie mogę im dać. Rzeczy, których nie dam. — Na jego twarzy pojawiła się podejrzliwość, szokująco niespodzianie, głos stwardniał. — Czego chcecie? Moiraine was przysłała? Macie mnie namówić do tego, czego ona chce?

— Nie zachowuj się jak gęś — powiedziała ostro Egwene, zanim zdążyła pomyśleć. — Nie chcę, żebyś zaczynał wojnę.

— Przyszłyśmy, żeby. . . żeby ci pomóc — dodała Elayne błagalnym tonem — o ile będziemy potrafiły. — To był jeden z pretekstów, które omówiły przy śniadaniu; zdał im się najbardziej wiarygodny.

— Znacie jej plany odnośnie do. . . — zaczął opryskliwie, po czym nagle zmienił ton. — Pomóc mi? Jak? Moiraine mówi w ten sam sposób.

Egwene uroczyście skrzyżowała ręce na piersiach, zaciągając chustę, i kontynuowała rozmowę, korzystając ze sposobu, w jaki Nynaeve zwykła przemawiać do Rady Wioski, kiedy miała zamiar przeforsować swój zamysł, niezależnie od tego, jakby jej członkowie się przed nim zapierali.

— Powiedziałam ci, że masz się nie wygłupiać, Randzie al'Thor. Może Tairenianie całują twoje buty, pamiętam jednak, jak Nynaeve sprąła ci tyłek za to, że Mat cię namówił na kradzież jabłkowej brandy.

Elayne starannie kontrolowała wyraz swej twarzy, nazbyt starannie. Było oczywiste, że Egwene ma ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem.

Rand, rzecz jasna, nie zauważył. Mężczyźni nigdy nic nie widzą. Uśmiechnął się szeroko do Egwene, sam bliski śmiechu.

— Właśnie skończyliśmy trzynaście lat. Znalazła nas śpiących za stajnią twojego ojca, a głowy nas tak bolały, że nawet nie poczuliśmy jej lania. — Egwene zapamiętała wszystko w nieco innej wersji. — Nie tak jak wtedy, gdy cisnęłaś miską w jej głowę. Pamiętasz? Wmusiła w ciebie herbatę z psiego zielska, bo cały tydzień chodziłaś oswiała i kiedy tylko tego posmakowałeś, rzuciłaś w nią jej najlepszą misą. Światłości, aleś ty wtedy piszczała. Kiedy to było? Dwa lata przed. . .

— Nie jesteśmy tu po to, by rozmawiać o dawnych czasach — przerwała mu Egwene, z irytacją poprawiając chustę. Chusta była utkana z cienkiej wełny, ale i tak o wiele za gorąca. On się naprawdę lubował w przypominaniu najbardziej niefortunnych zdarzeń.

Uśmiechnął się, jakby wiedział, o czym ona myśli, i mówił dalej, demonstrując znacznie już lepszy nastrój.

— Powiadasz, że przyszłyście tu, by mi pomóc. W czym? Nie sądzę, byście wiedziały, jak zmusić lorda, by dotrzymywał danego słowa, kiedy nie patrzę mu przez ramię. Albo jak zapobiec nie chcianym snom? W tym z pewnością mogłybyście pomóc. . . — Jego oczy pomknęły ku Elayne, po czym zaraz wróciły do Egwene i wtedy znowu znieacka zmienił temat. — Co powiecie o Dawnej Mowie? Czy uczyłyście się jej choć trochę w Białej Wieży? — Nie czekając na odpowiedź, zaczął szperać wśród tomów walających się po dywanie. Jeszcze inne leżały na krzesłach oraz pośród zmiętej pościeli. — Mam tu egzemplarz. . . gdzieś. . .

— Rand. — Egwene podniosła głos. — Rand, nie umiem czytać w Dawnej Mowie.

Ostro spojrzała na Elayne ostrzegając, by się nie przyznawała do posiadanej umiejętności. Nie przyszły tu po to, by tłumaczyć dla niego Proroctwa Smoka. Szafiry we włosach Dziedziczki Tronu zakotłosały się, gdy pokiwała głową na znak zrozumienia.

— Uczyłyśmy się tam innych rzeczy.

Wyprostował się znad książek z westchnieniem.

— Za wiele się spodziewam. — Przez chwilę wydawało się, że zaraz powie coś więcej, ale tylko wbił wzrok w dywan. Egwene zastanawiała się, jak daje sobie radę z Wysokimi Lordami przy całej ich ignorancji, skoro ona i Elayne tak potrafiły go zbić z tropu.

— Przyszłyśmy tu, by ci pomóc w przenoszeniu — wyjaśniła. — W przenoszeniu Mocy. — To, co twierdziła Moiraine, rzekomo miało być prawdziwe, żadna kobieta nie nauczy mężczyzny przenosić, podobnie jak nie nauczy go ro-

dzenia dzieci. Egwene nie była tego jednak taka pewna. Raz kiedyś poczuła coś utkanego z *saidina*. Lub raczej nie poczuła nic, jedynie blokadę własnych strumieni, tak jak rzeka może poczuć kamień, który mąci powierzchnię wody. Przecież równie dużo nauczyła się nie tylko w Wieży, lecz również poza nią, i tą wiedzą z pewnością mogłaby się z nim podzielić, mogła go trochę nakierować.

— O ile jesteście w stanie — dodała Elayne.

Przez jego twarz ponownie przemknął błysk podejrzania. Denerwował je tymi stałymi zmianami nastroju.

— Mam więcej szans na odczytanie Dawnej Mowy niż wy. . . Jesteście pewne, że to nie sprawka Moiraine? To ona was tu przysłała? Myśli, że może mnie przekonać jakąś okrężną drogą, tak? Jakiś pokrętny spisek Aes Sedai, którego sensu nie zauważę, dopóki w nim nie ugrzężnę? — Burknął coś niezrozumiale, sięgnął za krzesło po leżący na podłodze ciemnozielony kaftan i pośpiesznie wbił go na grzbiet. — Zgodziłem się dziś rano spotkać z kilkoma lordami. Jeśli nie będę ich pilnował, to znajdą sposoby, by się wykręcić od tego, czego od nich chcę. Dowiedzą się o tym prędzej lub później. To ja władam Łżą. Ja. Smok Odrodzony. Będę ich uczył. Musicie mi teraz wybaczyć.

Egwene miała ochotę nim potrząsnąć. On władał Łżą? Cóż, być może nawet i tak było, pamiętała jednak chłopca z jagniątkiem za pazuchą, dumnego jak kogut, bo udało mu się przepędzić wilka, który usiłował je porwać. Był pasterzem, nie królem, i nawet jeśli usiłował się puszyć, to nie mogło mu to wyjść na dobre.

Już miała mu o tym powiedzieć, ale zanim zdążyła, odezwała się Elayne. W jej głosie brzmiało podniecenie.

— Nikt nas nie przysłał. Nikt. Przyszliśmy, bo. . . bo zależy nam na tobie. Może to nie wyjdzie, ale co zaszkodzi spróbować. Jeśli mnie. . . jeśli nam zależy, byś spróbował, to dlaczego nie miałbyś się zgodzić? Czy to aż takie mało ważne, byś nie mógł poświęcić nam jednej godziny? Za nic w świecie?

Przestał zapinać guziki i wpatrzył się w Dziedziczkę Tronu tak uporczywie, że przez moment Egwene wydało się, iż zapomniał o jej obecności. Wzdrygnąwszy się oderwał od niej wzrok. Popatrując na Egwene, przestąpił z nogi na nogę, po czym wbił smutne spojrzenie w posadzkę.

— Spróbuję — mruknął. — To na nic, ale spróbuję. . . Co chcecie, żebym zrobił?

Egwene wzięła głęboki oddech. Nie sądziła, by przekonanie go miało się okazać tak łatwe, zazwyczaj kiedy postanowił się przy czymś uprzeć, co zresztą czynił o wiele za często, przypominał głąz zagrzebany w błocie.

— Popatrz na mnie — powiedziała, obejmując *saidara*. Pozwoliła, by Moc całkowicie ją wypełniła, tak jak działo się to zawsze, a nawet bardziej, zatrzymując każdą kroplę, którą była w stanie pochwycić. Czuła się tak, jakby światło nasaczyło każdą cząsteczkę jej ciała, jakby sama Światłość przepełniła każdy jego zakamarek. Życie zdawało się eksplodować w jej wnętrzu niczym fajerwerki.

Nigdy przedtem nie przeniosła aż tyle. Zaszokowana odkryła, że wcale nie drży, a przecież z pewnością ta cudowna słodycz była trudna do zniesienia. Pragnęła się nią upajać, tańczyć i śpiewać, zwyczajnie się położyć i pozwolić, by przewalała się przez nią, po niej. Zmusiła się, by coś powiedzieć.

— Co widzisz? Co czujesz? Spójrz na mnie, Rand!

Powoli uniósł głowę, nadal marszcząc czoło.

— Widzę ciebie. Co niby miałbym zobaczyć? Czy dotykasz Źródła? Egwene, Moiraine ze sto razy przenosiła w mojej obecności i ja nigdy niczego nie widziałem. Prócz tego, że ona to robi. To się nie odbywa na tej zasadzie. Nawet ja tyle wiem.

— Jestem silniejsza od Moiraine — oświadczyła z naciskiem. — Ona skowytałaby na posadzce albo straciłaby przytomność, gdyby próbowała utrzymać tyle, ile ja w tej chwili. — To była prawda, aczkolwiek nigdy przedtem nie spróbowała dokładnie oszacować zdolności Aes Sedai.

Moc dopominała się krzykiem, by ją wykorzystano, ta Moc tętniąca w niej silniej niż krew w sercu. Z taką potęgą mogła czynić rzeczy, o których Moiraine się nie śniło. Rana w boku Randa, której Moiraine nigdy nie mogła uzdrowić do końca. Nie знаła się na uzdrawianiu — było to najbardziej skomplikowane ze wszystkiego, co dotychczas robiła — ale przypatrywała się Nynaeve i być może, dzięki tak wielkiemu rozlewisku Mocy, była w stanie zrozumieć, jak się uzdrawia. Nie uzdrowić, oczywiście, zrozumieć tylko.

Ostrożnie wydłużyła cienkie jak włos strumienie Powietrza, Wody i Ducha, moce stosowane w uzdrawianiu, i wymacała tę zastarzałą ranę. Jedno dotknięcie i odskoczyła ze wstrętem drżąc, chwytając z powrotem to, co utkała. Czufa, jak pali ją w żołądku, jakby każdy posiłek, jaki kiedykolwiek zjadła, podchodził do gardła. Zdawało się, że cały mrok świata zgromadził się właśnie tam, w boku Randa, że całe zło świata tkwi w tej ropiejącej ranie, lekko jedynie zarośniętej wrażliwą tkanką blizny. Coś takiego mogło wessać strumienie Mocy niczym piasek kilka kropel wody. Jak on może znieść ten ból? Dlaczego nie krzyczy?

Zamiar od działania dzielił tylko moment. Wstrząśnięta, lecz ze wszystkich sił starając się to ukryć, mówiła dalej, bez żadnej przerwy.

— Jesteś równie silny jak ja. Wiem o tym, tak musi być. Poczuj to, Rand. Co czujesz?

„Światłości, czym to uzdrowić? Czy cokolwiek jest w stanie to uzdrowić?”

— Nic nie czuję — wymamrotał, szurając nogami. — Gęsią skórkę. I nic dziwnego. To nie dlatego, że ci nie ufam, Egwene, ale nie potrafię się nie denerwować, kiedy jakaś kobieta przenosi w mojej obecności. Przepraszam.

Nie trudziła się tłumaczeniem mu różnicy między przenoszeniem a zwykłym obejmowaniem Prawdziwego Źródła. Tyle było tego, czego nie wiedział, nawet w porównaniu z jej skąpą wiedzą. Był ślepcem, próbującym tkać za pomocą dotyku, nie mając pojęcia, jakiego koloru jest przędza, ani nawet jak wygląda krosno.

Z wysiłkiem uwolniła *saidara*, to był rzeczywiście wysiłek. Coś w niej opłakiwało dojmujący brak.

— Nie dotykam teraz Źródła, Rand. — Podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy. — Nadal masz gęsią skórkę?

— Nie. Ale to dlatego, że mi powiedziałaś. — Wzdrygnął się gwałtownie. — Widzisz? Tylko pomyślałem i znowu mnie przeszły ciarki.

Egwene uśmiechnęła się z triumfem. Nie musiała się oglądać na Elayne, by potwierdzić to, co przed chwilą poczuła, by sprawdzić, czy jest tak, jak się wcześniej umówiły.

— Potrafisz wyczuwać kobietę czerpiącą ze Źródła, Rand. Elayne właśnie to robi.

Zerknął kątem oka na Dziedziczkę Tronu.

— Nieważne, co widzisz albo czego nie widzisz. Poczuleś to. Przynajmniej tyle mamy. Zobaczmy, co jeszcze możemy odkryć. Rand, zaczerpnij ze Źródła. Zaczerpnij z *saidina*. — Te słowa zabrzmiały ochryple. To też uzgodniły, ona i Elayne. Był Randem, nie zaś potworem z opowieści, a jednak prosić mężczyznę, by... Cud, że w ogóle wydusiła z siebie te słowa.

— Widzisz cokolwiek? — spytała Elayne. — Albo czy coś czujesz?

Rand nadal dzielił spojrzenia między nie obydwie, czasem wbijał wzrok w podłogę, niekiedy się czerwienił. Dlaczego tak się zmieszał? Przypatrując mu się uporczywie, Dziedziczka Tronu potrząsnęła głową.

— Z tego, co mogę orzec, on zwyczajnie tu stoi. Jesteś pewna, że coś robi?

— Może być uparty, ale nie jest głupi. W każdym razie nie wygłupia się przez cały czas.

— Cóż, uparty, głupi albo coś jeszcze innego, ja nic nie czuję.

Egwene spojrzała na niego krzywo.

— Przynajmniej, że zrobisz to, o co poprosimy, Rand. Zrobiłeś to? Jeśli ty coś poczuleś, to ja też powinnam, a nie czuję... — Urwała, ze zduszonym stęknieniem. Coś ją uszczypnęło w pośladki. Randowi drgnęły usta, najwyraźniej powstrzymywał szeroki uśmiech.

— To — oświadczyła oschle — nie było miłe.

Usiłował zachować minę niewiniątka, nie potrafił jednak zapanować nad uśmiechem.

— Powiedziałaś, że chcesz coś poczuć, i właśnie pomyślałem... — Egwene podskoczyła, słysząc jego niespodziewany ryk. Przyciskając dłoń do lewego pośladka, obolały, jął kuśtykać w kółko. — Krew i popioły, Egwene! Nie musiałaś... — Jego głos zmienił się w głuche, ledwie słyszalne pomruki, których Egwene na szczęście nie rozumiała.

Złakniona powietrza skorzystała z okazji, by zamachać chustą, wymieniła z Elayne ledwo dostrzegalne uśmiechy. Łuna otaczająca Dziedziczkę Tronu zbladła. Potajemnie musnęły swe dłonie,omal nie wybuchając chichotem. To powinno

go przekonać. Mniej więcej jak sto do jednego, oceniała Egwene.

Odwróciwszy się z powrotem w stronę Randa, przybrała uroczystą minę.

— Spodziewałabym się czegoś takiego po Macie. Sądziłam, że ty przynajmniej wydojrzałaś. Przyszliśmy, żeby w miarę naszych możliwości ci pomóc. Spróbuj z nami współpracować. Zrób coś z Mocą, coś, co nie będzie dziecinną sztuczką. Może uda nam się to wyczuć.

Garbiąc się spojrzął na nie spode łba.

— Zrób coś — wymamrotał. — Nie macie sumienia... będę tak kulał aż... Chcecie, żebym coś zrobił?

I nagle Egwene uniosła się w powietrze, Elayne tak samo; zapatrzyły się na siebie, wytrzeszczając oczy i płynąc nad dywanem. Nic ich nie trzymało, żadne strumienie, które Egwene mogłaby poczuć lub zobaczyć. Nic. Zaciśnęła usta. Nie miał prawa tego robić. Absolutnie żadnego prawa i najwyższy czas, by się o tym dowiedział. Powstrzyma go ten sam rodzaj tarczy utworzonej z Ducha, która spętała Joyię. Aes Sedai używały ich przeciwko tym wyjątkowym mężczyznom, którzy potrafili przenosić.

Otworzyła się na *saidara* — i poczuła skurcz żołądka. *Saidar* tam był — czuła jego ciepło i światło — lecz między nią a Prawdziwym Źródłem stało coś, a właściwie nic, nieobecność, która odcinała ją od Źródła niczym kamienny mur. Czuła w swym wnętrzu pustkę, dopóki nie wypełniła jej panika. Została. schwytana w pułapkę Mocy przenoszonej przez mężczyznę. Tym mężczyzną był Rand, ale gdy tak dyndała niczym pusty kosz, bezradna, potrafiła myśleć tylko o tym, że to przenoszący mężczyzna, a także o skazie na *saidinie*. Usiłowała na niego krzyknąć, ale zamiast tego udało jej się tylko zaskrzeczeć.

— Chcesz, żebym coś zrobił? — warknął Rand.

Dwa małe stoliczki niezdarnie wyprężyły nogi, przy wtórze skrzypienia drewna, i zaczęły się potykać w parodii sztywnego tańca. Pokrywające je złoto łuszczyło się i odpadało.

— Podoba ci się to?

Na kominku zapłonął ogień, wypełniając palenisko od ściany do ściany, płonął kamień, na którym nie było śladu nawet po popiele.

— A to?

Wysoki jelen i wilki nad kominkiem zaczęły mięknąć i kurczyć się. Z masy popłynęły cieniutkie strumyki złota i srebra, rozciągając się w połyskliwe nitki, wijąc, splatając w wąski arkusz metalicznej tkaniny, który rozrósł się i zawisł w powietrzu, jednym końcem nadal złączony z powoli topniejącą figurką na kamiennej półce.

— Zrób coś! — rozkazał Rand. — Zrób coś! Macie jakieś pojęcie, jak to jest, gdy się dotyka *saidina*, gdy się go obejmuje? Macie? Ja czuję czyhający obłęd. Obłęd, który wsacza się we mnie!



Nagle płasające stoły buchnęły płomieniami niczym pochodnie, nie przestając tańczyć, książki zawirowały w powietrzu, zatrzepotały stronice, materac na łóżku wybuchł, pierze zasypało całą izbę niczym śnieg. Pióra opadające na płonące stoły wypełniły wnętrze ostrym zapachem palonej wełny.

Przez moment Rand wpatrywał się dzikim wzrokiem w płonące stoły. Potem to coś, co trzymało Egwene i Elayne, zniknęło, razem z tarczą, ich pięty zadudniły na dywanie w tym samym momencie, w którym zgasty płomień, jakby wessane przez drewno, które trawiły. Ogień na kominku zamigotał, a książki spadły na podłogę, tworząc jeszcze większy bałagan niż przedtem. Złoto-srebrna tkanina też spadła, razem z żyłkami stopionego metalu, już ani płynna, ani gorąca. Jedynie trzy większe grudy, dwie srebrne i jedna złota, pozostały na półce, zimne i nierozpoznawalne.

Egwene zatoczyła się na Elayne, kiedy razem wylądowały. Przywarły do siebie w poszukiwaniu oparcia, a Egwene poczuła, że druga kobieta robi dokładnie to samo co ona, obejmuje *saidara* najszybciej jak może. Po chwili miała gotową tarczę, którą mogła obezwładnić Randa, gdyby cokolwiek zdradził, że przenosi, on jednak stał osłupiały, wpatrując się w zwęglone stoły. Wciąż otaczały go fruujące pióra, białymi cętkami nakrapiając jego kaftan.

Wydawało się, że z jego strony nic już im nie grozi, ale w komnacie zapanował chaos. Utknęła maleńkie strumienie Powietrza, by pozbierać to pierze, które się jeszcze unosiło w powietrzu, oraz to, które już leżało na dywanie. Po zastanowieniu zmiotła również pióra z kaftana. Mógł kazać majhere, by posprzątała resztę albo sam się tym zająć.

Rand wzdrygnął się, kiedy pióra przeleciały obok niego, by osiąść na porwanych resztkach materaca. Nic nie przegnało zapachu palonej wełny i zwęglonego drewna, ale przynajmniej w izbie zapanował jako taki porządek, a wpadający przez otwarte okna lekki wiatr już rozwiewał swąd.

— Majhere pewnie nie da mi nowego — powiedział z wymuszonym śmiechem. — Jeden materac dziennie to prawdopodobnie więcej niż ona chce mi... — Unikał wzroku Egwene. — Przepraszam. Nie chciałem... Czasami to się przedradza w szaleństwo. Czasami tam nie ma nic, kiedy do niego sięgam, a czasami dzieją się rzeczy, których nie... Przepraszam. Może lepiej, jak pójdziecie. Zdaje się, że za dużo mówię. — Znowu się zaczerwienił i chrząknął. — Nie dotykam Źródła, ale może lepiej, jak pójdziecie.

— Jeszcze nie skończyłyśmy — powiedziała spokojnie Egwene.

Łagodny ton głosu w najmniejszej mierze nie pasował do jej rzeczywistego samopoczucia, w istocie miała ochotę wytargać go za uszy, za pomysł z podnoszeniem jej, otaczaniem tarczą, nie tylko jej, lecz również Elayne, rozumiała jednak, że Rand stoi na niebezpiecznej krawędzi. Nie chciała się nad tym zastanawiać, nie teraz, nie tutaj. Tyle już było zachwyków nad ich siłą — wszystkie kobiety twierdziły, że ona i Elayne będą się zaliczały do najsilniejszych Aes Se-

dai, o ile nie najsilniejszych z wszystkich, od tysiąca lat albo i dłużej — zakładała więc, że są równie silne jak on. A w każdym razie prawie. Po prostu brutalnie otworzono jej oczy. Być może Nynaeve dorównałaby mu, gdyby ją dostatecznie rozzłościć, Egwene jednak wiedziała, że jej samej nigdy nie byłoby stać na to, co on dopiero co zrobił — rozczepił strumienie na wiele mniejszych, osiągnął te wszystkie rzeczy naraz. Utworzenie dwóch strumieni jednocześnie było co najmniej dwakroć trudniejsze od utworzenia jednego tej samej wielkości, z kolei zaś utworzenie trzech w ten sam sposób różniło się od splecenia dwóch. A on utkał ich tuzin. Nawet nie wyglądał na zmęczonego, a przecież praca z Mocą kosztowała sporo energii. Bardzo ją przerażyło, że potrafił poradzić sobie z nią i Elayne jak z parą kociąt. Gdyby popadł w obłęd, mógłby mu przyjść do głowy pomysł, by kocięta utopić.

Nie chciała jednak, nie mogła, zwyczajnie odejść. To równałoby się przyznaniu do porażki i byłoby wbrew jej wszystkim zasadom. Miała zamiar osiągnąć to, po co tu przyszła wszystko — i on jej stąd nie przegna, zanim jej plan się nie powiedzie. Ani on, ani nikt inny.

Niebieskie oczy Elayne były pełne determinacji, a w momencie gdy Egwene umilkła, dodała jeszcze bardziej stanowczym tonem:

— I nie odejdziemy, dopóki nie skończymy. Powiedziałeś, że spróbujesz. Musisz spróbować.

— Powiedziałem, nieprawdaż? — wymamrotał po jakimś czasie. — W takim razie usiądźmy.

Nie patrząc ani na poczerńiałe stoły, ani na pas metalicznej tkaniny, skrecoonej na dywanie, poprowadził je, lekko utykając, do krzeseł z wysokimi oparciami, które stały pod oknami. Musieli poprzekładać książki z czerwonych, jedwabnych poduszek, by móc usiąść. Na krześle Egwene leżał tom dwunasty *Skarbów Kamienia Łzy*, zakurzona, oprawna w drewno księga, zatytułowana *Podróże po Pustkowiu Aiel, z rozmaitymi obserwacjami na temat jego barbarzyńskich mieszkańców*, oraz opasły tom w podniszczonej skórzanej oprawie pod tytułem *Co działo się z terytorium Mayene od 500 do 750 roku Nowej Ery*. Elayne miała większą stertę do przeniesienia, ale Rand pośpiesznie odebrał ją od niej i razem z tymi, które zdjął ze swego krzesła, ustawił je na podłodze, gdzie ów stos natychmiast runął. Egwene ułożyła swoje obok w równym rzędzie.

— Co chcecie, bym teraz zrobił? — Usiadł na skraju krzesła, dłonie oparł na kolanach. — Obiecuję, że tym razem nie zrobię nic oprócz tego, o co mnie poprosicie.

Egwene musiała się ugryźć w język, by nie powiedzieć, że ta obietnica padła nieco za późno. Być może wtedy nie określiła zbyt jasno, o co jej chodzi, ale i tak nie było usprawiedliwienia. A jednak trzeba się było tym zająć po raz drugi. Zauważyła, że znowu w myślach nazywa go Randem, on tymczasem wyglądał tak, jakby właśnie ochlapał błotem jej najlepszą suknię i bał się, że ona nie uwierzy,

iż to był przypadek. Nie puszczała jednak *saidara*, podobnie Elayne. Nie mogły pozwolić sobie na dalsze objawy głupoty.

— Tym razem — powiedziała — chcemy tylko porozmawiać. W jaki sposób czerpiesz ze Źródła? Po prostu opowiedz. Zrób to krok po kroku, powoli.

— To bardziej walka niż czerpanie. — Chrząknął. — Krok po kroku? Cóż, najpierw wyobrażam sobie płomień, a potem wpycham do niego wszystko. Nie-nawiść, strach, zdenerwowanie. Wszystko. Kiedy już zostaną pochłonięte, pojawia się pustka, próżnia, we wnętrzu mojej głowy. Jestem w samym środku, ale również jestem częścią tego, na czym się skupiam.

— To brzmi znajomo — oświadczyła Egwene. — Słyszałam, jak twój ojciec opowiadał o sztuczce z koncentracją, dzięki której wygrywał zawody łucznicze. Nazywał to Płomieniem i Pustką.

Rand przytaknął, jak się zdawało, ze smutkiem. Przyszło jej na myśl, że pewnie tęskni za ojcem i domem.

— Ojciec mnie tego uczył jako pierwszy. Lan też tego używa, kiedy bierze miecz do ręki. Selene, moja dawna znajoma, nazywała to Jednością. Chyba całkiem sporo ludzi zna to, niezależnie od nazwy. Ja natomiast odkryłem na własny użytek, że kiedy jestem we wnętrzu pustki, potrafię poczuć *saidina*, niczym światło w nicości, które błyszczy gdzieś, tuż poza granicą mojego pola widzenia. Nie ma nic oprócz mnie i tego światła. Emocje, a nawet myśli zostają na zewnątrz. Kiedyś osiągałem to stopniowo, teraz jednak udaje mi się od razu. W każdym razie zazwyczaj. Na ogół.

— Pustka — powtórzyła Elayne z drżeniem. — Żadnych emocji. To raczej nie brzmi podobnie do tego, co my robimy.

— Ależ tak — dowodziła z zapałem Egwene. — Rand, my to po prostu robimy trochę inaczej, to wszystko. Ja wyobrażam sobie, że jestem kwiatem, pączkiem róży, wyobrażam sobie tak długo, aż wreszcie jestem tym pączkiem róży. To tak, jak z tą twoją pustką, w pewien sposób. Płatki róży otwierają się na światło *saidara*, a ja pozwalałam, by ono mnie wypełniło, całe światło, ciepło, życie, cud. Poddaję się temu, a poddając się kontroluję. Tego było naprawdę najtrudniej się nauczyć, kontroli nad *saidarem* przez poddanie się, ale teraz to wydaje się takie naturalne, że nawet o tym nie myślę. To jest klucz do problemu, Rand. Jestem pewna. Musisz się nauczyć poddawać. . .

Gwałtownie potrząsał głową zaprzeczając.

— Nie ma w tym nic podobnego do tego, co ja robię — zaprotestował. — Żeby mnie wypełnić? Ja muszę wyciągać rękę i chwycić *saidina*. Czasami tam nic nie ma, nie ma niczego, czego mógłbym dotknąć, ale gdybym nie wyciągał ręki, to mógłbym tak czekać całą wieczność i nic by się nie działo. Owszem, wypełnia mnie, kiedy już go złapię, ale poddać się mu? — Przeczesał włosy palcami. — Egwene, gdybym się poddał, choćby na minutę, *saidin* by mnie całkiem strawił. On jest jak rzeka stopionego metalu, ocean ognia, jak całe światło słońca zgroma-

dzone w jednym miejscu. Muszę z nim walczyć, żeby go zmusić, by robił, co ja chcę, walczyć, by nie zostać pożartym.

Westchnął.

— Wiem jednak, co masz na myśli, mówiąc o wypełniającym cię życiu, nawet jeśli od skazy przewraca mi się żołądek. Barwy stają się coraz ostrzejsze, zapachy czystsze. Wszystko jest jakby bardziej rzeczywiste. Nie chcę rezygnować, kiedy już go mam, nawet jeśli usiłuje mnie połknąć. Ale reszta... Spójrz na fakty, Egwene. Te z Wieży mają tutaj rację. Zaakceptuj prawdę, bo ona taka właśnie jest.

Pokręciła głową.

— Zaakceptuję, gdy mi zostanie dowiedziona. — W jej głosie brakowało tej pewności, jakiej sobie życzyła, tej samej, którą żywiła do tego momentu. To, co on opowiadał, brzmiało jak jakieś wypaczone, niepełne odbicie tego, co ona robiła, przy czym podobieństwa tylko podkreślały różnice. A jednak te podobieństwa istniały. Nie chciała się poddać. — Czy umiesz rozróżnić poszczególne strumienie? Powietrze, Wodę, Ducha, Ziemię, Ogień?

— Czasami — powiedział wolno. — Nie zawsze. Biorę to, czego potrzebuję, by zrobić to, co chcę. Na ogół szukam na oślep. To bardzo dziwne. Czasami muszę coś zrobić i robię to, ale dopiero potem wiem, co zrobiłem i w jaki sposób. To prawie tak, jakbym sobie przypominał to, co zapomniałem. Ale gdy już coś zrobię, to później pamiętam. W większości przypadków.

— Ale jednak pamiętasz — upierała się. — Jak podпалиłeś te stoły?

Chciała go zapytać o sposób, w jaki sprawił, że zatańczyły — pomyślała jednak, że wie, jak to osiągnąć za pomocą Powietrza i Wody — chciała więc zacząć od czegoś prostego, a zapalenie i gaszenie świecy było czymś, co potrafiła robić każda nowicjuszka.

Na twarzy Randa pojawił się zboląły wyraz.

— Nie wiem. — Słysząc było, że jest mu głupio. — Kiedy chcę mieć ogień, do lampy albo kominka, to po prostu go tworzę, ale nie wiem w jaki sposób. Naprawdę nie muszę myśleć, by robić coś z udziałem ognia.

To niemalże można było zrozumieć. W Wieku Legend ze wszystkich Pięciu Mocy Ogień i Ziemia były najsilniejsze u mężczyzn, a Powietrze i Woda u kobiet, Duch dzielił się po równo. Egwene prawie nie musiała myśleć, by skorzystać z Powietrza albo Wody, kiedy już nauczyła się robić daną rzecz. Jednakże przypomnienie sobie podstawowego dogmatu wcale nie przybliżyło ich do celu.

Tym razem to Elayne go zaatakowała.

— Czy wiesz, jak ugasiłeś stoły? Zdawałeś się myśleć, zanim zgasły.

— To pamiętam, bo nie sądzę, bym robił to przedtem. Zgarnąłem żar ze stołów i rozsmarowałem go po kamieniach paleniska, kominek nawet na to nie zareagował.

Elayne zapało dech, przez chwilę bezwiednie ścisnęła się za lewą rękę, Egwene zaś skrzywiła się ze współczuciem. Przypomniała sobie, jak ta ręka cała po-

kryła się pęcherzami, bo Dziedziczka Tronu zrobiła to, co właśnie opisał Rand, i to gasząc tylko lampę w swoim pokoju. Sheriam groziła, że pozwoli, by pęcherze zaleczyły się same, choć ostatecznie nie zrealizowała swej groźby. Nigdy nie zgarniaj żaru, tak brzmiało jedno z ostrzeżeń, którego się udziela nowicjuszkom. Płomień można ugasić za pomocą Powietrza lub Wody, natomiast użycie Ognia do ugaszenia żaru oznaczało pożar nieprzewidzianych rozmiarów. Nie była to sprawa siły, tak twierdziła Sheriam, raz pochłoniętego żaru nie mogła się pozbyć nawet najsilniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek opuściła Białą Wieżę. W rzeczy samej w ten właśnie sposób kobiety same się podpalały. Stawały po prostu w płomieniach. Egwene wciągnęła urywany oddech.

— O co chodzi? — spytał Rand.

— Myślę, że właśnie mi udowodniłeś różnicę. — Westchnęła.

— Och. Czy to oznacza, że jesteś gotowa się poddać?

— Nie! — Starła się mówić łagodniej. Nie była zła na niego. O, właśnie. Nie wiedziała nawet, na kogo jest zła. — Może moje nauczycielki mają rację, ale musi istnieć jakiś sposób. Musi. Tylko teraz jakoś nie umiem niczego wymyślić.

— Próbowałaś — powiedział prosto. — Dziękuję ci za to. To nie twoja wina, że nie wyszło.

— Musi istnieć jakiś sposób — powtórzyła półgłosem Egwene, a Elayne mruknęła:

— Znajdziemy go. Na pewno.

— Jasne, że znajdziecie — odparł z wymuszoną wesołością. — Ale nie dzisiaj. — Zawahał się. — Przypuszczam, że w takim razie teraz już sobie pójdziecie. — Ton jego głosu wskazywał, że częściowo żałuje, a częściowo się cieszy. — Muszę dziś rano powiedzieć Wysokim Lordom kilka rzeczy na temat podatków. Zdają się uważać, że mogą brać od farmerów tyle samo w kiepskim co w dobrym roku, nie zamieniając ich jednocześnie w żebraków. Sądzę też, że wy musicie znowu się zabrać za przesłuchiwanie Sprzymierzeńców Ciemności. — Zmarszczył czoło.

Nic nie powiedział, ale Egwene była pewna, że chciałby je trzymać możliwie jak najdalej od Czarnych Ajah. Dziwiła się nieco, że jeszcze ich nie próbował nakłonić do powrotu do Wieży. Być może wiedział, że ona i Nynaeve wsadziłyby mu w ucho pchłę wielkości konia, gdyby spróbował.

— Pójdziemy — obiecała stanowczo. — Ale jeszcze nie teraz. Rand... — Nadszedł czas, by podać drugi powód ich wizyty, ale to było trudniejsze, niż się spodziewała. To miało go zranić, te smutne, czujne oczy ją w tym utwierdziły. Trzeba to było zrobić. Poprawiła przy szyi chustę, otulającą ją od ramion do pasa. — Rand, ja nie mogę cię poślubić.

— Wiem — odparł.

Zamrugnęła. Przyjął to znacznie łatwiej, niż się spodziewała. Dobrze. Zrobiło jej się jednak trochę przykro.

— Nie chciałam cię skrzywdzić, naprawdę nie, ale nie chcę wyjść za ciebie.

— Rozumiem, Egwene. Wiem, czym jestem. Żadna kobieta nie...

— Ty wełnianogłowy idioto! — zachnęła się. — To nie ma nic wspólnego z tym, że potrafisz przenosić Moc. Ja cię nie Kocham! W każdym razie nie do tego stopnia, bym chciała cię poślubić.

Randowi opadła szczęka.

— Ty mnie... nie Kochasz? — W tonie głosu brzmiało takie samo zdziwienie, jakie malowało się na jego twarzy, ponadto wyglądał na zranionego.

— Błagam, postaraj się zrozumieć — powiedziała łagodniejszym tonem. — Ludzie się zmieniają, Rand. Uczucia się zmieniają. Kiedy ludzi dzieli przestrzeń, to czasem również oddalają się od siebie duchowo. Kocham cię jak brata, może trochę bardziej niż brata, ale nie tak, by cię poślubić. Czy potrafisz to zrozumieć?

Zdobył się na smutny uśmiech.

— Naprawdę jestem głupcem. Autentycznie nie wierzyłem, że mogłabyś się zmienić. Egwene, ja też nie chcę cię poślubić. Nie chciałem się zmieniać, nie starałem się o to, ale tak się stało. Gdybyś tylko wiedziała, ile to dla mnie znaczy. Nie być zmuszonym do udawania. Nie bać się, że zrobię ci krzywdę. Nigdy tego nie chciałem. Nigdy nie chciałem zrobić ci krzywdy.

Prawie się uśmiechnęła. Miał taką dzielną minę, był w rzeczy samej niemalże przekonujący.

— Cieszę się, że tak dobrze to przyjmujesz — powiedziała mu łagodnie. — Ja też nie chciałam zrobić ci krzywdy. A teraz już naprawdę muszę iść. — Podniósłszy się z krzesła, pochyliła się, by musnąć wargami jego policzek. — Znajdziesz kogoś innego.

— Oczywiście — odparł wstając. Ton jego głosu mówił, że kłamie.

— Na pewno.

Wyślizgnęła się z komnaty z poczuciem satysfakcji i przebiegła przez przed-sionek, uwalniając *saidara* podczas zdejmowania chusty. Była obrzydliwie gorąca.

Dojrzał do tego, by Elayne zajęła się nim jak zagubionym szczeniakiem. Powinna potraktować go w sposób, który omówiły wspólnie. Uważała, że Elayne będzie umiała być dla niego miła, zarówno teraz, jak i w przyszłości. Przyszłości tak długiej, jaka będzie im dana. Jakoś trzeba mu było pomóc w panowaniu nad Mocą. Chciała wierzyć, że to, co mu powiedziała, było słuszne — żadna kobieta nie mogła go nauczyć; znowu te ryby i ptaki — ale to nie było to samo, co zrezygnować. Jakoś pomóc należało, więc trzeba było znaleźć na to sposób. Ta straszliwa rana i obłęd to problemy na później, ale kiedyś trzeba im będzie stawić czoło. Jakoś. Wszyscy w Dwu Rzekach mówili, że mężczyźni są uparci, ale w niczym nie dorównywali kobietom z Dwu Rzek.

# TWARDOGŁOWI

Elayne nie była pewna, czy Rand w ogóle zdaje sobie sprawę z jej obecności w komnacie, z tak oszołomioną miną bowiem patrzył za odchodzącą Egwene. Co jakiś czas potrząsał głową, jakby prowadził z sobą milczący spór albo usiłował uporządkować myśli. Nie miała nic przeciwko czekaniu na niego. Cokolwiek, byle tylko choć trochę jeszcze odsunąć tę chwilę. Skupiła się na tym, by zachować pozory zewnętrznego spokoju — z prostymi plecami i zadartą wysoko głową, dłońmi złożonymi na podołku i opanowaną twarzą, mogła rywalizować z Moiraine. W żołądku płąsały jej motyle o rozmiarach jeży.

Nie zrodził ich lęk, że Rand mógłby znowu przenieść Moc. Uwolniła *saidina*, gdy tylko Egwene wstała, by wyjść. Chciała mu ufać, musiała. Pragnęła, by spełniło się to, co sobie zamarzyła, i to pragnienie powodowało wewnętrzne drżenie. Musiała się mocno skoncentrować, by nie wodzić palcami po naszyjniku albo nie bawić się sznurkiem szafirów zdobiącym jej włosy. Czy przypadkiem woń jej perfum nie jest zbyt ciężka? Nie. Egwene twierdziła, że Rand lubi zapach róż. Suknia. Miała ochotę podciągnąć ją w górę, ale...

Odwrócił się — na widok nieznacznego utykania zacisnęła wargi — zauważył ją, siedzącą na krześle, i przestraszył się, zdradzając zогromniałymi oczyma coś bliskiego paniki. Ten widok ją ucieszył, wysiłek utrzymania powagi na twarzy zdziesiątkrotnił się, gdy tylko jego spojrzenie spoczęło na niej. Spojrzenie oczu, które stały się teraz niebieskie niczym zamglone poranne niebo.

W tym momencie otrząsnął się i wykonał raczej zbyteczny ukłon, wycierając nerwowo dłonie o kaftan.

— Nie zauważyłem, że jeszcze tu... — Urwał rumieniąc się; zapomnienie o jej obecności mogło być uznane za obrazę. — To znaczy., ja nie... to jest, ja... — Zrobił głęboki wdech i zaczął jeszcze raz. — Nie jestem takim głupcem, jakim się wydaję, moja pani. Nie każdego dnia ktoś ci powiada, że cię nie kocha, moja pani.

Przybrała ton udawanej powagi.

— Jeśli jeszcze raz mnie tak nazwiesz, to ja cię nazwę Lordem Smokiem. I dygnę. Nawet Królowa Andoru mogłaby dygać przed tobą, a ja przecież jestem tylko Dziedziczką Tronu.

— Światłości! Nie rób tego. — Wyglądał na mocno zdenerwowanego, niewspółmiernie do groźby.

— Nie zrobię tego, Rand — odparła bardziej poważnym tonem — jeśli będziesz mnie nazywał moim imieniem. Elayne. Powiedz to.

— Elayne — powtórzył nieporadnie, a jednak z przyjemnością, jakby delectował się brzmieniem.

— Dobrze. — Absurdalne, że tak ją to ucieszyło, ostatecznie nie zrobił nic innego, tylko wymówił jej imię. Było coś, co musiała wiedzieć, nim będzie mogła mówić dalej. — Czy to cię bardzo dotknęło? — Uświadomiła sobie, że można to zrozumieć na dwa sposoby. — To znaczy to, co ci powiedziała Egwene.

— Nie. Tak. Trochę. Nie wiem. W końcu szczerść jest ważniejsza. — Błady uśmiech odrobinę złagodził czujny wyraz jego twarzy. — Gadałem znowu jak głupiec, prawda?

— Nie. Wcale tak nie myślę.

— Powiedziałem jej szczerą prawdę, ale nie sędzę, by mi uwierzyła. Pewnie ja sam nie chciałem uwierzyć w to, co ona z kolei powiedziała. No nie! Jeśli to nie jest głupie, to nie wiem, co to jest.

— Jeśli znowu powtórzysz, że jesteś głupi, to jeszcze zacznę w to wierzyć.

„Nie będzie próbował jej zatrzymać. Wobec tego nie będzie miała z tym kłopotu”.

Mówiła spokojnym głosem, dostatecznie beztróskim, by wiedział, że wcale nie mówi o tym, co myśli.

— Widziałam kiedyś osobistego błazna pewnego lorda z Cairhien, człowieka ubranego w płaszcz w śmieszne prążki, za duży na niego, z poprzyszywanymi dzwoneczkami. Wyglądałbyś głupio w dzwoneczkach.

— Pewnie tak — odparł smętnie. — Zapamiętam to sobie. — Jego niechętny uśmiech tym razem był szerszy, rozpełził się ciepłem po całej twarzy.

Skrzydła motyli smagały ją niczym baty, nakazując pośpiech, zaczęła jednak wygładzać spódnice. Musiała postępować powoli, ostrożnie.

„Jeżeli nie, to on sobie pomyśli, że jestem jakąś zwyczajną, głupią dziewczyną. I będzie miał rację”.

Motyle w żołądku zaczęły walić w kotły.

— Chciałabyś dostać kwiat? — spytał znienacka, a ona zamrugała oczyma z oszołomienia.

— Kwiat?

— Tak. — Krocząc w stronę łóżka, wygarnął podwójną garść pierza z podartego materaca i podał jej. — Ubiegłej nocy stworzyłem jeden dla majhere. Pomyślałabyś, że ofiarowałem jej Kamień. Ale twój będzie znacznie piękniejszy — dodał pośpiesznie. — Znacznie. Obiecuję.

— Rand, ja. . .



— Będę ostrożny. Wystarczy zaledwie strumyczek Mocy. Tylko cienka nitka, a zresztą będę uważał.

Zaufać. Musiała mu zaufać. Specjalnie się nie zdziwiła, gdy się zorientowała, co robi.

— Bardzo bym chciała, Rand.

Przez długie chwile wpatrywał się w puszysty pagórek na swej dłoni, na jego twarzy rodził się powoli grymas. Nagle wypuścił pióra z ręki, otrzepując dłonie.

— Kwiat — powiedział. — To dar, który do ciebie nie pasuje.

Czuła, jak jej serce wyrywa się ku niemu; najwyraźniej usiłował objąć *saidina* i nie udało mu się. Kryjąc rozczarowanie, że mu się nie powiodło, pokuśtykał pośpiesznie do leżącego na posadzce kawałka metalicznej tkaniny i zaczął go sobie drapować na ręce.

— Oto odpowiedni dar dla Dziedziczki Tronu Andoru. Mogłabyś kazać szwaczce... — Zaplątał się w przemówienie na temat tego, co szwaczka mogłaby wykonać z kawałka złoto-srebrnej materii, długości czterech i szerokości niespełna dwóch stóp.

— Jestem pewna, że szwaczka będzie miała wiele pomysłów — zapewniła go dyplomatycznie. Wyciągnąwszy chusteczkę z rękawa, przyklękła na chwilę, by pozbierać pióra, które on wysypał na kwadrat bladoniebieskiego jedwabiu.

— Służebne się tym zajmą — powiedział, gdy wetknęła maleńki węzełek do sakiewki przy pasie.

— Cóż, będą miały mniej pracy.

Jak mógł pojąć, że pragnęła zachować pióra, bo on chciał stworzyć z nich kwiat? Przystąpił z nogi na nogę, ściskając połyskujące fałdy, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić.

— Majhere na pewno zatrudnia szwaczki — wyjaśniła mu. — Dam to jednej z nich.

Rozchmurzył się i uśmiechnął, nie widziała powodu, by mu mówić, że to miał być podarek z jej strony. Motyle, które ciskały teraz piorunami, nie mogły jej zatrzymywać ani chwili dłużej.

— Rand, czy ja... czy ja ci się podobam?

— Czy ty mi się podobasz? — zmarszczył brwi. — No jakże, podobasz mi się. Bardzo mi się podobasz.

Czy on musiał robić taką minę, jakby nic nie rozumiał?

— Bardzo cię lubię, Rand. — Była zaskoczona, że powiedziała to z takim spokojem, żołądek zdawał się jej wbijać do gardła, a ręce i stopy były jak z lodu. — Więcej niż lubię.

Na tym dość, nie miała zamiaru robić z siebie idiotki.

„On pierwszy musi powiedzieć coś więcej niż „lubię”, „. Omal nie roześmiała się histerycznie. „Będę nad sobą panowała. Nie pozwolę, by na mnie patrzył jak na dziewczynę, która wzdycha do księżycy. Nie pozwolę”.

— Lubię cię — powiedział wolno.

— Ja zazwyczaj nie jestem taka bezpośrednia. — Źle, mógł sobie przez to pomyśleć o Berelain. Policzki mu poczerwieniały, on myślał o Berelain. A niechby szczył! Jej głos zabrzmiał gładko jak jedwab. — Niebawem będę musiała ruszyć w drogę, Rand. Opuścić Łzę. Mogę cię nie widzieć przez wiele miesięcy.

„Albo już nigdy” — zakrzyknął cichutki głos w jej myślach. Nie chciała słuchać.

— Nie mogłabym odjechać, nie pozwalając ci wiedzieć, co czuję. A ja... bardzo cię lubię.

— Elayne, ja też cię lubię. Czuję... Pragnę... — Purpurowe plamy na jego policzkach rosły. — Elayne, nie wiem, co powiedzieć, jak...

Nagle to jej twarz zaczęła płonąć. On pewnie myśli, że próbowała go zmusić, by powiedział coś więcej.

„Nieprawdaż?” — drwił cichutki głosik, od którego jej policzki robiły się coraz gorętsze.

— Rand, ja nie proszę cię o...

„Światłości! Jak to powiedzieć?”

— Ja chciałam tylko, byś wiedział, co czuję. To wszystko.

Berelain już by na tym nie poprzestała. Berelain już by go do tej pory omotała. Powtarzając sobie, że nie pozwoli, by ta półnaga ładacznicą ją prześcignęła, przysunęła się bliżej do niego, zdjęła połyskującą materię z jego ramienia i rzuciła ją na dywan. Z jakiegoś powodu wydał się roślejszy niż kiedykolwiek.

— Rand... Rand, chciałabym, żebyś mnie pocałował.

No i proszę. Udało się.

— Pocałował cię? — spytał, jakby nigdy w życiu nie słyszał o całowaniu.

— Elayne, ja nie chcę obiecywać niczego więcej niż... chcę powiedzieć, że jest inaczej, niż gdybyśmy byli zaręczeni. Nie żebym sugerował, że powinniśmy się zaręczyć. To tylko... Ja cię miłuję, Elayne. Bardziej niż miłuję. Po prostu nie chcę, żebyś pomyślała, że ja...

Musiała się roześmiać, słysząc tę jego wymuszoną zakłopotaniem żarliwość.

— Nie wiem, jak to się robi w Dwu Rzekach, ale w Caemlyn chłopiec nie czeka na zrękowiny, jeśli chce pocałować dziewczynę. I to wcale nie znaczy, że muszą się potem zaręczyć. Ale może ty nie potrafisz...

Jego ramiona objęły ją nieomal brutalnie, a usta zbliżyły się do jej ust. Odwróciła głowę, palce u stóp usiłowały się podkulić we wnętrzu kamaszy. Jakiś czas później — nie była pewna jak długi — uświadomiła sobie, że wspiera się o jego pierś, z drżącymi kolanami, usiłując zaczerpnąć powietrza.

— Wybacz, że ci przerwałem — powiedział. Z zadowoleniem zauważyła lekką zadyszkę w jego głosie. — Jestem po prostu prowincjonalnym pasterzem z Dwu Rzek.

— Jesteś dzikusiem — mruknęła do jego koszuli — i nie ogoliłeś się dziś rano, ale nie powiedziałabym, że jesteś prowincjonalny.

— Elayne, ja. . .

Przyłożyła dłoń do jego ust.

— Nie życzę sobie słyszeć od ciebie niczego, czego nie czujesz całym swoim sercem — powiedziała stanowczym tonem. — Ani teraz, ani nigdy.

Przytaknął, nie wiedząc dlaczego, ale rozumiał przynajmniej, że ona mówi to, co myśli. Przyglądając włosy — nie dało się rozplątać sznura szafirów bez lustra — wysunęła się z opasujących ją ramion, nie bez żalu, zbyt łatwo byłoby w nich pozostać, a i tak posunęła się o wiele dalej, niż jej się przedtem śniło. Tak mówić, prosić o pocałunek. Prosić! Ona to nie Berelain.

Berelain. Może Min miała jakieś widzenie. To, co widziała Min, działo się potem naprawdę, ale nie miała zamiaru dzielić się nim z Berelain. Może trzeba było coś jeszcze zwyczajnie powiedzieć. Zwyczajnie, dać przynajmniej coś do zrozumienia.

— Spodziewam się, że nie będzie ci brakowało mego towarzystwa, kiedy odjadę. Pamiętaj po prostu, że niektóre kobiety patrzą na mężczyznę sercem, inne zaś nie widzą w nim nic więcej jak tylko błyskotkę, nie różniącą się niczym od naszyjnika albo bransolety. Pamiętaj, że ja wrócę i że należę do tych, które patrzą sercem.

Z początku wyglądał na oszołomionego, a potem na trochę wystraszonego. Powiedziała zbyt wiele, zbyt szybko. Trzeba było zmienić temat rozmowy.

— Czy wiesz, czego mi nie powiedziałeś? Nie próbowałeś mnie odstraszyć, mówiąc mi, jaki ty jesteś niebezpieczny. Nie próbuj teraz. Za późno.

— Nie myślałem o tym. — Niemniej przyszyła mu do głowy inna myśl i podejrzliwie zmrużył oczy. — Czy uknułyście to razem z Egwene?

Udało jej się połączyć niewinność wyrażoną szerokim otwarciem oczu z lekkim oburzeniem.

— Jak mogło ci w ogóle przyjść coś takiego do głowy? Czy tobie się wydaje, że mogłybyśmy przekazywać sobie siebie jak jakiś pakunek? Za dobre masz o sobie mniemanie. Coś takiego nazywa się pychą.

Tym razem rzeczywiście wyglądał na zdezorientowanego. Wystarczająco zdezorientowanego.

— Czy jest ci przykro z powodu tego, co nam zrobiłeś, Rand?

— Nie chciałem was straszyć — odparł z wahaniem. — Egwene mnie zezłościła, zawsze jej się udawało, nawet bez szczególnych starań. To nie jest wytłumaczenie, wiem. Powiedziałem, że jest mi przykro i to prawda. Popatrz, do czego mnie to zawiodło. Popalone stoły i zniszczone materace.

— A za to. . . uszczypnięcie?

Twarz mu znowu poczerwieniała, ale mimo to patrzył na nią surowo.

— Nie. Nie, nie jest mi przykro. Rozmawiałyście przy mnie, jakbym był kłębkim wełny, który nie ma uszu. Zasłużyłyście sobie, obydwie, i nie zmienię zdania.

Przyglądała mu się przez chwilę. Potarł ramiona przez rękawy kaftana, kiedy na moment objęła *saidara*. Nie знаła się w najmniejszym stopniu na uzdrawianiu, ale nauczyła się pewnych drobnych czynności wstępnych. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia i przestąpił z nogi na nogę, jakby sprawdzał, czy ból rzeczywiście zniknął.

— To za uczciwość — wyjaśniła mu po prostu.

Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi i do środka zajrzał Gaul. Z początku głowę miał spuszczoną, ale po szybkim rzucie oka na nich podniósł ją. Twarz Elayne zalał rumieniec, gdy sobie uświadomiła, że on podejrzewa, iż przeszkodził w czymś, czego nie powinien był zobaczyć. Omal ponownie nie objęła *saidara* i nie dała mu nauczki.

— Tairenianie są tutaj — oznajmił Gaul. — Wysocy Lordowie, których oczekiwałeś.

— Pójdę zatem — zwróciła się do Randa. — Musisz ich pouczyć w kwestii... podatków, czyż nie? Zastanów się nad tym, co ci powiedziałam. — Nie rzekła „myśl o mnie”, ale była pewna, że skutek będzie taki sam.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać, ale wyślizgnęła się. Nie miała zamiaru robić demonstracji przed Gaulem. Ten człowiek był Aielem, ale cóż on musi sobie o niej myśleć, wyperfumowanej i wystrojonej w szafiry o tak rannej godzinie? Kosztowało ją sporo wysiłku, by podciągnąć wyżej rąbek dekoltu.

W chwili gdy docierała do drzwi, do środka weszli Wysocy Lordowie, grupka siwiejących mężczyzn ze spiczastymi brodami, w barwnych, zdobnych kaftanach z bufiastymi rękawami. Tłumnie ustępowali jej drogi, niechętnie się kłaniając, dobroduszne miny i uprzejme pomruki nie tały ulgi, że już wychodzi.

Obejrzała się raz od progu. Rosły, barczysty młodzieniec w prostym, zielonym kaftanie w otoczeniu Wysokich Lordów w ich jedwabiach i satynowych pasach przypominał bociana pośród pawów, a jednak miał w sobie coś, co mówiło, że to on ma prawo nimi przewodzić. Tairenianie godzili się z tym, z niechęcią pochyłając swe sztywne karki. Myślał pewnie, że tak się kłaniają, bo jest Smokiem Odrodzonym, i być może oni też tak sądzili. Widywała jednak już mężczyzn, takich jak Gareth Bryne, Kapitan Dowódca Straży jej matki, którzy potrafili zdominować komnatę w łachmanach, bez tytułu, gdy nikt nie znał ich imienia. Rand mógł tego nie wiedzieć, ale był właśnie takim mężczyzną. Kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, nie był taki, ale teraz się zmienił. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Aielowie zgromadzeni przy wejściu spojrzeli na nią, a kapitan, dowodzący Obrońcami tworzącymi krąg na środku przedsionka, popatrzył niespokojnie, lecz ona ledwie ich zauważyła. Zrobione. Albo przynajmniej zaczęte. Miała cztery dni, zanim Joiya i Amico zostaną wsadzone na statek, najwyżej cztery dni, by spleść

się tak silnie z myślami Randa, że nie pozostanie w nich miejsca na Berelain. A jeśli nawet nie, to dostatecznie silnie usadowiła się w jego głowie, do czasu aż będzie miała okazji zrobienia czegoś więcej. Nigdy dotąd nie myślała, że stać ją na coś takiego, że będzie podchodzić mężczyznę tak, jak myśliwy podchodzi dzika. Motyle wciąż jeszcze wirowały w jej żołądku. Przynajmniej nie pozwoliła, by zauważył, jaka jest zdenerwowana. I uprzytomniła sobie jeszcze, że ani razu nie pomyślała, co powie jej matka. W tym momencie trzepotanie ustało. Nie obchodziło jej, jak zareaguje matka. Morgase musiała zaakceptować swoją córkę jako kobietę, to wszystko.

Aielowie kłaniali się, kiedy odchodziła, a ona witała ich pełnym gracji skieniem głowy, które napełniłoby dumą Morgase. Nawet taireński kapitan patrzył na nią tak, jakby dostrzegał tę jej nową powagę. Nie sądziła, by motyle miały ją znowu kłopotać. Może z powodu Czarnych Ajah, ale nie przez Randa.

\* \* \*

Nie zwracając uwagi na lordów, którzy zgromadzili się przy nim w niespokojnym półkolu, Rand ze zdziwieniem patrzył na drzwi zamykające się za Elayne. Sny, które sprawdzały się na jawie, nawet jeśli tylko w pewnym stopniu sprawiły, że zrobiło mu się nieswojo. Kąpiel w Wodnym Lesie to było jedno, ale nigdy nie uwierzyłby w sen, w którym by przyszła do niego w taki sposób. Była taka zimna i opanowana, podczas gdy on się potykał o własny język. I ta Egwene, która mu powtórzyła jego własne myśli i niepokoiła się jedynie tym, że mogłaby go zranić. Dlaczego tak się dzieje, że kobiety potrafią wybuchnąć albo wpadać w pasję z powodu drobnostki, a nawet nie zatrzepoczą rzęsą wobec czegoś, co człowiekowi każe wytrzeszczyć oczy?

— Lordzie Smoku? — wymamrotał Sunarnon jeszcze bardziej nieśmiało niż zazwyczaj. Wieści o wydarzeniach tej nocy musiały się rozejść już po Kamieniu; tamta pierwsza gromadka wyszła od niego niemalże biegiem, należało też wątpić, by Torean odważył się powtórnie pokazać albo przedstawiać swe plugawe sugestie w pobliżu Randa.

Sunamon zdobył się na przymilny uśmiech i natychmiast go zgasił, zacierając pulchne dłonie, gdy tylko Rand spojrział na niego. Reszta udawała, że nie widzi popalonych stołów, porwanego materaca i porzrzuconych książek, ani też stopionych grud w kominku, pozostałości po jeleniu i wilkach. Wysocy Lordowie potrafili widzieć tylko to, co chcieli zobaczyć. Do Carleona i Tedosiana, pełnych hipokryzji, co dodatkowo podkreślał każdy ich gest, z pewnością nigdy nie dotarło, że jest coś podejrzanego w fakcie, iż w ogóle na siebie nie patrzą. Z drugiej

strony jednak Rand mógłby tego wcale nie zauważyć, gdyby nie list od Thoma, znaleziony w kieszeni kaftana, przyniesionego właśnie od czyszczenia.

— Lord Smok życzył sobie nas widzieć? — wykrztusił Sunamon.

Czy Egwene i Elayne mogły to wspólnie ukartować? Jasne, że nie. Kobiety, podobnie jak mężczyźni, nie robią takich rzeczy. Czyżby? To musiał być zbieg okoliczności. Elayne usłyszała, że on jest wolny, i zdecydowała się mówić. Tak to było.

— Podatki — warknął.

Tairenianie niby się nie poruszyli, a jednak odniósł wrażenie, że się cofnęli. Jak on nienawidził kontaktów z tymi ludźmi, miał ochotę ponownie zanurzyć się w ksiązkach.

— Zmniejszenie podatków to niebezpieczny precedens, Lordzie Smoku — powiedział słuźalczym tonem szczupły, siwowłosy mężczyzna. Meilan był wysoki jak na mieszkańca Łzy, zaledwie o dłoń niższy od Randa i twardy jak każdy Obrońca. W obecności Randa garbił się, ciemne oczy pokazywały, jak bardzo tego nienawidzi. A jednocześnie nie cierpiał, gdy Rand im mówił, że mają przestać się tak kulić w jego obecności. Żaden z nich się nie prostował, ale szczególnie Meilan nie lubił, gdy mu przypominano o tym, co robi.

— Wieśniacy zawsze płacili bez sprzeciwu, ale jeśli teraz zmniejszymy podatki, to gdy nadejdzie dzień, by z powrotem je podnieść do tego samego poziomu, na jakim są teraz, ci głupcy będą narzekać równie zawzięcie, jakbyśmy zdwoili obecny domiar. Mogą wówczas wybuchnąć zamieszki, Lordzie Smoku.

Rand przemierzył długimi krokami izbę, by stanąć przed *Callandorem*, kryształowy miecz załśnił, przyćmiewając blaskiem otaczające go złocenia i klejnoty. Przypominał mu, kim jest, jaką władzą może dysponować. Egwene. Głupio, że czuje się tak zraniony, bo powiedziała, że już go nie kocha. Na jakiej podstawie miałby spodziewać się po niej uczuć, których sam do niej nie żywił? A mimo to bolało. Poczul ulgę, ale tylko częściowo.

— Będziecie mieli zamieszki, jeśli wypędzicie ludzi z ich farm.

Tuż przy stopach Meilana stał stos utworzony z trzech ksiąg. *Skarby Kamienia Łzy*, *Podróże po Pustkowi* i *Co działo się z terytorium Mayene*. W nich i w rozmaitych przekładach Cyklu Karaethon znajdowały się klucze, tylko musiał jeszcze dopasować je do odpowiednich zamków, które najpierw należało znaleźć. Skierował swe myśli z powrotem na Wysokich Lordów.

— Wydaje wam się, że będą beczynn timerzyli, jak ich rodziny umierają z głodu?

— Obrońcom Kamienia zdarzało się już gasić zamieszki, Lordzie Smoku — uspokoił go Sunamon. — Nasi Strażnicy potrafią utrzymać pokój na wsi. Wieśniacy nie będą cię niepokoić, zapewniam.

— Jak na razie, farmerów jest zbyt wielu. — Carleon wzdrygnął się pod spojrzaniem Randa. — W Cairhien trwa wojna domowa, Lordzie Smoku — wyjaśnił

pospiesznie. — Cairhienianie mogą już nie chcieć zboża, bo ich spichlerze pękają w szwach. W takim stanie rzeczy tegoroczne plony mogą się zmarnować. A w przyszłym roku...? Oby szczęła ma dusza, Lordzie Smoku, ale jest rzeczą konieczną, by ci wieśniacy powstrzymali to swoje wieczne kopanie i sadzenie.

Wydawał się rozumieć, że powiedział za dużo, ale wyraźnie nie pojmował dlaczego. Rand zastanawiał się, czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, w jaki sposób jedzenie trafia na jego stół. Czy on dostrzegał cokolwiek poza złotem i władzą?

— Co zrobicie, jeśli Cairhien zacznie na nowo kupować zboże? — spytał zimnym tonem Rund. — A gdy już o tym mowa, to czy Cairhien jest jedyną krainą, która potrzebuje zboża?

Dlaczego Elayne przemawiała w taki sposób? Czego się po nim spodziewała? Lubi, powiedziała. Kobiety potrafiły uprawiać gry słowne podobnie jak Aes Sedai. Czy ona chciała powiedzieć, że go kocha? Nie, to czysta głupota. Zarozumiałość ponad miarę.

— Lordzie Smoku — przemówił Meilan, na poły służalczo, a trochę tak, jakby wyjaśniał coś dziecku — gdyby dziś ustały wojny domowe, Cairhien nadal nie byłoby w stanie kupować więcej jak kilka barek przez dwa, a nawet trzy lata. Zawsze sprzedawaliśmy nasze ziarno Cairhien.

Zawsze — przez dwadzieścia lat od czasu Wojny o Aiel. Tak byli związani tym, co robili zawsze, że nie potrafili dostrzec tego, co było takie proste. Albo nie chcieli dostrzec. Kiedy wokół Pola Emonda kapusta zaczynała rosnać jak chwast, było niemalże pewne, że zły deszcz albo biały robak zaatakował Deven Ride czy też Wzgórze Czat. Kiedy zaś we Wzgórzu Czat mieli za dużo rzepy, w Polu Emonda albo w Deven Ride był jej niedostatek.

— Zaoferujcie je w Illian — powiedział im.

Czego Elayne się spodziewa?

— Albo w Altarze.

Naprawdę ją lubił, ale w równym stopniu lubił Min. Albo tak mu się wydawało. Nie potrafił określić swych uczuć do nich obu.

— Macie statki, zdolne do żeglugi po morzu, a także rzeczne łodzie i barki, a jeśli nie macie ich w dostatecznej liczbie, wynajmijcie je od Mayene.

Lubił obie kobiety, ale poza tym... Prawie całe swoje życie wzdychał do Egwene, nie miał teraz zamiaru znowu się pograżać w czymś takim, dopóki nie będzie czegoś pewien. Pewien czegokolwiek. Byle pewien. Jeśli należało wierzyć *Co się działo z terytorium Mayene...*

„Przestań — przykazał sobie. — Przestań myśleć o tych łasicach, bo inaczej znajdą szczeliny, przez które będą mogły się prześlizgnąć i przy okazji cię pokąsać”.

— Płaćcie ziarnem, jestem pewien, że Pierwsza będzie skłonna na to przystać, za dobrą zapłatą. I może potrzebna będzie pisemna umowa, traktat... — To było

właściwe słowo, do takich właśnie przywykli — . . . zobowiązujący do zostawienia Mayene w spokoju w zamian za statki.

Był jej to winien.

— Niewiele handlujemy z Illian, Lordzie Smoku. To sępy i szumowiny. — Głos Tedosiana wyrażał oburzenie, podobnie zresztą jak głos Meilana, kiedy powiedział:

— Z Mayene zawsze radziliśmy sobie z pozycji siły, Lordzie Smoku. Nigdy na ugiętych kolanach.

Rand nabrał powietrza w płuca. Wysocy Lordowie stężeli. Tak to się zwykle kończyło. Próbował i zawsze bez skutku. Thom twierdził, że Wysocy Lordowie mają głowy twarde jak Kamień, i miał rację.

„Co ja do niej czuję? Marzę o niej. Z pewnością jest piękna”. — Nie był pewien, czy chodzi mu o Elayne czy też o Min. — „Skończ z tym! Pocałunek nie oznacza nic więcej jak tylko pocałunek. Skończ z tym!”

Stanowczo wyzbywając się wszelkich myśli o kobietach, zabrał się za wyjaśnianie tym durniom o skamieniałych mózgach, co mają robić.

— Po pierwsze, zmniejszycie podatki nakładane na farmerów o trzy czwarte, dla wszystkich zaś pozostałych o połowę. Nie sprzeczczać się! Po prostu to zrobicie! Po drugie, idźcie do Berelain i spytajcie. . . spytajcie! . . . jaka jest jej cena za wynajęcie. . .

Wysocy Lordowie wysłuchali jego słów, wśród obłudnych uśmiechów i zgrzytania zębów, ale wysłuchali.

\* \* \*

Egwene myślała właśnie o Joyi i Amico, kiedy obok niej pojawił się niespodzianie Mat, który szedł korytarzem i jakby zupełnie przypadkowo udawał się w tym samym kierunku. Krzywił się do siebie, a jego włosy domagały się przyczesania, wyglądały bowiem, jakby wycierał sobie o nie palce. Raz albo dwa zerknął na nią, ale się nie odezwał. Mijający ich słudzy kłaniali się albo dygali, podobnie przypadkowo napotkani Wysocy Lordowie i Damy, choć ci drudzy z wyraźniej mniejszym entuzjazmem. Gdyby jej tu nie było, to te spojrzenia i wygięte usta Mata, przyjaciela Lorda Smoka czy też nie, ściągnęłyby na nich kłopoty.

To milczenie było do niego niepodobne, nie do tego Mata, którego znała. Z wyjątkiem wspaniałego, czerwonego kaftana — zmiętego, jakby w nim spał — wydawał się niczym nie różnić od siebie z dawnych dni, lecz cała reszta z pewnością była inna. Niepokoił ją swym spokojem.

— Tą ostatnią nocą tak się przejąłeś? — spytała wreszcie.



Zgubił krok.

— To ty wiesz? No cóż, ty byś się przejęła. Ja sobie tym nie zaprzęłam głowy. Nic się specjalnie nie stało. Zresztą już po wszystkim.

Udała, że mu wierzy.

— Nynaeve i ja rzadko cię ostatnio widzimy. — Była to gruba przesada.

— Jestem zajęty — mruknął, niezdarnie wzruszając ramionami, patrząc na wszystko, tylko nie na nią.

— Kości? — spytała lekceważąco.

— Karty.

Pulchna służebna z naręczem złożonych ręczników kłaniając się zerknęła na Egwene i, najwyraźniej uważając, że ona nie patrzy, mrugnęła do Mata. Uśmiechnął się do niej szeroko.

— Byłem zajęty grą w karty.

Egwene groźnie uniosła brwi. Ta kobieta była z pewnością o dziesięć lat starsza od Nynaeve.

— Rozumiem. Karty z pewnością pochłaniają wiele czasu. Zbyt wiele, by poświęcić kilka chwil dla starych przyjaciół.

— Ostatnim razem, kiedy poświęciłem ci chwilę, ty i Nynaeve związałyście mnie Mocą jak wieprza na targ, żeby móc splądrować moją izbę. Przyjaciele nie okradają przyjaciół. — Skrzywił się. — A poza tym ciągle przestajesz z Elayne i jej wiecznie zadartym nosem. Albo z Moiraine. Nie lubię. . . — Odkasłując spojrział na nią z ukosa. — Nie lubię zabierać ci czasu. Z tego, co wiem, to ty jesteś bardzo zajęta. Przesłuchujesz Sprzymierzeńców Ciemności. Robisz ważne rzeczy, jak sobie wyobrażam. Wiesz, że ci wszyscy Tairenianie uważają cię za Aes Sedai, prawda?

Z żalem potrząsnęła głową. On nie lubił Aes Sedai. Ile świata by zobaczył, nic nigdy nie mogło go zmienić.

— To nie kradzież, jeśli się odbiera to, co miało być pożyczką — wyjaśniła.

— Nie pamiętam, byście mówiły coś o pożyczce. Aaah, jaki miałemżytek z listu od Amyrlin? Tylko wpakował mnie w kłopoty. Ale mogłyście jednak poprosić.

Nie zwróciła mu uwagi, że poprosiły. Nie chciała się kłócić ani też rozstawać w ponurym nastroju. On by tego tak nie nazwał, rzecz jasna. Tym razem chciała pozwolić mu odejść z przekonaniem o własnej słuszności.

— Cóż, cieszę się, że wciąż jeszcze chcesz ze mną rozmawiać. Czy dzisiaj był ku temu jakiś szczególny powód?

Przeczesał włosy palcami i mruknął coś półgłosem. Potrzebował matki, która przyciągnęłaby go za ucho na długą rozmowę. Egwene zmusiła się do cierpliwości. Potrafiła być cierpliwa, kiedy chciała. Nie miała zamiaru mówić ani słowa, dopóki on się nie odezwie, chociaż była bliska wybuchu.

Korytarz przeszedł w odgrodzoną balustradą kolumnadę z białego marmuru, z której roztaczał się widok na ogrody Kamienia. Wielkie białe kwiaty okrywały drzewa o woskowatych liściach i wydzielały zapach jeszcze słodszy niżli klomby czerwonych i herbacianych róż. Wiatr nie poruszał już gobelinami zawieszonymi na wewnętrznej ścianie, osłabił natomiast narastające, wilgotne ciepło poranka. Mat przysiadł na szerokiej balustradzie, opierając się plecami o kolumnę, i podniósł jedną nogę w górę. Pilnie czegoś wypatrując w głębinach ogrodów, powiedział w końcu:

— Potrzebuję... rady.

Potrzebował rady? Jej rady? Wytrzeszczyła oczy.

— Jeśli tylko mogę pomóc — odparła słabym głosem. Odwrócił głowę w jej stronę, a ona zrobiła wszystko, by przybrać postawę, która choć w ogólnych zarysach przypominałaby niewzruszony spokój Aes Sedai. — Jakiej to chcesz rady?

— Nie wiem.

Do ogrodu wiódł dziesięciostopniowy spadek. Poza tym wśród róż byli jacyś ludzie, wrywali chwasty. Gdyby go tam popchnęła, mógłby wylądować na którymś z nich. Na ogrodniku oczywiście, nie na krzewie różanym.

— No to jak mam ci poradzić? — spytała piskliwym głosem.

— Staram się... zdecydować, co robić. — Wyglądał na zażenowanego, jej zdaniem nie bezpodstawnie.

— Mam nadzieję, że nie myślisz o próbie ucieczki. Wiesz, jaki jesteś ważny. Nie możesz przed tym uciec, Mat.

— Myślisz, że o tym nie wiem? Nie sędzę, żebym mógł wyjechać, zanim Moiraine mi nie pozwoli. Wierz mi, Egwene, donikąd się nie wybieram. Chcę tylko wiedzieć, co się stanie. — Potrząsnął gwałtownie głową, a jego głos nabrał siły. — Co będzie dalej? Co kryją te dziury w mojej pamięci? Są takie fragmenty mojego życia, których w ogóle tam nie ma, one nie istnieją, jakby się nigdy nie zdarzyły! Dlaczego czasami wylewają się ze mnie jakieś brednie? Ludzie mówią, że to Dawna Mowa, ale dla mnie to paplanie gęsi. Chcę wiedzieć, Egwene. Muszę wiedzieć, zanim oszaleję tak jak Rand.

— Rand nie jest szalony — upomniała go automatycznie. A zatem Mat nie próbował uciec. To była przyjemna niespodzianka, dotąd zdawał się lekceważyć swe powinności. W jego głosie słychać było ból i zmartwienie. Mat nigdy się niczym nie martwił ani nie pozwalał nikomu zauważyć, że się czymś martwi. — Nie znam odpowiedzi, Mat — powiedziała łagodnie. — Może Moiraine...

— Nie! — Jednym skokiem stanął na równych nogach. — Żadnych Aes Sedai! To znaczy... Ty jesteś inna, ciebie znam, a poza tym ty... Czy nie nauczyli cię czegoś w Wieży, jakiejś sztuczki, czegoś, z czego można by skorzystać?

— Och Mat, tak mi przykro, tak mi przykro.

Śmiech Mata przypominał jej ich wspólne dzieciństwo. Tak zwykł się śmiać, kiedy jego największe oczekiwania spełzły na niczym.

— A co tam, chyba to się nie liczy. To dalej będzie Wieża, nawet jeśli z drugiej ręki. Bez urazy. — Właśnie tak użalał się nad drzazgą w palcu i opatrywał złamaną nogę, jakby to nic nie znaczyło.

— Może istnieje jakiś sposób — powiedziała wolno. — Jeśli Moiraine to potwierdzi. Ona może.

— Moiraine! Czyś ty zupełnie mnie nie słuchała? Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to wtrącanie się Moiraine. Jaki to sposób?

Mat zawsze był w gorącej wodzie kąpany. Nie pragnął jednak niczego więcej niż ona, chciał wiedzieć. Gdyby jeszcze chociaż raz wykazał się odrobiną rozsądku i uwagi. Mijająca ich taireńska szlachcianka z ciemnymi warkoczami oplecionymi wokół głowy i obnażonymi ramionami, wychylającymi się z żółtej materii, ugięła lekko kolano, patrząc na nich bez wyrazu; szła dalej szybko, sztywno wyprostowana. Egwene odprowadziła ją wzrokiem, dopóki nie znalazła się daleko poza zasięgiem głosu, i znowu byli sami. Nie licząc ogrodników, trzydzieści stóp niżej. Mat wpatrywał się w nią wyczekująco.

W końcu powiedziała mu o *ter'angrealu*, o krzywych drzwiach, za którymi kryły się odpowiedzi. Można się z ich powodu narazić na niebezpieczeństwa, podkreśliła, w konsekwencji głupich pytań albo pytań o Cień, niebezpieczeństwa, których nawet Aes Sedai mogły nie znać. Co najmniej jej pochlebiało, że przyszedł do niej, ale musiał wykazać się większym rozsądkiem.

— Musisz to zapamiętać, Mat. Błache pytania mogą cię zabić, więc gdybyś je rzeczywiście miał zadać, to tym razem musisz spoważnieć. I nie wolno ci pytać o Cień.

Słuchał jej z rosnącym niedowierzaniem. Kiedy skończyła, wykrzyknął:

— Trzy pytania? Czyli, jak mi się wydaje, wchodzisz tam tak jak Billy, spędzasz jedną noc i wychodzisz dziesięć lat później z sakiewką, która jest zawsze pełna złota i...

— Choć raz w życiu, Matrimie Cauthon — zachnęła się — nie gadaj tak głupio. Wiesz znakomicie, że *ter'angreale* to nie przedmioty z bajek. To niebezpieczne rzeczy, powinieneś być tego świadom. Być może znajdziesz dzięki temu *ter'angrealowi* odpowiedzi, ale nie wolno ci próbować, dopóki Moiraine nie pozwoli. Musisz mi to obiecać, bo inaczej ja obiecuję, że zawiodę cię do niej jak pstrąga na żyłce. Wiesz, że potrafię.

Parsknął głośno.

— Byłbym głupcem, gdybym rzeczywiście próbował, niezależnie od tego, co twierdzi Moiraine. Wejść do cholernego *ter'angrealu*? Nie chcę mieć nic wspólnego z cholerną Mocą, ani mniej, ani więcej. Możesz to sobie wybić z głowy.

— To jedyna szansa, o jakiej mi wiadomo, Mat.

— Ale nie dla mnie — oświadczył stanowczym tonem. — Nawet brak szansy jest lepszy od takiej.

Mimo tego tonu zapragnęła objąć go ramieniem. Tyle że wówczas najpewniej

zacząłby kpić i potraktował ją jak gęś. Był nienaprawialny od dnia, w którym się urodził. A jednak przyszedł do niej po pomoc.

— Przepraszam, Mat. Co masz zamiar zrobić?

— Och, chyba będę grał w karty. O ile ktoś ze mną zagra. Będę grał w kamienie z Thomem. W kości w tawernach. Przynajmniej wolno mi jeszcze chodzić do miasta. — Jego wzrok zabłąkał się w stronę przechodzącej obok służącej, szczupłej, ciemnookiej dziewczyny, mniej więcej w jego wieku. — Znajdę coś dla zabicia czasu.

Ręka ją zaswedziała, żeby go uderzyć, ale zamiast tego spytała ostrożnie:

— Mat, tak naprawdę wcale nie myślisz o wyjeździe, prawda?

— A powiedziałaabyś Moiraine, gdyby tak było? — Podniósł ręce, żeby ją uprzedzić. — Cóż, nie ma takiej potrzeby. Powiedziałem ci, że tego nie zrobię. Nie będę udawał, że nie chcę, ale nie zrobię tego. Czy to ci odpowiada? — Na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy. — Egwene, czy zdarza ci się żałować, że nie jesteś w domu? Że to wszystko się zdarzyło?

Było to zadziwiające pytanie, tym bardziej iż to on je zadał, ale znała swoją odpowiedź.

— Nie. Mimo wszystko nie. A ty?

— Byłbym wtedy głupcem, nieprawdaż? — Zaśmiał się. — Lubię duże miasta i to mi odpowiada. Egwene, nie powiesz o tym Moiraine, prawda? O tym, że prosiłem cię o radę, i w ogóle?

— Niby czemu? — spytała podejrzliwie. Ostatecznie to był Mat.

Z zażenowaniem wzruszył ramionami.

— Trzymałem się od niej dalej niż od... Zresztą, cały czas trzymam się na uboczu, zwłaszcza kiedy ona próbuje mi grzebać w głowie. Jeszcze by pomyślała, że zmięknę. Nie mów jej, dobrze?

— Nie powiem — obiecała — jeżeli ty mi przyrzekniesz, że się nigdy nie zbliżysz do *ter'angreal* bez uzyskania jej zgody. Nie powinnam ci była w ogóle o nim opowiadać.

— Przyrzekam. — Uśmiechnął się szeroko. — Nie podejść do tej rzeczy, chyba że od tego będzie zależało moje życie. Przysięgam. — Zakończył z udawaną powagą.

Egwene potrząsnęła głową. Wszystko mogło się zmienić, tylko nie Mat.

## POSTANOWIENIA

Minęły trzy dni przesycone upałem i wilgocią, które zdawały się wysysać siły nawet z Tairenian. Rytm życia miasta toczył się jak w letargu. Słudzy pracowali niemalże przez sen, majhere ze zmartwienia rozplotła warkoczyki, ale nawet ona nie potrafiła znaleźć energii, żeby dawać im po palcach albo przytykać ich w ucho. Obrońcy Kamienia garbili się na swych stanowiskach niczym w połowie stopione świece, a oficerów bardziej interesowało schłodzone wino niżli wykonywanie obchodów. Wysocy Lordowie trzymali się przeważnie swych apartamentów, przespiając najgorętszą część dnia, a paru wyjechało z Kamienia na dłużej, aby zaznać względnego chłodu w ich majątkach położonych daleko na wschodzie, na zboczach Grzbietu Świata. O dziwo, jedynie przybysze z innych krajów, którzy najgorzej odczuwali upał, pchali swój żywot z tym samym zapałem co zwykle, o ile wręcz nie większym. Wielki upał nie doskwierał im tak mocno jak umykające godziny.

Mat prędko się przekonał, że miał rację co do młodych lordów, którzy widzieli, jak karty próbowały go zabić. Nie tylko unikali go, ale szerzyli wieści pośród swych przyjaciół, częstokroć zniekształcone; nikt w Kamieniu, kto trzymał dwie sztuki srebra w garści, nie mówił nic więcej prócz paru pośpiesznych wymówek, natychmiast się wycofując. Plotki szerzyły się również poza kręgami młodych lordów. Niejedna posługaczka, która lubiła pieszczoty, teraz ich odmawiała, a dwie wyznały niespokojnie, że zgodnie z pogłoskami niebezpiecznie jest przebywać z nim sam na sam. Perrin wydawał się całkiem pogrążony we własnych zmartwieniach, z kolei Thom zniknął jakby za sprawą jakiejś magicznej sztuczki. Mat nie miał pojęcia, czym się zajmuje bard, ale rzadko można go było znaleźć czy to za dnia, czy nocą. Moiraine natomiast, jedyna osoba, przez którą Mat życzył sobie być ignorowanym, właśnie na odwrót była zawsze tam, gdzie się akurat podziewał: a to przechodziła obok, a to mignęła w dali korytarza. Zawsze jednak jej oczy napotykały go w ostatniej chwili, z takim wyrazem, jakby ona wiedziała, o czym on myśli i czego pragnie, jakby wiedziała, że zmusi go, by zrobił dokładnie to, czego ona sobie życzy. Niczego to nie zmieniało pod jednym względem, nadal udawało mu się znajdować wymówki, by odłożyć wyjazd na jeszcze jeden dzień. Jego zdaniem wcale nie przyrzekł Egwene, że zostanie. Ale został.

Któregoś razu zaniósł lampę do samych wnętrzności Kamienia, do tak zwanej Wielkiej Przechowalni, docierając aż do zbutwiałych drzwi na dalekim krańcu wąskiego korytarza. Wystarczyło kilka chwil spoglądania w mrocznym wnętrzu na ciemne kształty pokryte zakurzonym płótnem, na byle jak sklecone stosy skrzyń i beczek, których wieka służyły za półki dla beładnie zgromadzonych figurynek, rzeźb i dziwnych przedmiotów wykonanych z kryształu, szkła i metalu — wystarczyło tych kilka chwil, aby uciekł pośpiesznie, mamrocząc:

— Musiałbym być największym głupcem na całym cholernym świecie!

Nic jednak nie mogło go powstrzymać przed wyprawami do miasta, gdzie nie istniała najmniejsza szansa, że napotka Moiraine w tawernach dokowych Maule, w dzielnicy portowej albo w gospodach Chalm, tam gdzie mieściły się magazyny, w tych źle oświetlonych, tłocznych, częstokroć brudnych lokalach, gdzie podawano tanie wino, podłe piwo, gdzie często wybuchały bójki, a gra w kości nigdy nie miała końca. Stawki przy grze w kości były niskie w porównaniu z tymi, do których przywykł, ale to wcale nie dlatego zawsze wracał do Kamienia po kilku godzinach. Starał się nie myśleć o tym, co go tam ciągnęło z powrotem, w pobliże Randa.

Perrin czasami widywał Mata w tawernach na nabrzeżu, pijącego zbyt wiele taniego wina, grającego w kości, jakby nie dbał o to, czy wygrywa, czy przegrywa, raz nawet błyskającego nożem, gdy jakiś nieokrzesany marynarz zaatakował go, zarzucając mu zbyt częste wygrane. Mat nie zwykł tak się irytować, ale Perrin unikał go, zamiast sprawdzić, co go tak trapi. Perrin nie chodził tam z powodu wina albo kości, a ludzie, którym przychodziła na myśl bójka, rozmyślali się po kilku spojrzeniach na jego barki... i oczy. Stawiał jednak to lichej jakości piwo marynarzom w szerokich skórzanych spodniach i młodszym kupcom w cienkich srebrnych łańcuchach przewieszonych przez przody kaftanów, każdemu człowiekowi, który wyglądał na przybysza z jakiejś dalekiej krainy. Polował na pogłoski, wieści o czymś, co mogłoby odciągnąć Faile od Łzy. Od niego.

Był przekonany, że gdyby znalazł dla niej jakąś przygodę, coś, co kryłoby w sobie szansę na to, że jej imię trafi do opowieści, to wyjechałaby. Udawała, że rozumie, dlaczego on musi zostać, ale co jakiś czas dawała do zrozumienia, że pragnie wyruszyć i że ma nadzieję, iż on wyjedzie razem z nią. Był jednak pewien, że dałaby się złapać na jakąś właściwą przynętę.

Podobnie jak on wiedziała, że większość plotek to przestarzałe ułamki prawdy. Powiadano, że wojna, która rozgorzała na wybrzeżu oceanu Aryth, to dzieło ludzi, o których nikt przedtem nic nie słyszał, zwanych Sawchinami albo jakoś tak podobnie — krąży na ten temat wiele wersji — dziwnego ludu, stanowiącego może armie Artura Hawkwinga, które powracały po tysiącu lat. Pewien jego-mość, sądząc z wyglądu mieszkaniac Tarabon, w czerwonym kapeluszu, z wąsami grubymi jak rogi byka, uroczyście go zapewnił, że tych ludzi wie sam Hawkwing, ze swym legendarnym mieczem Sprawiedliwość w ręku. Rozsiewano

pogłoski, że odnaleziono legendarny Róg Valere, który miał wzywać umarłych bohaterów z grobów, aby walczyli w Ostatniej Bitwie. W całym Ghealdan rozgorzały zamieszki, Illian cierpiało na wybuchy zbiorowego obłędu, w Cairhien szalejące mordy powstrzymywał postępujący głód, gdzieś na Ziemiach Granicznych nasilały się napady trolloków. Perrin nie mógł posłać Faile w sam środek czegoś takiego, nawet po to, by wyciągnąć ją z Łzy.

Obiecująco brzmiały doniesienia o kłopotach w Saldaei — musiało ją ciągnąć do własnego kraju, słyszał też, że Mazrim Taim, fałszywy Smok wpadł w ręce Aes Sedai — nikt jednak nie wiedział, jakiego to rodzaju kłopoty. Zmyślanie czegoś na nic by się nie zdało, czegokolwiek by się doszukał, to i tak z pewnością zadałaby własne pytania, zanim puściłaby się za tym w pogoń. Poza tym zamieszki w Saldaei mogły być równie groźne jak inne rzeczy, o których usłyszał.

Nie umiał jej też powiedzieć, gdzie spędza czas, bo bez wątplenia spytałaby dlaczego. Wiedziała, że on to nie Mat, by mu się podobało zabawianie po tawernach. Nigdy nie był dobry w kłamaniu, więc zwodził ją, najlepiej jak potrafił, a ona zaczęła go obdarzać długimi, milczącymi spojrzeniami rzucanymi z ukosa. Mógł jedynie zdwoić wysiłki, by znaleźć opowieść, która by ją zwiódła. Musiał gdzieś ją wysłać, z dala od niego, zanim doprowadzi do tego, że zostanie zabita. Musiał.

Egwene i Nynaeve spędzały więcej czasu z Joyią i Amico, bez żadnego efektu. Ich opowieści ani razu się nie zmieniły. Mimo protestów Nynaeve Egwene próbowała nawet opowiadać im, co powiedziała druga, by sprawdzić, czy coś im się nie wymknęło. Amico utkwiała w nich przerażony wzrok i wyłkała, że nigdy nie słyszała o takim planie. Tak mogło być rzeczywiście, dodała. Mogło. Aż się spociała, tak pragnęła je zadowolić. Joiya oznajmiła im chłodno, że mogą się udać do Tanchico, jeśli im na tym zależy.

— Słyszałam, że nie jest to teraz przyjemne miejsce — powiedziała bez zająknięcia, a jej kruczoczarne oczy zaśniły. — Władza króla obejmuje niewiele więcej niż samo miasto i jak rozumiem, Panarch przestał już pilnować porządku w państwie. W Tanchico rządzą teraz silne ręce, broń i szybkie noże. Ale jedźcie, jeśli tak wam się podoba.

Z Tar Valon nie nadchodziły żadne wieści, ani słowa o tym, czy Amyrlin zajęła się możliwą groźbą uwolnienia Mazrima 'Taima. Upłynęło mnóstwo czasu, w trakcie którego wiadomość mogła nadejść, dostarczona przez szybką łódź albo posłańca często zmieniającego konie, odkąd Moiraine posłała gołębie — o ile rzeczywiście je posłała. Egwene i Nynaeve sprzeczały się na ten temat, Nynaeve przyznawała, że Aes Sedai nie może kłamać, a mimo to starała się doszukiwać jakichś nieścisłości w słowach Moiraine. Moiraine zdawała się nie trapić brakiem odpowiedzi od Amyrlin, aczkolwiek trudno było coś orzec na podstawie jej kryształowego spokoju.

Egwene natomiast gryzła się tą sprawą, a także tym, czy Tanchico to trop

falszywy, prawdziwy czy może pułapka. W bibliotece Kamienia zgromadzono książki o Tarabon i Tanchico, ale mimo iż czytała tak długo, że aż bolały ją oczy, nie znalazła żadnych wskazówek dotyczących niebezpieczeństw grożących Randowi. Upał i zmartwienia nie polepszały jej usposobienia, bywała czasami równie zgryźliwa jak Nynaeve.

Rzecz jasna, niektóre sprawy toczyły się właściwym torem. Mat wciąż jeszcze był w Kamieniu, najwyraźniej dojrzał i uczył się odpowiedzialności. Żałowała, że go zawiodła, ale wątpiła, czy jakakolwiek kobieta w Wieży mogła dokonać czegoś więcej. Rozumiała jego głód wiedzy, bo i ona jej łaknęła, ale była to inna wiedza, były to rzeczy, których mogła się nauczyć jedynie w Wieży, rzeczy wcześniej nikomu nie znane i utracone.

Aviendha zaczęła odwiedzać Egwene, najwyraźniej z własnego wyboru. Nawet jeśli z początku była powściągliwa, to cóż, wywodziła się z Aielów i i nadal uważała Egwene za pełną Aes Sedai. A jednak miło się przebywało w jej towarzystwie, choć Egwene wydawało się czasem, że widzi nie zadane pytania w jej oczach. Mimo że Aviendha zachowywała się wciąż z rezerwą, to wkrótce wyszło na jaw, że ma bystry umysł i poczucie humoru pokrewne Egwene — czasami wybuchwały śmiechem jak małe dziewczynki. Zachowanie Aielów było dla Egwene czymś zupełnie nowym, na przykład to skrępowanie, z jakim Aviendha siedziała na krześle, albo szok, który przeżyła na widok Egwene w kąpieli, w posrebrzanej wannie sprowadzonej przez majhere. Nie był to szok spowodowany jej nagością — w rzeczy samej, kiedy zauważyła, że Egwene zrobiło się nieswojo, zdjęła ubranie i usiadła na podłodze, żeby porozmawiać — lecz widokiem Egwene po piersi zanurzonej w wodzie. Aż wytrzeszczyła oczy, że można zanieczyszczać takie ilości wody. Aviendha ponadto nie chciała zrozumieć, dlaczego ona i Elayne nie postąpiły jakoś drastycznie z Berelain, skoro chciały się jej pozbyć. Wojowniczkami obowiązywał zakaz zabijania kobiet nie poślubionych włóczni, ale ponieważ ani Elayne, ani Berelain nie należały do Panien Włóczni, więc zdaniem Aviendhy byłoby całkiem w porządku, gdyby Elayne wyzwała Pierwszą z Mayene do walki na noże względnie pięści i stopy. Jej zdaniem noże były najlepsze. Berelain wyglądała na kobietę, która się nie podda. Najlepiej więc byłoby ją zwyczajnie wyzwać do walki i zabić. Mogła to też zrobić Egwene, jako przyjaciółka i prawie siostra Elayne.

Mimo to miło było mieć z kim pogadać i pośmiać się. Elayne przez większość dni była zajęta, a Nynaeve, która najwyraźniej równie mocno jak Egwene odczuwała tempo upływającego czasu, poświęcała swe wolne chwile na spacer z Lanem, po opromienionych blaskiem księżycy blankach, a także na szykowanie posiłków, które Strażnikowi najbardziej smakowały, gdy były dziełem jej rąk. Egwene nie była pewna, co by zrobiła podczas tych parnych godzin, które dzieliły przesłuchania Sprzymierzeńców Ciemności, gdyby nie Aviendha. Bez wątpienia pocila by się i przejmowała, że będzie zmuszona do zrobienia rzeczy, z powodu



której będą ją nawiedzały koszmarne myśli.

Na mocy układu Elayne ani razu nie była obecna podczas przesłuchań, dodatkowa para uszu niczego nie zmieniała. Kiedy natomiast Rand miał tylko wolną chwilę, wówczas Dziedziczka Tronu przypadkiem znajdowała się w pobliżu, skłonna pogadać albo po prostu pospacerować z nim pod rękę, nawet jeśli miał za chwilę powrócić na spotkanie z Wysokimi Lordami do komnaty, w której czekali kolejni petenci albo na jakąś pouczającą inspekcję kwater Obrońców. Stała się całkiem niezła w wynajdowaniu odosobnionych zakamarków, gdzie oboje mogli pobyć przez chwilę sam na sam. Rzecz jasna zawsze ich śladem podążał jakiś Aiel, ale niebawem przestała się przejmować, co oni sobie pomyślą, podobnie jak nie obchodziło jej zdanie matki. Ukuła nawet rodzaj spisku z Pannami Włóczyńni, które zdawały się znać każdy ukryty kącik w Kamieniu i informowały ją, gdy tylko Rand zostawał sam. Wyraźnie uważały tę grę za wspaniałą zabawę.

Zaskakiwał ją, wypytując o zasady rządzenia państwem i wysłuchując uważnie tego, co miała do powiedzenia. Żałowała, że jej matka tego nie widzi. Morgase nieraz się śmiała, częściowo z rozpaczy, i powtarzała jej, że musi się nauczyć koncentrować. Które rzemiosła trzeba chronić i w jaki sposób, a których nie i dlaczego — mogły to być mało zajmujące decyzje, ale równie ważne jak opieka nad chorymi. Zmuszenie jakiegoś upartego lorda albo kupca do zrobienia czegoś, czego nie chciał uczynić, i to tak, by jednocześnie myślał, że to jego własny pomysł, mogło być zabawne, natomiast karmienie głodujących pokrzepiało serce, lecz jeśli trzeba było zarządzić dostarczenie żywności, to należało zdecydować, ilu jest do tego potrzebnych urzędników, woźniców oraz wozów. Mogli to zorganizować inni, ale wtedy o popełnionych przez nich błędach dowiadywano by się za późno. Słuchał jej i często korzystał z rady. Uznała, że pokochałaby go już za te dwie rzeczy. Berelain nie wystawiała nosa ze swych komnat, Rand zaczynał się uśmiechać na jej widok, świat nie mógł być piękniejszy. Gdyby jeszcze dni przestały płynąć.

Trzy krótkie dni, które przelatywały niczym woda między jej palcami. Joyia i Amico miały być odesłane na północ i wówczas przestałyby istnieć powody do dalszego pobytu w Łzie, jej, Egwene i Nynaeve. Wyjedzie, gdy nadejdzie na to czas, ani razu nie rozważała innej możliwości. Wiedząc to, czuła się dumna, że zachowuje się jak kobieta, a nie mała dziewczynka. Wiedząc to, miała ochotę płakać.

A Rand? Spotykał się z Wysokimi Lordami w swych komnatach i wydawał rozkazy. Zdziwił ich pojawianiem się na tajnych zgromadzeniach, trzy lub czteroosobowych, wysłędzonych przez Thoma, po to tylko, żeby powtórzyć jakiś punkt ze swych ostatnich rozkazów. Lordowie uśmiechali się, kłaniali, pocili i zastanawiali, ile on wie. Trzeba było jakoś wykorzystać ich energię, zanim któryś zdecyduje, że jeśli Randem nie da się manipulować, to w takim razie trzeba go zabić. Nie chciał zaczynać wojny, choćby nie wiadomo co musiał zrobić, by zaprzętnąć ich uwagę. Skoro rzeczywiście miało dojść do konfrontacji z Samma-

elem, to niech tak się stanie, ale on nie chciał zrobić pierwszego kroku.

Opracowanie planu działania zajmowało większość czasu, którego nie poświęcał na tropienie Wysokich Lordów. Jego poszczególne fragmenty pochodziły z książek, których pełne naręcza kazał przynosić bibliotekarzom do swojej komnaty, a także z rozmów z Elayne. Jej rady w sprawie Wysokich Lordów były szczególnie użyteczne, widział, jak pośpiesznie zmieniali swój stosunek do niego, kiedy wykazywał się znajomością rzeczy, które oni sami znali jedynie po części. Powstrzymywała go, gdy chciał jej przypisać zasługę.

— Rozważny władca przyjmuje radę — powiedziała mu z uśmiechem — ale nic nie powinno zdradzać, że tak się dzieje. Niech sobie myślą, że wiesz więcej niż w rzeczywistości. Im to nie zaszkodzi, a tobie pomoże. — Niemniej jednak wydawała się zadowolona, że to zaproponował.

Nie był całkiem pewien, czy przypadkiem nie odkłada jakiejś decyzji z jej powodu. Trzy dni planowania, prób odgadnięcia, czy czegoś jeszcze nie brakuje. Czegoś brakowało. Nie mógł tylko czekać na działania Przeklętych, musiał ich zmusić, żeby zareagowali na jego ruch. Trzy dni, czwartego miała odjechać — liczył, że z powrotem do Tar Valon — podejrzewał jednak, że kiedy on wykona jakiś ruch, wówczas nawet te krótkie momenty, które spędzali razem, skończą się. Trzy dni ukradkowych pocałunków, podczas których potrafił wymazać z pamięci, że jest kimś jeszcze, a nie tylko mężczyzną obejmującym ramionami kobietę. Uznawał to za głupi powód, nawet jeśli prawdziwy. Ulżyło mu, że ona wyraźnie nie chciała niczego więcej jak tylko jego towarzystwa, ale podczas tych właśnie momentów umiał zapomnieć o koniecznych decyzjach, zapomnieć o przeznaczeniu oczekującym Smoka Odrodzonego. Nieraz zastanawiał się, czy jej nie poprosić, by została, ale to nie byłoby w porządku, gdyby potęgował jej oczekiwania, skoro nie miał pojęcia, czego od niej chce oprócz samej obecności. O ile, rzecz jasna, Elayne miała jakieś oczekiwania. Znacznie lepiej było myśleć o nich jako o mężczyźnie i młodej kobiecie, którzy wychodzą razem na spacer w świąteczny wieczór. Tak było łatwiej, czasami nie pamiętał, że ona jest Dziedziczką Tronu, a on tylko pasterzem. Żałował jednak, że wyjeżdża. Trzy dni. Musiał podjąć decyzję. Musiał wykonać jakiś ruch, i to taki, którego nikt się nie spodziewał.

Wieczorem trzeciego dnia słońce sunęło powoli w stronę horyzontu. Do połowy zasunięte kotary w izbie sypialnej Randa przyciemniały czerwono-żółtą łunę. *Callandor* połyskiwał na zdobnym postumencie niczym najczystszy kryształ.

Rand zapatrzył się na Meilana i Sunamona, po czym cisnął w ich stronę gruby zwój wielkich arkuszy welinu. Traktat spisano równym pismem, brakowało jedynie podpisów i pieczęci. Zwój uderzył Meilana w pierś. Złapał go odruchowo, skłonił się, jakby to mu przyniosło zaszczyt, jednak wymuszony uśmiech zdradził zaciśnięte mocno szczęki.

Sunamon przestąpił z nogi na nogę, zacierając ręce.

— Wszystko jest tak, jak przykazałeś, Lordzie Smoku — powiedział bojaźliwie. — Ziarno na statki. . .

— I dwa tysiące taireńskich poborców — przerwał mu Rand — by dopilnowali właściwego rozdziału ziarna i chronili taireńskie interesy. — Mówił lodowatym głosem, ale w środku kipiał, niemalże trząśnięty z chęci rzucenia się na tych głupców z pięściami. — Dwa tysiące ludzi. Pod dowództwem Toreana!

— Wysoki Lord Torean jest zaangażowany w sprawy dotyczące Mayene, Lordzie Smoku — odparł gładko Meilan.

— Jest zaangażowany w napastowanie kobiety, która nie chce na niego patrzeć! — huknął Rand. — Ziarno na statki, rzekłem! Żadnych żołnierzy. I z pewnością żadnego cholernego Toreana! Czy w ogóle rozmawialiście z Berelain?

Zamrugali, jakby nie zrozumieli tych słów. Tego było za wiele. Błyskawicznie sięgnął po *saidina*; welin w rękach Meilana wybuchł płomieniami. Krzycząc przeraźliwie, Meilan cisnął płonący zwój do zimnego kominka, po czym pośpiesznie otrzepał iskry wypalające dziury w czerwonym, jedwabnym kaftanie. Sunamon z otwartymi szeroko ustami wbił wzrok w płonące arkusze, które trzeszczały i czerniały.

— Udacie się do Berelain — oznajmił, zdziwiony spokojem własnego głosu. — Do jutrzejszego popołudnia proponuję jej traktat zgodny z moją wolą albo powieszę was obydwu jutro o zmierzchu. Jeśli będę musiał, to będę codziennie wieszał Wysokich Lordów, po dwóch za każdym razem. Wyślę was wszystkich kolejno na szubienicę, jeśli mnie nie posłuchacie. A teraz zejdźcie mi z oczu.

Ten cichy ton wyraźnie podziałał na nich skuteczniej niż krzyk. Nawet Meilan wyglądał na wytrąconego z równowagi, kiedy się wycofywali, kłaniając przy każdym kroku, wyduszając z siebie zapewnienia o nieustającej lojalności i wiecznym posłuszeństwie. Wywoływali w nim mdłości.

— Wyoście się! — ryknął, a wówczas wyzbyli się godności, niemalże bijąc się ze sobą, który pierwszy otworzył drzwi. Pobiegli. Jeden ze stojących na straży Aielów na moment wsadził głowę do środka, by sprawdzić czy wszystko w porządku, i dopiero potem zatrzasnął drzwi.

Rand trząśnięty jak galareta. Brzydził się nimi niemal tak mocno jak samym sobą. Groził ludziom, że będzie ich wieszał, bo nie zrobili tego, co im rozkazał. I miał taki zamiar, co gorsza. Pamiętał jeszcze, że dawniej nie owładał nim taki gniew albo przynajmniej zdarzało się to rzadko, i zawsze udawało mu się go okiełznać.

Podszedł do *Callandora*, który iskrzył się, odbijając światło przesączone przez szpary w kotarach. Ostrze wyglądało jak wykute z najcieńszego szkła, doskonale czyste, ale pod palcami sprawiało wrażenie stali, ostrej jak brzytwa. Omal nie sięgnął po nie, żeby się uporać z Meilanem i Sunamonem. Czy chciał go użyć jako miecza, czy też zgodnie z jego właściwym przeznaczeniem, nie wiedział. Każda z tych możliwości przerażała.

„Jeszcze nie popadłem w obłąd. Jestem tylko wściekły. Światłości, jakże wściekły!”

Jutro. Jutro sprzymierzone z Ciemnością kobiety zostaną wsadzone na statek. Elayne wyjedzie. I oczywiście razem z nią Egwene i Nynaeve. Z powrotem do Tar Valon, modlił się, Czarne Ajah czy nie, Biała Wieża musiała być miejscem równie bezpiecznym, jakim była zawsze. Jutro. Żadnych więcej wymówek, by móc odłożyć to, co miał do zrobienia. Żadnego pojutrze.

Odwrócił dłonie wnętrzem do góry, żeby popatrzeć na czaple, wypalone na skórze. Przyglądał im się tak często, że potrafiłby naszkicować wszystkie linie z pamięci. Przepowiedziały je Proroctwa.

*Dwa razy podwójnie będzie naznaczony,  
Dwukroć na życie, dwukroć na śmierć.  
Raz czapłą, która drogę mu wyznaczy.  
Drugi raz czapłą, by miano zyskać prawdziwe.  
Raz Smokiem, przez pamięć utraconą.  
Drugi raz Smokiem, za cenę, którą musi zapłacić.*

Skoro jednak dzięki czaplom miał „miano zyskać prawdziwe”, to po co Smoki? A jeśli już o to chodzi, to czym jest Smok? Jedynym Smokiem, o którym kiedykolwiek słyszał, był Lews Therin Telamon. Lews Therin Zabójca Rodu był Smokiem, Smok był Zabójcą Rodu. Teraz jednak to on sam nim był. Ale nie mógł przecież być naznaczony przez samego siebie. Być może ta postać na sztandarze to Smok, aczkolwiek nawet Aes Sedai zdawały się nie wiedzieć, czym jest to stworzenie.

— Zmieniłeś się od czasu, kiedy widziałam cię po raz ostatni. Jesteś silniejszy. Twardszy.

Odwrócił się i wytrzeszczył oczy na widok młodej kobiety stojącej w drzwiach. Jasna skóra, ciemne włosy i oczy. Wysoka, od stóp do głów ubrana w biel i srebro, uniosła w górę łuk brwi, widząc .w połowie stopione grudy złota i srebra w kominku. Zostawił je tam, by mu przypominały o tym, co może się zdarzyć, gdy działa bez zastanowienia, gdy traci panowanie nad sobą. Nie zdało się to na wiele.

— Selene — wykrztusił, podchodząc do niej pośpiesznie. — Skąd się tu wzięłaś? Jak tu weszłaś? Sądziłem, że pewnie wciąż jeszcze jesteś w Cairhien albo... — Spoglądał na nią, nie chcąc się przyznać do swych obaw, że albo umarła, albo zalicza się teraz do głodujących uchodźców.

Tkany ze srebra pas opasujący jej kibić załśnił, we włosach, opadających na ramiona niczym wodospady nocy, załśniły grzebienie ozdobione gwiazdami i półksiężycami. Wciąż była najpiękniejszą kobietą, jaką poznał w życiu. Przy niej Elayne i Egwene były jedynie ładne. Jednakże z jakiegoś powodu już nie działała

na niego tak jak kiedyś, być może sprawiły to te długie miesiące, które upłynęły, odkąd widział ją po raz ostami, w Cairhien, wówczas nie nękanym jeszcze wojną domową.

— Udaję się tam, gdzie chcę być. — Spojrzała z ukosa na jego twarz. — Zostałeś naznaczony, ale to nieważne. Byłeś i jesteś mój. Każdy inny jest tylko stróżem, którego czas minął. Teraz zamierzam otwarcie wyrażać roszczenia względem tego, co moje.

Zapatrzył się na nią. Naznaczony? Czyżby jej chodziło o jego dłonie? I co to znaczyło, że on należy do niej?

— Selene — powiedział łagodnie — spędziliśmy razem miłe dni i trudne dni, nigdy nie zapomnę twej odwagi ani wsparcia, ale nigdy nas nie łączyło nic więcej jak tylko przyjaźń. Podróżowaliśmy razem, i na tym koniec. Zostaniesz tutaj, w Kamieniu, w najlepszych komnatach, a kiedy do Cairhien na nowo zawita pokój, dopilnuję, byś odzyskała swe majątki.

— Zostałeś naznaczony. — Uśmiechnęła się krzywo. — Majątki w Cairhien? Być może miałam kiedyś majątki na tych ziemiach. Ten kraj tak się zmienił, że nic już nie jest takie, jak przedtem. Selene to tylko imię, którym się czasem przedstawiam, Lewsie Therinie. Imię, które obrałam jako własne, to Lanfear.

Rand wybuchł ochryłym śmiechem,

— Kiepski dowcip, Selene. Równie dobrze mógłbym sobie żartować, że Czarny to jeden z Przeklętych. Poza tym mam na imię Rand.

— Nazywamy siebie Wybranymi — odparła spokojnie. — Wybranymi do wiecznego panowania nad światem. Będziemy żyli wiecznie. Ty też możesz.

Zrobił strapioną minę. Ona rzeczywiście myślała, że jest... Męcząca podróż do Łzy musiała ją rozstroić. A jednak nie wyglądała na obłąkaną. Była spokojna, zimna, pewna siebie. Zorientował się, że bezwiednie sięgnął po *saidina*. Sięgnął do niego — i odbił się od muru, którego ani nie widział, ani nie czuł, tyle że był nim odgradzony od Źródła.

— To niemożliwie. — Uśmiechnęła się. — Światłości — wydyszał. — Jesteś jedną z nich.

Cofał się powoli. Gdyby zdołał schwycić *Callandora*, to przynajmniej miałby broń. Może nie działałby jak *angreal*, ale wystarczyłby jako miecz. Czy mógł użyć miecza przeciwko kobiecie, przeciwko Selene? Nie, przeciwko Lanfear, przeciwko jednej z Przeklętych.

Z całej siły zderzył się z czymś plecami i wtedy obejrzał się, by sprawdzić, co to takiego. Niczego tam nie było. Mur z niczego, a on wbił się weń plecami. *Callandor* lśnił w odległości trzech kroków — po drugiej stronie. Zrozpaczony walnął pięścią w barierę, była równie nieustępliwa jak skała.

— Nie mogę ci w pełni ufać, Lewsie Therinie. Jeszcze nie. — Podeszła bliżej, a on zastanawiał się, czy zwyczajnie nie rzucić się na nią. Był o wiele większy i silniejszy, ale tak uwięzionego mogła opleść Mocą niczym kocie zamotane

w kłębek wełny. — Z pewnością nie w pobliżu tego — dodała, robiąc grymas w stronę *Callandora*. — Istnieją jedynie dwa potężniejsze, których może użyć człowiek. Przynajmniej jeden, o ile mi wiadomo, wciąż jeszcze istnieje. Nie, Lewsie Therinie. Na razie nie mogę ci zaufać.

— Przystań mnie tak nazywać — warknął. — Na imię mam Rand. Rand al'Thor.

— Jesteś Lewsem Therinem Telamonem. Och, fizycznie nic w tobie nie jest takie samo, z wyjątkiem wzrostu, ale poznałabym, kto kryje się za tymi oczyma, nawet gdybym cię odnalazła w kolebce. — Ni stąd, ni zowąd roześmiała się. — O ileż wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym cię wówczas odnalazła. Gdybym była wolna, by... — Śmiech ucichł, ustępując miejsca wrogiemu spojrzeniu. — Czy życzysz sobie zobaczyć, jak wyglądam w rzeczywistości? Tego też sobie nie przypominasz, prawda?

Usiłował powiedzieć, że nie, ale język odmawiał mu posłuszeństwa. Zobaczył kiedyś dwóch Przeklętych w jednym miejscu, Aginora i Balthamela, pierwszych dwóch uwolnionych, po trzech tysiącach lat uwięzienia tuż pod samą pieczęcią na więzieniu Czarnego. Nic nie mogło być równie zwiędłe, jak jeden z nich, i wciąż jeszcze żyć, drugi krył twarz za maską, ukrywał każdy kawałek ciała, jakby nie potrafił sam go oglądać albo nie mógł znieść, by oglądał je ktoś inny.

Powietrze otaczające Lanfear zafalowało i wtedy zmieniła się. Była — starsza od niego, z pewnością, lecz nie było to właściwe słowo. Bardziej dorosła. Dojrzała. Jeszcze piękniejsza, o ile to było możliwe. Bujnie rozkwitły kwiat w porównaniu z pakiem. Mimo że wiedział, kim ona jest, zaschło mu w ustach, ścisnęło go w gardle.

Ciemne oczy badały jego twarz, pełne pewności siebie, a przy tym jakby badawczo, jakby zastanawiały się, co on widzi. Cokolwiek dostrzegła, wydawało się ją zadowalać. Znowu się uśmiechnęła.

— Byłam głęboko pogrzebana, we śnie pozbawionym snów, gdzie czas nie płynie. Obroty Koła mnie omijały. Teraz widzisz mnie taką, jaka jestem, a ja mam ciebie w swoich rękach. — Przesunęła paznokciem po napiętej skórze jego szczęki, tak mocno, że aż drgnął. — Czas na zabawy i podstępny minął, Lewsie Therinie. Dawno temu.

Ścisnęło go w żołądku.

— A zatem masz zamiar mnie zabić? Obyś szczyła w Światłości, ja...

— Zabić ciebie? — prychnęła z niedowierzaniem. — Zabić ciebie! Ja mam zamiar posiąść cię na zawsze. Byłeś mój, zanim ta niezdara o białych włosach cię ukradła. Zanim jeszcze cię zobaczyła. Kochałeś mnie!

— A ty kochałaś władzę!

Przez chwilę miał wrażenie, że jest zamroczony. Te słowa zabrzmiały prawdziwie — wiedział, że są prawdziwe — ale skąd się wzięły?

Selene — Lanfear — wydawała się równie zaskoczona jak on, ale szybko oprzytomniała.

— Nauczyłeś się i dokonałeś wielu rzeczy, co do których nigdy bym nie uwierzyła, że potrafisz; bez wspomagania, nadal przedzieras się po omacku przez labirynt, a twoja niewiedza może cię zabić. Niektórzy obawiają się ciebie zbyt mocno, by czekać. Sammael, Rahvin, Moghedien. Inni być może również, ale ci trzej na pewno. Będą cię ścigać. Nie będą próbowali odmienić twego serca. Przyjdą do ciebie za sprawą podstępu, zniszczą cię, kiedy będziesz spał. Przez swój strach. Ale są tacy, którzy mogliby cię uczyć, pokazać ci to, co kiedyś wiedziałeś. Nikt ci się wówczas nie ośmieli sprzeciwić.

— Uczyć mnie? Chcesz pozwolić, by ktoś z Przeklętych mnie uczył? — Jeden z Przeklętych. Przekłety. Mężczyzna, który w Wieku Legend należał do Aes Sedai, który znał tajniki przenoszenia Mocy, wiedział, jak unikać pułapek, który wiedział... Tyle samo oferowano mu już przedtem. — Nie! Nawet gdyby złożono mi propozycję, odmówiłbym, a zresztą, dlaczego miałoby tak być? Przeciwwstawię się im i tobie! Nienawidzę wszystkiego, co żeście zrobili, wszystkiego, co reprezentujecie.

„Ty głupcze! — pomyślał. — Pojmano cię w pułapkę, a buntujesz się jak jakiś idiota z opowieści, który w ogóle nie podejrzewa, że może rozzłościć swego oprawcę do tego stopnia, iż tamten z przyjemnością zrobi mu krzywdę”.

Jednak nie potrafił się zmusić do cofnięcia tych słów. Uparcie brnął dalej i tylko wszystko pogarszał.

— Zniszczę cię, jeśli tylko będę mógł. Ciebie i Czarnego, a także wszystkich Przeklętych, co do ostatniego!

W jej oczach pojawił się groźny błysk, ale zaraz zniknął.

— Czy wiesz, dlaczego niektórzy z nas boją się ciebie? Masz jakieś pojęcie? Bo obawiają się, że Wielki Władca Ciemności da ci miejsce ponad nimi.

Rand zaskoczył sam siebie, zdobywając się na uśmiech.

— Wielki Władca Ciemności? Czyżbyś ty również nie potrafiła wymówić jego prawdziwego imienia? Ty z pewnością nie obawiasz się przyciągnięcia jego uwagi, w przeciwieństwie do uczciwych ludzi. A może jednak?

— To byłoby bluźnierstwo — odparła zwyczajnie. — Sammael i pozostali mają podstawy, żeby się bać. Wielki Władca chce ciebie. Chce cię wynieść ponad wszystkich ludzi. Powiedział mi o tym.

— To niedorzeczność! Czarny jest nadal uwięziony w Shayol Ghul, bo inaczej ja walczyłbym teraz w Tarmon Gai'don. A jeśli wie o moim istnieniu, to pragnie mojej śmierci. Mam zamiar z nim walczyć.

— Och, on wie. Wielki Władca wie więcej, niż podejrzewasz. Istnieje możliwość porozmawiania z nim. Jedź do Shayol Ghul, zejdź do Szczeliny Zagłady, a będziesz mógł... usłyszeć go. Będziesz mógł... skąpać się w jego obecności. — W tym momencie na jej twarzy rozbłysło inne światło. Ekstaza. Oddychała

przez rozchylone wargi i przez moment zdawała się wpatrywać w coś dalekiego i cudownego. — Żadne słowa tego nie opiszą. Musisz tego doświadczyć, by wiedzieć. Musisz. — Znowu przyglądała się jego twarzy, oczyma wielkimi, ciemnymi i nalegającymi. — Ukłęknij przed Wielkim Władcą, a wyniesie cię ponad wszystkich innych. Da ci wolność, byś mógł panować, jak sam chcesz, jeśli bodaj raz ugniesz przed nim kolano. O ile go uznasz. Nic więcej. Powiedział mi to. Asmodean nauczy cię, jak władać Mocą tak, by cię nie zabiła, nauczy, co możesz z nią uczynić. Pozwól, żebym ci pomogła. Możemy zniszczyć wszystkich pozostałych. Wielkiego Władcy to nie obejdzie. Możemy zniszczyć każdego, nawet Asmodeana, gdy już cię nauczy wszystkiego, co winienesz znać. Ty i ja już zawsze będziemy władali światem pod Wielkim Władcą. — Zniżyła głos do szeptu, pełnego zarówno pragnienia, jak i strachu. — Tuż przed końcem wykonano dwa potężne *sa'angreale*, ty możesz używać jednego, ja drugiego. O wiele potężniejsze niż ten miecz. Ich moc przekracza granice wyobraźni. Z nimi moglibyśmy wyzwąć do walki nawet... samego Wielkiego Władcę. Nawet Stwórcę!

— Jesteś obłąkana — wychrypiał. — Ojciec Kłamstw twierdzi, że puści mnie wolno? Urodziłem się po to, by z nim walczyć. Dlatego właśnie jestem tutaj, żeby wypełnić Proroctwa. Będę z nim walczył i z wami wszystkimi, aż do Ostatniej Bitwy! Aż do ostatniego tchu!

— Nie musisz. Proroctwo nie jest niczym więcej jak tylko przejawem ludzkich nadziei. Wypełnianie Proroctw tylko cię przywiąże do ścieżki, która wiedzie ku Tarmon Gai'don i twojej śmierci. Moghedien albo Sammael mogą zniszczyć twoje ciało. Wielki Władca Ciemności może zniszczyć twoją duszę. To będzie całkowity, ostateczny koniec. Już nigdy więcej się nie narodzisz, choćby nie wiem jak długo obracało się Koło Czasu.

— Nie!

Zdawało się, że przez długą chwilę badała go wzrokiem, jakby nie mogąc podjąć decyzji.

— Mogłabym zabrać cię z sobą — powiedziała wreszcie. — Mogłabym cię uczynić niewolnikiem Wielkiego Władcy, niezależnie od tego, czego chcesz, w co wierzysz. Istnieją metody.

Urwała, być może po to, by sprawdzić, czy jej słowa przyniosły jakiś rezultat. Pot spływał mu po plecach, ale twarz miał spokojną. Musiał coś zrobić, czy istniały jakiegokolwiek szanse czy nie. Druga próba sięgnięcia do *saidina* skończyła się jałowym łomotaniem o niewidzialną barierę. Pozwolił swym oczom błądzić, jakby o czymś myślał. *Callandor* znajdował się za jego plecami, tak daleko poza zasięgiem ręki jak drugi brzeg oceanu Aryth. Nóż, który zwykł nosić u pasa, leżał na stoliku przy łóżku, razem z wystruganym do połowy z drewna lisem. Bezkształtne grudy metalu drwiły z niego z paleniska, jakiś bezbarwnie odziany człowiek wślizgiwał się przez drzwi z nożem w rękę, książki walały się wszędzie. Odwrócił się w stronę Lanfear tężając.



— Zawsze byłeś uparty — mruknęła. — Tym razem cię nie zabiorę. Chcę, byś przyszedł do mnie z własnej woli. I doprowadzę do tego. O co chodzi? Krzywisz się.

Jakiś człowiek wślizgiwał się przez drzwi z nożem w ręku, oczy Randa omiotły postać, niemalże jej nie widząc. Instynktownie zepchnął Lanfear z drogi i sięgnął do Prawdziwego Źródła, w momencie gdy go dotknął, tarcza blokująca je zniknęła, a miecz w jego dłoniach przemienił się w czerwono-złoty płomień. Mężczyzna ruszył pędem na niego, nóż trzymał nisko, uszykowany do zadania morderczego pchnięcia. Nawet wtedy trudno było zatrzymać na nim wzrok na dłużej, Rand jednak wykonał gładki obrót i Wiatr Wiejący Ponad Murem uciał dłoń, która trzymała nóż, a płomień ostrza utkwiał w sercu napastnika. Przez chwilę wpatrywał się w zmętniałe oczy — pozbawione życia, mimo że serce jeszcze biło — po czym wyswobodził ostrze.

— Szary Człowiek. — Rand odniósł wrażenie, że oddech, którego teraz zaczerpnął, jest pierwszym od wielu godzin. Ciało obok jego stóp stanowiło jedną ruinę, wykrwawiało się na zasłany rękopisami dywan, ale teraz przynajmniej można było bez najmniejszego trudu skupić na nim wzrok. Tak było zawsze ze skrytobójcami Cienia, zazwyczaj zauważało się ich wtedy, kiedy już było za późno. — To nie ma sensu. Mogłaś mnie swobodnie zabić. To czemu rozpraszałaś moją uwagę, by pozwolić Szaremu Człowiekowi zasadzić się na mnie?

Lanfear obserwowała go czujnie.

— Nie korzystam z pomocy Bezdusznych. Powiedziałam ci, że istnieją... różnice między Wybranymi. Spóźniłam się chyba o jeden dzień w swych rachubach, ale ciągle jest jeszcze czas, byś odszedł ze mną. By się uczyć. By żyć. Ten miecz... — wcale nie sztychowała. — Nie wykorzystujesz go nawet w dziesiątej części. Chodź ze mną i ucz się. Czy może masz zamiar zabić mnie teraz? Uwolniłam cię, byś się bronił.

Jej głos, postawa mówiły, że spodziewała się ataku albo że w ostateczności jest gotowa go odeprzeć, ale nie powstrzymywało go ani to, ani też fakt, że przede wszystkim połuźniła więzy. Była jedną z Przeklętych, służyła złu od tak dawna, że przy niej Czarna siostra przypominała nowo narodzone niemowlę. A jednak widział przed sobą kobietę. Wyzwał siebie od dziewięciu odmian głupców, ale nie mógł tego zrobić. Może gdyby ona próbowała go zabić. Może wówczas. Ale ona tylko tam stała, patrzyła, czekała. Bez wątpienia gotowa zrobić rzeczy, o których on nawet nie wiedział, że są możliwe. Udało mu się zablokować Elayne i Egwene, ale to była jedna z tych rzeczy, które robił bez zastanowienia, według metod zagrzebanych gdzieś w jego głowie. Pamiętał jedynie, że to zrobił, nie zaś jak. Przynajmniej trzymał silnie *saidina*, już go nie mogła zaskoczyć w taki sposób. Wykręcająca żołądek skaza nie miała żadnego znaczenia; to *saidin* był życiem, być może na wiele więcej sposobów niż tylko jeden.

Pewna nagła myśl zawrzała mu w głowie niczym powierzchnia gorącego źródła.

dła. Aielowie. Nawet Szary Człowiek powinien był wiedzieć, że nie może przekraść się przez drzwi strzeżone przez pół tuzina Aielów.

— Co im zrobiłaś? — Głos mu zgrzytał, kiedy cofał się w stronę drzwi, nie odrywając od niej oczu. Gdyby użyła Mocy, to przecież otrzymałby jakieś ostrzeżenie. — Co zrobiłaś z tymi Aielami, którzy byli za drzwiami?

— Nic — odparła chłodno. — Nie idź tam. To może być jedynie próba odkrycia twoich słabych punktów, ale nawet zwykły test może cię zabić, jeśli okażesz się głupcem.

Otworzył lewe skrzydło drzwi, przed jego oczyma roztoczyła się scena szaleństwa.

# KAMIEŃ SIĘ BRONI

U stóp Randa leżeli martwi Aielowie, spleceni z ciałami trzech bardzo zwyczajnych ludzi w bardzo zwyczajnych kaftanach i spodniach. Ludzie ci wyglądali na zwyczajnych, gdyby nie fakt, że sześciu Aielów zostało zamordowanych, niektórzy zaś zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje, a każdy z tych trzech ludzi o przeciętnym wyglądzie był przeszyty co najmniej dwoma włócznie Aielów.

To jednak nie była nawet połowa wszystkiego. W momencie gdy otworzył drzwi, do jego uszu dotarł zgiełk bitwy, krzyk, wycie, szczęk stali uderzającej o stal pośród kolumn z czerwonego kamienia. Zgromadzeni w przedsionku obrońcy walczyli pod złoconymi lampami o swe życie ze zwalistymi, odzianymi w czarne kolczugi sylwetkami, wyższymi od nich o głowę i ramiona, które przypominałyby ogromnych ludzi, gdyby nie głowy i twarze zniekształcone rogami bądź piórami, obdarzone pyskiem lub dziobem w miejscu, gdzie powinny znajdować się usta i nos. Trolloki. Poruszały się zarówno na łapach lub kopytach, jak i obcasach wysokich butów, siekąc ludzi toporami zakończonymi dziwacznymi szpikulcami, hakowatymi włócznie i mieczami o złowieszczych, sierpowatych ostrzach. A wśród nich Myrddraal w czarnej zbroi, która kryła białą jak larwa robaka skórę, przypominający człowieka dzięki posuwistym ruchom. Wyglądał niczym śmierć zamknięta w bezkrwistym ciele.

Gdzieś w głębi Kamienia rozbrzmiał gong na alarm i zaraz ustał jak ucięty nożem. Zastąpił go drugi, potem trzeci poniósł dalej mosiężne brzmienie.

Obrońcy walczyli i wciąż jeszcze przeważali liczebnie nad trollokami, ale posadzkę zaścięłały głównie ich ciała. W momencie gdy Rand dopiero zaczął rozumieć sens rozciągającej się przed nim sceny, Myrddraal rozdarł połowę twarzy taireńskiego kapitana jedną nagą dłonią, a drugą wbił czarne jak śmierć ostrze w gardło jakiegoś obrońcy, umykając przed pchnięciem włóczni zwinnie niczym wąż. Obrońcy stanęli w oko w oko z tym, co dotąd uważali za opowieści podróżników, którymi straszono dzieci, nerwy mieli napięte do granic ostateczności. Jakiś żołnierz, który stracił swój hełm z wywiniętym brzegiem, odrzucił włócznie na bok i usiłował uciec, po to tylko, by potężny topór trolloka rozplatał mu głowę, jakby to był melon. Kolejny spojrzał na Myrddraala i z krzykiem rzucił się do

ucieczki. Myrddraal pomknął zakosami, by zagrozić mu drogę. Lada moment wszyscy ludzie mieli poderwać się do ucieczki.

— Pomor! — krzyknął Rand. — Spróbuj ze mną, Pomorze!

Myrddraal zatrzymał się tak nagle, jakby przed chwilą wcale nie biegł, a blada, pozbawiona oczu twarz zwróciła się w jego stronę. Na widok tego spojrzenia strach zafalował w ciele Randa, ześlizgując się po bańce chłodnego spokoju, który owładnął nim, gdy uchwycił *saidina*. Na Ziemiach Granicznych zwykli mówić: „Spojrzenie Bezokiego to strach”. Kiedyś wierzył, że Pomory jeżdżą na cieniach jak na koniach i gdy skręca w drugą stronę, to znikają. Te dawne przekonania nie tak bardzo mijały się z prawdą.

Myrddraal popłynął ku niemu, a Rand, ruszając mu na spotkanie, przeskoczył martwych ludzi, leżących pod drzwiami. Ładując poślizgnął się na zalanym krwią czarnym marmurze.

— Napaść na Kamień! Kamień się broni! — krzyknął podczas skoku. — Kamień się broni!

Były to okrzyki bitewne, które usłyszał tamtej nocy, podczas której Kamień wcale się nie obronił.

Wydało mu się, że z izby, którą właśnie opuścił, dobiega go zirytowany okrzyk „Głupiec!”, ale nie miał czasu ani dla Lanfear, ani też by zwracać uwagę na to, co mogłaby zrobić. Tamten poślizg omal nie kosztował go życia, czerwono-złoty miecz ledwie zdołał odparować czarne ostrze Myrddraala, podczas gdy on walczył o odzyskanie równowagi.

— Napaść na Kamień! Kamień się broni! — Musiał zatrzymać przy sobie Obróńców albo samotnie stawić czoło Myrddraalowi i dwudziestu trollokom. — Kamień się broni!

— Kamień się broni! — Usłyszał echo swego zawołania, potem jeszcze raz. — Kamień się broni!

Pomor poruszał się płynnie niczym wąż, wrażenie potęgował cichy chrzęst zachodzących na siebie płytek czarnej zbroi. Nawet czarne lance nigdy nie uderzały równie szybko. Przez jakiś czas Rand mógł jedynie odpierać jego ciosy, starając się nie dopuścić do kontaktu ze swoim, nie chronionym zbroją, ciałem. Czarny metal mógł zadawać rany, które jątrzyły się wiecznie, równie trudne do uzdrowienia jak ta, która teraz odezwała się w jego boku. Za każdym razem, kiedy czarna stal, wykuta w T'hakandarze, u zboczy Shayol Ghul, napotykała czerwono-złote ostrze, wykute z Mocy, światło błyskało niczym błyskawica, ostra, niebieskawa biel, która raniła oczy:

— Tym razem zginiesz — zazgrzytał Myrddraal głosem przypominającym chrzęst suchych liści. — Oddam twe ciało trollokom i zabiorę twoje kobiety dla siebie.

Rand jak zawsze walczył zarówno z opanowaniem, jak i desperacją. Pomor potrafił używać miecza. Potem nastąpiła chwila, gdy mógł uderzyć w sam miecz,

a nie tylko wybijać go z toru. Z sykiem, który przypominał spadanie lodu na stopiony metal, czerwono-złote ostrze rozpruło czerń. Następny cios odrąbał pozbawioną oczu głowę od barków, poczuł, jak po ramionach przebiega mu dreszcz wywołany wstrząsem uderzenia o kość. Z kikuta szyi wytrysnęła fontanna atramentowej krwi. Stwór nie upadł jednak. Pozbawiona głowy postać zataczała się, młóćąc na osłep złamanym mieczem i tnąc powietrze na chybił trafił.

Kiedy głowa Pomora potoczyła się po posadzce, trolloki również padły, skrzeczając, wierzgając, szarpiąc się za głowy porośniętymi szorstkimi włosami dłońmi. To był słaby punkt oddziałów złożonych z Myrddraala i trolloków. Nawet Myrddraale nie ufały trollokom, toteż często wiązały je ze sobą metodą, której Rand nie pojmował. Z pewnością zapewniało to lojalność trolloków, jednakże te, które były związane z Myrddraalem, nie żyły dłużej od niego.

Obrońcy, którzy jeszcze potrafili stać o własnych siłach, a było ich mniej niż dwa tuziny, nie czekali. Dwójkami i trójkami kilkakrotnie dźgali włóczniami każdego trolloka, dopóki ten nie przestawał się ruszać. Niektórzy próbowali obalić Pomora na posadzkę, ale stwór skręcał się jak oszalały niezależnie od licznie zadawanych ran. Kiedy trolloki umilkły, rozległy się jęki i łkania tych rannych, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Na posadzce nadal można było naliczyć więcej ludzi niż ciał Pomiotu Cienia. Czarny marmur był śliski od krwi, niemalże niewidocznej na tle ciemnego kamienia.

— Zostawcie go — rozkazał Rand Obrońcom usiłującym dobić Myrddraala. — Już nie żyje. Pomory po prostu nie potrafią się przyznać, że umarły. — Powiedział mu o tym Lan, zdaje się dawno temu, już przedtem miał na to dowody. — Zajmijcie się rannymi.

Zerkając na bezgłowy, miotający się kształt, korpus, który stanowił jedną masą szeroko rozwartych ran, drżeli i cofali się, mamrocząc coś o Zaczajonych. Tak nazywano Pomory w Łzie, w opowieściach przeznaczonych dla dzieci. Niektórzy zaczęli szarpać leżących Obrońców sprawdzając, czy któryś nie przeżył, odciągając na bak tych, którzy nie mogli ustać o własnych siłach, pomagając tym, którzy mogli wstać. Zbyt wielu zostało tam, gdzie padli. Pośpiesznie sporządzone bandaże, oddarte z zakrwawionej koszuli któregoś z rannych, stanowiły jedyną ulgę, jaką obecnie można im było przynieść.

Tairenianie przestali prezentować tak wspaniałą widok jak przedtem. Ich narpierśniki i półpancerze, już nie błyszczące, były powyginane i poszczerbione, zamazane krwią cięcia znaczyły niegdyś świetne czarno-złote kaftany i spodnie. Niektórzy potracili hełmy, a niejeden wspierał się na włóczni, jakby to była jedyna rzecz, dzięki której mógł ustać na własnych nogach. Może zresztą i tak było. Od-dychali z trudem, twarze znaczyły dzikie grymasy, zdradzające potworny strach i martwe odrętwienie, które udziela się ludziom podczas bitwy. Wpatrywali się niepewnie w Randa — ukradkowymi, przerażonymi spojrzeniami — jakby to on sam przywołał te stwory z Ugoru.

— Wytrzyjcie groty włóczni — przykazał. — Krew Pomora przeżre stal niczym kwas, jeśli zbyt długo na niej pozostanie.

Większość powoli usłuchała, z wahaniem używając tego, co mieli akurat pod ręką — rękawów kaftanów poległych.

Po korytarzach niosły się odgłosy odległych walk, echa krzyków, stłumiony szcęk metalu. Usłuchali go dwukrotnie, nadszedł czas sprawdzić, czy stać ich na więcej. Odwróciwszy się do nich tyłem, ruszył przez przedsionek, kierując się w stronę odgłosów bitwy.

— Idźcie za mną — rozkazał. Uniósł wykute z ognia ostrze, by im przypomnieć, kim jest, z nadzieją, że nie narazi się na włócznię wbity w plecy. Musiał zaryzykować. — Kamień się broni! Za Kamień!

Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w otoczonej kolumnami komnacie, był głuchy stukot jego kroków, po chwili w ślad za nim zatupotały wysokie buty.

— Za Kamień! — krzyknął jakiś człowiek, a inny dodał: — Za Kamień i Lorda Smoka! — Podjęli to pozostali. — Za Kamień i Lorda Smoka!

Puszczając się biegiem, Rand poprowadził w głąb Kamienia swą zalaną krwią armię, złożoną z dwudziestu trzech ludzi.

Gdzie jest Lanfear i jaki miała w tym wszystkim udział? Niewiele było czasu na zastanawianie się. Martwi ludzie znaczyli korytarze Kamienia kałużami krwi, tu jeden, nieco dalej dwóch albo trzech innych, Obrońcy, słudzy, Aielowie. Także kobiety, szlachta w płóciennych szatach i słudzy w zgrzebnej wełnie, jednako pomordowani w trakcie ucieczki. Trolloków nie obchodziło, kogo zabijają, rozkoszowały się samą czynnością. Gorszi byli półludzie, którym ból uśmierć przynosiły chwałę.

Nieco dalej, w czeluściach Kamienia Łzy, wrzało. Na korytarzach szalały bandy trolloków, niekiedy pod dowództwem Myrddraala, czasem samodzielnie, tocząc boje z Aielami lub Obrońcami, mordując bezbronnych, polując na kolejne ofiary. Rand prowadził swe skromne wojsko przeciwko każdemu Pomiotowi Cienia, jaki napotkali po drodze, jego miecz z równą łatwością ciął szorstkie cielska i czarne kolczugi. Jedynie Aielowie stawiali czoło Pomorom, nawet nie mrugnawszy okiem. Aielowie i Rand. Omijał trolloków, żeby dopaść jakiegoś Pomora, który umierał, czasami zabierając z sobą tuzin trolloków lub dwa tuziny, czasami żadnego.

Niektórzy Obrońcy padali na posadzkę, by już się więcej nie podnieść, ale przyłączali się do nich Aielowie, niemalże zdwajając liczebność oddziału. Grupy ludzi odrywały się, staczając zażarte bitwy, które przemieszczały się przy akompaniamencie krzyku i metalicznego zgiełku, przypominając owładniętą szaleństwem kuźnię. Inni ludzie dotrzymywali kroku Randowi, padali, zastępowali ich następni, aż wreszcie nie został przy nim ani jeden z tych, którzy przyłączyli się do niego na początku. Niekiedy walczył samotnie albo biegł jakimś korytarzem,

w którym nie było nikogo prócz niego i martwych, kierując się odgłosami odległej walki.

W którymś momencie, gdy razem z dwoma Obrońcami trafił do kolumnady, pod którą znajdowała się podłużna komnata z licznymi drzwiami, zobaczył Moiraine i Lana, otoczonych trollokami. Aes Sedai stała, z uniesioną wysoko głową niczym królowa bitew z opowieści, a bestialskie kształty wokół niej wybuchały płomieniami — ale zaraz zastępowały je inne, wpadające przez te lub inne drzwi, po sześć lub osiem równocześnie. Miecz Lana załatwiał porachunki z tymi, którzy uniknęli ognia Moiraine. Po obu policzkach Strażnika spływała krew, a jednak zwinnie przedzierał się między tymi stworami, z równym spokojem, jakby ćwiczył przed lustrem. W pewnym momencie trollok o wilczym pysku cisnął taireńską włócznię w stronę pleców Moiraine. Lan odwrócił się błyskawicznie, jakby miał oczy z tyłu głowy, odrąbując trolloкови nogę w kolanie. Trollok upadł wyjąc, ale i tak udało mu się cisnąć włócznię w Lana, gdy tymczasem inny niezdarnie zamierzył się na Strażnika obuchem topora, podbijając mu kolana.

Rand nie mógł nic zrobić, w tym bowiem akurat momencie na niego i jego dwu towarzyszy napadło pięciu trolloków, wszystkie obdarzone pyskami, kłami dzika i baraniami rogami, wypychając ludzi z kolumnady samym impetem swego pędu. Pięciu trolloków powinno wystarczyć do zabicia trzech ludzi bez większej trudności, tyle że jednym z tych ludzi był Rand, z mieczem, dla którego ich kolczugi nie stanowiły większej przeszkody niż zwykłe sukno. Jeden z Obrońców poległ, inny znikł, goniąc za rannym trollokiem, jedynym ocalałym z całej piątki. Kiedy Rand wrócił pospiesznie do kolumnady, z położonej niżej komnaty dolaływał swąd spalonego mięsa, unoszą czy się znad wielkich, zwęglonych zwałów ciała na podłodze, ale nie było ani śladu Moiraine ani Lana.

Tak wyglądał bój o Kamień. Czy też raczej walka o życie Randa. Potyczki wybuchały i oddalały się od miejsca, w którym się zaczęły, względnie zamierały, gdy oddziały jednej ze stron były wybijane do szczętu. Ludzie walczyli nie tylko z trollokami albo Myrddraalami. Ludzie walczyli z ludźmi, Pomiot Cienia bowiem wsparli Sprzymierzeńcy Ciemności, jegomościę w zgrzebnych ubraniach, którzy przypominali byłych żołnierzy albo tawernowych zabijaków. Zdawali się bać trolloków tak jak Tairenianie, ale zabijali wszystkich jednakowo, na lewo i prawo, jak popadło. Dwukrotnie Rand zauważył również trolloków walczących z trollokami. Mógł jedynie zakładać, że Myrddraale stracili nad nimi kontrolę i że ogarnęła ich żądza krwi. Jeśli chcieli mordować się wzajemnie, pozwalał im na to.

W pewnym momencie, znowu osamotniony, szukając wroga, skreślił za róg i wpadł prosto na trzech trolloków, dwakroć szerszych od niego i prawie połowę odeń wyższych. Jeden z nich z zakrzywionym dziobem orła wystającym ze skądinąd ludzkiej twarzy, odrąbywał rękę od ciała taireńskiej szlachcianki, podczas gdy pozostałe dwa przypatrywały się chciwie, oblizując pyski. Trolloki jadły

wszystko, byle to było mięso. Nie liczyło się, kto bardziej dał się zaskoczyć, on czy one — on był pierwszym, który oprzytomniał.

Najpierw padł ten obdarzony orlim dziobem, z rozplataną kolczugą i brzuchem. Forma miecza zwana Jaszczurką w Tarninie winna była poradzić sobie z pozostałymi dwoma, lecz tamten pierwszy powalony trollok, wciąż się jeszcze miotając, kopnął go w nogę i wtedy zatoczył się prosto na drugiego trolloka, nacinając jedynie kolczugę, na którą się zamierzył. Wilczy pysk kłapnął, lecz niczego nie schwytał. Przywalił go swym cielskiem do kamiennych płyt, chwytając w pułapkę zarówno ramię od miecza, jak i sam miecz. Trzeci, który wciąż jeszcze stał, uniósł kolczasty topór, uśmiechając się na tyle, na ile pozwalały mu ryj i kły dzika. Rand usiłował się wyrwać, zaczerpnąć oddechu.

Sierpowate ostrze rozdarło pysk dzika aż po sam kark.

Wyrwijąc ostrze, czwarty trollok wykrzywił koźle zęby w grymasie, strzygąc uszami, nad którymi sterczała para rogów. Potem pomknął dalej, stukając kopytami po płytach posadzki.

Rand wydostał się spod ciężaru martwego trolloka, nieledwie osłupiały.

„Uratował mnie trollok. Trollok?”

Cały był umazany krwią trolloków, gęstą i ciemną. W głębi korytarza, w kierunku przeciwnym do tego, w którym uciekł trollok z kozimi rogami, pojawił się błękitno-biały błysk, który zwiastował przybycie dwóch Myrddraali. Toczyły z sobą walkę, tworząc niemalże bezkrotną plamę ciągłego ruchu. Jeden wepchnął drugiego w krzyżując się korytarz i błyski światła zniknęły.

„Jestem obłąkany. Tak właśnie jest. Jestem obłąkany i to wszystko to jakiś szalony sen”.

— Rzykujesz wszystko, co się da, ganiając tak na ślepo z tym... tym mieczem.

Rand odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z Lanfear. Na powrót przybrała postać dziewczyny, nie starszej od niego, może nawet młodszej. Zadarła białe spódnice, chcąc przestąpić przez rozplataną ciało taireńskiej szlachcianki, emocje na jej twarzy wskazywały, że równie dobrze mogła to być kłoda drewna.

— Zbudowałaś chatę z gałązek — ciągnęła — a mogłeś mieć marmurowe pałace na pstryknięcie palcami. Mogłeś mieć ich życie i dusze, to, co trollok bierze bez większego trudu w posiadanie, a zamiast tego oni omal cię nie zabili. Musisz się uczyć. Przyłącz się do mnie.

— To twoje dzieło? — zaatakował ją. — Tamten trollok, uratowanie mnie? Tamte Myrddraale? Tak było?

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym nieznacznie, ze smutkiem pokręciła głową.

— Gdyby to mnie przypadała zasługa, spodziewałbyś się tego znowu, a to mogłoby być śmiertelne w skutkach. Pozostali nie bardzo wiedzą, po której stronie stoję, i to mi odpowiada. Nie możesz oczekiwać ode mnie żadnej jawnej pomocy.



— Oczekiwać od ciebie pomocy? — warknął. — Chcesz mnie przeciągnąć na stronę Cienia. Nie skusisz mnie czułymi słówkami, bym zapomniał, kim jesteś. — Zaczepnął Mocy, a wtedy Lanfear zderzyła się z murem tak twardym, że aż zaparło jej dech. Trzymał ją tam ponad podłogą, kołującą jak orzeł nad sceną polowania z gobelinu, w rozpostartej i rozplaszczonej, śnieżnobiałej szacie. Jakim sposobem unieruchomił Egwene i Nynaeve? Musi sobie przypomnieć.

Nagle poleciał przez całą szerokość korytarza i rozbił się o ścianę naprzeciwko Lanfear, rozprasowany tam niczym owad przez coś, co ledwie pozwalało mu oddychać.

Lanfear wyraźnie nie miała trudności z oddychaniem.

— Wszystko to, co ty możesz zrobić, Lewsie Therinie, ja również potrafię. I to lepiej.

Mimo że przykuta do ściany, wcale nie wyglądała na zaniepokojoną. Gdzieś z bliska napłynęła ku nim wrzawa walki i zaraz ucichła, gdy bitwa przemieściła się w jakieś inne miejsce.

— Tylko w połowie używasz zaledwie najmniejszej części tego, do czego jesteś zdolny, i uciekasz przed tym, co pomogłoby ci zmiażdżyć wszystko, co na ciebie nastaje. Gdzie jest *Callandor*, Lewsie Therinie? Wciąż jeszcze w twojej sypialni niczym jakaś bezużyteczna ozdoba? Czy sądzisz, że jedynie twoja dłoń może go dzierżyć, teraz, kiedy go zostawiłeś? Jeśli Sammael jest tutaj, to go weźmie i użyje przeciwko tobie. Nawet Moghedien go weźmie, po to tylko, byś ty nie mógł go użyć. Wiele zyska, odsprzedając go komuś z Wybranych.

Szarpał się z tym czymś, co go więziło, lecz nie mógł poruszyć niczym prócz głową, którą obracał z boku na bok. *Callandor* w rękach Przekłętego. Pod wpływem tej myśli omal nie oszalał ze strachu i przygnębienia. Przenosił Moc, usiłował oderwać od siebie to, co go trzymało, ale równie dobrze to coś mogło wcale nie istnieć. A potem zniecka zniknęło, odpadł gwałtownie od ściany, nie przestając się szarpać, zanim sobie nie uświadomił, że jest wolny. I to nie zrobiwszy nic.

Spojrzał na Lanfear. Nadal wisiła w powietrzu, równie spokojna, jakby przechadzała się nad brzegiem strumienia. Usiłowała uspić jego czujność, oszukać, zmiękczyć. Wahał się, co zrobić z unieruchamiającymi ją strumieniami. Gdyby je odwiązał i tak ją zostawił, mogłaby zrównać połowę Kamienia z ziemią, żeby się uwolnić — o ile jakiś trollok wcześniej by jej nie zabił, uważając za mieszkankę Kamienia. Nie powinien się być tym przejmować — śmiercią Przekłętej — jednakże myśl o pozostawieniu kobiety czy obojętnie kogo, bez broni, na pastwę trolloków, budziła w nim obrzydzenie. Rzut oka na jej niczym nie zmacony spokój uwolnił go od tej myśli. Nikt, nic w Kamieniu nie mogło zrobić jej krzywdy dopóty, dopóki mogła przenosić Moc. Gdyby tak znalazł Moiraine, żeby ją unieruchomiła. . .

Raz jeszcze Lanfear podjęła decyzję za niego. Poczuł wstrząs rozrywanych

strumieni, a ona opadła miękko na posadzkę. Patrzył zdumiony, jak odchodziła od ściany, spokojnie otrzepując spódnice.

— Nie jesteś w stanie tego zrobić — westchnął głupawo, na co ona uśmiechnęła się.

— Nie muszę widzieć strumienia, żeby go rozplątać, jeśli wiem, że to strumień i gdzie on jest. Widzisz, musisz się jeszcze dużo uczyć. Podobasz mi się taki. Zawsze byłeś uparty i zbyt pewien siebie, aby można się było dobrze czuć w twym towarzystwie. Zawsze było lepiej, gdy byłeś mniej pewny, gdzie stąpasz. Czyżbyś zapomniał o *Callandorze*?

Nadal się wahał. Stała przed nim jedna z Przeklętych. A on nie mógł zrobić absolutnie nic. Odwrócił się i pobiegł po *Callandora*. Jej śmiech zdawał się go ścigać.

Tym razem nie zbaczał z drogi, żeby walczyć z trollokami albo Myrddraalami, nie przerywał swej opętańczej wspinaczki ku górnym poziomom Kamienia. Tylko gdy zagradzali mu drogę, torował sobie przejście mieczem wykutym z ognia. Spotkał Perrina i Faile, on z toporem w ręku, ona, uzbrojona w noże, strzegła jego pleców, trolloki najwyraźniej nie miały ochoty stawić czoło zarówno żółtookiemu spojrzeniu Perrina, jak i ostrzu jego topora. Rand zostawił ich za sobą, nie obejrzawszy się po raz drugi. Jeśli któryś z Przeklętych zabrał *Callandora*, to i tak żadne z nich nie dożyje wschodu słońca.

Zadyszany, przedarł się przez otoczony kolumnami przedsionek, przeskakując przez wciąż zalegające w nim martwe ciała, Obrońców i trolloków, śpiesząc do *Callandora*. Zamaszystym ruchem otworzył oba skrzydła drzwi. Miecz Który Nie Jest Mieczem spoczywał na poślaczonym, wysadzonym klejnotami postumencie, połyskując odbitym światłem zachodzącego słońca. Czekał na niego.

Teraz, kiedy zobaczył, że jest bezpieczny, brzydził się niemalże go dotknąć. Użył już raz *Callandora* zgodnie z jego prawdziwym przeznaczeniem. Tylko raz. Wiedział, co go czeka, kiedy go znowu podniesie, użyje do zaczerpnięcia z Prawdziwego Źródła znacznie większej ilości Mocy, niż jakikolwiek człowiek mógł utrzymać bez wspomaganie. Uwolnienie czerwono-złotego ostrza zdawało się przekraczać jego możliwości, kiedy zniknęło, omal nie przywołał go z powrotem.

Powłócząc nogami, okrążył trupa Szarego Człowieka i powoli, niechętnie złożył ręce na rękojeści *Callandora*. Była chłodna, niczym kryształ, który długo pozostawał w ciemności, ale nie była tak gładka jak uchwyt z dawna nawykły do dłoni.

Coś kazało mu podnieść wzrok. W drzwiach stał Pomor wahając się, spojrzenie bladej, pozbawionej oczu twarzy utkwiał w *Callandorze*.

Rand sięgnął po *saidina*. Przez *Callandora*. Miecz Który Nie Jest Mieczem załśnił łuną w jego rękach, jakby trzymał w nich popołudniowe słońce. Wypełniła go Moc, która dudniła niczym zestalony piorun. Skaza zalała go powodzią czerni. W żyłach pulsowała stopiona skała, chłód w jego wnętrzu mógłby zmrozić słońce.

Musiał go użyć, w przeciwnym razie wybuchnie niczym zgniły melon.

Myrddraal odwrócił się, by uciec, lecz nagle czarne odzienie i zbroja osunęły się na posadzkę, pozostawiając w powietrzu wirujące, oleiste ćmy.

Dopóki to się nie stało, Rand nawet nie zdawał sobie sprawy, że przenosi Moc, nie umiałby powiedzieć, co zrobił, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Nic jednak nie mogło mu zagrażać, kiedy trzymał *Callandora*. Moc pulsowała w nim niczym bicie serca świata. Z *Callandorem* w ręku mógł dokonać wszystkiego. Moc biła w niego młotem, który mógł rozbijać góry. Przeniesione pasmo przegnało rozwiewające się szczątki Myrddraala razem z odzieniem i zbroją do przed-sionka, gdzie wolno ciekący strumień spopielił wszystko. Wyszedł na zewnątrz, by zapolować na tych, którzy przyszli zapolować na niego.

Niektórzy doszli aż do samego przedsionka. Jeszcze jeden Pomor i grupka tchórzliwych trolloków przystanęła przed kolumnami po drugiej stronie, wpa-trzona w przesypujący się w powietrzu popiół, szczątki Myrddraala i całego jego dobytku. Na widok Randa z *Callandorem*, jarzącym się w jego rękach, trolloki zawyły jak dzikie bestie. Pomor zastygł w miejscu, sparaliżowany szokiem. Rand nie dał im szansy na ucieczkę. Kontynuując swój marsz w ich stronę, przeniósł Moc i z nagiego, czarnego marmuru pod stopami Pomiotu Cienia trysnęły płomie-nie, tak gorące, że natychmiast podniósł rękę, by się przed nimi osłonić. Zanim do nich doszedł, płomieni już nie było. Nic nie zostało prócz mętnych kręgów na marmurze.

Zaczął swą wędrówkę z powrotem w głąb Kamienia i odtąd każdy napotkany trollok, każdy Myrddraal, ginął, wijąc się w ogniu. Palił ich w walce z Aielami albo Tairenianami, przy mordowaniu służących, którzy próbowali się bronić włóczniami albo mieczami, zabranymi poległym. Palił ich, gdy przebiegali albo przechodzili przez ciała swych kolejnych ofiar, palił, gdy uciekali przed nim. Poruszał się coraz szybciej, najpierw biegł truchtem, potem pędził, obok rannych, często przez nikogo nie opatrzonych, obok umarłych. Nie wystarczało, wciąż poruszał się nie dość szybko. Zabijał całe grupy trolloków, a w tym samym czasie inne wciąż mordowały, choćby tylko po to, by wywalczyć sobie drogę ucieczki.

Nagle zatrzymał się, otoczony poległymi, w jakiejś przestronnej izbie. Musiał coś zrobić — coś więcej. Moc sunęła po jego kościach, czysta esencja ognia. Coś więcej. Moc mroziła mu szpik. Coś, by zabić ich wszystkich, wszystkich naraz. Zalewała go skaza *saidina*, góra gnijących nieczystości groziła, że pogrzebie pod sobą jego duszę. Unosząc *Callandora*, zaczerpnął ze Źródła, czerpał zeń tak dłu-go, aż poczuł, że musi krzyknąć, a krzyk był z zamrożonego płomienia. Musiał zabić ich wszystkich.

Tuż pod sufitem, dokładnie ponad jego głową, powietrze z wolna zaczęło się obracać, wirować, coraz szybciej, szaleć w pasmach czerwieni, czerni i srebra. Wściekało się i zapadało do wewnątrz, wrzało coraz mocniej, wyjąc od wirowania, aż wreszcie zaczęło się kurczyć i nieruchomieć.

Po twarzy Randa spływał pot, kiedy na to patrzył. Nie miał pojęcia, co to takiego, tylko rozpedzone strumienie, których nawet nie zaczął liczyć, łączyły go z tą masą. To coś miało masę, która nabierała coraz większego ciężaru, w miarę jak zapadała się do swego wnętrza. *Callandor* jarzył się coraz jaśniej, zbyt już jasny, by można było nań spojrzeć. Zamknął oczy, lecz światło zdawało się przepalać mu powieki. Moc pędziła przez niego, szalejący wir, który groził, że porwie wszystko, co było nim. Musiał ją uwolnić. Musiał. Z wysiłkiem otworzył oczy i to, co zobaczył, wyglądało jak wszystkie burze świata, zredukowane do rozmiarów głowy trolloka. Musiał... musiał... musiał...

„Teraz”.

Ta myśl popłynęła niczym rehotliwy śmiech po skraju jego świadomości. Odcinał wypływające z niego strumienie, a to coś nadal wirowało i wyło niczym wiertło wbite w kość.

„Teraz”.

I wtedy pojawiły się błyskawice, lały się z sufitu po lewej i prawej stronie, podobne do srebrnych potoków. Z bocznego korytarza wyłonił się Myrddraal i nim zdołał zrobić drugi krok, z góry spadło kilka migotliwych smug, rozdzierając go na strzępy. Popłynęły następne strumienie, które zaraz frunęły w głąb odgałęzień korytarzy, a na ich miejscu wybuchały kolejne, z każdą sekundą coraz liczniejsze.

Rand nie miał pojęcia, co właściwie zrobić, ani też na jakiej zasadzie to działało. Potrafił jedynie tam stać, drżąc od przepelniającej go Mocy, od potrzeby jej wykorzystania. Nawet gdyby miała go zniszczyć. Czuł, jak ginęły trolloki i Myrddraale, czuł uderzenia błyskawic i mord. Mógł ich zabijać wszędzie, wszędzie na całym świecie. Wiedział o tym. *Z Callandorem* mógł zrobić wszystko. I wiedział bez cienia wątpliwości, że jeśli spróbuje, to od tego zginie.

Błyskawice zblakły i skończyły razem z ostatnim Pomiotem Cienia, wirująca masa zapadła się gwałtownie do środka przy wtórze przeraźliwego huku wssanego powietrza. *Callandor* nadal jednak lśnił jak słońce, a Rand dygotał od przepelniającej go Mocy.

Zobaczył Moiraine, patrzyła na niego z odległości kilkunastu kroków. Suknię miała czystą, wszystkie fałdy błękitnego jedwabiu na swoim miejscu i tylko pasma jej włosów były w nieładzie. Wyglądała na zmęczoną i wstrząśniętą.

— Jak...? Nie uwierzyłabym, że to, coś ty zrobił, jest w ogóle możliwe.

Pojawił się Lan, biegł przez hol, z mieczem w dłoni, zakrwawioną twarzą, rozdartym kaftanem. Nie odrywając oczu od Randa, Moiraine machnęła dłonią, każąc Strażnikowi się zatrzymać. Z dała od Randa. Jakby nawet Lan narażał się na niebezpieczeństwo, zanadto się zbliżając.

— Dobrze... dobrze się czujesz, Rand?

Rand oderwał od niej wzrok i skierował go na ciało ciemnowłosej dziewczyny, prawie jeszcze dziecka. Leżała na plecach, z oczyma zognionymi i wbitymi w sufit, z krwią czerniącą gors jej sukni. Zdjęty żalem, pochylił się, by odgarnąć

pasma włosów z jej twarzy.

„Światłości, to przecież jeszcze dziecko. Spóźniłem się. Dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej? Dziecko!”

— Dopilnuję, by ktoś się nią zajął, Rand — powiedziała łagodnie Moiraine. — Nie możesz jej już pomóc.

Jego ręce trzęsły się tak, że ledwie mógł utrzymać *Callandora*.

— Z nim mogę dokonać wszystkiego. — Własny głos zabrzmiał opryskliwie nawet w jego uszach. — Wszystkiego!

— Rand! — upomniała go Moiraine.

Nie słuchał. Była w nim Moc. *Callandor* płonął, a on był Mocą. Przenosił, kierując strumienie do ciała dziecka, szukając, próbując, szperając. Ciało dziewczynki poderwało się, ręce i nogi były nienaturalnie sztywne, targały nimi drgawki.

— Rand, nie możesz tego zrobić. Tylko nie to!

„Oddychać. Ona musi oddychać”. Pierś dziewczynki uniosła się i opadła. „Serce. Musi bić”. Krew, już zgęstniała i ciemna, trysnęła z rany na piersi. „Żyj. Żyj, ażebyś szczęła! Nie chciałem się spóźnić”.

Jej oczy wpatrywały się w niego, zasnute mgłą. Bez życia. Po policzkach Randa spłynęły nie tamowane łzy.

— Ona musi żyć! Uzdrów ją, Moiraine. Ja nie wiem jak. Uzdrów ją!

— Śmierci nie da się uzdrowić, Rand. Nie jesteś Stwórcą.

Wpatrując się w te martwe oczy, Rand powoli wycofał strumienie. Ciało sztywno opadło. Ciało. Odrzucił w tył głowę i zawył, dziko jak trollok. Warkocz upleciony z ognia zaskwierczał na ścianach i sklepieniu, które nim smagał, przepelniony rozpaczą i bólem.

Padając ze zmęczenia, wypuścił *saidina*, odepchnął go od siebie. Przypominało to odpychanie głazu, odpychanie życia. Razem z Mocą wyciekły z niego wszystkie siły. Skaza jednak pozostała, skaza obciążająca go ciemnością. Musiał wbić *Callandora* w płyty posadzki i oprzeć się na nim, żeby utrzymać się na nogach.

— Pozostali. — Mówił z trudem, bolało go gardło. — Elayne, Perrin, reszta? Dla niech też było za późno?

— Nie spóźniłeś się — odparła spokojnie Moiraine. Nie podeszła jednak bliżej, a Lan wyglądał na gotowego wpaść między nią a Randa. — Nie wolno ci. . .

— Czy oni jeszcze żyją? — zakrzyknął Rand.

— Żyją — zapewniła.

Z ulgą i znużeniem pokiwał głową. Usiłował nie patrzeć na ciało dziewczynki. Trzy dni czekania, dzięki którym mógł się nacieszyć paroma skradzionymi pocałunkami. Gdyby wyjechał trzy dni wcześniej. . . Podczas tych trzech dni jednak nauczył się różnych rzeczy, rzeczy, których mógłby użyć, gdyby je z sobą scalił. Gdyby. Przynajmniej dla jego przyjaciół nie było za późno. Nie dla nich.

— Jakim sposobem trolloki dostały się do środka? Nie myślę, by wdrapały się na mury jak Aielowie, zwłaszcza że słońce wciąż jeszcze jest na niebie. Czy jeszcze jest na niebie? — Potrzęsął głową, by rozproszyć chociaż część otaczającej go mgły. — Nieważne. Trolloki. Jak?

Odpowiedzi udzielił Lan.

— Dzisiaj, późnym popołudniem w dokach Kamienia zacumowało osiem wielkich barek z ziarnem. Najwyraźniej nikt nie pomyślał, by zapytać, dlaczego barki obciążone ziarnem przyplłynęły z dołu rzeki. — Jego głos ociekał pogardą. — Ani dlaczego zacumowały w Kamieniu względnie dlaczego załogi nie otworzyły luków prawie do samego zachodu słońca. Poza tym przyjechał szereg wozów, jakieś dwie godziny temu, aż trzydzieści, które rzekomo przywiozły rzeczy któregoś z lordów, wracających ze wsi do Kamienia. Po odrzuceniu płócien okazało się, że też są pełne Pólludzi i trolloków. Jeśli przybyli tu jeszcze w jakiś inny sposób, to mi nic o tym na razie nie wiadomo.

Rand raz jeszcze skinął głową i z wysiłku ugięły się pod nim kolana. Nagle stanął przy nim Lan, który zarzucił sobie na szyję jego ramię, by go podtrzymać przed upadkiem. Moiraine ujęła jego twarz w dłonie. Przeniknął go chłód, nie wybuchowe zimno pełnego uzdrawiania, lecz ten zwykły chłód, który wypychał zmęczenie. Prawie całe. Ziarno pozostało, jakby cały dzień pracował przy plewieniu tytoniu. Odsunął się od podpory, której już nie potrzebował. Lan obserwował go czujnie, by sprawdzić, czy rzeczywiście jest w stanie ustać o własnych siłach, lub może dlatego, iż nie był pewien, w jakim stopniu on jest niebezpieczny, do jakiego stopnia pozostał przy zdrowych zmysłach.

— Wydałam kilka poleceń — powiedziała Moiraine. — Dzisiejszej nocy musisz się wyspać.

Spać. Zbyt wiele było do zrobienia, by spać. Raz jeszcze skinął głową. Nie chciał, by go szpiegowała. A jednak powiedział:

— Była tu Lanfear. To nie jej dzieło. Tak powiedziała i ja jej wierzę. Nie wyglądasz na zdziwioną, Moiraine. — Jakby propozycja Lanfear miała ją zdziwić. Czy cokolwiek mogło? — Była tu Lanfear, a ja z nią rozmawiałem. Nie próbowała mnie zabić i ja nie próbowałem jej zabić. A ty nie jesteś zdziwiona.

— Wątpię, czy mógłbyś ją zabić. Na razie. — W ciemnych oczach pojawił się przelotny, ledwie zauważalny błysk, gdy spojrzała na *Callandora*. — Bez wspomagania. I wątpię, czy ona spróbuje cię zabić. Na razie. Niewiele wiemy o Przeklętych, a już najmniej o Lanfear. Wiemy jednak, że kochała Lewsa Therina Telamona. Twierdzić, że nic ci z jej strony nie grozi, to z pewnością przesada, ona może wyrządzić ci dużo złego, wcale cię nie zabijając. Myślę jednak, że nie będzie próbowała cię zabić dopóty, dopóki będzie się jej wydawało, że może na nowo zdobyć Lewsa Therina.

Lanfear go pragnie. Córka Nocy, którą matki, wierzące w nią tylko w połowie, wykorzystywały do straszenia dzieci. Z pewnością go przerażała. Niemalże do

tego stopnia, że aż się roześmiał. Zawsze czuł się winny, gdy spojrzął na jakąś inną kobietę oprócz Egwene, tylko że Egwene go nie chciała, a za to przynajmniej Dziedziczka Tronu Andoru chciała go całować i jedna z Przeklętych twierdziła, że go kocha. Nie mało powodów do śmiechu. Lanfear wydawała się zazdrosna o Elayne; tę niezdarę o białych włosach, jak ją nazwała. Obłąd. Czysty obłąd.

— Jutro. — Zaczął się od nich oddalać.

— Jutro? — powtórzyła Moiraine.

— Jutro ci powiem, co mam zamiar zrobić. — O części swych planów rzeczywiście jej powie. Na myśl o minie, jaką zrobiłaby Moiraine, gdyby jej powiedział o wszystkim, zachciało mu się śmiać. Gdyby jeszcze sam już wszystko wiedział. Lanfear ofiarowała mu właściwie ostatni kawałek układanki, nie wiedząc o tym. Jeszcze jeden krok, dzisiejszej nocy. Dłoń, trzymająca *Callandora* przy boku, zadrzęła. Z nim może zrobić wszystko.

„Jeszcze nie oszalałem. Nie jestem jeszcze obłąkany”.

— Jutro. Dobrej nocy wam wszystkim, za pozwoleniem Światłości.

Jutro uwolni błyskawicę innego rodzaju. Błyskawicę, która może go uratować. Albo go zabić. Jeszcze nie popadł w obłąd.

## CO ZOSTAŁO UKRYTE

Odziana w bieliznę nocną Egwene zrobiła głęboki wdech i położyła kamienny pierścień obok otwartej księgi na nocnym stoliku. Cały w plamkach, pokryty brązowymi, czerwonymi i niebieskimi prążkami, był nieco za duży jak na pierścień, który się nosi na palcu, kształt też miał niewłaściwie spłaszczony i skrzywiony do tego stopnia, że czubek palca, który wędrował po krawędzi, mógł obwieść zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz, nie wracając już do miejsca, z którego zaczął. Pierścień miał tylko jedną krawędź, choć zdawało się to niemożliwe. Nie odłożyła go dlatego, bo bez niego mogło się jej nie powieść, lecz dlatego, bo chciała, by się jej nie powiodło. Prędzej lub później musiała spróbować bez pierścienia, w przeciwnym wypadku mogłaby jedynie zamoczyć stopy tam, gdzie marzyło jej się pływanie. Równie dobrze mogło się to stać teraz. To był powód.

Gruba, oprawna w skórę księga, nosiła tytuł: *Podróż do Tarabonu*, napisał ją Eurian Romavni, z Kandoru, przed pięćdziesięcioma trzema laty, zgodnie z datą, podaną przez autora w pierwszej linii. Jednakże mało co zmieniło się w Tanchico podczas tak krótkiego okresu. Poza tym było to jedyne dzieło z użytecznymi rysunkami, jakie udało jej się znaleźć. Większość ksiąg zawierała jedynie portrety królów albo wymyślne wizerunki bitew, wykonane przez ludzi, którzy wcale w nich nie brali udziału.

Oba okna wypełniała ciemność, ale lampy dawały aż za dużo światła. W połączonym świeczniku na stoliku przy łóżku płonęła wysoka świeca z pszczelego wosku. Sama po nią poszła, gdyż nie była to noc, podczas której można było wysłać służebną po świecę. Większość służących opatrywała rannych, oplakiwała ukochanych albo była sama opatrywana. Zbyt wielu należało uzdrowić, nie licząc tych, którzy bez tego by umarli.

Elayne i Nynaeve, z różnym powodzeniem starając się ukryć zdenerwowanie, czekały na krzesłach z wysokimi oparciami, przystawionymi z obu stron do szerokiego łóża z wysokimi, płytko rzeźbionymi kolumnami. Elayne zdobyła się na możliwy do przyjęcia, majestatyczny spokój, psując go jedynie ciągłym marszczeniem brwi i bezwiednym zuciem dolnej wargi, kiedy jej się wydawało, że Egwene nie patrzy. Nynaeve była pełna animuszu tego rodzaju, który przynosił ulgę, gdy kładła człowieka do łóża bóleści, ale Egwene знаła ten wyraz oczu —



mówił jej, że Nynaeve się boi.

Aviendha siedziała na skrzyżowanych nogach obok drzwi, jej brzozy i szarości wyróżniały się wyraźnie na tle głębokiego błękitu dywanu. Tym razem miała przymocowany do pasa z jednej strony swój nóż o długim ostrzu, z drugiej najezony kołczan, na kolanach zaś ułożyła cztery krótkie włócznie. Okrągła, skórzana tarcza leżała w zasięgu ręki, pod nią łuk z rogu, schowany w ozdobnym, skórzanym futerale z paskami, którymi mogła go sobie przypasać do pleców. Po tym wieczorze Egwene nie mogła jej winić za to, że chodzi uzbrojona. Nadal miała ochotę trzymać w pogotowiu błyskawicę.

„Światłości, co ten Rand zrobił? Co to było? Oby skołał, przeraził mnie niemal równie mocno jak Pomory. Może nawet jeszcze bardziej. To niesprawiedliwe, że on potrafi zrobić coś takiego, a ja nawet nie widzę strumieni”.

Wdrapała się na łóżko i ułożyła na kolanach oprawny w skórę tom, marszcząc brwi nad mapą Tanchico. Doprawdy niewiele pożytecznych miejsc zaznaczono. Kilkanaście fortec, które otaczały port i strzegły miasta, położonego na trzech górzystych półwyspach, Verana na wschodzie, Maseta w środku i Calpene najbliższej morza. Bezużyteczne. Kilka wielkich placów, parę otwartych obszarów, które wyglądały na parki, oraz pomniki władców, którzy już dawno temu obrócili się w proch. Wszystko bezużyteczne. Kilka dziwnie wyglądających pałaców i miejsc. Wielki Krąg, na przykład, na Calpene. Na mapie był to zwykły pierścień, ale Romavni opisywał go jako ogromny plac zgromadzeń, zdolny pomieścić tysiące widzów, oglądających wyścigi koni albo pokazy fajerwerków Iluminatorów. Był również Krąg Królewski, na Masecie, większy od Wielkiego Kręgu, oraz Krąg Panarcha, na Veranie, zaledwie nieco mniejszy. Kapituła Cechu Iluminatorów też została zaznaczona. Wszystko bezużyteczne. Tekst też z całą pewnością był bezużyteczny.

— Jesteś pewna, że chcesz spróbować bez pierścienia? — spytała cicho Nynaeve.

— Jak najbardziej — odparła Egwene, najspokojniej jak potrafiła. W żołądku ścisnęło ją równie paskudnie jak wcześniej tego wieczora, gdy zobaczyła pierwszego trolloka, który trzymał tamtą nieszczęsną kobietę za włosy i podrzynał jej gardło jak królikowi. Kobieta piszczała też jak królik. Zabicie trolloka w niczym jej nie pomogło, kobieta była równie martwa jak on. Tylko jej przeraźliwy krzyk nie chciał ucichnąć.

— Jeśli to się nie uda, to zawsze mogę spróbować raz jeszcze z pierścieniem. — Pochyliła się, by zrobić paznokciem ślad na świecy. — Obudźcie mnie, kiedy się dopali do tego miejsca. Światłości, jak ja żałuję, że nie mamy zegara.

Elayne roześmiała się beztroskim chichotem, który zabrzmiał prawie jak nie wymuszony.

— Zegar w sypialni? Moja matka ma z tuzin zegarów, ale nigdy nie słyszałam, żeby jakiś umieszczono w sypialni.

— Cóż, mój ojciec ma jeden zegar — burknęła Egwene — jedyny w całej wiosce i ja żałuję, że go tu nie mam. Uważacie, że ta świeca spali się do tego miejsca przez godzinę? Nie chcę spać dłużej. Musicie mnie obudzić, gdy tylko płomień dosięgnie tego znaku. Natychmiast!

— Zrobimy to — uspokoiła ją Elayne. — Obiecuję.

— Kamienny pierścień — niespodzianie odezwała się Aviendha. — Skoro go nie używasz, Egwene, to czy ktoś, jedna z nas, nie mogłaby go użyć, by ci towarzyszyć?

— Nie — mruknęła Egwene. „Światłości, żałuję, że one wszystkie nie mogą iść ze mną”. — Ale dziękuję ci za pomysł.

— Czy tylko ty możesz go użyć, Egwene? — spytała Panna Włóczni.

— Mogłaby każda z nas — odparła Nynaeve — nawet ty, Aviendha. Kobieta nie musi umieć przenosić Mocy, wystarczy, że z nim śpi tak, by dotykał jej skóry. Z tego, co wiemy, mężczyzna też byłby zdolny. Tylko że my nie znamy *T'el'aran'rhiod* ani określających go zasad tak dobrze jak Egwene.

Aviendha przytaknęła.

— Rozumiem. Kobieta może popełniać błędy tam, gdzie nie zna metod, a jej błędy mogą zabić innych tak samo jak ją.

— Zgadza się — potwierdziła Nynaeve. — Świat Snów to niebezpieczne miejsce. Tyle wiemy.

— Ale Egwene będzie ostrożna — dodała Elayne, przemawiając do Aviendhy, ale najwyraźniej przeznaczając swe słowa dla uszu Egwene. — Obiecała. Rozejrzy się dookoła, ostrożnie! I nic więcej.

Egwene skoncentrowała się na mapie. Ostrożnie. Gdyby nie strzegła swego skreconego, kamiennego pierścienia tak zazdrośnie — uważała go za swój własny, Komnata Wieży mogła się z tym nie zgodzić, ale te z Komnaty nie wiedziały, że on jest w jej posiadaniu — gdyby zechciała pozwolić Elayne albo Nynaeve użyć go więcej niż jeden albo dwa razy, wówczas wiedziałyby teraz dostatecznie dużo, by jej towarzyszyć. To nie z żalu jednak unikała spojrzenia na pozostałe kobiety. Nie chciała, by dostrzegły strach w jej oczach.

*Tel'aran'rhiod*. Niewidziany Świat. Świat Snów. Nie snów zwykłych ludzi, choć ci czasami, na krótko dotykali *Tel'aran'rhiod*, w snach, które wydawały się równie prawdziwe jak życie. Bo nim były. W Niewidzianym Świecie to, co się działo, było realne, w jakiś dziwny sposób. Nic, co się tam działo, nie działało na świat materialny — drzwi otwarte w Świecie Snów pozostawały w nim zamknięte, drzewo ścięte tam, tutaj wciąż rosło — a jednak kobietę można tam było zabić albo ujarzmić. Słowo „dziwny” ledwie go opisywało. W Niewidzianym Świecie cały świat leżał otworem, być może również inne światy, każde miejsce było tam dostępne. Albo przynajmniej jego odbicie w Świecie Snów. Mógł tam zostać odczytany splot Wzoru — przeszłość, teraźniejszość i przyszłość — przez osobę, która to potrafiła. Przez Śniąca. Od czasu Corianin Nedeal w Białej Wieży nie

było Śniącej, a minęło blisko pięćset lat.

„Od czterystu siedemdziesięciu trzech lat, mówiąc dokładnie — pomyślała Egwene. — A może minęło już czterysta siedemdziesiąt cztery? Kiedy umarła Corianin?”

Gdyby Egwene miała szansę ukończyć naukę dla nowicjuszek w Wieży i studiować dalej jako Przyjęta, to wówczas może by wiedziała. Ile ona by wtedy wiedziała.

W mieszkaniu, w którym Egwene przechowywała *ter'angreal*, tak małym, że mogła go wsunąć do kieszeni, znajdowała się lista przedmiotów ukradzionych przez Czarne Ajah, tuż przed ucieczką z Wieży. Wszystkie trzy miały kopie. Przy trzynastu z wymienionych tu skradzionych *ter'angrealach* widniała uwaga: „zastosowanie nie znane” oraz „ostatnie badania przeprowadziła Corianin Nedeal”. Gdyby jednak nawet Corianin Sedai rzeczywiście nie odkryła ich przeznaczenia, Egwene była i tak pewna jednego. Dawały wstęp do *Tel'aran'rhiod*, być może nie tak łatwo jak kamienny pierścień, i być może nie bez przenoszenia, ale czyniły to.

Dwa z nich odebrały Joyi i Amico: żelazny krążek, trzy cale średnicy, rzeźbiony po obu stronach w gęstą spiralę, oraz płytką, nie dłuższą od jej dłoni, z pozornie czystego, na tyle twardego bursztynu, by dało się nią zarysować stal, z wyrzeźbioną pośrodku śpiącą kobietą. Amico mówiła o nich obszernie, podobnie Joyia, szczególnie po sesji spędzonej samotnie w celi z Moiraine, z której ta Sprzymierzona z Ciemnością kobieta wyszła z pobladłą twarzą i niemal uprzejma. Wystarczy przenieść strumień Ducha do któregoś z tych dwu *ter'angreali*, a przeniesie cię w sen, potem zaś do *Tel'aran'rhiod*. Elayne raz wypróbowała każdy i zadziałały, choć zobaczyła jedynie wewnątrz Kamienia oraz królewski pałac Morgase w Camlyn.

Egwene nie chciała, by Elayne próbowała, jakkolwiek krótko by miała trwać ta wizyta. Nie wchodziła tu w grę zazdrość. Nie umiała jednak argumentować zbyt skutecznie, ponieważ bała się, że Elayne i Nynaeve usłyszą brzmiające w jej głosie tony, które tak bardzo starała się skryć.

Odzyskanie dwóch *ter'angreali* oznaczało, że jeszcze jednaście znajduje się w posiadaniu Czarnych Ajah. Ten właśnie fakt usiłowała podkreślić Egwene. Jedenaście *ter'angreali*, które mogły przenieść każdą kobietę do *Tel'aran'rhiod*, wszystkie w rękach Czarnych sióstr. Podczas swych krótkich podróży do Niewidzianego Świata Elayne mogła tam zastać zaczajone na nią Czarne Ajah albo wejść prosto na nie, zanim się zorientuje, że zastawiły pułapkę. Od tej myśli Egwene czuła, jak się jej skręca żołądek. Mogły czekać na nią teraz. Mało prawdopodobne, by zrobiły to celowo — skąd miały wiedzieć, że ona się tam wybiera? — ale mogły być tam, kiedy ona tam wejdzie. Jednej mogła stawić czoło, o ile nie zostanie wzięta z zaskoczenia, a nie miała zamiaru na to pozwolić. Jeśli jednak naprawdę zorganizują zasadzkę? Dwie albo trzy jednocześnie? Liandrin i Rianna, Chesmal Emry, Jeane Caide i cała reszta?

Marszcząc czoło nad mapą, rozprostowała dłonie, które zaciskała tak mocno, że aż jej zbieleły palce. Tego wieczora wszystko zrobiło się strasznie pilne. Skoro Pomiot Cienia mógł zaatakować Kamień, skoro jedna z Przeklętych mogła się zniecka pojawić w twierdzy, to ona nie miała prawa pozwolić, by owładnął nią strach. Musiały wiedzieć, co zrobić. Musiały dysponować czymś więcej oprócz niejasnej opowieści Amico. Czymkolwiek. Gdyby tylko mogła się jeszcze dowiedzieć, na jakim etapie swej podróży w klatce do Tar Valon znajduje się teraz Taim Mazrim albo czy w jakiś sposób mogłaby się wślizgnąć do snów Amyrlin i porozmawiać z nią. Być może takie rzeczy były możliwe dla Śniącej. Jeśli nawet, to i tak nie znała sposobu. Musiała popracować nad Tanchico.

— Muszę iść sama, Aviendho. Muszę. — Uważała, że jej głos jest spokojny i silny, jednak Elayne poklepała ją po ramieniu.

Egwene nie wiedziała, dlaczego wciąż tak skrupulatnie bada mapę. Zapamiętała ją już dokładnie, wzajemne położenie wszystkich przedstawionych na niej obiektów. Cokolwiek istniało w tym świecie, istniało w Świecie Snów, a oprócz tego czasem coś więcej, rzecz jasna. Wybrała już swoje przeznaczenie. Zaznaczyła kciukiem w księdze jedyny drzeworyt ukazujący wnętrze budynku wymienionego na mapie, wnętrze Pałacu Panarcha. Nie byłoby dobrze znaleźć się w komnacie, której położenia by nie znała. W każdym razie nic by jej z tego nie przyszło. Przegnała tę myśl. Musiała wierzyć, że istnieje jakaś szansa.

Rycina ukazywała wielką izbę z wysokim sklepieniem. Sznur, rozciągnięty na wysokich do pasa słupkach, nie pozwalał nikomu podejść zbyt blisko do przedmiotów wystawionych na postumentach i w otwartych szafkach wzdłuż ścian. Większość eksponatów była niewidoczna, z wyjątkiem jednego, który stał na przeciwnym krańcu pomieszczenia. Artysta mocno się postarał, żeby dobrze odwzorować masywny szkielet, który sprawiał wrażenie, jakby reszta ciała zniknęła zaledwie na chwilę przedtem. Istota ta miała cztery nogi o grubych kościach, ale poza tym nie przypominała żadnego zwierzęcia, jakie Egwene kiedykolwiek widziała. Z jednej strony to coś wyprostowane musiało mieć co najmniej dwie piędzi wysokości, a więc było dwukrotnie wyższe od niej. Okrągła czaszka, osadzona nisko w tułowiu jak u byka, wyglądała na dostatecznie dużą, by w środku zmieściło się dziecko, na obrazku widać też było cztery oczodoły. Dzięki szkieletowi izby tej nie można było pomylić z żadną inną. Czymkolwiek była. Jeśli Eurian Romavni to wiedział, to i tak nie wymienił jej nazwy na tych stronach.

— A zresztą, co to jest panarch? — spytała, odkładając księgę na bok. Przyjrzała się obrazkowi kilkanaście razy. — Wszystkim tym autorom wydaje się chyba, że to, o czym piszą, jest dla innych oczywiste.

— Panarch Tanchico to ktoś równy władzą królowi — wyrecytowała Elayne. — Jest odpowiedzialny za zbieranie podatków i opłat celnych oraz za ich właściwe wydatkowanie. Kontroluje Straż Państwową oraz sądy, z wyjątkiem Sądu Najwyższego, który podlega królowi. Armia należy do niego, rzecz jasna, z wy-

jątkiem Legionu Panarch. On...

— Wcale tak naprawdę nie chciałam wiedzieć.

Egwene westchnęła. Po prostu można przez moment porozmawiać, opóźniając o kilka kolejnych chwil to, co zamierzała zrobić. Świeca się paliła, a ona marnowała bezcenne minuty. Wiedziała, jak wyjść ze snu, kiedy zechce, jak się obudzić, ale w świecie Snów czas płynął inaczej i łatwo było stracić rachubę.

— Gdy tylko dopali się do tego znaku — powiedziała, a Elayne i Nynaeve mruknęły swe zapewnienia.

Opadłszy z powrotem na puchowe poduszki, z początku tylko wpatrywała się w sufit, na którym namalowano błękitne niebo, chmury i szybujące jaskółki. Nie widziała ich.

Jej sny, w większości, były ostatnio raczej złe. Oczywiście pojawiał się w nich Rand. Rand wysoki jak góra, który wędrował przez jakieś miasta, krusząc budowle pod swymi stopami, a rozwrzeszczani ludzie pierzchali na jego widok jak mrówki. Rand w łańcuchach, a wówczas to on krzyczał. Rand, który budował mur, dzielący jego i ją, ją i Elayne oraz innych, których nie potrafiła rozpoznać.

— To trzeba zrobić — mówił, piętrząc kamienie. — Nie pozwolę, byś mnie teraz zatrzymała.

Nie tylko on występował w tych koszmarach. Śnili się jej Aielowie, którzy walczyli ze sobą, mordowali się wzajemnie, a nawet odrzucali broń i rzucali się do ucieczki, jakby popadli w obłąd. Mat, mocujący się z jakąś Seanchanką, która uwiązała go na niewidzialnej smyczy. Wilk — była przekonana, że to Perrin — walczący z człowiekiem, któremu bezustannie zmieniała się twarz. Galad, który spowijał się w biel, jakby nakładał na siebie całun, oraz Gawyn z oczyma pełnymi bólu i nienawiści. Jej zapłakana matka. Były to wyraziste sny, takie, o których wiedziała, że coś znaczą. Były ohydne, ale nie wiedziała, jakie jest znaczenie każdego z nich. Na jakiej podstawie mogła zakładać, że znajdzie jakieś znaczenia albo wskazówki w *Tel'aran'rhiod*? Ale nie było innego wyboru. Żadnego innego wyboru prócz skazującego na niewiedzę, a jej wybrać nie mogła.

Mimo lęku z zaśnięciem nie miała problemów; była zbyt wyczerpana. Wystarczyło zamknąć oczy i zacząć oddychać głęboko, regularnie. Skupiła myśli na komnacie w Pałacu Panarcha i ogromnym szkielecie. Głęboki, regularny oddech. Pamiętała, co czuła, gdy używała kamiennego pierścienia, pamiętała wejście do *Tel'aran'rhiod*. Głęboki — regularny oddech.

\* \* \*

Egwene cofnęła się, ciężko łapiąc oddech, dłoń przycisnęła do gardła. Z tak

bliska szkielet wydawał się znacznie większy, kości bielily się matowym, suchym połyskiem. Stała tuż przed nim, po drugiej stronie sznurowej barierki. Biały sznur, grubości przegubu jej ręki, najwyraźniej upleciono z jedwabiu. Nie miała wątpliwości, że to *Tel'aran'rhiod*. Szczegóły były równie wyraźne jak w rzeczywistości, nawet rzeczy widziane tylko kątem oka. Sam fakt, że była świadoma różnicy między nim a zwykłym snem, mówił jej, gdzie się znalazła. A poza tym... sprawiał dobre wrażenie.

Otworzyła się na *saidara*. Szrama na palcu po ranie otrzymanej w Świecie Snów pozostanie po przebudzeniu, nie będzie przebudzenia ze śmiertelnego ciosu zadanego Mocą, czy nawet mieczem albo pałą. W tym momencie jednak nie miała zamiaru odnosić żadnych obrażeń.

Zamiast koszuli nocnej miała na sobie coś, co bardzo przypominało odzienie Aviendhy, tyle że uszyte było z czerwonego jedwabiu przetykanego brokatem: nawet jej miękkie kamasze, sznurowane do kolan, wykonane z miękkiej, czerwonej skóry, pasowały do rękawiczek, ze swoimi złotymi szwami i sznurowadłami. Zaśmiała się cicho. Ubrania w *Tel'aran'rhiod* były takie, jakich się zażyczyło. Najwyraźniej jedna część jej umysłu pragnęła być przygotowana do wykonywania szybkich ruchów, natomiast druga na bal. Nie był to dobry pomysł. Czerwień spłowiła więc do szarości i brązów, kaftan, spodnie i buty przemieniły się w dokładne kopie ubrań noszonych przez Panny. Wcale nie lepiej, to przecież miasto. Natychmiast odkryła na sobie imitację sukni, którą zwykła nosić Faile ciemna, wąskie, dzielone spódnice, długie rękawy i wysoki, obcisły stanik.

„Głupio tak się tym przejmować. Nikt mnie nie będzie oglądał, najwyżej we śnie, a przecież dociera tu niewielu zwykłych śpiących. Nic by się nie stało, nawet gdybym była naga”.

Przez moment była naga. Twarz jej poróżnowiała ze wstydu, mimo że nie było tam nikogo, kto mógłby ją zobaczyć, nagą jak w kąpielu, zanim pośpiesznie przywołała z powrotem suknię. Powinna była jednak pamiętać, że zdrożne myśli potrafią oddziaływać na wszystko, co się tutaj dzieje, zwłaszcza kiedy obejmowało się Moc. Elayne i Nynaeve wierzyły, że ona posiada sporo wiedzy. Znała kilka praw rządzących w Niewidzianym Świecie i wiedziała, że istnieje sto, tysiąc takich, o których nie miała pojęcia. Musiała w jakiś sposób je poznać, jeśli miała się stać pierwszą Śniącą od czasów Corianin.

Przyjrzała się z bliska ogromnej czaszce. Wychowała się w małej wiosce, więc wiedziała, jak wyglądają zwierzęce kości. Mimo wszystko to nie były cztery oczodoły. W dwóch, po obu stronach miejsca, gdzie niegdyś sterczał nos, musiały się kiedyś mieścić kły. To była odmiana jakiegoś monstrualnego dzika, być może, aczkolwiek wcale to nie przypominało żadnej z tych świńskich czaszek, które zdarzyło jej się oglądać. Czuło się jednak przy niej upływ czasu, bezmierny upływ czasu.

Dzięki Mocy potrafiła wyczuwać tu wiele rzeczy. Rzecz jasna, działanie zmy-

słów było spotęgowane. Czuła maleńkie pęknięcia w pozłacanych sztukateriach sufitu na wysokości pięćdziesięciu stóp oraz gładką powierzchnię posadzki z białego kamienia. Niezliczone pęknięcia, niewidoczne dla oka, pokrywały również kamienie posadzki.

Komnata była ogromna, długości może dwustu kroków, niemalże w połowie tak szeroka, z rzędami wąskich, białych kolumn oraz tym białym sznurem, który biegł wszędzie dookoła z wyjątkiem drzwi zwieńczonych podwójnymi, spiczastymi łukami. Jeszcze inne sznury otaczały wypolerowane, drewniane postumenty i szafki z eksponatami. Pod samym sufitem ściany zdobił ażurowy pas misternych rzeźbień, dzięki któremu do środka wpadało mnóstwo światła. Najwyraźniej śniła, że jest w Tanchico za dnia.

„Wspaniała wystawa artefaktów z dawno minionych Wieków, z Wieku Legend i Wieków wcześniejszych, otwarta dla wszystkich, nawet prostego ludu, przez trzy dni w miesiącu oraz w święta”, napisał Eurian Romavni. Barwnymi słowami opisał bezcenną wystawę figurek *cuendillar*, w sumie sześciu, wystawionych na pokaz w oszklonej szafce na samym środku sali, zawsze strzeżonych przez czterech osobistych strażników Panarch, gdy wpuszczano tam ludzi. Na następnych dwóch stronach rozpisywał się o kościach baśniowych stworzeń, „których żaden człowiek nie widział nigdy żywymi”. Egwene mogła teraz obejrzeć niektóre. Z jednej strony izby stał szkielet czegoś, co trochę przypominało niedźwiedzia, o ile niedźwiedź mógł mieć dwa przednie zęby równie długie jak jej przedramię, naprzeciwko niego zaś znajdowały się kości jakiegoś smukłego zwierzęcia, obdarzonego czterema nogami i tak długą szyją, że jego czaszka sięgała połowy odległości do sufitu. Było ich jeszcze więcej, rozmieszczonych wzdłuż ścian, równie baśniowych. Czuło się, iż wszystkie są tak stare, że Kamień Łzy sprawiał w porównaniu z nimi wrażenie świeżo wzniesionego. Przekradając się pod sznurową barierką, wędrowała powoli przez komnatę, przypatrując się wszystkiemu po kolei.

Tknięta patyną starości kamienna figurka kobiety, którą zamiast ubrania okrywały włosy spadające jej do kostek, pozornie nie różniła się niczym od pozostałych w tej samej szafce, niewiele większych od jej dłoni. Egwene знаła jednak to miłe ciepło, którym zdawała się emanować. Była pewna, że to *angreal*, ale zastanowiło ją, dlaczego Wieży nie udało się go wydobyć od Panarch. Zadygotała na widok obręczy i dwóch bransolet z matowego, czarnego metalu, przemyślnie z sobą połączonych, poczuła kojarzące się z nimi mrok i ból — dawny, dawny, przenikliwy ból. Srebrzysty przedmiot w innej szafce, który przypominał trójramienną gwiazdę w kole, wykonano z substancji, której nie znała, bardziej miękkiej od metalu. Był porysowany i wytarty, a przy tym starszy od tych wszystkich starożytnych kości. Z odległości dziesięciu kroków czuła bijącą z niego pychę i próżność.

Jedna rzecz naprawdę wydawała się znajoma, chociaż nie umiała powiedzieć

dlaczego. Wepchnięta w kąt kolejnej szafki, jakby ktoś, kto ją tam włożył, nie był pewien, czy jest warta pokazywania, leżała górna połowa przełamanej figurki, wyrzeźbionej z połyskliwego, białego kamienia, przedstawiając postać kobiety z kryształową kulą w uniesionej ręce, o twarzy spokojnej, pełnej godności i doświadczenia w sprawowaniu władzy. Jako całość miała jakąś stopę długości. Tylko dlaczego wydawała się taka znajoma? Niemalże zdawała się wołać do Egwene, żeby ją podniosła.

Dopiero kiedy jej palce zamknęły się na przełamanej figurce, Egwene uświadomiła sobie, że przeszła przez sznur.

„To głupota, skoro nie wiem, co to jest” — pomyślała, ale już było za późno.

Kiedy jej dłoń schwyciła przedmiot, poczuła w swym wnętrzu falę Mocy, która przelała się do figurki, potem z powrotem do niej, do figurki i do niej, tam i z powrotem. Kryształowa kula zamigotała nierównymi, ponurymi błyskami, a wraz z każdym błyskiem czuła igły przeszywające jej mózg. Łkając ze śmiertelnego bólu, rozprostowała dłonie i przyłożyła je do głowy.

Kryształowa kula roztrzaskała się, kiedy figurka upadła na podłogę, a igły zniknęły, pozostawiając jedynie tępe wspomnienie bólu i mdłości, od której ugięły się pod nią kolana. Zacisnęła oczy, żeby nie widzieć, jak izba się kołysze. Ta figurka to musiał być *ter'angreal*, ale dlaczego tak ją bolało, skoro tylko go dotknęła? Może dlatego, że był złamany, być może jako uszkodzony nie mógł wykonywać tego, do czego był przeznaczony. Nawet nie chciała myśleć o tym, do czego go wykonano, badanie *ter'angreala* groziło różnymi niebezpieczeństwami. W każdym razie teraz, przez to, że się rozbił, nie groził już niczym. Przynajmniej tutaj.

„Dlaczego zdawał się mnie wołać?”

Mdłości ustały i wtedy otworzyła oczy. Figurka stała znowu na półce, w takim samym stanie jak wtedy, kiedy ją zobaczyła po raz pierwszy. Dziwne rzeczy się działy w *Tel'aran'rhiol*, ale czegoś tak dziwnego wcale nie chciała oglądać. Poza tym nie po to tu przyszła. Przede wszystkim chciała znaleźć wyjście z Pałacu Panarcha. Przekroczywszy z powrotem sznur, opuściła pośpiesznie komnatę pilnując się, by nie pobiec.

Naturalnie w pałacu nie było śladów życia. W każdym razie ludzkiego życia. Kolorowe ryby pływały w wielkich fontannach, które pluskały wesoło na dziedzińcach, otoczonych ścieżkami, ograniczonych kolumnadami i balkonami z kamiennej siatki, przypominającej skomplikowaną koronkę. Na powierzchni wody unosiły się lilie i białe kwiaty, wielkie jak talerze. W Świecie Snów wszystkie miejsca były takie same jak w tak zwanym rzeczywistym świecie. Z wyjątkiem ludzi. Na korytarzach stały ozdobne złote lampy, z nie wypalonymi knotami, ale czuła od nich zapach perfumowanej oliwy. Jej stopy nie wzbijały ani drobiny kurzu z jaskrawych dywanów, które z pewnością nigdy nie były trzepane, nie tutaj.

W pewnym momencie zauważyła, że ktoś przed nią idzie, jakiś mężczyzna



w pozłacanej, ozdobnej zbroi, pod pachą trzymał spiczasty, złoty hełm z grzebieniem z białych piór czapli.

— Aeldra? — zawołał uśmiechając się. — Aeldro, podejdz i popatrz na mnie. Zostałem mianowany Lordem Kapitanem Legionu Panarch. Aeldra? — Szedł teraz innym krokiem, wciąż wołając, i nagle zniknął. To nie był Śniący. Ani nawet ktoś, kto używał *ter'angreala* podobnego do jej kamiennego pierścienia czy żelaznego krążka Amico. Był tylko człowiekiem, którego sen przeniósł w nieznane miejsce, pełne obcych niebezpieczeństw. Ludziom, którzy umierali niespodzianie podczas snu, często śniła się droga do *Tel'aran'rhiod* i w rzeczy samej umierali właśnie tutaj. Mężczyzna już się stąd wycofał, z powrotem do zwykłego snu.

W Łzie obok łóżka paliła się świeca. Jej czas w *Tel'aran'rhiod* wypalał się wraz z nią.

Przyspieszyła kroku, doszła do wysokich, rzeźbionych drzwi wychodzących na zewnątrz, na szerokie, białe schody i ogromny, pusty plac. Tanchico rozposcierało się jak okiem sięgnąć na stromych wzgórzach, zabudowanych szeregami białych budowli, połyskujących w słońcu, setkami wąskich wież i spiczastych kopuł, niekiedy pozłacanych. Widać było wyraźnie Krąg Panarch, wysoki, owalny mur z białego kamienia, położony w odległości nawet nie połowy mili, nieco poniżej pałacu. Pałac Panarch wznosił się na szczycie jednego z wyższych wzgórz. Ze schodów mogła spojrzeć dostatecznie daleko, żeby zobaczyć wodę iskrzącą się na zachodzie, małe zatoczki, które oddziały ją od górzystych półwyspów, na których usytuowała się reszta miasta. Tanchico było większe od Łzy, być może większe od Caemlyn.

Tyle do przeszukania, a ona nawet nie wiedziała, czego szukać. Jakiegoś śladu obecności Czarnych Ajah, czy raczej niebezpieczeństwa grożącego Randowi. Gdyby była prawdziwą Śniącą, wyszkoloną w używaniu swego talentu, z pewnością by wiedziała, czego szukać oraz jak interpretować to, co zobaczy. Nie było już jednak żadnej kobiety, która mogłaby ją uczyć. Mądre z ludu Aiel podobno wiedziały, jak odczytywać sny. Aviendha mówiła z taką niechęcią o Mądrych, że Egwene nie zapytała już o nie żadnego innego Aiela. Być może jakaś Mądra mogłaby ją nauczyć. Jeśli jakąś znajdzie.

Zrobiła krok w stronę placu i nagle znalazła się gdzie indziej.

Wokół niej wznosiły się kamienne iglice, w upale, który wysysał wilgoć z oddechu. Słońce paliło przez materię sukni, a wiatr wiejący w twarz wydawał się wydobywać wprost z pieca. Skarłowaciałe drzewa nakrapiały krajobraz pozbawiony innej roślinności, z wyjątkiem paru plam stwardniałej trawy i kolczastych roślin, których nie znała. Rozpoznała jednak lwa, nawet jeśli nigdy przedtem nie widziała go na własne oczy w naturze. Leżał w rozpadlinie między skałami, w odległości niecałych dwudziestu kroków, ogon z czarnym chwostem kiwał się leniwie, patrzył nie na nią, lecz na coś innego w odległości stu kroków. U podstawy ciemnego krzewu rył i węszył wielki dzik, porośnięty szorstką szczecina, nie wi-

dząc pełznącej ku niemu kobiety z włócznią gotową do rzutu. Ubrana była jak inni Aielowie, których Egwene widywała w Kamieniu, na głowie miała udrapowaną *shoufe*, ale twarz odsłoniętą.

„Pustkowie — pomyślała z niedowierzaniem Egwene. — Znalazłam się na Pustkowie Aiel! Kiedy ja wreszcie nauczę się pilnować tego, o czym myślę?”

Kobieta zastygła. Utkwiła teraz oczy w Egwene, nie w dziku. O ile to rzeczywiście był dzik, sylwetkę bowiem miał nieco odmienną od znanego jej zwierzęcia.

Egwene była przekonana, że kobieta nie jest Mądrą. Ubrana inaczej niż Panna, a poza tym Egwene powiedziano, że Panna Włóczni, która chce zostać Mądrą, musi „porzucić włócznię”. Musiała to być po prostu zwykła mieszkanka Pustkowie, której przyśnił się *Tel'aran'rhiod*, tak jak tamtemu jegomościowi z pałacu. On też by ją zauważył, gdyby się odwrócił. Egwene zamknęła oczy i skoncentrowała się na wyraźnym obrazie Tanchico, na tamtym ogromnym szkielecie w wielkiej komnacie.

Kiedy je na powrót otworzyła, znowu przed oczyma miała ów szkielet. Zauważyła tym razem, że kości są powiązane drutem. Starannie, tak że drut był właściwie niewidoczny. Połowa figurki z kryształową kulą wciąż stała na półce. Nie podeszła bliżej ani do niej, ani do czarnej obręczy i bransolet, które wywoływały uczucie takiego bólu i cierpienia. Jednak *angreal* stanowił pokusę.

„Co zamierzasz z nim zrobić? Światłości, jesteś tu po to, by patrzeć, szukać! Nic więcej. Zabierz się za to, kobieto!”

Tym razem szybko znalazła drogę do placu. Czas tutaj płynął inaczej, Elayne i Nynaeve mogły ją obudzić lada moment, a ona jeszcze nawet nie zaczęła. Być może nie było już ani chwili do stracenia. Od tego momentu musi uważać na to, co myśli. Dość myślenia o Mądrych. Zdekoncentrowała się i już wszystko wokół niej zadygotało.

„Skup się na tym, co robisz” — przykazała sobie stanowczo.

Wędrowała szybkim krokiem przez wyludnione miasto, czasem biegnąc. Kręte, wybrukowane ulice wznosiły się i opadały, skręcając we wszystkie możliwe strony, całkiem puste, wyjąwszy gołębie o zielonych grzbietach i bladoszare mewy, które wzbijały się w powietrze, łopocząc skrzydłami, kiedy się do nich zbliżała. Dlaczego ptaki, a ludzie nie? Obok przelatywały z bzyczeniem muchy, widziały też karaluchy i żuki umykające w cieniu. Daleko w przodzie ulicę przebiegło susami stado wychudłych psów. Skąd te psy?

Zmusiła się, by myśleć wyłącznie o przyczynie, dla której się tu znalazła. Jaki ślad mogły po sobie zostawić Czarne Ajah? Na czym mogło polegać niebezpieczeństwo, grożące Randowi, o ile rzeczywiście coś mu groziło? Większość białych budynków była otynkowana, tynk łuszczył się i pękał, często obnażając postarzałe drewno lub jasnobrązowe cegły. Jedynie wieże i większe budowle — pałace, jak przypuszczała — zbudowano zapewne z kamienia, skoro wciąż były białe. Jednakże nawet w kamieniu pojawiły się maleńkie szczeliny, pęknięcia zbyt

mikroskopijne, by mogło je wychwycić oko, ale czuła je dzięki wypełniającej ją Mocy, czuła pajęczynę, która oplótła kopuły i wieże. Być może to coś oznaczało. Być może to oznaczało, że Tanchico to miasto, o które jego mieszkańcy przestali dbać. Było to równie prawdopodobne jak i inne wyjaśnienia.

Podsoczyła, kiedy nagle z nieba sfrunął jej prosto pod nogi jakiś przeraźliwie krzyczący mężczyzna. Starczyło czasu tylko na to, by zarejestrować bufiaste, białe spodnie, gęste wąsy i przezroczysty woal, zanim zniknął, zaledwie krok ponad chodnikiem. Gdyby się o niego roztrzaskał, tutaj w *Tel 'aran 'rhiod*, znaleziono by go w łóżku martwego.

„Prawdopodobnie miał tyle wspólnego z wszystkim co karaluchy” — powiedziała sobie.

Może coś w tych budynkach. Niewielka szansa, niczym nie uprawomocniona nadzieja, była już jednak dostatecznie zdesperowana, by spróbować byle czego. Wszystko jedno. Czas. Ile jej czasu zostało? Zaczęła biec od drzwi do drzwi, wsadzając głowę do wnętrz sklepów, gospód i domów.

We wspólnych izbach na gości czekały stoły i ławy, ustawione w należytym porządku, podobnie jak mętnie połyskujące cynowe kufle i talerze na półkach. W każdym sklepie panował taki ład, jakby ich właściciel ledwie co zdążył go otworzyć rano. Na stołach krawieckich leżały bele tkanin, noże i nożyce, a mimo to w sklepie rzeźnickim na hakach nic nie wisiało, a półki były puste. Gdziekolwiek przejechał palec, nie zbierał ani odrobiny kurzu, wszystko było tak czyste, że zadowoliliby nawet jej matkę.

W węższych uliczkach stały domy, niewielkie, pospolite, otynkowane na biało budynki z płaskimi dachami, pozbawione okien wychodzących na ulicę, gotowe, by rodziny mogły tam wejść i zasiąść na ławach przed zimnymi kominkami albo wokół okrągłych stołów z rzeźbionymi nogami, na których pyszniła się najlepsza misa albo półmisek pani domu. Na kołkach wisiały ubrania, z pował zwisały garnki, na ławach leżały ręczne narzędzia, czekały.

Tknięta przecuciem cofnęła się po własnych śladach, żeby tylko coś sprawdzić, o kilkanaście drzwi wstecz, i zajrzała po raz drugi do domu, który w rzeczywistym świecie musiał należeć do jakiejś kobiety. Było prawie tak samo. Prawie. Misa w czerwone paski, która przedtem stała na stole, przemieniła się w wąski, niebieski wazon, popękana uprząż i narzędzia, czekające poprzednio na naprawę na jednej z ław przy kominku, leżały teraz obok drzwi, gdzie stał koszyk z przędzą i haftowaną, dziecięcą sukienką.

„Dlaczego tu się zmieniło? — zastanawiała się. — Ale z kolei z jakiego powodu miałyby się nie zmienić? Światłości, nic nie wiem!”

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się stajnia, spod białego tynku wyzierała czerwienią odsłonięta cegła. Podbiegła bliżej i otworzyła na oścież skrzydło wielkich drzwi. Klepisko pokrywała słoma, tak jak w każdej stajni, którą w życiu widziała, ale w przegrodach było pusto. Żadnych koni. Dlaczego? Coś zaszeleści-

ło w słomie i wtedy sobie uświadomiła, że w przegrodach wcale nie jest pusto. Szczury. Kilkanaście, wpatrywały się w nią śmiało, noski szukały woni. Żaden ze szczurów nie uciekł, ani nawet się nie schował, zachowywały się tak, jakby miały większe prawo tu być niż ona. Wbrew sobie cofnęła się.

„Gołębie, mewy, psy, muchy i szczury. Może jakaś Mądra wiedziałaby dlaczego”.

Nagle znalazła się z powrotem w Pustkowiu.

Z przeraźliwym krzykiem upadła na wznak, kiedy włochate, podobne do dzika stworzenie, wielkie niczym kuc, rzuciło się prosto na nią. To nie świnia, zauważyła, gdy przeskoczyło zwinnie ponad nią, pysk miało pełen ostrych zębów, a każda łapa obdarzona była czterema palcami. Myślała o tym spokojnie, zadrżała jednak, kiedy bestia pierzchła między skały. Była dostatecznie wielka, by ją stratować, łamiąc kości albo i gorzej, te zęby mogły pokąsać i rozerwać ciało, tak jak wilcze kły. Obudziłby ją ból ran. O ile w ogóle by się obudziła.

Skała, która chrzęściła pod jej plecami, przemieniła się w płytę pieca, która w każdej chwili mogła ją całą poparzyć. Zła na siebie, niezdarnie powstała. Jeżeli nie przykuje umysłu do tego, co ma zrobić, to niczego nie osiągnie. Miała być w Tanchico i musiała się na tym skoncentrować. Na niczym innym.

Przestała otrzępywać spódnice, spostrzegła bowiem kobietę Aiel przyglądającą się jej przenikliwymi, niebieskimi oczyma z odległości dziesięciu kroków. Kobieta była w wieku Aviendhy, niewiele starsza od niej, jednakże kosmyki włosów, które wystawały spod *shoufy*, były jasne, niemal białe. Włócznia w jej dłoniach była gotowa do rzutu, a z tej odległości raczej nie mogła chybić.

O Aielach powiadano, że potrafią być skrajnie bezwzględni wobec tych, którzy weszli do Pustkowa bez zezwolenia. Egwene wiedziała, że może owinąć kobietę i włócznię Powietrzem, unieruchomić je bezpiecznie, ale czy strumienie utrzymają się dostatecznie długo, gdy ona zacznie znikać? Czy raczej rozszoszczą kobietę tak, że ciśnie włócznią, jeszcze zanim Egwene na dobre zniknie? Dużo by jej przyszło dobrego, gdyby wróciła do Tanchico przebita włócznią. Gdyby związała strumienie, to pozostawi kobietę uwięzioną w *Tel'aran'rhiod* tak długo, aż nie zostaną rozwiązane, bezbronną w razie gdyby wrócił lew albo to podobne do dzika stworzenie.

Nie. Wystarczyło tylko, by kobieta opuściła włócznię, na dostatecznie długo, by Egwene poczuła, że może bezpiecznie zamknąć oczy i przenieść się z powrotem do Tanchico. Z powrotem tam, gdzie miała działać. Nie dysponowała już czasem na kolejne wloty fantazji. Nie całkiem wiedziała, czy ktoś, kto wśnił się w *Tel'aran'rhiod*, mógł jej zrobić krzywdę w takim samym stopniu jak inne rzeczy, ale nie miała zamiaru narażać się na ryzyko. Kobieta powinna zniknąć za kilka chwil. Do tego czasu musiała jakoś zbić ją z pantałyku.

Zmiana ubrania była łatwa, wystarczyło, że pojawiła się myśl, a Egwene już nosiła te same brzozy i szarości co kobieta.

— Nie chcę ci zrobić nic złego — powiedziała z pozornym spokojem.

Kobieta nie opuściła broni. Zmarszczyła brwi i powiedziała:

— Nie masz prawa nosić *cadin'sora*, dziewczyno.

Wtedy Egwene odkryła, że stoi tam, we własnej skórze, słońce paliło ją z góry, a ziemia parzyła jej bosc stopy.

Przez chwilę wytrzeszczała z niedowierzaniem oczy, przeskakując z nogi na nogę. Nie myślała, że można zmieniać coś u kogoś innego. Tyle możliwości, tyle zasad, nie mogła się w tym wszystkim połąpać. Pośpiesznie pomyślała o mocnych butach i ciemnej sukni z dzielonymi spódnicami, sprawiając jednocześnie, że tradycyjne odzienie kobiet Aielów zniknęło. Żeby tego dokonać, musiała zaczerpnąć Mocy z *saidara*, kobieta wyraźnie skoncentrowała się, by zachować jej nagość. Trzymała strumień w pogotowiu, żeby złapać włócznie, gdyby kobieta postanowiła jednak nią rzucić.

Tym razem kobieta wyglądała na zaszokowaną. Włócznie wypadła jej z rąk, a Egwene skorzystała z okazji, by zamknąć oczy i wrócić do Tanchico, z powrotem do szkieletu ogromnego dzika. Czy cokolwiek to było. Tym razem ledwie obejrzała się powtórnie. Zaczynały ją nużyć stworzenia, które wyglądały jak dziki, a wcale nimi nie były.

„Jak ona to zrobiła? Nie! Stale zbaczam z drogi przez to ciągle zastanawianie się nad metodami i przyczynami. Tym razem wytrwam”.

Wahała się jednak. W momencie gdy zamknęła oczy, odniosła wrażenie, że za plecami kobiety widzi inną, która obserwuje je obydwie. Złotowłosą kobietę z łukiem w ręku.

„Znowu pozwalasz, by brały nad tobą górę jakieś dzikie fantazje. Nasłuchiłaś się zbyt wielu opowieści Thoma Merrilina”.

Birgitte umarła dawno temu, nie mogła się pojawić, dopóki Róg Valere nie przywołał jej z grobu. Martwe kobiety, nawet bohaterki z grobów, z pewnością nie mogły się wśnić do *Tel'aran'rhiod*.

Ta pauza trwała jednak tylko chwilę. Rezygnując z jałowych spekulacji, pobiegła z powrotem na plac. Ile zostało jej czasu? Całe miasto do przeszukania, czas wymykał się z rąk, a ona była równie głupia jak na początku. Gdyby chociaż miała jakiś pomysł, koncepcję określającą, czego należy szukać. Albo gdzie. Bieganie jakoś nie wydawało się ją męczyć tutaj, w Świecie Snów, ale nawet gdyby biegła, najszybciej jak potrafi, nigdy nie zdążył zwiedzić całego miasta, zanim Elayne i Nynaeve ją obudzą. Nie chciała jeszcze wracać.

Nagle pośród stada gołębi, zgromadzonych na placu, pojawiła się jakaś kobieta. Miała bladozieloną suknię, cienką i tak obcisłą, że zachwyciłaby Berelain, ciemne włosy zaplecione w kilkanaście drobnych warkoczyków, a jej twarz, z wyjątkiem oczu, była skryta za przezroczystym woalem, takim samym, jaki miał spadający mężczyzna. Gołębie poderwały się do lotu, kobieta też szybowała chwilę nad najbliższymi dachami, po czym zniemacka zamigotała i przestała istnieć.

Egwene uśmiechnęła się. Całe życie marzyła i śniła o lataniu jak ptak, a to w końcu był sen. Podskoczyła w górę i zaczęła się wznosić, w stronę dachów. Zachybotwała się, gdy sobie uprzytomniła, jakie to wszystko niedorzeczne — Latanie? Ludzie nie latają! — po czym odzyskała równowagę i pewność siebie. Udało jej się. To był sen, a ona latała. Wiatr wiał jej w twarz, a ona miała ochotę śmiać się jak szalona.

Przemknęła ponad Kręgiem Panarch, z rzędami kamiennych ław ustawionych na zboczu, od wysokiego muru aż po szeroką połą ubitej ziemi w samym środku. Wystarczyło tylko sobie wyobrazić tyłu zgromadzonych ludzi i pokaz fajerwerków zorganizowany przez sam Cech Iluminatorów. W domu fajerwerki były czymś rzadkim. Pamiętała, jak kilka razy goszczono ich w Polu Emonda, dorośli byli wtedy równie podnieceni jak dzieci.

Żeglowała ponad dachami jak sokół, ponad pałacami i kamienicami, skromnymi domostwami i sklepami, magazynami i stajniami. Sunęła obok kopuł zwieńczonych złotymi iglicami i wiatrowskazami z brązu, obok wież otoczonych balkonami z kamiennych koronek. Na dziedzińcach stały gotowe do drogi, podobne do kropek, fury i powozy. W porcie i na wodach zatoczek, oddzielających półwyspy, na których położone było miasto, tłoczyły się statki zakotwiczone w dokach. Wszystko zdawało się domagać napraw, od wozów po statki, ale nic, co zobaczyła, nie wskazywało na obecność Czarnych Ajah. Tyle dotychczas się dowiedziała.

Zastanawiała się, czy nie przywołać wizji Liandrin — aż za dobrze знаła tę lalkowatą twarz, mnogie blond warkoczyki, brązowe, pełne samozadowolenia, oczy i drwiące, podobne do pączka róży usta — czy nie wyobrazić jej sobie w nadziei, że to ją zawiedzie do miejsca, w którym przebywa Czarna siostra. Gdyby jednak to się powiodło, mogłaby wówczas napotkać Liandrin w *Tel'aran'rhiod*, a być może również i pozostałe. Nie była na to gotowa.

Nagle przyszło jej na myśl, że jeśli któraś z Czarnych Ajah jest w Tanchico, w Tanchico z *Tel'aran'rhiod*, to ona właśnie teraz paraduje przed nimi. Każde oko, które właśnie spojrzało na niebo, zauważy frunącą kobietę, kobietę, która nie znika po kilku chwilach. Jej gładki lot utracił płynność i opadła w dół, do poziomu dachów, lecąc ponad ulicami wolniej niż przedtem, ale nadal prześcigając prędkością cwałującego konia. Może pędziła prosto na nie, ale nie potrafiła się zatrzymać.

„Idiotka! — skarciła siebie ze złością. — Idiotka! Do tej pory mogły się już dowiedzieć, że tu jestem. Już mogły zastawić pułapkę”.

Zastanawiała się, czy nie wyjść ze snu, czy nie wrócić do swego łóżka w Łzie, ale przecież niczego nie znalazła. O ile tu cokolwiek można było znaleźć.

Nagle pojawiła się przed nią wysoka, szczupła kobieta, w obszernej brązowej spódnicy i luźnej białej bluzce, z brązowym szalem na ramionach i złożoną szarfą na czole, podtrzymującą jasne włosy, które spływały jej do pasa. Mimo prostego stroju nosiła całe mnóstwo naszyjników i bransolet ze złota, kości słoniowej

albo jednego i drugiego. Z pięściami wspartymi o biodra wpatrywała się prosto w Egwene, marszcząc czoło.

„Jeszcze jedna głupia kobieta, która wyśniła sobie miejsce, w którym nie ma prawa być, i która nie wierzy w to, co widzi” — pomyślała Egwene.

Znała opisy wszystkich kobiet, które odeszły z Liandrin, i ta kobieta z pewnością nie pasowała do żadnego z nich. A jednak nie zniknęła, stała tam, Egwene natomiast zbliżała się do niej szybko.

„Dlaczego ona nie znika? Dlaczego...? Och, Światłości! Ona to naprawdę...!”

Manipulując niezdarnie z zaskoczenia i pośpiechu, sięgnęła prędko po strumienie, by utkać z nich błyskawicę, by oplątać kobietę Powietrzem.

— Postaw nogi na ziemi, dziewczyno — warknęła kobieta. — Miałam już i tak dość kłopotów z ponownym odnalezieniem ciebie, nie musisz jeszcze do tego latać, jak jakiś ptak.

Nagle lot Egwene skończył się. Omal nie straciła równowagi, gdy jej stopy opadły z ciężkim łomotem na chodnik. Słyszała głos tamtej kobiety z Pustkowia, ale ta była starsza. Nie tak stara, jak się Egwene z początku wydawało — w rzeczy samej wyglądała na znacznie młodszą, niż to sugerowały włosy — jednakże na podstawie głosu, tych przenikliwych niebieskich oczu, nabrała pewności, że to ta sama kobieta.

— Wyglądasz... inaczej — powiedziała.

— Tutaj można być taką, jaką się chce. — W głosie kobiety brzmiało zażenowanie, ale jedynie nieznaczące. — Czasami lubię sobie przypominać... Nieważne. Jesteś z Białej Wieży? Minęło sporo czasu, odkąd żyła tam ostatnia spacerująca po snach. Bardzo wiele. Jestem Amys, z klanu Dziewięciu Dolin, z Taardad Aiel.

— Jesteś Mądrą! Ależ tak! I znasz się na snach, znasz się na *Tel'aran'rhiod!* Możesz... Mam na imię Egwene. Egwene al'Vere. Ja... — Zrobiła głęboki wdech, Amys nie wyglądała na kobietę, którą można okłamywać. — Jestem Aes Sedai. Z Zielonych Ajah.

Wyraz twarzy Amys bynajmniej się nie zmienił. Lekkie zmarszczenie brwi zdradzało, że wątpi w prawdziwość jej słów. Egwene ledwie wyglądała na dostatecznie dorosłą, by być pełną Aes Sedai. Powiedziała jednak:

— Miałam zamiar cię zostawić w twojej własnej skórze, dopóki mnie nie poprosisz o jakieś odpowiednie ubranie. Przebranie się w *cadin'sor*, jakbyś była... Zaskoczyłaś mnie, uwalniając się w taki sposób, kierując moją własną włócznię przeciwko mnie. Ale wciąż jesteś niewyszkolona, mimo że silna, nieprawdaż? Bo inaczej nie wskoczyłabyś w sam środek polowania, gdzie najwyraźniej wcale nie chciałaś się znaleźć. A to latanie? Czyżbyś przybyła do *Tel'aran'rhiod* — *Tel'aran'rhiod!* — żeby zwiedzać to miasto, gdziekolwiek ono jest?

— To Tanchico — powiedziała słabym głosem Egwene.

„Nie wiedziała tego”.

W jaki sposób jednak Amys ją śledziła, jak ją znalazła? To było oczywiste, że ona wie więcej o Świecie Snów, niż Egwene zdołała się do tej pory dowiedzieć.

— Możesz mi pomóc. Usiłuję odnaleźć kobiety, które należą do Czarnych Ajah, do Sprzymierzeńców Ciemności. Myślę, że one tu są, a jeśli to prawda, chcę wiedzieć gdzie.

— A zatem one naprawdę istnieją. — Amys wyszeptała te słowa. — Ajah Goniące za Cieniem z Białej Wieży. — Potrząsnęła głową. — Jesteś jak dziewczyna świeżo poślubiona włóczni, której się wydaje, że może pójść w zapasy z mężczyznami i przeskakiwać góry. Dla takiej to oznacza kilka siniaków i cenną lekcję pokory. Dla ciebie, tutaj, mogłoby równać się śmierci. — Amys zmierzyła wzrokiem otaczające je białe budynki i skrzywiła się. — Tanchico? W... Tarabon? To miasto umiera, pożera samo siebie. Tu panuje mrok, zło. Gorsze od tego, które mogą uczynić mężczyźni. Albo kobiety. — Spojrzała znacząco na Egwene. — Ty tego nie widzisz ani nie czujesz, prawda? A chcesz polować na Goniące za Cieniem w *Tel'aran'rhiod*.

— Zło? — powtórzyła szybko Egwene. — To by do nich pasowało. Jesteś pewna? Jeśli ci powiem, jak wyglądają, to czy będziesz pewna, że to one? Potrafię je opisać. Potrafię opisać każdą, co do ostatniego szczegółu.

— Dziecko — mruknęła Amys — które domaga się srebrnej bransolety od ojca, mimo że nie wie nic o handlu ani wytwarzaniu bransolet. Musisz się dużo nauczyć. O wiele za dużo, by warto było zaczynać naukę już teraz. Przyjedź do Ziemi Trzech Sfer. Roześlę wiadomość do klanów, że pewna Aes Sedai, której imię brzmi Egwene al'Vere, ma przybyć do mnie, do Twierdzy Zimnych Skał. Podaj swoje imię i pokaż pierścień Wielkiego Węża, a będziesz poruszała się bezpiecznie. Teraz jestem tutaj, ale powrócę z Rhuidean, zanim ty tam dotrzesz.

— Błagam, musisz mi pomóc. Muszę wiedzieć, czy one tu są. Muszę wiedzieć.

— Kiedy ja ci nie mogę powiedzieć. Nie znam ani ich, ani tego miejsca, tego Tanchico. Musisz do mnie przyjechać. To, co robisz, jest niebezpieczne, daleko bardziej niż ci się wydaje. Musisz... Dokąd idziesz? Zostań!

Coś wydawało się porywać Egwene, wciągać ją w mrok.

Ściągał ją głos Amys, głuchy i coraz cichszy.

— Musisz do mnie przyjechać i uczyć się. Musisz...



# TANCHICO CZY WIEŻA

Elayne odetchnęła z ulgą, gdy Egwene nareszcie się poruszyła i otworzyła oczy. Twarz Aviendhy, która kuliła się u stóp łoża, straciła wyraz przygnębienia i niepokoju, błyskawicznie rozpromieniając się w uśmiechu. Przed kilkoma minutami, które zdawały się trwać godzinę, płomień świecy dotarł do zostawionego przez nią znaku.

— Nie chciałaś się obudzić — powiedziała niepewnie Elayne. — Potrzaśałam tobą i potrzaśałam, a ty wciąż nie dawałaś się obudzić. — Zaśmiała się krótko. — Och Egwene, przestraszyłaś nawet Aviendhę.

Egwene położyła dłoń na jej ramieniu i ścisnęła je uspokajająco.

— Wróciłam. — W jej głosie słychać było zmęczenie, koszulę miała przepocną na wylot. — Zdaje mi się, że miałam powód, by zostać nieco dłużej, niż planowałyśmy. Następnym razem będę ostrożniejsza. Obiecuję.

Nynaeve odstawiła energicznie dzbanek na umywalkę, wychlapując odrobinę wody. Doszła do etapu, w którym chciała spryskać nią twarz Egwene. Wyglądała na opanowaną, ale dzbanek zaszczękał na umywalce, a rozlana woda popłynęła na dywan.

— Coś znalazłaś? A może...? Egwene, jeśli Świat Snów może cię w jakiś sposób zatrzymać, to może jest zbyt niebezpieczny, poczekaj, dopóki nie nauczysz się czegoś więcej. Może im częściej tam przebywasz, tym trudniej jest wrócić. Może... nie wiem. Wiem tylko, że nie możemy ryzykować i pozwalać, abyś się w nim zgubiła. — Skrzyżowała ręce na piersiach, gotowa do kłótni.

— Wiem — odparła Egwene, niemalże lekliwie. Brwi Elayne strzeliły w górę, Egwene nigdy się nie lękała Nynaeve. Wszystko, tylko nie to.

Egwene wygramoliła się z łóżka, odrzuciwszy pomoc Elayne, i podeszła do umywalki, żeby obmyć twarz i ręce dość chłodną wodą. Elayne znalazła w szafie suchą koszulę, a tymczasem Egwene ściągnęła z siebie przemoczoną.

— Spotkałam Mądrą, kobietę o imieniu Amys. — Egwene mówiła stłumionym głosem, dopóki nie przepchnęła głowy przez wycięcie w świeżej koszuli. — Powiedziała, że mogę do niej przyjechać, uczyć się o *Tel'aran'rhiod*. W jakimś miejscu na Pustkowiu, zwanym Twierdzą Zimnych Skał.

Na wzmiankę o Mądrej Elayne dostrzegła błysk w oku Aviendhy.

— Znasz ją? Znasz Amys?

Skinienie głowy kobiety Aiel należało opisać słowem „niechętnie”.

— Mądra. Spacerująca po snach. Amys należała do *Far Dareis Mai*, dopóki nie wyrzekła się włóczni, by udać się do Rhuidean.

— Panna! — zakrzyknęła Egwene. — Więc to dlatego... Nieważne. Powiedziała, że teraz przebywa w Rhuidean. Czy wiesz, gdzie jest ta Twierdza Zimnych Skał, Aviendho?

— Oczywiście. Zimne Skały to twierdza Rhuarca. Rhuarc jest mężem Amys. Bywam tam czasami. Kiedyś bywałam. Moja siostra-matka, Lian, to siostra-żona Amys.

Elayne wymieniła zmieszane spojrzenie z Egwene i Nynaeve. Kiedyś Elayne uważała, że wie sporo o Aielach, nauczona przez nauczycieli z Caemlyn, ale od czasu poznania Aviendhy przekonała się, jak tego jest w istocie niewiele. Ich obyczaje i związki tworzyły istny labirynt. Miano pierwszych-siostr wiązało się z posiadaniem tej samej matki, tyle że dla przyjaciółek można się stać pierwszą siostrą przez złożenie przysięgi przed Mądrymi. Określenie drugie-siostry oznaczało, że wasze matki były siostrami, a jeśli wasi ojcowie byli braćmi, to nazywano was ojcem-siostrami i nie uważano za tak blisko spokrewnione jak drugie-siostry. Dalej to wszystko gmatwało się jeszcze bardziej.

— Co znaczy „siostra-żona”? — spytała z wahaniem.

— Że macie tego samego męża. — Aviendha zareagowała zmarszczeniem brwi na okrzyk zdumienia Egwene i wytrzeszczone oczy Nynaeve. Elayne częściowo spodziewała się takiej odpowiedzi, ale nadal odruchowo poprawiała spódnice, które były wszak nienagannie gładkie. — Wy nie macie takiego obyczaju? — spytała Panna Włóczni.

— Nie — odparła słabym głosem Egwene. — Nie, takiego nie.

— Ale przecież ty i Elayne kochacie się jak pierwsze siostry. Co byście zrobiły, gdyby jedna z was nie chciała zrezygnować z Randa al'Thora? Walczyłybyście o niego? Pozwoliłybyście, by jakiś mężczyzna zniszczył więź między wami? Czy nie byłoby lepiej, gdybyście obie go poślubiły?

Elayne spojrzała na Egwene. Myśl o... Czy ona byłaby zdolna do czegoś takiego? Nawet z Egwene? Wiedziała, że spąsowiała. Egwene natomiast wyglądała na zaledwie zaskoczoną.

— Ależ ja postanowiłam zrezygnować — odparła Egwene.

Elayne wiedziała, że uwaga jest przeznaczona w takim samym stopniu dla niej, jak i dla Aviendhy, ale natrętna myśl nie dawała się przepędzić. Czy Min miała takie widzenie? Co by zrobiła, gdyby Min rzeczywiście zobaczyła coś takiego?

„Jeśli to Berelain, to uduszę ją i jego też! Jeśli to musi być ktoś, to czemu nie Egwene? Światłości, o czym ja myślę?”

Wiedziała, że traci głowę ze wzburzenia i żeby to ukryć, odezwała się wystudiowanie wesołym głosem.

— Z tego, co mówisz, wynika, że mężczyzna nie ma wyboru w tych sprawach.

— Może powiedzieć „nie” — odparła Aviendha, jakby to było oczywiste — ale jeśli chce którąś poślubić, to musi poślubić obie, jeśli sobie tego zażyczą. Proszę, nie obrażaj się, ale ja byłam zszokowana, kiedy się dowiedziałam, że na waszych ziemiach to mężczyzna prosi kobietę, by wyszła za niego. Mężczyzna powinien dać do zrozumienia, że jest zainteresowany, a potem czekać na kobietę, aż ona przemówi. Oczywiście, niektóre kobiety tak kierują mężczyzną, by sprawdzić, kim się interesuje, ale prawo do pytania należy do nich. Naprawdę nie bardzo się znam na tych sprawach. Od dziecka chciałam być *Far Dareis Mai*. Wszystko, czego chcę od życia, to moja włócznia i moje siostry włóczni — zakończyła dość zapalczywie.

— Nikt nie ma zamiaru cię zmuszać, byś wychodziła za mąż — uspokoiła ją Egwene.

Aviendha spojrzała na nią ze zdumieniem.

Nynaeve chrząknęła głośno. Elayne zastanawiała się, czy ona myśli o Lanie, na jej policzkach z całą pewnością pojawiły się intensywne, barwne plamy.

— Wydaje mi się, Egwene — powiedziała Nynaeve nieco zbyt ożywionym głosem — że nie znalazłaś tego, czego szukałaś, bo inaczej już byś nam o tym opowiedziała.

— Coś znalazłam — odparła ze smutkiem Egwene. — Tylko Amys powiedziała. . . Aviendha, jaką kobietą jest Amys?

Mieszkanka Pustkowie wpatrywała się w dywan, jakby coś widziała.

— Amys jest trudna jak góry i bezlitosna jak słońce — powiedziała, nie podnosząc głowy. — Jest Spacerującą po snach. Może cię nauczyć. Kiedy już położy na tobie swoje ręce, zaciągnie cię za włosy w tę stronę, w którą zechce. Rhuarc jest jedynym, który potrafi się jej sprzeciwić. Nawet inne Mądre zachowują ostrożność, kiedy mówi Amys. Ale ona może cię nauczyć.

Egwene pokręciła głową.

— Chodziło mi o to, czy pobyt w obcym miejscu mógł ją zaniepokoić, zdenerwować? Pobyt w jakimś mieście? Czy dostrzegłaby rzeczy, których tam nie ma?

Śmiech Aviendhy zabrzmiał krótko, ostro.

— Zdenerwować? Amys nie zdenerwowałaby się nawet wówczas, gdyby po przebudzeniu znalazła lwa w swoim łóżku. Ona była Panną, Egwene, i nie zmięknęła, możesz być tego pewna.

— Co ta kobieta zobaczyła? — spytała Nynaeve.

— Nie chodzi o to, że coś zobaczyła — odparła powoli Egwene. — Ja bym tego tak nie nazwała. Powiedziała, że w Tanchico jest jakieś zło. Gorsze niż to, które mogą czynić mężczyźni, tak się wyraziła. To mogły być Czarne Ajah. Nie

kłóć się ze mną, Nynaeve — dodała bardziej stanowczym głosem. — Sny trzeba interpretować. Całkiem możliwe, że to prawda.

Gdy tylko Egwene wspomniała o złu w Tanchico, Nynaeve zaczęła się krzywić, po czym jej grymas zamienił się w nienawistne, piorunujące spojrzenie, kiedy Egwene jej powiedziała, że ma się nie kłócić. Elayne miała czasami ochotę potrząsnąć obiema kobietami. Wtrąciła się szybko, zanim starsza zdążyła wybuchnąć.

— Równie dobrze mogło tak być, Egwene. Rzeczywiście coś znalazłaś. Więcej niż Nynaeve albo ja wierzyłyśmy, że znajdziesz. Nie było tak, Nynaeve? Nie sądzisz?

— Mogło tak być — odburknęła Nynaeve.

— Mogło tak być. — Egwene wcale nie była tym taka uszczęśliwiona. Zrobiła głęboki wdech. — Nynaeve ma rację. Muszę się uczyć tego, co robię. Gdybym wiedziała tyle, ile powinnam, to nie trzeba by mi było mówić o złu. Gdybym wiedziała, co należy, to znalazłabym każdą izbę, w której zatrzymuje się Liandrin, gdziekolwiek teraz jest. Amys może mnie nauczyć. Dlatego... Dlatego muszę do niej jechać.

— Jechać do niej? — Nynaeve była wyraźnie poruszona. — Na Pustkowie Aiel?

— Aviendha może mnie zaprowadzić prosto do Twierdzy Zimnych Skał. — Wzrok Egwene, częściowo wyzywający, po części zalękniony, przemykał między Elayne i Nynaeve. — Gdybym była pewna, że one są w Tanchico, nie pozwoliłabym wam jechać samym. Jeśli tak postanowicie. Jednakże przy pomocy Amys być może mogłabym je odszukać. Może mogłabym... No właśnie, nawet nie wiem., do czego będę zdolna, jestem tylko przekonana, że będę potrafiła znacznie więcej niż teraz. To nie tak, jakbym zamierzała was porzucić. Możecie wziąć sobie ten pierścień. Znaie Kamień dostatecznie dobrze, by tu wrócić w *Tel'aran'rhiod*. Mogę spotkać się z wami w Tanchico. Przekażę wam wszystko, czego nauczę się od Amys. Błagam, powiedzcie, że rozumiecie. Tyle mogę się nauczyć od Amys i potem mogę to wykorzystać, żeby wam pomóc. To będzie tak, jakbyśmy wszystkie trzy były przez nią szkolone. Spacerująca po snach, kobieta, która posiada wiedzę! Liandrin i wszystkie pozostałe będą jak dzieci, nie znają nawet jednej czwartej tego, co my. — Zagryzła wargę jednym, melancholijnym ruchem ust. — Chyba nie sądzicie, że ja przed wami uciekam, prawda? Jeśli tak, to nie jadę.

— Jasne, że musisz jechać — zapewniła ją Elayne. — Będę za tobą tęsknić, ale nikt nam nie obiecywał, że uda nam się pozostać razem, dopóki wszystko się nie skończy.

— Tylko że wy dwie... same... powinnam jechać z wami. Jeśli one naprawdę są w Tanchico, to powinnam być z wami.

— Nonsens — ucięła ostro Nynaeve. — Potrzebujesz szkolenia. Na dłuższą metę to nam się znacznie bardziej przyda niż twoje towarzystwo w Tanchico. Zresztą wcale tak naprawdę nie wiemy, czy one są w Tanchico. Jeśli są, to Elayne

i ja znakomicie sobie poradzimy, ale przecież całkiem możliwe, że po przyjeździe przekonamy się, że to zło to nic innego jak wojna. Światłość wie, wojna każdemu się winna zdawać dostatecznym złem. Być może wrócimy do Wieży jeszcze przed tobą. Musisz uważać na Pustkowi — dodała praktycznym tonem. — To niebezpieczne miejsce. Aviendho, czy będziesz się nią opiekowała?

Zanim kobieta Aiel zdążyła otworzyć usta, rozległo się pukanie do drzwi, po którym natychmiast w pomieszczeniu pojawiła się Moiraine. Aes Sedai omiotła je jednym spojrzeniem, które zważyło, zmierzyło i zbadało je oraz to, co robiły, wszystko bez ani jednego mrugnięcia powieką, które by sugerowało jakieś wnioski.

— Joyia i Amico nie żyją — obwieściła.

— Jaki zatem był powód ataku? — spytała Nynaeve. — Wszystko po to, by je zabić? Zabić, skoro nie mogły odzyskać wolności. Byłam przekonana, że Joyia jest taka pewna siebie, bo spodziewa się uwolnienia. A więc jednak musiała kłamać. Nigdy nie wierzyłam w jej skrucę.

— Być może nie był to główny powód — odparła Moiraine. — Kapitan przeznornie zatrzymał swych ludzi na posterunkach w lochach podczas ataku. Nie zobaczyli ani jednego trolloka ani Myrddraala. A potem znaleziono tę parę martwą. Każda miała dość paskudnie poderżnięte gardło. Uprzednim przybito ich języki do drzwi celi. — Równie dobrze mogła opowiadać o naprawianiu sukni.

Elayne poczuła, jak pod wpływem tego drobiazgowego opisu kurczy się jej żołądek.

— Nie życzyłam im czegoś takiego. Oby Światłość rozświetliła im dusze.

— Już dawno temu sprzedały swe dusze Cieniowi szorstkim tonem zauważyła Egwene. Obie dłonie przyciskała do brzucha. — Jak... Jak to się stało? Szarzy Ludzie?

— Wątpię, czy nawet Szarym Ludziom udałoby się coś takiego — odparła sucho Moiraine. — Jak się wydaje, Cień ma swoje sposoby, które pozostają niedostępne naszej wiedzy.

— Tak. — Egwene wygładziła suknię, w jej głosie również pojawiły się bardziej stanowcze tony. — Skoro nie było próby ich odbicia, to musi oznaczać, że obie mówiły prawdę. Zostały zabite, ponieważ mówiły.

— Albo żeby je powstrzymać przed mówieniem — dodała ponuro Nynaeve. — Możemy mieć tylko nadzieję, że oni nie wiedzą, iż te dwie powiedziały nam wszystko. Być może Joyia rzeczywiście żałowała, ale ja w to nie wierzę.

Elayne przełknęła ślinę, myśląc o tym, jak to jest, gdy się ma twarz przyciśniętą do drzwi celi i czeka, aż wyrwą człowiekowi język i... Zadrżała, ale zmusiła się, by powiedzieć:

— Mogły zostać zabite po prostu w ramach kary za to, że dały się pojmać. — Nie wypowiedziała na głos myśli, że być może zabito je po to, by one uwierzyły w zeznania Joyi oraz Amico, dość miały wątpliwości odnośnie do tego, co robić

teraz. — Trzy możliwości, lecz tylko jedna zakłada, że Czarne Ajah wiedzą o ich zdradzie. Ponieważ wszystkie te trzy możliwości są jednakowo prawdopodobne, istnieje szansa, że o niczym nie wiedzą.

Egwene i Nynaeve wyglądały na wstrząśnięte.

— Ukarano je? — spytała z niedowierzaniem Nynaeve. Pod wieloma względami były od niej twardsze — podziwiała je za to — ale nie wychowały się na dworze w Caemlyn, nie przypatrywały się intrygom, nie nasłuchiwały się opowieści o okrutnych metodach, jakie Cairhienianie i Tairenianie stosowali w Grze Domów.

— Uważam, że Czarne Ajah raczej nie mogły traktować pobłaźliwie żadnej porażki — powiedziała. — Umiem sobie wyobrazić Liandrin, jak wydaje taki rozkaz. Również Joyi z pewnością coś takiego nie przysporzyłoby najmniejszego trudu.

Moiraine obdarzyła ją przelotnym, szacującym spojrzeniem.

— Liandrin — powtórzyła Egwene głosem całkowicie wypranym z wszelkiej barwy. — Tak, ja też potrafię sobie wyobrazić Liandrin albo Joyię, jak wydają taki rozkaz.

— Tak czy inaczej, nie miałyście już czasu na ich dalsze przesłuchiwanie — zauważyła Moiraine. — Jutro, przed południem, miały zostać wsadzone na statek. — W jej głosie słychać było ślad gniewu, Elayne zrozumiała, że Moiraine musi uważać śmierć swych Czarnych sióstr za ucieczkę przed sprawiedliwością. — Mam nadzieję, że niebawem podejmiecie jakąś decyzję. Tanchico czy Wieża?

Elayne napotkała wzrok Nynaeve i lekko skłoniła głowę.

Nynaeve odkloniła się jej, bardziej stanowczo, i dopiero wtedy zwróciła się do Aes Sedai.

— Elayne i ja wybieramy się do Tanchico, jak tylko znajdziemy jakiś statek. Szybki statek. Egwene i Aviendha wybierają się do Twierdzy Zimnych Skał, na Pustkowiu Aiel. — Nie podała powodu, co Moiraine skwitowała uniesieniem brwi.

— Jolien może ją tam zabrać — przerwała chwilową ciszę Aviendha. Unikała wzroku Egwene. — Również Sefela, Bain albo Chiad. Ja... ja wpadłam na pomysł, by pojechać z Elayne i Nynaeve. Jeżeli w Tanchico jest wojna, to przyda im się siostra, która będzie strzegła ich pleców.

— Jeśli tak sobie życzysz, Aviendho — wolno odparła Egwene.

Wyglądała na zaskoczoną i zranioną, ale nie bardziej zaskoczoną niż Elayne. Myślała, że stały się przyjaciółkami.

— Cieszę się, że chcesz nam pomóc, Aviendho, ale to ty powinnaś zaprowadzić Egwene do Twierdzy Zimnych Skał.

— Ona nie wybiera się ani do Tanchico, ani do Twierdzy Zimnych Skał — powiedziała Moiraine, wyjmując ze swego mieszka jakiś list i rozkładając jego stronicę. — To trafiło do mojej ręki godzinę temu. Młody Aiel, który mi to przyniósł, powiedział, że jemu dano to miesiąc wcześniej, zanim którakolwiek z nas

dotarła do Łzy, a mimo to ktoś zaadresował ten list do mnie, w Kamieniu Łzy. — Spojrzała na ostatni arkusz. — Aviendho, czy znasz Amys, z klanu Dziewięciu Dolin, z Taardad Aiel, Bair z klanu Haido z Shaarad Aiel, Melaine z klanu Jhirad z Goshien Aiel. To one to podpisały.

— Wszystkie są Mądrymi, Aes Sedai. Wszystkie są Spacerującymi po snach. — W postawie Aviendhy pojawiła się czujność, choć ona wyraźnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Wyglądała na gotową do walki albo ucieczki.

— Spacerujące po snach — zadumała się Moiraine. — Być może to jest wyjaśnienie. Słyszałam o Spacerujących po snach. — Wróciła do drugiej strony listu. — Oto, co mówią o tobie. To znaczy, co mówiły, jeszcze zanim postanowiłaś przyjechać do Łzy. „Jest wśród tych Panien Włóczni, które przebywają w Kamieniu Łzy, pewna ochocza dziewczyna o imieniu Aviendha, z klanu Dziewięciu Dolin z Taardad Aiel. Ona musi przyłączyć się do nas. Nie będzie więcej zwlekania ani wymówek. Będziemy na nią czekały na zboczach Chaendaer, ponad Rhuidean”. Jest tu więcej o tobie, ale przede wszystkim powiedziane jest, że mam dopilnować, byś udała się do nich bezzwłocznie. Te wasze Mądre wydają rozkazy jak Amyrlin. — Wydała odgłos zniecierpliwienia, który kazał Elayne zastanowić się, czy Mądre próbowały rozkazywać również Aes Sedai. Mało prawdopodobne. I nieprawdopodobne, by taka próba miała się skończyć powodzeniem. A jednak coś w tym liście rozwścieczyło Aes Sedai.

— Jestem *Far Dareis Mai* — odparła ze złością Aviendha. — Nie biegnę jak dziecko, kiedy ktoś wywoła moje imię. Pojadę do Tanchico, jeśli zechcecie.

Elayne wydeła usta w zamyśleniu. To było coś nowego. Nie gniew — już wcześniej widywała zagniewaną Aviendhę, nawet jeśli nie aż do takiego stopnia — lecz ton, który się krył za tymi słowami. Nie mogła tego nazwać inaczej jak dąsaniem się. Równie nieprawdopodobnie brzmiałoby określenie „nadaśany Lan”, ale ono w tym przypadku naprawdę pasowało.

Egwene też to usłyszała. Poklepała Aviendhę po ramieniu.

— Wszystko w porządku. Jeśli chcesz jechać do Tanchico, to ja będę zadowolona, że chronisz Elayne i Nynaeve.

Aviendha obdarzyła ją prawdziwie nieszczęśliwym spojrzeniem.

Moiraine potrząsnęła głową, nieznacznie, ale zdecydowanie.

— Pokazałam to Rhuarcowi. — Aviendha otworzyła usta, na jej twarzy pojawiła się irytacja, mimo to Aes Sedai podniosła głos i bez zająknięcia ciągnęła dalej: — Zgodnie z prośbą zawartą w liście. Jedynie część dotyczącą ciebie, rzecz jasna. Wyraźnie bezwzględnie chce, byś postąpiła tak, jak nakazuje ci list. Jak wręcz rozkazuje list. Myślę, że najroztropniej będzie postąpić tak, jak sobie tego życzy Rhuarc i Mądre, Aviendho. Czyżbyś nie rozumiała?

Aviendha potoczyła dzikim spojrzeniem po izbie, jakby to była pułapka.

— Jestem *Far Dareis Mai* — mruknęła i bez słowa podeszła do drzwi.

Egwene zrobiła jeden krok, unosząc rękę, żeby ją zatrzymać, potem ją opuściła, w momencie gdy drzwi się zatrzasnęły.

— Czego one od niej chcą? — spytała stanowczym tonem. — Zawsze wiedziałas więcej, niż chciałaś zdradzić. Co tym razem ukrywasz?

— Nieważne, jakim motywem kierują się Mądre — odparła chłodno Moiraine — jest to z pewnością sprawa między Aviendhą a nimi. Gdyby sobie życzyła, żebyś się dowiedziała, to by ci sama powiedziała.

— Ty nie potrafisz zaprzestać manipulowania ludźmi — zauważyła z goryczą Nynaeve. — Manipulujesz teraz Aviendhą, nieprawdaż?

— To nie ja. To Mądre. Oraz Rhuarc. — Moiraine złożyła list i schowała go z powrotem do sakiewki. Wyraźnie rzucał się w oczy jej cierpki nastrój. — Aviendha zawsze może mu się sprzeciwić. Wódz klanu to nie to samo co król, na ile się orientuję w obyczajach Aielów.

— Czyżby? — spytała Elayne.

Rhuarc przypominał jej Garetha Bryne'a. Kapitan General Straży Królewskiej jej matki rzadko kiedy tupał nogą, ale kiedy już to robił, to nawet Morgase nie umiała go podporządkować królewskiemu rozkazowi. W tym przypadku nie będzie żadnego rozkazu wydanego z tronu — co wcale nie znaczyło, by Morgase wydała kiedykolwiek jakiś rozkaz Gaiethowi Bryneowi, gdy on stwierdzał, że ma rację, przyszło Elayne do głowy teraz, kiedy się nad tym zastanowiła — i spodziewała się, że Aviendha uda się, nawet bez niego, na zbocza Chaendaer, ponad Rhuidean.

— W każdym razie może wyprawić się razem z tobą w podróż, Egwene. A mys raczej nie spotka się z tobą w Twierdzy Zimnych Skał, skoro zamierza czekać na Aviendhę w Rhuidean. Możecie jechać do Amys razem.

— Ale ja nie chcę — odparła ze smutkiem Egwene — jeśli ona nie chce.

— Nieważne, co komu się chce — oznajmiła Nynaeve — mamy pracę do wykonania. Będziesz potrzebowała wielu rzeczy na wyprawę do Pustkowia, Egwene. Lan mi powie dokładnie co. A Elayne i ja musimy się przygotować do podróży statkiem do Tanchico. Sądzę, że jutro znajdziemy jakiś statek, ale to oznacza, że decyżję o tym, co spakować, musimy powziąć dziś wieczorem.

— W dokach Maule jest statek Atha'an Miere — powiedziała im Moiraine. — Raker. Nie ma szybszych okrętów. Chciałyście przecież szybkiego statku.

Nynaeve posępnie skinęła głową.

— Moiraine — zapytała Elayne — co zamierza teraz zrobić Rand? Po tym ataku... Czy on rozpocznie tę wojnę, której ty chcesz?

— Ja nie chcę żadnej wojny — odparła Aes Sedai. — Chcę, żeby przeżył, by walczył w Tarmon Gai'don. Twierdzi, że powie nam wszystkim jutro, co zamierza zrobić.

Mała zmarszczka przecięła jej gładkie czoło.

— Jutro dowiemy się czegoś więcej niż dzisiaj.



I z tymi słowami opuściła nagle komnatę.

„Jutro — pomyślała Elayne. — Co on zrobi, kiedy mu powiem? Co on powie? Musi zrozumieć”.

Zdeterminowana przyłączyła się do przyjaciółek, by wziąć udział w przygotowaniach.

# PLOTKI

Interesy, tak jak w całym Maule, również w tej tawernie toczyły się jednostajnym rytmem, na podobieństwo rozpędzonego wozu, pełnego gęsi i fajansowych naczyń, który przez całą noc zjeżdża w dół zbocza. Gwar głosów współzawodniczył z ofertą muzyków grających na trzech różnych bębnach, dwóch cymbałach, a także brzuchatym semserze, z którego dobywały się jęklive trele. Usługujące dziewczęta, w ciemnych sukniach do kostek, z kołnierzami wspartymi o podbródki, oraz w kusych, białych fartuszkach, uwijały się wśród zatłoczonych stołów, unosząc kiście fajansowych kufli wysoko nad głową, by ułatwić sobie przeciskanie się przez ciżbę. Bosi dokerzy w skórzanych kamizelach mieszały się w tym tłumie z jegomościami w opiętych kaftanach oraz z nagimi do pasa osobnikami w bufiastych spodniach, podtrzymywanych przez szerokie, kolorowe szarfy. W takiej bliskości portu aż roiło się od cudzoziemskich strojów: wysokich kołnierzy z północy i długich z zachodu, srebrnych łańcuchów na kaftanach i dzwonek przy kamizelach, butów sięgających kolan i butów sięgających ud, naszyjników lub kolczyków zdobiących męskie ciała, koronek przy kaftanach albo koszulach. Któryś, obdarzony barczystymi ramionami i wydatnym brzuchem, nosił rozdwojoną brodę, inny zaś miał nasmarowane czymś wąsy, dzięki czemu lśniły w świetle lamp, skracając się z obu stron wąskiej twarzy. W trzech kątach izby, a także na kilku stołach toczyły się i nieruchomiały kości, srebro prędko wędrowało z rąk do rąk, przy akompaniamencie okrzyków i śmiechu.

Mat siedział samotnie, wsparty plecami o ścianę, w miejscu, skąd mógł widzieć wszystkie drzwi; głównie jednak wpatrywał się we wciąż nie tknięty puchar z ciemnym winem. Nie zbliżał się do grających w kości, ani razu nie zerknął na łydki usługujących dziewcząt. Z racji ścisłości panującego w tawernie ktoś czasem chciał przysiąść się do jego stołu, jednakże po uważniejszym spojrzeniu na twarz Mata raptownie zmieniał zamiar i wbijał się w tłok na jakiejś innej ławie. Palcem umoczone w winie wypisywał jakieś bazgroły na blacie stołu. Ci głupcy nie mieli pojęcia o tym, co się zdarzyło w Kamieniu tego wieczora. Usłyszał wcześniej, jak paru Tairenian wspomniało o jakichś kłopotach — szybkie, nerwowe słowa, które wkrótce przeszły w nerwowy śmiech. Nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć. Niemalże sam pragnął nie wiedzieć. Nie, tak naprawdę to żałował, że nie

ma lepszego pojęcia o tym, co zaszło. Bezustannie jakieś obrazy rozbłyskiwały w jego głowie, migotały w dziurach jego pamięci, nie układając się w żaden sensowny wzór.

*Zgiełk bitwy, która toczyła się gdzieś w oddali, dudnił w czeluściach korytarza echem, tłumionym przez gobeliny. Drżącą dłonią wyswobodził nóż z ciała Szarego Człowieka. Szary Człowiek, który dybał na niego. Odwrócił się, zamierzając uciec, i zobaczył Myrddraala, który kroczył w jego stronę, podobny do czarnego węża toczącego się na nogach. Bezokie spojrzenie ciastowatej twarzy przeszło go dreszczem do szpiku kości. Z odległości trzydziestu kroków cisnął nóż w miejsce, w którym powinno było znajdować się oko.*

*Czarny miecz Pomora zamigotał niewyraźnie, odtrącając sztylet w bok, ruchem lekkim, niemal niedbałym; Pomor nawet nie zgubił kroku.*

*— Czas umierać, Trębacz.*

*Ten głos brzmiał jak syk czerwonej żmii, zapowiedź rychłej śmierci.*

*Mat cofnął się. W obu rękach trzymał noże i nawet nie pamiętał, kiedy je wyciągnął. Wprawdzie nie mogły zdać się na wiele przeciwko mieczowi, jednakże ucieczka mogła oznaczać tylko jedno — czarne ostrze wbite w plecy. Żałował, że nie ma przy sobie dobrej pałki. Albo łuku: chętnie by zobaczył, jak ten stwór próbuje wyrwać ze swego ciała strzałę z tuku wykonanego w Dwu Rzekach. Żałował, że nie jest gdzie indziej. Tutaj bowiem, właśnie tutaj, miał zaraz zginąć.*

*Nagle z bocznego korytarza wypadło około tuzina rozwrzeszczanych trolloków; ogarnięte bitewnym szalem, wymachując toporami i dżgając mieczami, zwały się na Pomora. Mat wpatrywał się w całą scenę z pełnym zdumienia niedowierzaniem. Pótczłowiek walczył niczym zakuta w zbroję trąba powietrzna. Dobra połowa trolloków zdążyła polec lub była bliska śmierci, nim ciało Pomora legło wreszcie w postaci podrygującej sterty porąbanych kawałków.*

*Obdarzony baraniami rogami trollok spojrział na Mata, uniósł pysk, węsząc zapach. Warknął, zaskowytał i jął lizać ranę, ciągnącą się wzdłuż włochatego przedramienia. Pozostałe stwory kończyły podrzynać gardła swym rannym, jeden wyszczał kilka chrapliwych, gardłowych słów. Nie patrząc już więcej na Mata, odwróciły się i potruchtaly dalej, kopyta i buty wydawały głuche odgłosy na kamiennej posadzce.*

Zostawiły go. Zadygotał. Uratowany przez trolloki. W co tym razem wpakował go Rand? Spojrział na to, co narysował za pomocą wina — zarys otwartych drzwi — i gniewnie starł rysunek. Musi stąd uciec. Musi. A jednak słyszał gdzieś, w jakimś zakamarku umysłu ten impuls, który mówił mu, że najwyższy czas wracać do Kamienia. I choć gniewnie odpychał tę myśl, ona stale brzęczała mu w głowie.

Pochwycił strzępek rozmowy, która toczyła się przy stole po jego prawej stronie; jakiś jegomość o szczupłej twarzy ozdobionej zakręconymi wąsami rozwodził się właśnie nad czymś, z ciężkim, lugardzkim akcentem.

— No, ten wasz Smok to wielki bez wątpienia człowiek, nie zaprzeczam, ale on ani się nie umywa do Logaina. No, bo Logain pokonał w wojnie całe Ghealdan, a nadto połowę Amadicii i Altary. Toż za jego sprawą ziemia pochłaniała całe miasta, które mu się oparły. A ten w Saldaei, Maseem? Powiadają wszak, że z jego woli słońce stało tak długo na niebie, aż nie pokonał armii Lorda Bashere. To fakty, tak powiadają.

Mat pokręcił głową. Kamień padł, *Callandor* wpadł w ręce Randa, a temu idiotcie nadal się wydawało, że to jest jeszcze jeden fałszywy Smok. Po raz drugi naszkicował drzwi. Przejeżdżając po rysunku dłonią, schwycił puchar z winem i zatrzymał go w połowie drogi do ust. Jego ucho wyłowiło z wrzawy znajomą nazwę, która padła przy sąsiednim stole. Ława zaszurała, gdy wstał, by z pucharem w ręku podejść do tamtego stołu.

Usadowieni przy nim ludzie tworzyli ten sam rodzaj dziwacznej zbieraniny, jaką się często spotykało w tawernach Maule. Dwóch bosych marynarzy z nagimi torsami w zatłuszczonych kaftanach, szyję jednego opinał ciasno gruby złoty łańcuch. Mężczyzna o obwisłych policzkach, niegdyś tęgi, w ciemnym cairhieńskim kaftanie z rozcięciami na piersi, wypełnionymi czerwienią, złotem i zielenią, co mimo rozdartego na ramieniu rękawa mogło oznaczać arystokratyczne pochodzenie — wielu cairhieńskich uchodźców zawędrowało w dalekie zakątki świata. Siwowłosa kobieta, cała w zgaszonych granatach, o twardej twarzy i bystrym oku, z ciężkimi, złotymi pierścieniami na palcach. I wreszcie mówca, jegomość z rozwidloną brodą i rubinem wielkości gołębiego jaja w uchu. Trzy srebrne łańcuchy zapętlone na piersi spowitej w ciemną czerwień kaftana zdradzały, że to mistrz kupiecki z Kandoru. W Kandorze mieściła się gildia kupiecka.

Rozmowa zamarła i oczy wszystkich skierowały się na Mata, gdy przystanął przy ich stole.

— Słyszałem, jak wspominaliście Dwie Rzeki.

Widłobrody omiółł szybkim spojrzeniem rozczochrane włosy, zacięty wyraz twarzy i pięść powalaną winem, błyszczące czarne buty, zielony kaftan ze złotymi pętlami, rozpięty do pasa, spod którego wyzierała śnieżnobiała płócienna koszula; zarówno kaftan, jak i koszula były potwornie wymięte. Mówiąc w skrócie, idealny obraz młodego arystokraty, zażywającego rozrywek pospólstwa.

— A jakże, wspomniałem, mój panie — odparł uprzejmie. — Gotów się jestem założyć, tak powiedziałem, że w tym roku nie będzie tytoniu. Ja jednak mam dwadzieścia beczulek najprzedniejszego liścia z Dwu Rzek, lepszego nie znajdziesz. Pod koniec roku wyznaczę nań znakomitą cenę. Gdyby mój pan życzył sobie beczulkę dla własnych zapasów... — Skubnął jedną z końcówek żółtej brody i przyłożył palec do skrzydełka nosa. — ... to pewien jestem, że mógłbym...

— A więc gotów jesteś się założyć? — spytał cicho Mat, wchodząc mu w słowo. — Dlaczego miałyby zabraknąć tytoniu z Dwu Rzek?

— A to przez Białe Płaszczce, mój panie. Przez Synów Światłości.

— Co z Białymi Płaszczami?

W tym cichym głosie pobrzmiwała jakaś niebezpieczna nuta i starszy kupiec potoczył wzrokiem dookoła stołu w poszukiwaniu pomocy. Miny marynarzy wskazywały, że gdyby starczyło im śmiałości, to by wstali i wyszli. Cairhienin popatrzył na Mata spode łba, zachwiał się, wyprostował jakoś tak nazbyt sztywno i wygładził kaftan; stojący przed nim pusty puchar nie był najwyraźniej jego pierwszym. Siwowłosa kobieta podniosła swoje naczynie do ust, przenikliwymi oczyma szacując znad jego brzegu postać Mata.

Kupiec zdołał się jakoś uklonić na siedząco, potem uderzył w przymilny ton.

— Chodzą plotki, mój panie, że do Dwu Rzek przyjechały Białe Płaszcze. Polować na Smoka Odrodzonego, tak się mówi. Chociaż to nie może być prawdą, jako że Smok Odrodzony jest tutaj, w Łzie. — Zmierzył wzrokiem Mata, by sprawdzić, jak to zostało przyjęte, twarz Mata jednak nie uległa zmianie.

— Być może te plotki biorą się zupełnie znikąd, mój panie. Być może to tylko wiatr w cebrze. Powiadają także, że Białe Płaszcze ścigają jakiegoś Sprzymierzeńca Ciemności, który ma żółte oczy. Słyszałeś kiedy o człowieku, który by miał żółte oczy, mój panie? Ja też nie. To wiatr w cebrze.

Mat odstawił swój puchar na stół i pochylił się w stronę mężczyzny.

— Kogo jeszcze ścigają? Co jeszcze mówią plotki? Smoka Odrodzonego. Człowieka z żółtymi oczami. Kogo jeszcze? Na twarz kupca wystąpiły pacior-ki potu.

— Nikogo, mój panie: O nikim więcej nie słyszałem. To tylko plotki, mój panie. Słoma na wietrze, nic więcej. Kłęb dymu, który wnet się rozwieje. Czy mógłbym mieć ten zaszczyt i sprezentować mojemu panu beczułkę tytoniu z Dwu Rzek? W dowód uznania... przez zaszczyt... żeby wyrazić swoje...

Mat cisnął na stół złotą andorańską koronę.

— Pij za moje, póki starczy.

Kiedy się odwracał, usłyszał szmer od strony stołu.

— Już myślałem, że poderżnie mi gardło. Wiecie, jakie są te paniątka, kiedy sobie popijają. — Słowa te dobiegły od widłobrodego kupca.

— Dziwny młody człowiek — zauważyła kobieta. — Niebezpieczny. Lepiej nie próbuj swych zabiegów wobec takich jak on, Paetram.

— Według mnie on wcale nie jest lordem — stwierdził rozdrażnionym tonem drugi mężczyzna. Cairhienin, zdaniem Mata. Wydał usta. Lord? Nie zostałby lordem, nawet gdyby go o to proszono.

„Białe Płaszcze w Dwu Rzekach. Światłości! Światłości, dopomóż nam!”

Przedarłszy się do drzwi, wyciągnął ze stosu pod ścianą parę drewnianych chodaków.

Zaczęło padać; lekka mżawka zdawała się pogłębiać mrok. Postawił kołnierz, a potem, rozbryzgując wodę, niezdarnie pobiegł błotnistymi ulicami Maule, obok

tętniących hałasem tawern, rześcicie oświetlonych gospód i domów z pociemniałymi oknami. Gdy przy murze wyznaczającym granice wewnętrznego miasta w miejsce błota pojawiły się kamienie bruku, zrzucił kopniakiem chodaki i zostawił je na ulicy, a sam pobiegł dalej. Obrońcy, którzy strzegli najbliższej bramy Kamienia, pozwolili mu przejść bez słowa. Wiedzieli, kim jest. Drogę do izby Perrina pokonał biegiem, otworzył z rozmachem drzwi, ledwie zauważając wyłupaną w nich szczelinę. Sakwy Perrina leżały na łóżku, on sam zaś upychał do nich koszule i pończochy. Paliła się tylko jedna świeca, ale on zdawał się nie zważać na panujący mrok.

— A więc słyszałeś — powiedział Mat.

Perrin nie przerwał swego zajęcia.

— O domu? Tak. Poszedłem węszyć za jakimiś plotkami dla Faile. Po dzisiejszym wieczorze, jeszcze bardziej niż przedtem, muszę ją. . . — Pomrukiwania dobywające się z głębi gardła przyjaciela i przypominające warczenie rozszalonego wilka sprawiły, że Matowi włosy stanęły dęba na głowie. — Nieważne. Słyszałem. Może to też wystarczy.

„To też, czyli co?” — zastanowił się Mat.

— Wierzysz w to?

Perrin na moment podniósł wzrok, jego oczy odbijały światło świecy, rzucając żółte błyski niczym polerowane złoto.

— Wydaje mi się, że tu nie ma w co wątpić.

Mat poruszył się niespokojnie.

— Rand wie?

Perrin kiwnął tylko głową i powrócił do pakowania.

— A co mówi?

Perrin znieruchomiał, wpatrując się w trzymany w dłoniach, złożony kaftan.

— Zaczął burczeć pod nosem i powiedział, że ta załatwi. Obiecał. Trzeba mu było wierzyć. Potem złapał mnie za kołnierz i powiedział, że musi zrobić to, czego się nie spodziewają. Chciał, żebym zrozumiał, ale ja nie jestem pewien, czy on sam siebie rozumie. Raczej go nie obchodziło, czy ja zostanę, czy wyjadę. Nie, cofam to. Myślę, że ulżyło mu na wieść o moim wyjeździe.

— Ujmij to krótko i powiedz, że on nie ma zamiaru nic robić — orzekł Mat.

— Światłości, z *Callandorem* mógłby runąć jak piorun na tysiąc Białych Płaszczycy! Widziałeś, co zrobił z tymi przekłętymi trollokami. Wyjeżdżasz, prawda? Z powrotem do Dwu Rzek? Sam?

— Chyba że ty też pojedziesz. — Perrin upchnął kaftan do sakwy. — Jedziesz?

Zamiast odpowiedzieć, Mat zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pomieszczeniu, jego twarz to pojawiała się w półświatle, to nikła w cieniu. W Polu Emonda żyła jego matka, ojciec, siostry. Białe Płaszczce nie miały powodu, by ich krzywdzić. Miał uczucie, że gdyby wrócił do domu, to nigdy już by stamtąd nie wyjechał, bo matka ożeni go, zanim zdąży odpocząć po podróży. Jeśli jednak nie

pojedzie, jeśli Białe Płaszczce zrobiły im coś złego... Z tymi Białymi Płaszczami to tylko jakaś plotka, tak przynajmniej słyszał. Skąd w takim razie się wzięła? Nawet Coplinowie, łgarze i zawalidrogi, lubili jego ojca. Wszyscy lubili Abella Cauthona.

— Nie musisz — cicho powiedział Perrin. — Nie było o tobie wzmianki w tym, co słyszałem. Tylko o Randzie i o mnie.

— Niech szczezną, p-p... — Nie potrafił tego wymówić. Myśleć o wyjeździe było dość łatwo, ale obiecać to na głos? Ściśnięte gardło więziło słowa. — Czy tobie jest łatwo, Perrin? Mam na myśli wyjazd. Czy... czy przypadkiem nie czujesz czegoś? Że coś cię zatrzymuje? Podpowiada ci wciąż powody, dla których nie powinienes jechać?

— Były ich setki, Mat, ale ja wiem, że wszystko to sprowadza się do Randa i *ta'veren*. Ty tego nie przyznasz, prawda? Sto powodów do zostania, lecz jeden powód do wyjazdu jest silniejszy. W Dwu Rzekach są Białe Płaszczce, które będą krzywdzić ludzi, próbując mnie znaleźć. Mogę temu zapobiec, jeśli pojadę.

— Na co miałbyś być przydatny Białym Płaszczom, i to do tego stopnia, że mieliby kogoś krzywdzić? Światłości, jeśli zapytają o kogoś z żółtymi oczami, to nikt w Polu Emonda nie będzie wiedział, o kim oni mówią! I jak możesz czemuś zapobiec? Dodatkowa para rąk do niczego się nie przyda. Aach! Białe Płaszczce przekonają się, że łatwiej przeżuć kawał starej skóry, niż pomiatać ludźmi z Dwu Rzek.

— Znają moje imię — cicho wyznał Perrin. Jego wzrok pomknął w stronę topora zawieszzonego w pętli na haku w ścianie. A może wpatrywał się w młot, wsparty o ścianę pod toporem. Mat nie był pewien. — Mogą odszukać moją rodzinę. Jeśli zaś chodzi o powody, to już oni je mają, Mat. Tak jak ja mam swoje. Kto stwierdzi, czyje są lepsze?

— Niech skonam, Perrin. Niech szczezną! Ja chcę j-j... Widzisz? Nawet nie mogę tego wypowiedzieć. Nawet nie mogę przestać o tym myśleć!

— Inne ścieżki. Już wcześniej wysłano nas na inne ścieżki.

— To niech inne ścieżki zalewają się krwią — burknął Mat. — Mam powyżej uszu Randa i Aes Sedai, którzy wpychają mnie na te swoje cholerne ścieżki. Teraz dla odmiany pojadę sobie tam, gdzie ja chcę, będę robił to, co ja chcę! — Odwrócił się w stronę drzwi, zatrzymał go jednak głos Perrina.

— Mam nadzieję, że twoja ścieżka jest szczęśliwa, Mat. Oby Światłość zsyłała ci ładne dziewczyny i głupców, którzy zechcą grać na pieniądze.

— Ażebym zdechł, Perrin. Oby i tobie Światłość zesłała to, czego pragniesz.

— Myślę, że ześle. — Nie wydawał się uszczęśliwiony tą perspektywą.

— Powiesz mojemu tacie, że ze mną wszystko w porządku? I mojej matce? Ona się zawsze tak zamartwiała. I zaopiekuj się moimi siostrami. Zwykły mnie szpiegować i mówić wszystko matce, ale nie chciałbym, żeby coś im się stało.

— Obiecuję, Mat.

Zamknawszy za sobą drzwi, Mat bez wyraźnego celu powlókł się po korytarzu. Jego siostry, Eldrin i Bodewhin, były zawsze gotowe biec z okrzykiem „Mamo, Mat znowu ma kłopoty, Mamo, Mat robi to, czego nie powinien”. Szczególnie Bode. Teraz miały szesnaście i siedemnaście lat. Z pewnością, od nie wiadomo już jak dawna marzą o małżeństwie z jakimś nudnym farmerem, specjalnie w tym celu wybranym, nawet jeśli tak naprawdę nie mają na niego najmniejszej ochoty. Czy rzeczywiście minęło już tak dużo czasu? Czasami wydawało się, że jest całkiem inaczej. Czasami miał wrażenie, że wyjechał z Pola Emonda przed zaledwie kilkoma tygodniami. Innym razem czuł się, jakby minęło już wiele lat, ledwie zapamiętanych. Pamiętał głupawe uśmieszki Eldrin i Bode, kiedy jego karano chłostą, lecz rysy ich twarzy nie były już takie ostre. Twarze jego sióstr. Te przekłete dziury w pamięci, niczym dziury w życiu.

Zauważył wędrującą w jego stronę Berelain i mimo woli uśmiechnął się. Niezłą figurę ma ta kobieta, nieważne, że tak się nadyma. Tych obcisłych, białych jedwabi ledwo starczyłoby na chusteczkę, nie mówiąc już o tym, że wycięte to było od góry tak, iż widziało się całkiem sporo śnieżnej skóry na przepięknym brzuchu.

Wykonał zamaszysty ukłon, elegancki i ceremonialny.

— Dobry wieczór, moja pani.

Minęła go majestatycznie, nawet nie obdarzywszy spojrzeniem. Wyprostował się gniewnie.

— Jesteś nie tylko głucha, ale również ślepa, kobieto? Nie jestem dywanem, który się depcze. Gdybym uszczypnął cię w pośladek, mogłabyś wymierzyć mi policzek, ale dopóki tego nie zrobię, oczekuję uprzejmego słowa w zamian za uprzejme słowo!

Pierwsza z Mayene zatrzymała się jak wryta, mierząc go wzrokiem w ten jedyne sposób, w jaki robią to kobiety. Przeszyła go na wskroś, przed jej spojrzeniem nie ukryło się nawet, ile ważył i kiedy ostatni raz brał kąpiel. A potem odwróciła się, mrużąc coś pod nosem. Posłyszał jedynie: „zbyt podobny do mnie”.

Gapił się na nią zdumiony. Ani słowa! Ta twarz, ten chód, ten wysoko zadarty nos, istny cud, że jej stopy jeszcze dotykały podłogi. To właśnie zyskiwał, gdy rozmawiał z osobami pokroju Berelain i Elayne. Arystokratki, którym się zdaje, że jesteś tylko pyłkiem, jeśli nie masz pałacu i linii krwi sięgającej Artura Hawkinga. Cóż, znał pewną pulchną pomocnicę kucharki — dostatecznie pulchną — która wcale nie uważała go za pyłek. Dara potrafiła tak skubać za uszy, że...

Nagle jego myśli jakby stanęły w miejscu. Rozważał, czy Dara jeszcze nie śpi i można się z nią pościskać. Zastanawiał się nawet nad flirtem z Berelain. Berelain! I jeszcze te słowa, które na koniec powiedział Perrinowi. „Zaopiekuj się moimi siostrami”. Jakby już zdecydował, jakby już wiedział, co robi. A przecież wcale tak nie było. I tak nie będzie, nie tak łatwo, nie wymiga się od tego ot tak. Ale może jest jakieś wyjście.



Wygrzebał z kieszeni złotą monetę, podrzucił ją w górę i przybił do grzbietu drugiej dłoni. Marka z Tar Valon. Wpatrywał się w Płomień Tar Valon w kształcie łyzy.

— Oby wszystkie Aes Sedai szczyły — oznajmił na głos. — I oby Rand al'Thor szczył za to, w co mnie wpakował!

Ubrany w czarno-złotą liberię służący zatrzymał się w pół kroku, przypatrując mu się z troską. Srebrna taca była pełna zrolowanych bandaży i słoików z maścią. Drgnął nerwowo, gdy spostrzegł, że Mat go zauważył.

Mat cisnął złotą markę na jego tacę.

— To od największego głupca na świecie. Pamiętaj, że masz ją dobrze wydać, na kobiety i na wino.

— Dz-dziękuję, panie — wyjąkał mężczyzna.

Mat zostawił go w takim stanie.

„Największy głupiec na świecie. Czy to nie ja właśnie!”

## OBYCZAJE MAYENE

Gdy drzwi za Matem zamknęły się, Perrin potrząsnął głową. Mat prędzej puknąłby się młotkiem w czoło, niżli wrócił do Dwu Rzek. Chyba żeby musiał. Bardzo pragnął, aby znalazł się jakiś sposób, by on też uniknął wyjazdu do domu. Takiej jednak możliwości nie było. — Różnica między nim a Matem polegała na tym, że on był skłonny ów fakt zaakceptować, nawet jeśli nie miał najmniejszej ochoty.

Zdejmując koszulę, stęknął głucho, mimo że starał się bardzo uważać. Całe lewe ramię znaczył wielki siniak, już wyblakły do brązów i żółci. Trollok przejechał po nim toporem, tylko dzięki szybkiej reakcji Faile, dzięki jej nożom nie doszło do czegoś gorszego. Ramię bolało przy myciu, ale w Łzie nie trzeba się było przynajmniej martwić o zimną wodę.

Już był spakowany i gotowy, na łóżku została tylko zmiana ubrań na następny dzień. Skoro świt pójdzie poszukać Loiala. Tej nocy nie było sensu zawracać ogirowi głowy. Prawdopodobnie leżał już w łóżku, Perrin miał najszczerzy zamiar niebawem znaleźć się w swoim. Jedyny problem, z którym jeszcze nie wiedział, jak się uporać, stanowiła Faile. Nawet dalszy pobyt w Łzie okaże się zapewne lepszy dla niej niż jego towarzystwo.

Ku jego zaskoczeniu drzwi nagle się otworzyły. W momencie, w którym zaskrzypiały, owiała go woń perfum, przywodząc na myśl kwitnące pnącza w upalną letnią noc. Zwodnicza woń, lekka i zwiewna zapewne dla wszystkich prócz niego, nie należąca bowiem do Faile. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy do izby wkroczyła Berelain.

Przytrzymując dłońią krawędź drzwi, zamrugła niepewnie. Zrozumiał, że przyćmione światło jego komnaty po rześście oświetlonych korytarzach musiało ją nieomal oślepić.

— Wyjeżdżasz dokądś? — spytała niepewnie.

— Tak, pani. — Ukłonił się, niezgrabnie, najlepiej jednak jak potrafił. Faile mogła sobie pozwalać na ostre fuknięcia, ale on nie widział powodu, dla którego miałby nie być uprzejmy. — Rankiem.

— Ja również.

Zamknęła drzwi i skrzyżowała ręce na piersiach. Odwrócił wzrok, popatrując

na nią kątem oka, żeby nie pomyślała, iż gapi się na nią jak ciele. Mówiła dalej, nie zauważając jego reakcji. W czarnych oczach migotał refleks samotnego płomienia świecy.

— Po dzisiejszej nocy... Rankiem jadę powozem do Godan, a stamtąd statkiem do Mayene. Powinnam już była wyjechać wiele dni temu, myślałam jednak, iż istnieje sposób na rozwiązanie spraw. Ale oczywiście niczego takiego nie ma. Powinnam to była dostrzec prędzej. Dzisiejsza noc mnie przekonała. Sposób, w jaki on... Te błyskawice, które płynęły korytarzami... Wyjadę jutro.

— Moja pani — powiedział Perrin zdeorientowany — dlaczego mnie właśnie o tym mówisz?

Sposób, w jaki odrzuciła głowę do tyłu, przywiódł mu na myśl pewną klacz z Pola Emonda, którą kilkakrotnie podkuwał; zawsze starała się go pogryźć.

— Żebyś powiedział o tym Lordowi Smokowi, rzecz jasna.

Nadal nie widział w tym większego sensu.

— Sama możesz to zrobić — odparł z więcej niż nieznacznym rozdrażnieniem. — Nie mam już przed wyjazdem czasu na przekazywanie wieści.

— Moim... moim zdaniem on nie życzy sobie mnie oglądać.

Każdy mężczyzna pragnąłby ją oglądać, była przecież piękna i doskonale zdawała sobie z obu tych rzeczy sprawę. Zdało mu się, że chce powiedzieć coś całkiem innego. Czy mogła być aż tak przestraszona tym, co się zdarzyło tamtej nocy w sypialni Randa? Albo atakiem na twierdzą i sposobem, w jaki Rand się z nim uporał? Być może, ale nie była to kobieta, którą łatwo nastraszyć, sądząc zwłaszcza po chłodnym spojrzeniu, jakim go teraz mierzyła.

— Przekaż swą wiadomość jakiemuś słudze. Wątpię, czy jeszcze zobaczę Randa. Przynajmniej nie przed wyjazdem. Każdy sługa zanieś mu list.

— Lepiej gdybyś to był ty, przyjaciel Lorda...

— Daj to jakiemuś słudze. Albo któremuś Aielowi.

— Nie zrobisz tego, o co proszę? — spytała z niedowierzaniem.

— Nie. Czyżbyś nie słyszała, co mówię?

Znowu odrzuciła głowę w tył, tym razem jednak inaczej, choć nie umiał określić, na czym polega różnica. Przyglądając mu się w zamyśleniu, mruknęła coś, jakby do siebie.

— Te osobliwe oczy.

— Co? — Uświadomił sobie nagle, że stoi nagi do pasa. Ni stąd, ni zowąd te skrupulatne oględziny zaczęły mu przypominać badanie konia przed zakupem. Zaraz mu obmaca pęciny i zajrzy w zęby. Porwał z łóżka uszykowaną na następny dzień koszulę i włożył ją przez głowę. — Daj swój list jakiemuś słudze. A teraz chcę się położyć. Mam zamiar wstać wcześniej. Przed świtem.

— Dokąd wyjeżdżasz?

— Do domu. Do Dwu Rzek. Jest późno. Jeśli ty również wyjeżdżasz rankiem, to jak mi nie, zechcesz się trochę przespać. Ja przynajmniej jestem nie ludzko

zmęczony. — Ziewnął, najszerzej jak potrafił.

Nadal nie uczyniła najmniejszego ruchu w stronę drzwi.

— Jesteś kowalem? Potrzebuję kowali w Mayene. Do wyrobu zdobnych konstrukcji z żelaza. Krótki pobyt zanim wrócisz do Dwu Rzek? Przekonasz się, że Mayene... jest bogate w rozrywki.

— Jadę do domu — oznajmił stanowczo — a ty wracasz do swych komnat.

Nieznaczne wzruszenie ramion kazało mu pośpiesznie odwrócić wzrok.

— Może innym razem. Zawsze dostaję to, czego pragnę. A wydaje mi się, że mam ochotę na... — Urwała, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów — ...ozdobne konstrukcje z żelaza. W oknach mojej sypialni.

Uśmiechnęła się do niego tak niewinnie, że w głowie rozbrzmiał mu dzwon na alarm.

Drzwi otworzyły się ponownie i do środka weszła Faile.

— Perrin, poszłam do miasta cię szukać i usłyszałam pogłoski, że... — Zniechęciła z oczyma utkwionymi twardo w Berelain.

Pierwsza z Mayene zignorowała ją. Podeszła bliżej do Perrina i musnęła dłonią jego dłoń, potem przesunęła palcami po ramieniu. Przez moment miał wrażenie, że zamierza przyciągnąć jego głowę, żeby go pocałować — z pewnością uniosła twarz w tym celu — ale tylko przelotnie pogładziła jego kark i zrobiła krok w tył. Nim zdążył się poruszyć, by ją powstrzymać, było po wszystkim.

— Pamiętaj — powiedziała cicho, jakby byli sami — zawsze dostaję to, na co mam ochotę. — I z tymi słowami, majestatycznym krokiem minęła Faile i wyszła z izby.

Czekał na wybuch Faile, ona jednak zerknęła tylko na ułożone na łóżku wypchane sakwy i powiedziała:

— Widzę, że już słyszałeś. Perrin, to tylko plotki.

— Te żółte oczy to coś więcej niż plotki.

Spodziewał się, że wybuchnie niczym wiązka suchych gałązek ciśnięta w żar. Czemu jest taka chłodna?

— Bardzo dobrze. W takim razie następny kłopot to Moiraine. Będzie próbowała cię zatrzymać?

— Nie, jeśli się o niczym nie dowie. Zresztą pojedę i tak, nawet jeśli spróbuje. Mam rodzinę i przyjaciół, Faile, nie pozostawię ich na łasce Białych Płaszczy. Mam nadzieję utrzymać ją w niewiedzy, dopóki nie będę już daleko.

Nawet oczy miała spokojne, niczym ciemne stawy zagubione pośród lasów. Aż mu się włosy zjeżyły na karku.

— Przecież musiało minąć wiele tygodni, zanim ta plotka dotarła do Łzy, a jazda do Dwu Rzek potrwa kilka następnych. Białe Płaszczce zdążą pewnie wyjechać. Ale cóż, sama chciałam, żebyś opuścił to miejsce. Nie powinnam narzekać. Chcę tylko, byś wiedział, czego się spodziewać.

— Dzięki Drogom to wcale nie potrwa tak długo — wyjaśnił. — Dwa, może trzy dni.

Dwa dni. Przypuszczał, że nie ma sposobu na szybsze pokonanie tej odległości.

— Jesteś równie szalony jak Rand al'Thor — stwierdziła z niedowierzaniem. Usiadła u stóp jego łóżka, skrzyżowała nogi i przemówiła do niego głosem, jakim upomina się małe dzieci. — Wejdiesz do Dróg, a wyjdiesz z nich nieuleczalnie obłąkany. O ile w ogóle z nich wyjdiesz, a jest to mało prawdopodobne. Drogi są skażone, Perrin. Są ciemne od... ilu?... trzystu lat? Czterystu? Spytaj Loiala. On ci powie, to ogirowie bowiem zbudowali Drogi, wyhodowali je czy jak to tam było. Nawet oni nie korzystają z nich. No cóż, nawet gdyby udało ci się pokonać je bez szwanku, to Światłość tylko wie, gdzie na koniec trafisz.

— Podróżowałem nimi, Faile. — I była to przerażająca podróż. — Loial może być moim przewodnikiem. Potrafi odczytywać treści drogowskazów, to właśnie dzięki niemu nam się wówczas udało. Zrobi to dla mnie raz jeszcze, gdy się dowie, jakie to ważne.

Loial też chciał opuścić Łzę, bo bał się chyba, że jego matka dowie się, gdzie przebywa. Perrin był przekonany, iż tamten mu pomoże.

— No cóż — powiedziała, energicznie zacierając ręce. — Chciałam przygód, a to przecież jest przygoda. Wyjazd z Kamienia Łzy, z dala od Smoka Odrodzonego i pokonanie Dróg po to, by walczyć z Białymi Płaszczami. Zastanawiam się, czy nie udałoby się przekonać Thoma Merrillina, żeby jechał razem z nami. Jeśli nie możemy mieć królewskiego barda, wystarczy nam zwykły. Mógłby skomponować opowieść, sercem której bylibyśmy ty i ja. Żadnego Smoka Odrodzonego, żadnych Aes Sedai, którzy zdominowałyby ją ze szczętem. Kiedy wyjeżdżamy? Rankiem?

Zrobił głęboki wdech, nie chciał, by zadrżał mu głos.

— Jadę sam, Faile. Tylko Loial i ja.

— Będziemy potrzebowali jucznego konia — powiedziała, jakby wcale się nie odezwał. — Dwóch koni, myślę. W Drogach jest ciemno. Będą nam też potrzebne latarnie i mnóstwo oliwy. Ci ludzie z Dwu Rzek to farmerzy? Będą się bili z Białymi Płaszczami?

— Faile, powiedziałem...

— Słyszałam, co powiedziałeś — odparowała. Cienie nadawały jej niebezpieczny wygląd, zwłaszcza przez te skośne oczy i wydatne kości policzkowe. — Słyszałam, ale w tym nie ma żadnego sensu. A jeśli ci farmerzy nie będą się bić? Albo nie będą umieli? Kto ich nauczy? Ty? Sam?

— Zrobię, co będzie trzeba — tłumaczył spokojnie. — Bez ciebie.

Pomyślał, że zaraz doskoczy mu do gardła, tak szybko zerwała się na równe nogi.

— Myślisz, że Berelain pojedzie z tobą? Że będzie strzegła twych pleców?

A może wolisz, żeby siedziała ci na kolanach i popiskiwała? Schowaj koszulę do spodni, ty włochaty niedołęgo! Czy tu musi być tak ciemno? Berelain lubi ciemne komnaty, nieprawdaż? Bardzo ci się przyda w walce z Synami Światłości!

Perrin otworzył usta, żeby zaprotestować, powiedział jednak coś zupełnie innego, niż zamierzał.

— Zdaje się, że przyjemnie jest trzymać Berelain w ramionach. Jaki mężczyzna nie chciałby, aby mu usiadła na kolanach? — Ból na jej twarzy czuł niby żelazną obręcz opasującą jego piersi, zmusił się mimo to, by ciągnąć dalej: — Być może pojedę do Mayene, gdy załatwię sprawy w domu. Poprosiła mnie o to i zapewne przyjmę jej propozycję.

Faille nie powiedziała ani słowa. Popatrzyła na niego z kamiennym wyrazem twarzy, po czym odwróciła się na pięcie i wybiegła, głośno zatraskując za sobą drzwi.

Wbrew sobie ruszył za nią, zatrzymał się jednak w pół kroku, tak silnie chwytając się za framugę drzwi, że aż rozboleły go palce. Zapatrzony w szczelinę, którą w drzwiach rozłupał jego topór, przyłapał się na tym, że mówi teraz to, czego nie mógł jej wcześniej powiedzieć.

— Zabijałem. Zabijałem Białe Płaszcze. Gdybym tego nie zrobił, zabiliby mnie, ale oni nadal nazywają to morderstwem. Jadę do domu, żeby zginąć, Faille. To jedyny sposób, by nie skrzywdzili ludzi z mojej wioski. Niech mnie powiesz. Nie mogę dopuścić, byś wiedziała. Nie mogę. Jeszcze próbowałabyś temu zapobiec, a wówczas oni...

Oparł głowę o deski drzwi. Nie będzie żałowała, że widziała go po raz ostatni, to właśnie było teraz ważne. Pojedzie szukać swych przygód gdzie indziej, bezpieczna przed Białymi Płaszczami, *ta'veren* i bańkami zła. Jedynie to było ważne. Nie podobało mu się to, ale miał ochotę wyć ze smutku.

\* \* \*

Faille przemierzała korytarz, prawie biegnąc i nie zauważając tych, których mijala, ani tych, którzy musieli usuwać się jej z drogi. Perrin. Berelain. Perrin. Berelain.

„A więc on pragnie tej lisicy z twarzą jak mleko, która szwenda się wszędzie na pół naga, tak? On sam nie wie, czego chce. Włochaty wół! Bufon z drewnianym łbem. Kowal! I ta podstępna maciora, Berelain. Ta rozbrykana koza!”

Nie uświadamiała sobie, dokąd zmierza, dopóki w przodzie nie zobaczyła Berelain, która sunęła przed siebie, kołysząc się tak naturalnie i swobodnie, jakby ten jej chód wcale nie był przeznaczony dla oczu mężczyzn. Nim się połapała, co

robi, pędem wyprzedziła Berelain i zawróciła w miejscu zejścia się dwóch korytarzy, by stanąć z nią twarzą w twarz.

— Perrin Aybara należy do mnie — warknęła. — Trzymaj te swoje ręce i uśmiechy z dala od niego! — Słyszając samą siebie, zaczerwieniła się aż po linię włosów. Obiecywała sobie, że nigdy tego nie zrobi, że nigdy nie będzie walczyła o mężczyznę niczym jakaś wieśniaczka, która tarza się po klepiskach w porze żniw.

Berelain wygięła brew w łuk. Z jej twarzy powiało chłodem.

— Należy do ciebie? Dziwne, nie widziałam na nim żadnej obroży. Wy, dziewczęta służebne... a może jesteś córką jakiegoś farmera? ... wpadacie czasami na osobliwe pomysły.

— Służebna? Służebna! Jestem... — Faile ugryzła się w język, by pohamować pełne furii słowa. Pierwsza z Mayene, też coś. W Saldaei niektóre majątki były większe od całego Mayene. Nie przetrwałyby ani tygodnia na dworach Saldaei. Czy potrafiłaby recytować poezje podczas polowania z sokołem? Czy potrafiłaby polować cały dzień, a potem, wieczorem, grać na biternie i jednocześnie brać udział w dyskusji o tym, jak się odpiera napaści trolloków? Jej się wydaje, że zna mężczyzn, tak? A czy zna język wachlarzy? A potrafiłaby powiedzieć mężczyźnie, że ma przyjść, odejść albo zostać, a także sto innych rzeczy, samym tylko ruchem nadgarstka i zmianą pozycji koronkowego wachlarza?

„Światłości, oświeć mnie, o czym ja myślę? Przysięgam, nigdy więcej nie wezmę wachlarza do ręki!”

A jednak istniały w Saldaei jeszcze inne obyczaje. Zdziwiła się na widok noża we własnym ręku, uczono ją wszak, że noża nie dobywa się dopóty, dopóki nie ma się zamiaru go użyć.

— Wieśniaczki z Saldaei potrafią radzić sobie z kobietami, które kradną cudzych mężczyzn. Jeśli nie przysięgniesz, że zapomnisz o Perrinie Aybara, to tak ci ogolę głowę, że będzie przypominała jajo. Może będą cię wtedy pożądać chłopcy od kur!

Nie zorientowała się nawet, w jaki sposób Berelain chwyciła ją za nadgarstek, ale zniemacka poczuła, że leci w powietrzu. Uderzenie plecami w podłogę pozbawiło ją tchu.

Berelain stała i uśmiechała się, postukując ostrzem noża Faile o wnętrze dłoni.

— To obyczaj Mayene. Tairenianie lubią się wyręczać zamachowcami, a Strażnicy nie zawsze są pod ręką. Nie znoszę, jak ktoś mnie atakuje, wieśniaczko, i tak właśnie z nim postępuję. Zabiorę ci tego kowala i będę go trzymała w roli ulubionego zwierzątka, dopóki nie przestanie mnie bawić. Na przysięgę ogirów, wieśniaczko. Zaiste, jest czarujący — te barki, te ramiona, nie wspominając już jego oczu — i nawet jeśli odrobinę nieokrzesany, to mogę temu zaradzić. Moi dworacy nauczą go, jak się ubierać, a także pozbawią tej ohydnej brody. Dokądkolwiek by pojechał, znajdę go i sprawię, że będzie mój. Ty będziesz go mogła

mieć dopiero po mnie. Jeśli, rzecz jasna, jeszcze będzie cię w ogóle chciał.

Faile, która nareszcie zdołała zaczerpnąć oddechu, podniosła się z trudem z podłogi, dobywając drugiego noża.

— Zawlokę cię do niego, tylko najpierw potnę te rzeczy, które rzekomo cię okrywają, i zmuszę go, by powiedział, że jesteś zwykła maciora!

„Światłości, dopomóż, zachowuję się i przemawiam jak prawdziwa wieśniaczka!”

Najgorsze zaś, że robiła to rozmyślnie.

Berelain przygotowała się do walki. Najwyraźniej zamierzała użyć rąk, nie noża, trzymała go bowiem tak, jakby to był wachlarz. Faile zbliżała się na ugiętych nogach.

Niespodzianie Rhurac niczym góra wyrósł pomiędzy nimi, wyrwał im noże, nim któraś zdała sobie sprawę z jego obecności.

— Mało krwi widziałyście tej nocy? — spytał chłodno. — Ze wszystkich, których mógłbym podejrzewać o wywoływanie zamieszek, was wymieniłbym na samym końcu.

Faile spojrzała na niego z rozdziawionymi ustami. Bez ostrzeżenia okręciła się na pięcie i wbiła pięść pod żebra Rhuarca. Nawet najtwardszy człowiek poczułby taki cios.

Na pozór w ogóle na nią nie patrzył, wykonał tylko niedbały ruch, złapał ją za rękę, przycisnął ramię do boku i wykręcił. I już stała sztywno wyprostowana, licząc jedynie na to, że nie dociśnie dźwigni do końca.

Przemówił do Berelain, jakby nic nie zaszło.

— Udasz się do swej izby i nie wyjdiesz z niej, póki słońce nie zaślni nad horyzontem. Dopilnuję, by nie przynoszono ci śniadania. Lekki głód przypomni ci, że na walkę należy wybierać odpowiedni czas i miejsce.

Berelain wyprostowała się oburzona.

— Jestem Pierwszą z Mayene. Nie będzie mi nikt rozkazywać jakbym. . .

— Udasz się do swych komnat. Natychmiast — zgasił ją bezbarwnym głosem Rhurarc.

Faile, zastanawiając się, czy go nie kopnąć, nieświadomie napięła mięśnie. Uścisk na jej nadgarstku zacieśnił się i teraz musiała stać na palcach.

— Jeśli nie — mówił dalej do Berelain — to powtórzmy naszą pierwszą rozmowę, ty i ja. Tutaj, zaraz.

Twarz Berelain na przemian to bladła, to czerwieniała.

— Bardzo dobrze — odparła sztywno. — Skoro nalegasz, to może. . .

— Nie zapraszałem do dyskusji. Jeśli jeszcze będę cię tu widział, kiedy doliczę do trzech. . . Jeden.

Z okrzykiem rozdrażnienia Berelain zadarła spódnice i pobiegła. Przy okazji udało jej się zakołysać biodrami.



Faile wpatrywała się w nią zdumiona. Za to warto było dać sobie niemalże wyrwać ramię ze stawu. Rhuarc z nieznacznym uśmiechem zadowolenia odprowadził Berelain wzrokiem.

— Masz zamiar mnie tak trzymać całą noc? — spytała podniesionym tonem. Uwolnił ją, zatykając jej noże za swój pas. — To moje!

— Konfiskata — odparł. — Kara dla Berelain za bójkę polegała na tym, że ty widziałaś, jak posyła się ją do łóżka niczym posłuszne dziecko. Twoja polega na tym, że stracisz te noże, które tak sobie cenisz. Wiem, że masz inne. Jeśli będziesz się sprzeczać, to mogę ci zabrać również tamte. Nie pozwolę, by ktoś wywoływał walki bez powodu.

Spojrzała na niego spode łba podejrzewając, że naprawdę ma taki zamiar. Noże te wyważone były znakomicie; wykonał je człowiek znajdujący się na swoim fachu.

— Co to była za „pierwsza rozmowa” między wami? Dlaczego Berelain uciekła?

— To sprawa między nią a mną. Więcej się do niej nie zbliżaj, Faile. Nie wierzę, że ona zaczęła bójkę, noże to nie jej broń. Jeśli któraś z was jeszcze raz narobi kłopotów, to zapędzę obie do wywożenia nieczystości. Niektórym Tairenianom wydawało się, że mogą dalej toczyć pojedynki po tym, jak ogłosiłem tutaj pokój, jednakże smród wozów z odpadkami przekonał ich niebawem, że są w błędzie. Dopilnuj, byś sama nie musiała uczyć się w taki sposób.

Zaczekała, aż odejdzie, i dopiero wtedy roztarła ramię. Przypominał jej ojca. Ojciec wprawdzie nigdy nie wykręcał jej rąk, ale miał mało cierpliwości wobec tych, którzy sprawiali kłopoty, niezależnie od piastowanego stanowiska. Zastanawiała się, czy umiałaby sprowokować Berelain, po to tylko, by zobaczyć, jak Pierwsza z Mayene poci się przy wozach z odpadkami. Jednakże Rhuarc zagroził im obydwóm. Jej ojciec też mówił, co myślał. Berelain. W zakamarku umysłu załaskotało ją coś, co powiedziała Berelain. Przysięga ogira. O właśnie. Ogirowie nigdy nie łamali przysięg. „Łamiący przysięgi ogir” oznaczało tyle samo, co „dzielny tchórz” albo „mądry głupiec”.

Nie mogła się powstrzymać od głośnego śmiechu.

— Ty mi go zabierzesz, ty głupia pawico? Zanim ponownie go zobaczysz, o ile w ogóle, on znowu będzie mój. — Chichocząc w duchu i co jakiś czas rozcierając ramię, ruszyła przed siebie z lekkim sercem.

## ZA DRZWIAMI

Trzymając nad głową oszkloną latarnię, Mat zbadął wzrokiem wnętrze wąskiego korytarza, skrytego w samych wnętrznościach Kamienia.

„Chyba że od tego będzie zależało moje życie. A niech szczenę, jeśli teraz tak nie jest!”

Pośpiesznie ruszył dalej, nim znowu zdążyły owładnąć nim wątpliwości, mijając kolejne drzwi, jedne zmurszałe, przekrzywione, z innych zostały zaś już tylko drewniane strzępy, przywarte do zardzewiałych zawiasów. Posadzki ktoś niedawno zamiótł, ale w powietrzu wciąż unosił się zapach zastarzałego kurzu i pleśni. Coś zaszurało w mroku, dobył noża, nim się połapał, że to tylko szczur, który uciekał bez wątplenia przed nim do jakiejś sobie znajomej dziury.

— Pokaż mi wyjście — szepnął w jego stronę — a pójdę tam razem z tobą.

„Dlaczego ja szepczę? Tu nie ma nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć”.

A jednak atmosfera tego miejsca niemalże narzucała konieczność zachowania milczenia. Czuł całą masę Kamienia ponad głową, czuł, jak go przygniata.

Ostatnie drzwi, powiedziała. Te też wisiały krzywo. Rozpadły się, gdy otworzył je kopniakiem. Wnętrze zaśmiecały jakieś ciemne kształty, w wysokich stochach pod ścianami i na całej podłodze piętrzyły się skrzynie, beczki i jakieś paki. Wszystko pokrywał kurz.

„Wielka Przechowalnia! Wygląda jak piwnica opuszczonej farmy, a nawet jeszcze gorzej”.

Dziwił się, że Egwene i Nynaeve nie odkurzyły i nie posprzątały tego miejsca, kiedy tu były. Kobiety zawsze coś odkurzają i przestawiają, nawet te rzeczy, które tego nie wymagają. Na podłodze krzyżowały się ślady stóp, niektóre z nich pozostawiły czyjeś wysokie buty, a więc bez wątplenia kazały mężczyznom przesuwać dla nich co cięższe przedmioty. Nynaeve lubiła wynajdywać sposoby na przymuszanie mężczyzn do pracy, najprawdopodobniej z rozmysłem polowała na takich, którzy akurat oddawali się jakimś rozrywkom.

To, czego szukał, wyróżniało się wśród całego rozgardiaszu. Wysoka futryna z czerwonego kamienia dziwacznie majaczyła w cieniach, które rzucała jego lampa. Gdy podszedł bliżej, nadal wyglądała dziwnie. Jakby wykoślawiona. Wzrok nie mógł ogarnąć całości, rogi nie łączyły się prawidłowo. Wydawało się, że wy-

starczy lekko dmuchnąć, a ten wysoki, pusty prostokąt zaraz upadnie, jednak nie drgnął nawet, gdy pchnął go tytułem próby. Pchnął nieco mocniej, niepewny, czy lepiej nie podźwignąć tego czegoś do góry, kiedy usłyszał zgrzyt. Poczul na ramionach gęsią skórę. Równie dobrze do szczytu mógł być uwiązany drut, mocujący futrynę do sklepienia. Podniósł lampę, by się lepiej przyjrzeć. Żadnego drutu nie było.

„Przynajmniej się nie przewróci, kiedy będę w środku. Światłości, wejść chyba do środka, czyż nie?”

Na wysokiej, przewróconej do góry dnem beczce leżała bezładna sterta figurek i niewielkich przedmiotów owiniętych w butwiejące sukno. Zepchnął te śmieci na bok, by móc postawić tam lampę, i przyjrzał się uważnie wejściu. *Ter'angreal*. O ile Egwene wiedziała, o czym mówi. Musiała wiedzieć choćby nie wiadomo jak się zapierała, w Wieży nauczyła się mnóstwa dziwnych rzeczy.

„Ona się wszystkiego wypiera, tak? Uczy się, żeby zostać Aes Sedai. A tego się wcale nie wypiera, prawda?”

Gdy patrzył na to, mrużąc oczy, wówczas nadal przypominało zwykłą, kamienną futrynę, zmatowiałą, głównie przez ten kurz. Całkiem zwykła futryna. No cóż, nie taka znowu zwykła. Przez całą jej długość, od samej góry aż do dołu biegły wyrzeźbione głęboko w kamieniu trzy faliste linie. Widywał już bardziej fantazyjne w farmerskich domostwach. Przejdzie przez nią i pewnie dalej wciąż będzie w tej zakurzonej izbie.

„Nie będę wiedział, póki nie spróbuję, czyż nie? No, to powodzenia!”

Zrobił głęboki wdech i — zanosząc się kaszlem od kurzu drapiącego w gardle — przełożył stopę na drugą stronę.

Czuł, jakby przeszedł przez taflę oślepiająco białego światła, nieskończenie jasnego, nieskończenie gęstego. Na chwilę, która wydawała się wiecznością, oślepl, uszy wypełnił mu ogłuszający łoskot, wszystkie dźwięki świata zlały się momentalnie w jeden huk, trwający tyle, ile ten nie dający się zmierzyć krok.

Potknąwszy się powiódł dookoła zdumionym wzrokiem. *Ter'angreal* wciąż jeszcze tam stał, ale miejsce z pewnością było inne, nie to, z którego wyszedł. Krzywa kamienna rama sterczała na samym środku owalnej komnaty ze sklepieniem tak wysokim, że całe kryło się w cieniach, otoczona dziwnymi, spiralnymi kolumnami żółtej barwy, które wkręcały się w mrok niczym ogromne pnącza winorośli. Rozjarzone kule na krętych postumentach z jakiegoś białego metalu rzucały mętne światło. Płytki posadzki ułożone w białe i żółte pasy odchodziły spiralnie od *ter'angreal*a. W powietrzu unosiła się jakaś przygniatająca woń, ostra, sucha i raczej niezbyt przyjemna. Mało co, a byłby się odwrócił i natychmiast stąd wycofał.

— Dużo czasu minęło.

Podskoczył, nóż wślizgnął się w dłoń, a wzrok zbadał kolumny, szukając źródła tego wyraźnego półszepu.

— Dużo czasu minęło, a mimo to poszukujący znowu przybywają po odpowiedzi. Raz jeszcze przybywają pytający.

Między kolumnami poruszyła się jakaś postać; mężczyzna, pomyślał Mat.

— Nie przyniosłeś żadnych lamp, pochodni, tak jak głosiła, głosi i głosić będzie umowa. Nie masz przy sobie żelaza? Ani instrumentów muzycznych?

Postać, wysoka, bosa, z ramionami, nogami i torsem spowitym w warstwy żółtej tkaniny, postąpiła ku niemu, a Mat nagle stracił pewność, czy to rzeczywiście mężczyzna. Czy to w ogóle ludzka istota. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak człowiek obdarzony być może zbyt wielką gracją ruchów, nazbyt szczupły, jak na swój wzrost, z wąską, pociągłą twarzą. Skóra, a nawet proste, czarne włosy odbijały blade światło w sposób, który przypominał Matowi łuski węża. I te oczy, czarne źrenice w kształcie pionowych szczelin. Nie, to nie człowiek.

— Żelazo. Instrumenty muzyczne. Nie masz ich?

Mat zastanawiał się, jak potraktować nóż, który nie wywołał niepokoju. No cóż, ostrze wykonano z dobrej stali, nie zaś z żelaza.

— Nie. Ani żelaza, ani instrumentów... A dlaczego?... — Urwał gwałtownie. Trzy pytania, przestrzegła Egwene. Nie miał zamiaru marnować jednego na „żelazo” albo „instrumenty muzyczne”.

„Być może trzymam dwunastu muzykantów w kieszeni i noszę kuźnię na plecach, ale co go to obchodzi?”

— Przybyłem tu po szczere i jasne odpowiedzi. Jeśli nie możesz mi ich udzielić, to zabierz mnie do kogoś, kto potrafi to zrobić.

Mężczyzna — w każdym razie istota rodzaju męskiego, stwierdził ostatecznie Mat — uśmiechnął się nieznacznie. Nie pokazał zębów.

— Zgodnie z umową. Chodź. — Skinął dłonią obdarzoną jednym długim palcem. — Idź za mną.

Mat ukrył nóż w rękawie.

— Prowadź, a pójdę za tobą.

„Idź po prostu przodem, tylko tak, żebym cię widział. Skóra mi cierpnie w tym miejscu”.

Szedł śladem dziwnego mężczyzny, nie widząc dookoła żadnej prostej linii z wyjątkiem może powierzchni posadzki. Nawet sklepienie zawsze wyginało się w łuk, a ściany wybrzuszały. Korytarze cały czas zakręcały, otwory drzwiowe były owalne, okna stanowiły idealne koła. Płytki układały się w spiralne albo kręte linie, a coś, co wyglądało na spiżowe ornamenty, zdobiące sufit w równych odstępach, tworzyło skomplikowane spirale. Nie było żadnych obrazów, gobelinów czy malowideł. Tylko arabeski.

Prócz swego milczącego przewodnika nikogo innego nie zobaczył, gotów był wierzyć, że to miejsce jest całkiem bezludne. Nie wiedzieć czemu naszło go mgliste wspomnienie wędrowki po korytarzach, których od setek lat nie tknęła ludzka stopa. Tutaj odnosił takie samo wrażenie. Niekiedy jednak łowił kątem oka

błysk jakiegoś ruchu. Jednakowoż, jakby się szybko nie odwracał, ani razu nikogo nie spostrzegł. Chcąc nabrać pewności siebie, udawał, że rozciera przedramiona, sprawdzając w ten sposób noże ukryte w rękawach kaftana.

Widok rozpościerający się za owalnymi oknami był jeszcze bardziej paskudny. Wysokie, wiotkie drzewa, z obwisłym parasolem konarów na szczycie albo ogromnymi wachlarzami z koronkowych liści, płatanina zieleni przypominająca zduszony przez ciernie krzak, wszystko oświetlone mętnym, posępnym światłem, choć najwyraźniej ani jedna chmura nie przesłaniała nieba. Okna wykuto w całej długości, zawsze tylko po jednej stronie krętego korytarza, którego ściany czasami jakby zamieniały się miejscami, i zamiast dziedzińca czy komnat ukazywał się las. Ani razu nie udało mu się zobaczyć nic więcej, czasem tylko łapał w przelocie obrazy innych części pałacu, czy cokolwiek to było, a może jakiegoś innego budynku, z wyjątkiem. . .

Za jednym z owalnych okien zobaczył trzy wysokie, srebrzyste iglice, których czubki zbiegały się ku sobie, celując w ten sam punkt. Z następnego okna, trzy kroki dalej, nie było ich widać, ale kilka minut potem, gdy razem ze swym przewodnikiem pokonali tyle zakrętów, że z pewnością zmienili kierunek, zobaczył je ponownie. Próbował sam siebie przekonać, że są to trzy inne iglice, jednakże dzieliło go od nich jedno z tych wachlarzowatych drzew z dyndającą, ułamaną gałęzią, które w tym samym miejscu widział za pierwszym razem. Od kiedy po raz kolejny ujrzał iglice i to dziwne drzewo ze złamaną gałęzią, tym razem z odległości dziesięciu kroków, przez okno umieszczone po przeciwnej ścianie korytarza, starał się już w miarę możliwości w ogóle nie patrzeć na to, co znajduje się na zewnątrz.

Droga zdawała się nie mieć końca.

— Kiedy. . . ? Czy. . . ? — Zazgrzytał zębami. Trzy pytania. Trudno się czegoś dowiedzieć nie pytając. — Mam nadzieję, że prowadzisz mnie do tych, którzy potrafią odpowiedzieć na moje pytania. Spalcie mi kości, naprawdę mam taką nadzieję. Przez wzgląd na ciebie i na mnie, Światłość wie, że to prawda.

— Tutaj — oznajmił jego dziwaczny, odziany na żółto przewodnik, wskazując gestem szczupłej dłoni okrągłe drzwi, dwakroć wyższe od wszystkich, jakie dotychczas mijali. Dziwne oczy studiowały go bacznie. Rozdziawione szeroko usta wciągały powietrze, długo, powoli. Mat skarcił go spojrzeniem i obcy spazmatycznie zadygotał ramionami.

— Tutaj można znaleźć twoje odpowiedzi. Wejdz. Wejdz i pytaj.

Mat sam zrobił głęboki wdech, potem skrzywił się i podrapał po nosie. Ostra, ciężka woń stanowiła istne utrapienie. Zrobił jeden niepewny krok w stronę wysokich drzwi i raz jeszcze obejrzał się na swego przewodnika. Tamten zniknął.

„Światłości! Nie wiem, czemu coś jeszcze w tym miejscu mnie dziwi. Cóż, prędzej skonom, niż teraz zawrócę”.

Starając się nie zastanawiać, czy potrafiłby na własną rękę odnaleźć

*ter'angreal*, wszedł do środka.

Była to kolejna, owalna komnata, płytki posadzki tworzyły czerwone i białe spirale, sklepienie wieńczyła kopuła. Ani śladu kolumn, ani też jakichkolwiek mebli z wyjątkiem trzech grubych, kręconych postumentów, wyrastających ze środków spiral posadzki. Mat nie widział innego sposobu dostania się na ich szczyty, z wyjątkiem wspinalczki po krętych krawędziach, a mimo to na każdym siedział mężczyzna, podobny do jego przewodnika, tyle że odziany w czerwone szaty. To nie są tylko mężczyźni, stwierdził, przyjrzawszy się uważniej; dwie z tych pociągłych twarzy, obdarzonych dziwacznymi oczami, miało zdecydowanie kobiecy wygląd. Wszyscy troje wpatrywali się w niego, przesywając go pełnym napięcia wzrokiem, oddychali głęboko, niemal łykając powietrze. Zastanawiał się, czy to przypadkiem jego obecność nie sprawia, że są tak podenerwowani.

„Raczej mało prawdopodobne. Ale z pewnością zaleźli mi za skórę”.

— Dawno już — odezwała się kobieta z prawej strony.

— Bardzo dawno — dodała ta z lewej.

Mężczyzna przytaknął.

— A jednak znowu przychodzą.

Wszyscy troje mieli taki sam świszczący głos jak przewodnik — właściwie niemalże identyczny — i podobnie chrapliwie wymawiali słowa. Mówili unisono, słowa równie dobrze mogły padać z jednych tylko ust.

— Wejdz i pytaj, zgodnie z dawną umową.

O ile przedtem cierpła mu skóra, to teraz czuł, jakby wędrowały po niej kolumny głodnych mrówek. Zmusił się, by podejść bliżej. Ostrożnie — pilnując, by nie powiedzieć nic, co by choć zabrzmiało jak pytanie — wyłożył im sytuację. Białe Płaszczce, z całą pewnością w rodzinnej wiosce, dybią na jego przyjaciół, może nawet na niego. Jeden wybiera się walczyć z Białymi Płaszczami, inny natomiast nie. Jego rodzina, raczej nic jej nie grozi, ale jeśli ci przekłęci Synowie przekłętej Światłości są... Pewien *ta'veren* przyciąga go do siebie z taką siłą, że ledwie może się ruszyć. Nie widział powodu, dla którego miałby podawać imiona albo wspomnieć, że Rand to Smok Odrodzony. Swoje pierwsze pytanie — a także pozostałe dwa, skoro o tym mowa — obmyślił, jeszcze zanim wybrał się do Wielkiej Przechowalni.

— Czy powinienem jechać do domu, by pomóc swoim bliskim? — spytał wreszcie.

Trzy pary skośnych oczu oderwały się od niego — niechętnie jakby — i zapatrzyły w przestrzeń ponad jego głową. W końcu kobieta z lewej strony powiedziała:

— Musisz jechać do Rhuidean.

Oczy jej raz jeszcze spoczęły na nim, a potem wszyscy troje wychylili się do przodu, ponownie głęboko oddychając. W tym momencie odezwał się dzwon, donośnym, mosiężnym łoskotem, który wypełnił wnętrze komnaty. Wyprostowali

się chwiejnie, kierując spojrzenia najpierw na siebie, a potem znowu w przestrzeń nad głową Mata.

— On jest kolejny — szepnęła kobieta z lewej strony. — Ten ton. Ten ton.

— To brzmienie — powiedział mężczyzna. — Dawno już.

— Ale jest jeszcze czas — odezwała się druga kobieta. Mówiła spokojnym głosem, podobnie jak wszyscy troje, lecz kiedy zwracała się do Mata, pobrzmiwała w nim jakaś ostra nuta. — Pytaj. Pytaj.

Mat spiorunował ich wściekłym spojrzeniem,  
„Rhuidean? Światłości!”

To gdzieś na Pustkowiu Aiel, tylko jedna Światłość i Aielowie wiedzieli gdzie. Więcej nie potrafił powiedzieć. Na Pustkowiu! Gniew podpowiadał pytania, jak uciec przed Aes Sedai, jak odzyskać utracone wspomnienia.

— Rhuidean! — warknął. — Oby Światłość spaliła moje kości na popiół, jeśli chce mi się jechać do Rhuidean! I moja krew zrosi ziemię, jeśli pojedę! Po co miałbym to robić? Nie odpowiadacie na moje pytania. Macie odpowiadać, a nie zadawać zagadki!

— Jeśli nie pojedziesz do Rhuidean — powiedziała kobieta z prawej strony — umrzesz.

Dzwon rozbrzmiał ponownie, tym razem jeszcze głośniej. Mat poczuł drżenie posadzki przez podeszwy butów. Identyczny wyraz twarzy tej trójki zdradzał wyraźne zaniepokojenie. Otworzył usta, ale oni interesowali się wyłącznie sobą.

— Ten ton — powiedziała pośpiesznie jedna z kobiet. — Jest zbyt majestatyczny.

— Jego brzmienie — dodała tuż za nią druga. — Już tak bardzo dawno.

Zanim skończyła, odezwał się mężczyzna.

— Ton jest zbyt majestatyczny. Zbyt majestatyczny. Pytaj. pytaj!

— Spalcie mi duszę za tchórzliwe serce — warknął Mat. — Zrobię to! Dlaczego miałbym umrzeć, jeśli nie pojedę do Rhuidean. Równie dobrze mogę zginąć, jeśli tak uczynię. W tym nie ma żadnego...

Mężczyzna wszedł mu w słowo, mówiąc pośpiesznie:

— Zboczyłeś z wątku losu, pozwoliłeś swemu losowi unosić się na wiatrach czasu i zostaniesz zabity przez tych, którzy nie chcą, by on się spełnił. Odejdź teraz. Musisz odejść! Szybko!

Nagle u boku Mata pojawił się odziany na żółto przewodnik, szarpnął go za rękaw nazbyt długimi dłońmi.

Mat wyrwał mu się.

— Nie! Nie odejdę! Nie pozwoliliście mi zadać moich trzech pytań i podaliście bezsensowne odpowiedzi. Nie zostawię tak tego. O jakim wy losie mówicie? Przynajmniej wydobędę z was chociaż jedną jasną odpowiedź!

Dzwon zadzwonił żalobnie po raz trzeci i cała komnata zatrzęsa się.

— Idź! — krzyknął mężczyzna. — Otrzymałeś swoje odpowiedzi. Musisz odejść, zanim będzie za późno!

Niespodziewanie, jakby znikąd, pojawiło się kilkunastu odzianych na żółto mężczyzn, otoczyli go, starając się zawlec do drzwi. Walczył pięściami, łokciami, kolanami.

— Jaki los? Oby wam serca szczęły, jaki los? — To sama komnata tak dzwoniła, ściany i posadzka drżały, niemal przewracając Mata i atakujące go istoty. — Jaki los?

Trójka na postumentach powstała, nie był w stanie stwierdzić, które wyrzeszczało odpowiedź.

— Poślubisz Córkę Dziewięciu Księżyców!

— Umrzesz, narodzisz się na nowo i ponownie przeżyjesz część tego, co było!

— Zrezygnujesz z połowy światłości świata, żeby ratować świat!

Szumieli niczym uciekająca, sprężona para!

— Jedź do Rhuidean, synu bitew! Jedź do Rhuidean, hazardzisto! Jedź, gracz! Jedź!

Napastnicy podźwignęli Mata za ręce i nogi i pobiegli, niosąc go nad głowami.

— Puśćcie mnie, wy tchórzliwe koziesyny! — krzyczał wyrrywając się. — Oby wam wypaliło oczy! Oby Cięń porwał wasze dusze, puśćcie mnie! Przyczepię wasze bebechy do popręgu przy siodle!

Jakkolwiek by się jednak szamotoł i przeklinał, długie palce ścisnęły go niczym żelazo.

Dwa razy jeszcze odezwał się dzwon, a może to jęczał sam pałac. Wszystko dygotało jak podczas trzęsienia ziemi, mury huczały, a każdy taki łomot był jeszcze głośniejszy niż poprzedni. Porywacze pędzili dalej potykając się, bliscy upadku, ani razu jednak nie hamując tego biegu na łeb na szyję. Nawet nie widział, dokąd go niosą, aż nagle zatrzymali się jak wryci i cisnęli go przed siebie. Zobaczył krzywe odrzwia, *ter'angreal*, gdy już leciał w jego stronę.

Oślepiło go białe światło, głowę wypełnił huk, który ostatecznie wyparł wszelką myśl.

Runął całym ciężarem na zakurzoną posadzkę spowitą w mętne światło, zatrzymując się pod beczką, na której stała jego lampa. Wielka Przechowalnia. Beczka zakołysała się, paczki i figurynki pospadały na podłogę przy wtórce chrzęstu kamienia, kości słoniowej i porcelany. Zerwał się na równe nogi i rzucił z powrotem na kamienną futrynę.

— Niech szczęnę, nie możecie mnie...!

Runął do środka — i zatoczył się na skrzynie i beczki, które stały po drugiej stronie. Bez namysłu odwrócił się i znowu skoczył. Z tym samym rezultatem. Tym razem przytrzymał się beczki, łapiąc jednocześnie lampę, która omal nie spadła na porozbijane przedmioty, zaśmiecające podłogę pod jego stopami. Chwycił



ją w samą porę, parząc się w rękę, po czym po omacku odstawił na pewniejsze miejsce.

„Niech szczenę, jeśli chce mi się tu siedzieć w ciemności — pomyślał, ssąc palce. — Światłości, z tym moim szczęściem jeszcze wywołałam pożar i spalę się na śmierć!”

Spojrzał spode łba na *ter'angreal*. Dlaczego on nie działa? Może ci ludzie po drugiej stronie jakoś go zamknęli. Nie rozumiał praktycznie nic z tego, co się wydarzyło. Tamten dzwon i ich panika. Bali się, można by pomyśleć, że dach spadnie im na głowy. Prawie zresztą spadł, jak się nad tym bliżej zastanowić. To Rhuidean i cała reszta. Pustkowie było dostatecznie paskudne, a oni jeszcze twierdzili, że zgodnie ze swym przeznaczeniem ożeni się z jakąś kobietą o imieniu Córka Dziewięciu Księżyców. Ożeni! I to z arystokratką, tak to zabrzmiało. Prędzej ożeniłby się ze świnia niż z arystokratką. I ta sprawa z umieraniem i rodzeniem się na nowo.

„Ładnie z ich strony, że dodali ten ostatni kawałek”.

Gdyby jakiś osłonięty na czarno Aiel zamordował go w drodze do Rhuidean, to by się dowiedział, ile było w tym prawdy. Wszystko to był kompletny nonsens, nie wierzył w ani jedno słowo. Tylko... Te cholerne odrzwia zabrały go do jakiegoś miejsca, a tamci chcieli odpowiedzieć wyłącznie na trzy pytania, tak jak powiedziała Egwene.

— Nie ożenię się z żadną przekłętą arystokratką! — powiedział do *ter'angreal*. — Ożenię się, gdy będę już za stary, żeby coś mnie jeszcze bawiło, ot co! Rhuidean, moje cholerne...

Najpierw pojawił się wysoki but wycofujący się z koślawej kamiennej futryny, a zaraz po nim Rand w całej swej okazałości, w rękę trzymał płonący miecz. Ostrze zniknęło, kiedy na dobre znalazł się w zakurzonej komnacie. Ciężko odetchnął z ulgą. Nawet w tym ciemnym świetle Mat widział, że jest zdenerwowany. Na jego widok wzdrygnął się.

— Tak tu sobie tylko myszkujesz, co, Mat? A może też przez nią przeszedłeś?

Mat mierzył go przez chwilę czujnym wzrokiem. Dobrze, że chociaż ten miecz zniknął. Raczej nie przenosił w tym momencie Mocy — tylko jak to stwierdzić? — i niespecjalnie przypominał szaleńca. W rzeczy samej, wyglądał zupełnie tak, jakim go zapamiętał z dawnych lat. Musiał wręcz sobie przypomnieć, że wcale nie są w domu i że Rand nie jest tym, kim był kiedyś.

— A przeszedłem, no i dobrze. Banda cholernych łgarzy, jeśli chcesz wiedzieć! Kim oni są? Aż mi się przez nich pomyślało o węzach.

— To nie kłamcy, tak mi się wydaje. — Rand powiedział to takim tonem, jakby żałował, że nie jest inaczej. — Nie, wcale nie. Bali się mnie od samego początku. A kiedy rozległy się te dzwony... Miecz ich odstraszał, nie chcieli nawet na niego spojrzeć. Płoszyli się. Uciekali wzrokiem. Czy zdobyłeś swoje odpowiedzi?

— Nic, co by miało sens — mruknął Mat. — A ty?

Z *ter'angreal* wyłoniła się niespodzianie Moiraine, jakby z gracją, lekko opuszczała nicość. Świetnie by się z nią tańczyło, gdyby to nie była Aes Sedai. Na ich widok zacisnęła usta.

— To wy! Byliście tam obaj. To dlatego...! — Syknęła z irytacją. — Jeden to już fatalnie, ale dwóch *ta'veren* równocześnie... mogliście całkowicie zerwać połączenie i dać się tam złapać w pułapkę. Niegrzeczni chłopcy, którzy bawią się niebezpiecznymi rzeczami, nie mając pojęcia, czym one im grożą. Perrin! Czy Perrin też tam jest? Czy on też się przyłączył do waszej... eskapady?

— Kiedy ostatni raz widziałem Perrina — odparł Mat — był właśnie gotów położyć się do łóżka. — Być może już za chwilę Perrin zada kłam jego słowom, będąc następną osobą, która wyłoni się z *ter'angreal*, ale tak czy siak, lepiej było ostudzić gniew Aes Sedai, skoro istniała taka możliwość. Dlaczego Perrin miałby przechodzić przez to samo.

„Może chociaż on się od niej uwolni, jeżeli zdoła uciec, nim ona się o tym dowie. Przeklęta kobieta! Założę się, że urodziła się w arystokratycznej rodzinie”.

Nie było wątpliwości, że Moiraine jest zła. Krew odpłynęła jej z twarzy, oczy zmieniły się w czarne świdry, które wpiły się w twarz Randa.

— Dobrze chociaż, że udało wam się ująć z życiem. Kto wam o tym powiedział? Która z nich? Tak się z nią rozprawię, że pożałuje, iż nie zdarłam z niej skóry jak rękawiczki.

— Mnie powiedziała o tym pewna książka — odparł spokojnie Rand. Usiadł na brzegu paki, która zatrzeszczała ostrzegawczo pod jego ciężarem, i skrzyżował ręce na piersiach. Z absolutnym chłodem, Mat żałował, że jego nie stać na takie opanowanie. — Właściwie kilka książek. *Skarby Kamienia* oraz *Co się działo z Terytorium Mayene*. To niesamowite, ile można wygrzebać z książek, jeśli się je dostatecznie długo czyta, prawda?

— A ty? — Przeniosła to świdrujące spojrzenie na Mata. — Ty też wyczytałeś o tym w książkach? Wyczytałeś?

— Czytam czasami — odparł oschle.

Nie sprzeciwiliby się, gdyby Egwene i Nynaeve odrobinę obdarto ze skóry, nie po tym, co zrobiły, żeby go zmusić, by się przyznał, gdzie schował list od Amyrlin — już samo związanie go z udziałem Mocy było dostatecznie wredne, ale jeszcze ta reszta! — więcej jednak uciechy mogło przynieść zagranie na nosie Moiraine.

— *Skarby. Co się działo*. W książkach jest mnóstwo rzeczy. — Na szczęście nie uparła się, by powtórzył całe tytuły; nie słuchał, kiedy Rand rozprawiał o książkach.

Zamiast tego znowu zaatakowała Randa.

— A twoje odpowiedzi?

— Należą do mnie — odparł Rand i skrzywił się. — To wcale nie było takie łatwe. Sprowadzili jakąś... kobietę... żeby tłumaczyła, ale ona gadała jak stara

księga. Ledwie rozumiałem niektóre słowa. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że mogą się posługiwać innym językiem.

— To Dawna Mowa — wyjaśniła Moiraine. — W kontaktach z ludźmi posługują się Dawną Mową lub raczej jej szorstkim dialektem. A ty, Mat? Łatwo ci przyszło rozumieć twojego tłumacza?

Mocno musiał się postarać, by móc w ogóle przełknąć ślinę.

— Dawna Mowa? To była Mowa? Nie dali mi tłumacza. Właściwie to w ogóle nie udało mi się wygłosić swoich pytań. Murami zaczął wstrząsać dźwięk dzwonu i wtedy wypędzili mnie stamtąd, jakbym zostawiał krwi nawóz na dywanie.

Wciąż gapiła się na niego, jej oczy nadal szperały w jego twarzy. Wiedziała przecież, że czasami wymykało mu się coś w Dawnej Mowie.

— Prawie... rozumiałem to czy tamto słowo, ale nie tak, żebym je znał. Ty i Rand uzyskaliście odpowiedzi. Co oni z tego mają? Węże z nogami. Kiedy wrócimy na górę, nie okaże się, że minęło dziesięć lat, prawda? Tak jak było z Bilim w opowieści?

— Wrażenia — odparła Moiraine krzywiąc się. — Wrażenia, uczucia, doświadczenia. Oni je przetrząsają; czujesz, jak to robią, i cierpnie ci od tego skóra. Być może żywią się nimi w jakiś sposób. Aes Sedai, które badały ten *ter'angreal*, kiedy jeszcze znajdował się w Mayene, pisały, że po wyjściu z niego odczuwa się silne pragnienie zażycia kąpieli. Ja z całą pewnością mam to zamiar zrobić.

— Ale czy ich odpowiedzi się sprawdzają? — spytał Rand, gdy już się odwracała. — Jesteś pewna? Książki dawały to do zrozumienia, ale czy oni naprawdę potrafią podawać takie odpowiedzi związane z przyszłością, które się spełnią?

— Odpowiedzi się sprawdzają — powiedziała powoli Moiraine — o ile dotyczą twojej przyszłości. To akurat jest pewne. — Obserwowała ich obu, szacując efekt, jaki wywołały jej słowa. — Można natomiast tylko spekulować. w jakim stopniu są prawdziwe w odniesieniu do rzeczy bardziej ogólnych. Tamten świat jest... powyginany... w osobliwy sposób. Nie umiem wyrazić się jaśniej. Być może to pozwala im odczytywać wątek czyjegoś życia, odczytywać, jak wpleciony jest do Wzoru. Albo może ci ludzie są obdarzeni takim talentem. Niemniej jednak odpowiedzi często bywają niejasne. Oferuję swoje usługi, jeśli potrzebna wam pomoc w rozszyfrowaniu ich znaczenia.

Jej wzrok prześlizgnął się z jednego na drugiego, Mat omal nie zaklął. Nie uwierzyła, że jemu nie udzielono odpowiedzi. Chyba że Aes Sedai z zasady zwyczajnie go podejrzewała.

Rand obdarzył ją leniwym uśmiechem.

— A powiesz mi, o co sama pytałaś i co ci odpowiedzieli?

Zamiast odpowiedzieć, przyjrzała mu się spokojnie, badawczo, po czym ruszyła w stronę drzwi. Drogę oświetlała jej płomienna kula, jasna jak latarnia, która płynęła ponad jej głową.

Mat wiedział, że powinien dać sobie z tym spokój. Niech ona już pójdzie,

niech zapomni, że był tam na dole — to teraz tylko się liczyło. A jednak nadal płonął w nim gniew. Ile nedorzeczności mu nagadali. Cóż, może mówili prawdę, tak przecież twierdziła Moiarine, ale miał ochotę złapać tych osobników za kołnierze czy też to, co mogłoby ująć za kołnierz w ich bandażach, i zmusić ich, by parę rzeczy wyjaśnili.

— Dlaczego nie można tam wejść dwa razy, Moiraine? — zawołał za nią. — Dlaczego?

Omali nie spytał, dlaczego tak się przejmowali żelazem i instrumentami muzycznymi, ale ugryzł się w język. Nie mógł tego wiedzieć, skoro, jak twierdził, nie rozumiał, o czym mówili.

Zatrzymała się przed drzwiami wychodzącymi na korytarz, nie sposób było stwierdzić, czy patrzy na *ter'angreal* czy na Randa.

— Gdybym wiedziała wszystko, Matrim, to nie musiałabym zadawać pytań.

Jeszcze przez chwilę stała w drzwiach — przyglądała się Randowi — a potem, nie mówiąc już ani słowa, oddaliła się posuwistym krokiem.

Mat i Rand patrzyli czas jakiś na siebie w milczeniu.

— Czy dowiedziałeś się tego, co chciałeś? — spytał Rand.

— A ty?

Nad wnętrzem dłoni Randa zmateriałizował się jaskrawy płomień. Nie gładka, rozjarzona kula Aes Sedai, lecz gwałtowny ogień, jaki bucha z pochodni. Jako że Rand zabierał się do wyjścia, Mat dorzucił jeszcze jedno pytanie.

— Naprawdę godzisz się tak spokojnie, by Białe Płaszczce robiły w Polu Emonda to, co chcą? Wiesz przecież, że podążają w jego stronę. O ile już tam nie dotarli. Żółte oczy, przekłety Smok Odrodzony. Za dużo tego, jak na jeden raz.

— Perrin zrobi. . . to, co musi zrobić, by uratować Pole Emonda — odparł zbolalym głosem Rand. — Ja natomiast muszę zrobić to, co muszę, bo inaczej zginie coś więcej niż tylko Pole Emonda, i to z gorszego powodu niż Białe Płaszczce.

Mat stał zamyślony i obserwował niknący w głębi korytarza płomień, aż wreszcie przypomniał sobie, gdzie jest. Porwał wtedy swoją lampę i pośpiesznie wybiegł na zewnątrz.

„Rhuidean! Światłości, co ja mam robić?”

# POŻEGNANIA

Leżał w przesiąkniętej potem pościeli i wpatrywał się w sufit, gdy nagle zauważył, że ciemność za oknem zaczyna szarzeć. Niebawem słońce wzniesie się nad krawędź horyzontu. Poranek. Pora nowych nadziei, pora, by wstać i wziąć się do pracy. Nowe nadzieje. Omal się nie roześmiał. Od jak dawna nie spał? Z pewnością już od godziny albo i dłużej. Krzywił się, drapiąc po kędzierzawej brodzie. Posiniaczone ramię zeszywniało, usiadł powoli i masował je czując, że pot występuje mu na twarz. Mimo to kontynuował masaż metodycznie, tłumiąc jęk i co jakiś czas połykając przekleństwo, aż wreszcie był w stanie swobodnie, a nawet w miarę bezboleśnie poruszać ręką.

Sen, który przyniosła noc, był przerywany i bolesny. Budził się i widział twarz Faile, jej ciemne oczy, które go oskarżały, kurczył się cały, odkrywając w nich ból, jaki sam jej zadał. Zasnął i śniło mu się budowanie szubienicy, Faile, która się temu przypatrywała, albo jeszcze gorzej, próbowała temu przeciwdziałać, próbowała walczyć z lancami i mieczami Białych Płaszczy, a on krzyczał przeraźliwie, kiedy zakładali mu pętlę na szyję, krzyczał przeraźliwie, bo Białe Płaszcze mordowały Faile. Czasami przypatrywała się, jak go wieszają, z uśmiechem gniewnej satysfakcji. Nic dziwnego, że coraz to budził się gwałtownie. Raz przyśniły mu się wilki, które wybiegły z lasu, żeby ratować jego i Faile — po to, by się nadziać na lance Białych Płaszczy, by paść od ich strzał. Nie była to noc, która daje wytchnienie. Umył się i ubrał, najszybciej jak się dało, po czym natychmiast opuścił komnatę, mając nadzieję, że wspomnienia nocnych koszmarów nie pójda za nim.

Jawnych dowodów na to, że ubiegłej nocy zaatakowano Kamień, pozostało niewiele, tu przecięty mieczem gobelin, tam komoda z rogiem rozplatanym przez topór albo jaśniejsza plama na kamiennej posadzce po usuniętym, zabrudzonym krwią dywanie. Majhere zmobilizowała całą armię odzianych w liberie służących, mimo iż wielu nosiło bandażę — zamiatali, wycierali, szorowali i układali wszystko na swoim miejscu. Ta zażywna kobieta, której siwe włosy zaczesane na kształt okrągłego czepca wystawały spod bandaża opasującego głowę, kuśtykała, wsparta na lasce, i wykrzykiwała rozkazy stanowczym głosem, z wyraźnym zamiarem usunięcia wszelkich śladów kolejnego aktu przemocy, jaki miał miejsce w Kamieniu. Na widok Perrina dygnęła nieznacznie. Sami Wysocy Lordowie niewiele

więcej mogli od niej oczekiwać, nawet wówczas, kiedy była zdrowa. Mimo całego mycia i szorowania, w zapachu wosku, past i płynów do mycia Perrin cały czas wyczuwał niewyraźną woń krwi, ostrą metaliczną ludzi, cuchnącą trolloków, gryzącą Myrddraali, której smród palił go w nozdrzach. Z chęcią znalazłby się gdzieś daleko stąd.

Drzwi do izby Loiala miały szerokość jednej piędzi i ponad dwie piędzi wysokości, wielka kłamka w kształcie splecionych pędów winorośli znajdowała się na poziomie głowy Perrina. W Kamieniu było kilka rzadko używanych izb gościnnych dla ogirów. Kamień Łzy był wprawdzie starszy od epoki kamiennych budowli ogirów, niemniej jednak dla prestiżu należało zatrudniać mularzy z tego ludu, przynajmniej od czasu do czasu. Perrin zapukał i na zawołanie „Wejść!”, wypowiedziane głosem, który do złudzenia przypominał grzmot leniwej lawiny, nacisnął kłamkę i wszedł do środka.

Wnętrze izby dostosowane było wielkością do rozmiarów drzwi, a jednak Loial, stojąc na środku dywanu utkanego w liściasty wzór, w samej tylko koszuli, z długą fajką w zębach, redukował ją do pozornie normalnych wymiarów. W sięgających do ud butach z szerokimi noskami ogir był wyższy niż przeciętny trollok, mimo że nie tak barczysty. Jedno spojrzenie wystarczało jednak, by stwierdzić, że nie jest to zwyczajny człowiek w zwyczajnej izbie. Szeroki nos ogira kształtem przypominał bowiem pysk; brwi, niczym długie wąsy, płasły obok oczu wielkości filiżanek do herbaty. Z kudłatych, czarnych włosów, które zwisały prawie do ramion, wystawały uszy porośnięte kępkami włosów. Uśmiech, którym obdarzył Perrina, niemalże rozciął mu twarz na pół.

— Dzień dobry, Perrin — zagrzmiał, wyjmując fajkę z ust. — Dobrze spałeś? Po takiej nocy to niełatwe. Ja sam pół nocy byłem na nogach, spisując to, co się zdarzyło. — W drugiej dłoni trzymał pióro, a grube jak kielbaski palce miał powalane atramentem.

Wszędzie walały się książki, na krzesłach o wymiarach odpowiednich dla ogirów, ogromnym łożu i stole, który sięgał Perrinowi do piersi. To jednak nie stanowiło niespodzianki, nieco zaskakująca natomiast była obecność kwiatów wszelkich gatunków i barw. Wazony i kosze pełne kwiatów, bukiety związane wstążkami albo nawet zwykłym sznurkiem, wielkie kwietniki, które stały dookoła izby niby fragmenty ogrodowego muru. Perrin z pewnością nigdy w życiu nie widział takiego wnętrza. Woń kwiatów bez reszty wypełniała powietrze. Ale tak naprawdę jego wzrok przyciągnął napuchły guz na głowie Loiala, guz wielkości ludzkiej pięści, oraz to, że ogir chodząc, mocno kulał. Jeśli Loial był poważnie ranny i nie mógł podróżować... Zrobiło mu się wstyd, że potrafi myśleć w taki sposób — ogir był przecież przyjacielem — ale inaczej nie mógł.

— Jesteś ranny, Loial? Moiraine mogłaby cię uzdrowić. Jestem pewien, że cię uzdrowi.

— Ależ ja sobie poradzę bez trudu. Było tylu innych, którzy naprawdę po-

trzebowali jej pomocy. Nie chciałem przeszkadzać. Zresztą to za mało, by unie-  
możliwić mi pracę. — Loial zerknął w stronę stołu, na którym obok odkorko-  
wanego kałamarza leżała ogromna, oprawna w płótno księga; w oczach Perrina  
była ogromna, jednak swobodnie zmieściłaby się do kieszeni kaftana ogira. —  
Ufam, iż wszystko spisałem właściwie. Niewiele widziałem ubiegłej nocy, zanim  
już było po wszystkim.

— Loial — odezwała się Faile, wstając z książką w dłoniach zza jednego  
z kwietników — to bohater.

Perrin aż podskoczył, kwiaty całkowicie zamaskowały jej zapach. Loial syknął,  
żeby ją uciszyć, zastrzygł uszami z zażenowania i jął wymachiwać wielkimi  
dłońmi, ale Faile mówiła dalej. Głos miała chłodny, za to jej oczy wbite w twarz  
Perrina pałały.

— Zgromadził w wielkiej izbie tyle dzieci, ile się dało, a także matki nie-  
których, i przez cały czas trwania bitwy bronił samotnie drzwi przed trollokami  
i Myrddraalami. Te kwiaty to dar od kobiet Kamienia dla uczczenia jego nieugię-  
tej odwagi i oddania. — Słowa „nieugięta” i „oddanie” wymówiła w taki sposób,  
że zabrzmiały jak trzaśnięcia z bata.

Perrin słuchał tego ani drgnąwszy. To, co zrobił, było słuszne, ale nie mógł się  
spodziewać, że ona zrozumie. Nawet jeśli uznawała powody, nie mogła postąpić  
inaczej.

„To było słuszne. Naprawdę”.

Żałował tylko, że nie czuje się lepiej w całej tej sprawie. To niezbyt sprawie-  
dliwe, że mógł mieć rację, a mimo to czuł się fatalnie.

— To nic takiego. — Uszy Loiala zastrzygły gwałtownie. — Tu chodzi tylko  
o to, że dzieci nie mogą się same bronić. To wszystko. Żaden ze mnie bohater.  
Żaden.

— Bzdura. — Faile zaznaczyła palcem miejsce w książce i podeszła bliżej do  
ogira. Nie sięgała mu nawet do piersi. — Nie ma takiej kobiety w Kamieniu, która  
by cię nie poślubiła, gdybyś był człowiekiem, a niektóre zrobiłyby to i bez tego.  
Loial to właściwe miano, bo twoją naturą jest lojalność. Każdej kobiecie to by się  
spodobało.

Uszy ogira aż zeszywniały, Perrin natomiast uśmiechnął się. Najwyraźniej  
przez cały ranek karmiła Loiala miodem i mlekiem pochlebstw, w nadziei że ogir  
zgodzi się wziąć ją w podróż, nie zważając na to, czego chciał Perrin. Jednak  
starając się jemu dopiec, wcale nie zdawała sobie z tego sprawy, że uraczyła ogira  
kamieniem.

— Miałeś jakieś wieści od swojej matki, Loial? — spytał.

— Nie. — W tonie głosu Loiala zabrzmiały jednocześnie ulga i troska. — Ale  
wczoraj widziałem w mieście Laefara. Widząc mnie, zdziwił się, podobnie jak ja  
na jego widok, nieczęsto się nas spotyka we Łzie. Przybył ze Stedding Shangtai,  
by wziąć udział w negocjacjach na temat napraw kamiennych konstrukcji, które

ogirowie postawili w jednym z pałaców. Nie mam wątpliwości, że pierwsze słowa, jakie po powrocie do *steding* padną z jego ust, będą brzmiały: „Loial jest we Łzie”.

— To przykre — stwierdził Perrin, a Loial przytaknął z przygnębioną miną.

— Laefar twierdzi, że Starsi ogłosili mnie zbiegiem, to też moja matka obiecała, że każe mi się ożenić i usatkwować. Nawet już kogoś wybrała. Laefar nie wiedział, kto to taki. Tak przynajmniej twierdził. Jemu się wydaje, że takie historie są zabawne. Ona może tu być w ciągu miesiąca.

Perrin o mało co znowu uśmiechnąłby się szeroko na widok szoku, który wyraźnie malował się na twarzy Faile. Jej się zdawało, że wie o wiele więcej na temat świata niż on no cóż, faktycznie wiedziała — Loiala jednak nie znała. Domem Loiala był *Steding Shangtai*, w Grzbiecie Świata, a ponieważ dopiero co ukończył dziewięćdziesiąt lat, nie był jeszcze dostatecznie dorosły, by podróżować na własną rękę. Ogiry żyły bardzo długo, zgodnie z ich kryteriami Loial nie był starszy od Perrina, a może nawet młodszy. Loial jednak wyjechał, bo chciał zwiedzić świat i teraz najbardziej dręczyła go obawa, że matka go odszuka i zawlecze z powrotem do *steding*, by się ożenił, i tym samym uniemożliwi mu dalsze wyjazdy.

Podczas gdy Faile usiłowała wykoncypować, o co tu właściwie chodzi, Perrin przerwał milczenie.

— Muszę wracać do Dwu Rzek, Loial. Tam twoja matka cię nie znajdzie.

— Tak. To prawda. — Ogir z zakłopotaniem wzruszył ramionami. — Tylko co z moją książką. Z opowieścią o Randzie. A także o tobie i Macie. Mam już tyle notatek, ale... — Obszedł stół, zaglądając do otwartej księgi, której strony zapełniało jego równe pismo. — To ja spiszę prawdziwą historię Smoka Odrodzonego, Perrin. To będzie książka jedyna w swoim rodzaju, napisana przez kogoś, kto z nim podróżował, kto naprawdę był świadkiem rozwoju wydarzeń. *Smok Odrodzony*, autorstwa Loiala, syna Arenta syna Halana, ze *Steding Shangtai*. — Ze zmarszczonym czołem pochylił się nad księgą, maczając pióro w kałamarzu. — Tu się nie całkiem zgadza. Było więcej. . .

Perrin położył dłoń na stronie, na której Loial zamierzał właśnie coś napisać.

— Nie napiszesz żadnej książki, jeśli cię matka znajdzie. W każdym razie nie o Randzie. Poza tym jesteś mi potrzebny, Loial.

— Potrzebny, Perrin? Nie rozumiem.

— W Dwu Rzekach są Białe Płaszczce. Polują na mnie.

— Polują na ciebie? Ale dlaczego?

Loial wyglądał na niemal równie dezorientowanego jak Faile poprzednio. Ona tym razem przybrała maskę błęgiego samozadowolenia. Mimo to Perrin mówił dalej:

— Powody nie są istotne. Faktem jest, że tam są. Szukając mnie, mogą skrzywdzić innych ludzi. Moją rodzinę. Znajac Białe Płaszczce, nie mam wątpliwości, że zrobią to. Mogę temu zapobiec, pod warunkiem że szybko, naprawdę



szybko, dotrę do Dwu Rzek. Światłość jedna wie, co już zrobili. Potrzebuję cię, żebyś mnie tam zabrał, Loial, po Drogach. Powiedziałeś mi kiedyś, że tu była Brama, a wiem, że i w Manetheren też była. Nadal musi tam być, w górach za Po-lem Emonda. Nic nie jest w stanie zniszczyć Bramy, tak przynajmniej twierdziłeś. Potrzebuję cię, Loial.

— Cóż, naturalnie, że pomogę — powiedział Loial. — Drogi. — Hałaśliwie wypuścił powietrze, jego uszy odrobinę przykłapły. — Chcę pisać o przygodach, a nie przeżywać przygody. Ale przypuszczam, że jeszcze jedna wcale nie zawadzi. Światłości, spraw to — zakończył żarliwie.

Faile chrząknęła delikatnie.

— Nie zapomniałeś o czymś, Loial? Obiecałeś, że zabierzesz mnie do Dróg, kiedy tylko poproszę, i to zanim weźmiesz tam kogoś innego.

— Istotnie obiecałem, że pozwolę ci rzucić okiem na Bramę — odparł Loial — oraz zobaczyć, jak tam jest w środku. Popatrzysz sobie, kiedy ja i Perrin będziemy ruszać na tę wyprawę. Myślę, że mogłabyś jechać z nami, ale Drogami nie podróżuje się lekko, Faile. Ja sam bym tam nie wchodził, gdyby nie Perrin.

— Faile nie jedzie — oświadczył stanowczo Perrin. — Tylko ty i ja, Loial.

Faile, ignorując go, uśmiechnęła się do Loiala, jak gdyby ten się tylko z nią przekomarzał.

— Obiecałeś więcej niż tylko rzut oka, Loial. Że zabierzesz mnie, dokąd zechcę, kiedy zechcę, i to wcześniej niż kogokolwiek innego. Przysiągłeś.

— Owszem — zaprotestował Loial — ale tylko dlatego, bo nie chciałaś uwierzyć, że ci pokażę Bramę. Powiedziałaś, że nie uwierzysz, dopóki nie przysięgnę. Zrobię, jak obiecałem, ale w takiej sytuacji z pewnością zechcesz ustąpić pierwszeństwa Perrinowi.

— Przysiągłeś — powtórzyła spokojnie Faile. — Na własną matkę i matkę twojej matki oraz na matkę matki twojej matki.

— Tak, przysiągłem, Faile, jednak Perrin. . .

— Przysiągłeś, Loial. Masz zamiar złamać przysięgę?

Ogir wyglądał jak kupka nieszczęścia. Ramiona mu obwisły, uszy okłapły, kąćki szerokich ust wygięły się ku dołowi, a końcówki długich brwi dosięgły policzków.

— Ona cię oszukała, Loial. — Perrin był ciekaw, czy tamtych dwoje słyszy, jak zgrzyta zębami. — Ona cię z rozmysłem oszukała.

Policzki Faile splamił szkarłat, ale nadal miała dość tupetu, by oświadczyć:

— Tylko dlatego, że musiałam, Loial. Tylko dlatego, że ten głupiec uważa, iż może kierować moim życiem w dogodny dla niego sposób. W innym przypadku nie zrobiłabym tego. Musisz mi uwierzyć.

— Czy to, że cię oszukała, niczego nie zmienia? — spytał Perrin, a Loial ze smutkiem pokręcił swą wielką głową.

— Ogiry dotrzymują danego słowa — powiedziała Faile. — I Loial zabierze mnie do Dwu Rzek. Albo przynajmniej do Bramy w Manetheren. Życzę sobie zobaczyć Dwie Rzeki.

Loial wyprostował się.

— Ale to oznacza, że mimo wszystko mogę pomóc Perrinowi. Faile, dlaczegoś to wywlokła? Nawet Faelar nie uznałaby tego za zabawne. — Jego głos miał gniewny odcień, a przecież trzeba się było mocno starać, żeby rozzłościć ogira.

— Możesz pomóc Perrinowi, jeśli poprosi — odrzekła z determinacją. — Taka była umowa, Loial. Nikt oprócz ciebie i mnie, chyba że ja zostanę poproszona. On musi mnie prosić.

— Nie — wtrącił Perrin, zanim Loial zdążył otworzyć usta. — Nie, nie poproszę. Pojadę do Pola Emonda konno! Pójdę piechotą! A więc mogłabyś już przestać się wygłupiać. Oszukałaś Loiala. Próbujesz wepchnąć się tam... gdzie cię nie chcą.

Gniew osłabił jej spokój.

— Zanim ty tam dotrzesz, Loial i ja uporamy się z Białymi Płaszczami. Będzie po wszystkim. Poproś, ty kowalu z kowadłem zamiast głowy. Poproś tylko, a będziesz mógł jechać z nami.

Perrin wziął się w garść. Nie istniał sposób, by ją przekonać, a prosić nie miał zamiaru. Miała rację — tygodni całych potrzeba na dotarcie konno do Dwu Rzek, wędrując po Drogach znajdują się na miejscu w ciągu jakichś dwu dni — ale prosić nie będzie.

„Nie będę, choćby z tego powodu, że oszukała Loiala i usiłowała mnie sterrozyzować!”

— Zatem sam pojadę Drogami do Manetheren. Pojadę w ślad za wami. Jeśli będę się trzymał w dostatecznej odległości, by nie stanowić części waszej grupy, nie naruszę przysięgi Loiala. W tym nie możesz mi przeszkodzić.

— To ryzykowne, Perrin — rzekł z troską Loial. — Drogi są ciemne. Zagubisz się na zawsze, jeśli przeoczysz zakręt albo przypadkiem wejdiesz na zły most. Albo jeśli cię ogarnie *Machin Shin*. Poproś ją, Perrin. Powiedziała, że możesz jechać, jeśli ją poprosisz. Zrób to.

Głęboki głos ogira zadudnił przy słowie *Machin Shin*, a Perrinowi przebiegł po kręgosłupie dreszcz. *Machin Shin*. Czarny Wiatr. Nawet Aes Sedai nie wiedziały, czy to Pomiot Cienia czy coś, co uległo się z zepsucia Dróg. *Machin Shin* był powodem, dla którego podróżowanie Drogami zawsze oznaczało ryzykowanie życiem, tak twierdziły Aes Sedai. Czarny Wiatr pożerał dusze, Perrin wiedział, że to prawda. Nadal jednak mówił pewnym głosem, a jego twarz była niewzruszona.

„Wolę szczeznąć, niż pozwolić jej myśleć, że mięknę”.

— Nie mogę, Loial. W każdym razie nie zrobię tego.

Loial skrzywił się.

— Faile, on będzie ryzykował, jeśli spróbuje podążać naszym śladem. Błagam, ustąp mu i pozwól. . .

Gwałtownie weszła mu w słowo.

— Nie. Jeżeli on ma zbyt sztywny kark, żeby poprosić, to z jakiej racji ja miałabym ustąpić? Czemu miałoby mnie obchodzić, czy on się zgubi? — Zwróciła się do Perrina. — Możesz podróżować blisko nas. Tak blisko jak musisz, tak żeby było wiadomo, że idziesz naszym śladem. Będziesz się włókł za mną jak szczenię, dopóki nie poprosisz. Dlaczego po prostu tego nie zrobisz?

— Uparci ludzie — mruknął ogir. — Popędliwi i uparci, mimo że przez tę popędliwość łądujecie w gnieździe szerszeni.

— Chciałbym wyjechać dzisiaj, Loial — powiedział Perrin, nie patrząc na Faile.

— Najlepiej wyruszyć jak najszybciej — zgodził się Loial, rzucając pełne żalu spojrzenie na rozłożone na stole książki. — Będę mógł, jak mniemam, uporządkować swoje notatki podczas podróży. Światłość tylko wie, co stracę, przebywając z dala od Randa.

— Czy ty mnie słyszałeś, Perrin? — spytała podniesionym głosem Faile.

— Przygotuję konia i jakiś prowiant, Loial. Możemy ruszać późnym rankiem.

— A żebyś szczeł, Perrinie Aybara, odpowiedz mi!

Loial przyjrzał jej się z troską.

— Perrin, jesteś pewien, że nie mógłbyś. . .

— Nie — przerwał mu łagodnie Perrin. — Ona myśli jak muł i lubi oszukiwać. Nie zatańczę, by wywołać jej śmiech. — Zignorował odgłos dobywający się z gardła Faile, przypominający syk kota, kiedy patrzy na psa i szykuje się do ataku. — Powiadomię cię, gdy tylko będę gotów.

Ruszył w stronę drzwi, a wtedy zawołała z wściekłością:

— To ja decyduję „kiedy”, Perrinie Aybara. Ja i Loial. Słyszysz mnie? Lepiej bądź gotów za dwie godziny, bo inaczej zostawimy cię z tyłu. Możesz spotkać się z nami przed stajnią przy Bramie Muru Smoka. O ile się wybierasz. Słyszysz mnie?

Wyczuł jej ruch i zatrzasnął za sobą drzwi dokładnie w tym samym momencie, gdy coś w nie łupnęło z całej siły. Książka, pomyślał. Loial ją za to prześwięci. Pewnie wolałby dostać po głowie, niż gdyby zniszczono którąś z jego książek.

Na moment oparł się o drzwi, pogrążony w rozpacz. Tyle zrobił, żeby go znienawidziła, a ona i tak się tam znajdzie, aby patrzeć na jego śmierć. Pewnie upaja się tym teraz — więcej nie udało mu się osiągnąć.

„Uparta kobieta, która myśli jak muł!”

Odrzucił się, by odejść, i zobaczył idącego w jego stronę Aiela, wysokiego mężczyznę, obdarzonego rudawymi włosami i zielonymi oczyma, który mógł być starszym kuzynem albo młodszym wujem Randa. Znał i lubił tego człowieka,

choćby z tego tylko powodu, że Gaul nigdy nie dał w najmniejszej mierze poznać po sobie, iż zauważa jego żółte oczy.

— Obyś znalazł cień tego ranka, Perrin. Majhere powiedziała mi, że poszedłeś w tę stronę, choć myślę, że aż ją swędziało, by wetknąć mi miotłę w rękę. Ta kobieta jest równie wymagająca jak Mądre.

— Obyś i ty znalazł cień tego ranka, Gaul. Wszystkie kobiety są takie, jeśli chcesz znać moje zdanie.

— Być może, o ile nie wiesz, jak je podejść. Słyszałem, że wybierasz się w podróż do Dwu Rzek.

— Światłości! — warknął Perrin, nim Aiel zdążył powiedzieć coś więcej. — Czy cały Kamień już wie?

Jeśli Moiraine wie...

Gaul potrząsnął głową.

— Rand al'Thor wziął mnie na bok i odbył ze mną rozmowę prosząc, bym nikomu o niej nie wspominał. Myślę, że rozmawiał też z innymi, ale nie wiem, kto zechce się z tobą wybrać. Już od bardzo dawna przebywamy po tej stronie Muru Smoka i wielu tęskni za Ziemią Trzech Sfer.

— Wybrać się ze mną? — Perrin miał wrażenie, że go ogłuszono. Gdyby towarzyszyli mu Aielowie... Stwarzało to możliwości, których nie odważył się wcześniej brać pod uwagę. — Rand prosił, byście jechali ze mną? Do Dwu Rzek?

Gaul ponownie potrząsnął głową.

— Powiedział tylko, że się wybierasz i że tam są ludzie, którzy będą próbowali cię zabić. Ja mimo to mam zamiar ci towarzyszyć, o ile zechcesz.

— Czy zechcę? — Perrin omal się nie roześmiał. — Oczywiście, na Światłość. Za kilka godzin będziemy już w Drogach.

— Drogi? — Gaul zamrugał oczami, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet na jotę.

— Czy to coś zmienia?

— Śmierć pisana jest wszystkim, Perrin.

Nie była to raczej pocieszająca odpowiedź.

\* \* \*

— Nie wierzę, że Rand jest taki okrutny — oświadczyła Egwene, a Nynaeve dodała:

— Przynajmniej nie próbował cię zatrzymać.

Usadowione na łóżku Nynaeve kończyły dzielić złoto, które dostarczyła im Moiraine. Cztery wypchane sakiewki miały być ukryte w kieszonkach przyszy-

tych do wewnętrznej strony spódnic, a oprócz nich jeszcze dodatkowe cztery, ale już nie tak duże, przytroczone do pasa, by nie przyciągały niepożądanego uwagi. Egwene wzięła mniejszą część, jako że na Pustkowiu pożytek ze złota zapewne będzie niewielki.

Elayne spojrzała krzywo na dwa porządnie związane tobołki i oprawiony w skórę skrypt, ułożony obok drzwi. Tobołki zawierały całą jej odzież i pozostałe rzeczy. Futerał z nożem i widelcem, szczotkę i grzebień do włosów, igły, szpilki, nici, napastrzek, nożyczki. Hubka z krzesiwem i jeszcze drugi nóż, mniejszy od tego za pasem. Mydło i proszek do kąpieli, a także. . . Ponowne sprawdzanie tej listy to niedorzeczność. Kamienny pierścień Egwene krył się bezpiecznie w mieszk. Była gotowa do wyjazdu. Nic jej nie trzymało.

— Nie, nie próbował.

Elayne była dumna z chłodu i opanowania, z jakimi udało jej się to powiedzieć.

„Wydawało się wręcz, że mu ulżyło! Ulżyło! A ja musiałam dać mu ten list, wprawdzie z rozdartym sercem. Na szczęście nie otworzy go przed moim wyjazdem”.

Podsłoczyła, gdy dłoń Nynaeve spoczęła na jej ramieniu.

— Chciałaś, by cię prosił o pozostanie? Wiesz przecież, jak brzmiałyby twoja odpowiedź. Wiesz, prawda?

Elayne zacisnęła usta.

— Jasne, że wiem. Tylko naprawdę nie musiał cieszyć się tak demonstracyjnie. — Tego wcale nie chciała powiedzieć.

Nynaeve spojrzała na nią ze zrozumieniem.

— Mężczyźni są co najmniej trudni.

— Nadal nie wierzę, że byłby taki. . . taki. . . — mruknęła gniewnie Egwene.

Elayne nigdy się nie dowiedziała, co tamta chciała powiedzieć, w tym momencie bowiem drzwi otworzyły się gwałtownie, pchnięte z taką siłą, że ich skrzydło uderzyło i odbiło się od ściany.

Elayne zadygotała i niemal w tej samej chwili objęła *saidara*; przeżyła moment zażenowania, kiedy zobaczyła, że odskakujące od ściany drzwi zatrzymała wyprostowana ręka Lana. Po krótkiej chwili postanowiła jednak nie wypuszczać z objęć Źródła. Strażnik wypełnił całą przestrzeń drzwi swymi szerokimi ramionami, jego twarz przypominała chmurę burzową, niebieskie zaś oczy, gdyby mogły ciskać pioruny, obrałyby za cel Nynaeve. Łuna *saidara* otaczająca Egwene również nie zniknęła.

Lan zdawał się nie widzieć nikogo prócz Nynaeve.

— Pozwalałaś mi sądzić, że wracasz do Tar Valon — wychrypiał.

— Mogłeś sobie tak myśleć — odparła spokojnie — mimo iż nigdy tego nie powiedziałam.

— Nigdy tego nie powiedziałaś? Nigdy tego nie powiedziałaś! Mówiałaś, że wyjeżdżasz dzisiaj i zawsze wiązałaś swój wyjazd z tymi Sprzymierzonymi z Ciemnością kobietami, które przecież mają zostać wysłane do Tar Valon. Cały czas! Co chciałaś, żebym pomyślał?

— Ale wcale nie powiedziałam. . .

— Na Światłość, kobieto! — ryknął. — Nie kpij sobie ze mnie!

Elayne i Egwene wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Ten człowiek, którego zawsze cechowało żelazne opanowanie, teraz bliski był załamania. To Nynaeve często dawała się ponieść emocjom, tym razem stawiała mu czoło z lodowatym spokojem, uniesioną wysoko głową, a jej dłonie, spoczywające na zielonym jedwabiu sukni, nawet nie zadrżały.

Lan z wyraźnym wysiłkiem przywołał się do porządku. Z pozoru twarz miał kamienną jak zawsze, jak zawsze też panował nad sobą, a mimo to Elayne była przekonana, że od środka rozsadza go gniew.

— Nie wiedziałbym, dokąd się wybierasz, gdybym nie usłyszał, że zamówiłaś powóz. Powóz, który ma cię zawieźć na statek płynący do Tanchico. Nie wiem przede wszystkim, dlaczego Amyrlin pozwoliła ci opuścić Wieżę ani dlaczego Moiraine kazała ci brać udział w przesłuchaniach Czarnych sióstr, skoro wszystkie trzy jesteście tylko Przyjętymi. Przyjętymi, nie Aes Sedai. Tanchico jest teraz miejscem, w którym może przebywać wyłącznie pełna Aes Sedai w asyście Strażnika strzegącego jej pleców. Nie pozwolę ci się w to wplątać.

— Ach tak? — beztrąsko odparła Nynaeve. — Kwestionujesz decyzje Moiraine, a także Tronu Amyrlin. Być może zupełnie błędnie pojęłam rolę Strażników. Myślałam, że przysięgacie być odpowiedzialni i posłuszni, między innymi. Lan, doprawdy rozumiem twą troskę i jestem wdzięczna, bardziej niż wdzięczna, ale wszyscy mamy misje do wykonania. Jedziemy i musisz się pogodzić z tym faktem.

— Dlaczego? Przez miłość do Światłości, powiedz mi przynajmniej dlaczego? Tanchico!

— Moiraine ci nie powiedziała — odparła łagodnie Nynaeve — bo zapewne ma swoje powody. Musimy spełnić nasze zadania, tak jak ty jesteś odpowiedzialny za swoje.

Lan zadrżał — autentycznie zadrżał! — i ze złością zacisnął zęby. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał dziwnie niepewnie.

— Będziesz potrzebowała kogoś do pomocy w Tanchico. Kogoś, kto dopilnuje, by uliczny złodziejasek z Tarabonu nie wbił ci noża w plecy, skuszony twoją sakiewką. Tanchico było tego typu miastem jeszcze przed wojną, a z tego, co słyszałem, wynika, że jest coraz gorzej. Mógłbym. . . mógłbym cię ochraniać, Nynaeve.

Brwi Elayne podskoczyły do góry. Przecież nie myślał sugerować. . . Nie mógłby czegoś takiego proponować.

Nynaeve nie pokazała po sobie, że usłyszała coś niezwykłego.

— Twoje miejsce jest przy Moiraine.

— Moiraine. — Na twardej twarzy Strażnika zaperlił się pot, wyraźnie zmagając się z doborem słów.

— Mogę... muszę... Nynaeve, ja... ja...

— Pozostaniesz przy Moiraine — surowo oznajmiła Nynaeve — dopóki cię nie zwolni z tych zobowiązań. Zrobisz, jak mówię.

Wyciągnęła ze swego mieszka arkusz złożonego papieru i wcisnęła go w ręce Lana. Zmarszczył czoło, przeczytał, zamrugał i przeczytał raz jeszcze.

Elayne знаła jego treść.

*Cokolwiek uczyni okaziciel niniejszego pisma, uczynione będzie z mego rozporządzenia i upoważnienia. Bądźcie więc posłuszni i milczcie, taki jest bowiem mój rozkaz.*

*Siuan Sanche*

*Opiekunka Pieczęci*

*Płomienia Tar Valon*

*Zasiadająca na Tronie Amyrlin*

Taki sam dokument spoczywał w mieszkaniu Egwene, aczkolwiek żadna z nich nie była pewna, czy się do czegoś przyda w miejscach, do których się udawały.

— Przecież to ci pozwala robić wszystko, na co masz ochotę — zaprotestował Lan. — Możesz przemawiać w imieniu Amyrlin. Dlaczego miałyby to dać pierwszej lepszej Przyjętej?

— Nie zadawaj pytań, na które nie umiem odpowiedzieć — odparła Nynaeve, po czym z nieznacznym uśmiechem dodała: — Po prostu uważaj się za szczęśliwca, że nie każę ci przede mną tańczyć.

Elayne zdusiła śmiech. Egwene nieomal się nim zadławiła. To właśnie powiedziała Nynaeve, kiedy Amyrlin wręczyła im te listy. „Z tym mogę zmusić Strażników do tańczenia”. Żadna nie miała wątpliwości, którego Strażnika miała na myśli.

— Nie każesz? Zgrabnie się mnie pozbywasz. Moje zobowiązania, moje przysięgi. Ten list. — Lan miał w oku niebezpieczny błysk, którego Nynaeve zdawała się nie zauważać, gdy brała pismo z jego rąk i chowała z powrotem do sakwy przy pasie.

— Bardzoś pełen przekonania o własnej wartości, al’Lanie Mandragoram. Robimy to, co do nas należy, podobnie jak i ty.

— Pełen przekonania o własnej wartości, Nynaeve al’Meara? Ja miałbym być pełen przekonania o własnej wartości? — Lan ruszył w stronę Nynaeve tak gwałtownie, że Elayne, nie zdążywszy nawet się zastanowić, omal nie pochwyciła

go strumieniami Powietrza. W jednym momencie Nynaeve stała, wytrzeszczając oczy na mknącego w jej stronę, wysokiego mężczyznę, a już w następnym jej stopy dyndały nad podłogą, a twarz, dość dokładnie, pokrywały pocałunki. Z początku kopała go po łydkach, okładała kułakami i wściekle protestowała, lecz po chwili kopniaki stały się mniej gwałtowne, aż wreszcie ustały, ona zaś wtuliła się w jego ramiona i przestała protestować.

Egwene zażenowana spuściła oczy, Elayne natomiast obserwowała to z zainteresowaniem. Tak właśnie wyglądała, kiedy Rand...

„Nie! Nie będę o nim myśleć”.

Zastanawiała się, czy ma czas na napisanie jeszcze jednego listu, w którym wycofa wszystko, co powiedziała w pierwszym, i da mu do zrozumienia, że nie należy z niej żartować. Tylko czy tego naprawdę chce?

Po chwili Lan postawił Nynaeve z powrotem na ziemi. Zachwiała się nieznacznie, przyglądając suknię i z furią przyklepując włosy.

— Nie masz prawa... — zaczęła zadyszczanym głosem, po czym urwała, by przełknąć ślinę. — Nie dam się tak poniewierać na oczach całego świata. Nie dam!

— One to nie cały świat — odparł. — Jeśli jednak mogły na to patrzeć, to równie dobrze mogą wszystkiego wysłuchać. Znalazłaś drogę do mojego serca, chociaż ja myślałem, że nie ma już w nim na nic miejsca. Sprawiałaś, że kwiaty rozkwitły tam, gdzie hodowałem tylko kurz i kamienie. Pamiętaj o tym podczas tej podróży, na którą tak się uparłaś. Jeśli ty umrzesz, ja nie pożyję wiele dłużej. — Obdarzył Nynaeve jednym ze swych rzadkich uśmiechów, który jeśli nie całkiem nawet złagodził rysy jego twarzy, to przynajmniej sprawił, iż stały się mniej twarde. — I pamiętaj też, że nie zawsze tak chętnie słucham rozkazów, nawet gdy się zamacha mi przed nosem piśmem samej Amyrlin.

Wykonał elegancki ukłon, a Elayne przez chwilę myślała, że naprawdę ma zamiar uklęknąć i ucałować pierścień z Wielkim Wężem na palcu Nynaeve.

— Ty rozkazujesz — mruknął — a ja słucham. — Trudno było orzec, czy sobie drwi czy nie.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Nynaeve opadła na skraj łóżka, jakby dopiero teraz ugięły się pod nią kolana. Wpatrywała się w drzwi z marsmem na czole.

— „Drażnij często potulnego psa — zacytowała Elayne — a cię pogryzie”. A Lan bynajmniej nie jest potulny.

Nynaeve skarciła ją ostrym spojrzeniem i fuknięciem.

— On jest nieznośny — stwierdziła Egwene. — Przynajmniej czasami. Nynaeve, dlaczego to zrobiłaś? Był gotów jechać z tobą. Wiem, że nie pragniesz niczego więcej, jak uwolnić go od Moiraine. Nie próbuj zaprzeczać.

Nynaeve nie próbowała. Zamiast tego miętoszyła suknię i wygładzała narzutę na łóżku.



— To nie tak — odparła w końcu. — Chcę, by on należał do mnie. Cały. Nie będę go miała, jeśli będę pamiętać o zerwanej przysiędze danej Moiraine. Nie pozwolę, by to stało między nami. Przez wzgląd na niego, a także na mnie samą.

— Ale czy to coś zmieni, jeśli go nakłonisz, żeby poprosił Moiraine o zwolnienie ze zobowiązań? — spytała Egwene. — Dla mężczyzny pokroju Lana będzie to oznaczało tyle samo co ich zerwanie. Pozostaje więc tylko zmusić ją jakoś, by z własnej woli pozwoliła mu odejść. Jak zamierzasz to osiągnąć?

— Nie wiem. — Nynaeve nadała swemu głosowi stanowczą barwę. — Zawsze jednak jest jakiś sposób, ale na to przyjdzie jeszcze czas. Na razie jest praca do wykonania, a my tu siedzimy i dumamy o mężczyznach. Jesteś pewna, że masz wszystko, co ci będzie potrzebne na Pustkowiu, Egwene?

— Aviendha zajęła się przygotowaniami — odrzekła Egwene. — Nadal jest chyba nieszczęśliwa, twierdzi jednak, że jeśli będziemy miały szczęście, uda nam się dotrzeć do Rhuidean w miesiąc z małym okładem. Do tego czasu wy będziecie już w Tanchico.

— Może nawet prędzej — poprawiła ją Elayne — o ile te opowieści o rakerach Ludu Morza są prawdziwe. Będiesz na siebie uważała, Egwene? Nawet w towarzystwie Aviendhy jako przewodniczki Pustkowie może okazać się niebezpieczne.

— Będę. Ty też uważaj. Obie uważajcie. W Tanchico nie jest teraz bezpieczniej niż na Pustkowie.

I nagle wszystkie trzy przytuliły się do siebie, po raz kolejny wzajemnie się przestrzegając i upewniając, że dobrze pamiętają plan spotkania w Kamieniu, w *Tel'aran'rhiod*.

Elayne otarła łzy z policzków.

— Dobrze, że Lan poszedł. — Zatrzęsa się ze śmiechu. — Pewnie uważałby nas za skończone idiotki.

— Nie, nie myślałby tak — odparła Nynaeve, podkasując spódnice, by schować sakiewkę ze złotem do kieszonki. — Jest wprawdzie mężczyzną, ale nie jest całkiem tępy.

Zanim wsiądą do powozu, znajdę chwilę czasu, by znaleźć papier i pióro, postanowiła Elayne. Musi znaleźć. Nynaeve właściwie to ujęła. Mężczyźni potrzebowali stanowczej ręki. Rand przekona się, że nie pozbędzie się jej tak łatwo. Nie będzie mu też łatwo wkraść się z powrotem w jej łaski.

# PODSTĘPY

Oszczędzając zeszywniałą prawą nogę, Thom ukłonił się, wywijając połamami płaszcz, aż załopotwały naszyte na nim kolorowe łatki. W oczach miał piach, mimo to zdobył się na niefrasobliwy ton głosu.

— Dzień dobry wam wszystkim. — Wyprostował się i zamasyście przeciągnął kłykciami po siwych wąsach.

Odziani w czerń i złoto słudzy wyglądali na zaskoczonych. Dwóch muskularnych młodzieńców stało nad inkrustowaną złotem i polakierowaną na czerwono skrzynią z roztrzaskanym wiekiem, którą właśnie mieli podnieść, natomiast trzy kobiety znieruchomiały ze szczotkami w rękach. Na całym korytarzu oprócz nich nie było nikogo, więc z chęcią przyjmowali każdą wymówkę do przerywania pracy, o tej porze zwłaszcza. Z obwisłymi ramionami i podkrążonymi oczyma wyglądali na równie zmęczonych jak Thom.

— Dzień dobry, bardzie — powitała go najstarsza z kobiet. Nieco zażywna, obdarzona raczej pospolitą twarzą, miała miły uśmiech, zmęczony jak ona sama. — W czym możemy ci pomóc?

Z przepastnego rękawa kaftana Thom wyciągnął cztery kolorowe piłeczki i zaczął nimi żonglować.

— Chcę po prostu podnieść was na duchu. Bard powinien robić to, co do niego należy. — Użyłby więcej niż czterech, ale był tak zmordowany, że nawet z tyłoma miał kłopot. Jeszcze nie zapomniał, że całkiem niedawno omal nie wypuścił piątej. Stłumił ziewnięcie, zmieniając je w zachęcający uśmiech. — Straszna noc i trzeba ożywić nastroje.

— Lord Smok nas uratował — powiedziała jedna z młodszych kobiet. Była ładna i szczupła, jednak jej czarne, skryte w cieniu rzęs oczy rzucały drapieżny błysk, który go ostrzegł, że powinien stonować swój uśmiech. Dziewczyna mogła, oczywiście, okazać się przydatna, pod warunkiem że jest w równym stopniu chciwa jak uczciwa, że jak już raz ją kupi, to na zawsze. Korzystnie było znaleźć dodatkową parę rąk, która podrzuci list, język, który zdradzi, co usłyszały uszy, i powie to, co on zechce, w miejscu i czasie, które wyznaczy.

„Stary głupiec! Masz dość rąk i uszu, więc przestań medytować o wdzięcznej talii i nie zapominaj tego błysku w oczach!”

Ciekawe, że powiedziała to takim tonem, jakby mówiła naprawdę to, co myśli. Jeden z młodzieńców przytaknął podkreślając, że zgadza się z jej słowami.

— O tak — odparł Thom. — Ciekaw jestem, na którym z Wysokich Lordów spoczywała wczoraj odpowiedzialność za doki? — Zirytowany na siebie żonglował piłeczkami nieomal niedołącznie. W taki sposób zdobywać informacje. Był jednak nazbyt już zmęczony, powinien się położyć do łóżka. W istocie, należało to zrobić kilka godzin temu.

— Za doki odpowiedzialni są Obrońcy — wyjaśniła najstarsza kobieta. — Oczywiście nie mogłeś o tym wiedzieć. Wysocy Lordowie nie zaprzatają sobie głów takimi drobiazgami.

Thom znakomicie o tym wiedział.

— Czyżby? Cóż, ma się rozumieć, nie jestem Tairenianem. — Zmienił sposób podrzucania piłeczek, ze zwykłego koła w podwójną pętlę. Wyglądało to na znacznie trudniejsze, niż było w istocie, i dziewczyna o drapieżnym spojrzeniu klasnęła w dłonie. Teraz, jak już się wdał w rozmowę, równie dobrze mógł ją ciągnąć dalej. A potem powie wszystkim dobrej nocy. Nocy? Wschodziło już słońce. — A jednak to skandal, że nikt nie spytał, dlaczego te barki przycumowały w dokach. Z opuszczonymi lukami, za którymi kryły się trolloki. Nie to, żebym twierdził, że ktoś wiedział o tych trollokach. — Podwójna pętla zrobiła się chwiejna, więc prędko powrócił do koła. Światłości, ależ był wyczerpany. — Wydaje się, że któryś z Wysokich Lordów winien był zapytać.

Dwóch młodzieńców krzywiąc się wymieniło znaczące spojrzenia, a Thom uśmiechnął się w duchu. Jeszcze jedno ziarno zasiane i to łatwo, chociaż tak niezdarnie. Następna plotka puszczona w obieg, nawet jeśli wiedzieli z całą pewnością, kto był odpowiedzialny za doki. A wiadomości szerzyły się — taka plotka nie mogła nie przedostać się do miasta — więc był to kolejny, niewielki klin podejrzania, wbity między plebs i szlachtę. Do kogo zwróci się plebs jak nie do człowieka wiadomo że znienawidzonego przez arystokrację? Do człowieka, który uratował Kamień przed Pomiotem Cienia. Do Randa al'Thora. Do Lorda Smoka.

Czas było zostawić to, co posiał, by wzrosło. Jeśli korzenie wrosły głęboko, to nic, co teraz dopowie, już ich nie wyrwie, a tej nocy posiał jeszcze inne ziarna. Lepiej jednak, by nikt się nie dowiedział, że to on je rozsiewa.

— Mężnie tej nocy walczyli Wysocy Lordowie. A jakże, widziałem... — Zawiesił głos, gdy kobiety rzuciły się z powrotem do swych szczotek, a mężczyźni pochwycili skrzynię i oddalili się pośpiesznie.

— Dla bardów też potrafię wynaleźć robotę — dobiegł go z tyłu głos Majhere. — Bezczyenne ręce to bezczyenne ręce.

Odrzucił się z gracją, uważając na swą nogę, i wykonał zamaszysty ukłon. Majhere nie dostawała nawet czubkiem głowy do jego ramienia, za to ważyła zapewne o połowę więcej. Twarz miała podobną do kowadła — bandaż wokół skroni jej nie upiększał — podwójny podbródek i głęboko osadzone oczy, ostre

jak okruchy czarnego krzemienia.

— Dzień dobry, łaskawa pani. Oto drobny upominek na ten świeży, nowy dzień.

Energicznie zatrzepotał dłońmi, po czym wpiął w jej siwe włosy ponad bandażem złoty kwiat żółtnicy, trochę tylko sfatygowany od długiego noszenia w rękawie. Naturalnie natychmiast wyrwała go i przyjrzała mu się podejrzliwie, ale tego właśnie chciał. Wykorzystał bowiem ten moment wahania, by kuśtykając oddalić się, a kiedy coś za nim zawołała, ani nie posłuchał, ani nie zwolnił.

„Straszna kobieta — pomyślał. — Zmusiłaby wszystkie trolloki do zamiatania i szorowania, gdybyśmy ją na nie napuścili”.

Szczęka mu zazgrzytała, gdy ziewnął, zakrywając usta dłonią. Za stary był już na to. Zmęczony, kolano stanowiło jeden kłębek bólu. Nieprzespane noce, bitwy, spiski. Za stary. Powinien żyć spokojnie, gdzieś na jakiejś farmie. Z kurami. Na farmach zawsze są kury. I owce. Na pewno nie jest trudno ich doglądać, pastarze wyglądali na takich, którzy cały czas zbijają bąki i grają na dudach. On rzecz jasna grałby na harfie, nie na dudach. Albo na flecie, świeże powietrze nie jest dobre dla harfy. W okolicy byłoby jakieś miasteczko, a w nim gospoda, w której zadziwiałby goście. Zrobił szeroki wymach połamami płaszcz, mijając dwóch służących. Nosił płaszcz w taki upał po to tylko, by ludzie wiedzieli, iż jest bardem. Naturalnie podnosili głowy na jego widok, w nadziei, że zatrzyma się i dostarczy chwili rozrywki. Cóż za nagroda. Tak, życie na farmie miało swoje zalety. Spokojne miejsce. Żadnych ludzi, którzy by go nękali. Pod warunkiem że w okolicy będzie jakieś miasteczko.

Otworzył drzwi do swej izby i stanął jak wryty. Moiraine wyprostowała się, jakby miała wszelkie prawo do grzebania w papierach rozspanych na stole, a potem spokojnie ułożyła spódnice, sadowiac się na stołku. Była piękną kobietą, wyposażoną we wszelkie wdzięki, jakich mógłby pożądać mężczyzna, łącznie z umiejętnością śmiania się z jego dowcipów.

„Głupiec! Stary głupiec! Ona to Aes Sedai, a ty jesteś zbyt zmęczony, by jasno myśleć”.

— Dzień dobry, Moiraine Sedai — powiedział, wieszając kaftan na kołku. Starzał się nie spoglądać na kasetkę z przyborami do pisania, nadal ukrytą pod stołem tam, gdzie ją zostawił. Lepiej, by Moiraine nie wiedziała, jaką wielką przywiązuje do niej wagę. Jeśli już o tym mowa, po jej wyjściu pewnie nie będzie najmniejszego sensu sprawdzać, czy zaglądała do środka — mogła przenieść Moc, otworzyć zamek i zamknąć go z powrotem, a on nigdy nie byłby w stanie przekonać się, czy to zrobiła. Był tak zmęczony, że nie mógł nawet sobie przypomnieć, czy nie zostawił w skrzynce czegoś obciążającego. Albo gdzie indziej, skoro już o tym mowa. Wszystko, co widział w izbie, znajdowało się na swoim miejscu. Nie przypuszczał, by mógł okazać się tak głupi, żeby zostawić coś na wierzchu. W drzwiach izb służących nie było ani zamków, ani rygli. — Poczęstowałbym cię

jakimś pokrzepiającym napojem, ale obawiam się, że nie mam nic prócz wody.

— Nie jestem spragniona — odparła miłym, melodyjnym głosem. Pochyliła się, a dzięki temu, że izba była tak mała, mogła położyć dłoń na jego prawym kolanie. Poczuli, że przelatuje przez niego fala chłodu. — Żałuję, że nie było w pobliżu żadnej dobrej Uzdrowicielki, kiedy to się stało. Obawiam się, że teraz jest już za późno.

— Tuzin Uzdrowicielek by nie wystarczył — odparł. — To dzieło Półczłowieka.

— Wiem.

„Co ona jeszcze wie?” — zastanawiał się. Odwracając się, by wyciągnąć swe jedyne krzesło zza stołu, ugryzł się w język, by nie zakląć. Czuł się tak, jakby miał za sobą dobrze przespaną noc, poza tym ból w kolanie ustąpił. Nadal kulał, ale od czasu, kiedy został okaleczony, jego staw nigdy nie był już giętki.

„Ta kobieta nawet nie spytała, czy ja tego chcę. Niech szczenę, o co jej chodzi?”

Nie zgiął nogi. Jeśli sama nie zapyta, nie wspomni nawet o niczym.

— Wczorajszy dzień był interesujący — stwierdziła, gdy usiadł.

— Nie nazywałbym trolloków i Półudzi interesującymi — odparł oziębłe.

— Nie mówię o nich, lecz o tym, co zdarzyło się wcześniej. W wypadku na polowaniu zginął Wysoki Lord Carleon. Jego bliski przyjaciel, Wysoki Lord Tedosian pomylił go rzekomo z dzikiem. A może z jeleniem.

— Nic mi o tym nie wiadomo. — Głos mu nie zadrżał. Nawet gdyby znalazła list, nie mogła go powiązać z nim. Sam Carleon uznałby, że to jego własna ręka. Nie przypuszczał, by wiedziała, ale przecież była Aes Sedai. Jakby mu trzeba było o tym przypominać, skoro naprzeciwko siebie widział tę gładką, piękną twarz, te poważne, ciemne oczy, które go obserwowały, badając jego sekrety. — Izby służących tętnią od plotek, ale ja rzadko słucham.

— Czyżby? — mruknęła łagodnie. — A zatem nie słyszałeś, że Tedosian zachorował w niespełna godzinę po powrocie do Kamienia, tuż po tym, jak żona podała mu puchar z winem, który miał splukać kurz polowania z jego gardła. Powiadają, że łkał, kiedy się dowiedział, iż to właśnie ona ma zamiar osobiście go doglądać i karmić własnymi dłońmi. Bez wątplenia łkał łzami radości, że jest tak kochany. Słyszałam, że przysięgła nie odstępować jego boku, dopóki nie wstanie z łoża. Albo dopóki nie umrze.

Wiedziała. Skąd, nie umiał stwierdzić, ale wiedziała. Czemu jednak wyjawiała mu to wszystko?

— Tragedia — powiedział, naśladowując jej ironiczny ton. — Przypuszczam, że Rand będzie potrzebował wszystkich lojalnych Wysokich Lordów, jakich uda mu się znaleźć.

— Carleon i Tedosian byli nieszczęśliwie lojalni. Nawet względem siebie, jak się zdaje. Przewodzili frakcji, która chce zabić Randa i jak najszybciej zatrzeć

wszystkie ślady jego bytności na tym świecie.

— Tak twierdzisz? Niewiele uwagi poświęcam takim sprawom. Poczynania możnych nie są dla prostego barda.

Jej uśmiech wróżył, że lada chwila może wybuchnąć śmiechem, kontynuowała jednak takim tonem, jakby czytała z książki.

— Thomdrill Mernlin. Zwany niegdyś Szarym Lisem przez tych, którzy go znali albo choćby o nim słyszeli. Królewski Bard w Królewskim Pałacu Andoru, w Caemlyn. Przez czas jakiś kochanek Morgase, po śmierci Taringaila. Szczęśliwą dla Morgase była śmierć Taringaila. Nie sądzę, by kiedykolwiek się dowiedziała, że on prokurował jej zgon, by zostać pierwszym królem Andoru. Rozmawialiśmy jednak o Thomie Merrillinie, człowieku, który, jak powiadano, nawet obudzony w środku nocy, potrafił wykonywać posunięcia w Grze Domów. To hańba, że taki człowiek nazywa siebie prostym bardem. I cóż za arogancja: zachować to samo nazwisko.

Thom z wysiłkiem ukrył przeżyty wstrząs. Ile ona wie? I tak za dużo, jeśli nawet nie było już tego ani odrobiny więcej. Ale nie tylko ona dysponowała wiedzą.

— Skoro już mowa o nazwiskach — powiedział opanowanym głosem — to doprawdy godne uwagi, ile zagadek da się rozwiązać na podstawie czyjegoś nazwiska. Moiraine Damodred. Lady Moiraine z Domu Damodred, z Cairhien. Najmłodsza przyrodnia siostra Taringaila. Siostrzenica króla Lamana. I Aes Sedai, nie zapominajmy. Aes Sedai, która wspomaga Smoka Odrodzonego, odkąd się dowiedziała, że to ktoś więcej niż tylko biedny głupiec, który potrafi przynosić Moc. Aes Sedai z wysokimi koneksjami w Białej Wieży, że tak powiem, bo w przeciwnym razie z pewnością aż tak by nie ryzykowała. Powiązania z kimś w Komnacie Wieży? Z niejedną osobą, powiem, nie ma najmniejszych wątpliwości. Wieści o tym wstrząsnęłyby światem. Tylko po co stwarzać problemy? Może lepiej zostawić starego barda w jego kryjówce w izbach służby. Zwykłego, starego barda, który gra na harfie i snuje swe opowieści. Opowieści, które nikomu nie czynią krzywdy.

Nie dała po sobie poznać, czy choć odrobinę wytrącił ją z równowagi.

— Spekulacje nie poparte faktami są zawsze niebezpieczne — odparła spokojnie. — Z wyboru nie używam swego rodzowego nazwiska. Dom Damodred zasłużenie cieszył się złą reputacją, jeszcze zanim Laman ściął *Avendordalderę* i stracił przez to tron oraz życie. Od czasów Wojny z Aielami owa reputacja stawała się coraz gorsza, równie zasłużenie.

Czy nic nie wstrząśnie tą kobietą?

— Czego chcesz ode mnie? — spytał z irytacją.

Nawet nie mrugnęła powieką.

— Elayne i Nynaeve wsiadają dziś na statek, który płynie do Tanchico. Tanchico to niebezpieczne miasto. Twoja wiedza i umiejętności mogą pomóc im w przeżyciu.

A więc o to chodzi. Chciała odseparować go od Randa, sprawić, by chłopiec został sam, bezbronny wobec jej manipulacji.

— Rzeczywiście, Tanchico jest niebezpieczne, no ale przecież zawsze takie było. Życzę tym młodym kobietom jak najlepiej, jednak nie mam ochoty wtykać głowy do gniazda jadowitych węży. Jestem na coś takiego za stary. Zastanawiałem się ostatnio, czy nie poświęcić się przypadkiem uprawie roli. Życ spokojnie. Bezpiecznie.

— Moim zdaniem spokojne życie by cię zabiło. — Wyraźnie rozbawiona, sądząc po tonie głosu, zaczęła swoimi drobnymi, szczupłymi dłońmi poprawiać fałdy spódnicy. Miał wrażenie, że ukrywa uśmiech. — W przeciwieństwie do Tanchico. Ręczę za to Pierwszą Przysięgą, sam zresztą wiesz, że to prawda.

Spojrzał na nią krzywo, mimo wszelkich starań zachowania niewzruszonej miny. Skoro tak powiedziała, nie mogła kłamać. Skąd się jednak dowiedziała? Był przekonany, że nie potrafi przepowiadać, był też pewien, że słyszał, jak sama negowała posiadanie tego Talentu. Jednakże to powiedziała.

„Ażebyś szczezła, kobieto!”

— Po cóż miałbym jechać do Tanchico? — Mogła się obyć bez tytułów.

— By chronić Elayne? Córkę Morgase?

— Nie widziałem Morgase od piętnastu lat. Elayne była niemowlęciem, kiedy wyjeżdżałem z Caemlyn.

Zawahała się, ale przemówiła głosem nad wyraz stanowczym.

— A co było powodem twego wyjazdu z Andoru? Siostrzeniec o imieniu Owyn, jak mniemam. Jeden z tych wspomnianych przez ciebie, biednych głupców, którzy potrafią przenosić. Czerwone siostry miały go sprowadzić do Tar Valon, tak jak każdego takiego mężczyznę, ale zamiast tego poskromiły go na miejscu i pozostawiły... na łasce sąsiadów.

Thom wstając przewrócił krzesło i zaraz musiał oprzeć się o stół, tak mu się trzęsły kolana. Po tym, jak go poskromiono, Owyn nie pożył długo, wygnany z własnego domu przez rzekomych przyjaciół, którzy nie byli w stanie ścierpieć, że żyje wśród nich ktoś taki, nieważne, że nie potrafił już przenosić. Thom nie mógł odwieść Owyna od pragnienia śmierci ani powstrzymać jego młodej żony, która przed upływem miesiąca poszła za nim do grobu.

— Dlaczego...? — Chrząknął głośno, starając się mówić głosem mniej ochrypłym. — Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Na twarzy Moiraine malowała się sympatia. Może współczucie? Z pewnością nie. Nie ze strony Aes Sedai. Sympatia też musiała być fałszywa.

— Nie robiłabym tego, gdybyś zwyczajnie zechciał pomóc Elayne i Nynaeve.

— Dlaczego, ażebyś szczezła! Dlaczego?

— Jeśli pojedziesz z Nynaeve i Elayne, to przy następnym naszym spotkaniu podam ci imiona tamtych Czerwonych sióstr, a także imię tej, która wydawała im

rozkazy. Nie działały na własną rękę. Na pewno cię jeszcze zobaczę. Przeżyjesz Tarabon.

Wciągnął urywany oddech.

— Na co mi ich imiona? — spytał beznamiętnym głosem. — Imiona Aes Sedai, spowite w całą potęgę Białej Wieży.

— Wprawny i niebezpieczny znawca Gry Domów mógłby z nich zrobić użytek — odparła cicho. — Nie wolno im było tak postąpić. Nie zasłużyły na wybaczenie.

— Zechcesz zostawić mnie teraz samego. Proszę?

— Udowodnię ci, że nie wszystkie Aes Sedai są jak tamte Czerwone, Thom. Musisz się o tym przekonać.

— Proszę.

Wsparty o stół stał, dopóki nie wyszła, nie chcąc, by zobaczyła, jak niezdarnie pada na kolana, nie chcąc, by widziała lzy ciekące po jego zniszczonej twarzy.

„Światłości, Owyn”.

Wspomnienia o nim pogrzebał w pamięci najgłębiej, jak tylko potrafił.

„Nie mogłem dotrzeć na czas. Byłem zbyt zajęty. Zbyt zajęty przeklętą Grą Domów”.

Gniewnie potarł twarz. W Grze Domów Moiraine mogła stawiać czoło najlepszym. Tłamsząc go w ten sposób, szarpiając za wszystkie sznurki, które tak doskonale ukrył. Owyn. Elayne. Córnka Morgase. Dla Morgase pozostała mu jedynie czułość, może coś więcej, trudno jednak rozstać się z dzieckiem, które kołysało się na kolanach.

„Ta dziewczynka w Tanchico? To miasto pożarłoby ją żywcem, nawet gdyby nie trwała wojna. Teraz to pewnie pułapka pełna wściekłych psów. Te imiona, które obiecała Moiraine”.

Wystarczyło tylko zostawić Randa w rękach Aes Sedai. Tak samo jak zostawił Owyna. Przyszpiliła go niczym węża rozwidlonym patykiem, mimo iż wywijał się, jak mógł.

„Ażeby szczyła!”

\* \* \*

Po śniadaniu Min przełożyła pałąk koszyka z robótkami przez ramię, podkasała drugą ręką spódnice i wyszła z jadalni posuwistym krokiem, ze sztywno uniesioną głową. Mogłaby balansować pucharem pełnym wina ustawionym na jej czubku i nie uroniłaby ani kropli. Chodziła tak, po części być może dlatego, że w tym odzieniu nie potrafiła inaczej, w tej sukni, uszytej w całości z bladoniebie-



skiego jedwabiu, z opiętym stanikiem i rękawami oraz z obszerną spódnicą, której haftowany rąbek włókłby się po ziemi, gdyby nie unosiła go do góry. A częściowo zapewne dlatego, iż była przekonana, że czuje na sobie oczy Laras.

Spojrzenie przez ramię upewniło ją, że się nie myli. Mistrzynie Kuchni — ten baniak do wina obdarzony nogami odprowadzała ją promiennym, aprobującym wzrokiem do drzwi jadalni. Kto by pomyślał, że ta kobieta była za młodu uznaną pięknoscią, a teraz wyznaczyła w swym sercu szczególne miejsce dla pięknych, kokieteryjnych dziewcząt? „Pełne życia”, tak je określała. Kto by podejrzewał, że postanowi przyjąć „Elmindredę” pod swe krępe skrzydła? Nie było to nazbyt wygodna miejsce. Laras chroniła Min, jej spojrzenie zdawało się odnajdywać ją zawsze i wszędzie, na całym obszarze Wieży. Min odwzajemniła uśmiech i przyklepała włosy, tworzące obecnie okrągły czepek krótkich loków.

„Ażebyś zdechła, kobieto! Czy zamiast tego nie mogłabyś czegoś ugotować albo choćby wydrzeć się na jakiegoś parobka?”

Laras pomachała do niej, więc ona również. Nie mogła sobie pozwolić na obrażanie kogoś, kto obserwował ją tak uważnie, nie w sytuacji, gdy nie miała do końca pojęcia, ile błędów, być może, popełnia. Laras znała każdą sztuczkę „pełnych życia” kobiet i zamierzała nauczyć Min wszystkiego, czego tamta jeszcze nie znała.

Jedno fatalne nieporozumienie, pomyślała Min, przysiadłszy na marmurowej ławie pod wysoką wierzbą, to robótki. Nie z punktu widzenia Laras, lecz z jej własnego. Wyciągnęła z koszyka tamborek do haftu i z ubolewaniem zbadła dzieło poprzedniego dnia, kilka koślawych, żółtych ściegów i coś, co zgodnie z jej zamierzeniem miało przedstawiać jasnożółty pączek róży, choć nikt by się tego nie domyślił, póki by mu nie powiedziała. Wzdychając zabrała się za wypruwanie ściegów. Przypuszczała, że Leane ma rację — kobieta może godzinami wysiadywać z tamborkiem do haftu, obserwując wszystkich i wszystko, i nikt nie uzna tego za dziwne. Przydałaby się jednak choć odrobina umiejętności.

Przynajmniej pogoda tego ranka doskonale sprzyjała przesiadywaniu na świeżym powietrzu. Żłociste słońce właśnie rozjaśniło horyzont nieba z szeregiem puchatych, białych chmur. Lekki wietrzyk porywał woń róż i mierzwił wysokie krzewy kalina, okryte wielkimi białymi albo czerwonymi kwiatami. Już niebawem pokryte żwirem ścieżki obok drzewa zapełnią ludzie, śpieszący z różnymi zleceniami, wszyscy, począwszy od Aes Sedai, a skończywszy na stajennych. Doskonały poranek, doskonałe miejsce, z którego można było obserwować, nie będąc obserwowanym. Być może dzisiaj trafi się jakaś sensowna wizja.

— Elmindredo?

Min drgnęła nerwowo i wsunęła ukłuty palec do ust. Obróciwszy się już miała zrugać Gawyna za to, że się tak do niej podkrada, ale słowa zamarły jej na ustach. Towarzyszył mu Galad. Wyższy od Gawyna, obdarzony długimi nogami, poruszał się z gracją tancerza, demonstrując siłę smukłego, muskularnego ciała.

Miał również długie ręce, wytworne i mocne zarazem. A jego twarz... Był, ot najzwyczajniej, najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu poznała.

— Przystań ssać ten palec — powiedział jej z uśmiechem Gawyn. — Wiemy, że jesteś małą pięknoscią. Nie musisz nam tego udowadniać.

Czerwieniąc się, pośpiesznie opuściła rękę i ledwie pohamowała się, by nie cisnąć mu wściekłego spojrzenia, zupełnie nie przystającego do postaci Elinindredy. Nie potrzebował ani pogróżek, ani rozkazów ze strony Amyrlin, by dochować jej sekretu, robił to tylko na jej prośbę, ale korzystał z każdej sposobności, by się z nią przekomarzać.

— Nie przystoi drwić w taki sposób, Gawyn — skarcił go Galad. — On nie chciał cię urazić, pani Elmindredo. Wybacz, ale czy to możliwe, żeśmy już gdzieś się spotkali? Gdy obrzuciłaś Gawyna tym srogim spojrzeniem, przyszło mi na myśl, że chyba cię skądś znam.

Min skromnie spuściła oczy.

— Ależ niemożliwe, bym zapomniała, że cię poznałam lordzie Galad — powiedziała starając się, by jej głos pasował do głupiutkiej dziewczyny. Ten sztuczny ton i złość na swoje potknięcie sprawiły, że fala gorąca zalała całą jej twarz, czyniąc maskaradę tym bardziej przekonującą.

W najmniejszym stopniu nie przypominała dawnej siebie, a suknia i włosy stanowiły jeden z elementów nowej tożsamości. Leane kupiła w mieście kremy, pudry oraz niewiarygodny asortyment tajemniczych pachnidła i tak ją wytresowała, że umiałyby się nimi posłużyć nawet przez sen. Miała teraz wystające kości policzkowe i więcej koloru na ustach, niż chciała natura. Powieki podkreślał ciemny krem, a drobny puder do przedłużania rzęs sprawiał, że oczy wydawały się większe. Zupełnie jak nie ona. Kilka nowicjuszek powiedziało jej z podziwem, że jest bardzo piękna, nawet niektóre Aes Sedai nazwały ją „bardzo pięknym dzieckiem”, Nienawidziła tego. Suknia była całkiem ładna, musiała przyznać, ale szczerze nienawidziła całej reszty. Musiała jednak być konsekwentna w tym, co robi.

— Jestem pewien, że sobie przypomnisz — powiedział ozięble Gawyn. — Nie chciałem ci przeszkadzać w haftowaniu... jaskółek, nieprawdaż? To są żółte jaskółki?

Min wcisnęła tamborek do koszyka.

— Teraz natomiast chciałbym cię poprosić, żebyś to skomentowała. — Wepchnął jej do rąk niewielką, oprawioną w skórę książkę i nagle głos mu spoważniał. — Powiedz mojemu bratu, że to nonsens. Może cię posłucha.

Przyjrzała się książce. *Droga Światłości*, napisana przez Lothaira Mantelara. Otworzywszy ją na chybił trafił, przeczytała: „Wystrzegaj się przeto wszelkiej przyjemności, dobro bowiem jest czystym abstraktem, doskonałym, kryształowym ideałem, zaćmionym przez nikczemne emocje. Nie pobłażaj ciału. Ciało jest mdłe, lecz duch silny, ciało jest tedy bezużyteczne tam, gdzie duch silny. Właściwa myśl tonie we wrażeniach, a właściwe działanie ukrywa się w namiętnościach.

Usuń wszelką radość z prawości, a zostanie tylko prawość”. Brzmiało to niczym czysty nonsens.

Min uśmiechnęła się do Gawyna, a nawet zdobyła się na uszczypliwość.

— Tyle tych słów. Obawiam się, że mało wiem o książkach, lordzie Gawyn. Stale chcę jakąś przeczytać, naprawdę. — Westchnęła. — Tylko czasu jest tak mało. Już samo ułożenie moich włosów trwa całe godziny. Myślisz, że to ładne uczesanie? — Na widok wściekłego oburzenia na jego twarzy omal nie wybuchnęła śmiechem, ale skończyło się tylko na chichocie. Przyjemnie było zamienić się z nim na role, musi sprawdzić, czy nie da rady robić tego częściej. Istniały dzięki temu przebraniu możliwości, których dotąd nie rozważała. Ten pobyt w Wieży okazał się pełen nudy i irytacji. Zasłużyła na odrobinę rozrywki.

— Lothair Mantelar — powiedział zaciętym głosem Gawyn — jest założycielem Białych Płaszczy. Białych Płaszczy!

— Był wielkim człowiekiem — oznajmił Galad. — Filozofem szlachetnych ideałów. Nawet jeśli Synom Światłości zdarzało się postępować nieumiarkowanie... to nic tego nie zmienia.

— Ojej, Białe Płaszcze — bez tchu wyjąkała Min i na dodatek lekko drgnęła. — Słyszałam, że to tacy niemili ludzie. Nie potrafię sobie wyobrazić Białego Płaszczka w tańcu. Czy myślicie, że istnieją tu jakieś możliwości potańczenia? Aes Sedai chyba nie lubią tańczyć, a ja tak to uwielbiam.

Zawód w oczach Gawyna zachwycił.

— Nie wydaje mi się — odparł Galad, odbierając jej książkę. — Aes Sedai są zajęte... własnymi sprawami. Jeśli dowiem się o jakichś stosownych tańcach w mieście, to zgodnie z twoim życzeniem zaprowadzę cię tam. Nie musisz się obawiać, że będą cię nękać ci dwaj impertynenci.

Uśmiechnął się do niej, nieświadom tego, co robi, ona natomiast poczuła, że zaparło jej dech w piersi. Mężczyznom nie powinno się pozwalać na takie uśmiechy.

W rzeczy samej potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, o jakich to impertynentach on mówi. Chodziło o tych dwóch mężczyzn, którzy rzekomo poprosili o rękę Elmindredy, tocząc z sobą boje, bo nie potrafiła podjąć decyzji, i zmuszając ją do schronienia w Wieży, gdyż nie umiała ich obydwu onieśmielić. Oto powód jej pobytu tutaj.

„To ta suknia — powiedziała sobie. — Nie myślałabym pokrętnie, gdybym miała na sobie normalne ubranie”.

— Zauważyłem, że Amyrlin codziennie z tobą rozmawia — przemówił nagle Gawyn. — Czy wspomina o naszej siostrze Elayne? Albo o Egwene al'Vere? Czy powiedziała, gdzie są?

Min pożałowała, że nie może podbić mu oka. Naturalnie nie wiedział, dlaczego ona udaje kogoś innego, ale zgodził się pomóc, by uznawano ją za Elmindredę, a teraz łączył ją z kobietami, o których zbyt wiele osób w Wieży wiedziało, że są

przyjaciółkami Min.

— Och, Zasiadająca na Tronie Amyrlin to taka cudowna kobieta — odparła słodkim głosem, obnażając zęby w uśmiechu. — Zawsze mnie pyta, jak spędziłam czas, i komplementuje moje suknie. Ma nadzieję, przypuszczam, że niebawem podejmę decyzję w sprawie Darvana albo Goemala. Tylko że ja po prostu nie potrafię. — Wytrzeszczyła oczy, mając nadzieję, że wygląda na bezradną i zagubioną. — Oni obydwaj są tacy słodcy. Kto, powiedziałaś? Twoja siostra, lordzie Gawyn? Sama Dziedziczka Tronu? Nie sądzę, bym słyszała jakąś wzmiankę o niej z ust Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Jak brzmiało to drugie imię? — Słyszała, jak Gawyn zgrzyta zębami.

— Nie możemy zaprzętać tym głowy pani Elmindredzie — wtrącił Galad. — To nasz kłopot, Gawyn. To my musimy wykryć kłamstwo i zająć się nim.

Ledwie go słuchała, bo nagle zapatrzyła się na rosnącego mężczyznę o długich, ciemnych włosach, które opadały mu puklami na ramiona. Mężczyzna przemierzał bez żadnego celu zwirowane ścieżki biegnące wśród drzew, ścigany przez czujne spojrzenia Przyjętych. Widziała już wcześniej Logaina, człowieka o smutnym obliczu, niegdyś tak wesołego, teraz zawsze w towarzystwie jakiejś Przyjętej, która miała za zadanie nie dopuścić, by się zabił lub ewentualnie uciekł. Mimo iż potężnie zbudowany, doprawdy nie wyglądał na kogoś, kto byłby zdolny do takich czynów. Nigdy jednak przedtem nie widziała rozjarzonej poświaty wokół jego głowy, promieniejącej złotem i błękitem. Poświata była tam tylko przez chwilę, ale to wystarczyło.

Logain ogłosił się Smokiem Odrodzonym, pojmano go i poskromiono. Wszelka sława, jaką mógł osiągnąć jako fałszywy Smok, dawno temu przeminęła. Została mu już tylko rozpacz poskromionego, był jak człowiek ograbiony ze zmysłów — wzroku, słuchu i smaku — owładnięty pragnieniem śmierci, oczekujący śmierci, która po kilku latach nieubłagania nawiedzała takich ludzi jak on. Spojrzał w jej stronę, być może nic nie widząc, oczyma, które patrzyły bezradnie do wewnątrz. Dlaczego więc otaczała go poświata, która krzyczała o przyszłej chwale i potędze? Było to coś, o czym musiała dowiedzieć się Amyrlin.

— Biedny człowiek — mruknął Gawyn. — Nie potrafię się nad nim nie litować. Światłości, to byłby akt miłosierdzia, gdyby pozwolono mu skończyć z sobą. Dlaczego one na siłę utrzymują go przy życiu?

— On nie zasługuje na żadną litość — oznajmił Galad. — Czyżbyś zapomniał, kim on był, czego dokonał? Ile tysięcy zginęło, zanim go pojmano? Ile spłonęło miast? Powinien żyć, by stanowić przestrożę dla innych.

Gawyn przytaknął, ale z niechęcią.

— A jednak ludzie za nim poszli. Niektóre z tych miast spłonęły dopiero po tym, jak opowiedziały się za nim.

— Muszę już iść — powiedziała Min wstając, a Galad stał się nagle troskliwy.

— Wybacz nam, pani Elmindredo. Nie chcieliśmy cię straszyć. Logain nie jest

w stanie zrobić ci krzywdy. Zapewniam cię.

— Ja... Tak, przez niego jestem bliska omdlenia. Wybaczcie mi. Doprawdy muszę iść. Chyba się położę.

Gawyn wyglądał na nad wyraz sceptycznego, podniósł jednak jej koszyk, zanim zdążyła go dotknąć.

— Pozwól, że odprowadzę cię przynajmniej kawałek — powiedział głosem ociekającym fałszywą troską. — Ten kosz musi być dla ciebie za ciężki, skoro kręci ci się w głowie. Nie chciałbym, abyś się zataczała.

Miała ochotę chwycić koszyk i walnąć go nim z całej siły, ale Elmindreda nie zareagowałaby w ten sposób.

— Och, dziękuję ci, lordzie Gawyn. Jesteś taki uprzejmy. Taki uprzejmy. Nie, nie, lordzie Galad. Nie każcie mi kłopotać was obu. Usiądź tu i poczytaj sobie swoją książkę. Obiecuj, że to zrobisz. Po prostu nie zniósłabym tego. — Zatrzępotała nawet rzesami.

W jakiś sposób udało jej się wbić Galada w marmurową ławę i odejść, aczkolwiek z Gawynem u boku. Spódnice irytowały ją, miała ochotę zadrzeć je do kolan i pobiec, ale Elmindreda nigdy by nie pobiegła i nigdy by nie odsłoniła nóg, chyba że w tańcu. Laras pouczyła ją bardzo srogo w tej materii, jeden bieg i cały obraz Elinindredy rozwiałyby się bezpowrotnie. A Gawyn...!

— Dawaj mi ten kosz, ty kretynie z mięśniami zamiast mózgu — warknęła, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku Galada, i wyrwała kosz z jego rąk, zanim zdążył się sprzeciwić. — Co chciałeś osiągnąć, wpytując mnie o Elayne i Egwene w jego obecności? Elmindreda nigdy ich nie poznała. Elmindredy one nie obchodzą. Elmindreda sobie nie życzy, by wspomniano o niej i o nich w jednym zdaniu! Nie potrafisz tego pojąć?

— Nie — odparł. — Nie, dopóki tego nie wyjaśnisz. Ale mimo to przepraszam. — Za mało w jego głosie było skruchy, żeby ją udobruchać. — Ja się po prostu martwię. Gdzie one są? Te wieści o fałszywym Smoku w Łzie, które przybywają z góry rzeki, wcale nie uspokajają moich myśli. One tam gdzieś są, Światłość wie gdzie, a ja stale zadaję sobie pytanie, co z nimi, jeśli wylądowały w samym środku takiego huraganu, w który Logain przemienił Ghealdan?

— A jeśli on nie jest fałszywym Smokiem? — spytała ostrożnie.

— Mówisz tak, bo zgodnie z tym, co sobie opowiadają na ulicach, on opowiadał Kamień Łzy? Plotki potrafią wyolbrzymiać zdarzenia. Uwierzę, gdy to zobaczę, a w każdym razie trzeba więcej, żeby mnie przekonać. Paść mógł nawet Kamień. Światłości, naprawdę nie wierzę, że Elayne i Egwene są w Łzie, ale jednak brak wiadomości od nich przeżera mi brzuch niczym kwas. Jeśli coś jej się stało...

Min nie wiedziała, o której z nich dwóch teraz mówi, i podejrzewała, że sam też tego nie wie. Jej serce biegło ku niemu, mimo że tak się z nią droczył, ale nie mogła nic zrobić.

— Gdybyś tylko zechciał postępować tak, jak ja chcę i...

— Wiem. Zaufać Amyrlin. Zaufać! — Wypuścił długo wstrzymywany oddech. — Czy wiesz, że Galad pił w jakichś tawernach z Białymi Płaszczami? Każdy może przekraczać mosty, jeśli przychodzi w pokojowych zamiarach, nawet Synowie cholernej Światłości.

— Galad? — spytała z niedowierzaniem. — W tawernach? Pije?

— Jestem przekonany, że najwyżej jeden, dwa kielichy. Nie pozwoliłby sobie na więcej, nawet we własne imieniny. — Gawyn skrzywił się, jakby niepewny, czy w ten sposób przypadkiem nie skrytykował Galada. — Chodzi mi o to, że on rozmawia z Białymi Płaszczami. A teraz jeszcze ta książka. Z inskrypcji wynika, że podarował mu ją sam Eamon Valda. „W nadziei, że odnajdziesz drogę”. Valda, Min. Człowiek, który stoi na czele Białych Płaszcz po drugiej stronie mostów. Brak wiedzy trawi również Galada. Słuchanie Białych Płaszcz. Jeśli cokolwiek stanie się z naszą siostrą albo z Egwene... — Potrząsnął głową. — Czy wiesz, gdzie one są, Min? Powiedziałałabyś mi, gdybyś wiedziała? Dlaczego się ukrywasz?

— Bo swoją urodą doprowadziłam dwóch mężczyzn do szaleństwa i nie potrafię wybrać żadnego — odparła kwaśnym tonem.

Zaśmiał się gorzko, niezdeterminowanie, lecz zaraz potem zamaskował śmiech grymasem.

— Cóż, w to przynajmniej mogę uwierzyć. — Zachichotał i połaskotał ją palcem pod brodą. — Jesteś wyjątkowo pięknym dziewczątkiem, Elmindredo. Pięknym, sprytnym dziewczątkiem.

Złożyła dłoń w pięść i usiłowała uderzyć go w oko, ale on tanecznym ruchem odskoczył w tył, a ona potknęła się o swoje spódnice i omal nie upadła.

— Ty cholerny wole z mózgiem wielkości naparstka — warknęła.

— Cóż za gracia ruchów, Elmindredo — zaśmiał się. — Jakież melodyjny głos, tak wieczorem ćwierka słowik albo grucha turkawka. Jakiemuż mężczyźnie nie załśniłyby oczy na widok Elmindredy? — Wesołość zniknęła bez śladu, wpił się w jej twarz posępnym wzrokiem. — Jeśli dowiesz się czegoś, to błagam, powiedz mi. Proszę. Będę cię błagał na kolanach, Min. — Powiem — obiecała.

„Jeśli będę mogła. Jeśli to dla nich bezpieczne. Światłości, jak ja nienawidzę tego miejsca. Dlaczego nie mogę wrócić do Randa?”

Zostawiła Gawyna i samotnie wróciła do Wieży, pilnie obserwując Aes Sedai albo Przyjęte, które mogły zapytać, skąd się wzięła na parterze i dokąd się udaje. Wieści o Logainie były zbyt ważne, by czekać, zanim jak zwykle, rzekomo przypadkiem, późnym popołudniem spotka Amyrlin. W każdym razie w ten sposób przekonała samą siebie. Groziło jej, że z niecierpliwości zaraz wyskoczy ze skóry.

Zauważyła tylko kilka Aes Sedai, skręcały przed nią za róg albo wchodziły do jakiejś izby w oddali, wszystko dobrze się składało. Nikt nie wpada na Zasia-

dającą na Tronie Amyrlin ot tak. Zaprzątnięte obowiązkami, nieliczne służebne, które mijają po drodze, oczywiście nie zadawały jej pytań, nawet nie spojrzały na nią dwukrotnie, co najwyżej dygały tylko w pośpiechu ani na moment się nie zatrzymując.

Gdy otwierała drzwi do gabinetu Amyrlin, miała już wymyśloną opowieść, na wypadek gdyby ktoś towarzyszył Leane, ale w poczekalni było pusto. Podbiegła do wewnętrznych drzwi i wetknęła głowę do środka. Amyrlin i Opiekunka siedziały po przeciwnych stronach stołu Siuan, którego blat był usłany skrawkami cienkiego papieru. Błyskawicznie obróciły głowy w jej stronę, wbijając w nią spojrzenia czworga oczu, twarde i ostre niczym gwoździe.

— Co ty tu robisz? — warknęła Amyrlin. — Miałaś być głupią dziewczyną, która prosi o schronienie, a nie przyjaciółką z dzieciństwa. Nie miało być między nami kontaktu, wyjąwszy przypadkowe spotkania na korytarzach. W razie konieczności powiem Laras, by cię pilnowała tak, jak niańka pilnuje niemowlęcia. Jej się to, jak przypuszczam, spodoba, wątpię natomiast, czy również tobie sprawi przyjemność.

Min zdrząła na samą myśl. Nagle sprawa Logaina nie wydawała się już taka pilna, było raczej mało prawdopodobne, że on dojdzie do jakiejś chwały w ciągu kilku następnych dni. Tak naprawdę jednak to wcale nie z jego powodu przyszła, stanowił jedynie wymówkę, teraz jednak nie mogła już się wycofać. Zamknawszy za sobą drzwi, jękając się opowiedziała o swej wizji oraz o znaczeniu, jakie jej przypisała. Nadal krępowała się robić to w obecności Leane.

Siuan pokręciła głową, była wyraźnie zmęczona.

— Kolejny powód do zmartwień. Głód w Cairhien. Zaginiona siostra w Tarabon. Na Ziemiach Granicznych znowu nasiliły się najazdy trolloków. Ten głupiec z Ghealdan, który mieni się Prorokiem i prowokuje do zamieszek. Naucza podobno, że Smok się Odrodził w osobie shienarańskiego lorda — wymieniała z niedowierzaniem w głosie. — Nawet takie drobiazgi są szkodliwe. Przez wojnę w Arad Doman ustał handel z Saldaeą, nędza zaś rodzi niepokój w Maradonie. Tenobie mogą nawet pozbawić za to tronu. Usłyszałam też, że Ugór cofnął się z jakiegoś powodu i to jest jedyna dobra wieść. W odległości jakichś dwóch mil od kamieni granicznych pojawiła się zieleń, bez śladu zepsucia czy zarazy, od Saldaei aż po Shienar. Stało się tak po raz pierwszy za mej pamięci. Ale zdaje mi się, że dobrym wieściom muszą dla przeciwwagi towarzyszyć złe. Gdy łądz przecieka w jednym miejscu, to z pewnością przecieka również w innych. Życzyłabym sobie jedynie, by przynajmniej istniała równowaga. Leane, każ wzmocnić straż przy Logainie. Nie rozumiem, jakich kłopotów mógłby teraz przysporzyć, ale wołałabym się nie dowiadywać. — Przeniosła spojrzenie przenikliwych, niebieskich oczu na Min. — Po co tu przyszłaś, miotając się jak przestraszona mewa? Logain mógł poczekać. Ten mężczyzna raczej nie zdobędzie sławy i władzy przed zachodem słońca.

Min poruszyła się niespokojnie pod wpływem niemalże identycznego echa

własnych myśli.

— Wiem — odparła. Brwi Leane uniosły się ostrzegawczo, więc dodała pośpiesznie: — Matko.

Opiekunka z aprobatą skinęła głową.

— To mi nadal nie wyjaśnia, dlaczego przysłaś, dziecko — powiedziała Siuan.

Min przygotowała się do obrony.

— Matko, od pierwszego dnia nic, co widziałam, nie okazało się szczególnie ważne. Z pewnością nie odkryłam niczego, co by wskazywało na Czarne Ajah. — Te słowa nadal przeszywały ją chłodnym dreszczem. — Powiedziałam ci wszystko, co wiem o wszelkich nieszczęściach, z którymi Aes Sedai się zmierza, a cała reszta jest równie bezużyteczna. — Musiała umilknąć i przełknąć ślinę pod wpływem tego wzroku, który przenikał ją na wylot. — Matko, nie ma powodu, dla którego miałabym dalej pozostawać tutaj. Istnieje natomiast przesłanka, dla której koniecznie powinnam wyjechać. Być może Rand mógłby naprawdę wykorzystać to, co potrafię. Jeśli on przejął władzę nad Kamieniem... Matko, on może mnie potrzebować.

„W każdym razie ja go potrzebuję; ażeby, głupia, szczeła!”

Opiekunka otwarcie zdrygnęła się na wzmiankę o Randzie. Siuan, dla odmiany, głośno parsknęła.

— Twoje widzenia są bardzo przydatne. Wiedza o Logainie jest ważna. To ty znalazłaś stajennego, który kradł, zanim podejrzenie zdążyło paść na jakąś inną osobę. I tamtą nowicjuskę o włosach jak ogień, która zamierzała począć dziecko...! Sheriam temu zapobiegła... dziewczyna nawet nie pomyśli o mężczyznach, dopóki nie ukończy nauk, ale my byśmy się o tym dowiedziały za późno, gdyby nie ty. Nie, nie możesz odejść. Prędzej czy później twoje widzenia wykreślą dla mnie mapę wiodącą do Czarnych Ajah, a dopóki tak się nie stanie, będą spłacały z nawiązką twe prawo pobytu.

Min westchnęła i to nie tylko dlatego, że Amyrlin zamierzała ją dalej więzić. Rudą nowicjuskę widziała po raz ostatni, jak przekradała się do zalesianej części terenów Wieży w towarzystwie muskularnego gwardzisty. Byliby się pobrali jeszcze przed końcem lata, Min wiedziała o tym, gdy tylko zobaczyła ich razem, ale Wieża nigdy nie pozwala nowicjuszcze odejść zbyt szybko, nawet takiej, która nie może poczynić już żadnych dalszych postępów w nauce. Przyszłością tej pary była farma, a także gromadka dzieci, ale nie było sensu mówić o tym Amyrlin.

— Czy przynajmniej zgodzisz się, by Gawyn i Galad wiedzieli, że Egwene i ich siostrze nic nie grozi, Matko? — To błaganie sprawiało jej przykrość, podobnie ton własnego głosu. Dziecko, któremu odmówiono kawałka placka, prosi o małe ciasteczko. — Przynajmniej zdradź im coś więcej oprócz tej niedorzecznej opowieści o odbywaniu pokuty na farmie.

— Powiedziałam ci, że to nie jest twoja sprawa. Nie każ mi tego powtarzać.



— Oni w to wierzą w nie większym stopniu niż ja — wymknęło się jej, nim suchy uśmiech Amyrlin zdążył ją uciszyć. Nie był to uśmiech rozbawienia.

— Sugerujesz zatem, żebym zmieniła informacje w sprawie miejsca ich pobytu? Kiedy wszystkim wmówiono, że one przebywają na farmie? Nie sądzisz, że niejedne brwi mogłyby się unieść do góry, gdyby ich posiadaczka usłyszała coś takiego? Wszyscy oprócz tych chłopców uznali ten fakt. I oprócz ciebie. No cóż, Coulin Gaidin będzie musiał pracować z nimi nieco ciężiej. Obolałe mięśnie i obfity pot odciągają myśli większości mężczyzn od kłopotów. Również myśli kobiet. Zadawaj więcej pytań, a zobaczysz, jak ci się przyda kilka dni szorowania garnków. Lepiej zrezygnować z twych usług na dwa, trzy dni, niż żebyś miała wtykać nos tam, gdzie nie trzeba.

— Ty nawet nie wiesz, czy one mają kłopoty, prawda? Nic też ci nie wiadomo na temat Moiraine. — Nie Moiraine miała na myśli.

— Dziewczyno! — ostrzegła ją Leane, ale Min już nie dała się powstrzymać.

— Dlaczego nic do nas nie dociera. Ostatnie plotki przywędrowały tu dwa dni temu. Dwa dni! Dlaczego żaden z tych karteluszków na twoim biurku nie zawiera od niej wieści? To ona nie ma gołębi? Sądziłam, że wy, Aes Sedai, wyposażacie wszystkich w skrzydlatych kurierów. Jeśli nie ma gołębi w Łzie, to powinno się je tam dostarczyć. Człowiek dotarłby już konno do Tar Valon. Dlaczego...?

Przerwało jej głucho uderzenie otwartej dłoni Siuan o blat stołu.

— Jesteś nadzwyczaj posłuszna — orzekła zgryźliwym tonem. — Dziecko, dopóki nie usłyszymy jakichś niepomyślnych wieści, zakładamy, że ten młodzieniec ma się dobrze. Módl się, aby tak było.

Leane znowu zadygotała.

— Dziecko, w Maule mają takie powiedzenie — ciągnęła dalej Amyrlin — „Nie martw zmartwień, dopóki zmartwienia same cię nie zmartwią”. Dobrze to sobie zapamiętaj, dziecko.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Amyrlin i Opiekunka wymieniły spojrzenia, po czym obie zwróciły się w stronę Min. Jej obecność stanowiła problem. W pomieszczeniu nie było miejsca, w którym dałoby się ją ukryć, nawet balkon był widoczny z izby w całej swej okazałości.

— Niezależnie od przyczyny twojej obecności tutaj — mruknęła Siuan — nie możesz wydać się kimś więcej, jak tylko tą głupią dziewczyną, którą udajesz. Lenne, stań przy drzwiach.

Razem z Opiekunką podniosły się, Siuan okrążyła stół, Lenne natomiast podeszła do drzwi.

— Zajmij miejsce Lenne, dziewczyno. Ruszaj się, dziecko, ruszaj. Zrób nadąsaną minę. Nie złą, nadąsaną! Wydmij dolną wargę i wbij wzrok w podłogę. Bo zmuszę cię do noszenia wstążek we włosach, ogromnych, czerwonych kokard. O tak, Lenne. — Amyrlin wsparła pięści o biodra i podniosła głos. — A jak

jeszcze raz wtargniesz do mnie nie zapowiedziana, dziecko, to...

Lenne otworzyła drzwi, odsłaniając ciemnowłosą nowicjuszkę, która wzdygnęła się, słysząc tyradę Siuan, po czym wykonała głęboki ukłon.

— Wieści dla Amyrlin, Aes Sedai — zapiszczała dziewczyna. — Do gołębnika przyfrunęły dwa gołębie.

To była jedna z tych, które powiedziały Min, że jest piękna. Robiła wszystko, by spojrzenie jej wielkich oczu omijało Opiekunkę.

— To ciebie nie dotyczy, dziecko — zapewniła ją dziarsko Lenne, biorąc małe kościane cylindry z rąk dziewczyny. — Wracaj zaraz do gołębnika. — Nowicjuszka jeszcze nie zdążyła się wyprostować, a Lenne już zamknęła drzwi i oparła się o nie z westchnieniem. — Podskakuję pod wpływem każdego nieoczekiwanego dźwięku, odkąd mi powiedziałaś... — Stanęła prosto i wróciła do stołu. — Kolejne dwa listy, Matko. Czy mam...?

— Tak, otwórz je — odparła Amyrlin. — Niewątpliwie Morgase postanowiła jednak dokonać inwazji na Cairhien. Albo trolloki spustoszyły Ziemię Graniczną. Będzie po trochu o wszystkim.

Min nie wstawiała z miejsca. Niektóre z pogrózek Siuan brzmiały zbyt realistycznie.

Lenne zbadała czerwoną, woskową pieczęć na końcu jednego z cylindrów, nie grubszych od stawu jej palca, a upewniwszy się, że nikt przy niej nie majstrował, przełamała ją paznokciem kciuka. Za pomocą cienkiego patyczka z kości słoniowej wyciągnęła ze środka zwitek papieru.

— Niemal takie samo nieszczęście jak trolloki, Matko — oznajmiła zaraz po tym, jak zaczęła czytać. — Mazrim Taim uciekł.

— Światłości! — warknęła Siuan. — Jak?

— Napisano tylko tyle, że ktoś wykradł go nocą, Matko. Dwie siostry nie żyją.

— Oby Światłość oświeciła ich dusze. My jednak mamy za mało czasu na żałobę po zmarłych, kiedy tacy jak Taim żyją niepokromieni. Gdzie, Lenne?

— W Denhuir, Matko. To wioska na wschód od Czarnych Wzgórz przy Drodze do Maradony, nad korytami Antaeo i Luan.

— To musieli być jacyś jego wyznawcy. Głupcy. Dlaczego nie chcą przyjąć do wiadomości, że ich pokonano? Wybierz kilkanaście zaufanych sióstr, Lenne...

— Amyrlin skrzywiła się. — Zaufanych — mruknęła. — Gdybym wiedziała, komu można bardziej zaufać niż srebrowie, to nie miałabym takich kłopotów. Kilkanaście sióstr. I pięciuset gwardzistów. Nie, cały tyśiąc.

— Matko — powiedziała Opiekunka zmartwionym głosem. — Białe Płaszcz...

— ...nie będą próbowali przekroczyć mostów, nawet jeśli pozostawię je całkowicie bez dozoru. Będą się bali pułapki. Nie sposób się dowiedzieć, co się tam dzieje, Lenne. Chcę, by każdy, kogo tam posyłam, był gotów na wszystko. I, Lenne... Mazrima Taima należy poskromić, gdy tylko zostanie ponownie pojmany.

Zaszokowana Lenne wytrzeszczyła oczy.

— A prawo?

— Znam prawo równie dobrze jak ty, ale nie będę ryzykowała, że znowu odzyska wolność przed poskromieniem. Nie będę na domiar wszystkiego ryzykowała, że objawi się następny Guaire Amalasan.

— Tak, Matko — odparła słabym głosem Lenne.

Amyrlin wzięła do ręki drugi kościany cylinder i z trzaskiem przełamała go na dwie połowy, by wyciągnąć drugi list.

— Nareszcie jakieś dobre wieści — wyszeptała, a na jej twarzy wykwitł uśmiech. — Dobre wieści. „Użyto procy. Pasterz trzyma miecz”.

— Rand? — spytała Min, a Suan przytaknęła.

— Ma się rozumieć, dziewczyno. Kamień padł. Rand al’Thor, ten pasterz, ma *Callandora*. Teraz ja mogę wykonać ruch. Leane, chcę, by po południu zebrała się Komnata Wieży. Nie, jeszcze tego ranka.

— Nie rozumiem — powiedziała Min. — Wiedziałaś, że te plotki dotyczą Randa. Dlaczego wzywasz teraz Komnatę? Co możesz zrobić teraz, czego nie mogłaś zrobić przedtem?

Suan roześmiała się jak młoda dziewczyna.

— Mogę im teraz otwarcie powiedzieć, że zgodnie z listem otrzymanym od pewnej Aes Sedai, Kamień Łzy padł, a pewien mężczyzna wszedł w posiadanie *Callandora*. Proroctwo wypełniło się. W każdym razie na tyle, aby wspomóc mój cel. Smok się Odrodził. Będą się wzdragać, będą się spierać, żadna jednak nie może się sprzeciwić, gdy obwieszczę, że Wieża musi kierować tym mężczyzną. Nareszcie mogę się zaangażować w tę sprawę otwarcie. Przynajmniej po większej części.

— Czy postępujemy słusznie, Matko? — spytała niespodzianie Leane. — Wiem... Jeśli on ma *Callandora*, to musi być Smokiem Odrodzonym, jednakże on potrafi przenosić Moc, Matko. Mężczyzna, który potrafi przenosić. Widziałam go tylko raz, ale nawet wtedy było w nim coś dziwnego. Coś dziwniejszego niż w przypadku zwykłych *ta’veren*. Matko, czym on tak bardzo się różni od Taima, skoro już o tym mowa?

— Różnica polega na tym, że on jest Smokiem Odrodzonym, córko — powiedziała cicho Amyrlin. — Taim to wilk, być może nawet wściekły. Rand al’Thor to wilczarz, którego wykorzystamy do pokonania Cienia. Zachowaj jego imię dla siebie, Leane. Najlepiej nie ujawniać zbyt wiele i nazbyt szybko.

— Jak sobie życzysz, Matko — odparła Opiekunka, ale jej głos wciąż brzmiał niespokojnie.

— Odejdź teraz. Chcę, żeby Komnata zebrała się za godzinę. — Suan w zamysleniu odprowadziła wzrokiem wyższą kobietę. — Opór może być większy, niż bym sobie życzyła — powiedziała, kiedy drzwi się zatrzasnęły.

Min spojrzała na nią czujnie.

— Nie myślisz...  
— Och, to nic poważnego, dziecko. Dopóki nie wiedzą, od jak dawna byłam zaangażowana w sprawę tego al'Thora.  
— Spojrzała raz jeszcze na skrawek papieru, po czym rzuciła go na stół. — Żałuję natomiast, że Moiraine nie napisała nic więcej.  
— Dlaczego nie przekazała więcej wiadomości? I dlaczego przedtem nie otrzymywałeś od niej wieści?  
— Znowu zadajesz pytania. O to musisz spytać Moiraine. Ona zawsze kroczyła własną drogą. Spytaj Moiraine, dziecko.

\* \* \*

Sahra Covenry chaotycznie machała motyką, krzywiąc się do drobnych pędów igielnika i kurzego pazura, które wyrastały wśród rzędów kapusty i buraków. Nie szło o to, że pani Elward była surowym nadzorcą — nie bardziej surowym od matki Sahry, a z pewnością łagodniejszym od Sheriam — jednak Sahra nie poszła do Wieży po to, by skończyć na farmie i już o brzasku plewić warzywa. Białe szaty nowicjuszek zostały spakowane, a zamiast nich nosiła suknię z brązowej wełny, którą uszyła dla niej matka, związaną nad kolanami, by nie nurzała się w błocie. To wszystko było takie niesprawiedliwe. Nic przecież nie zrobiła.

Grzebiąc palcami bosych stóp w spulchnionej ziemi, spojrzała groźnie na jeden szczególnie uparty kurzy pazur i zaczerpnęła Mocy, mając zamiar spalić go do korzeni. Spod liściastego pędu trysnęły iskry i chwast zwiędł. Pośpiesznie zagrzebała szczątki, i w ziemi, i w myślach. Jeśli na świecie istnieje jakaś sprawiedliwość, to Lord Galad odwiedzi farmę podczas polowania.

Wsparta o motykę, pogrążyła się w marzeniach o Uzdrawianiu ran Galada, odniesionych podczas upadku z konia nie z jego winy, rzecz jasna, był znakomitym jeźdźcem o tym, jak on ją podnosi i sadza przed sobą w siodle deklarując, że będzie jej Strażnikiem — ona naturalnie byłaby Zieloną Ajah — i...

— Sahra Covenry?

Na dźwięk ostrego głosu Sahra podskoczyła w miejscu, ale to nie była pani Elward. Dygnęła, najlepiej jak potrafiła, mając podkasaną spódnicę.

— Dzień cię wita, Aes Sedai. Czy przybyłaś, żeby zabrać mnie z powrotem do Wieży?

Aes Sedai podeszła bliżej, nie zważając na to, że jej spódnicę wloką się po błotnistej grządce. Mimo ciepła letniego poranka miała na sobie kaftan, naciągnięty kaptur krył twarz w cieniu.

— Tuż przed tym, jak opuściłaś Wieżę, zaprowadziłaś do Zasiadającej na Tro-

nie Amyrlin pewną kobietę. Kobietę, która przedstawiła się jako Elmindreda.

— Tak, Aes Sedai — odparła Sahra, z lekkim pytaniem w głosie. Nie podobała się jej forma, w jakiej ta Aes Sedai wyraziła się na temat jej wyjazdu z Wieży, jakby sugerując, że opuściła ją na dobre.

— Powiedz mi wszystko, dziewczyno, co usłyszałaś albo zobaczyłaś, od momentu, w którym spotkałaś tę kobietę. Wszystko.

— Kiedy ja nic nie słyszałam, Aes Sedai. Opiekunka odesłała mnie zaraz po tym jak... — Przeszył ją ból, wbiła palce w ziemię, plecy wygięły się w łuk; spazm trwał tylko kilka chwil, ale wydawał się nigdy nie kończyć. Walcząc o oddech, uświadomiła sobie, że policzek ma przyciśnięty do ziemi, a jej nadal drżące palce ściskają garść gleby. Nie pamiętała, kiedy upadła. Widziała kosz z praniem pani Elward, przewrócony na bok obok kamiennej ściany jej domu, stos wysypującej się mokrej bielizny. Oszołomiona pomyślała, że to dziwne — Moria Elward nigdy by nie pozostawiła swego prania na ziemi.

— Wszystko, dziewczyno — zimno powtórzyła Aes Sedai. Stała nad Sahrą, nie wykonując żadnego ruchu, żeby jej pomóc. Zrobiła jej krzywdę, ale przypuszczalnie nie o to jej chodziło. — O każdej osobie, z którą rozmawiała ta Elmindreda, o każdym słowie, które wypowiedziała, jakim odcieniem głosu i z jaką miną.

— Ona rozmawiała z lordem Gawynem, Aes Sedai — wyłkała Sahra prosto w ziemię. — To wszystko, co wiem, Aes Sedai. Wszystko.

Rozszlochała się na dobre, pewna, że to nie wystarczy, by zadowolić tę kobietę. Miała rację. Długo jeszcze krzyczała wniebogłose, a kiedy Aes Sedai odeszła, na farmie nie słyhać było żadnego dźwięku prócz gdakania kur. Nawet oddechu.

## W DROGACH

Zapinając guziki przy kaftanie, Perrin znieruchomiał nagle i spojrzął na topór, który nadal wisiał bezpiecznie na ścianie, tak jak go zostawił po wyrwaniu z drzwi. Nie uśmiechała mu się myśl, że znowu będzie nosił przy sobie broń, zdjął jednak pas z kołka i ścisnął się nim. Młot przywiązał do sakw, już i tak mocno wypchanych. Przewiesił przez ramię podróżne torby oraz zrolowany koc, wziął z kąta pomieszczenia pełen kołczan i drzewce łuku, z którego zdjął cięciwę.

Wschodzące słońce wlewało przez wąskie okna ciepło i światło. Rozkopane łóżko stanowiło jedyny dowód, że ktoś tu w ogóle był. Wnętrze komnaty zdążyło już zatracić jego piętno, zdawało się nawet pachnieć pustką, mimo woni jego ciała, którą wciąż roztaczała pościel. Nigdy nigdzie nie zabawił dostatecznie długo, by zapuścić korzenie, by przekształcić jakieś miejsce w dom, wciąż w stałej gotowości do wyjazdu.

„Cóż, jadę właśnie do domu”.

Wyszedł na zewnątrz, odwracając się plecami do opuszczonej komnaty.

Gaul podniósł się zwinnie spod wiszącego na ścianie gobelinu, przedstawiającego ludzi na koniach, którzy polowali na lwy. Był obwieszony wszelkiego typu bronią, a obok skórzanej pochwy z łukiem niósł na plecach dwie skórzane butle na wodę, zrolowany koc i niewielki garnek do gotowania. Był sam.

— A pozostali? — spytał Perrin, Gaul tylko pokręcił głową.

— Za daleko od Ziemi Trzech Sfer. Uprzedzałem cię, Perrin. Te wasze ziemie są zbyt wilgotne, powietrze jest takie, że wdycha się je jak wodę. Za dużo ludzi, skupionych zbyt blisko siebie. Dziwnych miejsc widzieli już więcej, niż chcieli.

— Rozumiem — odparł Perrin, rozumiejąc przede wszystkim, że jednak nie będzie żadnego ratunku, że Aielowie nie pomogą mu w wypędzaniu Białych Płaszczy z Dwu Rzek. Skrył rozczarowanie, tym większe, iż myślał, że uniknął przeznaczenia, nie mógł jednak przyznać, że nie był przygotowany na taką alternatywę. Nie ma co płakać nad zmarnowanym żelazem: po prostu przekuwa się je na nowo. — Miałeś jakieś kłopoty ze zrobieniem tego, o co prosiłem?

— Żadnych. Powiedziałem pewnemu Tairenianowi, że ma zanieść wszystkie te rzeczy, o które prosiłeś, do stajni przy Bramie Muru Smoka i żeby nikomu o tym nie mówił. Tam się spotkają, oczywiście, ale będą uważali, że te rzeczy

są dla mnie, i dochowają milczenia. Brama Muru Smoka. Można by pomyśleć, że Grzbiet Świata znajduje się tuż za horyzontem, a nie w odległości stu lig albo i jeszcze dalej. — Aiel zawahał się. — Ta dziewczyna i ogir nie czynią żadnej tajemnicy ze swych przygotowań, Perrin. Usiłowała odszukać barda i opowiadała każdemu, że ma zamiar podróżować Drogami.

Perrin westchnął ciężko, prawie warknął, drapiąc się po brodzie.

— Jeśli ona mnie wyda Moiraine, to przysięgam, że nie będzie mogła siedzieć przez tydzień.

— Bardzo wprawnie włada swoimi nożami — odparł Gaul obojętnym głosem.

— Nie dość wprawnie. Zwłaszcza jeśli mnie wyda. — Perrin zawahał się. Żadnego wsparcia ze strony Aielów. Szubienica wciąż przesłaniała przyszłość. — Gaul, jeśli coś mi się stanie, dam ci znać, a wtedy wywieź Faile. Ona może się opierać, ale zabierz ją, choćby wbrew niej samej. Dopilnuj, by opuściła bezpiecznie Dwie Rzeki. Obiecasz mi to?

— Zrobię, co będę mógł, Perrin. Za tę krew, którą jestem ci winien, zrobię to. — W głosie Gaula słyhać było zwątpienie, mimo że zdaniem Perrina noże Faile nie mogły go zatrzymać.

Na ile się dało, korzystali z tylnych przejść, a także wąskich klatek schodowych, przeznaczonych dla służby, która dzięki nim nie rzucała się w oczy. Perrin uznał za okoliczność nie sprzyjającą, że Tairenianie nie wyznaczyli dla służby również oddzielnych korytarzy. Niemniej jednak nawet na tych szerokich korytarzach, pełnych lamp na połączonych postumentach i ozdobnych gobelinów, napotkali niewielu ludzi, a wśród nich nikogo z arystokracji.

Skomentował ten brak, na co Gaul stwierdził:

— Rand al'Thor wezwał ich do Serca Kamienia.

Perrin tylko chrząknął, mając nadzieję, że dotyczy to również Moiraine. Zastanawiał się, czy przypadkiem Rand w ten sposób nie pomaga mu przed nią uciec. Niezależnie od powodu należało wykorzystać nadarżającą się sposobność.

Wyszli z ostatniej, ciasnej klatki schodowej na parter Kamienia, gdzie do zewnętrznych bram wiodły przepastne korytarze, szerokie jak gościńce. Tu ścian nie zdobiły gobeliny. Czarne, żelazne lampy, zawieszane wysoko na żelaznych hakach, oświetlały pozbawione okien przejścia, posadzkę wybrukowano szerokimi, nie obrobionymi kamieniami, które długo opierały się uderzeniom końskich podków. Perrin przyspieszył kroku i zaczął biec. W zasięgu wzroku, w głębi wielkiego tunelu pojawiły się już stajnie, a otwartej, szerokiej Bramy Muru Smoka strzegła zaledwie garstka Obrońców. Moiraine nie mogła już zagrozić im drogi, nie mając szczęścia Czarnego.

Otwarte drzwi stajni, o szerokości piętnastu kroków, wieńczył łuk. Perrin dał krok do środka i zatrzymał się. Powietrze było ciężkie od zapachu słomy i siana, od nakładających się na nie woni żyta, owsa, skóry i końskiego nawozu. Pod ścianami, a także w poprzek pomieszczenia, ciągnęły się rzędy przegród z dorod-

nymi, taireńskimi wierzchowcami, cenionymi na całym świecie. Pracowało przy nich kilkunastu stajennych, którzy czyścili i czesali konie, usuwali nawóz, naprawiali uprzęż. Nie przerywając pracy, ten i ów zerkał czasem w stronę miejsca, gdzie czekali Loial i Faile, w wysokich butach, gotowi do podróży. Towarzyszyły im Bain i Chiad, podobnie jak Gaul uzbrojone i obwieszane kocami, butlami na wodę i garnkami.

— Dlaczego one tu są, przecież tylko ty postanowiłeś spróbować? — spytał cicho Perrin.

Gaul wzruszył ramionami.

— Zrobię, co mogę, ale one staną po jej stronie. Chiad należy do Goshien.

— Jej przynależność klanowa coś zmienia?

— Jej klan z moim dzieli waśń krwi, Perrin, a ja nie jestem dla niej siostrą włóczni. Ale być może powstrzymają ją przysięgi wody. Nie zatańczę z nią włóczni, dopóki sama nie zaproponuje.

Perrin potrząsnął głową. Dziwny naród. Co to są przysięgi wody?

— Dlaczego one jej towarzyszą?

— Bain twierdzi, że chcą zobaczyć więcej waszych ziem, ja jednak uważam, że je fascynuje twój spór z Faile. One ją lubią, a kiedy usłyszały o wyprawie, postanowiły, że pojedą z nią miast z tobą.

— Cóż, byle tylko strzegły jej przed kłopotami. — Zdziwił się, kiedy Gaul odzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. Zafrasowany podrapał się po brodzie.

Zbliżał się do nich Loial, długie brwi obwisły, sygnalizując niepokój. Kieszenie kaftana miał wypchane, jak zwykle, gdy wybierał się w podróż, głównie kanciastymi kształtami książek. Przynajmniej już tak mocno nie kulał.

— Faile się niecierpliwi, Perrin. Moim zdaniem może obstawać przy natychmiastowym wyjeździe. Błagam, pośpieszcie się. Beze mnie nie uda wam się nawet odnaleźć Bramy. Co wcale nie znaczy, rzecz jasna, że nie mielibyście próbować. Wy, ludzie, tak mnie skołowaliście, że ledwie potrafię odnaleźć własną głowę. Błagam, pośpieszcie się.

— Nie zostawię go — zawołała Faile. — Nawet jeśli jest zbyt uparty i głupi, by poprosić o zwykłą przysługę. Skoro tak, to może iść moim śladem jak zabłąkane szczenię. Obiecuję, że będę go drapała za uszami i dbała o niego.

Kobiety Aiel zaśmiały się podwójnie głośno.

Gaul ni stąd, ni zowąd dał susa w górę, przebijając w powietrzu nogami, na wysokość dwóch, może więcej kroków nad podłogą, jednocześnie kręcąc młynka jedną ze swych włóczni.

— Będziemy się skradać za wami niczym górskie koty — krzyknął — jak grasujące wilki.

Wylądował zwinnie, lekko. Loial wytrzeszczył oczy, oniemiały ze zdumienia.

Bain leniwie rozczesywała palcami swe krótkie włosy ognistej barwy.



— W mojej siedzibie wyścielam sobie łóżko znakomitą wilczą skórą — powiedziała do Chiad znudzonym głosem. — Wilki dają się łatwo chwycić.

Z gardła Perrina wydobyło się warczenie, obie kobiety naraz spojrzały na niego. Przez chwilę wydawało się, że Bain zaraz powie coś więcej, ona jednak spojrzała tylko krzywo na jego żółte oczy i powstrzymała się, wprawdzie nie przestraszona, lecz nagle czujna.

— To szczenię jeszcze nie zostało oswojone — wyznała Faile na użytek kobiet Aiel.

Perrin uparcie nie patrzył na nią. Podszedł natomiast do przegrody, w której stał jego kasztanowy ogier, wysoki jak taireńskie konie, bardziej masywny od nich w zadzie. Odprawił gestem ręki stajennego, wziął Steppera za wędzidło i sam wyprowadził go na zewnątrz. Stepper był tak długo więziony, że z miejsca zaczął dziarsko brykać, szybkimi krokami, które to właśnie sprawiły, że otrzymał swe imię. Perrin uspokajał go z wprawą człowieka, który podkuł bardzo wiele koni. Nie miał żadnych kłopotów z nałożeniem siodła z wysokim łękiem i przymocowaniem z tyłu podróżnych toreb oraz zrolowanego koca.

Gaul obserwował to z kamienną twarzą. Nie jeździł konno, dopóki nie musiał, a i wówczas ani kawałka dalej, niż to było konieczne. Tak postępowali wszyscy Aielowie. Perrin nie potrafił pojąć dlaczego. Być może z powodu dumy, z umiejętności pokonywania biegiem dalekich dystansów. Aielowie sprawiali wrażenie, że za tym kryje się coś więcej, podejrzewał jednak, że żaden nie umiałby tego wytłumaczyć.

Naturalnie należało również przygotować juczne zwierzę, ale to poszło szybko, wszystko bowiem, co Gaul zamówił, czekało na równo spiętrzonej stosie. Jedzenie i bukłaki z wodą. Owies i żyto dla koni. To wszystko było niedostępne w Drogach. I jeszcze inne rzeczy, takie jak pęta i jakieś medykamenty dla koni na wszelki wypadek, zapasowa hubka i temu podobne.

Większą część miejsca w wiklinowych koszach zajęły skórzane butle, na wzór tych, jakich Aielowie używali na wodę, tyle że większe i wypełnione oliwą do lamp. Pracę ukończono, gdy latarnie na długich tykach zostały przymocowane na szczycie pozostałych rzeczy.

Wepchnąwszy łuk pod popręg z wodzami jucznego konia w rękę, Perrin wskoczył na siodło Steppera. I potem przyszło już tylko czekać i gotować się z gniewu.

Loial siedział już w siodle swego olbrzymiego wierzchowca z jasnymi pęcina-  
mi, wyższego od wszystkich pozostałych w stajni o kilka całych dłoni, a przy tym wyglądającego niemalże jak kucyk, kiedy z jego boków zwisały długie nogi ogira. Był kiedyś taki czas, gdy ogir dosiadał konia z równym niemal wstrętem jak Aielowie, zdążył się jednak przyzwyczaić do konnej jazdy. Faile natomiast szafowała czasem, poddając swego wierzchowca takiemu badaniu, jakby nigdy przedtem nie widziała swej błyszczącej klaczy, choć Perrin wiedział, że sprawdziła konia przed kupnem, wkrótce po ich przybyciu do Kamienia. Koń, zwany Jaskółką, stanowił

wspaniały okaz taireńskiej rasy, obdarzony smukłymi kończynami i karkiem wygiętym w łuk, skory do stawania dęba, wyglądający na szybkiego i wytrzymałego, aczkolwiek jak na gust Perrina, zbyt lekko podkuty. Te podkowy nie były trwałe. I tym razem dołożyła wszelkich starań, aby pokazać mu, gdzie jest jego miejsce.

Faile, ubrana w wąskie, dzielone spódnice, dosiadła wreszcie konia i podjechała do Perrina. Konno jeździła znakomicie, ona i jej wierzchowiec poruszali się niczym jedna istota.

— Dlaczego nie chcesz poprosić, Perrin? — spytała łagodnie. — Staraleś się trzymać mnie z dala od tego, co jest dla mnie właściwe, więc teraz musisz poprosić. Czyżby taka prosta rzecz miała być aż tak trudna?

Kamień jęknął głucho niczym dzwon monstualnych rozmiarów, podłoga stajni podskoczyła, sklepienie zadrżało tak mocno, jakby miało zaraz runąć na ziemię. Stepper też podskoczył, zaczął rzeć i potrząsać łbem, Perrin ledwo utrzymał się w siodle. Stajenni, którzy padli na podłogę, gramolili się z niej teraz niezdarnie i miotali, rozpaczliwie starając się uspokoić przeraźliwie rżące konie, które usiłowały przeskoczyć ponad przegrodami boksów. Loial przywarł do karku swego ogromnego wierzchowca, Faile natomiast utrzymała się bez trudu na grzbiecie Jaskółki, mimo że klacz wierzgała i rżała jak oszalała.

Rand. Perrin wiedział, że to on. Czuł, jak szarpie go przyciąganie *ta'veren*, tak jak dwa wiry w strumieniu, które przyciągają się wzajemnie. Kaszłąc od sypiącego się z powały pyłu, który drapał w gardle, potrząsnął głową energicznie, napinając z całej siły mięśnie po to, by nie spaść z konia, i po to, by nie pobiec z powrotem w głąb Kamienia.

— Ruszamy! — krzyknął, mimo drzeń, które wciąż targały fortecą. — Ruszamy zaraz, Loial! Już!

Faile również najwyraźniej nie znalazła żadnych powodów do dalszej zwłoki, wbijając pięty w boki klaczy, zmusiła ją do opuszczenia stajni. Zajęła miejsce tuż obok znacznie wyższego rumaka Loiala i pogalopowali do samej Bramy Muru Smoka, prowadząc za sobą oba juczne konie. Obrońcy rozpierzchli się we wszystkie strony, choć niektórzy wciąż jeszcze nie zdążyli się podnieść. Ich obowiązki polegały na tym, by nie wpuścić intruzów do wnętrza Kamienia, nikt im jednak nie rozkazał, by zatrzymywać kogokolwiek w twierdzy. Faktem jest jednak, że w zaistniałej sytuacji, nawet gdyby otrzymali odpowiednie polecenia, zapewne nie potrafiliby myśleć na tyle jasno, by się do nich zastosować, kiedy nad ich głowami trzęsła się i nadal jęczała spazmatycznie forteca Kamienia Łzy.

Tuż za nimi jechał Perrin z jucznym koniem, żałując, że nieruchawy wierzchowiec Loiala nie potrafi biec szybciej, żałując, że nie można go zostawić w tyle, prześcignąć, podobnie jak przyciągania dwóch *ta'veren*, które usiłowało go zawrócić z drogi. Galopowali ulicami Łzy, w stronę wschodzącego słońca, ledwie zwalniając przy mijaniu fur i powozów. Gapili się na nich, nadal przerażeni wstrząsem, oszołomieni mężczyźni w opiętych kaftanach i kobiety w grubych far-

tuchach, o mały włos unikając stratowania kopytami.

Przy murach wewnętrznego miasta kamienie brukowe ustępowały ubitej ziemi, buty i kaftany bosym stopom i nagim torsom nad workowatymi spodniami, przepasanymi szerokimi szarfami. Ludzie tutaj umykali z drogi nie mniej rąco, Perrin nie pozwolił bowiem Stepperowi zwolnić, dopóki nie wypadli poza zewnętrzny mur miasta, mijając proste, kamienne domostwa i sklepy, słoczone tuż za głównym terenem Łzy, zagłębiając się w okolice rozproszonych farm, porośniętych dzikimi gąszczami, poza zasięg przyciągania *ta'veren*. Dopiero wtedy, gdy oddychał już niemal równie ciężko jak jego spieniony koń, ściągnął wodze Stepera, pozwalając mu iść stępa.

Uszy Loiala wyprężył dopiero co przeżyty szok. Faile oblizła wargi i ze zbiełałą twarzą przeniosła wzrok z ogira na Perrina.

— Co się stało? Czy to był... on?

— Nie wiem — skłamał Perrin.

„Ja muszę jechać, Rand. Wiesz o tym. Patrzyłeś mi w twarz, kiedy ci mówiłem, że muszę zrobić to, co moim zdaniem jest słuszne”.

— Gdzie są Bain i Chiad? — spytała Faile. — To potrwa godzinę, zanim nas dogonią. Szkoda, że nie chcą jechać konno. Zaproponowałam, że kupię im konie, a one najwyraźniej się obraziły. No cóż, po tym wszystkim i tak musimy prowadzić konie stępa, żeby dać im trochę wytchnienia.

Perrin ugryzł się w język i nie powiedział jej, że wcale nie zna Aielów tak dobrze, jak jej się zdaje. Widział mury miasta i Kamień, który wznosił się nad nimi jak góra. Potrafił nawet odróżnić falisty kształt sztandaru, który powiewał nad fortecą, a także kołujące nad nim, spłoszone ptaki, których widzieć nie mógł żaden z jego towarzyszy. Wcale nie było trudno dostrzec trójkę ludzi, którzy szybko pokonując przestrzeń, biegli w ich stronę długimi, płynnymi, pełnymi gracji krokami. Nie sądził, że sam potrafiłby biec tak długo i tak szybko, a ci Aielowie musieli od samego Kamienia utrzymywać stałą prędkość, skoro byli już tak blisko.

— Nie będziemy musieli czekać aż tak długo — oznajmił.

Faile obejrzała się na miasto, marszcząc czoło.

— To oni? Jesteś pewien?

Nagle to marsowe spojrzenie skierowało się na moment w jego stronę, jakby zachęta do odpowiedzi. Rzecz jasna, natychmiast zrozumiała, że traktując go w ten sposób, niejako przyznaje, iż stanowi część ich grupy.

— On się bardzo pyszni swym wzrokiem — powiedziała do Loiala — ale niestety nie dysponuje najlepszą pamięcią. Czasami wydaje mi się, że zapomniałby wieczorem zapalić świecę, gdybym mu o tym nie przypomniała. Przypuszczam, że zobaczył jakąś rodzinę biedaków, którzy uciekają przed tym, co uważają za trzęsienie ziemi. Czy nie mam racji?

Loial poruszył się niespokojnie w siodle, wzdychając przy tym ciężko, i mruknął coś na temat ludzi. Perrin wątpił, by było to coś pochwalnego. Faile oczywiście niczego nie zauważyła.

Kilka minut później wybałuszyła jednak oczy na Perrina, gdy troje Aielów zbliżyło się na taką odległość, że mogła sama ich rozpoznać. Nic jednak nie powiedziała. W tym nastroju nie miała zamiaru przyznać mu racji w żadnej kwestii, choćby nawet stwierdził, że niebo jest niebieskie. Aielowie zaś nie byli zbyt zdyszani, kiedy zatrzymali się wreszcie obok koni.

— Szkoda, że to nie był dłuższy bieg. — Bain wymieniła uśmiechy z Chiad, po czym obie spojrzały szelmowsko na Gaula.

— W takim przypadku pognałybyśmy tego Kamiennego Psa, aż zaczęłyby gryźć ziemię — powiedziała Chiad, jakby kończąc zdanie tej pierwszej. — Kamiennie Psy właśnie dlatego składają przysięgę, iż nigdy się nie wycofają. Z powodu kamiennych kości i kamiennych łbów, których ciężar utrudnia bieganie.

Gaul nie obraził się, Perrin jednak zauważył, że stanął w taki sposób, by nie spuszczać Chiad z oka.

— Czy wiesz, dlaczego tak często zatrudnia się Panny jako zwiadowców, Perrin? Bo potrafią biegać daleko i szybko. A bierze się to stąd, iż obawiają się, że jakiś mężczyzna mógłby zapragnąć je poślubić. Panna przebiegnie sto mil, żeby tego uniknąć.

— Bardzo roztropnie z ich strony — cierpkim tonem stwierdziła Faile. — Czy potrzebujecie odpoczynku? — spytała swe towarzyszkę i zrobiła zdziwioną minę, gdy zaprzeczyły. Tak czy inaczej, zwróciła się do Loiala. — Jesteś gotów jechać dalej? Znakomicie. Znajdź mi tę Bramę, Loial. Za długo już tu stoimy. Jeśli pozwolisz temu zabłąkanemu szczeniakowi trzymać się blisko siebie, zaczniesz myśleć, że się nim opiekujesz, a to nigdy jednak nie nastąpi.

— Faile — zaprotestował Loial — nie posuwasz się za daleko?

— Posunę się tak daleko, jak trzeba, Loial. Do Bramy?

Loial, którego uszy oklapły już kompletnie, ciężko westchnął i ponownie skierował swego konia na wschód. Perrin pozwolił mu odjechać na kilkanaście kroków, poczekał, aż Faile pojedzie za nim, i dopiero po dłuższej chwili wraz z Gaullem ruszył ich śladem. Musiał grać zgodnie z jej regułami, ale miał zamiar stosować się do nich co najmniej równie skrupulatnie jak ona.

Im dalej na wschód, tym większe odstępowały farmy, złożone ze ścieśnionych w jednym miejscu budynków z nie obrobionego kamienia, w których Perrin nie trzymałby nawet zwierząt, zarośla karłowaciały, aż wreszcie nie było już ani farm, ani zarośli, tylko falista, pagórkowata łąka. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rosły trawy, nie urozmaicone niczym prócz niewielkich grupek krzaków.

I tylko na zielonych zboczach wzgórz dostrzegali, z dala przypominające niewielkie plamki, konie sławnej taireńskiej rasy, w stadach złożonych z kilkunastu sztuk albo większych, które liczyły całe setki. Za każdym razem zwierząt pilno-

wało po kilku bosych chłopców, dosiadających ich na oklep. Chłopcy mieli baty z długimi uchwytnymi, za pomocą których trzymali konie razem albo przeganiali je z miejsca na miejsce, posługiwali się zaś nimi z taką wprawą, że gdy chcieli sprowadzić z powrotem zabłąkaną sztukę, trzaskający rzemień nawet nie dotykał skóry zwierzęcia. Trzymali swych podopiecznych z dala od obcych, cofając ich w razie konieczności, obserwowali jednak przejście tej dziwnej kompanii — dwoje ludzi, ogir na koniu oraz troje dzikich Aielów, którzy jak powiadano, opanowali Kamień — ze śmiałą ciekawością, właściwą dzieciom.

Wszystko to stanowiło dla Perrina miły widok. Lubił konie. Częściowo dlatego poprosił pana Luhhana, by mu pozwolił u siebie terminować, bo to mu dawało szansę pracy przy koniach, choć w Polu Emonda nie były one ani tak liczne, ani świetne.

Zupełnie inaczej czuł się Loial. Ogir zaczął coś mrużyć pod nosem, tym głośniej, im głębiej się zapuszczali między porośniętą trawą wzgórza, aż wreszcie wybuchnął.

— Przepadło! Wszystko przepadło! A dlaczego? Dla trawy. Tutaj kiedyś rósł gaj ogirów. Nie pozostawiliśmy tu wielkich dzieł, porównywalnych z Manetheren albo z tym miastem, które wy nazywacie Caemlyn, ale nam wystarczało, że gaj został posadzony. Drzewa wszelkich gatunków, z każdego kraju i miejsca. Wielkie Drzewa, wyrastające w niebo na wysokości stu piędzi. Wszystkie dogłądane pieczołowicie, bo miały przypominać moim braciom *stedding*, które pozostawili, by wznosić budowle dla ludzi. Ludzie uważają, że my cenimy pracę w kamieniu, ale to błąd umiejętności, wyuczona podczas Długiej Tułaczki po Pęknięciu Świata. My kochamy drzewa. Ludzie uznali Manetheren za największy triumf mych braci, my jednak wiedzieliśmy, że tym triumfem jest gaj. A on przepadł. Tak właśnie. Przepadł i więcej się nie odrodzi.

Loial wpatrywał się we wzgórza, całkiem nagie, wyjąwszy trawę i konie, z twardą twarzą i uszami położonymi płasko na czaszce. Pachniał... wściekłością. Spokojni, niemal tak pogodni jak Lud Wędrowców, tak większość opowieści określała ogirów, lecz w niektórych jawili się jako nieubłagani dla swych wrogów. Przedtem Perrin tylko raz widział rozłoszczonego Loiala. Być może był zły ubiegłej nocy, kiedy bronił dzieci. Gdy patrzył na twarz Loiala, przypomniało mu się pewne stare powiedzenie: „Rozzłościć ogira oznacza ściągać sobie górę na głowę”. Wszyscy rozumieli to jako próbę zrobienia czegoś, co jest niemożliwe. Perrin pomyślał, że być może to powiedzenie z upływem lat zmieniło znaczenie. Może kiedyś brzmiało: „Rozzłość ogira, a ściągniesz sobie górę na głowę”. Trudne do wykonania, ale śmiertelnie niebezpieczne w razie powodzenia. Nie sądził, że kiedykolwiek zechce, by Loial — łagodny, niezdarly Loial z tym jego szerokim nosem wiecznie wetkniętym w książki — rozzłościł się na niego.

Gdy dotarli wreszcie na tereny, gdzie rósł kiedyś nie istniejący już dzisiaj gaj ogirów, Loial przejął prowadzenie, skręcając nieco na południe. Brakowało punk-

tów orientacyjnych, a jednak ogir był pewien obranego przez siebie kierunku, coraz pewniejszy z każdym końskim krokiem. Potrafił wyczuć Bramę, docierał do niej z taką samą nieomylnością, z jaką pszczoła odnajduje ul. Gdy wreszcie zsiadł z konia, trawa sięgała mu zaledwie nieco wyżej kolan. W zasięgu wzroku mieli jedynie gęstą kępę jakiegoś krzewu, wyższego od pozostałych, o gałęziach gęsto ulistnionych, równie wysokich jak ogir. Niemal z żalem wyrwał go z ziemi i odłożył na bok.

— Może kiedy wyschnie, ci chłopcy od koni wykorzystają go na ognisko.

Tam była Brama.

Wbudowana w zbocze wzgórza bardziej przypominała kawał szarego muru niżli bramę, i to na dodatek muru pałacu, gęsto pokryta liśćmi i pnączami, wyrzeźbionymi tak misternie, że wydawały się niemal równie żywe, jak ten krzew, który przedtem tu rósł. Stała tam co najmniej trzy tysiące lat, ale nawet najmniejszy ślad erozji nie skaził jej powierzchni. Te liście gotowe były zafalować pod wpływem byle podmuchu lekkiego wiatru.

Milcząc wpatrywali się w nią przez chwilę, aż wreszcie Loial zrobił głęboki wdech i przyłożył dłoń do liścia, który różnił się od wszystkich pozostałych, wyrzeźbionych na powierzchni Bramy. Roztrojony liść *Avendesory*, baśniowego Drzewa Życia. Do momentu, w którym dotknęła go ogromna dłoń Loiala, liść wyglądał jak zwykły element płaskorzeźby, przesunął się jednak z łatwością.

Faile głośno zaparło dech, nawet Aielowie zaszemrali. Zapach niepokoju przesyłał powietrze, Perrin jednak nie potrafił stwierdzić, skąd dociera. Być może od wszystkich naraz.

Kamienne liście zdawały się naprawdę falować na niewyczuwalnym wietrze, nabrały zielonej barwy, odcienia życia. W samym środku powoli pojawiła się szczelina i połowy Bramy rozsunęły się na boki, odkrywając nie stok znajdującego się za nią wzgórza, lecz mętnie lśniąca tafle, która odbijała niewyraźnie ich podobizny.

— Powiadają, że niegdyś — mruknął Loial — Bramy błyszcząły jak lustra, a ci, którzy wkraczali do Dróg, przechodzili przez słońce i niebo. Teraz tego już nie ma. Podobnie jak i tamtego gaju.

Perrin zapalił lampę na długiej tyce, którą pospiesznie ściągnął z grzbietu swego jucznego konia.

— Tu jest za gorąco — stwierdził. — Przyda się odrobina cienia. — Uderzeniem butów zmusił Steppera, by zbliżył się do Bramy. Wydało mu się, że znowu słyszy za swymi plecami jęk Faile.

Kasztanowy ogier ploszył się, gdy podchodził do swego niewyraźnego odbicia, ale Perrin znowu ponaglił go uderzeniami pięt. Powoli, przypomniał sobie. To trzeba robić powoli. Końskie chrapy z ociąganiem dotknęły odbicia, a potem stopiły się z nim, jakby wkraczał do wnętrza lustra. Perrin ruszył, zbliżył się do siebie, dotknął. . . Skórę polizał lodowaty chłód, wolno otulając ciało, kawałek po

kawałku, włoszek za włoskiem, czas rozciągnął się w nieskończoność.

Chłód zniknął jak przekłuta bańka i Perrin znalazł się w samym środku nieprzebytej ciemności, światło latarni słabo migotało wokół niego. Stepper i juczny koń zarżały nerwowo.

Gaul przeszedł spokojnie przez Bramę i zaczął szykować drugą latarnię. Za jego plecami pozostało coś, co przypominało tafle okopconego szkła. Widać było za nią pozostałych, Loiala, który na powrót dosiadał konia, Faile, która zbierała wodze, ich sylwetki pełzły leniwie, ledwie się poruszały. Czas w Drogach płynął inaczej.

— Faile jest zła na ciebie — stwierdził Gaul, gdy już zapalił latarnię. Nie dawała zbyt wiele światła. Ciemność piła je i pochłaniała. — Jej się chyba wydaje, żeś złamał jakąś umowę. Bain i Chiad... Nie pozwól, by cię dopadły, gdy będziesz sam. Zamierzają dać ci nauczkę, przez wzgląd na Faile, jeśli ich plan się powiedzie, nie będziesz już dosiadał tego zwierzęcia z taką łatwością.

— Na nic się nie umawiałem, Gaul. Robię to, do czego zmusiła mnie podstępem. Będziemy musieli iść śladem Loiala, czego zażyczy sobie dość prędko, ale na razie mam zamiar prowadzić tak długo, jak się da. — Wskazał grubą, białą linię pod kopytami Steppera. Urywana i gęsto pokryta dziobatymi odpryskami wiodła naprzód, ginąc w mroku w odległości kilku zaledwie stóp od miejsca, gdzie stali. — Ta linia prowadzi do pierwszego drogowskazu. Będziemy musieli tam poczekać na Loiala, który odczyta wyryty na nim napis i zdecyduje, na który most mamy wjechać, ale do tego miejsca Faile może podążać za nami.

— Most — mruknął w zamyśleniu Gaul. — Znam to słowo. Czy jest tam woda?

— Nie. To właściwie nie są mosty. Wyglądają niby tak samo, ale... Może Loial potrafi ci to wyjaśnić.

Aiel podrapał się po głowie.

— Czy ty wiesz, co robisz, Perrin?

— Nie — przyznał Perrin — ale nie ma powodu, dla którego Faile miałaby o tym wiedzieć.

Gaul roześmiał się.

— To takie zabawne być młodym, prawda, Perrin?

Skrzywił się, niepewny, czy tamten aby przypadkiem nie naśmiewa się z niego, potem ponaglił Steppera uderzeniem pięt, pociągając za sobą jucznego konia. Tutaj światło latarni będzie zupełnie niewidoczne z odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków. Chciał zupełnie zniknąć tamtym z oczu, zanim Faile przejdzie przez Bramę. Niech sobie myśli, że postanowił iść dalej bez niej. To była najłżejsza kara, na jaką zasłużyła; niech pomartwi się przez kilka chwil, zanim go wreszcie znajdzie przy drogowskazie.

# TAŃCZĄCY PO FALACH

Złote słońce dopiero co wzbilo się ponad horyzont, gdy błyszczący, polakierowany na czarno powóz, ciągnięty przez cztery jednakowe siwki, zakołysał się i przyhamował na skraju nabrzeża, a wymizerowany, ciemnowłosy woźnica w kaftanie w czarne i złote paski zeskoczył z kozła, by otworzyć drzwiczki. Drzwiczek naturalnie nie zdobił żaden herb. Taireńscy arystokraci uśmiechali się, i owszem, serdecznie, lecz służyli pomocą Aes Sedai jedynie pod przymusem i żaden nie życzył sobie, by jego nazwisko albo dom łączono z Wieżą.

Elayne z gracją wysiadła z powozu, nie czekając na Nynaeve, i wygładziła swój letni, podróżny płaszcz z niebieskiego sukna — fury i wozy poryły ulice Maule koleinami, a skórzane resory powozu nie były najlepsze. W porównaniu z upałem panującym w Kamieniu bryza, wiejąca ponad wodami Erinin, rzeczywiście wydawała się chłodna. Dziedziczka Tronu nie chciała demonstrować, jak na nią wpłynęła ta pełna niewygód przejażdżka, ale wyprostowawszy się zaczęła masować kłykciami siedzenie.

„Przynajmniej kurzu jest mniej dzięki deszczom, które spadły ubiegłej nocy” — pomyślała.

Podejrzewała, że celowo dano im powóz, w którym nie było zasłon.

Na północ i na południe od miejsca, w którym przystanęła, wrzynały się w rzeckę mola podobne do szerokich, kamiennych palców. Powietrze pachniało smołą i powrozami, rybą, przyprawami i oliwą z oliwek, a także różnymi nie zidentyfikowanymi rzeczami, które gniły w wodzie stojącej między filarami pirsów oraz dziwacznymi, podłużnymi owocami żółtawozielonej barwy, których ogromne stosy piętrzyły się przed kamiennym magazynem za jej plecami. Mimo wczesnej pory wszędzie biegali mężczyźni w skórzanych kamizelach nałożonych na koszule bez rękawów, dźwigali wielkie toboły na pochylonych grzbietach albo popychali ręczne wózki ze stosami beczek lub skrzyń. Żaden nie obdarzył jej więcej jak tylko jednym, przelotnym, ponurym spojrzeniem, większość jednak w ogóle nie podnosiła głów. Smutno jej było na to patrzeć.

Taireńscy arystokraci źle się obchodzili z poddanymi, wręcz podle. W Andorze mogłaby się spodziewać radosnych uśmiechów i pełnych szacunku powitań, swobodnie wygłaszanych przez wyprostowanych ludzi, znających nie tylko



jej wartość, ale również własną. To niemal wystarczyło, aby pożałowała wyjazdu. Została wychowana, by kierować, a któregoś dnia rządzić dumnym narodem, i czuła, że korci ją, by nauczyć tych ludzi godności. To było jednak zajęcie dla Randa, nie dla niej.

„A jeśli on nie zrobi tego prawidłowo, to odstąpię mu część swjej wiedzy. Większą część”.

Przynajmniej zaczął, postępując zgodnie z jej radami. Ona natomiast musiała przyznać, że wiedział, jak traktować swych ludzi. Ciekawe może się okazać sprawdzenie po powrocie, czego dokonał.

„O ile będzie po co wracać”.

Z miejsca, gdzie stała, widać było dokładnie kilkanaście statków, za nimi majaczyły dalsze, jednakże jej oczy skupione były na tym jednym kadłubie — zakotwiczony prostopadle przy krańcu mola, przed którym stała, ostrym dziobem wskazywał w górę rzeki. Raker Ludu Morza miał co najmniej sto kroków długości, o połowę większy niż stojący obok niego inny statek, wyposażony był w trzy wielkie maszty górujące nad całą przystanią oraz jeden nieco krótszy na uniesionym od strony rufy pokładzie. Bywała już kiedyś na statkach, ale nigdy na żadnym równie wielkim i nigdy na żadnym, który pływał po morzu. Samo miano właścicieli statku przywodziło na myśl dalekie kraje i cudzoziemskie porty. Atha'an Miere. Lud Morza. Opowieści, które w zamierzeniu miały być egzotyczne, jeśli nie dotyczyły Aielów, zawsze opowiadały o Ludzie Morza.

Z powozu, za jej plecami, wygramoliła się Nynaeve, zawiązując przy szyi tasiemki zielonego płaszcza podróżnego, burczała coś pod nosem, nie wiadomo dokładnie czy do siebie, czy do woźnicy.

— Sponiewierane jak kury podczas burzy! Wytrzępane jak zakurzony dywan! Jak ci się to udało, żeś znalazł każdy najmniejszy wybój i dziurę od samego Kamienia, dobry człowieku? To wymaga prawdziwej wprawy. Szkoda, że nie potrafisz równie sprawnie powodować zaprzęgiem.

Próbował jej pomóc przy wysiadaniu, jego wąska twarz ponura była niczym chmura burzowa, ale odmówił.

Elayne westchnęła i podwoiła liczbę srebrnych groszy wyjętych z sakiewki.

— Dziękuję, żeś przywiózł nas bezpiecznie i szybko. — Z uśmiechem wcisnęła mu monety do ręki. — Powiedziałyśmy ci, że masz jechać szybko i zrobiłeś to, o co prosiłyśmy. Stan ulic to nie twoja wina i spisałeś się doskonale mimo parszywych warunków.

Woźnica, nie patrząc na monety, wykonał głęboki ukłon, spojrzął z wdzięcznością i wymamrotał:

— Dziękuję ci, moja pani — nie tylko za monety, ale również za grzeczne słowa, nie miała najmniejszych wątpliwości. Przekonała się, że uprzejmość i drobne pochwały są zazwyczaj przyjmowane równie chętnie jak srebro, o ile nie bardziej. Aczkolwiek, rzecz jasna, rzadko kiedy nie doceniano samego srebra.

— Oby Światłość zesłała wam bezpieczną podróż, moja pani — dodał. Nieznaczny błysk w oku, kiedy spojrział w stronę Nynaeve, mówił jednoznacznie, że to życzenie jest przeznaczone wyłącznie dla Elayne. Nynaeve musiała się dużo jeszcze nauczyć, jeśli chodzi o tolerancję oraz przyzwoite traktowanie innych ludzi; naprawdę było jej to potrzebne.

Kiedy woźnica wypakował z powozu tobołki i podręczne bagaże, a potem zawrócił swój zaprzęg i odjechał, Nynaeve powiedziała ponurym głosem:

— Chyba nie trzeba było tak się znęcać nad tym człowiekiem. Nawet ptak miałby trudności z pokonywaniem tych ulic. W każdym razie nie w powozie. Ale po tych wszystkich podskokach czuję się tak, jakbym tydzień jechała na końskim grzbiecie.

— To nie jego wina, że ciebie boją... plecy — powiedziała Elayne, uśmiechem maskując uszczypliwość, i wzięła swoje rzeczy.

Nynaeve wybuchła złośliwym śmiechem.

— Przyznałam to, czyż nie? Mam nadzieję, że nie liczysz na to, że pobiegnę za nim i będę przepraszała. Ta garść srebra, którą mu dałaś, winna zaleczyć rany, które wszak nie są śmiertelne. Naprawdę musisz się nauczyć większej ostrożności w gospodarowaniu pieniędzmi, Elayne. Nie dysponujemy teraz całością zasobów finansowych Andoru. Cała rodzina żyłaby wygodnie przez miesiąc z tego, czym obdarowujesz każdego, kto wykonuje dla ciebie wcześniej już opłaconą pracę.

Elayne obdarzyła ją oburzonym spojrzeniem — Nynaeve chyba zawsze się wydawało, że jeśli nie istnieje jakiś specyficzny powód, by było inaczej, to powinny żyć gorzej od służby, choć przecież było to myślenie dokładnie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem — ale przyjaciółka wyraźnie nie zauważyła tej miny, która zawsze zmuszała członków Gwardii Królewskiej do stawania na palcach. Zamiast tego podźwignęła tobołki i wypchane sukienne torby, po czym skręciła w stronę przystani.

— Przynajmniej podróż statkiem będzie wygodniejsza. Wchodzimy na pokład?

Kiedy brnęły po molo, lawirując między zapracowanymi mężczyznami, stosami beczek i wózkami pełnymi towarów, Elayne powiedziała:

— Nynaeve, ci z Ludu Morza mogą się okazać bardzo drażliwi, dopóki cię bliżej nie poznają, tak mnie przynajmniej uczono. Myślisz, że mogłabyś postarać się być bardziej...?

— Bardziej jaka?

— Taktowna, Nynaeve. — Elayne zgubiła krok, ponieważ ktoś splunął prosto pod jej nogi. Trudno było stwierdzić, który to zrobił: kiedy się rozejrzała, wszyscy mieli pochylone głowy i na pozór ciężko pracowali. Złe traktowanie przez Wysokich Lordów czy nie, już ona by powiedziała winowajcy, gdyby go znalazła, kilka ostrych słów, których tak łatwo by nie zapomniał. — Mogłabyś się postarać choć raz być taktowną.

— Oczywiście. — Nynaee weszła między liny barierki trapu rakera. — Jeśli nie będą mną zanadto kołysać.

Pierwszym spostrzeżeniem Elayne po wejściu na pokład było to, że wydaje się on niezwykle wąski, a jednocześnie długi, prawdę powiedziawszy, słabo się znała na statkach, ale dla niej ten wyglądał jak ogromny splinter.

„Światłości, to coś, mimo że takie duże, będzie kolebało gorzej niż powóz”.

Druga myśl dotyczyła załogi. Słyszała różne rzeczy o Atha'an Miere, ale nigdy dotąd ich nie widziała. Nawet opowieści niewiele tak naprawdę mówiły. Tajemniczy naród, niemal jak Aielowie, który trzymał się swoich. Jedynie ziemie za Pustkowiec mogły być dziwniejsze, a powszechnie wiedziano o nich tyle tylko, że to właśnie stamtąd Lud Morza sprowadza kość słoniową i jedwab.

Ci Atha'an Miere byli ciemni, bosi, mieli nagie torsy, gładko wygolone twarze, proste, czarne włosy i pokryte tatuażami ręce, poruszali się z wprawą ludzi, którzy znają swoje zadania tak dobrze, że nie muszą całkowicie się na nich koncentrować, a jednak czynią tak mimo wszystko. Ich ruchom towarzyszyła swista, płynna gracia, tak jakby na nieruchomym statku wciąż czuli kołysanie fal. Większość nosiła złote albo srebrne łańcuchy na szyjach, a także kółka w uszach, czasami po dwa lub trzy, niektóre wysadzone wypolerowanymi kamieniami.

W skład załogi wchodziły również kobiety, i na dodatek dorównywały liczbą mężczyznom, razem z nimi ciągnęły powrozy i zwijały liny, podobnie wytatuowanymi rękoma, w takich samych workowatych, przy kostkach rozciętych spodniach z ciemnego, zatłuszczonego sukna, podtrzymywanych kolorowymi, wąskimi szarfami. Oprócz tego nosiły również luźne, kolorowe bluzy, uszyte z jaskrawych czerwieni, błękitów i zieleni, miały też co najmniej tyle samo ozdób — łańcuchów i kolczyków — co mężczyźni. Były wśród nich, jak zauważyła Elayne, przeżywając lekki szok, dwie albo trzy kobiety z kółkami w nosie.

Gracją ruchów kobiety prześcigały jeszcze wdzięk mężczyzn, Elayne przypominała sobie niektóre historie, które usłyszała w dzieciństwie, a których słuchać jej nie było wolno. Kobiety z Atha'an Miere, zgodnie z tymi opowieściami, stanowiły wcielenie piękna i powabu, toteż uganiiali się za nimi wszyscy mężczyźni. Kobiety z tego statku nie były wcale piękniejsze od innych, ale kiedy tak przypatrywała się ich ruchom, gotowa była dać wiarę tym opowieściom.

Dwie kobiety, stojące na uniesionym pokładzie rufy, najwyraźniej nie zaliczały się do zwykłych członków załogi. Niby też miały bosc stopy, a ich ubrania nie różniły się od innych krojem, jednakże jedna odziana była od stóp do głów w niebieski, brokatowy jedwab, druga natomiast w zielony. Starsza, ta w zieleni, nosiła po cztery złote kółka w uszach i jedno w lewym skrzydełku nosa, wszystkie zaś tak wytoczone, że iskrzyły się w porannym słońcu. Od maleńkiego kółka w nosie do jednego z kolczyków biegł cienki łańcuszek, na którym dyndał rząd drobnych złotych wisiorów, a na jednym z łańcuchów oplatających szyję wisiało złote, ażurowe puzderko o koronkowych ściankach. Co jakiś czas przykładała je do no-

sa i coś wahała. Druga kobieta, ta wyższa, miała w sumie tylko sześć kolczyków i mniej wisiorków. Ażurowe puzderko, pełniące podobne funkcje jak u pierwszej, było wykute równie misternie. Zaiste, bardzo egzotyczne. Elayne skrzywiła się, myśląc o kółkach w nosie. I ten łańcuszek!

Coś cudaczego na rufie przykuło jej uwagę, ale z początku nie potrafiła powiedzieć cóż to takiego. Zorientowała się dopiero po dłuższej chwili. Przy sterze nie było rumpla. Za plecami kobiet stało coś w rodzaju koła ze szprychami, przy-mocowane tak, by nie mogło się obracać, ale brakowało rumpla.

„To jak one sterują?”

Najmniejsza rzeczna łódka, jaką widziała, miała rumpel. Na wszystkich innych statkach, stojących w sąsiednich dokach, były również rumple. Coraz bardziej tajemniczy okazuje się ten Lud Morza.

— Przypomnij sobie, co ci powiedziała Moiraine — ostrzegła, kiedy zbliżały się do rufy. Nie było tego wiele, nawet Aes Sedai nie wiedziały dużo o Atha'an Miere. Moiraine nauczyła je jednak odpowiednich sformułowań, którymi należało się posługiwać, aby nie zostać posądzoną o brak dobrych manier. — I pamiętaj, bądź taktowna — dodała stanowczym szeptem.

— Będę pamiętała — odparła ostro Nynaeve. — Potrafię być taktowna.

Elayne całym sercem pragnęła, by była to prawda.

Dwie kobiety z Ludu Morza czekały na nie na szczycie schodów — drabiny, przypomniała sobie Elayne, mimo że były to jednak schody. Nie pojmowała, dlaczego na statkach muszą obowiązywać inne nazwy na rzeczy powszechnego użytku. Podłoga to podłoga, w stodole, gospodzie albo pałacu. Dlaczego nie na statku? Obie kobiety spowijała chmura perfum, z lekka piżmowa woń, która biła od tych koronkowych, złotych puzderek. Tatuaze na ich rękach przedstawiały gwiazdy i morskie ptaki otoczone spiralami i stylizowanymi falami.

Nynaeve skłoniła głowę.

— Jestem Nynaeve al'Meara, Aes Sedai z Zielonych Ajah. Poszukuję Mistrzyni Żeglugi tego statku i proszę o przewóz, jeśli to miłe Światłości. To moja towarzyszką i przyjaciółką, Elayne Trakand, również Aes Sedai z Zielonych Ajah. Oby Światłość opromieniła was i wasz statek, a także zesłała wiatry, które nadażą wam chyżość.

Było to niemal zgodne z instrukcjami Moiraine. Nie to o Aes Sedai z Zielonych Ajah — Moiraine scedowała to jakby na nie, w odróżnieniu od pozostałych rzeczy; ją samą zresztą nieco rozbawił ten wybór — lecz cała reszta.

Starsza kobieta, z siwymi pasmami na czarnych skroniach i drobnymi zmarszczkami w kącikach wielkich, brązowych oczu, równie ceremonialnie skłoniła głowę. Zdawała się jednak szacować je od stóp do głów, szczególnie pierścien z Wielkim Wężem, który obie nosiły na prawych dłoniach.

— Jestem Coine din Jubai Dzikie Wiatry, Mistrzyni Żeglugi „Tańczącego po Falach”. To jest Jorin din Jubai Białe Skrzydło, moja siostra krwi i Poszukiwaczka

Wiatrów „Tańczącego po Falach”. Przewóz jest być może osiągalny, jeśli to miłe Światłości. Oby Światłość opromieniła was i dopilnowała, byście bezpiecznie dotrwały do końca podróży.

To, że obydwie są siostrami, stanowiło niespodziankę. Elayne widziała podobieństwo, lecz Jorin wyglądała na znacznie młodszą. Żałowała, że Poszukiwaczka Wiatrów nie jest tą, z którą winny omawiać sprawy, bo niby obie kobiety zachowywały tę samą powściągliwość, lecz Poszukiwaczka Wiatrów przypominała jej czymś Aviendhę. Był to, rzecz jasna, absurd. Te kobiety nie przewyższały jej wzrostem, karnacją nie mogły się bardziej różnić od kobiet Aielów, a jedyną broń, jaką przy nich dostrzegła, był krótki nóż zatknięty za szarfę, z wyglądu bardzo fachowo wykonany, mimo rzeźbień i złotych intarsji na rękojeści. Elayne jednak nie mogła się wyzbyć wrażenia pewnego podobieństwa między Jorin i Aviendhą.

— Porozmawiajmy zatem, Mistrzynie Żeglugi, jeśli jest ci to miłe — powiedziała Nynaeve, stosując formułę Moiraine — o żeglowaniu i portach oraz o przewozie, który jest formą daru. — Według Moiraine Lud Morza nie pobierał opłaty za tę usługę, był to dar, który jakby całkowicie przypadkowo wymieniano później na inny, o identycznej wartości.

Coine odwróciła wzrok, patrząc w stronę Kamienia i białego sztandaru, który nad nim powiewał.

— Porozmawiamy w mojej kajucie, Aes Sedai, jeśli jest wam to miłe. — Gestem ręki wskazała otwarty luk za dziwnym kołem. — Witajcie na moim statku i oby towarzyszyła wam łaska Światłości, dopóki nie opuścicie jego pokładu.

Kolejna wąska drabina — klatka schodowa — wiodła do schludnej izby, znacznie większej i wyższej niż Elayne się spodziewała na podstawie jej spostrzeżeń z mniejszych statków, z oknami wychodzącymi na rufę i lampami zawieszonymi na ścianach. Niemal wszystko w tej izbie wyglądało, jakby przymocowane zostało na stałe, z wyjątkiem kilku polakierowanych skrzyń rozmaitych rozmiarów. Łóżko, ustawione pod oknami, było duże i niskie, a przez środek izby biegł wąski stół otoczony fotelami.

Pomieszczenie było bardzo schludne, wrażenie to wywoływała zapewne stosunkowo skromna liczba zgromadzonych w nim drobnych przedmiotów. Na stole leżały zrolowane mapy, na zabezpieczonych poręczami półkach stało kilka wyrzeźbionych z kości słoniowej zwierząt, na hakach wystających ze ścian spoczywało kilka nagich mieczy o różnych kształtach, wśród nich takie, jakich Elayne nigdy w życiu nie widziała. Z belki nad łóżkiem zwisał mosiężny gong o dziwnym kwadratowym kształcie, natomiast na prawo od okien wychodzących na rufę, jakby na honorowym miejscu, stała pozbawiona rysów, drewniana głowa w hełmie podobnym do głowy jakiegoś monstrualnego owada, polakierowanym na czerwono i zielono, z obu stron ozdobionym wąskimi, białymi pióropuszcami, z których jeden był złamany.

Elayne rozpoznała ten hełm.

— Seanchanie — jęknęła, zanim zdążyła pomyśleć.

Nynaeve spojrzała na nią z irytacją, zupełnie zresztą zasłużenie, uzgodniły bowiem, że będzie bardziej stosowne, jeśli Nynaeve, jako starsza, będzie przemawiała w imieniu ich obu.

Coine i Jorin wymienili nieodgadnione spojrzenia.

— Słyszałyście o nich? — spytała Mistrzynie Żeglugi. — No przecież. Po Aes Sedai należy oczekiwać, że będą wiedziały takie rzeczy. My, z dalekiego wschodu, słyszymy wiele historii, ale nawet te najprawdziwsze nie zawierają w połowie prawdy.

Elayne wiedziała, że powinna na tym poprzestać, ale wrodzona ciekawość sprawiła, iż nie potrafiła powściągnąć języka.

— Czy mogę wiedzieć, w jaki sposób weszłyście w posiadanie tego hełmu?

— W zeszłym roku „Tańczący po Falach” napotkał seanchański statek — odparła Coine. — Seanchanie chcieli go zdobyć, ale nie dałam za wygraną. — Lekko wzruszyła ramionami. — Zatrzymałam ten hełm na pamiątkę, Seachan zaś pochłonęło morze, oby Światłość była litościwa dla wszystkich, którzy żeglują. Już nigdy więcej nie zbliżę się do statku z żebrowanymi żaglami.

— Miałaś szczęście — odparła zwięźle Nynaeve. — Seanchanie biorą do niewoli kobiety, które potrafią przenosić Moc, i posługują się nimi jako bronią. Gdyby taką wówczas mieli na tym statku, żałowałabyś, że go w ogóle zobaczyłaś.

Elayne rzuciła jej krzywe spojrzenie, ale już było za późno. Nie umiała stwierdzić, czy ton Nynaeve obraził kobiety z Ludu Morza. Twarze obu zachowały ten sam obojętny wyraz, ale Elayne zaczynała sobie uświadamiać, że one nie zdradzają się ze swoimi emocjami, w każdym razie wobec obcych.

— Porozmawiajmy o przewozie — powiedziała Coine. — Jeśli to miłe Światłości, możemy zawitać wszędzie tam, gdzie chcecie. Wszystko jest możliwe w Światłości. Usiądźmy.

Krzeseła ustawione dookoła stołu nie dały się odsunąć, zarówno one, jak i stół były na stałe przymocowane do podłogi-pokładu. Natomiast poręcze rozsuwały się niczym skrzydła bramy i wskakiwały z powrotem na miejsce, kiedy już się usiadło. Ten wystrój zdawał się potwierdzać szczególne upodobania Elayne do podnoszenia się i opadania. Rzecz jasna, bardzo dobrze z tym sobie teraz radziła, ale gwałtowne kołysanie łodzi wprowadziło żołądek Nynaeve w podskoki. Na oceanie musi być jeszcze gorzej niż na rzece, jakkolwiek by zapalczywy wiał wiatr, a im gorzej z żołądkiem Nynaeve, tym gorzej z jej usposobieniem. Nynaeve, cierpiąca na nudności i jednocześnie wyjątkowo rozwścieczona — Elayne doświadczyła niewiele rzeczy bardziej strasznych.

Posadzono je obie z jednej strony stołu, Mistrzynie Żeglugi i Poszukiwaczka Wiatru usiadły na jego końcach. Z początku wyglądało to dziwnie, po chwili pojęła, że gdy ona i Nynaeve będą patrzeć na tę, która akurat mówi, to druga będzie mogła obserwować je bez przeszkód.

„Czy one zawsze tak traktują pasażerów, czy też tylko z nami się tak obchodzą, ponieważ jesteście Aes Sedai? Cóż, ponieważ myślą, iż nimi jesteście”.

Było to ostrzeżenie. Nie wszystko okaże się proste w przypadku tych ludzi, wbrew temu, na co liczyły. Miała nadzieję, że Nynaeve to spostrzegła.

Elayne nie zauważyła, by któraś wydała jakieś rozkazy, ale pojawiła się szczupła, młoda kobieta, z pojedynczymi kolczykami w uszach, która przyniosła tacę z kwadratowym białym dzbankiem z mosiężnym uchwytem oraz dużymi filiżankami bez uszek. Nie zostały wykonane z porcelany Ludu Morza, jak można było się spodziewać, lecz z grubego fajansu. Mniejsze prawdopodobieństwo, że się stłuką przy gorszej pogodzie, stwierdziła ponuro. Jej uwagę przykuła jednak przede wszystkim owa młoda kobieta. Była do pasa naga, podobnie jak mężczyźni na pokładzie. Bardzo umiejętnie ukryła wstrząs, tak jej się przynajmniej wydawało, ale Nynaeve głośno pociągnęła nosem.

Mistrzynie Żeglugi czekała, dopóki dziewczyna nie skończy nalewać herbaty, tak mocnej, że aż czarnej, a potem powiedziała:

— Czyżbyśmy już odbili od brzegu, Dorele, a ja nie zwróciłam na to uwagi? Czy w zasięgu wzroku nie ma żadnego lądu?

Szczupła kobieta zaczerwieniła się raptownie.

— Widać ląd, Mistrzynie — wyszeptała żałośnie.

Coine pokiwała głową.

— Dopóki wszelki ląd nie zniknie z zasięgu wzroku i dopóki żaden się nie pojawi przez jeden cały dzień, będziesz szorowała zęzę, gdzie ubiór stanowi zawadę. Możesz odejść.

— Tak, Mistrzynie — odparła dziewczyna, jeszcze bardziej żałośnie. Odwróciła się i ze zniechęceniem rozwiązując swą szarfę, wyszła przez drzwi w przeciwnym kierunku izby.

— Poczestujcie się herbatą, jeśli to jest wam miłe — powiedziała Mistrzynie Żeglugi — abyśmy mogły porozmawiać w spokoju. — Upiła łyk ze swej filiżanki i ciągnęła dalej, podczas gdy Elayne i Nynaeve kosztowały swojej. — Proszę, abyście darowały wszelkie urazy, Aes Sedai. To pierwsza podróż Dorele, wyjąwszy wyspy. Młodzi często zapominają o obyczajach przykutych do brzegu. Ukaram ją surowiej, jeśli uważacie, że uczyniono wam afront.

— Nie ma takiej potrzeby — pośpiesznie zapewniła Elayne, korzystając z wymówki, by móc odstawić herbatę. Herbata była jeszcze mocniejsza, niż na to wyglądała, bardzo gorąca, gorzka, bez odrobiny cukru. — Doprawdy, wcale nie jesteśmy obrażone. Wśród różnych ludów obowiązują różne obyczaje.

„Światłości, nie zsyłaj zbyt wielu tak odmiennych jak ten! Światłości, a jeśli oni nie noszą zupełnie żadnych ubrań, kiedy są na morzu? Światłości!”

— Tylko głupi człowiek obraża się z powodu obyczajów odmiennych od własnych.

Nynaeve obdarzyła ją zimnym spojrzeniem, dość zuchwałym jak na Aes Sedai, którą udawała, i pociągnęła spory łyk ze swojej filiżanki. Powiedziała jedynie:

— Proszę, nie myśl już o tym.

Nie wiadomo, czy skierowała tę uwagę do Elayne, czy do kobiety z Ludu Morza.

— A zatem porozmawiamy o przewozie, jeśli jest wam to miłe — powiedziała Coine. — Do jakiego portu życzyacie sobie żeglować?

— Tanchico — odparła Nynaeve, nieco gorliwiej niż powinna. — Wiem, że może wcale nie chcecie tam płynąć, ale my musimy znaleźć się tam jak najszybciej, tak szybko jak potrafi tylko raker, i to w miarę możliwości bez zatrzymywania się. Proponuję ten skromny podarunek za niedogodności, jakie może spowodować nasza prośba. — Z mieszka przy pasie wyjęła skrawek papieru i rozwinąłszy go, popchnęła przez stół w stronę Mistrzynie Żeglugi.

Moiraine dała go im, razem z drugim takim samym. Były to listy kredytowe, które pozwalały okazielowi pobrać do trzech tysięcy złotych koron od bankierów i lichwiarzy w najróżniejszych miastach, z których raczej żaden nie wiedział, że dysponuje pieniędzmi Białej Wieży. Kiedy zapoznali się z jego treścią, Elayne wybałuszyła oczy na widok tej kwoty — Nynaeve otwarcie rozdziawiła usta — Moiraine jednak powiedziała, że mogą być potrzebne, szczególnie jeśli Mistrzynie Żeglugi miała ominąć określone porty.

Coine dotknęła listu kredytowego jednym palcem, przeczytała.

— Kwota ogromna jak na podarunek za przewóz — mruknęła — nawet jeśli wziąć pod uwagę, że prosicie o zmianę moich planów żeglugi. Jestem teraz jeszcze bardziej zdziwiona niż przedtem. Wiecie, że niezmiernie rzadko zabieramy Aes Sedai na nasze statki. Bardzo rzadko. Z wszystkich, którzy proszą o przewóz, jedynie Aes Sedai mogą spotkać się z odmową i prawie zawsze się z nią spotykają. Tak było od pierwszego dnia pierwszego rejsu i Aes Sedai o tym wiedzą, więc prawie nigdy nie proszą. — Patrzyła na swoją filiżankę, nie na nie, Elayne natomiast spozrzała w przeciwną stronę i przyłapała Poszukiwaczkę Wiatru na przyglądaniu się ich dłoniom, ułożonym na stole. Nie, ich pierścieniom.

Moiraine nawet im o tym nie wspomniała. Wskazała im rakera jako najszybszy z dostępnych statków i zachęciła, by z niego skorzystały. Z drugiej strony jednak wyposażyła je w te listy kredytowe, które zapewne wystarczyłyby na kupno całej floty takich statków. Cóż, w każdym razie kilku.

„Bo wiedziała, że będzie trzeba je przekupić aż tak wysoką sumą, by nas zabrały?”

Tylko po co jej te sekrety? Głupie pytanie: Moiraine zawsze miała swoje sekrety. Tylko po co marnować ich czas?

— Czy to znaczy, że nie chcecie nas przewieźć? — Nynaeve porzuciła takt na rzecz bezczelności. — Skoro nie zabieracie Aes Sedai, to po co sprowadziłyście nas tu na dół? Dlaczego nie powiedziałyście nam tego na pokładzie, wtedy



wszystko trwałoby krócej?

Mistrzynie Żeglugi odpięła jedną z poręczy fotela, wstała i podeszła do okna, by wyjrzeć przez nie na Kamień. Kolczyki i wisiorki na lewym policzku lśniły w świetle wschodzącego słońca.

— Słyszałam, że on potrafi władać Jediną Mocą i że dzierży Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Na jego wezwanie przybyli zza Muru Smoka Aielowie, widziałam kilku na ulicach, a powiadają, że w Kamieniu ich pełno. Kamień Łzy padł i wybuchła wojna między narodami. Ci, którzy niegdyś panowali, powrócili i za pierwszym razem ich odparto. Proroctwo się spełnia.

Nynaeve wyglądała na równie skonfundowaną nagłą zmianą tematu jak Elayne.

— Proroctwa Smoka? — spytała po chwili Elayne. — Tak, one się spełniają. On jest Smokiem Odrodzonym, Mistrzynie.

„On jest upartym mężczyzną, który skrywa swe uczucia tak głęboko, że nie mogę się ich doszukać, taki właśnie jest!”

Coine odwróciła się.

— Nie Proroctwa Smoka, Aes Sedai. Proroctwo Jendai, proroctwo Coramora. On nie jest tym, na którego czekacie i który was zatrważa, lecz tym, którego my szukamy, zwiastunem nowego Wieku. Podczas Pęknięcia Świata nasi przodkowie schronili się na morzu, a tymczasem ląd piętrzył się i łamał, niczym fale w czasie sztormu. Ponoć nie znali się zupełnie na statkach, na których ratowali się ucieczką, ale towarzyszyła im Światłość i przeżyli. Więcej nie zobaczyli lądu, dopóki ten ponownie nie znieruchomiał, a wiele rzeczy nie uległo zmianie. Wszystko, cały świat dryfował na wodach i wiatrach. To były lata, które nastąpiły zaraz po pierwszym ogłoszeniu Proroctwa Jendai. My musimy wędrować po wodach dopóty, dopóki Coramoor nie powróci, i służyć mu, kiedy nadejdzie.

— Jesteśmy przykuci do morza, w naszych żyłach płynie słońca woda. Większość nas nie postawiła stopy na lądzie, chyba że podczas oczekiwania na kolejny statek, na kolejny rejs. Silni mężczyźni płaczą, gdy przychodzi im służyć na lądzie. Kobiety wchodzą z lądu na statek, by rodzić dzieci — do łodzi, jeśli na podporządku nie ma nic większego — my bowiem musimy rodzić się na wodzie, tak samo jak musimy na niej umierać i wracać do niej po śmierci.

— Proroctwo się spełnia. On jest Coramorem. Aes Sedai mu służą. Stanowicie tego dowód, bo jesteście tutaj, w tym mieście. O tym też mówi Proroctwo. „Jego imię skruszy Białą Wieżę, a Aes Sedai uklękną, by myć mu stopy i suszyć je swymi włosami”.

— Będziecie musiały długo czekać, jeśli się spodziewacie, że umyję stopy jakimkolwiek mężczyźnie — powiedziała z przekąsem Nynaeve. — Co to ma wspólnego z naszą podróżą i przewozem? Zabieracie nas czy nie?

Elayne cała się skurczyła, ale Mistrzynie Żeglugi odpowiedziała równie bezpośrednio.

— Dlaczego chcecie płynąć do Tanchico? Nieciekawy to teraz port. Dokowałam tam ubiegłej zimy. Ludzie z wybrzeża tłoczyli się na moim pokładzie w poszukiwaniu możliwości wyjazdu dokądkolwiek. Nie obchodziło ich, dokąd popłyną, byle daleko od Tanchico. Nie sądzę, by sytuacja się poprawiła.

— Zawsze tak wypytujesz pasażerów? — spytała Nynaeve. — Zaoferowałam ci dość, byś mogła kupić wieś. Dwie wsie! Wymień swoją cenę, jeśli chcesz więcej.

— Nie cenę — syknęła jej do ucha Elayne. — Podarunek!

Coine nie dała po sobie poznać, czy czuje się obrażona albo czy w ogóle to usłyszała.

— Dlaczego?

Nynaeve szarpnęła swój warkocz, ale Elayne położyła jej dłoń na ramieniu. Zdecydowały, że niektóre sekrety zachowają dla siebie, z pewnością jednak dość się już dowiedziały, odkąd usiadły w tej izbie, by móc zmienić wcześniejsze postanowienia. Jest czas na tajemnice i jest czas na prawdę.

— Ścigamy Czarne Ajah, Mistrzynie. Uważamy, że w Tanchico jest ich kilka. — Ze spokojem wytrzymała wściekły wzrok Nynaeve. — Musimy je odszukać, bo inaczej mogą skrzywdzić... Smoka Odrodzonego. Coramoorą.

— Oby Światłość pozwoliła nam dopłynąć bezpiecznie do portu — powiedziała zduszonym głosem Poszukiwaczka Wiatru. Elayne popatrzyła na nią ze zdziwieniem, odezwała się bowiem po raz pierwszy. Jorin, krzywiąc się i nie patrząc na nikogo, mówiła dalej do Mistrzynie Żeglugi. — Możemy je zabrać, moja siostró. Musimy.

Coine pokiwała głową.

Elayne wymieniła spojrzenia z Nynaeve i w oczach przyjaciółki zobaczyła odbicie własnych pytań. Dlaczego zdecydowała Poszukiwaczka Wiatru? Dlaczego nie Mistrzynie Żeglugi? To ona była kapitanem, niezależnie od tytułu. Przynajmniej miały zapewniony przewóz.

„Za ile? — zastanawiała się Elayne. — Za jak duży podarunek?”

Pożałowała, że Nynaeve zdradziła, iż mają więcej, niż opiewał ten jeden list kredytowy.

„A ona mnie oskarża o szafowanie złotem na lewo i prawo”.

Otworzyły się drzwi i do izby wszedł barczysty, siwowłosy mężczyzna, ubrany w luźne spodnie z zielonego jedwabiu i szeroką szarfę, miętosił w ręku zwój papierów. Każde ucho dekorowały cztery złote kółka, na szyi wisały trzy ciężkie, złote łańcuchy, w tym jeden z pachnącym pudrem. Długa, wypukła blizna na policzku i dwa zakrzywione noże zatknięte za szarfę przydawały mu swoistej grozy. Przymocował sobie za uszami dziwną konstrukcję z drutu, która podtrzymywała przed jego oczyma przezroczyste soczewki. Lud Morza wytwarzał, gdzieś na swoich wyspach, najlepsze szkła powiększające, soczewki do skupiania promieni słonecznych i temu podobne, ale takiego przyrządu Elayne nigdy

nie widziała. Popatrzył przez soczewki na papiery i zaczął mówić, nie podnosząc wzroku.

— Coine, ten dureń chce ze mną wymienić pięćset futer śnieżnego lisa z Kandoru za te trzysta małych beczulek z tytoniem z Dwu Rzek, które zdobyłem w Ebou Dar. Pięćset! Może je odebrać jeszcze przed południem. — Podniósł wzrok i drgnął nerwowo. — Wybacz mi, moja żono. Nie wiedziałem, że masz gości. Oby Światłość towarzyszyła wam wszystkim.

— Przed południem, mój mężu — odparła Coine — wypływam w dół rzeki. Przed zmrokiem będę na pełnym morzu.

Zesztywniał.

— Nadal jestem Mistrzem Cargo, żono, czy może moje miejsce zostało zajęte, kiedy nie widziałem?

— Jesteś Mistrzem Cargo, mężu, ale trzeba teraz wstrzymać wszelką wymianę towarów i rozpocząć przygotowania do podróży. Żeglujemy do Tanchico.

— Tanchico! — Zmiał papiery w garści i opanował się z najwyższym trudem. — Żono, nie! Powiedziałaś, że następnym portem jest Mayene, a potem Shara, na wschodzie. Dokonywałem już wymian, mając to na uwadze. Shara, Mistrzynie, nie Tarabon. To, co mam w swych ładowniach, nie zda się na wiele w Tanchico. Być może na nic! Czy mogę spytać, czemuż to muszę zaniechać realizacji swoich planów, rujnując tym „Tańczącego po Falach”?

Coine zawahała się, a kiedy przemówiła, jej głos nadal brzmiał ceremonialnie.

— Jestem Mistrzynie Żeglugi, mój mężu. „Tańczący po Falach” żegluguje tak, jak ja powiem. Na razie to musi wystarczyć.

— Skoro tak mówisz, Mistrzynie Żeglugi — wychrypiał — tak musi być. — Przyłożył dłoń do serca — Elayne miała wrażenie, że Coine się wzdrygnęła — i wyszedł na palcach, sztywny jak maszt.

— Muszę mu to wynagrodzić — mruknęła cicho Coine, wpatrując się w drzwi. — Naturalnie nagradzanie go jest przyjemne. Zazwyczaj. Oddał mi honory jak chłopiec pokładowy, siostró.

— Przykro nam, że stałyśmy się przyczyną waszych kłopotów, Mistrzynie — powiedziała ostrożnie Elayne. — I przykro nam, że byliśmy tego świadkami. Jeśli spowodowałyśmy czyjeś zażenowanie, to proszę, przyjmij nasze przeprosiny.

— Zażenowanie? — Głos Coine wskazywał, że jest zdziwiona. — Aes Sedai, jestem Mistrzynie Żeglugi. Wątpię, czy wasza obecność zawstydziła Torama, a ja nie przeproszałabym go, gdyby tak było. On kieruje wymianą, ale to ja jestem Mistrzynie Żeglugi. Muszę mu to wynagrodzić — a to nie będzie łatwe, jako że winnam nadal trzymać przyczynę w tajemnicy — ponieważ on ma rację, a ja nie potrafiłam myśleć dostatecznie szybko, by podać mu jakiś przekonujący powód. Tę bliznę na twarzy zdobył podczas oczyszczania pokładu „Tańczącego po Falach” z Seanchan. Ma jeszcze starsze blizny, zdobyte podczas obrony mego statku, a mnie wystarczy tylko wyciągać rękę po złoto zarobione przez niego dzie-

ki wymianie. Muszę mu wynagrodzić te rzeczy, których nie mogę mu powiedzieć, zasłużył sobie bowiem na tę wiedzę.

— Nie rozumiem — rzekła Nynaeve. — Rzeczą jasną, poprosimy was o zachowanie sprawy Czarnych Ajah w tajemnicy... — obrzuciła Elayne twardym spojrzeniem, takim, które obiecywało ostre słowa, gdy już zostaną same; Elayne na tę okazję przygotowała już kilka własnych uwag, na temat znaczenia taktu — ... ale z pewnością trzy tysiące koron to wystarczający powód, by zabrać nas do Tanchico.

— Muszę zachować wasz status w tajemnicy, Aes Sedai. Nikt nie powinien się dowiedzieć, kim jesteście i w jakim celu podróżujecie. Wielu członków mojej załogi uważa, że Aes Sedai przynoszą pecha. Gdyby wiedzieli, że nie tylko wiozą Aes Sedai, ale również płyną w stronę portu, gdzie inne Aes Sedai mogą służyć Ojcu Sztormów... Oby łaska Światłości sprawiła, by nikt akurat nie znajdował się w pobliżu, gdy na pokładzie zwróciłam się do was pełnym tytułem. Czy poczujecie się urażone, jeśli poproszę, byście przebywały pod pokładem tak często, jak się tylko da, a na pokładzie zaś nie nosiły waszych pierścieni?

Zamiast odpowiedzi Nynaeve zdjęła z palca pierścień z Wielkim Wężem i wrzuciła go do swej sakwy. Elayne zrobiła to samo, z nieco większymi oporami — sprawiało jej przyjemność, gdy ludzie patrzyli na ten pierścień. Nie całkiem wierząc, że w tym momencie Nynaeve została jeszcze w zapasie choć odrobina dyplomacji, odezwała się, nim zdążyła to zrobić przyjaciółka.

— Mistrzynie, zaoferowałyśmy ci podarunek za przewóz, jeśli jest ci on miły. Jeśli nie jest, to czy wolno mi spytać, cóż innego można ci zaoferować?

Coine wróciła do stołu, by ponownie popatrzeć na list kredytowy, po czym popchnęła go w stronę Nynaeve.

— Robię to dla Coramoor. Dopilnuję, byście wysiadły tam, gdzie chcecie, jeśli to miłe Światłości. Tak się stanie. — Dotknęła ust palcami prawej dłoni. — Umowa stoi, pod Światłością.

Jorin wydała jakiś stłumiony odgłos.

— Siostrze moja, czy jakkolwiek Mistrz Cargo zbuntował się kiedyś przeciwko swej Mistrzynie Żeglugi?

Coine zmierzyła ją obojętnym spojrzeniem.

— Wyłożę podarunek za przewóz z mojej własnej skrzyni. A jeśli Toram kiedykolwiek o tym usłyszy, moja siostrze, to wpakuję cię do zęży razem z Dorele. Na przykład jako balast.

Poszukiwaczka Wiatru roześmiała się w głos potwierdzając, że obie kobiety z Ludu Morza rezygnują z ceremonialnego tonu.

— A zatem następnym portem będzie Chachin, moja siostrze, albo Caemlyn, beze mnie bowiem nigdy nie umiałabyś znaleźć wody.

Mistrzynie Żeglugi zwróciła się z wyraźnym żalem do Elayne i Nynaeve.

— Aes Sedai, jako że służycie Coramoorowi, zgodnie z nakazami przyzwoitości, winnam was uczcić jak Mistrzynię Żeglugi i Poszukiwaczkę Wiatru z innego statku. Powinniśmy odbyć wspólną kąpiel, a potem napić się wina z miodem, opowiadając sobie historie, które wywołują śmiech i płacz. Ja jednak muszę się przygotować do żeglugi i...

Nagle, jakby chcąc od razu sprostać swej nazwie, „Tańczący po Falach” uniósł się, podrygując i uderzając o nabrzeże. Elayne, uwięziona w krześle o dziwnej konstrukcji, w miarę jak wstrząsy nie ustawały, powoli zaczęła wątpić, czy to rzeczywiście lepsze, niż zwykły upadek na pokład.

A potem, nareszcie, wszystko się skończyło, huśtanie powoli stawało się coraz łagodniejsze, Coine podniosła się i pomknęła do drabiny; tuż za nią Jorin, wykrzykując już rozkazy, by sprawdzono uszkodzenia kadłuba.

## WZNIECANIE WIATRU

Elayne z wysiłkiem otworzyła zasuwę przy poręczy swego fotela i rzuciła się za nimi, niemal zderzając się z Nynaeve przy drabinie. Statek nadal się kołysał, ale już nie tak gwałtownie. Nie wiedząc, czy przypadkiem nie toną, popchnęła wyprzedzającą ją Nynaeve, ponaglając do szybszej wspinaczki.

Po pokładzie biegali członkowie załogi, badając olinowanie albo wychylając się za burtę, by sprawdzić kadłub, krzyczeli coś o trzęsieniu ziemi. Takie same okrzyki wznosili również ludzie na przystani, ale Elayne wiedziała lepiej, mimo że po molo wciąż toczyły się jakieś przedmioty, statki zaś nadal się kolebały.

Popatrzyła w stronę Kamienia. Ogromna forteca była nieruchoma z wyjątkiem wirujących dookoła chmar przestraszonych ptaków oraz jasnego sztandaru, leniwie powiewającego w pojedynczych podmuchach wiatru. Najmniejszego śladu, że cokolwiek naruszyło górujący masyw. To jednak był Rand. Nie miała wątpliwości.

Odwróciła się i zobaczyła przed sobą Nynaeve. Ich oczy spotkały się na długą chwilę.

— To byłby niezły pasztet, gdyby uszkodził statek — powiedziała w końcu Elayne. — Jakim sposobem mamy się dostać do Tanchico, jeśli będzie stale podrzucał statkami?

„Światłości, jemu nie może się nic stać. Nic nie będę w stanie zrobić, jeśli coś mu się stało. Nic mu nie jest. Na pewno”.

Nynaeve dotknęła uspokajająco jej ramienia.

— Bez wątpienia ten twój drugi list dotknął jakiegoś czułego miejsca. Mężczyźni zawsze przesadzają, gdy pozwolą sobie na upust emocji, to cena za umożliwienie im bycia sobą. Może on jest Smokiem Odrodzonym, ale musi się nauczyć, jak mężczyzna winien zachowywać się względem kobiety. . . A co oni tam robią?'

To „oni” odnosiło się do dwóch mężczyzn, którzy stali w tłumie krzątających się po pokładzie marynarzy. Jednym był Thom Merrillin, ubrany w swój płaszcz barda, z harfą i fletem na plecach oraz tobołkiem, który leżał u jego stóp obok sfatygowanej drewnianej skrzynki zamykanej na zamek. Drugim był szczupły, przystojny Tairenianin w średnim wieku, ciemnowłosy, ubrany w słomkowy kapelusz w kształcie spłaszczonego stożka i popolity kaftan, który mocno opinał

tors, a dalej rozszerzał się niczym krótka spódnica. Przy pasie podtrzymującym kaftan wisiał ząbkowany łamacz mieczy, ponadto mężczyzna wspierał się na kiju z jasnego, karbowanego drewna, dokładnie jego wzrostu i nie grubszym od jego kciuka. Z ramienia zwisała obwiązana sznurkiem kwadratowa paczka. Elayne знаła go: nazywał się Juilin Sandar.

Było oczywiste, że ci dwaj się nie znają, bo mimo iż stali niemal ramię przy ramieniu, to całą postawą demonstrowali sztywną powściągliwość. Uwagę za to kierowali w tę samą stronę, dzieląc ją jednak między Mistrzynie Żeglugi, która zdążyła w stronę rufy, oraz Elayne i Nynaeve; najwyraźniej zdenerwowani, maskowali to pełnym animuszem popisem pewności siebie. Thom szczyrzył zęby w uśmiechu, gładził długie, siwe wąsy i za każdym razem, gdy spojrzął na nie obie, kiwał głową; Sandar zaś bił uroczyste, ostentacyjne ukłony.

— Nie jest uszkodzony — oznajmiła Coine, wspinając się na drabinę. — Mogę wypłynąć za godzinę, jeśli jest to wam miłe. Cóż, nawet wcześniej, gdy uda się szybko znaleźć jakiegoś taireńskiego pilota. W innym wypadku płynę bez niego, choć to oznacza, że już nigdy nie będzie mi dane wrócić do Łzy. — Przeniosła ich śladem wzrok na dwóch mężczyzn. — Proszę o przewóz, bard do Tanchico, a ten łowca złodziei wszędzie tam, dokąd wy podróżujecie. Nie mogę im odmówić, ale... — Ciemne oczy wróciły do Elayne i Nynaeve. — Zrobię to, jeśli mnie poprosicie.

Niechęć do łamania obyczajów walczyła w jej głosie z... Pragnieniem udzielenia im pomocy? Służenia Coramoorowi?

— Ten łowca złodziei to dobry człowiek, mimo że przykuty do ładu. Bez urazy, na Światłość. Tego barda nie znam, ale przecież bard może ożywić podróż i rozjaśnić godziny ciężkiej pracy.

— Znasz pana Sandara? — spytała Nynaeve.

— Dwukrotnie odnalazł tych, którzy nas ograbili, i to szybko. Innemu człowiekowi z ładu zabraloby to więcej czasu, tak więc ten może prosić nas o przysługę. Widzę, że wy też go znacie. Czy życzyście sobie, bym mu odmówiła?

Nadal się czuło jej niechęć.

— Najpierw sprawdźmy, dlaczego tutaj są — oświadczyła Nynaeve kategorycznym tonem, który nie wróżył dobrze żadnemu z tamtych dwóch.

— Być może to ja powinnam porozmawiać — zaproponowała Elayne, łagodnie, lecz stanowczo. — Dzięki temu ty będziesz mogła ich obserwować i w ten sposób dowiemy się, czy czegoś nie ukrywają.

Nie dodała, że dzięki temu Nynaeve nie będzie miała okazji puścić wodzy swoim humorom, ale krzywy uśmiech przyjaciółki mówił, że i tak domyśliła się nie wypowiedzianych słów.

— Proszę bardzo, Elayne. Będę ich obserwowała. Być może ty z kolei mogłabyś dopilnować, bym zachowała spokój. Wiesz, jak to jest, gdy człowiek za bardzo się podnieca.

Elayne musiała się roześmiać.

Obaj wyprostowali się, gdy do nich podeszły. Dookoła krzatali się członkowie załogi, którzy zgodnie z rozkazami Mistrzynie wspinali się po olinowaniu, ciągnęli jakieś liny, odwiązywali jedne rzeczy i przywiązywali inne. Biegali wokół czworoga ludzi z ładu, ledwie na nich zerkając.

Elayne z namysłem przyjrzała się Thomowi Mernlinowi. Była pewna, że nigdy wcześniej nie widziała barda, zanim nie pojawił się w Kamieniu, a jednak uderzyło ją w nim coś znajomego. Nawet jeśli to nie było prawdopodobne. Bardowie występowali przeważnie po wsiach, a jej matka z pewnością żadnego nie zaprosiła do pałacu w Caemlyn. Jedyny bard, jakiego Elayne sobie przypominała, występował we wsiach w okolicy majątków matki, ale z pewnością nie był podobny do tego siwowłosego mężczyzny o wyglądzie jastrzębia.

Postanowiła, że najpierw porozmawia z łowcą złodziei, który upierał się, by tak go tytułować. Przypomniała sobie, że tych, których gdzie indziej określano jako łapaczy złodziei, w Łzie nazywano łowcami złodziei.

— Panie Sandar — zaczęła z powagą. — Być może pan nas nie pamięta. Jestem Elayne Trakand, a to moja przyjaciółka, Nynaeve al'Meara. Jak rozumiem, chce pan podróżować do tego samego miejsca przeznaczenia co my. Czy mogę spytać dlaczego? Ostatnim razem, gdyśmy się spotkali, nie przysłużył się pan nam najlepiej.

Mężczyzna nawet nie mrugnął słysząc, że mógłby ich nie pamiętać. Omiótł spojrzeniem ich dłonie, odnotowując brak pierścieni. Jego ciemne oczy wychwytywały wszystko i rejestrowały w pamięci.

— Oczywiście, że pamiętam, pani Trakand, i to dobrze. Jeśli mi jednak wybaczysz, to ostatnim razem wspólnie z Matem Cauthomem wyciągnęliśmy was obie z wody, zanim zdążyły was dopaść srebrawy.

Nynaeve chrząknęła, ale niezbyt głośno. To była cela, nie woda, i Czarne Ajah, nie zaś srebrawy. Nynaeve w szczególności nie lubiła, jak jej przypomniano, że wtedy naprawdę potrzebowały pomocy. Rzecz jasna, gdyby nie Juilin Sandar, nie znalazłyby się w tamtej celi. Nie, to nie było całkiem uczciwe. Prawdziwe, lecz nie do końca uczciwe.

— Wszystko bardzo dobrze — odparła z werwą Elayne — ale nadal nam nie mówisz, dlaczego chcesz jechać do Tanchico.

Zrobił głęboki wdech i zmierzył Nynaeve czujnym wzrokiem. Elayne nie była pewna, czy jej się podoba, że Sandar jest bardziej ostrożny wobec przyjaciółki niż wobec niej.

— Zostałem wygnany z własnego domu nie dalej jak pół godziny temu — powiedział z rozważą — przez człowieka, którego znacie, jak mi się zdaje. Wysoki mężczyzna z kamienną twarzą, zwie się Lan. — Brwi Nynaeve uniosły się lekko. — Przyszedł w imieniu innego waszego znajomego. Pewnego... pasterza, tak mi powiedziano. Otrzymałem pokaźną ilość złota i przykazano mi, że mam



wam towarzyszyć. Wam obydwóm. Powiedziano mi, że jeśli nie powrócicie całe i zdrowe z tej wyprawy... Może powiem, że wówczas lepszym wyjściem dla mnie byłoby się utopić niż wracać? Lan wyrażał się dobitnie, a ów... pasterz w swoim liście używał słów nie mniej jednoznacznych. Mistrzynie Żeglugi mówi, że nie przewiezie mnie, jeśli wy się nie zgodzicie. Nie brak mi pewnych umiejętności, które mogą się okazać użyteczne.

Kij zawirował w jego dłoniach ze świstem i znieruchomiał. Palce dotknęły łamacza mieczy przy biodrze, z wyglądu podobnego do krótkiego miecza o ząbkowanej krawędzi umożliwiającej chwytanie ostrzy.

— Mężczyźni zawsze znajdą sposób, by obejść wydane im polecenia — mruknięła Nynaeve głosem, który nie zabrzmiał miło.

Elayne tylko skrzywiła się nieznacznie. Rand go przysłał? Pewnie nie przeczytał przedtem tego drugiego listu.

„Ażebym szczeł! Po co on tak przesadza? Nie ma już czasu na wysłanie kolejnego listu, a zresztą byłby zapewne jeszcze bardziej skołowany, gdybym to zrobiła. Wysłałabym na jeszcze większą idiotkę. Ażebym szczeł!”

— A ty, panie Merrillin? — spytała Nynaeve. — Czyżby pasterz wysłał w ślad za nami również barda? Albo może po prostu drugiego mężczyznę? Żebyś nas zabawiał żonglowaniem i połykaniem ognia?

Dotychczas Thom uważnie lustrował wzrokiem Sandara, ale teraz natychmiast spojrzął na nią i wykonał elegancki ukłon, psując go jednak zbyt skomplikowanym wywijaniem pokrytego łatkami płaszcza.

— Nie pasterz, pani al'Meara. Dama, którą wspólnie znamy, poprosiła — poprosiła! — bym wam towarzyszył. Dama, którą ty i ów pasterza spotkaliście równocześnie w Polu Emonda.

— Po co? — podejrzliwie spytała Nynaeve.

— Ja również dysponuję użytecznymi umiejętnościami — odparł Thom, zerkać przy tym na łowcę złodziei. — Innymi niż żonglerka. A poza tym byłem kilka razy w Tanchico. Znam dobrze to miasto. Mogę wam powiedzieć, gdzie znaleźć dobrą gospodę i które dzielnice są równie niebezpieczne za dnia jak po zmierzchu, a także kogo należy przekupić, by Straż Obywatelska nie interesowała się nazbyt dokładnie waszymi poczynaniami. Oni szczególnie obserwują obcych. Mogę okazać się wam pomocny na wiele jeszcze rozmaitych sposobów.

Pod wpływem tego poufatego tonu Elayne poczuła, że znowu coś ją łaskocze w zakamarku pamięci. Zanim sobie uświadomiła, co robi, podniosła rękę i szarpnęła jeden z jego długich, siwych wąsów. Drgnął nerwowo, a ona przycisnęła dłoń do ust, cała oblewając się purpurą.

— Wybacz mi. Wydało... Wydało mi się, że już to kiedyś robiłam. Chciałam... Przepraszam.

„Światłości, czemu ja to zrobiłam? On pewnie pomyśli, że jestem skończoną kretynką”.

— Pamiętałbym — odparł bardzo oficjalnie.

Miała nadzieję, że się nie obraził. Trudno to było stwierdzić na podstawie wyrazu jego twarzy. Mężczyźni obrażają się, kiedy powinni być rozweseleni, i wesela się, gdy się ich obraziło. Jeśli mają zamiar wspólnie podróżować. . . Dopiero teraz pojęła, że pozwoli im jechać.

— Nynaeve? — zapytała.

Tamta naturalnie w lot zrozumiała nie wypowiedziane pytanie. Przyjrzała się dokładnie obu mężczyznom, po czym skinęła głową.

— Mogą jechać. O ile zgodzą się postępować tak, jak im się każe. Nie pozwolę, by jakiś mężczyzna z wełną zamiast mózgu postępował wedle własnego widzimisię i narażał nas na niebezpieczeństwo.

— Jak każesz, pani al'Meara — odparł natychmiast Sandar kłaniając się, natomiast Thom powiedział:

— Bardowie to wolne duchy, ale obiecuję, że nie narażę was na żadne niebezpieczeństwo. Daleki jestem od tego.

— Tak jak kazałam — rzekła dobitnie Nynaeve. — Twoje słowo, bo w przeciwnym razie popatrzysz sobie z przystani na odpływający statek.

— Atha'an Miere nie odmawiają nikomu przewozu, Nynaeve.

— Tak sądzisz? Czyżby tylko łowcy złodziei — Sandar skrzywił się — powiedziano, że potrzebuje naszej zgody? Zrób, jak ci się każe, szanowny panie Merrillin.

Thom podrzucił swą siwą głowę niczym krnąbrny koń i ciężko westchnął, ale wreszcie przytaknął.

— Moje słowo, pani al'Meara.

— Bardzo dobrze zatem — powiedziała pojednawczym tonem Nynaeve. — Załatwione. Obaj teraz poszukajcie Mistrzynie Żeglugi i przekazcie jej, że uprzejmie ją proszę, by znalazła dla was obu jakąś norę, gdzieś na uboczu w miarę możliwości. A teraz zejdźcie z oczu. Migiem.

Sandar uklonił się ponownie i oddalił się. Thom był wyraźnie wstrząśnięty, jednak dołączył do niego, sztywno wyprostowany.

— Nie jesteś dla nich zbyt surowa? — spyta Elayne, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem jej głosu. Nie zabrało im to nazbyt dużo czasu, biorąc pod uwagę harmider panujący na pokładzie. — W końcu rzeczywiście musimy wspólnie podróżować. „Łagodnymi słowy pozyskujesz łagodnych towarzyszy”.

— Najlepiej od razu zacząć postępować z nim tak, jak mamy zamiar w przyszłości. Elayne, Thom Merrillin wie doskonale, że nie jesteśmy pełnymi Aes Sedai. — Mówiąc to, zniżyła głos i rozejrzała się dookoła. Nikt z załogi w ogóle na nie nie patrzył, z wyjątkiem Mistrzynie Żeglugi, która stała w głębi rufy i wysłuchiwała wysokiego barda oraz łowcę złodziei. — Mężczyźni dużo gadają, taki ich obyczaj, więc Sandar dowie się dostatecznie prędko. Aes Sedai kłopotu by nie stwarzali, ale dwóm Przyjętym. . . ? Daj im choć cień szansy, a obaj będą robić

rzeczy, które właśnie ich zdaniem są najlepsze, nie bacząc, czego my będziemy chcieli. Ja nie mam zamiaru dawać im najmniejszej choćby szansy.

— Może masz rację. Myślisz, że wiedzą, dlaczego płyniemy do Tanchico?

Nynaeve pociągnęła nosem.

— Nie, bo w przeciwnym razie nie byłiby tak optymistycznie nastawieni, jak mi się zdaje. I wołałabym im tego nie mówić, dopóki nie będziemy zmuszone.

— Obdarzyła Elayne znaczącym spojrzeniem, nie musiała nadmieniać, że gdyby to od niej zależało, Mistrzynie Żeglugi nie dowiedziałyby się również. — A oto przysłowie dla ciebie: „Pożyczaj kłopoty, a będziesz musiała dziesięciokrotnie spłacać dług”.

— Mówisz, jakbyś im nie ufała, Nynaeve. — Wołałaby wprost stwierdzić, że przyjaciółka zachowuje się dokładnie tak, jak Moiraine, ale Nynaeve takie porównanie na pewno by się nie spodobało.

— A możemy? Juilin Sandar już raz nas kiedyś zdradził. Tak, tak, nie znam człowieka, który zdołałby tego uniknąć w jego sytuacji, niemniej wychodzi dokładnie na to samo. A poza tym Liandrin i jej współpracownicy znają jego twarz. Będziemy musiały przebrać go w jakieś inne rzeczy. Może każe mu zapuścić włosy. Albo wąsy, podobne do tych chwastów pod nosem barda. Może to wystarczy.

— A Thom Merrilin? — spytała Elayne. — Moim zdaniem jemu możemy zaufać. Nie wiem dlaczego, ale ja wierzę mu jakoś instynktownie.

— Przyznał, że przysłała go Moiraine — powiedziała Nynaeve znużonym głosem. — Ale dlaczego właściwie się przyznał? Co takiego mu powiedziała, czego nam nie powtórzył? Czy ma nam pomóc, czy też wyznaczyła mu inne zadania? Moiraine tak często się bawi we własne gry, że ufam jej o tyle więcej niż Liandrin.

Rozstawiła kciuk i palec wskazujący na odległość połowy cala.

— Ona nas wykorzysta..., ciebie i mnie... posłuży się nami, jeśli to miałyby okazać się korzystne dla Randa. Albo raczej jeśli miałyby pomóc jej w realizacji tego, co dla Randa zaplanowała. Uwiązałaby go na smyczy jako pieska salonowego, gdyby mogła.

— Moiraine wie, co należy robić, Nynaeve.

Tym razem przyznała to z niechęcią. To, co Moiraine uznawała za konieczne, mogło pchnąć Randa na drogę wiodącą wprost do Tarmon Gai'don. Na drogę ku jego śmierci zapewne. W rękach Randa spoczywał los świata, przeznaczenie świata i przeznaczenie Randa splątane były ze sobą, będąc dla niej na równi cenne. Była niemądra — głupia i dziecinna — ale umiałaby wybrać między jednym a drugim.

— Ona wie znacznie więcej od niego — powiedziała, nadając swemu głosowi apodyktyczne brzmienie. — Więcej od nas.

— Być może — odparła Nynaeve — ale mnie się to wcale nie musi podobać.

Odwiązano liny na dziobie, wykwitły znienacka trójkątne żagle i „Tańczący po Falach” odbił od mola. Pojawiły się kolejne żagle, wielkie białe kwadraty

i trójkąty, rzucono cumy i raker wielkim, gładkim łukiem wypłynął na środek rzeki, omijając zakotwiczone statki, które czekały na swą kolej w dokach, i skierował się na południe, w dół rzeki. Żeglarze z Ludu Morza radzili sobie ze swym statkiem niczym wprawny jeździec ze znakomitym wierzchowcem. To dziwne koło ze szprychami w jakiś sposób zastępowało rumpel, kręcił nim jeden z obnażonych do pasa członków załogi. Mężczyzna, z ulgą zauważyła Elayne. Mistrzynie Żeglugi i Poszukiwaczka Wiatru stanęły obok niego, Coine co jakiś czas wydawała rozkazy, bywało, po cichej konsultacji z siostrą. Toram przez jakąś chwilę trwał obok w pogotowiu, z twarzą, która mogła być wyrzeźbiona z pokładowej deski, a potem ukradkiem zszedł pod pokład.

Na rufie stał jakiś Tairenianin, zażywny mężczyzna ze strapioną miną, w brudnożółtym kaftanie z bufiastymi, szarymi rękawami — nerwowo zacierał ręce. Zagnano go na pokład zaraz po podniesieniu kładki; okazał się pilotem, który miał za zadanie poprowadzić „Tańczącego po Falach” w dół rzeki, zgodnie bowiem z wymogami lokalnego prawa żaden statek nie mógł minąć Palców Smoka bez tairińskiego pilota na pokładzie. Jego strapienie z pewnością powodowała świadomość, że jest najzupełniej zbędny, nawet bowiem jeśli wskazywał jakieś kierunki, to żeglarze Ludu Morza i tak na to nie zwracali uwagi.

Mrucząc coś, że sprawdzi, jak wygląda ich kajuta, Nynaeve zeszła na dół — pod pokład — Elayne natomiast rozkoszowała się wiejącą przez pokład bryzą i tym uczuciem, które zawsze towarzyszy wyruszaniu w drogę. Podróże, ulotna atmosfera oczekiwania na niezwykłości egzotycznych miejsc, których dotąd nie widziała, to samo w sobie stanowiło przyjemność. Nigdy nie przypuszczała, że coś takiego może jej się przydarzyć w życiu. Jako Dziedziczka Tronu Andor zapewne odbyłaby kilka oficjalnych wizyt na dworach innych krajów, kilka następnych po wstąpieniu na tron, wszystkie jednak byłyby skrzępowane sztywnym ceremoniałem, stosownym dla osoby z jej pozycją. Zupełnie nie tak, jak teraz. Statek Ludu Morza i jego bosa załoga zmierzali ku morzu.

Słońce wspinało się coraz wyżej na nieboskłon, brzeg rzeki szybko sunął obok, statek mijał rzadkie skupiska kamiennych, farmerskich domostw i stodół. Wymarłe i samotne, pojawiały się i zostawały w tyle. Nie było natomiast żadnych wiosek. Łza nie godziła się, by nad rzeką, pomiędzy miastem a morzem, powstawały wioski, albowiem nawet najmniejsza mogła któregoś dnia stać się konkurencją dla stolicy. Wysocy Lordowie kontrolowali rozmiary wsi i miast w całym kraju za pomocą kroczącego podatku od nieruchomości, którego poziom zależał od liczby budynków w danej miejscowości. Elayne była przekonana, że arystokraci nigdy by nie pozwolili prosperować miastu Godan nad zatoką Remara, gdyby nie rzekoma konieczność silnego zaznaczenia obecności Łzy w pobliżu Mayene. W pewnym sensie z ulgą rozstała się z tym głupim narodem. Gdyby jeszcze nie musiała się rozstać z pewnym niemądrym mężczyzną. . .

Liczba łódek rybackich, przeważnie małych i zawsze otoczonych chmurami

podnieconych mew i rybitw, rosła, im dalej na południe zapuszczał się „Tańczący po Falach”, szczególnie wtedy, gdy wniknął w labirynt kanałów, zwanych Palcami Smoka. Nierzadko — oprócz połaci trzciny i trawy nożowej, falujących na bryzie i przetykanych płaskimi wysepkami, na których rosły dziwaczne, powyginane drzewa z pajęczą płataniną korzeni wystawioną na wiatr — widzieli jedynie ptaki oraz długie żerdzie służące do rozpinania sieci. Wielu rybaków łowiło ryby w gęstwinie trzciny, ale tam nie używali sieci. W jednym miejscu Elayne zauważyła kilka łódek przy samym skraju czystej wody, stojący na nich mężczyźni i kobiety zanurzali w wodnej roślinności liny zakończone hakami i wyciągali trzepoczące, prązkowane ryby długości ludzkiego ramienia.

Gdy tylko znaleźli się w delcie, ze słońcem nad głowami, tairzeński pilot zaczął nerwowo krążyć po pokładzie, kręcąc nosem na widok proponowanej mu miski z gęstym, mocno przyprawionym gulaszem z ryb oraz kawałka chleba. Elayne zjadła łąpczywie swoją porcję, wycierając fajansową miskę ostatnim kęsem chleba, dzieliła jednak jego niepokój. Kanały, szerokie i wąskie, rozbiegały się we wszystkich kierunkach. Niektóre urywały się nagle, na ich oczach, tuż przed ścianą z trzciny. Trudno było przewidzieć, które znikną równie niespodzianie za następnym zakrętem. Coine nie zmniejszyła szybkości „Tańczącego po Falach”, nie wahała się też z wyborem drogi. Najwyraźniej wiedziała, którymi kanałami płynąć, a może wiedziała to Poszukiwaczka Wiatru, niemniej pilot stale coś mrucał pod nosem, jakby się spodziewał, że lada moment uderzą w brzeg.

Było już późne popołudnie, gdy nagle pojawiło się przed nimi ujście rzeki, za nim zaś bezkresna przestrzeń Morza Sztormów. Marynarze zrobili coś z żaglami, statek zakolebał się łagodnie i zatrzymał. Dopiero wtedy Elayne zauważyła dużą łódź wiosłową — niczym wodny żuk pełzła po powierzchni wody od strony wyspy, na której stało kilka samotnych, kamiennych budynków skupionych dookoła wysokiej, smukłej wieży. Na jej szczycie, pod sztandarem Łzy z trzema białymi półksiężycami na czerwono-złotym tle, widać było maleńkie figurki ludzi. Pilot przyjął sakiewkę, którą Coine podała mu bez słowa, i zszedł po drabinie do łodzi. Ledwie znalazł się na jej pokładzie, żagle ponownie załopotwały i „Tańczący po Falach”, lekko wznosząc dziób, rozpruł pierwsze bałwany otwartego morza. Członkowie załogi rozpierzchli się po olinowaniu, by ustawić dodatkowe żagle, statek zaś pomknął na południowy zachód, oddalając się od lądu.

Kiedy ostatni, wąski skrawek ziemi zniknął za horyzontem, kobiety z Ludu Morza pozdejmowały bluzy. Wszystkie, nawet Mistrzynie Żeglugi i Poszukiwaczka Wiatru. Elayne nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Chodziły półnago, zupełnie się nie przejmując obecnością mężczyzn wokół. Juilin Sandar zdawał się przeżywać równie ciężkie chwile, to popatrywał na kobiety szeroko rozwartymi oczyma, to wbijał wzrok w pokład, aż wreszcie zwyczajnie schował się po prostu do kajuty. Elayne nie zrejęterowała, nie miała ochoty łatwo się poddać. Uparła się za to przy czymś, co uznała za dopuszczalny kompromis — patrzyła ponad burtą na morze.

„Oni mają inne obyczaje — przypomniawszy sobie. — Byle tylko nie oczekiwali, że zrobię to samo”.

Ten pomysł sprawił, że omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Nie wiedzieć czemu, łatwiej się myślało o Czarnych Ajah. Inne obyczaje.

„Światłości!”

Niebo robiło się purpurowe, na horyzoncie mętniało złote słońce. Statek eskortowały stada delfinów, które koziołkowały i wyginały swe cielska w łuki tuż obok burty, a w pewnym oddaleniu, ponad powierzchnię wody wzbijały się ławice roziskrzonych, srebrno-niebieskich ryb i szybowały na rozpostartych na szerokość piędzi płetwach, dopiero po jakichś pięćdziesięciu krokach nurkując ponownie we wzburzonej, szarozielonej toni. Elayne prześledziła w osłupieniu kilkanaście takich lotów, dopóki ryby nie przestały się pojawiać.

W dostateczny zresztą zachwyty wprawiały wielkie, smukłe kształty delfinów, gwardia honorowa, która odprowadzała „Tańczącego po Falach” do miejsca, do którego należał. Rozpoznała je na podstawie opisów zawartych w książkach; książki powiadały też, że zdarzało się czasami, iż delfiny ratowały tonących, dowożąc ich na swych grzbietach do brzegu. Nie wierzyła w to z całym przekonaniem, ale urzekło ją piękno tej opowieści. Szła za nimi wzdłuż burty statku, do samego dziobu, gdzie figlowały na fali dziobowej, przewalając się na boki, by na nią popatrzeć, ani o cal nie zostając w tyle.

Dotarła prawie do samego czubka dziobu, nim się zorientowała, że już wcześniej miejsce to zajął Thom Merrilin; uśmiechał się z pewnym smutkiem do delfinów, a wiatr wzdymał poły jego kaftana jak chmurę żagli nad ich głowami. Zdążył się już uwolnić od swego dobytku. Naprawdę wyglądał znajomo, nie miała już najmniejszych wątpliwości.

— Czy coś pana martwi, panie Merrilin?

Spojrzał na nią z ukosa.

— Proszę, nazywaj mnie Thom, moja pani.

— Ależ oczywiście, Thom. Tylko nie moja pani. Tutaj jestem zwykłą panią Trakand.

— Jak pani sobie życzy, pani Trakand — odparł, uśmiechając się nieznacznie.

— Jak możesz patrzeć na te delfiny i jednocześnie czymś się trapić, Thom?

— One są wolne — mruknął takim tonem, że wcale nie była pewna, czy jest to odpowiedź na jej pytanie — nie muszą podejmować decyzji, nie muszą za nic płacić. Żadnych w świecie zmartwień, oprócz polowania na ryby, by mieć co jeść. I, jak sądzę, rekiny. A także morlwy. Oraz zapewne sto innych rzeczy, o których nie mam pojęcia. Zapewne nie ma co zazdrościć takiego życia.

— A zazdrościsz im?

Nie odpowiedział, ale pytanie przecież było i tak niedorzeczne. Chciała w jakiś sposób sprawić, żeby się znowu uśmiechnął. Nie, żeby się roześmiał. Z jakiegoś powodu była przekonana, że jeśli przymusi go do śmiechu, to sobie przy-

— pomni, gdzie go wcześniej widziała. Wybrała inny temat, taki, który mógł być bliższy jego sercu.

— Masz zamiar skomponować poemat o Rundzie, Thom? — Poematy tworzyli dworscy bardowie, nie zaś ci zwykli, ale drobne pochlebstwo nie mogło zaszkodzić. — Poemat o Smoku Odrodzonym. Wiesz, że Loial zamierza napisać książkę?

— Może i skomponuję, pani Trakand. Może. Jednak ani moje kompozycje, ani książka ogira nie zmienią niczego na dłuższą metę. Nasze historie nie wytrzymają ostatecznie próby czasu. Wraz z nastaniem nowego Wieku. . . — Skrzywił się i szarpnął wąsa. — On przecież może nadejść za rok albo dwa, jak się nad tym zastanowić. A czym się zaznaczy koniec tego Wieku? Przecież nie zawsze musi to oznaczać kataklizm na miarę Pęknięcia. Ale z kolei, jeśli wierzyć Proroctwom, na coś takiego się właśnie zapowiada. I w tym cały kłopot z proroctwami. Oryginał jest zawsze sformułowany w Dawnej Mowie, niekiedy również w Stylu Wzniosłym: jeżeli się z góry nie wie, jakie jest znaczenie danej frazy, to nie wiadomo też, jak ją ostatecznie zinterpretować. Przede wszystkim trudno stwierdzić, czy za podstawę interpretacji przyjąć znaczenie literalne czy sens przenośny kwiecistej warstwy znaczeniowej, która może wyrażać coś całkiem odmiennego?

— Mówiłeś o swych poematach — powiedziała, starając się wrócić do poprzedniej kwestii, ale Thom potrząsnął swą rozczochraną, siwą głową.

— Mówiłem o zmianach. Mój poemat, o ile go skomponuję, a także książka Loiala nie będą niczym więcej jak tylko ziarnem, i to jeśli dopisze nam szczęście. Ci, którzy znają prawdę, pomrą, a wnuki ich wnuków inaczej wszystko zapamiętają. Z kolei wnuki ich wnuków znowu coś przeinaczą. Dwa tuziny pokoleń i być może to ty, nie zaś Rand, staniesz się główną bohaterką wydarzeń.

— Ja? — spytała ze śmiechem.

— A może Mat albo Lan. Albo nawet ja. — Uśmiechnął się do niej szeroko, nadając swej zniszczonej twarzy niespodziewanie ciepły wyraz. — Thom Merrillin. Nie bard. . . jeno kto? Któż miałby wiedzieć? Nie ten, który połykał ogień, lecz ten, który nim zionął. Który miotał nim jak Aes Sedai.

Zrobił szeroki wymach połą kaftana.

— Thom Merrillin, tajemniczy bohater, ten, który obala góry i wynosi królów na trony. — Uśmiech przeszedł w serdeczny śmiech z głębi brzucha. — Rand al'Thor może mówić o szczęściu, jeśli następny Wiek poprawnie zapamięta choćby jego imię.

Miała rację, to nie było tylko wrażenie. Ta twarz, ten wesoły śmiech, naprawdę je pamiętała. Ale skąd? Trzeba go zmusić, by dalej mówił.

— Czy tak jest zawsze? Nie sądzę, by ktoś wątpił, że na przykład Artur Hawking był twórcą imperium. Zdobywcą całego, albo prawie całego, świata.

— Hawking, młoda damo? To prawda, on stworzył imperium, ale czy wierysz, że on rzeczywiście dokonał tego wszystkiego, o czym rozpisują się książki,

opowieści i poematy? Dokładnie tak, jak twierdzą? Że sam pokonał stu najlepszych żołnierzy wrogiej armii, jednego po drugim? Dwie armie stały spokojnie naprzeciw siebie, a tymczasem generał jednej z nich — i do tego król — staczał sto kolejnych pojedynków?

— Książki mówią, że to zrobił.

— Jednemu człowiekowi nie starczy czasu, który dzieli świt od zmierzchu, na sto pojedynków, dziewczyno.

Omiał mu nie przerwała — dziewczyna? Była Dziedziczką Tronu Andor, a nie jakąś dziewczyną — ale Thoma już nie można było powstrzymać.

— A to są zdarzenia sprzed zaledwie tysiąca lat. Cofnijmy się jeszcze dalej, do najstarszych opowieści, jakie znam, z Wieku, który poprzedzał Wiek Legend. Czy Mosk i Merk rzeczywiście walczyli ognistymi włóczyniami i czy w ogóle byli gigantami? Czy Elsbet była naprawdę królową całego świata, a Anla faktycznie jej siostrą? Czy to Anla rzeczywiście była Mądrą Doradczynią, a może był nią ktoś inny? Zapytajmy również, skąd bierze się kość słoniowa albo z jakiej rośliny wyrabia się jedwab. A może też pochodzi od jakichś zwierząt.

— Nie znam odpowiedzi na tamte pytania — odparła nieco sztywno Elayne, określenie „dziewczyna” wciąż jątrzyło jej serce — ale o kość i jedwab mógłbyś zapytać Lud Morza.

Znowu się roześmiał — tak jak liczyła, aczkolwiek to nadal nie pomagało, a tylko utwierdzało w pewności, że go zna — ale zamiast nazwać ją głupią, jak się po części spodziewała, odparł:

— Praktyczna i rzeczowa, zupełnie jak jej matka. Stąpa po ziemi obiema nogami, rzadko pozwalając porywać się fantazji.

Lekko zadarła podbródek sprawiając, że na jej twarzy pojawił się chłód. Mogła się podawać za zwykłą panią Trakand, ale teraz to było coś innego. Tajemnic tego sympatycznego staruszka nie miała ochoty rozplątywać, ostatecznie to pospolity bard, któremu nie wolno mówić o królowej tak poufałym tonem. Nie wiedzieć czemu, wyglądał na rozbawionego. Rozbawionego!

— Atha'an Miere tego też nie wiedzą — wyjaśnił. — Nie zwiedzają ziem położonych za Pustkowiec Aiel, jedynie te kilka mil opasujących nieliczne porty, do których im wolno zawijać. Porty ogradzają wysokie mury, ściśle strzeżone, więc nie można się nawet na nie wspiąć, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie. A gdy jakiś ich statek przybije w innym miejscu — bądź statek, który nie jest ich własnością, choć tylko Ludowi Morza wolno pływać po tych wodach — to znika na zawsze razem z załogą. I to jest prawie wszystko, co mogę ci przekazać, mimo że tyle lat strawiłem na zadawaniu pytań, że aż mi się nie chce już dłużej o tym myśleć. Atha'an Miere strzegą swych sekretów, ale ja nie sądzę, że wiedzą więcej, niż skrywają. Udało mi się też wywiedzieć, że mieszkańców Cairhien traktowano identycznie w czasach, gdy jeszcze mieli prawo do podróżowania Jedwabnym Szlakiem przez Pustkowiec. Cairhieńscy kupcy nigdy nie oglądali nic więcej prócz



otoczonego murem miasta, a ci, którzy zapuszczali się dalej, znikali.

Elayne przyłapała się na tym, że przypatruje mu się tak samo jak delfinom. Co to za człowiek? Już dwa razy dała mu okazję do wyśmiewania się z niej — naprawdę był rozbawiony, przyznała z niechęcią — a jednak rozmawiał z nią poważnie jak... No cóż, jak ojciec z córką.

— Mógłbyś poszukać odpowiedzi na tym statku, Thom. Miał płynąć na wschód, dopóki nie przekonaliśmy Mistrzynie Żeglugi, by nas zabrała do Tanchico. Do Shary bodajże, jak zdradził Mistrz Cargo, na wschód od Mayene, a to przecież gdzieś za Pustkowiec.

Przypatrywał jej się przez chwilę.

— Do Shary, powiadasz? Jak żyję, nie słyszałem tej nazwy. Czy Shara to miasto czy kraj, a może jedno i drugie? Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

„Co ja takiego powiedziałam? — zastanawiała się. — Powiedziałam coś, co dało mu do myślenia. Światłości! Przyznałam, że namówiliśmy Coine do zmiany planów”.

To niczego nie zmieniało, ale surowo zbesztła się w duchu. Nie mogło narobić szkody nieostrożne słowo wypowiedziane na użytek tego miłego staruszka, ale efektem podobnej nieostrożności w Tanchico mogła być śmierć, nie tylko jej, lecz również Nynaeve, nie wspominając już o łowcy złodziei i samym Thomie. O ile on rzeczywiście jest wyłącznie miłym staruszkiem.

— Thom, dlaczego płyniesz z nami? Tylko dlatego, bo poprosiła cię o to Moiraine?

Zatrzęsły mu się ramiona, zrozumiała, że powstrzymuje głośny śmiech.

— Kto wie, jak to z tym jest? Trudno odmówić Aes Sedai, gdy prosi o przysługę. Być może skusiły mnie perspektywy waszego miłego towarzystwa podczas podróży. A może stwierdziłem, że Rand jest już na tyle dorosły, by przez jakiś czas sam się sobą opiekował.

Wybuchnął głośnym śmiechem, a ona mimo woli zawtórowała mu. Ten siwowłosy człowiek miałby opiekować się Randem, co za pomysł. Spojrzał na nią i uczucie, że można mu ufać, powróciło, jeszcze silniejsze niż przedtem. Nie dlatego, albo nie tylko dlatego, że potrafił śmiać się z siebie. Przyczyny znaleźć nie umiała, ale gdy tak patrzyła w te niebieskie oczy, to nie potrafiła uwierzyć, by mógł zrobić jej coś złego.

Miała niemal przemożną ochotę, by znowu pociągnąć go za wąsa, ale tym razem potrafiła zapanować nad sobą. Ostatecznie nie jest już dzieckiem. Dzieckiem. Otworzyła usta i nagle wszystko, co miała zamiar powiedzieć, wyleciało jej z głowy.

— Proszę, wybac mi, Thom — powiedziała pośpiesznie. — Muszę... Wybac mi.

Żwawo ruszyła w stronę rufy, nie czekając na odpowiedź. Zapewne pomyślał, że ruchy statku źle podziały na jej żołądek. „Tańczący po Falach” rzucał się co-

raz gwałtowniej, coraz szybciej pokonując wielkie morskie bałwany. Wiatr stawał się coraz bardziej świeży.

Przy kole na rufie stało dwóch mężczyzn — utrzymanie statku zgodnie z kursem wymagało wkładu mięśni ich obu. Mistrzynie Żeglugi nie było na pokładzie, tylko Poszukiwaczka Wiatru, która stała przy nadburciu, za plecami mężczyzn, tak samo jak oni obnażona do pasa, wpatrzona w niebo, po którym skłębione chmury przewalały się gwałtowniej jeszcze niż fale oceanu. Po raz pierwszy to nie ubiór Jorin — czy raczej brak ubioru — zaniepokoił Elayne. Kobiętę otaczała łuna *saidara*, widoczna wyraźnie mimo trupiobladego światła. To właśnie poczuła, to ją przyciągnęło. Ta kobieta przenosiła Moc.

Elayne zatrzymała się tuż przed wejściem na rufę, by przyjrzeć dokładniej temu, co robiła Jorin. Strumienie Powietrza i Wody, które utkała Poszukiwaczka, miały grubość powroza, a jednak ich splot był skomplikowany, niemal misterny. Daleko jak okiem sięgnąć ciągnęły się ponad wodami, podobne do sieci zarzucanej na niebo. Wiatr wiał coraz silniej, mężczyźni napięli mięśnie i „Tańczący po Falach” pomknął do przodu. Tkanie dobiegło końca, łuna *saidara* zniknęła, osłabła Jorin osunęła się na nadburcie.

Elayne ukradkiem wspinała się po drabinie, tak by nie zrobić najmniejszego hałasu, a jednak gdy znalazła się już w takiej odległości, że mogła tamtą usłyszeć, kobieta z Ludu Morza, nie odwracając głowy, przemówiła do niej cichym głosem.

— W samym środku mego dzieła odniosłam wrażenie, że mnie obserwujesz. Nie mogłam wtedy przerwać, niewykłuczone bowiem, iż zerwałby się sztorm, którego nie przetrzymałby nawet „Tańczący po Falach”. Morze Sztormów zasługuje na swoją nazwę, zsyła złe wiatry nawet bez mojej pomocy. Wcale nie chciałam tego robić, ale Coine orzekła, że trzeba płynąć najszybciej, jak tylko się da. Dla was i dla Coramoora. — Podniosła oczy, by popatrzeć na niebo. — Ten wiatr utrzyma się do rana, jeśli to miłe Światłości.

— To dlatego Lud Morza nie zabiera Aes Sedai? — domyśliła się Elayne, stając obok niej przy nadburciu. — By Wieża nie dowiedziała się, że potraficie przenosić. Dlatego to ty zdecydowałaś, a nie twoja siostra, że można nas wpuścić na pokład. Jorin, Wieża nie będzie próbowała wam przeszkodzić. Nie ma takiego prawa w Wieży, które by zabraniało kobiecie przenosić, nawet jeśli ona nie należy do Aes Sedai.

— Twoja Biała Wieża będzie usiłowała się wtrącać. Aes Sedai wejdą na nasze statki, na których żyjemy swobodnie, wolni od lądu i ludzi z lądu. Będą usiłowały nas związać z sobą, odgrodzić od morza. — Westchnęła ciężko. — Nie zawrócisz fali, która cię właśnie minęła.

Elayne żałowała, że w dobrej wierze nie może podważyć prawdziwości jej przeczuć, albowiem Wieża istotnie poszukiwała kobiet i dziewcząt, zdolnych do nauki przenoszenia, z jednej strony dążąc do zdwojenia szeregów Aes Sedai, uszczuplonych obecnie w porównaniu z ich dawną liczbą, z drugiej zaś, aby za-

żegnać niebezpieczeństwo, na jakie narażały się te, które uczyły się tego samodzielnie, bez niczyjej pomocy. Prawdę powiedziawszy, kobiety, które można było nauczyć dotykania Prawdziwego Źródła, zazwyczaj, wbrew swej woli, lądowały w Wieży i szkoliły się dopóty, dopóki nie ustało zagrożenie, że przypadkiem zabiją siebie lub kogoś innego.

Po chwili przerwy Jorin ciągnęła dalej:

— Nie wszystkie takie jesteście. Tylko niektóre. Posłałyśmy kilka dziewcząt do Tar Valon, by Aes Sedai nie przyjechały szukać wśród nas. Żaden statek, na którym Poszukiwaczka Wiatru potrafi tkać wiatry, nie zabiera Aes Sedai. Kiedy się przedstawiłyście, przestraszyłam się, że mnie rozpoznacie, żadna jednak nic nie powiedziała. Poprosiłyście o przewóz, a ja miałam nadzieję, że może, mimo pierścieni, nie jesteście jednak Aes Sedai. Płonna to była nadzieja. Czuję w was obu tę siłę. I teraz Biała Wieża dowie się o wszystkim.

— Nie mogę obiecać, że dochowam tajemnicy, ale zrobię, co będę mogła. — Ta kobieta zasługiwała na coś więcej. — Jorin, przysięgam na honor Domu Trakand z Andoru, że uczynię, co w mojej mocy, by ukryć wasz sekret przed każdym, kto zechciałby wykorzystać go na szkodę twoją albo twych braci i siostr, a jeśli już będę musiała go wyjawić, to zrobię wszystko, co się da, by ochronić wasz lud przed ingerencją. Dom Trakand nie jest pozbawiony wpływów, nawet w Wieży.

„I zmuszę matkę, by je wykorzystała, jeśli zajdzie taka potrzeba. Znajdę jakiś sposób”.

— Wszystko będzie dobrze — odparła fatalistycznym tonem Jorin — jeśli to miłe Światłości. Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze i nic nie zakłóci wszechrzeczy, jeśli to miłe Światłości.

— Na tamym seanchańskim statku była *damane*, prawda?

Poszukiwaczka Wiatru spojrzała na nią pytająco.

— Pojmana do niewoli kobieta, która potrafi przenosić Moc.

— Jak na tak młodą osobę, potrafisz być bardzo przenikliwa. Dlatego właśnie z początku pomyślałam, że nie jesteś Aes Sedai, nazbyt jesteś młoda, bodajże mam córki starsze od ciebie. Nie wiedziałam, że ta kobieta jest trzymana w niewoli, i teraz żałuję, bo mogliśmy ją uratować. Z początku „Tańczący po Falach” bez trudu prześcignął seanchański statek; wcześniej słyszeliśmy o Seanchanach i ich żebrowanych żaglach, o tym, że zmuszają do składania dziwaczych przysięg i karzą tych, którzy odmawiają, ale potem ta... *damane*?... złamała dwa nasze maszty, a oni wdarli się na pokład z mieczami. Udało mi się podpalić seanchański statek, tkanie Ognia jest trudne, ale było miłe Światłości, bym sobie poradziła, a Toram tak pokierował żałogą, że wyparła Seanchan z powrotem na ich pokład. Odcieśliśmy haki, a płonący wrak ich statku odpłynął. Byli nazbyt zajęci próbą jego ratowania, by kłopotać się nami, gdy „Tańczący po Falach” powlókł się w dal. Żałowałam wtedy, że nie mogę się przyglądać, jak płonie i idzie na dno. To był

dobry statek, jak myślę, zwłaszcza na trudne morza. Teraz żałuję, bo mogliśmy uratować tamtą kobietę, *damane*. Mimo iż zraniła „Tańczącego”, czego zresztą nie zrobiłaby pewnie, gdyby była wolna. Oby Światłość opromieniła jej duszę i wody przyjęły ją w pokoju.

Ta opowieść sprawiła, że posmutniała. Należało jakoś odwrócić tok jej myśli.

— Jorin, dlaczego Atha’an Miere mówią o statkach jak o żywych istotach? Inni mówią o nich jak o rzeczach. To chyba niczego nie zmienia, ale dlaczego?

— Mężczyźni podadzą ci inną odpowiedź — powiedziała Poszukiwaczka Wiatru z uśmiechem — będą opowiadali o sile, władczej naturze i temu podobnych, jak to mężczyźni, ale mają rację. Statek jest żywy i przypomina mężczyznę, jest obdarzony isticie męskim sercem.

Z czułością pogładziła nadburcie, jakby pieściła żywą istotę, istotę, która mogła poczuć jej dotyk.

— Traktuj go dobrze i dbaj o niego odpowiednio, a będzie walczył dla ciebie na najgorszym morzu. Będzie walczył, by podtrzymać cię przy życiu, nawet wówczas, gdy otrzymał już wcześniej śmiertelny cios. Zaniedbaj go, ignoruj drobne ostrzeżenia, którymi do ciebie przemawia, a pośle cię na dno, na spokojnym morzu, pod bezchmurnym niebem.

Elayne miała nadzieję, że Rand nie okaże się równie kapryśny.

„Więc dlaczego on jest taki zmienny, w jednej chwili raduje się moim widokiem, a zaraz potem śle za mną Juilina Sandara?”

Postanowiła, że przestanie o nim myśleć. Był daleko stąd. Nic teraz nie mogła zrobić.

Obejrzała się przez ramię w stronę dziobu. Thom gdzieś zniknął. Była pewna, że znalazła klucz do rozwiązania jego zagadki, na chwilę przedtem, jak poczuła, że Poszukiwaczka przenosi Moc. Coś wspólnego z jego uśmiechem. To coś zniknęło, czymkolwiek było. Cóż, miała zamiar się przekonać ostatecznie, zanim dotrą do Tanchico, nawet gdyby trzeba było nie spuszczać go z oka. Ale przecież on jutro też tu będzie.

— Jorin, kiedy dopłyniemy do Tanchico? Powiedziano mi, że rakery to najszybsze statki na świecie. To znaczy jak szybkie?

— Do Tanchico? Pragnąc służyć Coramoorowi, nie zatrzymamy się po drodze w żadnym porcie. Może w dziesięć dni, jeśli uda mi się odpowiednio tkać wiatry, jeśli znajdę odpowiednie prądy, jeśli to miłe Światłości. Może, z łaski Światłości, wystarczy siedem lub osiem.

— Dziesięć dni? — wyszeptwała Elayne. — To niemożliwe.

W końcu przecież oglądała mapy.

Uśmiech drugiej kobiety wyrażał po części dumę, po części pobłażanie.

— Jak sama zauważyłaś, to najszybszy statek na świecie. Okręt z następnej pod względem chyżości klasy potrzebuje półtora raza więcej czasu do pokonania danego dystansu, a większość dwa razy tyle z okładem. Statkiem przybrzeżnym,

który nie oddała się od brzegu i co noc kotwiczy na mieliznach. . . — z pogardą pociągnęła nosem — . . . podróż trwałaby dziesięciokrotnie dłużej.

— Jorin, czy nauczyłaś mnie tego, co właśnie robiłaś?

Poszukiwaczka Wiatru spojrzała na nią ze zdumieniem, jej ciemne oczy rozszerzyły się, lśnią w świetle zmierzchu.

— Uczyć ciebie? Przecież ty jesteś Aes Sedai!

— Jorin, w życiu nie utkałam strumienia tak grubego jak ten, którym ty władałaś. I o takim zasięgu! Jestem zaskoczona, Jorin.

Poszukiwaczka patrzyła na nią jeszcze chwilę, już nie zdumiona, ale tak, jakby starała się uwiecznić twarz Elayne w pamięci. W końcu pocałowała palce swej prawej dłoni i przycisnęła je do warg Elayne.

— Jeśli to miłe Światłości, będziemy się uczyć wzajem.

## W SERCU

Wielką komnatę, w której potężne, grube na dziesięć stóp kolumny z wypolerowanego, czerwonego kamienia wznosiły się ku mrocznym otchłaniom, sklepionym ponad złotymi lampami umocowanymi na złotych łańcuchach, wypełniała tairzeńska arystokracja. Wysocy Lordowie i Damy tworzyli pod wielką kopułą serca komnaty stłoczony, pusty w środku krąg, za nimi ustawiała się drobniejsza szlachta, kolejnymi szeregami cofając się coraz głębiej w las kolumn. Wszyscy ubrani byli w najlepsze aksamity, jedwabie i koronki, bufiaste rękawy, krezowane kołnierze i stożkowate kapelusze, wszyscy szemrali coś z niepokojem, a echo, odbite od wyniosłego sklepienia, odpowiadało głosem aż nazbyt podobnym do gęgania zdenerwowanych gęsi. Wcześniej do tego miejsca, zwanego Sercem Kamienia, zapraszano jedynie Wysokich Lordów, którzy zresztą pojawiali się tu jedynie cztery razy w roku, z podwójnego nakazu — prawa i obyczaju. Teraz przybyli wszyscy, którzy nie przebywali gdzieś w prowincjach, na wezwanie swego nowego władcy — twórcy prawa i niszczyciela obyczaju.

Obywatele Łzy rozpoznali Moiraine, tłum natychmiast się przed nią rozstał, dzięki czemu łatwo pokonała drogę aż do pustego kręgu wewnątrz. Egwene szła za nią. Moiraine irytowała nieobecność Lana. Zniknął gdzieś, co było zupełnie doń niepodobne, przecież mogła go potrzebować — wszak strzegł jej zazwyczaj, jakby sam uważał, iż nie potrafi się obyć bez straży przybocznej. Zapewne zmarłaby się nie na żarty, gdyby nie czuła łączącej ich więzi zobowiązania i tym samym nie wiedziała, że przebywa gdzieś w Kamieniu lub w jego pobliżu.

Równie zażarcie, jak toczył boje z trollokami w Ugorze, szarpał te sznurki, którymi związała go Nynaeve, i choć z całej siły się tego wypierał, ta młoda kobieta przykuła go do siebie nie mniej mocno jak ona, aczkolwiek uciekając się do zupełnie innych metod. Równie dobrze, zamiast tych pęt, mógł rozdzierać gołymi dłońmi stal. Moiraine raczej nie była zazdrosna, jednakże przez zbyt wiele lat Lan służył jej mieczem, tarczą i towarzystwem, by tak swobodnie zeń zrezygnować.

Kobieta o końskiej twarzy, w czerwonej sukni z suto namarszczonymi koronkami, Dama Prowincji o imieniu Leitha, odsunęła swe spódnice trochę jakby nazbyt gorliwie. Moiraine spojrzała na nią. Tylko spojrzała, nawet nie zwalniając kroku, ale tamta zadygotała, jakby przeszył ją nagły dreszcz, i spuściła wzrok.

Moiraine pogratulowała sobie w duchu. Nie przeszkadzało jej, że ci ludzie nienawidzą Aes Sedai, ale nie mogła znieść jawnego grubiaństwa, jakby nie dość było maskowanego lekceważenia. A poza tym reszta, widząc, jak Leitha spuszcza twarz, płochliwie cofnęła się o kolejny krok.

— Jesteś pewna, że nikt nic nie wie na temat tego, co zamierza obwieścić? — spytała cicho. Przez to gęganie jej słowa były praktycznie niesłyszalne z odległości trzech kroków. Taki właśnie dystans starali się teraz utrzymać Tairenianie. Nie lubiła, jak ją podsłuchiowano.

— Nikomu — odpowiedziała Egwene równie cicho. Sądząc po tonie jej głosu, była równie zirytowana jak Moiraine.

— Krążą plotki.

— Plotki? Jakie plotki?

Dziewczyna nie panowała najlepiej nad swoją twarzą i głosem, najwyraźniej nie słyszała tych opowieści o wydarzeniach w Dwu Rzekach. Natomiast zakładanie, że nie słyszał ich Rand, równało się zamiarowi pokonania na końskim grzbiecie płotu o wysokości dziesięciu kroków.

— Powinnaś sprawić, by pokładał w tobie zaufanie. Jemu jest potrzebne uważne, życzliwe ucho. Z pewnością chciałby się otworzyć przed kimś, komu wierzy.

Egwene spojrzała na nią z ukosa. Zrobiła się zanadto wyrafinowana jak na takie proste metody. A jednak Moiraine powiedziała szczerą prawdę — ten chłopiec potrzebował kogoś, kto by go słuchał, pomagając tym samym dźwigać jego brzemię — i ta prawda mogła okazać się przydatna.

— On nikomu nie zaufa, Moiraine. On ukrywa swoje cierpienie i liczy, że się z nim upora, nim ktoś je zauważy. — Przez twarz Egwene przemknął gniew. — Ten muł z wełnianym mózgiem!

Moiraine poczuła chwilowe współczucie. Nie należało oczekiwać, że ta dziewczyna pogodzi się z faktem, iż Rand spacerował sobie pod rękę z Elayne i całował się z nią po kątach, gdy im się wydawało, że nikt nie widzi. A Egwene nie znała nawet połowy tej historii. Współczucie nie trwało długo. Za dużo ważnych spraw, by poświęcać czas jakiejś dziewczynie, która gryzie się czymś, czego i tak żadną miarą mieć nie mogła.

Elayne i Nynaeve są już pewnie na pokładzie raker, już nie przeszkadzają. Ich wyprawa mogła ostatecznie dowieść, czy jej podejrzenia w stosunku do Poszukiwaczek Wiatru są słuszne. W najgorszym razie obie miały przy sobie dość złota, by kupić statek i wynająć załogę — co mogło okazać się nieodzowne, jeśli wziąć pod uwagę plotki o Tanchico — i jeszcze im zostanie na łapówki, często absolutnie nieodzowne, dla tarabońskich urzędników. Izba Thoma Mernlina opustoszała, a informatorzy donieśli jej, że opuszczając Kamień, mrucał coś o Tanchico. Thom dopilnuje, by znalazły dobrą załogę i właściwych urzędników. Bardziej wprawdzie pasował do nich plan obmyślony w sprawie Mazrima Taima, jednakże to powinny załatwić listy do Amyrlin. Lepiej jak sprawdzą mało prawdopodobną

ewentualność, że w Tanchico kryje się jakieś tajemnicze zagrożenie, a ponadto przestaną jej zawracać głowę i znajdą się z dala od Randa. Żałowała jedynie, że Egwene nie zechciała z nimi jechać. Najlepsze dla całej trójki było Tar Valon, ale również Tanchico winno wystarczyć.

— Skoro już mowa o wełnianych mózgach, czy masz zamiar kontynuować swój plan wyprawy do Pustkowia?

— Mam — odparła stanowczo dziewczyna.

Ona powinna wrócić do Wieży, rozwijać swoje możliwości.

„Co ta Siuan wymyśliła? Jak ją zapytam, to pewnie wygłosi jedno z tych powiedzonek o łodziach i rybach”.

Przynajmniej również Egwene zostanie usunięta z drogi, zresztą ta dziewczyna Aiel zaopiekuje się nią. Może Mądre rzeczywiście nauczą ją czegoś o Śnieniu. W życiu nie dostała równie zdumiewającego listu jak ten od nich, co nie znaczyło, że wzięła sobie do serca większość tego, co w nim powypisywały. Jednakowoż, na dłuższą metę, wyprawa Egwene do Pustkowia mogła przynieść jakieś korzyści.

Stojący w pierwszym szeregu Tairenianie rozstąpili się, ustępując im miejsca. Stanęły w pustej przestrzeni, dokładnie pod środkiem rozległej kopuły. Stąd łatwo było dostrzec zdenerwowanie arystokratów — wielu wbijało wzrok w czubki swych butów, niczym skarczone dzieci — inni mieli puste oczy, widzące wszystko, prócz nich dwóch. To tutaj trzymano *Callandora*, zanim zabrał go Rand. Tu, pod tą kopułą, nie tknięty niczyją dłonią wisiał przez ponad trzy tysiące lat, nietykalny dla wszystkich oprócz Smoka Odrodzonego. Tairenianie niechętnie przyznawali, że Serce Kamienia w ogóle istnieje.

— Biedna kobieta — mruknęła Egwene.

Oczy Moiraine powędrowały śladem spojrzenia dziewczyny. Wysoka Dama Alteima — odziana, zwyczajem taireńskich wdów, w nieskazitelnie białą suknię oraz takiż czepek, mimo że jej mąż jeszcze trzymał się przy życiu — była prawdopodobnie najlepiej opanowana z wszystkich arystokratów. Szczupła i urodziwa, zwłaszcza za sprawą nieznacznego, smutnego uśmiechu, obdarzona wielkimi, piwnymi oczyma i czarnymi włosami, które sięgały jej do pasa. Wysoka, aczkolwiek Moiraine przyznawała, że raczej nie osądza ludzi podług własnego wzrostu, i dość krągła. Cairhienowie nie byli wysocy, a ona uważała się za niską nawet na ich tle.

— Tak, biedna kobieta — odparła, bynajmniej nie powodowana współczuciem.

Thom nie trafił z tą Alteimą. A może nie chciał. Zdawał się żywić dziwną niechęć do działań skierowanych przeciwko kobietom. Alteima była znacznie groźniejsza od swego męża, albo choć i kochanka, obydwoma manipulowała bez ich wiedzy. Może nawet była najgroźniejsza w całej Łzie, biorąc pod uwagę zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Niebawem znajdzie innych, których będzie wykorzystywała. Zazwyczaj wolała trzymać się w tyle i stamtąd pociągać za sznurki, na tym



polegał jej styl. Coś trzeba będzie z nią zrobić.

Moiraine przeniosła wzrok na szeregi Wysokich Lordów i Dam, odszukała Estandę, w brokatowych, żółtych jedwabiach z wielką kryzą z koronki barwy kości słoniowej i dopasowanym kolorystycznie małym czepkiem. Urodę jej twarzy niszczyła pewna surowość, a spojrzenia, którymi co jakiś czas obrzucała Alteimę, były twarde niczym żelazo. Uczucia, jakie wzajemnie do siebie żywiły, daleko wykraczały poza niechęć zwykłej rywalizacji. Gdyby były mężczyznami, wówczas już od wielu lat rozlewałyby swą krew w pojedynkach. Gdyby umiejętnie zaostrzyć ten antagonizm, Alteima miałaby dość zajęć i zbyt mało czasu, by dodatkowo przysparzać kłopotów Randowi.

Przez chwilę żałowała, że odesłała Thoma. Nie lubiła marnować czasu na drobne intrygi. Z drugiej strony jednak miał zbyt duży wpływ na Randa. Thom przygotowywał go do panowania nad Łżą, ale tym samym ograniczał, wszak jego przeznaczeniem były większe dzieła. To jednak już zostało załatwione. Problem, jak utrzymać nosa Thomowi, będzie można rozwiązać w dalszej kolejności. Obecnie zasadniczy dylemat dotyczył Randa. Cóż on ma zamiar obwieścić?

— Gdzie on jest? Najwidoczniej nauczył się już pierwszej i najważniejszej sztuki królów. Kazać ludziom czekać.

Nie zauważyła, że mówi głośno, dopóki Egwene nie spojrzała na nią ze zdziwieniem. Natychmiast pokryła udawaną obojętnością wyraz irytacji, bez wątpienia obecny na jej twarzy. Rand w końcu się pojawi, wtedy okaże się, co zamierza zrobić. Wszyscy się dowiedzą, a ona wraz z innymi. Omal nie zazgrzytała zębami. To ślepiec, który biegnie na łeb, na szyję przez mroki nocy, niepomny, że z obu stron czyhają urwiska. Jeśli zechce pognać swej wiosce na ratunek, trzeba go będzie powstrzymać za wszelką cenę. Oby się tylko udało. Może jeszcze nie wie, w tym jedyna nadzieja.

Naprzeciwko nich stał Mat, rozczochrany grzebał w kieszeniach zielonego kaftana z wysokim kołnierzem. Guziki miał jak zazwyczaj do połowy rozpięte, a buty ubłocone, odstawał mocno na tle wystudiowanej elegancji otoczenia. Poruszył się nerwowo, gdy zauważył, że na niego patrzą, a potem zdobył się na jeden z tych niegrzecznych, beczelnych uśmiechów. Ot, stoi sobie tutaj, można mieć na niego oko. Mat Cauthon był denerwującym młodzieńcem, z łatwością wymykał się jej szpiegom, a jednocześnie nigdy nie dał po sobie poznać, że wie, iż jest śledzony, choć jak jej tamci donosili, w cudowny niemalże sposób tracili go z oczu, za każdym razem, gdy tylko zanadto weszli mu w drogę.

— On chyba śpiał w ubraniu — stwierdziła z dezaprobatą Egwene. — Celowo. Ciekawam, gdzie jest Perrin.

Stała na palcach, usiłując wypatrzeć go ponad głowami zgromadzonych.

— Nie widzę.

Krzywiąc się Moiraine przeczesła wzrokiem tłum, jednak z przyczyn oczywistych poza pierwszym szeregiem zgromadzonych niewiele mogła dostrzec. Lan

mógł stać wśród kolumn. Nie będzie jednak stawiała na palcach ani podskakiwała jak podniecone dziecko. Kiedy już wpadnie w jej ręce, czeka go rozmowa, której tak prędko nie zapomni. Biorąc pod uwagę wpływ Nynaeve z jednej strony oraz *ta'veren* z drugiej, zastanawiała się, jak silna jest jeszcze więź jego zobowiązań. Na szczęście chwile, które Lan spędzał w towarzystwie Randa, miały również korzystny wymiar — ich zażyłość stwarzała jej dodatkową możliwość wpływania na Randa.

— Może jest z Faile — powiedziała Egwene. — On nie ucieknie, Moiraine. Perrin ma silne poczucie obowiązku.

Prawie tak silne jak Strażnik, Moiraine o tym dobrze wiedziała i dlatego nie napuściła na niego szpiegów.

— Faile próbowała go przekonać do wyjazdu, dziewczyno. — Całkiem możliwe, że jest z nią, zazwyczaj przebywa w jej towarzystwie. — Nie rób takiej zdziwionej miny. Oni często rozmawiają, a także się kłócą, w miejscach, gdzie z łatwością mogą usłyszeć ich inni.

— Wcale nie to mnie dziwi, że o tym wiesz — oschle oznajmiła Egwene — ale to, że Faile próbuje go odwieść od tego, co powinien zrobić.

— Może ona w to nie wierzy, jak zresztą również i on. — Moiraine z początku sama nie była w stanie uwierzyć. Trzech *ta'veren*, wszyscy w jednym wieku, z tej samej wioski, Musiała być ślepa, skoro nie zrozumiała, że muszą być z sobą powiązani. Wraz z nabyciem tej wiedzy wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej. Przypominało żonglowanie z zawiązanymi oczyma trzema kolorowymi piłeczkami, widziała, jak Thom to robi, ale sama nie miała ochoty próbować. Brakowało natomiast wskazówek, w jaki sposób są powiązani tudzież jakie stoją przed nimi zadania. Proroctwa w ogóle nie wspominały o towarzyszach.

— Lubię ją — powiedziała Egwene. — Jest dla niego dobra, a on tego potrzebuje. I bardzo jej na nim zależy.

— Myślę, że tak. — Jeśli Faile zacznie przysparzać zbyt wielu kłopotów, to ona z nią porozmawia, o tych sekretach, które tai przed Perrinem. Albo zrobią to jej wysłannicy.

— Mówisz to tak, jakbyś wcale nie wierzyła. Oni się kochają, Moiraine. Nie widzisz tego? Czy ty nie potrafisz rozpoznać ludzkich uczuć?

Moiraine obdarzyła ją władcym spojrzeniem. Ta dziewczyna wiedziała tak mało, a ubzduriała sobie, że jest dokładnie na odwrót. Moiraine już miała to powiedzieć, lecz w tym momencie rozległy się okrzyki przest్రachu, wręcz zgrozy.

Tłum cofał się pośpiesznie, ci z przodu bezlitośnie parli na stojących z tyłu, otwierając szerokie przejście ku wolnej przestrzeni pod kopułą. Tym korytarzem kroczył Rand, z wzrokiem wbitym przed siebie, władczy, w czerwonym kaftanie haftowanym w złote spirale na rękawach, w zagięciu prawego ramienia kołysał *Callandora*, jakby to było berło. Nie tylko z jego powodu Tairenianie ustępowali z drogi. Za nim szło około stu Aielów, w rękach trzymali włócznie i łuki z nasa-

dzonymi strzałami, na głowach mieli udrapowane *shoufy*, czarne zasłony skrywały wszystko prócz oczu. Moiraine wydało się, że rozpoznaje idącego na przodzie, tuż za Randem, Rhuarka, ale tylko po sposobie, w jaki się poruszał. Byli anonimowi. Gotowi, by zabijać. Rand najwyraźniej postanowił, że niezależnie od tego, co zamierza powiedzieć, zdusi wszelki opór, zanim jeszcze zdąży się skryzalizować.

Aielowie zatrzymali się, Rand natomiast szedł dalej, aż wreszcie dotarł do samego środka komnaty, a potem powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Wyraźnie się zdziwił, a może zdenerwował na widok Egwene, w stronę Moiraine posłał irytujący uśmiezek, Matowi zaś taki, który, odwzajemniony, obu ich upodobił na moment do dwóch małych chłopców. Tairenianom pobladły twarze, nie wiedzieli, czy mają patrzeć na Randa z *Callandorem*, czy raczej na zamaskowanych Aielów, i on, i tamci mogli oznaczać dla nich zapowiedź śmierci.

— Wysoki Lord Sunamon — powiedział Rand, nagle i głośno, sprawiając, że wymieniony z nazwiska, pulchny jegomość aż podskoczył — zagwarantował mi traktat z Mayene, ściśle przestrzegając wskazówek, jakie mu podałem. Zagwarantował go własnym życiem.

Zaśmiał się, jakby właśnie opowiedział dowcip, większość arystokratów poszła w jego ślady. Oprócz Sunamona, który wyglądał na poważnie chorego.

— Zgodził się, że zostanie powieszony — obwieścił Rand — jeśli zawiedzie i jego obietnica zostanie wprowadzona w życie.

Śmiech zamarł. Twarz Sunamona przybrała odcień niezdrowej zieleni. Egwene spojrzała z zakłopotaniem na Moiraine, ścisnęła obiema dłońmi fałdę spódnicy. Moiraine zaś spokojnie czekała — nie sprowadzałby wszystkich arystokratów obecnych w promieniu dziesięciu mil od Łzy, by im opowiadać o traktacie albo straszyć jakiegoś tłustego durnia. Opuściła rozluźnione dłonie.

Rand przespacerował się w koło, szacując zwrócone ku niemu twarze.

— Dzięki temu traktatowi już niebawem statki będą mogły zawieźć taireńskie ziarno na zachód, w poszukiwaniu nowych rynków. — W tym momencie kilku zaszemrało z aprobatą, prędko jednak ucichli. — Ale to nie wszystko. Armię Łzy wkrótce czeka wymarsz.

Podniosły się wiwaty, gromkie okrzyki odbijały się echem od sklepienia. Mężczyźni podskakiwali w miejscu, nawet Wysocy Lordowie, potrząsali pięściami nad głową i podrzucali do góry stożkowate, kryte aksamitem kapelusze. Kobiety uśmiechały się równie drapieźnie jak mężczyźni, składały pocałunki na policzkach tych, którzy mieli pójść na wojnę, i udając, że pod wpływem tych wieści są bliskie omdlenia, przytykały do nosów porcelanowe flakoniki z wonnymi solami, bez których obejść nie mogła się żadna taireńska arystokratka.

— Na pohybel Illian! — krzyknął ktoś i setka głosów podjęła ten okrzyk. — Na pohybel Illian! Na pohybel Illian! Na pohybel Illian!

Moiraine zauważyła, że wargi Egwene poruszyły się — słowa tonęły w powszechnym wybuchu radości. Potrafiła jednak je odczytać.

— Nie, Rand. Błagam, nie. Błagam, nie rób tego.

Mat, który stał po przeciwległej stronie, krzywił się w pełnym dezaprobaty milczeniu. Tych dwoje, a także ona byli jedynymi, którzy nie wiwatowali, wyjąwszy wiecznie czujnych Aielów i samego Randa. Uśmiechnięte usta wygięły się z pogardą, uśmiech w ogóle nie zawładnął oczyma. Na czoło wystąpiły krople potu. Napotkawszy jego sarkastyczny wzrok, spokojnie czekała na ciąg dalszy. Będzie coś jeszcze i jak się należało spodziewać, bynajmniej nie po jej myśli.

Rand uniósł lewą dłoń. Powoli zapadła cisza, ci z przodu, zaniepokojeni, zaczęli uciszać tych z tyłu. Czekał na absolutną ciszę.

— Armia uda się na północ, do Cairhien. Dowodzić będzie Wysoki Lord Meilan, jego zastępcami czynię Wysokich Lordów: Gueyam, Aracome, Hearne, Maraconn i Simaan. Finansowo wesprze ją szczerze Wysoki Lord Torean, najbogatszy z was, i będzie jej towarzyszył, by dopilnować, aby jego pieniądze nie trwoniono na marne.

Martwa cisza powitała to obwieszczenie. Nikt się nie poruszył, aczkolwiek Torean o pospolitej twarzy zdawał się mieć kłopoty z ustaniem o własnych siłach.

Moiraine musiała ukłonić się Randowi w myślach za ten wybór. Odsyłając tych siedmiu poza granice Łzy, zgrabnie neutralizował siedem najbardziej niebezpiecznych spisków, knutych przeciwko niemu, a ponieważ żaden z tych ludzi nie ufał pozostałym, więc nie mogli spiskować pospołu. Thom Mernlin udzielił mu dobrej rady, najwyraźniej jej szpiedzy przeoczyli niektóre z listów, które wsuwał do kieszeni Randa. Ale reszta? To był obłąd. Nie mógł tego przecież usłyszeć w odpowiedziach, których mu udzielono po drugiej stronie *ter'angreal*. Absolutnie wykluczone.

Meilan najwyraźniej się z nią zgadzał, nawet jeśli z odmiennych powodów. Ten szczupły, silny mężczyzna wystąpił naprzód, tak jednak był przerażony, że błyskał białkami szeroko otwartych oczu.

— Lordzie Smoku... — Urwał, przełknął ślinę i zaczął od nowa nieznacznie tylko pewniejszym głosem. — Lordzie Smoku, ingerować w wojnę domową to jak wejść w bagna. O Słoneczny Tron walczy kilka frakcji, pospołu z równie licznymi sojuszami, wszystkie one codziennie padają ofiarą zdrady. Ponadto bandyci nękają Cairhien, niczym pchły dzika. Głodujący wieśniacy do cna ograbili ziemię. Wiarygodne źródła informują mnie, że jedzą korę i liście. Lordzie Smoku, „wielki ambaras” to określenie, które ledwie...

Rand wszedł mu w słowo.

— Czyżbyś nie chciał rozszerzyć wpływów Łzy aż do Sztyletu Zabójcy Rodu, Meilanie? W porządku. Wiem, kto zamierza zasiąść na Słonecznym Tronie. Nie wyprawiacie się tam na podbój, Meilanie, lecz po to, by przywrócić porządek i pokój. I po to, by nakarmić głodnych. W spichlerzach jest obecnie więcej ziarna, niż Łza jest w stanie sprzedać, a farmerzy zbiorą tego roku jeszcze więcej, chyba że ktoś im przeszkodzi. Wozy powiozą je na północ, w ślad za armią,

a ci wieśniacy... Ci wieśniacy nie będą więcej musieli jeść kory, lordzie Meilan. — Wysoki Lord ponownie otworzył usta, a Rand zamaszystym ruchem skierował *Callandora* w dół, wbijając w posadzkę czubek kryształowego ostrza. — Chcesz o coś spytać, Meilanie?

Meilan, kręcąc głową, wmieszał się z powrotem w tłum, jakby próbował się ukryć.

— Myślisz, że obędzie się bez mordów? — mruknęła Moiraine. O co chodzi temu chłopcu? Przynajmniej nie gna na pomoc swej wiosce pozwalając, by Przekłęci zrobili w tym czasie to, co im się żywnie podoba, z resztą świata. — Stosy trupów będą równie wysokie, dziewczyno. Nie da się dostrzec różnicy między tym a wojną.

Gdyby zaatakował Illian i Sammaela, zyskałby na czasie, nawet gdyby natarcie stanęło w martwym punkcie. Należy poznać siłę najsilniejszego przeciwnika, a być może nawet uda się doprowadzić do jego upadku, pozostałych zaś z pewnością nastraszyć. Co on tym zyska? Pokój w jej rodzinnym kraju, żywność dla głodujących Cairhienian — innym razem przyklasnęłaby temu. Zamysł chwalebny i całkowicie bezsensowny. Bezużyteczny przelew krwi, zamiast konfrontacji z wrogiem, który go zniszczy, jeśli da mu się najmniejszą sposobność. Dlaczego? Lanfear. Co mu powiedziała Lanfear? Co ona zrobiła? Pod wpływem tych rozważań serce Moiraine przeszło mróz. Randa trzeba pilnować jeszcze uważniej niż dotąd. Nigdy nie pozwoli mu przejść na stronę Cienia.

— Ach tak — powiedział Rand, jakby sobie o czymś przypomniał. — Żołnierze nie bardzo się znają na karmieniu głodnych, nieprawdaż? Uważam, że tutaj przyda się czule, kobiece serce. Lady Alteimo, żałuję, że zakłócam twój smutek, czy jednak zechcesz dopatrzeć rozdziału żywności? Będiesz musiała nakarmić cały naród.

„I zdobyć władzę” — pomyślała Moiraine. To jego pierwsze potknięcie. Oprócz wybrania Cairhien zamiast Illian, rzecz jasna. Alteima z pewnością wróci do Łzy jako równa stanowiskiem Meilanowi albo Gueyamowi, gotowa do dalszych knozań. A przedtem z jej rozkazu Rand zostanie zamordowany, jeśli nie będzie się strzegł. Na przykład zginie w jakimś wypadku, który zostanie zaaranżowany w Cairhien.

Alteima dygnęła z gracją, rozkładając sute, białe spódnice, demonstrowała jedynie cień zdziwienia.

— Jak Lord Smok rozkaże, tak też i będzie. Wielce jestem rada służyć Lordowi Smokowi.

— Byłem tego pewien — odparł kwaśno Rand. — Mimo że bardzo kochasz męża, nie zechcesz chyba, by ci towarzyszył w Cairhien. Warunki będą ciężkie dla chorego człowieka. Pozwoliłem sobie przenieść go do komnat Wysokiej Damy Estandy. Ona się nim opiekuje podczas twojej nieobecności, a kiedy wydobrzeje, wyprawi go do Cairhien, by do ciebie dołączył.

Estanda uśmiechnęła się zaciętym uśmiechem triumfu. Oczy Alteimy zapadły się w głąb czaszki i runęła bezwładnie na posadzkę.

Moiraine nieznacznie pokręciła głową. Zaiste jest twardszy niż kiedyś. Znacznie groźniejszy. Egwene ruszyła w stronę leżącej kobiety, ale Moiraine położyła dłoń na jej ramieniu.

— Sądzę, że to jedynie z nadmiaru emocji. To raczej bez trudu potrafię rozpoznać. Inne damy się nią zajmą.

Kilka z nich skupiło się wokół Alteimy, klepały ją po nadgarstkach i podsuwały jej pod nos orzeźwiające sole. Zakasłała i otworzyła oczy, na widok stojącej nad nią Estandy wyraźnie miała ochotę zemdleć ponownie.

— Rand zrobił chyba właśnie coś bardzo sprytnego — powiedziała beznamiętnym głosem Egwene. — I bardzo okrutnego. Ma prawo się wstydzić.

Rand istotnie wyglądał na zawstydzonego, krzywił się niemiłosiernie, z wzrokiem wbitym w kamienną posadzkę pod stopami. Być może, mimo swych starań, nie potrafił być aż tak surowy.

— Trudno jednak odmówić mu słuszności — zauważyła Moiraine.

Dziewczyna dobrze się zapowiada, skoro w lot pojęła to, czego nie rozumiała. Nadal jednak musi się uczyć kontrolowania swoich emocji.

— Miejmy nadzieję, że na dzisiaj skończy już z tym sprytem.

Bardzo niewiele ze zgromadzonych w wielkiej komnacie rozumiało dokładnie, co się wydarzyło, poza tym, że omdlenie Alteimy zaniepokoiło Lorda Smoka. Kilku z tyłu wzniosło okrzyki „Na pohybel Cairhien!”, ale nikt tego zawołania nie podjął.

— Z tobą na czele, Lordzie Smoku, podbijemy cały świat! — zawołał jakiś młodzieniec o kluchowatej twarzy, który podtrzymywał Toreana. Estean, najstarszy syn Toreana — podobieństwo kluchowatych twarzy było oczywiste. Jego ojciec nadal coś do siebie mamrotał.

Rand podniósł gwałtownie głowę, wyglądał na zaskoczonego. A może złego.

— Nie będę wam towarzyszył. Ja... wyjeżdżam na jakiś czas.

To naturalnie spowodowało, że znowu zapadła cisza. Oczy wszystkich były zwrócone ku niemu, jego uwaga natomiast skupiła się na *Callandorze*. Tłum wzdrygnął się, gdy przybliżył kryształowe ostrze do twarzy. Ściekały po niej paciorki potu, znacznie obfitsze niż przedtem.

— Kamień chronił *Callandora*, zanim tu przybyłem. Kamień będzie znowu go chronił, dopóki nie powrócę.

Nagle przezroczysty miecz zapłonął w jego rękach. Trzymając *Callandora* za rękojeść, zamachnął się potężnie, po czym opuścił ostrze. Czubek wbił się głęboko w kamienną posadzkę. W stronę kopuły poszybowała łukiem bładobłękitna błyskawica. Zadudniły kamienne ściany, cała forteca zatrzęsała się, posadzka zakołysała, zbijając z nóg krzyczących wniebogłosy ludzi.

Komnatą wciąż jeszcze targały drgania, Moiraine zepchnęła z siebie Egwene i wyprostowała się niezgrabnie. Co on zrobił? I dlaczego? Wyjeżdża? Spełniał się najgorszy ze wszystkich koszmarów, jakie ją kiedykolwiek dręczyły.

Aielowie błyskawicznie poderwali się na nogi. Pozostali leżeli oszołomieni albo kulili się na czworakach. Z wyjątkiem Randa. Klęczał na jednym kolanie, oburącz ścisnął rękojeść *Callandora*, którego ostrze wbite było do połowy w kamienie posadzki. Miecz na powrót stał się przejrzystym kryształem. Na twarzy Randa lśnił pot. Rozczapierzył palce, każdy po kolei, po czym złączył dłonie nad rękojeścią, nie dotykając jej. Przez chwilę Moiraine miała wrażenie, że znowu ją chwyci, ale zmusił się, by powstać. Nie przyszło mu to łatwo, tego była pewna.

— Patrzcie na niego, kiedy mnie nie będzie. — Mówił łagodniejszym głosem, trochę tak, jak wtedy, gdy go znalazła w jego wiosce, ale nie mniej pewnie ani stanowczo niż parę chwil temu. — Patrzcie na niego i pamiętajcie o mnie. Pamiętajcie, że po niego wrócę. Jeśli ktokolwiek zechce zająć moje miejsce, będzie go musiał wyciągnąć. — Pogroził im palcem, śmiejąc się nieomal szelmowsko. — I pamiętajcie, jaka jest cena porażki.

Odwrócił się na pięcie i wymaszerował z komnaty, tuż za nim Aielowie. Wpatrzeni w miecz wystający z posadzki Serca, Tairenianie kolejno powstawali, choć bardzo wolno, niechętnie. Większość miała wyraźną ochotę rzucić się do ucieczki, zanedo jednak byli wystraszeni, by to zrobić.

— No i masz mężczyznę! — burknęła Egwene, otrzepując swą zieloną suknię. — Czy on oszalał? — Przycisnęła dłoń do ust. — Och, Moiraine, on oszalał, prawda? Nie? Jeszcze nie.

— Oby Światłość sprawiła, abyś miała rację — mruknęła Moiraine. Podobnie jak Tairenianie nie mogła oderwać oczu od miecza. Oby Światłość przyjęła tego chłopca. Dlaczego nie jest wciąż tym uległym młodzikiem, którego znalazła w Polu Emonda? Zmusiła się, by pójść za Randem. — Dowiem się. Dowiem.

Prawie biegnąc, wypadły na szeroki, obwieszony gobelinami korytarz. Aielowie, których zasłony zwisały teraz luźno, z łatwością dając się w razie potrzeby podnieść, rozstępowali się na boki, lecz nie zwalniali kroku. Spoglądali na nią i Egwene, nie zmieniając twardego wyrazu twarzy i zwiększając czujność, jaką wywoływał w nich zawsze widok Aes Sedai.

Nie pojmowała, jak mogli się niepokoić, widząc ją, i jednocześnie z całkowitym spokojem podążać za Randem. Zdobywanie o nich wiedzy, wiedzy rzetelnej i dogłębnej, a nie tylko rozproszonych okrucichów, przychodziło z trudem. Swobodnie odpowiadali na pytania — o wszystko, co jej nie interesowało. Informatorzy, podsłuchiwanie, żadna metoda nie przyniosła rezultatów. Przestała już nawet próbować, odkąd znaleziono jedną z kobiet związaną i zakneblowaną, powieszoną za kostki na blankach, nad czterystustopową przepaścią. I odkąd jeden mężczyzna zwyczajnie zniknął, przepadł.

Podobnie jak Aielowie, Rand ani trochę nie zwolnił kroku, gdy Moiraine

i Egwene dogoniły go wreszcie. Jego wzrok też był czujny, ale inaczej, nadto jednak gościły w nim zniecierpliwienie i gniew.

— Myślałem, że wyjechałaś — powiedział do Egwene. — Myślałem, że pojechałaś razem z Elayne i Nynaeve. Powinnaś była to zrobić. Nawet Tanchico jest... Dlaczego zostałaś?

— Nie zostanę długo — odparła Egwene. — Wybieram się do Pustkowiec razem z Aviendhą, do Rhuidean, będę pobierała nauki u Mądrych.

Zgubił krok, kiedy dziewczyna wspomniała o Pustkowiec, zerknął na nią niepewnie, a potem ruszył dalej. Wydawał się teraz opanowany, za bardzo opanowany, przypominał imbryk z przywiązaną pokrywką i zatkanym dzióbkiem, w którym wrze woda.

— Pamiętasz, jak się kąpaliśmy w Wodnym Lesie? — spytał cicho. — Ja pływałem na plecach w stawie i myślałem, że najtrudniejszą rzeczą, jaka mnie w życiu czeka, będzie orka lub strzyżenie owiec. Strzyżenie od wschodu do zachodu słońca, prawie bez żadnych przerw na posiłek, dopóki nie dobiegnie końca.

— Snucie przędzy — powiedziała Egwene. — Tego nienawidziłam bardziej od szorowania podłóg. Od skręcania nitek strasznie bołą palce.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała władcym tonem Moiraine, przerywając im te wspomnienia z dzieciństwa.

Spojrzał na nią z ukosa i uśmiechnął się tak drwiąco, jak to potrafił tylko Mat.

— Czy naprawdę mogłem ją powiesić za to, że próbowała zamordować człowieka, który knuł spisek mający na celu moją śmierć? Czy byłoby w tym więcej sprawiedliwości niż w tym, co zrobiłem? — Uśmiech na jego twarzy zgasł. — Czy jest cokolwiek sprawiedliwe z tego, co robię? Sunamon zawiśnie, jeśli się nie spisze odpowiednio. Bo ja tak powiedziałem. Zasługuje na to, choćby z tego powodu, że czerpał dla siebie korzyści nie dbając, iż jego lud głoduje. Ale przecież nie dlatego pójdzie na szubienicę. Zawiśnie, bo ja tak kazałem. Bo ja tak powiedziałem.

Egwene położyła dłoń na jego ramieniu; ale Moiraine nie pozwoliła mu zbaczać z tematu.

— Wiesz, że nie o to mi chodzi.

Skinął głową i tym razem jego uśmiech był przerażający — krzywy grymas szeroko rozdziawionych ust.

— *Callandor*. Z nim w ręku mogę osiągnąć wszystko. Wszystko. Wiem o tym. Teraz jednak jest tylko ciężarem, który zdjąłem z mych barków. Ty tego nie rozumiesz, prawda?

Nie rozumiała, ale zakłuło, że tak łatwo ją przejrzał. Zachowała milczenie, a on mówił dalej:

— Być może będzie ci łatwiej, jeśli się dowiesz, że wziąłem to z Proctw.

*W serce wbije swój miecz,*



*w samo serce, by ich serca podtrzymać.  
Kto miecz wyciągnie, następcą będzie,  
Czyja dłoń uwolni to ostrze straszliwe?*

— Widzisz? Prosto z Proroctw.

— Zapominasz o jednym — odparła z przekąsem. — Wbiłeś *Callandora* w posadzkę, chcąc spełnienia Proroctwa. Zabezpieczenia, dzięki którym czekał na ciebie trzy tysiące lat, przestały istnieć. To już nie jest Miecz Którego Nie Można Dotknąć. Sama mogłabym go wyswobodzić dzięki Mocy. Co gorsza, może go wyswobodzić każdy Przeklęty. A jeśli Lanfear powróci? Podobnie jak ja nie mogłaby użyć *Callandora*, ale zabrać go może.

Nie zareagował na to imię. Dlatego, że nie bał się jej — wówczas okazałby się głupcem — czy może raczej z jakiegoś innego powodu?

— Jeśli Sammael, Rahvin albo któryś inny z Przeklętych mężczyzn położy dłoń na *Callandorze*, będzie mógł nim władać równie dobrze jak ty. Pomyśl o zmierzeniu się z potęgą, z której tak zwyczajnie zrezygnowałeś. Pomyśl o takiej potędze w rękach Cienia.

— Nieomal mam nadzieję, że spróbują. — W jego oczach, do złudzenia przypominających kłębowisko ołowianych, burzowych chmur, rozbłysło jakieś groźne światło. — Na każdego, kto używając Mocy, spróbuje wynieść *Callandora* z Kamienia, czeka niespodzianka, Moiraine. Nie zastanawiaj się, czy nie zabrać go do Wieży, nie mogłem sprawić, by ta pułapka potrafiła wybierać. Wystarczy Moc, by ją uruchomić i na nowo zastawić. Nie rezygnuję z *Callandora* na zawsze. Ja tylko... — Zrobił głęboki wdech. — *Callandor* tam zostanie, dopóki po niego nie wrócę. Swoją obecnością będzie im przypominał, kim i czym jestem, będzie gwarancją, że do Kamienia mogę wrócić bez armii. To będzie jakby bezpieczna przystań, pełna ludzi podobnych do Alteimy i Sunamona, którzy powitają mnie w niej jak w domu. Jeżeli Alteima przeżyje sprawiedliwość wymierzoną przez Estandę w imieniu jej męża i jeśli Sunamon przeżyje sprawiedliwość wymierzoną przeze mnie. Światłości, co za obrzydliwy galimatias.

Nie potrafił wybierać, czy raczej nie chciał? Postanowiła bezwzględnie, że odtąd nie będzie lekceważyła tego, do czego mógł być zdolny. *Callandor* zatem należał do Wieży, skoro on nie potrafi posłużyć się nim tak, jak powinien, przynajmniej do czasu, dopóki nie zacznie nim władać. „Dopóki”, czyli do kiedy? Miał zamiar powiedzieć coś innego niż „dopóki nie wrócę”. Ale co?

— A dokąd się wybierasz? A może chcesz utrzymać to w tajemnicy? — Przysięgła sobie w duchu, że nie pozwoli mu więcej uciec, że znajdzie jakiś sposób, by go zawrócić z drogi, jeśli postanowił uciec do Dwu Rzek. Rand jednak zaskoczył ją.

— To nie tajemnica, Moiraine. W każdym razie nie przed tobą i Egwene. — Spojrzał na Egwene i powiedział jedno słowo. — Rhuidean.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy, wyglądała na tak zdumioną, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tej nazwy. Moiraine ze swej strony niewiele mniej dała się zaskoczyć. Wśród Aielów rozległ się szmer, gdy jednak obejrzała się przez ramię, kroczyli dalej, na pozór nadal równie obojętni i niewzruszeni. Żałowała, że nie może ich zmusić do wyjazdu, ale oni nie chcieli słuchać jej rozkazów, a Randa nie będzie prosić, by ich odesłał. Nie wyjdzie jej to na dobre, jeśli będzie go prosiła o przysługi, zwłaszcza że mógł równie dobrze odmówić.

— Nie jesteś wodzem klanu Aielów, Rand — oświadczyła stanowczo — i wcale być nim nie musisz. Walkę powinieneś toczyć po tej stronie Muru Smoka. Chyba że... Czy to padło w odpowiedziach, które usłyszałeś w *ter'angrealu*? Cairhien, *Callandor* i Rhuidean? Powiedziałam ci, że te odpowiedzi mogą stanowić zagadki. Mogłeś źle zrozumieć, a to okaże się fatalne w skutkach. Nie tylko dla ciebie.

— Musisz mi zaufać, Moiraine. Tak jak ja tobie.

Równie dobrze mógł być Aielem, sądząc z tego, ile mogła wyczytać z jego twarzy.

— Tym razem ci zaufam. Tylko nie zwlekaj z prośbą o radę, dopóki nie będzie za późno.

„Nie pozwolę ci przejść na stronę Cienia. Za długo pracowałam, by teraz na to pozwolić”.

## Z KAMIENIA

Dziwna to była procesja, którą Rand wyprowadził z Kamienia i powiódł na wschód; pod białymi chmurami zacinającymi popołudniowe słońce, w tchnieniach powietrza wirujących po mieście. Z jego rozkazu nie było żadnego obwieszczenia, żadnej proklamacji, ale mimo to wieść rozchodziła się powoli: obywatele nieruchomości przy aktualnych zajęciach, po czym biegli tam, skąd mogli dogodnie wszystko obserwować. Aielowie maszerowali przez miasto, maszerowali, by z niego wyjść. Ludzie, którzy nie widzieli, jak przybyli tu nocą, którzy jedynie w połowie wierzyli, że w ogóle są w Kamieniu, w coraz to większych grupach gromadzili się wzdłuż ulic, którymi biegła trasa przemarszu, a nawet wspinali się na kryte dachówkami dachy, siadając okrakiem na ich wierzchołkach i zakrzywionych ku górze okapach. Słysząc było szmer — próbowano policzyć Aielów. Tych kilkuset żadną miarą nie mogło pokonać Kamienia. Sztandar Smoka nadal powiewał nad fortecą. W środku musiało jeszcze zostać z tysiąc Aielów. I Lord Smok.

Rand bez żadnego skrepowania jechał w samej koszuli, więc z pewnością nikt z gapiów nie mógł go uznać za kogoś niezwykłego. Cudzoziemiec, dość bogaty, bo jechał konno na wspaniałym, pstrokatym ogierze, znakomitym okazie taireńskiej rasy — jakiś zwykły bogacz, którego otaczała wprawdzie najdziwniejsza z dziwnych kompanii, na pewno jednak zwyczajny człowiek. Nawet nie przywódca tej osobliwej grupy, tytuł ten bez wątpienia należał się Lanowi albo Moiraine, mimo że para ta jechała w pewnej odległości od niego, tuż przed szeregami Aielów. Cichy, pełen zgrozy lęk, który mu towarzyszył podczas jazdy, z pewnością rodził się na widok nie jego, lecz Aielów. Ci mieszkańcy Łzy mogli go wręcz uznać za stajennego, który dosiadł konia swego pana. Chociaż właściwie nie, to nie tak, nie mógłby jechać na czele. W każdym razie dzień był piękny. Po prostu ciepły, upał nie doskwierał. Nikt nie spodziewał się po nim, że dzisiaj będzie wymierzał sprawiedliwość albo rządził krajem. Mógł zwyczajnie cieszyć się jazdą na koniu, anonimowością, cieszyć się nieczęstą bryzą, Mógł chociaż na trochę zapomnieć o piętne czapli, odcisniętym na dłoniach, które ścisnęły teraz wodze.

„Jeszcze trochę przynajmniej — pomyślał. — Jeszcze tylko trochę”.

— Rand — zagadnęła go Egwene — naprawdę uważasz, że należało pozwolić

Aielom zabrać wszystkie te rzeczy?

Rozejrzał się dookoła, a ona tymczasem uderzyła piętami Mgłę, chcąc zbliżyć się do niego. Dostała gdzieś ciemnozieloną suknię z wąskimi, dzielonymi spódniami, a zielona, aksamitna przepaska opasywała włosy nad karkiem.

Moiraine i Lan nadal trzymali się z tyłu, w odległości kilku kroków, ona na białej kłaczy, w niebieskiej, jedwabnej sukni z pełną spódnicą z rozcięciami wypełnionymi zielenią, z ciemnymi włosami ujętymi w złotą siatkę, on na wielkim, czarnym rumaku, w mieniącym się płaszczu Strażnika. Ten płaszcz wywoływał zapewne tyle samo „ochów” i „achów” jak Aielowie. Kiedy połamami targał wiatr, zaczynał opalizować odcieniami zieleni, brązu i szarości; nieruchomy wydawał się wtapiać w tło i wówczas wzrok zdawał się na wylot przenikać Lana i jego wierzchowca. Nie był to szczególnie przyjemny widok.

Towarzyszył im również Mat, zgarbiony, z miną pełną rezygnacji, starał się trzymać z dala od Strażnika i Aes Sedai. Wybrał sobie kasztanowego wałacha o nieokreślonym wyglądzie — nazwał go Oczko — jedynie wprawne oko mogło dostrzec głęboką pierś i silne kłęby, które obiecywały, że Oczko z tym swoim tępych pyskiem dorówna ogierowi Randa albo Lana chyżością i wytrzymałością. Decyzja Mata, że jedzie z nimi, stanowiła niespodziankę, Rand wciąż nie wiedział, dlaczego przyjaciel się zdecydował. Może z przyjaźni, a może wcale nie. Mat potrafił zachowywać się dziwnie, czasami z błahych powodów.

— Czy twoja przyjaciółka Aviendha nie wyjaśniła ci, co to jest „jedna piąta”? — zapytał.

— Coś wspomniała, ale... Rand, nie sądzisz, że ona też... zabrała... jakies rzeczy?

Za Moiraine i Lanem, za Matem, za prowadzącym ich Rhuarkiem, szli długimi kolumnami Aielowie, z dwu stron otaczając sznur obładowanych, jucznych mułów, szereg za szeregiem, po czterech ramię w ramię. Obyczaj — a może prawo, Rand dokładnie tego nie pojął — stanowił, że Aielowie, którzy zdobyli siedzibę któregoś z wrogich klanów na Pustkowiu, zabierali jedną piątą wszystkich jej dóbr, z wyjątkiem żywności. Nie widzieli powodu, dla którego mieliby potraktować Kamień w inny sposób. Aczkolwiek muły dźwigały nie więcej niż najdrobniejszą cząstkę cząstki jednej piątej skarbów Kamienia. Rhuarc powiedział, że chciwość zabiła więcej ludzi niż stal. Wiklinowe kosze, wypełnione po brzegi zrolowanymi dywanami i gobelinami, nie obciążały nadmiernie grzbietów jucznych zwierząt. Czekala ich zapewne trudna przeprawa przez Grzbiet Świata, a potem następna, o wiele cięższa, przez Pustkowie.

„Kiedy im powiedzieć? — zastanawiał się. — Już niedługo, na pewno niedługo”.

Moiraine bez wątpienia uzna, że to brawura, akt zuchwalstwa, może jednak nawet pochwali. Może. Ona teraz myśli, że zna cały plan i nie wchodzi w paradę swą dezaprobatą, chce zapewne, by to się dokonało, najrychlej jak się da. Ale

Aielowie. . .

„A jeśli odmówią? Cóż, odmówią, to odmówią. Muszę to zrobić”.

A co do tej jednej piątej. . . Nie sądził, że dałoby się powstrzymać Aielów przed zabraniem jej, nawet gdyby chciał, a wcale nie chciał, zapracowali na swoją nagrodę i nie miał ochoty pomagać taireńskim lordom w zachowaniu tego, co przez całe pokolenia wydzielali swemu narodowi.

— Zauważyłem, jak pokazywała Rhurcowi jakąś srebrną misę — powiedział głośno. — Jej sakwa zabrzęczała, kiedy wpychała misę z powrotem, więc musiała kryć więcej srebra. A może złota. Tobie się to nie podoba?

— Nie. — To słowo wymówiła powoli, z odcieniem wątpliwości, ale potem jej głos nabral stanowczości. — Po prostu nie sądziłam, że ona. . . Tairenianie nie przystaliby na jedną piątą, gdyby sytuacja była odwrotna. Zagrabiliby wszystko, co nie stanowi części kamiennych konstrukcji i pokradliby wozy, by mieć na czym targać łup. To, że czyjeś obyczaje są odmienne, wcale nie oznacza, że są złe, Rand. Powinieneś to wiedzieć,

Zaśmiał się cicho. Przypomniał sobie dawne czasy, gdy on był gotów wyjaśniać, dlaczego i w czym ona się myli, a ona podważała jego stanowisko, podsuwając mu jego własne wyjaśnienia, których nawet nie zdążył wygłosić. Ogierowi Randa musiał udzielić się jego nastrój, bo kilka następnych kroków pokonał taneicznymi płasami. Rand poklepał wygięty w łuk kark. Miły dzień.

— Wspaniały koń — pochwaliła. — Jak go nazwałeś?

— Jeade'en — odparł ostrożnie, tracąc nieco dobry nastrój. Trochę się wstydził tego imienia, powodów, dla których je wybrał. Jedną z jego ulubionych książek były zawsze *Podróże Jaina Długi Krok*, którego tytułowy bohater, ten wielki podróżnik nazwał swego konia Jeade'en — „Prawdziwy Znalazca” w Dawnej Mowie — jako że to zwierzę zawsze potrafiło odnaleźć drogę do domu. Miło było wierzyć, że Jeade'en któregoś dnia zawiezie go do domu. Miłe, ale mało prawdopodobne, a on nie chciał, by ktoś się domyślił, dlaczego wybrał takie imię. W jego życiu nie było teraz miejsca na chłopięce fantazje. W ogóle brakowało w nim miejsca na wszystko inne prócz tego, co musiał zrobić.

— Ładne imię — powiedziała nieobecny głosem.

Wiedział, że ona też czytała tę książkę, i częściowo spodziewał się, że rozpozna imię, zdawała się jednak dumać o czymś innym, w zamyśleniu żując dolną wargę.

To milczenie go cieszyło. Skończyły się ostatnie skrawki miasta, ustępując miejsca dzikim okolicom i żalosnym, samotnym farmom. Nawet Congarowie albo Coplinowie, rodziny z Dwu Rzek sławne między innymi ze swego lenistwa, nie potrafiliby doprowadzić jakiegoś miejsca do tak opłakanego stanu, w jakim znajdowały się te domy z nie obrobionego kamienia, ze ścianami tak pokrzywionymi, jakby zaraz miały runąć na grzebiące w ziemi kury. Zapadnięte stodoły opierały się na krzewach wawrzynu albo drzewach przyprawowych. Wszystkie dachy, po-

kryte popękkanymi ewentualnie połamanymi dachówkami, wyglądały tak, jakby przeciekały. W kamiennych zagrodach, które równie dobrze mogły zostać pospiesznie sklecone tego ranka, smutno pobekiwały kozy. Na polach bez ogrodzeń garbili się nad motykami bosy mężczyźni i kobiety, nawet nie podnosząc wzroku, choć mijają ich tak wielka grupa ludzi. Ćwierkanie czerwodziobów i drozdów w niewielkich zaroślach nie wystarczało, by rozproszyć tę posępną, przygniatającą atmosferę.

„Muszę coś z tym zrobić. Ja. . . Nie, nie teraz. Najpierw najważniejsze. Zrobiłem dla nich, co było można w ciągu paru tygodni. Na razie nie mogę zrobić nic więcej”.

Starął się nie patrzeć na zrujnowane farmy. Czy gaje oliwne na południu znajdują się w równie opłakanym stanie? Ludzie, którzy przy nich pracują, nie posiadają nawet własnej ziemi, gdyż wszystko należy do Wysokich Lordów.

„Dość. Ta bryza. Jak miło łagodzi upał. Trochę jeszcze mogę się nią cieszyć. Muszę im powiedzieć, już niedługo”.

— Rand — odezwała się nagle Egwene. — Chcę z tobą porozmawiać.

O czymś poważnym, sądząc z wyrazu jej twarzy, a utkwione w nim wielkie, ciemne oczy wypełniało światło, które odległe przypominało mu Nynaeve, gdy się zabierała do wygłoszenia kazania.

— Chciałabym porozmawiać o Elayne.

— Co z nią? — spytał czujnie. Dotknął sakwy, w której dwa listy gniotły się razem z małym, twardym przedmiotem. Gdyby nie to, że napisała je ta sama elegancka, zamaszysta ręka, nigdy by nie uwierzył, że pochodzą od tej samej kobiety. I to po tych pocałunkach i pieszczotach. Łatwiej zrozumieć Wysokich Lordów niż kobiety.

— Dlaczego pozwoliłeś jej wyjechać w taki sposób?

Zaskoczony wytrzeszczył oczy.

— Sama chciała wyjechać. Musiałbym ją zwięzać, aby ją zatrzymać. Poza tym w Tanchico będzie bezpieczniejsza niż blisko mnie albo Mata, jeśli Moiraine ma rację twierdząc, że będziemy przyciągać bańki zła. Ty też będziesz bezpieczniejsza.

— Zupełnie nie o to mi chodzi. Pewnie, że sama chciała jechać. A ty nie miałeś prawa jej zatrzymać. Ale dlaczego jej nie powiedziałeś, że chcesz, by została?

— Chciała jechać — powtórzył i jeszcze bardziej się zmieszał, kiedy przewróciła oczami, jakby mówił zupełnie od rzeczy. Skoro nie miał prawa zatrzymać Elayne, a ona chciała jechać, to dlaczego miałby jej to wybijać z głowy? Zwłaszcza że wyjazd zapewnił jej większe bezpieczeństwo.

Usłyszał Moiraine, tuż za swymi plecami.

— Jesteś gotów zdradzić mi kolejną tajemnicę? Było jasne, że coś przede mną ukrywasz. Przynajmniej mogłabym ci powiedzieć, czy prowadzisz nas na skraj urwiska.

Westchnął. Nie zauważył, że ona i Lan go doganiają. A oprócz nich Mat, mimo że stale trzymał się z dala od Aes Sedai. Przez twarz Mata przebiegały kolejno zaduma, zwątpienie, niechęć i ponura determinacja, zwłaszcza wtedy, gdy zerkał na Moiraine. W ogóle nie patrzył na nią otwarcie, jedynie kątem oka.

— Jesteś przekonany, że chcesz jechać, Mat? — spytał go Rand.

Mat wzruszył ramionami i zdobył się na niezbyt pewny uśmiech.

— Kto by zrezygnował z szansy zwiedzenia cholernego Rhuidean?

Egwene spojrzała na niego spod uniesionych brwi.

— Och, wybacz ten język, Aes Sedai. Ale sam słyszałem, jak mówisz równie nieładnie, i to w mniej niewygodnych okolicznościach, idę o zakład, że tak naprawdę było.

Egwene spojrzała na niego z oburzeniem, ale kolorowe plamy, wykwitające na jej policzkach mówiły nieomylnie, że trafił w sedno.

— Ciesz się, że Mat tu jest — powiedziała Moiraine głosem chłodnym i niezadowolonym. — Popełniłeś poważny błąd, pozwalając Perrinowi uciec i ukrywając to przede mną. Cały świat spoczywa na twoich barkach, ale oni muszą cię wspierać, bo inaczej przegrasz, a świat razem z tobą.

Mat wzdrygnął się, a Randowi wydało się, że lada chwila zawróci swego wacacha i z miejsca odjedzie w przeciwną stronę.

— Znam swe powinności — odparł.

„I swoje przeznaczenie” — pomyślał, ale nie powiedział tego na głos; nie prosił o współczucie.

— Jeden z nas musiał wrócić, Moiraine, a Perrin tego chciał. Ty dla ratowania świata jesteś gotowa pozwolić, by wszystko inne przypadło. A ja... robię to, co muszę.

Strażnik pokiwał głową, ale nic nie powiedział, nie sprzeczałby się z Moiraine w obecności innych ludzi.

— A następna tajemnica? — dopytywała się nieustępliwie. Nie chciała się poddać, dopóki nie wywlecze z niego sekretu, on zaś, w rzeczy samej, i tak nie miał powodu, by dłużej go przed nią taić. Przynajmniej tę kwestię.

— Kamienie Portalu — odparł zwięźle. — Jeśli będziemy mieli szczęście.

— Na Światłość! — jęknął Mat. — Na cholerną, przeklętą Światłość! Nie krzyw się tak na mnie, Egwene! Szczęście? Czy raz to nie dość, Rand? Omal nas nie zabiłeś, pamiętasz? Nie, gorzej niż zabiłeś. Wolałbym zawrócić do którejś z tych farm i poprosić o dożywotnią pracę przy świniami.

— Możesz pójść własną drogą, jeśli chcesz, Mat — odparł Rand.

Spokojna twarz Moiraine stanowiła w istocie maskę skrywającą furję, ale zignorował jej lodowaty wzrok, którym desperacko próbowała ujarzmić jego język. Nawet Lan wyraźnie nie pochwalał jego decyzji, czuł to, mimo że twarz tamtego w ogóle nie uległa zmianie — Strażnik wierzył, że obowiązek to najważniejsza

rzecz. Rand chciał spełnić swoją powinność, ale jego przyjaciele... Nie lubił nikogo do niczego zmuszać, a tym bardziej przyjaciół. Tego przynajmniej uniknie, z całą pewnością.

— Nie masz żadnego powodu, by jechać do Pustkowie.

— A właśnie, że mam. W każdym razie... A niech szczenę! Mam tylko jedno życie do stracenia, prawda? Więc czemu nie w taki sposób? — Mat roześmiał się nerwowo i nieco opętańczo. — Cholerne Kamienie Portalu! Światłości!

Rand skrzywił się, to o nim wszyscy mówili, że jest skazany na obłąd, a tymczasem Mat naprawdę wydawał się znacznie mu bliższy.

Egwene z troską przyjrzała się Matowi, ale uwaga jej skupiała się przede wszystkim na Randzie.

— Rand, Verin Sedai opowiadała mi trochę o Kamieniach Portalu. Opowiadała mi o... o tej twojej wyprawie. Naprawdę masz zamiar to zrobić?

— Ja to muszę zrobić, Egwene. — Naprawdę musiał błyskawicznie przenosić się z miejsca na miejsce, a nie istniała szybsza droga od Kamieni Portalu. Pozostałości Wieku starszego od Wieku Legend, których nawet Aes Sedai z Wieku Legend, jak się zdaje, do końca nie zbadaly. Nie było szybszego sposobu. O ile rzeczywiście ten sprawdzi się, jak na to liczył.

Moiraine cierpliwie wysłuchiwała tej wymiany zdań. Szczególnie kwestii Mata, aczkolwiek Rand nie rozumiał dlaczego.

— Verin mi również opowiedziała o twojej wyprawie, podczas której korzystałeś z Kamieni Portalu — powiedziała. — Brało w tym udział tylko kilku ludzi i koni, nie zaś setki, a nawet wówczas omal ich wszystkich nie pozabijałeś, tak przynajmniej twierdzi Mat. Poza tym nie jest to raczej doświadczenie, które chciałoby się powtarzać. Nie przyniosło również takich rezultatów, jakich się spodziewałeś. Nadto potrzebna była ci spora porcja Mocy, której niemal wystarczyło, by zabić... przynajmniej ciebie, tak utrzymuje Verin. Nawet jeśli zostawisz większość Aielów, to czy odważysz się na ryzyko takiej próby?

— Muszę to zrobić — powiedział, obmacując sakwę, przez jej płótno czuł mały, twardy kształt ukryty między listami; Moiraine jednak mówiła dalej, jakby wcale się nie odezwał.

— Jesteś pewien, że na Pustkowie jest jakiś Kamień Portalu? Verin z pewnością wie więcej o nich niż ja, ja jednak nigdy o żadnym nie słyszałam. Jeśli tam jest, to czy wypuści nas w jakimś miejscu bliższym Rhuidean niż to?

— Jakies sześćset lat temu — odparł — pewien wędrowny kupiec chciał zwiedzić trochę Rhuidean.

Innym razem przyjemnie byłoby, dla odmiany, jej udzielić wykładu. Ale nie dzisiaj. Zbyt wielu rzeczy nie wiedział.

— Ów jegomość najwyraźniej niczego nie zobaczył, twierdził natomiast, jakoby widział złote miasto, wysoko w chmurach, które płynęło ponad górami.



— Na Pustkowie nie ma żadnych miast — powiedział Lan — ani w chmurach, ani na ziemi. Walczyłem z Aielami. Oni nie mają miast.

Egwene skinęła głową.

— Aviendha mi wyznała, że dopóki nie wyjechała z Pustkowie, nigdy nie widziała żadnego miasta.

— Może i tak — powiedział Rand. — Ale ten kupiec widział również coś, co wystawało ze zbocza jednej z gór. Kamień Portalu. Opisał go idealnie. Nie ma nic innego, co by przypominało Kamień Portalu. Kiedy ja opisałem go głównemu bibliotekarzowi w Kamieniu. . . — nie dodał, czego wówczas szukał — . . . on, mimo że nie wiedział, co to takiego, rozpoznał go, na tyle przynajmniej, by wskazać mi cztery na starej mapie Łzy. . .

— Cztery? — zdziwiła się Moiraine. — Wszystkie w Łzie? Kamienie Portalu nie występują tak powszechnie.

— Cztery — powtórzył zdecydowanie Rand.

Stary, kościsty bibliotekarz był pewien, wygrzebał nawet zniszczony, pożółkły manuskrypt, który opowiadał o wysiłkach przeniesienia „nieznanych artefaktów z wcześniejszego Wieku” do Wielkiej Przechowalni. Kolejne próby zawiodły i Tairenianie poddali się wreszcie. To dla Randa stanowiło potwierdzenie, Kamienie Portalu stawiały opór przy próbie ich przestawienia.

— Jeden znajduje się w odległości niecałej godziny jazdy od miejsca, w którym się właśnie znajdujemy — kontynuował. — Aielowie pozwolili kupcowi odejść, jako że był zwykłym kupcem, który miał przy sobie tylko muła i taką ilość wody, jaką był w stanie udźwignąć na swym grzbiecie. Udało mu się w końcu dotrzeć aż do *stedding* w Grzbiecie Świata, gdzie spotkał człowieka, zwanego Sorran Milo, który pisał książkę zatytułowaną *Zaborcy spod znaku czarnego woala*. Bibliotekarz przyniósł mi sfatygowany egzemplarz, kiedy poprosiłem o książki na temat Aielów. Milo najwyraźniej oparł wszystko, co napisał, na swych spotkaniach z Aielami, którzy przybywali do *stedding* handlować, a zresztą według Rhuarc i tak wszystko opisał źle, niemniej Kamień Portalu nie może być niczym innym, jak tylko Kamieniem Portalu.

Przestudiował kilkanaście innych map i rękopisów, rzekomo poznając Łzę i jej historię, poznając kraj — nikt nie mógł wpaść na to, co naprawdę zamierza, dowiedzieli się o tym dopiero teraz, przed kilkoma minutami.

Moiraine pociągnęła nosem, a siwa klacz, Aldieb, wykonała kilka żwawych kroków, wzmagając jej irytację.

— Podejrzana historia opowiedziana przez rzekomego kupca, który twierdził, że widział złote miasto płynące w chmurach. Czy Rhuarc widział ten Kamień Portalu? On przecież był w Rhuidean, Nawet jeśli kupiec rzeczywiście trafił do Pustkowie i rzeczywiście widział Kamień Portalu, mogło mieć to miejsce dokładnie wszędzie. Człowiek, który opowiada jakąś historię, zazwyczaj stara się upiększyć rzeczywistość. Miasto w chmurach?

— Skąd wiesz, że jest inaczej? — spytał. Rhurarc zazwyczaj witał śmiechem wszystkie te błędne informacje, które Milo przekazał na temat Aielów, ale w kwestii Rhuidean nie okazał się do tego stopnia wylewny. Stropił się raczej, można by rzec. Aielowie nie chcieli nawet komentować tych części książki, które rzekomo dotyczyły Rhuidean. Rhuidean jest położone na terenach będących własnością Jenn Aiel, klanu, którego nie ma — to było mniej więcej wszystko, co Rhurarc zechciał powiedzieć. O Rhuidean nie należało mówić.

Aes Sedai nie była szczególnie zachwycona tą lekceważącą uwagą, on jednak nie dbał o to. Za wiele tajemnic trzymała dla siebie, za często kazała mu ślepo robić to, czego chciała. Więc teraz kolej na nią. Powinna wreszcie zrozumieć, że on nie jest jakąś tam kukielką.

„Przyjmę jej radę, gdy uznam, że jest słuszna, ale już nigdy więcej nie będę tańczył, jak mi zagra Tar Valon”.

Zginie na własnych warunkach.

Egwene podjechała bliżej na swym siwym koniu, prawie stykali się teraz kolanami.

— Rand, naprawdę masz zamiar ryzykować nasze życie, opierając się na... przypadku? Rhurarc nic ci nie powiedział, prawda? Kiedy ja pytałam Aviendhę o Rhuidean, zamykała się szczelnie jak skorupa orzecha.

Mat miał taką minę, jakby go mdliło.

Rand zachował nieruchomą twarz, nie zdradzając ani cienia wstydu. Nie chciał straszyć swoich przyjaciół.

— Tam jest Kamień Portalu — upierał się. Znowu potarł twardy kształt ukryty w sakwie. Musi mu pomóc.

Mapy, które pokazał mu bibliotekarz, były stare, ale w pewnym stopniu okazały się przydatne. Łąki, które teraz przemierzali, w czasach, gdy sporządzano te mapy, porośnięte były lasami, ale drzew pozostało już po nich niewiele: z rzadka rozsiane, skupione w mizerne zagajniki białe dęby, sosny, a także wysokie, samotne drzewa, których nie znał, z powyginanymi, wrzecionowatymi pniami. Z łatwością potrafił rozpoznać ukształtowanie terenu, wzgórze, obecnie porośnięte przeważnie wysokimi trawami.

Na mapach dwa wysokie, wygięte grzbiety, położone blisko siebie, były zwrócone w stronę skupiska okrągłych wzgórz, na których stał Kamień Portalu. O ile te mapy sporządzono właściwie. O ile bibliotekarz rzeczywiście zrozumiał jego opis i miał rację twierdząc, że zielony znak w kształcie diamentu naprawdę oznacza starożytne ruiny.

„Po cóż miałby kłamać? Robię się zanadto podejrzliwy. Nie, ja muszę być podejrzliwy. Ufny jak jadowity wąż i równie zimny”.

Wcale jednak mu się to nie podobało.

Na północy widział jedynie nagie wzgórze pocętkowane małymi, ruchomymi plamkami; z pewnością konie. Stada Wysokich Lordów, które pasły się w miej-

scu, gdzie ongiś był gaj ogirów. Miał nadzieję, że Perrin i Loial przejechali tędy bezpiecznie.

„Pomóż im, Perrin — pomyślał. — Pomóż im jakoś, bo ja nie mogę”.

Widok gaju ogirów oznaczał, że te pofałdowane grzbiety muszą być już blisko i niebawem wypatrzył je na południu, podobne do dwóch strzał, umieszczonych jedna w drugiej, kilka drzew rosnących rzędem na szczycie tworzyło cienką linię na tle nieba. Za nimi, niskie, owalne wzgórza, podobne do porośniętych trawą baniek, zachodziły jedno na drugie. Więcej wzgórz niż na starej mapie. Za wiele, skoro cała ich grupa miała zajmować mniej niż kwadratową milę. A jeśli mapa niewiernie oddaje rzeczywistość, jak się przekonać, na zboczu którego wzgórza znajduje się Kamień Portalu?

— Aielowie są liczni — cicho podpowiedział Lan — i mają bystry wzrok.

Rand skinął głową z wdzięcznością i ściągnął wodze Jeade'ena, zostając w tyle, by przedstawić problem Rhuarcowi. Opisał tylko Kamień Portalu nie mówiąc, czym on jest — starczy na to czasu, gdy zostanie odnaleziony. Nauczył się już zatajania tajemnic. Zresztą Rhuarc prawdopodobnie nie miał pojęcia, czym jest Kamień Portalu. Mało kto je miał, z wyjątkiem Aes Sedai. On sam nie wiedział, co to takiego, dopóki mu nie wyjaśniły.

Kroczący wielkimi krokami obok pstrokatego ogiera Aiel skrzywił się lekko — tym samym grymasem niepokoju co większość pozostałych — po czym skinął głową.

— Poszukamy tego. — Podniósł głos. — *Aethan Dor! Far Aldazar Din! Du-adhe Mahdi'in! Far Dareis Mai! Seia Doon! Sha'mad Conde!*

Gdy tylko przebrzmiał jego rozkaz, członkowie wymienionych społeczności wojowników wybiegli naprzód, w rezultacie jedna czwarta wszystkich Aielów skupiła się wokół niego i Randa. Czerwone Tarcze. Bracia Orła. Poszukiwacze Wody. Panny Włóczni. Czarne Oczy. Wędrowcy Grzmotu.

Rand wyłuskał wśród nich przyjaciółkę Egwene, Aviendhę, wysoką, piękną kobietę o hardym spojrzeniu pozbawionym choć cienia wesołości. Panny strzegły jego drzwi, ale nie myślał, by spotkał ją wcześniej, to znaczy zanim Aielowie zebrali się razem przed wyjazdem z Kamienia. Spojrzała na niego, dumnie, niczym zielonooki jastrząb, a potem odrzuciła głowę i przeniosła uwagę na wodza klanu.

„Cóż, chciałem być znowu zwyczajnym człowiekiem” — pomyślał z pewnym smutkiem. Z pewnością od Aielów nie mógł oczekiwać innego traktowania. Nawet wódz klanu cieszył się u nich tylko posłuchem opartym na szacunku, pozbawionym śladu tej uległości, którą wymuszali rozmaici lordowie w pozostałej części świata, a więc podporządkowywano się jego decyzjom, ale uważano za równego sobie. On sam również niewiele więcej mógł się od nich spodziewać.

Rhuarc związłymi słowami wydał instrukcje i przywołani Aielowie, rozstawieni w wachlarz, rozbiegli się swobodnymi, sprężystymi krokami po pokrytym wzgórzami terenie. Niektórzy na wszelki wypadek zasłonili twarze. Reszta cze-

kała, stojąc albo kucając obok obładowanych mułów.

Reprezentowali niemal wszystkie klany wraz z kilkoma takimi, które łączyła waśń krwi, i takimi, które toczyły między sobą walki — z wyjątkiem Jenn Aiel rzecz jasna. Randowi nie udało się dowiedzieć, czy Jenn rzeczywiście istnieją, jako że z rzadkich wzmianek Aielów nic pewnego nie wynikało. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, co ich trzyma razem. Czy tylko proroctwa o upadku Kamienia i poszukiwaniu Tego Który Przychodzi ze Świtem?

— Coś więcej — rzekł Rhuarc, a Rand uświadomił sobie, że wypowiedział swe myśli na głos. — „Proroctwo zawiodło nas na drugą stronę Muru Smoka, a nazwa, której się nie wymawia, do Kamienia Łzy”.

Nazwa, o którą mu chodziło, brzmiała „Lud Smoka”, tajemne określenie Aielów, znali ją i używali jedynie wodzowie klanów oraz Mądre, bardzo rzadko i tylko w rozmowach między sobą.

— A reszta? Nikomu, ma się rozumieć, nie wolno przelewać krwi kogoś z tej samej społeczności, jednakże łączenie Shaarad z Goshien, Taardad i Nakai z Shaido... Nawet ja mógłbym wykonać taniec włóczni z Shaido, gdyby Mądre nie nakazały każdemu, kto pokonał Mur Smoka, złożyć przysięgę wody, że po tamtej stronie gór każdy Aiel ma być traktowany jako członek jednej społeczności. Nawet ci podstępni Shaido... — Lekko wzruszył ramionami. — Rozumiesz? To nie jest łatwe, nawet dla mnie.

— Czy Shaido to twoi wrogowie? — Rand z trudem wygrzebał z pamięci to określenie, w Kamieniu bowiem nie używano nazw klanów Aielów.

— Uniknęliśmy waśni krwi — odparł Rhuarc — ale między Taardad i Shaido nigdy nie było przyjaźni, szczepy te napadają czasem na siebie, kradnąc sobie kozy i krowy. Niemniej jednak przysięgi chronią nas przed trzema waśniami krwi i kilkunastoma odwiecznymi nienawiściami, które dzielą klany albo szczepy. To przyda się teraz, podczas naszej wyprawy do Rhuidean, nawet jeśli niektórzy odejdą od nas wcześniej. Nikt nie może przelać krwi kogoś, kto wyprawia się do Rhuidean albo stamtąd powraca. — Aiel spojrzał na Randa, twarz miał kompletnie wyzutą z wszelkiego wyrazu. — Możliwe, że wkrótce nikt z nas nie będzie już przelewał niczyjej krwi.

Nie dawało się orzec, czy ta perspektywa go cieszy.

Rozległo się jakieś pohukiwanie; była to jedna z Panien, stała na szczycie wzgórza i wymachiwała ramionami nad głową.

— Zdaje się, że znaleźli te twoje kamienne kolumny — orzekł Rhuarc.

Ściągając wodze, Moiraine obdarzyła Randa zimnym spojrzeniem, kiedy ją mijał, zwawo bijąc piętami boki Jeade'ena, by go przymusić do galopu. Egwene skierowała swą klacz w stronę Mata, po czym wychyliła się z siodła i przytrzymała jedną dłoń jego łęku, chcąc go wciągnąć do poufnej rozmowy. Wyraźnie starała się go zmusić, by coś jej wyznał albo przyznał się do czegoś; sądząc po gwałtowności jego ruchów, był albo niewinny jak dziecko, albo łgał jak z nut.

Rand wyskoczył z siodła i pośpiesznie wspiął się na łagodne zbocze, by obejrzeć to, co znalazła Panna — była to Aviendha — przedmiot do połowy zagrzebany w ziemi i ukryty w wysokiej trawie. Zwiertzała kolumna z szarego kamienia, długości co najmniej trzech piędzi, o średnicy kroku. Każdy odstłonięty cal powierzchni pokrywały dziwaczne symbole, wszystkie otoczone wąską linią znaków, które uznał za pismo. Nawet gdyby mógł odczytać ten język — jeśli to był w ogóle język — to litery dawno temu zatarły się w takim stopniu, że nie dawały się odcyfrować. Nieco łatwiej było wyróżnić symbole, choć niektóre z nich były zapewne śladami erozji wywołanej przez deszcz i wiatr.

Rozsunął trawy, by móc lepiej widzieć, i zerknął na Aviendhę. Opuściła *shoufe* na ramiona, obnażając krótkie, rudawe włosy, i obserwowała go z niewzruszoną, twardą miną.

— Nie lubisz mnie — zauważył. — Dlaczego?

Musiał znaleźć jeden symbol, ten jedyny, który znał.

— Lubić ciebie? — spytała. — Możesz być Tym Który Przychodzi Ze Świtem, człowiekiem przeznaczenia. Kto mógłby lubić albo nie lubić takiego? Poza tym jesteś wolny, mieszkaniec mokrych ziem, choć z obliczem pasującym do mego ludu, który wybiera się do Rhuidean po honor, podczas gdy ja. . .

— Podczas gdy ty? — powtórzył, kiedy umilkła. Szukał powoli, posuwając się w górę. Gdzie to jest? Dwie równoległe, faliste linie przecięte dziwacznym zakrętasem.

„Światłości, jeśli jest pod ziemią, to na jego odgrzebanie stracimy kilka godzin”.

Roześmiał się nagle. Wcale nie kilka godzin. Wystarczy przenieść Moc i wydzwignąć to coś z ziemi, mogą tego dokonać również Moiraine czy Egwene. Kamienia Portalu nie da się wprawdzie przesunąć, ale z pewnością można go trochę podnieść. Nie znajdzie natomiast tych falistych linii za pomocą przenoszenia. Pozostawało jedynie szukanie po omacku, ślepe błądzenie palcami po kamiennej powierzchni.

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna zwinnym ruchem przykucnęła, układając krótkie włócznie na kolanach.

— Źle potraktowałeś Elayne. Mnie by to nie obeszło, ale Elayne jest prawie siostrą Egwene, która jest moją przyjaciółką. A jednak Egwene nadal cię lubi, więc przez wzgląd na nią ja też się postaram.

Nadal przebiegał palcami po powierzchni masywnej kolumny, potrząsnął głową. Znowu ta Elayne. Czasami miał wrażenie, że wszystkie kobiety należą do jakiejś gildii, tak jak rzemieślnicy w miastach. Postąpisz źle z jedną, a już wie o tym i wyraża swą dezaprobatę dziesięć innych, które napotkasz.

Palce znieruchomiały, powróciły do miejsca, które dopiero co zbadał. Mocno zatarte, prawie nie do rozpoznania, ale był pewien, że to te same faliste linie. Symbolizowały Kamień Portalu na Głowie Tomana, nie zaś na Pustkowiu, jednakże

oznaczały miejsce, gdzie w czasach kiedy kolumna stała jeszcze pionowo, znajdowała się jej podstawa. Symbole na szczycie reprezentowały światy, te na dole Kamienia Portalu. Podobno gdyby znał jeden na górze i jeden na dole, mógłby się wyprawić do danego Kamienia Portalu w danym świecie. Wiedział, że znając tylko jeden na dole, dotrze do Kamienia Portalu w tym świecie. Na przykład do Kamienia Portalu koło Rhuidean. Gdyby znał jego symbol. Nadszedł czas, gdy potrzebował szczęścia, targnięcie *ta'veren* musiało pokierować losem na jego korzyść.

Czyjaś dłoń sięgnęła mu przez ramię, usłyszał niechętny głos Rhuarca:

— Te dwa w dawnych tekstach symbolizują Rhuidean. Dawno temu, gdy sama nazwa jeszcze nie pojawiała się w pisemnej formie. — Obwiodł palcem dwa trójkąty, w środku których mieściło się coś podobnego do rozszczepionych błyskawic, jeden skierowany był w lewo, drugi w prawo.

— Czy wiesz, co to jest? — spytał Rand. Aiel odwrócił wzrok. — Niech skonam, Rhuarc, muszę wiedzieć. Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale musisz mi powiedzieć. Powiedz mi, Rhuarc. Widziałeś już kiedyś coś takiego?

Drugi mężczyzna zrobił głęboki wdech, zanim odpowiedział.

— Widziałem już kiedyś. — Każde słowo brzmiało tak, jakby wyciągano je z niego siłą. — Gdy jakiś człowiek udaje się do Rhuidean, Mądre i członkowie klanu czekają na niego na zboczach Chaendaer, w pobliżu podobnego kamienia. — Aviendha wstała i sztywno wyprostowana odeszła na bok, Rhuarc zerknął na nią krzywiąc się. — Nic więcej nie wiem, Randzie al'Thor. Obym nigdy nie zaznał cienia, nie wiem.

Rand powiódł palcem po nie dającym się odczytać piśmie, które otaczało trójkąty. Który to? Tylko jeden zabierze go tam, dokąd chce się udać. Drugi może go posłać na przeciwległy kraniec świata albo na dno oceanu.

Pozostali Aielowie zebrali się już u stóp wzgórza, razem ze swymi mułami. Moiraine i inni zsiadli z koni, a potem, prowadząc je za sobą, wspięli się na łagodne zbocze. Mat zajmował się Jeade'ennem i swoim brązowym wałachem, trzymając ogiera w sporej odległości od Mandarba Lana. Odkąd przestali ich dosiadać jeźdźcy, dwa ogiery piorunowały się wzrokiem.

— Ty naprawdę nie wiesz, co robisz, prawda? — zaprotestowała Egwene. — Moiraine, powstrzymaj go. Możemy pojechać do Rhuidean konno. Dlaczego pozwalasz mu to ciągnąć? Dlaczego nic nie mówisz?

— A co byś proponowała? — spytała oschle Aes Sedai. — Raczej nie mogę go wytargać za uszy. Może zaraz zobaczymy, do czego tak naprawdę przydaje się Śnienie.

— Śnienie? — spytała ostro Egwene. — Co ma z tym wspólnego Śnienie?

— Zechcecie się obie uciszyć? — Rand zmusił się, by mówić cierpliwym głosem. — Staram się podjąć decyzję.

Egwene spojrzała na niego z oburzeniem, Moiraine nie zdradziła żadnych emocji, ale przypatrywała się z napięciem.

— Czy musimy to robić w taki sposób? — spytał Mat. — Co masz przeciwko konnej jeździe? — Rand tylko popatrzył na niego, na co tamten, najwyraźniej zakłopotany, odpowiedział wzruszeniem ramion. — A niech skonam. Skoro próbujesz podjąć decyzję. . .

Wciąż trzymając wodze dwóch koni w jednym ręku, wygrzebał z kieszeni monetę, złotą markę z Tar Valon, i westchnął.

— To będzie ta sama moneta, prawda? — Przeturlał monetę po wierzchach palców. — Ja. . . ja czasami mam szczęście, Rand. Pozwól, by wybrało moje szczęście. Jak głowa, to będzie ten, który celuje w prawo, jak płomień, to ten, który wskazuje w lewo. Co ty na to?

— No, to już są same bzdury — zaczęła Egwene, ale Moiraine uciszyła ją, dotykając ramienia.

Rand skinął głową.

— Czemu nie?

Egwene mruknęła coś pod nosem, dosłyszał jedynie „mężczyźni” i „mali chłopcy”, w sumie raczej nie brzmiało to jak komplement.

Moneta wyskoczyła w powietrze spod kciuka Mata, lśniąc matowo w słońcu. Mat złapał ją i przybił do wierzchu drugiej dłoni, po czym zawahał się.

— Ufanie monetom to cholerny pomysł, Rand.

Rand położył dłoń na jednym z symboli nie patrząc.

— To ten — powiedział. — Tego wybrałeś.

Mat zerknął na monetę i zamrugał.

— Masz rację. Skąd wiedziałeś?

— Prędzej czy później to musi mnie wspomóc.

Nikt niczego nie zrozumiał — widział to — ale to się nie liczyło. Podniósłszy rękę, spojrzał na symbol, który wybrał wspólnie z Matem. Trójkąt skierowany w lewo. Słońce zsunęło się już ze swego wierzchołka. Musi wykonać to prawidłowo. Popelni błąd i stracą czas, zamiast go zyskać. Tak będzie w najgorszym razie. Na pewno.

Wyprostował się, wsunął rękę do sakwy i wyciągnął mały, twardy przedmiot, figurkę z błyszczącego, ciemnozielonego kamienia, która bez trudu mieściła się w jego dłoni. Przedstawiała człowieczka obdarzonego okrągłą twarzą i krągłym ciałem, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i na kolanach trzymał miecz. Przejechał kciukiem po łysej głowie figurki.

— Niech wszyscy podejda jak najbliżej. Wszyscy. Rhurarc, każ im podprowadzić tutaj muły. Wszyscy muszą znaleźć się jak najbliżej mnie.

— Po co? — spytał Aiel.

— Wybieramy się do Rhuidean. — Rand podrzucił figurkę w dłoń i pochylił się, by poklepać Kamień Portalu. — Do Rhuidean. Zaraz tam będziemy.

Rhuar obdarzył go przeciągłym, obojętnym spojrzeniem, po chwili wyprostował się, przywołując pozostałych Aielów.

Moiraine wspięła się o krok bliżej po porośniętym trawą zboczcu.

— Co to jest? — spytała z ciekawością.

— *Angreal* — odparł Rand, obracając go w dłoni. — Taki, który działa dla mężczyzn. Znalazłem go w Wielkiej Przechowalni, kiedy szukałem tamtych drzwi. Do zabrania go zmusił mnie miecz i wtedy już wiedziałem. To właśnie za jego pomocą zamierzam przenieść Moc, by przerzucić nas wszystkich: Aielów, muły, wszystkich i wszystko, jeśli cię to ciekawi.

— Rand — odezwała się zaniepokojonym głosem Egwene — jestem przekonana, że robisz to, co twoim zdaniem najlepsze, ale czy ty jesteś pewien? Wierzysz, że ten *angreal* ma dostateczną moc? Ja nawet nie jestem przekonana, że to w ogóle *angreal*. Wierzę ci, skoro tak twierdzisz, ale strzeż się *angreali*; Rand. Przynajmniej tak jest w przypadku tych, których mogą używać kobiety. Niektóre są potężniejsze od innych, rozmiar i kształt niczego nie dowodzą.

— Jasne, że jestem pewien — skłamał. Nie miał tego jak sprawdzić, wcześniej nie było sposobu, by się przekonać, czy zadziała zgodnie z oczekiwaniami, jeżeli nie chciał, by połowa mieszkańców Łzy dowiedziała się, że on coś knuje. Uważał jednak, że ten *angreal* się sprawdzi. Jak raz. A poza tym był mały, więc nikt się nie dowie, że zniknął z Kamienia, chyba że postanowią sporządzić inwentarz Wielkiej Przechowalni. Mało prawdopodobne.

— Zostawiasz *Callandora*, a zabierasz coś takiego — mruknęła Moiraine. — Zdajesz się dysponować sporą wiedzą w sprawie Kamieni Portalu. Większą niż bym się spodziewała.

— Verin sporo mi opowiedziała — odparł. To była prawda, Verin sporo mu powiedziała, ale pierwszych wyjaśnień udzieliła Lanfear. Znał ją wtedy jako Selene, ale nie miał zamiaru tłumaczyć tego Moiraine, podobnie jak wspominać o propozycji pomocy, którą mu złożyła. Jak na nią, Aes Sedai przyjęła wieść o pojawieniu się Lanfear podejrzenie spokojnie.

— Uważaj, Randzie al'Thor — powiedziała lodowatym, melodyjnym głosem. — Każdy *ta'veren* kształtuje Wzór w taki czy inny sposób, lecz *ta'veren* twego pokroju może na zawsze rozedrzeć Koronkę Wieku.

Żałował, że nie wie, o czym ona myśli. Że nie wie, co planuje.

Aielowie wspięli się na wzgórze ze swymi mułami, szczelnie pokrywając zbocze, kiedy stłoczyli się przy nim wokół Kamienia Portalu, stali ramię przy ramieniu, niemalże jeden na drugim, wszyscy prócz Moiraine i Egwene, którym pozostawili odrobinę przestrzeni. Rhuarc skinął w jego stronę głową, jakby mówił: dokonało się, teraz wszystko w twoich rękach.

Unosząc w górę połyskliwy, zielony *angreal*, zastanawiał się, czy powiedzieć Aielom, by zostawili zwierzęta, ale nie wiadomo było, czy zechcą, a on pragnął dostarczyć tam wszystkich, na dodatek przeświadczonych, że dobrze się z nimi



obszedł. Na Pustkowie mogły objawić się niedobry dobrej woli. Obserwowali go z kamiennymi twarzami, aczkolwiek niektórzy zasłonili się. Mat, który nerwowo przetaczał markę z Tar Valon po wierzchach palców, i Egwene, z czołem naznaczonym przez paciorki potu, byli jedynymi, którzy wyglądali na zaniepokojonych. Nie było sensu dłużej zwlekać. Musiał poruszać się szybciej, niż ktokolwiek się po nim spodziewał.

Otulił się w Pustkę i sięgnął do Prawdziwego Źródła, tego mdląco migoczącego światła, które tam zawsze czekało, jakby tuż za krawędzią pola widzenia. Wypełniła go Moc, oddech życia, wiatr, który wyrywał dęby z korzeniami, letni wiatr przesycony słodkim zapachem kwiatów, cuchnący wyziewem ze stosu nieczystości. Unosząc się w próżni, umieścił przed sobą wypełniony błyskawicą trójkąt i sięgnął przez *angreal*, zaczerpnął z otchłani rozszalałego wiru *saidina*. Musi ich wszystkich przenieść. Musi się udać. Trzymając się symbolu, czerpał Jedyną Moc, wsysał ją do swego wnętrza, aż wreszcie nabrał przekonania, że zaraz wybuchnie. Czerpał dalej. Coraz więcej.

Świat zamigotał... i zniknął.

## ZA KAMIENIEM

Egwene potknęła się, zarzucając Mgle ręce na kark, gdy zakołysał się grunt pod jej stopami. Otaczający ją Aielowie uspokajali muły, które rycząc przeraźliwie, osuwały się po stromym, skalistym zboczu, na którym nic nie rośło. Skwar, zapamiętany z *Tel'aran'rhiod*, uderzył w nią jak obuchem. Powietrze załśniło jej przed oczami: ziemia paliła przez podeszwy butów. Skóra swędziała boleśnie przez chwilę, po czym z każdego pora trysnął pot. Zwilżył jedynie suknię i momentalnie wyparował.

Wyrwijące się muły i rośli Aielowie niemal całkowicie zakrywali widok przed jej oczyma, trochę jednak widziała w szczelinach pojawiających się między sylwetkami ludzi i zwierząt. Z ziemi, w odległości niecałych trzech kroków, wystawała przekrzywiona kolumna z szarego kamienia, obsypana nawianym przez wiatr piaskiem, więc nie było jak orzec, czy naprawdę jest bliźniaczo podobna do Kamienia Portalu w Łzie. Góry, o dzikich, nierównych wierzchołkach i rozszczepionych zboczach, które wyglądały tak, jakby wyciosał je topór szalonego giganta, gotowały się pod płonącym słońcem na bezchmurnym niebie. A mimo to w samym środku długiej, nagiej doliny, hen w dole, wisiała masa gęstej mgły kłębiącej się jak obłok. Żar słońca powinien ją być w ciągu kilku chwil przepalić na wskroś, a ona mimo to falowała nietknięta. Z tych szarych oparów wystawały szczyty wież, jedne zwieńczone spiralami, inne zaś urywające się nagle, płasko, jakby budowniczowie wciąż jeszcze kończyli swą pracę.

— Miał rację — mruknęła do siebie. — Miasto w chmurach.

Ściskając kurczowo cugle wałacha, Mat rozejrzał się dookoła szeroko rozwartymi oczyma.

— Udało się! — Uśmiechnął się do niej. — Udało nam się, Egwene, i to bez żadnych. . . Niech skonam, udało się! — Szarpnięciem rozsunął koronki, zdobiące jego koszulę przy szyi. — Światłości, co za gorąc. Obym szczeł, jeśli kłamię!

Nagle zauważyła, że Rand klęczy, ze spuszczoną głową, wsparty jedną ręką o ziemię. Ciągąc za sobą klacz, przecisnęła się do niego przez zbitych w tłum, drepczących w miejscu Aielów, w tym samym momencie, gdy Lan już pomagał mu wstać. Była też przy nim Moiraine, z pozornym spokojem badała Randa, ale lekkie napięcie w kącikach ust oznaczało zapewne, że ma ochotę wytargać go za

uszy.

— Zrobiłem to — wydyszał Rand, rozglądając się dookoła. Gdyby nie Strażnik, nie dałby rady ustać prosto, twarz miał wyżętą i skurczoną, niczym człowiek na łożu śmierci.

— Byłeś blisko — powiedziała chłodno Moraine. Bardzo chłodno. — Ten *angreal* nie wystarczał do tego zadania. Nie wolno ci tego więcej robić. Musisz oszacować ryzyko, gdy już się na nie ważysz, i ono musi być podyktowane wagą celu. Musi.

— Ja nie ryzykuję, Moiraine. To Mat jest amatorem ryzyka. — Rand przemocą otworzył dłoń, spojrzął na *angreala*, mały, tłusty człowieczek wbił czubek swego miecza w jego dłoń, dokładnie w piętno czapli. — Może masz rację. Może naprawdę potrzebowałem nieco silniejszego. Może trochę. . .

Zaniósł się gniewnym śmiechem.

— Udało się, Moiraine. Tylko to się liczy. Przeniosłem wszystkich. Udało się.

— Tylko to jest ważne — zgodził się Lan, kiwając głową.

Egwene parsknęła cicho. Mężczyźni. Jeden omal się nie zabił i potem próbował z tego żartować, a drugi go zapewnił, że postąpił właściwie. Czy oni nigdy nie dorosną?

— Zmęczenie po przenoszeniu nie przypomina innego zmęczenia — powiedziała Moiraine. — Nie potrafię całkiem go usunąć, za dużo przeniosłeś, ale zrobię, co mogę. Być może to, co zostanie, będzie ci przypominało, że masz w przyszłości uważać. — Była zła, w jej głosie, bez najmniejszych wątpliwości, brzmiała satysfakcja.

Aes Sedai otoczyła łuna *saidara*, gdy wyprężyła się, by objąć dłońmi głowę Randa. Z jego ust wymknął się chrapliwy jęk, zadrzał niepohamowanie, a potem wyrwał się z jej rąk, wyswabdzając także z uścisku Lana.

— Zapytaj, Moiraine — powiedział chłodno Rand, chowając *angreal* do sakwy. — Najpierw zapytaj. Nie jestem twoim pieskiem, z którym możesz robić wszystko, co chcesz i kiedy chcesz. — Potarł ręce, by zetrzeć z nich malutki strumyczek krwi.

Egwene ponownie zareagowała odgłosem oburzenia. Dziecinny i na dodatek niewdzięczny. Teraz już mógł ustać o własnych siłach, mimo że w jego oczach wciąż malowało się zmęczenie, a ona nie musiała oglądać wnętrza jego dłoni, by się przekonać, że drobna ranka zniknęła, jakby jej tam nigdy nie było. Czysta niewdzięczność. O dziwo, Lan nie zbeształ go za sposób, w jaki odezwał się do Moiraine.

Doszło do niej, że Aielowie, gdy już uspokoili muły, sami całkiem ucichli. Czujnie patrzyli w dal, nie w stronę doliny i spowitego we mgłę miasta, którym musiało być Rhuidean, lecz na otaczające ich z dwu stron w odległości jakiejś połowy mili dwa obozowiska, składające się z dziesiątków niskich, otwartych z jednej strony namiotów. Jedno było dwukrotnie większe od drugiego i tak przy-

warły do górskiego zbocza, że niemal zupełnie zlewały się z jego tłem, a mimo to było wyraźnie widać wśród namiotów szarobrazowych Aielów, z krótkimi włócznieami i rogowymi łukami, z naciągniętymi strzałami, ci, którzy nie zrobili tego wcześniej, zasłaniaли właśnie twarze. Zdawali się balansować na czubkach palców, przyczajeni, gotowi do ataku.

— Pokój Rhuidean — zawołał do nich jakiś kobiecy głos z wyższych partii zbocza i Egwene poczuła, że napięcie uchodzi z otaczających ją Aielów. Ci z namiotów zaczęli opuszczać zasłony, ale wciąż ich czujnie obserwowali.

Zauważyła, że wyżej na zboczu znajduje się trzecie, znacznie mniejsze obozowisko, kilka niskich namiotów na małym skrawku płaskiego terenu. Schodziły stamtąd cztery kobiety, spokojne i pełne godności, w ciemnych, obszernych spódnicach i luźnych białych bluzach, z brązowymi albo szarymi szalami na ramionach, pomimo gorąca, pod wpływem którego Egwene czuła już zawroty głowy. Niemalże od stóp do głów były obwieszane mnóstwem naszyjników i bransolet z kości słoniowej oraz złota. Włosy dwóch były siwe, a jednej barwy słońca i spływały im do pasa, ale skręcone chusteczki opasujące czoła nie pozwalały, by luźne kosmyki opadały na twarz.

Egwene rozpoznała jedną z siwowłosych: Amys, Mądra, którą poznała w *Tel'aran'rhiod*. Znowu uderzył ją kontrast między opaloną twarzą Amys a jej śnieżnobiałymi włosami, dzięki któremu po prostu nie wyglądała na tak starą. Druga siwowłosa kobieta miała pomarszczoną, dobrotliwą twarz, natomiast jedna z dwóch pozostałych, której ciemne włosy przetykały pasma siwizny, zdawała się prawie dorównywać jej wiekiem. Egwene była przekonana, że wszystkie cztery są Mądrymi, najpewniej tymi samymi, które podpisały się pod listem do Moiraine.

Kobiety zatrzymały się w odległości dziesięciu kroków od grupy otaczającej Kamień Portalu, kobieta o dobrotliwym wyglądzie rozpostarła ręce, ukazując wnętrza dłoni, i przemówiła starczym, ale wciąż jeszcze silnym głosem.

— Oby pokój Rhuidean wam służył. Kto przybywa do Chaendaer, może powrócić do swej siedziby w pokoju. Nie będzie krwi na tej ziemi.

Usłyszawszy to, Aielowie z Łzy zaczęli się rozchodzić, szybko rozdając między sobą muły i zawartość koszy. Egwene zauważyła, że Panny odchodzą z kilkoma grupami, z których część natychmiast zaczęła iść dookoła góry, wzajemnie się unikając i unikając obozowisk, nie bacząc na pokój Rhuidean. Inni kierowali się w stronę jednego bądź drugiego skupiska namiotów, gdzie wreszcie odkładano broń.

Nie wszyscy ufali pokojowi Rhuidean. Lan odjął dłoń od rękojeści swego wciąż schowanego do pochwy miecza, chociaż Egwene nie zauważyła, kiedy za nią złapał, a Mat pośpiesznie schował dwa noże do rękawów. Rand stał z kciukami zatkniętymi za pas, ale w jego oczach malowała się wyraźna ulga.

Egwene spojrzała na Aviendhę, chcąc zadać kilka pytań, nim zbliży się do Amys. Z pewnością ta kobieta będzie nieco bardziej przyjazna na swej własnej

ziemi. Wypatrzyła Pannę, która niosła wielki, pobrzękujący jutowy worek i dwa zrolowane kilimy na ramieniu, żwawo kierując się w stronę jednego z obozowisk.

— Ty zostaniesz, Aviendho — powiedziała głośno Mądra z siwymi pasmami we włosach. Aviendha zatrzymała się jak wryta, nie patrząc na nikogo.

Egwene ruszyła w jej stronę, ale Moiraine mruknęła:

— Najlepiej nie przeszkadzać. Wątpię, czy będzie chciała współczucia albo czy zrozumie, jeśli jej je zaproponujesz.

Egwene przytaknęła wbrew sobie. Aviendha istotnie wyglądała tak, jakby chciała, by ją zostawiono samą. Czego chcą od niej Mądre? Czy ona złamała jakąś zasadę, prawo?

Osobiście nie miałyby nic przeciwko liczniejszemu towarzystwu. Czuła się zbyt wyeksponowana, gdy tak tam stała, pozbawiona wcześniejszej osłony Aielów, wystawiona na spojrzenia wszystkich oczu z namiotów. Aielowie, którzy przebywali w Kamieniu, byli uprzejmi, nawet jeśli niekoniecznie przyjaźni, ci obserwatorzy zaś nie wyglądali na takich. Kusiło, by objąć *saidara*. Jedyne obecność Moiraine, pogodnej i chłodnej jak zawsze, mimo potu na twarzy, oraz Lana, równie spokojnego jak otaczające ich skały, hamowała ją przed podjęciem bardziej zdecydowanych działań. Zorientowaliby się, gdyby coś im groziło. Dopóki oni akceptowali tę sytuację, ona też będzie. Naprawdę jednak wołała, by ci Aielowie przestali się tak gapić.

W górę zbocza wspinał się uśmiechnięty Rhuarc.

— Wróciłem, Amys, choć założę się, nie w taki sposób, w jaki się spodziewałaś.

— Wiedziałam, że będziesz tu dzisiaj, cieniu mego serca. — Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka, pozwalając, by brązowy szal zsunął się jej z ramion. — Moja siostra-żona przysyła ci swoje serce.

— O to ci więc chodziło, gdy mówiłaś o Śnieniu — powiedziała cicho Egwene. Lan był jedynym w pobliżu, który, mógł to usłyszeć. — Dlatego właśnie zgodziłaś się, by Rand nas tu przeniósł za pomocą Kamienia Portalu. One o nim wie i działa i napisały ci w tym liście. Nie, to nie ma sensu. Gdyby wspomniały o Kamieniu Portalu, nie próbowałybyś mu tego, wybić z głowy. Wiedziały jednak, że tu będziemy.

Moiraine przytaknęła, nie odrywając oczu od Mądrych.

— Napisały, że spotkają się z nami, dzisiaj, w tym miejscu, na zboczu Chaendaer. Mnie się wydawało... że to... nieprawdopodobne... póki Rand nie wspomniał o Kamieniu Portalu. Ponieważ był pewien, pewien mimo mych perswazji, że jeden tutaj się znajduje... Powiedzmy, iż nagle wydało mi się bardzo prawdopodobne, że jednak dotrzemy dzisiaj do Chaendaer.

Egwene wciągnęła palący gorącym oddech. Zatem to jedna z tych rzeczy, które potrafią Śniące. Nie mogła się już doczekać, kiedy rozpocznie naukę. Miała ochotę pójść za Rhuarkiem i przedstawić się Amys — ponownie się przedstawić

— ale Rhuarc i Amys patrzyli sobie w oczy w sposób, który eliminował intruzów.

Z obu obozów wyszło dwóch mężczyzn, jeden wysoki i barczysty, o włosach barwy płomienia, jeszcze w średnim wieku, drugi starszy i ciemniejszy, równie rośli, ale bardziej szczupły. Zatrzymali się w odległości kilku kroków, po obu bokach Rhuarc i Mądrych. Starszy nie miał przy sobie żadnej widocznej broni z wyjątkiem przypasanego noża z ciężkim ostrzem, drugi natomiast miał włócznię i skórzaną tarczę. Unosił wysoko głowę, zapalczywy i hardy grymas na twarzy był jak wyzwanie skierowane do Rhuarca.

Rhuarc zignorował go, zwracając się do starszego mężczyzny.

— Widzę cię, Heirn. Czyżby jeden z wodzów szczepowych orzekł, że nie żyję? Kto chce zająć moje miejsce?

— Widzę cię, Rhuarc. Nikt z Taardad nie wszedł do Rhuidean ani nie próbuje. Amys powiedziała, że spotka się z tobą dzisiaj, pozostałe Mądre towarzyszyły jej w podróży. Sprowadziłem tych mężczyzn ze szczepu Jindo, by dopilnowali ich bezpiecznego przybycia.

Rhuarc przytaknął uroczyście. Egwene miała uczucie, że powiedziano właśnie albo dano do zrozumienia coś bardzo istotnego. Mądre nie patrzyły na mężczyznę o włosach jak ogień, nie robili tego również ani Rhuarc, ani Heirn, ale sądząc po barwie policzków tego człowieka, równie dobrze mogli mu się przyglądać. Zerknęła na Moiraine, która odpowiedziała jej nieznacznym poruszeniem głowy. Aes Sedai też nie rozumiała.

Lan nachylił się ku nim szepcząc:

— Mądre mogą wszędzie jeździć bezpiecznie, do każdej siedziby, nieważne czyjego klanu. Myślę, że nawet waśń krwi ich nie dotyczy. Ten Heirn przybył, by chronić Rhuarca przed tymi, do których należy drugi obóz, ale to niehonorowo o tym mówić. — Moiraine odrobinę uniosła brew, a wtedy dodał: — Niewiele o nich wiem, ale często z nimi walczyłem, zanim poznałem ciebie. Nigdy mnie o nich nie pytałaś.

— Naprawię to zaniedbanie — oschłym tonem odparła Moiraine.

Egwene zakreśliło się w głowie od odwracania się w stronę Mądrych i trzech mężczyzn, stojących w ich towarzystwie. Lan wepchnął w jej rękę odkorkowaną, skórzaną butlę z wodą, odchyliła głowę, by z wdzięcznością się napić. Ciepła woda pachniała skórą, ale w tym upale smakowała świeżą wiosną. Podążyła w połowie opróżniony bukłak Moiraine, która upiła skąpy łyk i zwróciła naczynie. Egwene z zadowoleniem dokończyła resztę, przymykając oczy, otworzyła je szeroko, gdy woda bryzgnęła jej na włosy. Lan wylewał na nią zawartość drugiej butli, włosy Moiraine już ociekały.

— Ten upał może zabić, jeśli nie jest się do niego przyzwyczajonym — wyjaśnił Strażnik, mocząc dwie zwykłe szarfy z białego płótna, które wyciągnął z zanadru kaftana. Zgodnie z jego instrukcjami ona i Moiraine obwiązały czoła tymi mokrymi szmatkami. Rand i Mat zrobili to samo. Lan zostawił głowę narażoną na

działanie słońca, temu człowiekowi chyba nic nie mogło zaszkodzić.

Milczenie, które zapadło między Rhuarkiem a towarzyszącym mu Aielem, przedłużało się, w końcu jednak wódz klanu zwrócił się do mężczyzny o włosach jak ogień.

— Czy w takim razie Shaido zabrakło wodza klanu, Couladin?

— Suladric nie żyje — odparł mężczyzna. — Muradin wszedł do Rhuidean. Jeśli jemu się nie uda, wówczas ja spróbuję.

— Nie zapytałeś, Couladin — powiedziała dobrotliwa Mądra, piskliwym, ale silnym głosem. — Jeśli Muradinowi się nie uda, zapytaj wtedy. Jest nas cztery, dość, by powiedzieć „tak” albo „nie”.

— To moje prawo, Bair — odparł ze złością Couladin. Miał wygląd człowieka nie przyzwyczajonego, by ktoś mu krzyżował plany.

— Masz prawo pytać — odparła kobieta o cienkim głosie. — Naszym jest odpowiadać. Nie sądzę, że wolno ci będzie wejść, cokolwiek się stanie z Muradinem. Jesteś wewnętrznie skażony, Couladin. — Poprawiła szary szal, otulając nim kanciaste ramiona w sposób, który sugerował, że powiedziała więcej, niż uważa za konieczne.

Twarcz mężczyzny o włosach jak ogień poczerwieniała.

— Mój pierwszy brat wróci naznaczony jako wódz klanu i wtedy poprowadzimy Shaido do wielkiej chwały! Mamy zamiar...! — Gwałtownie zamknął usta, niemal dygocząc.

Egwene postanowiła, że będzie się go strzec, przebywając w pobliżu. Przypominał jej Congarów i Coplinów z Pola Emonda, zawsze gotowych do przechwałek i przysparzania kłopotów. Z pewnością nigdy wcześniej nie widziała żadnego Aiela, który by zdradzał tyle emocji.

Amys najwyraźniej odprawiła go już.

— Jest ten, który przybył z tobą, Rhuarc — powiedziała.

Egwene spodziewała się, że kobieta przemówi do niej, ale oczy Amys pomknęły prosto do Randa. Moiraine oczywiście nie była zdziwiona. Egwene zastanawiała się, co jeszcze zawierał list od czterech Mądrych, a czego Aes Sedai nie ujawniła.

Rand przez chwilę wyglądał na oszołomionego, wahał się, ale potem wdrapał się na zbocze, by stanąć obok Rhuarca, jego oczy znalazły się na poziomie oczu kobiet. Pot przylepił koszulę do jego ciała i zabarwił ciemnymi plamami spodnie. Ze skrzyconą białą szmatką, zawiązaną wokół głowy z pewnością nie wyglądał tak dostojnie jak w Sercu Kamienia. Wykonał dziwaczny ukłon, wysuwając lewą stopę i kładąc lewą dłoń na kolanie, podniósł również prawą dłoń, ukazując jej wnętrze.

— Mocą prawa krwi — powiedział — pytam o zezwolenie na wejście do Rhuidean, dla honoru naszych przodków i wspomnienia tego, co było.

Amys zamrugła, wyraźnie zdziwiona, a Bair mruknęła:

— Formuła starodawna, ale pytanie zostało zadane. Odpowiadam „tak”.

— Ja też odpowiadam „tak”, Bair — powiedziała Amys, — Seana?

— Ten człowiek nie jest Aielem — wtrącił gniewnie Couladin. Egwene podejrzewała, że zawsze prawie jest zagniewany. — Pobyt na tej ziemi oznacza dla niego śmierć! Po co Rhuarc go sprowadził? Dlaczego...?

— Czyżbyś chciał zostać Mądrą, Couladin? — spytała Bair, z grymasem, który pogłębił zmarszczki na jej twarzy. — Nałóż suknię i przyjdź do mnie, a sprawdzę, czy nadajesz się do nauki. Do tego czasu milcz, kiedy przemawiają Mądre!

— Moja matka była Aiel — powiedział napiętym głosem Rand.

Egwene wytrzeszczyła oczy. Kari al'Thor umarła, gdy ona dopiero opuszczała kołyskę, ale jeśli Tam pojął za żonę kobietę Aiel, to Egwene z pewnością musiałaby o tym słyszeć. Zerknęła na Moiraine, Aes Sedai obserwowała wszystko z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu, całkowicie spokojna. Rand rzeczywiście mocno przypominał Aiela, z tym wzrostem, szaroniebieskimi oczyma i rudawymi włosami, ale to już była niedorzeczność.

— Nie twoja matka — wolno powiedziała Amys. — Ojciec.

Egwene potrząsnęła głową. To już się ocierało o szaleństwo. Rand otworzył usta, ale Amys nie pozwoliła mu nic powiedzieć.

— Seana, co ty powiesz?

— Tak — odparła kobieta z włosami przetykanymi siwizną. — Melaine?

Ostatnia z nich czterech, przystojna kobieta, obdarzona złocisto-rudymi włosami, od Egwene starsza nie więcej jak o dziesięć, może piętnaście lat, zawahała się.

— To musi się stać — powiedziała w końcu, acz niechętnie. — Odpowiadam „tak”.

— Odpowiedziano ci — powiedziała Amys do Randa. — Możesz iść do Rhuidean i... — Urwała, na zбочce bowiem wdrapał się Mat. Ukłonił się, niezdarnie imitując Randa.

— Ja również pytam o pozwolenie wejścia do Rhuidean — powiedział roztrzęsionym głosem.

Cztery Mądre utkwily w nim wzrok. Zaskoczony Rand gwałtownie pokręcił głową. Egwene miała wrażenie, że nikt nie może być bardziej zaszokowany niż ona, ale Couladin udowodnił jej, że się myli. Z grymasem na ustach uniośł włóczęnię i dźgnął nią Mata w pierś.

Amys i Melaine otoczyły się łuną *saidara*, strumienie Powietrza uniosły Couladina w górę i cisnęły w tył na odległość kilkunastu kroków.

Egwene patrzyła na to z szeroko otwartymi oczyma. Potrafiły przenosić Moc. Co najmniej dwie. Znienacka te okolone siwymi włosami młodzieńczo gładkie rysy Amys objawiły swe prawdziwe znaczenie, przypominając ów brak śladów wieku na twarzach Aes Sedai. Moiraine stała absolutnie nieruchomo. Egwene niemalże słyszała, jak jej myśli buzuja. Dla Aes Sedai to ewidentnie stanowiło taką



samą niespodziankę jak dla niej.

Couladin kuląc się powstał niezdarnie.

— Przyjmujecie tego obcego jak jednego z nas — wychrypiał, wskazując Randa włócznią, której próbował użyć przeciwko Matowi. — Niech się stanie, skoro wy tak mówicie. On jest nadal słabym mieszkańcem mokradeł i Rhuidean go zabije.

Ostrze włóczni zwróciło się w stronę Mata, który właśnie próbował wsunąć nóż do rękawa tak, by tego nikt nie zauważył.

— Ale ten... dla niego pobyt tutaj to śmierć, a jego prośba o wejście do Rhuidean to świętokradztwo. Tam nie może wchodzić nikt prócz pochodzących z krwi. Nikt!

— Wracaj do swych namiotów, Couladin — powiedziała zimno Melaine. — I ty, Heirn. I ty też, Rhuarc. To sprawa dla Mądrych, a nie dla mężczyzn, wyjąwszy tych, którzy zapytali. Odejdźcie!

Rhuarc i Heirn przytaknęli i ruszyli w stronę mniejszej grupy namiotów, pograżeni w rozmowie. Couladin spojrzął spode łba na Randa, Mata i Mądre, a potem drgnął i wyniósł się chyłkiem w stronę większego obozowiska.

Mądre wymieniły się spojrzeniami. Zakłopotanymi spojrzeniami, powiedziałyby Egwene, mimo że gdy tego chciały, umiejętnością zachowania nieodgadnionego wyrazu twarzy zdawały się niemal dorównywać Aes Sedai.

— Tak nie wolno — powiedziała w końcu Amys. — Młody człowieku, nie wiesz, o co prosisz. Wracaj z innymi — Jej wzrok przemknął po Egwene, Moriraine i Lanie, którzy osamotnieni teraz stali razem z końmi obok zwietrzałego Kamienia Portalu. Egwene nie dopatrzyła się w tym spojrzeniu niczego, co by wskazywało, że Mądra ją poznaje.

— Nie mogę. — Mat był wyraźnie zdesperowany. — Przyjechałem z tak daleka, ale to się nie liczy, prawda? Ja muszę wejść do Rhuidean.

— Nie wolno — odparła ostrym tonem Melaine, jej długie, rudozłote włosy zakołysały się, gdy potrząsnęła głową. — W twoich żyłach nie płynie krew Aiel.

Rand cały czas studiował twarz Mata.

— On idzie ze mną — powiedział nagle. — Udzieliliście mi zgody i on może jechać ze mną, nieważne, czy powiecie „tak” czy „nie”. — Popatrzył na Mądre z determinacją, bez buty, przeświadczony, że wie, czego chce. Egwene takim go znała; nie wycofa się niezależnie od tego, co one powiedzą.

— Nie wolno — powtórzyła stanowczo Melaine, przemawiając do swych siostr. Uniosła szal, by okryć nim głowę. — Prawo jasno to określa. Żadna kobieta nie może wejść do Rhuidean więcej jak dwa razy, żaden mężczyzna więcej niż raz, a spośród nich nikt, w czyich żyłach nie płynie krew Aiel.

Seana potrząsnęła głową.

— Wiele się zmienia, Melaine. Dawne obyczaje...

— Jeśli to on jest tym jedynym — powiedziała Bair — to czeka nas Czas Zmiany. Na Chaendaer stoi Aes Sedai i *Aan'allein* w swym mieniącym się płaszczu. Czy nadal możemy trzymać się dawnych obyczajów? Wiedząc, ile ma się zmienić?

— Nie możemy — zgodziła się Amys. — Wszystko stoi teraz na progu przemiany. Melaine?

Złotowłosa kobieta popatrzyła na otaczające ich góry i otulone mgłą miasto w dolinie, potem westchnęła i skinęła głową.

— Na tym koniec — powiedziała Amys, zwracając się do Randa i Mata. — Wy dwaj — zaczęła i urwała. — Jakimi imionami się przedstawicie?

— Rand al'Thor.

— Mat. Mat Cauthon.

Amys przytaknęła.

— Ty, Randzie al'Thor, musisz dojść do serca Rhuidean, do samego środka. Jeśli ty, Macie Cauthon, chcesz iść z nim, to niech tak będzie, wiedzcie jednak, że większość mężczyzn, którzy wchodzą do serca Rhuidean, nie wraca, a niektórzy wracają obłąkani. Nie możecie mieć przy sobie ani pożywienia, ani wody, na pamiątkę naszej tułaczki po Pęknięciu. Nie wolno wam wejść do Rhuidean z bronią, z wyjątkiem własnych rąk i serca, na znak szacunku dla Jenn. Jeśli macie broń, to ułóżcie ją przed nami na ziemi. Będzie tu na was czekała, gdy wrócicie. Jeśli wrócicie.

Rand wyjął z pochwy swój nóż i ułożył go u stóp Amys, a potem, po chwili dodał jeszcze figurkę z zielonego kamienia przedstawiającą małego krągłego człowieka.

— To wszystko, co mogę uczynić — powiedział.

Mat zaczął od noża przy pasie i kontynuował dzieło, wyciągając noże z rękawów i spod kaftana, jeden nawet zza kołnierza, tworząc stos, który zdawał się robić wrażenie nawet na kobietach Aiel. Już prawie miał przestać, ale popatrzył na kobiety i wyjął jeszcze po jednym z cholew obu butów.

— Zapomniałem o nich — wyznał z szerokim uśmiechem i wzruszył ramionami.

Jego uśmiech zbladł, gdy Mądre popatrzyły na niego, nawet nie mrugając.

— Należą do Rhuidean — wyraziła się ceremonialnie Amys, patrząc ponad głowami mężczyzn, a pozostałe trzy odpowiedziały chórem:

— Rhuidean należy do zmarłych.

— Nie wolno im rozmawiać z żywymi, dopóki nie wrócą — zaintonowała i pozostałe znowu zawtórowały.

— Martwi nie rozmawiają z żywymi.

— Nie zobaczymy ich, dopóki na nowo nie staną wśród żywych. — Amys naciągnęła swój szal na oczy, a pozostałe trzy, jedna po drugiej, zrobiły to samo. Z zakrytymi twarzami przemówiły jednogłośnie.

— Idźcie precz od żywych i nie nawiedzajcie nas wspomnieniami tego, co utracone. Nie mówcie o tym, co widzą zmarli.

W tym momencie umilkły, stały z podniesionymi szalami czekając.

Rand i Mat popatrzyli na siebie. Egwene miała ochotę podejść do nich, coś powiedzieć — na twarzach mieli wyru zbytniego skupienia, jak wszyscy mężczyźni, którzy nie chcą by ktoś się dowiedział, że są zdenerwowani albo przestraszeni — ale to mogło przeszkodzić w ceremonii.

Wreszcie Mat wybuchnął śmiechem.

— Cóż, myślę, że zmarli mogą przynajmniej z sobą rozmawiać. Ciekawe, czy to się liczy za... Nieważne. Myślicie, że nic się nie stanie, jeśli pojedziemy konno?

— Nie sądzę — odparł Rand. — Chyba musimy pójść pieszo.

— Och, niech mi szczyzną moje obolałe stopy. To w takim razie możemy już ruszać. Minie pół popołudnia, zanim tam dotrzemy. Jeśli będziemy mieli szczęście.

Rand obdarzył Egwene uspokajającym uśmiechem, kiedy ruszali w dół zbocza, jakby chciał ją przekonać, że nic im nie grozi żaden pech. Mat uśmiechał się jak zawsze, gdy robił coś wybitnie głupiego, na przykład gdy próbował zatańczyć na dachu.

— Nie zamierzasz zrobić nic... szalonego... prawda? — spytał Mat. — Chcę wrócić stamtąd żywy.

— Ja też — odparł Rand. — Ja też.

Tymczasem ich głosy ucichły w oddali, schodzili już w dół zbocza, z każdą chwilą ich postacie zmniejszały się coraz bardziej. Gdy stały się już prawie zupełnie niewidoczne, Mądre opuściły swe szale.

Przyglądając suknię i żałując, że jest taka spocona, Egwene podeszła do nich na niewielką odległość, prowadząc za sobą Mglę.

— Amys? Jestem Egwene al'Vere. Powiedziałaś, że mam...

Amys przerwała jej, unosząc dłoń, i spojrzała na Lana, który prowadził Mandarba, Oczko i Jeade'ena, postępując tui za Moiraine i Aldieb.

— To teraz sprawa kobiet, *Aan'allein*. Powinieneś stanąć z boku. Idź do namiotów. Rhuarc ugości cię wodą i cieniem.

Lan zaczekał na lekkie skinienie Moiraine, zanim wykonał ukłon i odszedł w kierunku, w którym zniknął Rhuarc. Mieniący się płaszcz sprawiał, że chwilami widać było tylko jego głowę i ramiona; sunęły przed trzema końmi, niczym ciało pozbawione korpusu.

— Dlaczego tak go nazywacie? — spytała Moiraine, kiedy znalazł się poza zasięgiem głosu. — Jedyne Człowiek. Czyżbyście go znały?

— Znamy go, Aes Sedai. — Amys wypowiedziała ten tytuł takim tonem, że zabrzmiał jak forma używana wśród równych sobie. — Ostatni z Malkieri. Człowiek, który nie zrezygnuje ze swej wojny przeciwko Cieniowi, mimo że Cień

zniszczył jego kraj już bardzo dawno temu. Wiele w nim honoru. Wiedziałam ze snu, że jeśli się stawisz, to prawie na pewno *Aan'allein* również tu będzie, nie wiedziałam jednak, że jest ci posłuszny.

— Jest moim Strażnikiem — odparła z prostotą Moiraine.

Egwene odniosła wrażenie, że Aes Sedai jest zakłopotana, mimo pewnego i swobodnego tonu jej głosu, i chyba знаła po temu powód. Prawie pewne, że Lan przybędzie razem z Moiraine? Lan zawsze szedł w ślady Moiraine, poszedłby za nią do Szczeliny Zagłady bez mrugnięcia okiem. Dla Egwene było to niemal równie interesujące jak to „jeśli się stawisz”. Rozumne wiedziały czy nie, że one się zjawia? Być może interpretowanie Snu nie jest tak proste, jak jej się wydawało. Już miała zapytać o to, ale tymczasem odezwała się Bair.

— Aviendha? Podejdz tutaj.

Aviendha przycupnęła samotnie na boku, obejmując ramionami kolana, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wstała powoli. Gdyby Egwene nie wiedziała lepiej, pomyślałaby, że jej przyjaciółka się boi. Aviendha powłóczyła nogami, gdy wspinała się do miejsca, gdzie stały Mądre. Postawiła worek i zrolowane gobeliny obok swych stóp.

— Nadszedł czas — powiedziała Bair, nieomal łagodnie. Nie było jednak gotowości do ustępstw w jej bladoniebieskich oczach. — Biegałaś z włóczniami tak długo, jak się dało. Dłużej niż powinnaś.

Aviendha butnie zadarła głowę.

— Jestem Panną Włóczni. Nie chcę być Mądrą! Nie będę Mądrą!

Twarze Mądrych stwardniały. Egwene przypomniało się Koło Kobiet w Dwu Rzekach i ich konfrontacje z tymi, które zamierzały wpakować się w coś głupiego.

— I tak traktowana jesteś łagodniej niż ja za moich czasów — powiedziała Amys głosem twardym jak kamień. — Ja też odmawiałam, kiedy mnie wezwano. Moje siostry włóczni na moich oczach połamały me włócznie. Zabrały mnie do Bair i Coedelin, ze związanymi rękoma i nogami, za całe odzienia miałam tylko samą skórę.

— I ładną lalkę wetkniętą pod pachę — dodała oschle Bair — która miała ci przypominać, jaka jesteś dziecinna. O ile pamiętam, uciekałaś dziewięć razy podczas pierwszego miesiąca.

Amys ponuro skinęła głową.

— I za każdą ucieczkę zmuszano mnie do dziecinnego gaworzenia. W drugim miesiącu uciekłam tylko pięć razy. Wydawało mi się, że jestem tak silna i twarda, jak powinna być kobieta. Ale nie byłam sprytna, potrzebowałam pół roku, by się przekonać, że jesteście silniejsze i twardsze, niż ja być powinnam, Bair. W końcu nauczyłam się, na czym polegają moje obowiązki, moje zobowiązania wobec ludzi. Tak jak i ty się nauczysz, Aviendho. To zobowiązanie ciąży na takich jak ty i ja. Nie jesteś już dzieckiem. Czas odłożyć lalki, a także włócznie, i stać się kobietą, którą musisz się stać.

Nagle Egwene zrozumiała, dlaczego od samego początku czuła takie pokrewieństwo z Aviendhą, rozumiała, dlaczego Amys i pozostałe chciały, żeby tamta została Mądrą. Aviendha potrafiła przenosić Moc. Tak jak ona, tak jak Elayne i Nynaeve — oraz Moiraine, skoro już o tym mowa — należała do tych rzadkich kobiet, które nie tylko można uczyć przenoszenia, ale które z tą umiejętnością się rodziły, więc potencjalnie potrafi dotykać Prawdziwego Źródła, świadomie lub nieświadomie. Twarz Moiraine była nieruchoma, spokojna, ale Egwene widziała w jej oczach potwierdzenie. Aes Sedai z pewnością wiedziała od samego początku, gdy tylko znalazła się na wyciągnięcie ręki od tej kobiety. Egwene uświadomiła sobie, że czuje to sarno pokrewieństwo z Amys i Melaine. Ale nie z Bair albo Senną. Tylko te dwie pierwsze umiały przenosić, była tego pewna. A teraz potrafiła wyczuć to samo w Moiraine. Poczwała to po raz pierwszy. Aes Sedai zachowywała się z rezerwą.

Jednakże niektóre Mądre najwyraźniej dostrzegły coś więcej w twarzy Moiraine.

— Chciałaś ją zabrać do Białej Wieży — powiedziała Bair — i uczynić jedną z was. Ona jest Aiel, Aes Sedai.

— Może się okazać bardzo silna, jeśli ją odpowiednio wyszkolić — odparła Moiraine. — Tak silna, jak silna będzie Egwene. W Wieży może tę siłę zdobyć.

— My też ją możemy uczyć, Aes Sedai. — Głos Melaine był dość łagodny, jednak pogarda zabarwiła jej niezmacone, zielonookie spojrzenie. — I to lepiej. Rozmawiałam z Aes Sedai. Wy rozpieszczacie kobiety w Wieży. Ziemia Trzech Sfer to nie miejsce dla rozpieszczanych. Tu Aviendha nauczy się tego, co powinna, wy natomiast nadal przymuszałybyście ją do zabaw.

Egwene popatrzyła z troską na Aviendhę, przyjaciółka wpatrywała się w swe stopy, a jej buta zniknęła. Jeśli uważały, że szkolenie w Wieży polega na rozpieszczaniu. . . Nigdy w życiu nie pracowała ciężiej i nie była bardziej zdyscyplinowana niż wtedy, gdy była nowicjuską. Poczwała, jak ukłucie, prawdziwą litość dla niej.

Amys wyciągnęła ręce i Aviendha niechętnie ułożyła na nich włócznie i tarczę wzdrygając się, gdy Mądra odrzuciła je na bok, z taką siłą, że aż szcęknęły głośno. Aviendha powoli ściągnęła z ramienia łuk i podała go jej, odpięła pas podtrzymujący kołczan, a także nóż w pochwie. Amys przyjmowała kolejno te ofiary i odrzucała je niczym zwykłe śmieci, Aviendha za każdym razem dygotała nieznacznie. W kąciку niebieskozielonego oka zadrżała łza.

— Czy musicie traktować ją w taki sposób? — spytała ze złością Egwene. Amys i pozostałe zwróciły ku niej obojętne spojrzenia, ale ona nie miała zamiaru dać się zastraszyć. — Traktujecie przedmioty, które jej są tak drogie, jak śmieci.

— Ona musi zobaczyć w nich śmieci — powiedziała Senna. — Kiedy wróci, jeśli wróci, spali je, a popiół rozsypie. Metal odda kowalowi, który z niego wykona jakieś proste przedmioty. Nie broń. Nawet nie nóż do rzeźbienia. Sprzączki, garnki albo układanki dla dzieci. Rzeczy, które własnymi rękoma rozda, gdy już zostaną

wykonane.

— Ziemia Trzech Sfer nie jest miękka, Aes Sedai — powiedziała Bair. — Miękkie rzeczy tu giną.

— *Cadin'sor*, Aviendho. — Amys wskazała odrzuconą broń. — Nowe ubrania będą czekały na twój powrót.

Aviendha mechanicznie rozebrała się, odrzucając na jeden stos kaftan, spodnie i miękkie buty z wysokimi cholewami. Stała naga, nawet nie podkurczając palców u stóp, Egwene natomiast miała wrażenie, że pęcherze na jej własnych stopach lada moment rozsądzą buty. Przypomniała sobie, jak patrzyła na palenie jej własnej odzieży w Białej Wieży, na przecinanie więzów łączących ją z poprzednim życiem, ale to się mimo wszystko nie odbyło w taki sposób. Nie tak brutalnie.

Kiedy Aviendha zabrała się za rzucanie na stos worka i gobelinów, Seana wzięła je z jej rąk.

— To będziesz mogła odzyskać. Jeśli wrócisz. Jeśli nie, powędrują do twojej rodziny jako pamiątka.

Aviendha skinęła głową. Nie wyglądała na przestraszoną, Niechętna, zła, nawet ponura, ale nie przestraszona.

— W Rhuidean — powiedziała Amys — znajdziesz trzy pierścienie ułożone w taki sposób. — Nakreśliła w powietrzu trzy linie, łączące się razem w środku. — Przejdź przez dowolnie wybrany. Będziesz oglądała swoją przyszłość, wielokrotnie, w różnych odmianach. Nie będziesz tych przyszłości przeżywała do końca, nie zobaczysz ich pełnej postaci, blakną bowiem niczym historie posłyszane dawno temu, ale zapamiętasz tyle, by wiedzieć, że niektóre rzeczy zdarzą ci się na pewno, choćby nie wiadomo jak wzgardzone, inne zaś na pewno nie, mimo że wypieszczone w marzeniach. Tak zaczyna się bycie Mądrą. Niektóre kobiety nigdy nie wracają z pierścieni, być może nie potrafią stawić czoła przyszłości. Inne, te, które przeżyją pierścienie, nie przeżywają drugiej wyprawy do Rhuidean, do jego serca. Nie zamieniasz twardego i niebezpiecznego życia na łatwiejsze, lecz na jeszcze trudniejsze i bardziej niebezpieczne.

*Ter'angreal*. Amys opisała jakiś *ter'angreal*. Cóż to za miejsce to Rhuidean? Egwene poczuła, że sama ma ochotę tam pójść, by się przekonać. Głupota. Nie po to tu jest, by niepotrzebnie ryzykować z *ter'angrealem*, o którym nic nie wie.

Melaine ujęła podbródek Aviendhy i spojrzała w twarz młodszej kobiety.

— Masz siłę — powiedziała głosem cichym, aczkolwiek pełnym przekonania. — Silny umysł i silne serce to teraz twoja broń, ale władaj nimi równie pewnie, jak zawsze władałaś włócznią. Pamiętaj o nich, korzystaj z nich, a pomogą ci przejrzeć wszystko na wylot.

Egwene była zaskoczona. Z wszystkich czterech wskazałaby kobietę o włosach barwy słońca jako ostatnią, która okaże współczucie.

Aviendha przytaknęła, a nawet zdobyła się na uśmiech.

— Prześcignę tych mężczyzn, którzy idą do Rhuidean. Nie potrafią biegać.

Mądre, każda po kolei, pocałowały ją w oba policzki szepcząc:

— Wracaj do nas.

Przyjaciółka odwzajemniła uścisk, gdy Egwene ujęła jej dłoń. A potem podskokami zbiegła ze zbocza. Zanosiło się na to, że dogoni Randa i Mata. Egwene patrzyła ze smutkiem na jej odejście. Ta ceremonia przypominała nieco wynoszenie do godności Przyjętej, aczkolwiek brakowało wstępnego szkolenia dla nowicjuszek, ponadto brakowało kogoś, kto później podniesie chociaż trochę na duchu. Do czego by doszło, gdyby już podczas pierwszego dnia w Wieży została Przyjętą? Popadłaby zapewne w obłąd. W taki właśnie sposób wyniesiono do godności Przyjętej Nynaeve, z powodu jej siły, i zdaniem Egwene owa niechęć, jaką Nynaeve żywiła wobec Aes Sedai, przynajmniej częściowo powodowana była tym, czego wówczas jej nie oszczędzono.

„Wracaj do nas — pomyślała. — Pozostań nieugięta”.

Kiedy postać Aviendhy zniknęła z zasięgu jej wzroku, Egwene westchnęła i z powrotem zwróciła się w stronę Mądrych. Przybyła tu we własnym, określonym celu i nie pomoże nikomu, jeśli będzie się z ociągać z jego spełnieniem.

— Amys, w *Tel'aran'rhiod* powiedziałaś, że powinnam przybyć do ciebie, by pobierać nauki. Przybyłam.

— Pośpiech — odparła siwowłosa kobieta. — Nami kierował pośpiech, gdyż Aviendha tak długo walczyła ze swym *toh*, i bałyśmy się, że Shaido naciągną zasłony, nawet tutaj, jeśli nie wyślemy Randa al'Thora do Rhuidean, zanim zdążą się zorientować.

— Wierzysz, że mogliby próbować go zabić? — spytała Egwene. — Przecież to on jest człowiekiem, na poszukiwania którego posłałyście ludzi na drugą stronę Muru Smoka. On jest Tym Który Przychodzi ze Świtem.

Bair poprawiła szal.

— Być może. Zobaczymy. Jeśli przeżyje.

— Ma oczy swojej matki — oświadczyła Amys — i wiele z niej w rysach twarzy, a także coś z ojca, ale Couladin widział tylko jego ubranie i konia. Pozostali Shaido też by tak patrzyli, Taardad zapewne tak samo. Nie wpuszcza się na tę ziemię obcych, a was jest tu teraz pięcioro. Nie, czworo, Rand al'Thor nie jest obcy, nieważne, gdzie się wychował. Jednak my pozwoliłyśmy już jednemu na wejście do Rhuidean, co jest również zabronione. Zmiana nadchodzi jak lawina, czy sobie jej życzymy czy nie.

— Musi nadejść — powiedziała Bair głosem, który wcale nie zabrzmiał szczęśliwie. — Wzór umieszcza nas tam, gdzie chce.

— Znałyście rodziców Randa? — spytała ostrożnie Egwene. Niezależnie od tego, co mówiły, nadal uważała, że rodzicami Randa byli Tam i Kari al'Thor.

— To jego historia — odparła Amys — jeśli zechce ją usłyszeć.

Sądząc po stanowczym wyrazie jej ust, nie miała zamiaru powiedzieć ani słowa więcej na ten temat.

— Chodźcie — powiedziała Bair. — Już nie trzeba się śpieszyć. Chodźcie. Oferujemy wam wodę i cień.

Na wzmiankę o cieniu pod Egwene omal nie ugięły się kolana. Opasująca czoło szarfa, ociekająca wcześniej wodą, wyschła już prawie, miała wrażenie, że czubek głowy upiekł się w lejącym z nieba żarze, cała reszta zaś powoli osiągała stan podobny. Moiraine, stąpając wdzięcznym krokiem, podążyła za Mądrymi w stronę niewielkiej grupki niskich, otwartych namiotów.

Uzdy koni odebrał od nich wysoki mężczyzna w sandałach i białej szacie z kapturem. Dziwnie wyglądała jego twarz Aiel w głębokim cieniu miękkiej tkaniny, potęgowały to również spuszczone oczy.

— Daj tym zwierzętom wody — rozkazała Bair, nim weszła pochylona do niskiego, nie ogrodzonego namiotu, a mężczyzna ukłonił się jej plecami, dotykając czoła.

Egwene zawahała się, nim pozwoliła temu człowiekowi odprowadzić Mgłę. Wyglądał na godnego zaufania, ale co Aiel może wiedzieć o koniach? Nie sądziła jednak, że ją skrzywdzi, a poza tym wewnątrz namiotu wyglądało na cudownie ciemne. Ciemne i rozkosznie chłodne w porównaniu z jego otoczeniem.

Dach namiotu zwieńczony był szczytem z otworem w środku, pod którym ledwie starczało miejsca, by stanąć. Jakby chcąc wynagrodzić bure barwy, noszone przez Aielów, podłogę wyścielono jaskrawymi dywanami, zasłanymi kilkoma warstwami wielkich, czerwonych poduszek ze złotymi chwastami. Warstwy były tak grube, że stąpało się po nich niezwykle miękko. Wzorem Mądrych Egwene i Moiraine zatopiły się w tych dywanach, wspierając łokciami o poduszki. Wszystkie usadowiły się w kręgu, tak blisko, że jedna mogła dotknąć drugiej.

Bair uderzyła w mały, mosiężny gong i do środka weszły dwie młode kobiety niosące srebrne tace, ukłoniły się z gracją, całe odziane w biel, z głębokimi kapturami i spuszczonego wzrokiem. Uklękły na środku namiotu, po czym jedna naląła dla każdej ze wspartych na poduszkach kobiet wina do małych, srebrnych filiżanek, druga napełniła większe puchary wodą. Bez słowa wycofały się, bijąc ukłony i zostawiając połyskujące tace oraz dzbany, pokryte paciorkami skroplonej pary.

— Oto woda i cień — powiedziała Bair, podnosząc swoją wodę — dana z własnej woli. Oby nie było między nami zatargów. Wszystkie tutaj są witane, jak witane są pierwsze siostry.

— Oby nie było zatargów — zaszemrały Amys i dwie pozostałe. Po pierwszym łyku wody kobiety Aiel przedstawiły się ceremonialnie. Bair ze szczepu Haido z Shaarad Aiel. Amys ze szczepu Dziewięciu Dolin z Taardad Aiel. Melaine ze szczepu Jhirad z Goshien Aiel. Seanam ze szczepu Czarnego Klifu z Nakai Aiel.

Egwene i Moiraine przyłączyły się do rytuału, aczkolwiek usta Moiraine zacisnęły się, gdy Egwene przedstawiła się jako Aes Sedai z Zielonych Ajah.



Zupełnie jakby wymiana wody i imion obaliła jakiś mur, nastrój w namiocie uległ wyczuwalnej zmianie. Doszło do wymiany uśmiechów, subtelnego rozluźnienia i słownych uprzejmości.

Egwene była bardziej wdzięczna za wodę niż wino. Wprawdzie w namiocie istotnie panował chłód, ale już samo oddychanie powodowało, że zasychało jej w gardle. Amys zachęciła ją gestem i skwapliwie naląła sobie drugi kielich.

Ludzie w bieli zadziwili ją. Uświadomiła sobie, że choć to głupie, machinalnie osądziła wcześniej, że wszyscy Aielowie, prócz Mądrych, są tak jak Rhuarc i Aviendha wojownikami. To jasne, że mieli kowali, tkaczki i innych rzemieślników, musieli ich mieć. Czemu nie służących? To tylko Aviendha lekceważyła służących w Kamieniu, nie pozwalając im nic dla siebie robić, jeśli mogła tego uniknąć. Ci ludzie z tą swoją pokorą zupełnie nie zachowywali się jak Aielowie. Nie przypominała sobie, by w dwóch wielkich obozowiskach zauważyła kogoś w bieli.

— Czy tylko Mądre mają służbę? — spytała.

Melaine udławiła się winem.

— Służbę? — wykrztusiła. — To są *gai'shain*, nie służba. — Powiedziała to takim tonem, jakby samo słowo miało wszystko wyjaśniać.

Moiraine skrzywiła się nieznacznie nad swym pucharem z winem.

— *Gai'shain*? Jak to przetłumaczyć? „Zaprzysiężeni pokojowi w bitwie”?

— To są po prostu *gai'shain* — odparła Amys. Połapała się chyba, że one nie rozumieją. — Wybaczcie, ale czy wiecie coś o *ji'e'toh*?

— Honor i zobowiązanie — błyskawicznie odparła Moiraine. — Albo może honor i obowiązek.

— Tak, to są te słowa. Ale nie znaczenie. My żyjemy zgodnie z *ji'e'toh*, Aes Sedai.

— Nie staraj się tłumaczyć im wszystkiego, Amys — przestrzegła ją Bair. — Raz spędziłam cały miesiąc na wyjaśnianiu *ji'e'toh* pewnej mieszkance mokradeł, na końcu miała więcej pytań niż na początku.

Amys kiwnęła głową.

— Poprzestanę na samym rdzeniu. Jeżeli chcesz, by ci to wyjaśnić, Moiraine.

Egwene wolałaby jak najprędzej porozmawiać o Śnieniu i nauce, ale ku jej irytacji Aes Sedai powiedziała:

— Tak, jeśli zechcesz mi wyjaśnić.

Skinąwszy głową w stronę Moiraine, Amys zaczęła:

— Będę się po prostu trzymała samego pojęcia *gai'shain*. W tańcu włóczni największe *ji*, honor, zdobywa się poprzez dotknięcie uzbrojonego wroga, bez zabicia go i wyrządzenia mu krzywdy.

— Największy honor, bo tak trudny do osiągnięcia — dodała Seana, marszcząc błękitnawo-szare oczy — a tym samym rzadko uzyskiwany.

— Najmniejszy zaszczyt wiąże się z zabijaniem — kontynuowała Amys. — Dziecko albo i głupiec potrafią zabić. Pomędzy nimi jest wzięcie jeńca. Widzicie, upraszcam to. Stopni jest wiele. *Gai'shain* są takimi jeńcami, aczkolwiek wojownik, który został dotknięty, może czasem wręcz zażądać, by wzięto go jako *gai'shain*, by pozbawić wroga części zaszczytu.

— Panny Włóczni i Kamienne Psy są szczególnie z tego znani — wtrąciła Seana, zarabiając ostre spojrzenie Amys.

— Ja o tym opowiadam czy ty? Ciąg dalszy. Niektórych nie można wziąć jako *gai'shain*, oczywiście. Mądrzej, kowala, dziecka, kobiety z dzieckiem albo takiej, której dziecko ma mniej niż dziesięć lat. *Gai'shain*, on lub ona, jest złączony przez *toh* z tym, który go pojmał. Dla *gai'shain* oznacza to pokorną służbę przez jeden rok i jeden dzień, nie wolno mu w tym czasie dotykać broni ani zadawać gwałtu.

Egwene zainteresowała się mimo woli.

— Czy oni nie próbują uciekać? Ja bym na pewno próbowała.

„Już nigdy nie pozwolę, by ktoś jeszcze raz wziął mnie do niewoli!”

Mądre wyglądały na zaszokowane.

— Tak się czasami zdarza — odparła sztywno Seana ale traci się wówczas honor. *Gai'shain*, który ucieknie, może zostać zwrócony przez jego lub jej szczep, by od nowa rozpoczął swój jeden rok i jeden dzień. Utrata honoru jest tak wielka, że pierwszy brat albo pierwsza siostra mogą również pójść jako *gai'shain*, by uwolnić swój szczep od *toh*. Jeśli uważają, że utrata *ji* jest zbyt duża, więcej osób zostaje *gai'shain*.

Moiraine zdawała się przyjmować to wszystko ze spokojem, popijając wodę, Egwene natomiast stać było tylko na tyle, by otwarcie nie kręcić głową. Ci Aielowie byli niespełna rozumu, ot i wszystko. A opowieść stawała się coraz straszniejsza.

— Niektórzy *gai'shain* zamiast pokorni stają się aroganccy — powiedziała z dezaprobatą Melaine. — Uważają, że zyskują cześć, gdy drwią z posłuszeństwa i potulności. To nowość i głupota. Nie ma dla niej miejsca w *ji'e'toh*.

Bair roześmiała się, zaskakująco dźwięcznie w porównaniu z jej ciekawym głosem.

— Głupców nigdy nie brak. Gdy byłam małą, i Shaarad, i Tomanelle co noc wykradali sobie wzajemnie bydło i kozły, Chenda, pani dachu z Mainde Cut, została podczas napaści popchnięta przez młodego Poszukiwacza Wody z Haido. Udała się do Krzywej Doliny i zażądała, by chłopak uczynił ją swoim *gai'shain*, nie chciała pozwolić, by on zyskał szacunek przez to, że jej dotknął, miała wszak nóż do rzeźbienia, kiedy to zrobił! Nóż do rzeźbienia! To broń, twierdziła, jakby była Panną. Chłopiec nie miał wyboru, tylko musiał zrobić to, czego zażądała, mimo śmiechu, jaki temu towarzyszył. Nie odsyła się pani dachu z bosymi stopami do jej siedziby. Nim upłynął jeden rok i jeden dzień, szczep Haido i szczep Jenda wymienili włócznie i wkrótce chłopca poślubiono z najstarszą córką Chendy. Mi-

mo że jego druga matka wciąż była dla niego *gai'shain*. Usiłował ją darować swej żonie jako część jego daru dla panny młodej, ale obie kobiety twierdziły, że próbuje ograbić je z honoru. Prawie musiał wziąć swoją żonę jako *gai'shain*. Haido i Jenda omal nie zaczęli ponownie się napadać, zanim *toh* nie zostało spełnione.

Kobiety Aiel prawie pokładały się ze śmiechu. Amys i Melaine wycierały oczy.

Egwene niewiele zrozumiała z tej opowieści — zwłaszcza gdzie tkwił w niej komizm — ale zdobyła się na uprzejmy śmiech.

Moiraine odstawiła na bok wodę i ujęła puchar z winem.

— Słyszałam opowieści mężczyzn o walkach z Aielami, ale z pewnością nie słyszałam o Aielach, którzy się poddają, bo ktoś ich dotknął.

— Tu się nikt nie poddaje — uprzejmie poprawiła ją Amys. — To *ji'e'toh*.

— Nikt nie poprosi mieszkańca mokrych ziem, by go uczyniono *gai'shain* — powiedziała Melaine. — Obcy nie znają się na *ji'e'toh*.

Kobiety Aiel wymieniły spojrzenia. Wyglądały na zażenowane. Dlaczego, zastanawiała się Egwene. Aha. Dla Aielów nie znać *ji'e'toh*, to jak nie znać się na dobrych manierach albo nie znać pojęcia honor.

— My też wiemy, co to jest honor, zarówno mężczyźni, jak i kobiety — powiedziała Egwene. — Większość z nas. Odróżniamy dobro od zła.

— Jasne, że odróżniacie — mruknęła Bair tonem, który mówił, że to coś zupełnie innego.

— Przysłałyście mi list do Łzy — powiedziała Moiraine — jeszcze zanim tam dotarłam. Powiedziałyście moc rzeczy, z których część okazała się prawdą. Łącznie z tym, że spotkam was, że muszę się z wami spotkać, tutaj i dzisiaj, niemal rozkazałyście, abym tu przybyła. Ale wcześniej użyłyście sformułowania „jeśli się stawisz”. Ile z tego, o czym pisałyście, miało się, waszym zdaniem, zdarzyć na pewno?

Amys westchnęła i odstawiła puchar, ale przemówiła Bair.

— Wiele jest rzeczy niewiadomych, nawet dla Śniących. Amys i Melaine są z nas najlepsze, ale nawet one nie widzą wszystkiego, co jest albo co może być.

— Teraźniejszość jest znacznie wyraźniejsza od przyszłości, nawet w *Tel'aran'rhiod* — powiedziała Mądra o włosach barwy słońca. — Znacznie łatwiej zobaczyć to, co się dzieje albo zaczyna dziać, niż to, co się zdarzy albo może zdarzyć. Egwene albo Mata Cauthona w ogóle nie widziałyśmy. Istniała nawet taka sama szansa, że młodzieniec, który przedstawia się jako Rand al'Thor, wcale nie przybędzie. Gdyby nie przybył, byłoby pewne, że poległ i Aielowie również. A jednak stawił się i jeśli przeżyje Rhuidean, to przynajmniej niektórzy Aielowie też przeżyją. Tyle wiemy. Gdybyś ty się nie stawiła, to on by nie żył. Gdyby nie stawił się *Aan'allein*, to nie żyłabyś ty. Jeśli nie przejdiesz przez pierścienie... — urwała jakby ugryzła się w język.

Egwene z napięciem pochyliła się do przodu. Moiraine ma pójść do Rhuiden? Aes Sedai udawała, że tego nie zauważyła, a Seana szybko się odezwała, by pokryć słowami to, co się wyrwało Melaine.

— Do przyszłości nie wiedzie żadna ustalona droga. Oglądając Wzór, zdaje nam się, że najcieńsza koronka przypomina zgrzebny worek albo splątany sznurek. W *Tel'aran'rhiod* udaje się zobaczyć, jak utkane mogą być niektóre drogi w przyszłości. Nic więcej.

Moiraine upiła łyk wina.

— Często trudno tłumaczyć z Dawnej Mowy.

Egwene wbiła w nią zdumiony wzrok. Dawna Mowa? A co z pierścieniami, *ter'angralem*? Moiraine ciągnęła beztrąsko. — *Tel'aran'rhiod* oznacza Świat Snów albo może Niewidziany Świat. Żaden z tych terminów nie oddaje precyzyjnie tego pojęcia, jest ono znacznie bardziej skomplikowane. *Aan'allein*. Jedyny Człowiek, ale również Człowiek Który Jest Całym Narodem, a oprócz tego istnieją jeszcze dwa lub trzy inne sposoby przetłumaczenia tego terminu. A te słowa, których używamy na co dzień i nigdy się nie zastanawiamy nad ich znaczeniem w Dawnej Mowie. Strażników nazywamy „Gaidinami”, czyli „braćmi bitew”. Aes Sedai uważały ich za „sługi wszystkich”. „Aiel” to „Oddany” w Dawnej Mowie. Ale i tutaj trzeba znaleźć ekwiwalent silniejszy, zawiera bowiem w sobie aluzję do przysięgi zapisanej w waszych kościach. Zastanawiałam się, czemu oddani są Aielowie. — Twarze Mądrych zastygły, ale Moiraine mimo to kontynuowała. — I na koniec „lenn Aiel”. „Prawdziwie oddany”, wszak znaczenie jest znowu głębsze. Może „jedyny prawdziwie oddany”? Jedyny prawdziwy Aiel?

Spojrzała na nie pytająco, prosto w oczy, nie zważając na ich kamienne twarze. Żadna się nie odezwała.

Co ta Moiraine wyprawia? Egwene nie miała zamiaru pozwolić, by Aes Sedai zniszczyła jej szanse poznania tego, czego mogły nauczyć ją Mądre.

— Amys, czy mogłybyśmy teraz porozmawiać o Śnieniu?

— Będzie na to czas wieczorem — odparła Amys.

— Ale...

— Wieczorem, Egwene. Może i jesteś Aes Sedai, ale tutaj musisz ponownie stać się uczennicą. Nawet nie wolno ci się położyć spać, jeśli masz ochotę, ani zasnąć snem tak lekkim, by jeszcze przed obudzeniem powiedzieć, co widzisz. Zacznę cię uczyć, gdy słońce będzie już gasło.

Przekrzywiając głowę, Egwene wyjrzała z namiotu. Na zewnątrz światło jadowicie oślepiało poprzez błyski żaru w powietrzu, słońce nie stało wyżej jak w połowie drogi do górskich szczytów.

Moiraine nagle podniosła się do klęczek, sięgnęła ręką za plecy i zaczęła rozpinąć suknię.

— Sądzę, że muszę iść, tak jak to zrobiła Aviendha — oświadczyła, bynajmniej nie było to pytanie.

Bair obdarzyła Melaine twardym spojrzeniem, które młodsza kobieta wytrzymała tylko przez chwilę i zaraz spuściła oczy. Seana powiedziała zrezygnowanym głosem:

— Nie trzeba było tego mówić. Ale stało się. Zmiana. Do Rhuidean już udała się osoba, która nie należy do krwi, a teraz wybiera się następna.

Moiraine znieruchomiała.

— Czy to coś zmienia, że mi powiedziano?

— Różnica może być wielka — odparła z niechęcią Bair — albo żadna. Często dajemy wskazówki, ale nic ponadto nie możemy powiedzieć. Kiedy cię oglądałyśmy, jak przechodzisz przez pierścienie, za każdym razem to ty inicjowałeś, to ty żądałeś prawa wejścia do Rhuidean, mimo że nie należysz do krwi. Tymczasem to jedna z nas wspomniała o tym jako pierwsza. To, co zobaczyłyśmy, już uległo zmianie. Kto może stwierdzić, na czym ona polega?

— A gdybym tam nie poszła, co zobaczyłyście w takim przypadku?

Pomarszczona twarz Bair była pozbawiona wszelkiego wyrazu, jednak w bladoniebieskich oczach malowała się sympatia.

— Już i tak za dużo powiedziałyśmy, Moiraine. Spacerująca w snach widzi to, co zdarzy się prawdopodobnie, nie zaś to, co zdarzy się z całą pewnością. Tych, którzy kierują się zbyt dużą wiedzą o przyszłości, czeka nieuchronna zguba, bo albo godzą się na to, co ich zdaniem musi się zdarzyć, albo próbują na siłę to zmieniać.

— Z łaski pierścieni wspomnienia blakną — powiedziała Amsy. — Dana kobieta wie o pewnych rzeczach, kilku rzeczach, które się jej zdarzą, innych zaś nie rozpozna, dopóki nie spadnie na nią konieczność podjęcia decyzji, a zresztą czasem nie rozpoznaje ich wcale. Życie to niepewność i walka, wybór i zmiana, taka, która potrafiłaby prześledzić dokładnie osnowę nitki swego żywota we Wzorze, z równą łatwością, jak dostrzegamy, w jaki sposób przędzę wpleciono w dywan, wiodłaby życie zwierzęcia. O ile nie popadłaby w obłąd. Ludzkość jest stworzona na niepewność, walkę, wybór i zmianę.

Moiraine wysłuchiwała tego, nie zdradzając zniecierpliwienia, aczkolwiek Egwene podejrzewała, że ją przepełniało — Aes Sedai przywykła, że to ona udziela wykładów, nie zaś odwrotnie. Milczała, gdy Egwene pomagała jej zdjąć suknię, i nadal się nie odzywała, kiedy naga przykucnęła na skraju dywanów, patrząc w dół z boczka, w stronę spowitego we mgłę miasta w dolinie. Dopiero wtedy powiedziała:

— Nie pozwólcie Lanowi iść za mną. Spróbuj, jeśli mnie zobaczy.

— Będzie, co będzie — odparła Bair. Jej cienki głos brzmiał zimno i rozkazująco.

Po jakiejś chwili Moiraine posepnie skinęła głową i wyślizgnęła się z namiotu prosto w płonący blask słońca. Natychmiast zaczęła biec, boso, po parzącym zboczcu.

Egwene skrzywiła się. Rand i Mat, Aviendha, teraz Moiraine, wszyscy udali się do Rhuidean.

— Czy ona... przeżyje? Jeśli śniłyście o tym, to musicie wiedzieć.

— Są takie miejsca, do których w *Tel'aran'rhiod* nie da się wejść — powiedziała Seana. — Rhuidean. *Stedding* ogirów. Kilka innych. To, co się tam dzieje, jest zasłonięte przed oczyma spacerującej po snach.

To nie była odpowiedź — widziały ją, jak wychodzi z Rhuidean — ale najwyraźniej tyle tylko miała usłyszeć.

— Bardzo dobrze. Czy ja też powinnam tam pójść? — Nie podobała jej się myśl o poznawaniu pierścieni, to by przypominało ponowne wyniesienie do godności Przyjętej. Ale skoro wszyscy inni poszli...

— Nie bądź głupia — zbesztła ją Amys.

— Nie widziałyśmy ciebie w tym wszystkim — dodała łagodniejszym tonem Bair. — W ogóle cię nie widziałyśmy.

— A ja nie odparłabym „tak”, gdybyś poprosiła — ciągnęła Amys. — Do wyrażenia zgody potrzeba czterech i ja powiedziałabym „nie”. Jesteś tu, by uczyć się spacerowania po snach.

— Ucz mnie w takim razie — powiedziała Egwene, opadając z powrotem na poduszki. — Na pewno jest coś, od czego możesz zacząć jeszcze przed wieczorem.

Melaine skrzywiła się, ale Bair sucho zachichotała.

— Jest chętna i niecierpliwa tak jak ty, gdy postanowiłaś się uczyć, Amys.

Amys przytaknęła.

— Dla jej dobra mam nadzieję, że zachowa ochotę, a straci niecierpliwość. Posłuchaj mnie, Egwene. Choć to będzie trudne, musisz zapomnieć, że jesteś Aes Sedai, skoro masz się uczyć. Musisz słuchać, pamiętać, i robić to, co ci każą. Przede wszystkim nie wolno ci wchodzić do *Tel'aran'rhiod*, dopóki jedna z nas ci nie pozwoli. Czy godzisz się na to?

Nie było trudno zapomnieć, że jest Aes Sedai, skoro nią nie była. Reszta zaś brzmiała złowieszczo, tak jakby na powrót miała się stać nowicjuską.

— Zgadzam się. — Miała nadzieję, że w jej głosie nie słyhać zwątpienia.

— Znakomicie — powiedziała Bair. — Opowiem ci teraz bardzo ogólnie o spacerowaniu po snach i *Tel'aran'rhiod*. Kiedy skończę, powtórzysz, co ci powiedziałam. Jeśli nie uda ci się wymienić wszystkich punktów, to dziś wieczorem zastąpisz *gai'shain* przy szorowaniu garnków. Jeśli masz tak słabą pamięć, że nie dasz rady powtórzyć tego, co mówię, po drugim słuchaniu... Cóż, to omówimy, gdy do tego dojdzie. Uważaj.

— Prawie każdy może dotknąć *Tel'aran'rhiod*, ale niewielu może wejść do niego naprawdę. Z wszystkich Mądrych tylko my cztery możemy spacerować po snach, a twoja Wieża od blisko pięciuset lat nie wydała żadnej prawdziwej spacerującej po snach. Nie jest to rzecz związana z Jedyną Mocą, aczkolwiek Aes

Sedai tak uważają. Ani ja, ani Seana nie potrafimy przynieść Mocy, ale spacerujemy po snach tak jak Amys albo Melaine. Wielu ludzi ociera się o Świat Snów, kiedy śpią. Jako że tylko się o niego ocierają, budzą się z bólami w tych miejscach, które powinni mieć połamane albo które powinny ulec śmiertelnym obrażeniom. Spacerująca po snach wchodzi do snu całkowicie, więc jej rany są prawdziwe po przebudzeniu. Dla takiej, która całkowicie wejdzie do snu, czy jest, czy nie jest spacerującą, śmierć tam oznacza śmierć tutaj. Nazbyt pełne wejście do snu oznacza bowiem utratę kontaktu z ciałem, bez powrotu, i wówczas ciało umiera. Mówi się, że kiedyś były takie, które potrafiły wejść do snu ciałem i przestawały egzystować w tym świecie. Nigdy nie należy tego próbować, nawet jeśli uważasz, że to potrafisz, za każdym razem bowiem tracisz jakąś część tego, co czyni cię człowiekiem, a to nie jest dobrą rzeczą. Musisz się nauczyć wchodzić do *Tel'aran'rhiod*, kiedy chcesz, do takiego stopnia, w jakim chcesz. Musisz się nauczyć znajdować i odczytywać to, co widzisz, powinnaś też wchodzić do snów wtedy, gdy jest obok ktoś, kto cię uzdrowi, a także rozpoznawać tych, którzy weszli do snu, w takim stopniu, że mogą wyrządzić ci krzywdę, ponadto...

Egwene słuchała uważnie. Fascynowały ją te wzmianki o rzeczach, jej zdaniem zdawałoby się, niemożliwych, a poza tym nie miała zamiaru skończyć na szorowaniu garnków. To jakoś nie brzmiało sprawiedliwie. Niezależnie od tego, co miało spotkać Randa, Mata i pozostałych w Rhuidean, nie groziło im szorowanie garnków. A ja się na to zgodziłam! To po prostu nie było sprawiedliwe. Z kolei wątpiła jednak, czy tamci wydobędą z Rhuidean więcej niż ona z tych kobiet.

## RHUIDEAN

Gładki kamyk, który Mat ssał, od jakiegoś czasu przestał już spełniać swe zadanie, w ustach nie miał już nawet kropli śliny. Wypluł go, przykucnął obok Randa i zapatrzył się na szarą ścianę, która kłębiła się przed nimi, w odległości może trzydziestu kroków. Mgła. Miał nadzieję, że przynajmniej w jej wnętrzu jest chłodniej niż tutaj. Naprawdę przydałaby się choć odrobina wody. Popękały mu wargi. Ściągnął szarfę z czoła i otarł nią twarz, ale potu nie starczyło do zwilżenia tkaniny, był kompletnie odwodniony. I jakieś miejsce, gdzie można by usiąść. Miał wrażenie, że jego stopy, skryte w wysokich butach, to ugotowane kiełbaski, w ogóle cały czuł się ugotowany, jeśli już o tym mowa. Mgła rozciągała się na lewo i prawo na odcinku dłuższym niż mila, wisiała nad jego głową niczym wysokie urwisko w samym środku jałowej, spieczonej doliny. Tu gdzieś musi być jakaś woda.

„Dlaczego słońce jej jeszcze nie wypaliło?”

To mu się w tym wszystkim najbardziej nie podobało. Przywiodły go tu głupie zabawy z Mocą, a teraz wychodziło na to, że nudy nie będzie temu końca.

„Światłości, ja się chcę uwolnić od Mocy i Aes Sedai. Niech szczenę, naprawdę chcę!”

Wszystko, byle tylko nie myśleć o tym, że trzeba wejść w tę mgłę, byle zyskać chociaż jeszcze jedną minutę.

— Biegaczka, którą zauważyłem, to była ta Aiel, przyjaciółka Egwene — zachrypiał. Biegła! W tym upale. Na samą myśl o bieganiu stopy rozboleły go jeszcze bardziej. — Aviendha. Czy jak jej tam na imię.

— Skoro tak twierdzisz — odparł Rand, przypatrując się uważnie mgłę. Mówił takim głosem, jakby usta miał pełne pyłu. Słońce opaliło mu twarz. Przykucnięty, chwiały się niepewnie. — Tylko co ona miałaby tu robić? I na dodatek naga?

Mat zrezygnował z rozwijania tematu. Rand jej nie widział — odkąd zaczęli schodzić w dół, prawie nie odrywał oczu od ściany skłębionej mgły — i bynajmniej nie wierzył, że Mat ją zobaczył. Biegła jak szalona i trzymała się z dala od nich dwóch. Wyglądało na to, że kieruje się ku tej dziwacznej mgłę. Rand najwyraźniej nie miał większej niż on ochoty, by w nią wleźć. Zastanawiał się, czy wygląda równie źle jak przyjaciel. Dotknął policzka i skrzywił się. Nabrał



podejrzenia, że niestety tak.

— Mamy zamiar siedzieć tu całą noc? Ta dolina jest dość głęboka. Na jej dnie ściemni się za kilka godzin. Może wtedy zrobi się również chłodniej, ale raczej wolałbym nie napotkać zwierząt, które mogą tam biegać po nocy. Pewnie lwy. Słyszałem, że na Pustkowiui żyją lwy.

— Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Mat? Słyszałeś, co mówiły Mądre. Jak tam wejdiesz, to możesz umrzeć albo popaść w obłąd. Wróć do namiotów, jeśli chcesz. Zostawiłeś butle z wodą i bukłak przy siodle Oczka.

Wolał, by Rand mu o tym nie przypominał. Lepiej nie myśleć o wodzie.

— Niech skonam, nie chcę iść. Ale muszę. A co z tobą? Czy bycie cholernym Smokiem Odrodzonym ci nie wystarcza? Musisz też być przeklętym wodzem klanu Aielów? Dlaczego ty tu jesteś?

— Muszę tu być, Mat. Muszę. — Przez suchość głosu przebijała rezygnacja, ale również coś innego. Ślad zapału. Ten człowiek był naprawdę obłąkany, on chciał to zrobić.

— Rand, może to jest odpowiedź, której oni udzielają wszystkim. Chodzi mi o tych ludzi-węży. Idź do Rhuidean. Może wcale tu nie musimy być. — Nie wierzył w to, ale mając przed oczyma tę mgłę...

Rand odwrócił głowę, by spojrzeć na niego. Milczał przez chwilę. W końcu odezwał się:

— Oni mi nic nie powiedzieli o Rhuidean, Mat.

— A niech skonam — mruknął. W taki czy inny sposób miał zamiar znaleźć raz jeszcze drogę przez tamte krzywe drzwi w Łzie. Zamyślony, wyciągnął z kieszeni kaftana złotą markę z Tar Valon, przetoczył ją po wierzchach palców i schował z powrotem. Ci wężowi ludzie udzielił mu jeszcze kilku odpowiedzi, czy tego chcą czy nie. Jakoś ich zmusi.

Nie mówiąc już ani słowa, Rand wstał i ruszył chwiejnym krokiem w stronę ściany mgły, z oczyma utkwionymi w dal. Mat pośpieszył za nim.

„A niech szeszne. Niech szeszne. Ja nie chcę tego robić”.

Rand z miejsca zatopił się w gęstej szarości, Mat natomiast zawahał się na moment, nim poszedł w jego ślady. Mimo wszystko to Moc musiała utrzymywać tę mgłę, zwłaszcza że jej skraj się kłębił, ale w ogóle ani się nie posuwał do przodu, ani też nie cofał. Cholerna Moc i żadnego cholernego wyboru. Ten pierwszy krok przyniósł błogosławioną ulgę, chłód i wilgoć, otworzył usta chcąc, by mgła zwilżyła mu język. Jeszcze trzy kroki i zaczął się niepokoić. Na wyciągnięcie ręki tylko nieokreślona szarzyzna. Nie potrafił nawet wyróżnić cienia, którym mógł być Rand.

— Rand? — Równie dobrze mógłby wcale nie otwierać ust, pomroka połknęła słowo, niemalże nim dotarło do jego własnych uszu. Nie był już nawet pewien kierunku, a wszak zawsze pamiętał drogę. Przed nim mogło być wszystko. Albo pod stopami. Nie widział własnych nóg, od pasa w dół pochłaniała go mgła. Nie

zważając na to, przyśpieszył kroku. I nagle wyszedł obok Randa na przestrzeń rozjaśnioną dziwnym, nie rzucającym cienia światłem.

Mgła tworzyła ogromną, wklęsłą kopułę, zakrywającą niebo, jej bulgocząca, wewnętrzna powierzchnia jarzyła się bladym, jaskrawym błękitem. Rhuidean nie było w połowie choćby tak wielkie jak Łza czy Caemlyn, ale nigdy nie widział równie rozległych pasaży jak te puste ulice, pełne wielkich fontann z posągami, przedzielone na środku szerokimi pasmami nagiej ziemi, na której musiały chyba kiedyś rosnąć drzewa. Wzdłuż ulic stały ogromne budowle, dziwne, płaskie pałace z marmuru, kryształu i rżniętego szkła, ich stopnie albo proste mury wznosiły się na wysokość setek stóp. Nie widać było ani jednego małego budynku, niczego, co mogło mieścić zwykłą tawernę, gospodę lub stajnię. Tylko przeogromne pałace, z połyskującymi, czerwonymi, białymi albo niebieskimi kolumnami, grubości pięćdziesięciu stóp i wysokości stu kroków; wieńczyły je niebotyczne wieże, żłobkowane, spiralne, niektóre wbijały się w połyskliwe chmury.

Mimo całego tego przepychu miasta nigdy nie zostało ukończone. Wiele z tych olbrzymich budowli robiło wrażenie porzuconych w trakcie budowy. W niektórych ogromne okna wypełniało kolorowe szkło, tworzące obrazy srogich, dostojnych mężczyzn i kobiet, o wzroście trzydziestu stóp i więcej, wschody słońca i gwiazdziste, nocne nieba, inne okna ziały pustką. Nieskończone i dawno już temu porzucone na pastwę losu. W żadnej z fontann nie pluskała woda. Cisza okryła miasto niczym kolejna mgielna kopuła. Powietrze było chłodniejsze niż na zewnątrz, równie jednak jałowe. Pył zgrzytał pad stopami na jasnych, gładkich kamieniach bruku.

Mimo to Mat podbiegł do najbliższej fontanny, tak na wszelki wypadek, i przechylił się przez sięgającą do pasa, białą poręcz. Do szerokiego, zakurzonego zbiornika, równie wyschłego jak jego usta, zaglądały trzy rozebrane kobiety, dwakroć od niego wyższe i podtrzymujące nad głowami dziwną rybę o szerokim pysku.

— To jasne — odezwał się za jego plecami Rand. — Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć.

Mat obejrzał się przez ramię.

— O czym?

Rand wpatrywał się w fontannę, trzęsąc się od bezgłośnego śmiechu.

— Weź się w garść, Rand. Nie zwariowałaś przed chwilą. Powinieneś był pomyśleć!

Głuche bulgotanie kazało Matowi błyskawicznie wrócić do fontanny. Zniecka z pyska ryby trysnęła woda, strumieniem grubości jego uda. Wdrapał się do zbiornika i rzucił pod strumień z głową odchyloną w tył i otwartymi ustami. Zimna, słodka woda, tak zimna, że aż zadrżał, słodsza niż wino. Przemoczyła mu włosy, kaftan, spodnie. Pił dopóty, dopóki nie poczuł, że zaraz się utopi, w końcu zachwiał się i dysząc wsparł o kamienną nogę kobiety.

Rand nadal stał w jednym miejscu, zapatrzony w fontannę, z poczerwieniałą

twarzą i spękany ustami, śmiał się cicho.

— Żadnej wody, Mat. Powiedziały, że nie wolno nam przynosić tu wody, ale nie powiedziały, że ona tu jest.

— Rand? Nie zamierzasz się napić?

Rand wzdrygnął się, a potem wszedł do wypełnionego po kostki zbiornika, rozbryzgując wodę, dotarł do miejsca, gdzie wcześniej stał Mat, i zaczął pić w taki sam sposób, z zamkniętymi oczyma i twarzą wystawioną ku górze; wkrótce również cały był mokry.

Mat patrzył na to z niepokojem. Nie jest obłąkany, to prawda, jeszcze nie. Gdyby się jednak nie odezwał, to jak długo Rand stałby tutaj i śmiał się pozwalając, by pragnienie zamieniało mu gardło w kamień? Mat zostawił go tam i wygramolił się z fontanny. Trochę tej wody, która przemoczyła jego ubranie, wlało mu się do butów. Zignorował chłupotanie, które słyhać było przy każdym kroku, nie był pewien, czy jeśli teraz ściągnie buty, to uda mu się włożyć je z powrotem. A poza tym tak było mu dobrze.

Spoglądając na miasto, zastanawiał się, co tu właściwie robi. Ci ludzie twierdzili, że może umrzeć, ale czy sam pobyt w Rhuidean wystarczy, by stało się przeciwnie?

„Czyli muszę tu coś zrobić? Ale co?”

Puste ulice i na poły ukończone pałace nie rzucały cienia w jasnym, lazurowym świetle. Klucie między łopatkami nasilało się. Te wpatrzone w niego puste okna, te zębate linie porzuconych konstrukcji. Mogło się wśród nich kryć wszystko, a w miejscu takim jak to wszystko mogło być. . .

„Dowolną cholerną rzeczą”.

Żałował, że nie ma przynajmniej swych noży w butach. Ale te kobiety, te Mądre, tak się na niego gapiły, jakby wiedziały, że on je tam ukrywa. I przenosiły Moc, jedna albo wszystkie. To głupota oszukiwać kobiety, które potrafią przenosić, jeśli można tego uniknąć.

„Niech szczenę, gdybym tylko mógł odciąć się od Aes Sedai, to już nigdy bym o nic nie prosił. No cóż, w każdym razie bardzo długo bym o nic nie prosił. Światłości, ciekawe, czy coś się tu przypadkiem nie czai”.

— Serce musi być tam, Mat. — Rand wyszedł ze zbiornika, ociekając wilgocią.

— Serce?

— Mądre powiedziały, że muszę udać się do serca. Zapewne mówiły o centrum miasta. — Rand obejrzał się na fontannę i nagle strumień zmniejszył się do cienkiego strumyczka, a potem zaniknął. — Tu jest cały ocean dobrej wody. Głęboko. Tak głęboko, że mało co, a byłbym go nie znalazł. Gdybym mógł go wydobyć. . . Ale nie ma sensu marnować wody. Jeszcze raz porządnie się napijemy, gdy nadejdzie czas, by stąd odejść.

Mat niespokojnie zaszurał nogami.

„Ty głupcze! Skąd, twoim zdaniem, wzięła się ta woda? No przecież on przeniósł cholerną Moc. Myślałeś, że ona tak sobie popłynęła na nowo, Światłość jedna wie po jak długim czasie?”

— Centrum miasta. Oczywiście. Prowadź.

Trzymali się środka szerokiej ulicy, wędrując skrajem nagich pasów ubitej ziemi, obok kolejnych, wyschłych fontann, niekiedy wyposażonych jedynie w kamienny zbiornik i marmurowy cokół, na którym powinien stać jakiś posąg. W mieście nie było ani jednej rzeczy zniszczonej... najwyżej nie ukończone. Pałace wznosiły się po obu stronach na podobieństwo górskich łańcuchów. W środku musiały być jakieś rzeczy. Może meble, jeśli nie zgniły. Może złoto. Noże. Noże nie zardzewieją w tak suchym powietrzu, choćby nie wiadomo od jak dawna tu były.

„Z tego, co ci wiadomo, tam może siedzieć jakiś cholerny Myrddraal. Światłości, czemu musiałem o tym pomyśleć?”

Że też nie pomyślał o zabranii pałki, kiedy opuszczał Kamień. Może udałoby się przekonać Mądre, że to kostur. Nie było sensu teraz nad tym deliberować. Wystarczyłoby drzewo, gdyby miał czym ściąć jakąś sporą gałąź i ją obciosać. Znowu jakieś „gdyby”. Zastanawiał się, czy temu, kto zbudował to miasto, udało się wyhodować jakieś drzewa. Zbyt długo pracował na farmie swego ojca, by nie rozpoznać dobrej gleby. Te długie wstęgi nagiej ziemi były liche, nie nadawały się do posadzenia czegokolwiek z wyjątkiem chwastów, a i tych raczej w skromnych ilościach. Teraz nie rosło tu nic.

Kiedy uszli jakąś milę, ulica nagle zakończyła się wielkim rynkiem, otoczonym takimi samymi pałacami z marmuru i kryształu, który ciągnął się dalej, być może równie daleko jak droga, którą do tej pory pokonali. O dziwo, na samym środku rosło jakieś drzewo, wysokości dobrych stu stóp, które rozpościerało grube, gęsto pokryte liśćmi konary nad zakurzonymi, białymi kamieniami brukowymi zajmującymi hajd powierzchni, a nie opodal znajdowało się coś, co wyglądało jak koncentryczne pierścienie utworzone z przezroczystych, połyskliwych szklanych kolumn, cienkich niczym igły — wrażenie to brało się z nadzwyczajnej ich smukłości — dorównujących niemal wysokością drzewu. Dziwiłby się, w jaki sposób drzewo w ogóle mogło tu wyrosnąć, pozbawione światła słońca, gdyby jego uwagi nie przyciągnął nagle zdumiewający galimatias, wypełniający pozostałą część placu.

Z każdej ulicy, którą Mat widział ze swego miejsca, wiodła prosto do utworzonych z kolumn pierścieni pusta dróżka, między którymi stały bez ładu i składu posągi, rozmiarów żywych istot, z kamienia, kryształu albo metalu, osadzone bezpośrednio w bruku. Wśród nich znajdowały się... Z początku nie wiedział nawet, jakie nadać im nazwy. Płaski, srebrzysty pierścień o szerokości dziesięciu stóp i cienki jak ostrze noża. Spiczasty, kryształowy cokół, na którym mógł stanąć jakiś mniejszy posąg. Błyszcząca iglica z czarnego metalu, smukła niczym włócz-

nia i nie dłuższa, stojąca na czubku, jakby wrosła w bruk korzeniami. Setki, może tysiące rzeczy, w każdym kształcie i z każdego materiału, jaki można było sobie wyobrazić, wypełniały całkowicie ogromny plac, rozstawione w odległościach nie większych niż kilkanaście stóp.

To widok tej czarnej, metalowej włóczni, tej, która tak nienaturalnie stała, nasaunął mu nagle odpowiedź na pytanie, co to musi być. *Ter'angreale*. A w każdym razie rzeczy, które miały coś wspólnego z Mocą. Niektóre na pewno miały. Tamtej krzywej kamiennej futryny w Wielkiej Przechowalni Kamienia też nie dawało się przewrócić.

Już był gotów zawrócić, ale Rand szedł dalej, ledwie patrząc na to, co wytaczało mu drogę. Zatrzymał się w pewnej chwili, patrząc na dwie figurki, które zdawały się ledwie zasługiwać na miejsce wśród pozostałych rzeczy. Dwie statuetki, wysokości około stopy, mężczyzna i kobieta, każde trzymało w ręce kryształową kulę. Nachylił się, jakby chciał ich dotknąć, ale wyprostował się tak szybko, że mogło to być wyłącznie dzieło imaginacji Mata.

Po chwili Mat ruszył spieszenie w jego ślady, starając się go dogonić. Im bardziej się zbliżali do tych roziskrzonych pierścieni, utworzonych przez kolumny, tym bardziej był spięty. Te wszystkie przedmioty, które ich otaczały, miały coś wspólnego z Mocą, kolumny również. Po prostu to wiedział. Ich niesamowicie wysokie i cienkie trzony iskrzyły się błękitnym światłem, mącąc wzrok.

„Powiedzieli tylko, że muszę tu przyjść. No i cóż, przyszedłem. Nic nie mówili o cholernej Mocy”.

Rand zatrzymał się tak nagle, że Mat zrobił jeszcze trzy kroki w stronę pierścieni, nim się zorientował. Zauważył, że przyjaciel wpatruje się w drzewo. Drzewo. Mat połapał się, że sam idzie ku niemu, jakby go przyciągało. Żadne inne drzewo nie ma takich potrójnych liści. Żadne, prócz tego jednego drzewa z legendy.

— *Awendesora* — rzekł cicho Rand. — Drzewo Życia. To ono.

Mat podskoczył do rozłożystych konarów, chcąc zerwać jeden z liści, żadnego jednak nie mógł dosięgnąć. Zadowolił się więc wejściem głębiej pod liściasty dach, gdzie oparł się o gruby pień. Po chwili osunął się na ziemię i przysiadł, nadal wsparty o niego plecami. Dawne opowieści mówiły prawdę. Czuł... Błogość. Spokój. Zadowolenie. Nawet stopy nie bolały tak mocno.

Rand usiadł nie opodal ze skrzyżowanymi nogami.

— Ja tam wierzę opowieściom. Ghoetam czterdzieści lat siedział pod *Awendesorą*, chcąc zdobyć mądrość. Teraz w to wierzę.

Głowa Mata dotknęła pnia.

— Ja tam nie wiem, czy uwierzyłbym, że ptaki przyniosą mi coś do zjedzenia. Musiałbyś czasem wstać.

„Ale nie byłoby źle posiedzieć jakąś godzinę. Nawet cały dzień”.

— To zresztą nie ma sensu. Jakie pożywienie mogłyby tu przynosić ptaki? Jakie ptaki?

— Może Rhuidean nie zawsze takie było, Mat. Może... Nie wiem. Może *Avendesora* rosła wtedy gdzie indziej.

— Gdzie indziej — mruknął Mat. — Chętnie przeniósłbym się gdzie indziej. „Ale... tu jest... tak przyjemnie.”

— Gdzie indziej? — Rand obrócił się, by popatrzeć na wysokie, wąskie kolumny, połyskujące już tak blisko. — „Obowiązek jest cięższy niż góra” — powiedział i westchnął.

Była to część powiedzenia, które poznał w Ziemiach Granicznych. „Śmierć jest lżejsza od pióra, obowiązek cięższy niż góra”. Zdaniem Mata brzmiało to jak kompletne brednie, ale Rand już wstał. Mat niechętnie poszedł w jego ślady.

— Jak myślisz, co tam znajdziemy?

— Mam zamiar iść sam — powiedział wolno Rand.

— O co ci chodzi? — spytał Mat. — Przybyłem tu z daleka, nieprawdaż? Nie mam zamiaru podkulać teraz ogona.

„A właśnie, że mam!”

— To nie tak, Mat. Jeśli tam wejdiesz, to albo wyjdiesz jako wódz klanu, albo umrzesz. Albo wyjdiesz obłąkany. Nie sędzę, by istniał jakiś inny wybór. Chyba że wchodzącą jest Mądrą.

Mat zawahał się.

„Umrzesz i narodzisz się na nowo”.

Tak właśnie powiedzieli. Nie miał jednak zamiaru nawet podejmować próby zostania wodzem klanu Aielów, Aielowie zapewne natychmiast naszpikowaliby go włóczniami.

— Niech decyduje szczęście — powiedział, wyciągając z kieszeni markę z Tar Valon. — To zaczyna być powoli moja szczęśliwa moneta. Płomień, idę z tobą, głowa, zostaje. — Podrzucił monetę, nim Rand zdążył zaprotestować.

Jakoś nie udało mu się jej złapać, marka wyślizgnęła się z palców, zabrzęczała na bruku, odbiła dwukrotnie... I stanęła na krawędzi.

Spiorunował Randa oskarżycielskim wzrokiem.

— Robisz to celowo? Nie umiesz tego kontrolować?

— Nie. — Moneta upadła, ukazując pozbawioną śladów upływu lat twarz kobiety w otoczeniu gwiazd. — Wygląda na to, że tu zostaniesz, Mat.

— Czy ty właśnie...? — Rand mógłby nie przynosić Mocy w jego obecności, tak byłoby znacznie lepiej. — A niech szczenę, chcesz, bym tu został, to stanę.

Złapał monetę i schował ją z powrotem do kieszeni.

— Posłuchaj, idź tam, zrób to, co musisz, i wracaj. Ja chcę stąd wyjść, nie mam zamiaru tu siedzieć i kręcić młynków kciukami w oczekiwaniu na ciebie. I nie myśl sobie, że pójde za tobą, więc lepiej uważaj.

— Nie oczekiwałbym tego od ciebie, Mat — odparł Rand.

Mat popatrzył na niego podejrzliwie. Z czego on się tak śmieje?

— Zgodnie z umową nie pójdę. Ach, idź już i zostań sobie cholernym wodzem Aielów. Masz odpowiednią twarz.

— Nie wchodź tam, Mat. Cokolwiek się zdarzy, nie wchodź. — Zaczekał, aż Mat skinie głową, i dopiero wtedy ruszył.

Mat stał i patrzył, jak Rand wchodzi między połyskliwe kolumny. Niemal natychmiast zniknął mu z oczu w powodzi tych oślepiających, pulsujących lśnień.

„Oko płata mi figle” — powiedział sobie Mat. To nie było nic innego. „Cholerne oko płata mi cholerne figle”.

Zaczął obchodzić kolumny dookoła, trzymając się z dala na sporą odległość, wysilając wzrok, by raz jeszcze zobaczyć Randa.

— Uważaj na to, co robisz! — zawołał. — Jak mnie zostawisz samego na Pustkowiu z Moiraine i tymi cholernymi Aielami, to cię uduszę, czyś Smok Odrodzony czy nie!

Po chwili dodał:

— Nie pójdę za tobą, jeśli się wpakujesz w tarapaty! Słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi.

„Jeśli on stamtąd nie wyjdzie za godzinę...”

— On jest obłąkany, że tam wszedł — mruknął. — To on musi wypić piwo, które nawarzył. To on potrafi przenosić. Jeśli wsadził głowę do gniazda szerszeni, to może przenieść cholerną Moc i wyciągnąć ją stamtąd.

„Dam mu godzinę”.

A potem sobie pójdzie, nieważne, czy Rand wróci czy nie. Po prostu odwróci się i odejdzie. Po prostu odejdzie. To właśnie zrobi. O właśnie.

Cienkie trzony ze szkła odbijały niebieskawe światło w taki sposób, że wkrótce nabawił się bólu głowy. Odwrócił się i powędrował tą samą drogą, którą tu przyszedł, niespokojnie mierząc wzrokiem *ter'angreal* — czy cokolwiek to było — zajmujące całą przestrzeń rynku. Co on tu robi? Dlaczego?

Nagle zatrzymał się jak wryty, gapiąc na jeden z dziwnych przedmiotów. Wielka rama z wypolerowanego, czerwonego kamienia, cudacznie wykrzywiona, ale właściwie nie wiadomo, w jaki sposób, trudno bowiem było ją objąć wzrokiem w całości. Podeszedł do niej powoli, lawirując między połyskującymi iglicami z rżniętego kryształu, kończącymi się na wysokości jego głowy, oraz niskimi, złotymi ramami, wypełnionymi czymś, co przypominało tafle szkła; ledwie jednak je zauważał, ani na moment bowiem nie odrywał oczu od futryny.

To była ta sama. Ten sam wypolerowany, czerwony kamień, te same wymiary, te same kąty, które urągały oczom. Wzdłuż każdej pionowej linii biegły trzy szeregi trójkątów skierowanych wierzchołkami w dół. Czy na tamtej w Łzie też było coś takiego? Nie mógł sobie przypomnieć, nie starał się zapamiętać wszystkich szczegółów. To jest ta sama, na pewno. Może nie powinien jeszcze raz przez nią

przechodzić, ale...? Kolejna okazja, by dopaść węzowych ludzi, zmusić ich do udzielenia jeszcze kilku odpowiedzi.

Mrużąc oczy oślepione przez szklane błyski, obejrzał się w stronę kolumn. Dał Randowi godzinę. W godzinę zdoła wejść do tej rzeczy, wrócić i jeszcze sporo zostanie czasu. Może nawet nie zadziała, skoro już raz użył innej, bliźniaczo podobnej. To jest ta sama. Ale może się uda. Raz jeszcze otrze się o Moc.

— Światłości — mruknął. — *Ter'angreal*. Kamienie Portalu. Rhuidean. Czy ten jeszcze jeden raz coś zmieni?

Przeszedł. Przez ścianę z oślepiająco białego światła, przez ryk tak donośny, że głużył każdy inny dźwięk.

Mrugając rozejrzał się dookoła i zmełł w ustach najgorsze przekleństwo, jakie znał. Gdziekolwiek by się znalazł, nigdy tu przedtem nie był.

Krzywa futryna stała pośrodku jakiejś ogromnej komnaty, zbudowanej bodajże na planie gwiazdy, tyle przynajmniej zobaczył przez las grubych kolumn, w których wyłobiono po osiem głębokich rowków, ich ostre krawędzie były żółte i jarzyły się miękko odbitym światłem. Całe połyskujące czernią, z wyjątkiem tych rozjarzonych elementów, wyrastały z białej posadzki i ginęły gdzieś wysoko w ciemnościach, gdzie blakły nawet te żółte paski. Kolumny i posadzka wyglądały na szklane, ale kiedy się nachylił nad posadzką, by przejechać po niej dłonią, w dotyku przypominała kamień. Zakurzony kamień. Otarł dłoń o kaftan. Powietrze pachniało stęchlizną, a w kurzu widać było tylko ślady jego stóp. Od dawna nikogo tu nie było.

Rozczarowany, skierował się z powrotem w stronę *ter'angrealu*.

— Bardzo dawno.

Błyskawicznie odwrócił się na pięcie, miętosząc rękaw w poszukiwaniu noża, który przecież leżał teraz na zboczu góry. Mężczyzna, który stał wśród kolumn, zupełnie nie przypominał tamtych węzowych ludzi. Na jego widok Mat pożałował, że wszystkie ostrza oddał Mądrym.

Osobnik był wysoki, wyższy niż przeciętny Aiel, i muskularny, ale ramiona miał zbyt szerokie w porównaniu z wąską talią, skórę zaś tak białą jak najdelikatniejszy papier. Na ramionach i nagim torsie krzyżowały się nabijane ćwiekami paski z jasnej skóry, czarny kilt zwisał do kolan. Oczy miał zbyt duże i niemal bezbarwne, osadzone głęboko w twarzy o wąskiej szczęce. Krótko przyszczyżone, jasne włosy o rudawym odcieniu, sterczały jak szczotka, a uszy, przylegające płasko przy czaszce, były lekko spiczaste. Nachylił się nad Matem, wciągając łapczywie powietrze szeroko otwartymi ustami, w których błyskały ostre zęby. Robił wrażenie lisa, który zaraz skoczy na zapędzonego w kąt kurnika kurczaka.

— Bardzo długo — powiedział prostując się. Głos miał chrapliwy, niemal podobny do warczenia. — Czy przestrzegasz traktatów i umów? Czy masz żelazo, instrumenty muzyczne albo urządzenia do wytwarzania światła?

— Nie mam żadnej z tych rzeczy — odparł wolno Mat. To nie było to samo



miejsce, ale ten jegomość zadawał takie same pytania. I zachowywał się identycznie, a wszędzie unosił się podobny zapach.

„On szpera w moich cholernych doświadczeniach, prawda? No cóż, niech sobie szpera. Może niechący dogrzebie się do któregoś z tych, które błakają się samopas, to wtedy ja też je sobie przypomnę”.

Zastanawiał się, czy znowu zaczął używać Dawnej Mowy. To nieprzyjemne nie wiedzieć i nie móc sprawdzić, jak się mówi.

— Prowadź, o ile zabierzesz mnie tam, gdzie uzyskam jakieś odpowiedzi. Jeśli nie, to sobie idę i przepraszam, że cię niepokoiłem.

— Nie! — Wielkie, bezbarwne oczy zamrugały z podniecenia. — Nie wolno ci odejść. Chodź. Zabiorę cię tam, gdzie znajdziesz to, czego potrzebujesz. Chodź. — Cofał się, gestykulując obiema rękoma. — Chodź.

Mat ruszył za nim, zerknąwszy raz w stronę *ter'angreal*. Nie spodobało mu się, że uśmiech mężczyzny obnażył zęby. Może chciał go uspokoić, ale te zęby... Mat postanowił, że już nigdy nie odda wszystkich swoich noży, ani Mądrym, ani samej Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

Wielkie, pięcioboczne drzwi bardziej przypominały wejście do tunelu, ponieważ ukryty za nimi korytarz miał dokładnie takie same wymiary i kształt, wzdłuż zakrętów biegły te same jaskrawe, żółte paski, obramowujące posadzkę i sufit. Korytarz zdawał się nie mieć końca, nikał gdzieś w mroku, w pewnych odstępach urozmaicony kolejnymi, identycznymi, pięciobocznymi drzwiami. Mężczyzna w kilcie nie odwrócił się tyłem, by poprowadzić, dopóki nie znaleźli się obaj na korytarzu, a nawet wtedy stale oglądał się przez szerokie ramię, jakby się upewniał, że Mat wciąż za nim idzie. Powietrze już nie pachniało stęchlizną, pojawiła się w nim natomiast jakaś nowa woń, niezbyt miła, jakby znajoma, ale nie dość silna, by dała się rozpoznać.

Przed pierwszymi drzwiami Mat zajrzał do środka i westchnął. Za czarnymi kolumnami o gwiazdzistym kształcie stała krzywa rama drzwiowa z czerwonego kamienia, na mętnej, szklisto-białej posadzce, w kurzu której widać było tylko jedne ślady butów, które odchodziły od *ter'angreal* i wiodły w stronę korytarza w ślad za odciskami bosych stóp. Obejrzał się przez ramię. Korytarz zamiast kończyć się w odległości pięćdziesięciu kroków w innej, podobnej komnacie, biegł tak daleko, jak okiem sięgnął, tworząc lustrzane odbicie tego, co widział przed sobą. Przewodnik obdarzył go uśmiechem pełnym ostrych zębów; wyglądał na głodnego.

Wiedział, że powinien spodziewać się czegoś takiego po tym, co zobaczył po drugiej stronie *ter'angreal* w Kamieniu. Te iglice, które zaczynały się w miejscu, w którym miały do tego prawo, a kończyły tam, gdzie zgodnie z logiką nie powinny. Skoro było tak z iglicami, to dlaczego nie z komnatami.

„Trzeba było tam zostać i zaczekać na Randa, to właśnie trzeba było zrobić. Powinienem być zrobić całe mnóstwo rozmaitych rzeczy”.

Przynajmniej nie będzie miał kłopotu z ponownym odnalezieniem *ter'angreal*, gdyby następne drzwi ukrywały to samo.

Zajrzał przez następne i zobaczył czarne kolumny, *ter'angreal* z czerwonego kamienia, odciski stóp własnych i przewodnika. Gdy obdarzony wąską szczęką człowiek ponownie się obejrzał, Mat wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu.

— Nie myśl sobie, że złapałeś niemowlę w swoje sidła. Spróbuj mnie tylko oszukać, a zrobię z twojej skóry ścierkę.

Jegomość wzdrygnął się, wytrzeszczając oczy, a potem wzruszył ramionami i poprawił nabijane ćwiekami paski na piersi, drwiący uśmiech zdawał się przykuwać uwagę do jego czynności. Mat nagle się połapał, że dręczy go pytanie, skąd się wzięła taka jasna skóra. Niemożliwe, by z...

„Och, Światłości, wydaje mi się, że jednak tak”.

Udało mu się nie przełknąć śliny, ale tylko tyle.

— Prowadź, ty koziesynu. Twoja skóra nie jest warta srebrnych ćwieków. Zaprowadź mnie tam, gdzie chcę iść.

Mężczyzna, krzywiąc się i sztywno się prostując, ruszył pośpiesznie. Mata nie obchodziło, czy poczuł się urażony. Żałował natomiast, że nie ma bodaj jednego noża.

„Niech szcznę, jeśli pozwolę, by jakiś gość z lisią twarzą i koźlim mózgiem zrobił uprzęż z mojej skóry”.

Trudno było stwierdzić, jak długo już idą. Korytarz w żadnym miejscu się nie zmieniał, wciąż te same wygięte ściany i jaskrawe, żółte paski. Za każdymi drzwiami znajdowała się identyczna komnata, *ter'angreal*, ślady stóp i tak dalej. Ta identyczność sprawiła, że czas zatracił swój wymiar. Mat niepokoił się, że nie wie, jak długo już tu jest. Z pewnością dłużej niż tę godzinę, którą sobie wyznaczył. Jego ubranie było już teraz tylko wilgotne, w butach przestało chlupotać. Szedł jednak dalej, wpatrzony w plecy przewodnika, szedł i szedł bez końca.

Korytarz urwał się nagle przed kolejnymi drzwiami. Mat zamrugał. Byłby przysiągł, że chwilę wcześniej korytarz wiódł tak daleko, jak mógł sięgnąć wzrokiem. Patrzył jednak częściej na jegomościa obdarzonego ostrymi zębami niż na to, co znajdowało się w przodzie. Obejrzał się i omal nie zaklął. Korytarz ciągnął się wstecz tak daleko, że błyszczące, żółte paski zdawały się zbiegać w jednym punkcie. I nigdzie nie było widać żadnych drzwi.

Kiedy się odwrócił, stał sam przed wielkimi, pięciobocznymi drzwiami.

„Niech szcznę, wolałbym, żeby te się tak nie zachowywały”.

Zrobił głęboki wdech i wszedł do środka.

Kolejna komnata w kształcie gwiazdy, z białą posadzką, nie tak duża jak tamta — albo tamte — też z kolumnami. Ośmioramienna gwiazda, ze szklisto-czarnym postumentem ustawionym w każdym z jej ramion. Cokoły, długości dwóch piędzi, wyglądały jak płaty odkrojone od jednej z kolumn. Błyszczące, żółte paski biegnęły na wszystkich ostrych krawędziach komnaty i wzdłuż postumentów. Ów

nieprzyjemny zapach tutaj się nasilił, a Mat rozpoznał w nim zapach legowiska dzikiego zwierza. Prawie nie zwrócił na to uwagi, ponieważ w komnacie nie było nikogo prócz niego.

Obracając się powoli, spojrzął spode łba na postumenty. Z pewnością ktoś powinien na nich siedzieć, ktoś, kto miał odpowiedzieć na jego pytania. Oszukano go. Skoro tu przyszedł, to powinien uzyskać odpowiedzi.

Gwałtownie odwrócił się dookoła, badając wzrokiem nie cokoły, lecz gładkie, szare ściany. Drzwi zniknęły, nie było już stąd wyjścia.

Nim jednak dokończył drugi obrót, na każdym postumencie ktoś się pojawił, ludzie podobni do jego przewodnika, tylko inaczej ubrani. Czterech mężczyzn, reszta kobiety, ich sztywne włosy tworzyły grzebień i dopiero potem opadały na plecy. Wszyscy byli ubrani w białe spódnice, zakrywające stopy. Kobiety miały białe bluzki, opadające poniżej bioder, z wysokimi, koronkowymi kołnierzykami i białymi mankietami. Mężczyźni nosili jeszcze więcej pasków niż przewodnik, szerszych i nabijanych złotem. Każda taka uprząż podtrzymywała dwa nagie noże. Ostrza z brązu, osądził Mat na podstawie barwy, ale oddałby za takie całe swoje złoto.

— Mów — odezwała się jedna z kobiet warkliwym głosem. — Zgodnie ze starożytnym traktatem, tu się zawiera umowę. Czego potrzebujesz? Mów.

Mat zawahał się. Nie to mówili wężowi ludzie. Ci patrzyli na niego jak lisy na obiad.

— Kim jest Córka Dziewięciu Księżyców i dlaczego muszę się z nią ożenić? — Miał nadzieję, że policzą to jako jedno pytanie.

Żadne nie odpowiedziało. Nikt się nie odezwał. Po prostu dalej gapili się na niego tymi wielkimi, bladymi oczyma.

— Macie odpowiadać — powiedział. Cisza. — Oby wam kości spłonęły na popiół, odpowiedzcie mi! Kim Jest Córka Dziewięciu Księżyców i dlaczego mam się z nią ożenić? Jakim sposobem umrę i narodzę się na nowo? Co to znaczy, że mam zrezygnować z połowy światłości świata? To są moje trzy pytania. Powiedzcie coś!

Martwa cisza. Słyszał własny oddech, słyszał, jak krew pulsuje mu w uszach.

— Nie mam zamiaru się żenić. I nie mam też zamiaru umierać, nawet jeśli miałbym narodzić się na nowo. Chodzę z dziurami w pamięci, z dziurami w życiu, a wy gapicie się na mnie jak idioci. Gdyby to ode mnie zależało, to bym chciał, by mi wypełniono te dziury, ale dzięki odpowiedziom na swoje pytania miałbym wypełnioną chociaż przyszłość. Musicie odpowiedzieć...!

— Dosyć — warknął jeden z mężczyzn, a Mat zamrugnął.

Dosyć? Czego dosyć? O co mu chodzi?

— Wypalcie mi oczy — mruknął. — Oby wam szczęły dusze! Jesteście wredni jak Aes Sedai. No dobra, chcę się uwolnić od Aes Sedai i Mocy, chcę stąd wyjść

i wrócić do Rhuidean, skoro nie chcecie mi odpowiadać. Otwórzcie jakieś drzwi i pozwólcie mi...

— Dosyć — powiedział inny mężczyzna, a jedna z kobiet powtórzyła jak echo.  
— Dosyć.

Mat omiół wzrokiem ściany, potem zrobił groźną minę odwracając się, by ogarnąć ich wszystkich stojących na postumentach i wgapionych w niego.

— Dosyć? Co za dosyć? Nie widzę żadnych drzwi. Wy kłamliwe, koziesy...

— Głupiec — wyszeptała gardłowo kobieta, a pozostali to powtórzyli. Głupiec. Głupiec. Głupiec.

— Mądrze, prosi o pożegnanie, kiedy nie podał ceny, nie ustalił warunków.

— A jednak głupiec, że pierwszej nie wyznaczył ceny.

— To my ją ustalimy.

Mówili tak szybko, że nie był w stanie określić, które co powiedziało.

— Będzie dane to, o co poproszono.

— Cena zostanie zapłacona.

— Obyście szcześli — krzyknął — o czym wy mówicie...

Wokół niego zamknęła się całkowita ciemność. Coś złapało go za gardło. Nie mógł oddychać. Powietrza. Nie mógł...

# DROGA DO WŁÓCZNI

Przy pierwszym rzędzie kolumn Rand nie zawahał się nawet na chwilę, śmiało wkroczył pomiędzy nie. Teraz nie było już odwrotu, czas oglądania się za siebie minął.

„Światłości, co mnie tam czeka? Co, tak naprawdę, dzieje się tutaj?”

Stojące od siebie w odległości trzech kroków lub nieco większej, przezroczyste niczym najlepsze szkło, grube na jakąś stopę, kolumny rozpościerały się lasem oślepiającego światła, wypełnionego kaskadami zmarszczek, lśnień i dziwnych tęczy. Powietrze było tutaj chłodniejsze na tyle, by zaczął żałować, iż nie wziął ze sobą kaftana, ale gładki biały kamień pod jego stopami wciąż chrzęścił tym samym gruboziarnistym pyłem. Najlżejsza bryza nie poruszała skrzepłego powietrza, z jakiegoś jednak powodu wszystkie drobne włoski na jego skórze poruszały się, nawet pod koszulą.

Przed sobą, nieco z prawej strony dostrzegł sylwetkę mężczyzny, odzianego w szarości i brązy Aielów, zeszywniałą i nieruchomą niczym posąg pośród pulsującego światła. To musiał być Muradin, brat Couladina. Zeszywniały i nieruchomy, a więc coś jednak musiało się dziać. Dzięki dziwnej wszechogarniającej jasności Rand mógł wyraźnie widzieć jego twarz. Wytrzeszczone oczy wbite w jeden punkt, rysy twarzy ściągnięte, usta wygięte w grymas nieledwie obnażający zęby. Cokolwiek tamten widział, nie był to widok przyjemny. Muradin przynajmniej dotarł aż tak daleko. Jeżeli potrafił tego dokonać, uda się również Randowi. Tamten znajdował się w najlepszym wypadku sześć, siedem kroków przed nim. Zdążył się jeszcze zdziwić, dlaczego wraz z Matem nie widzieli, jak Muradin wchodził do środka, postąpił kolejny krok naprzód.

\* \* \*

Patrzył cudzymi oczyma, czuł, lecz nie potrafił kontrolować ciała. Jego właściciel przykucnął lekko wśród głązów pokrywających nagi stok wzgórza, pod słońcem płonącym na niebie i patrzył w dół na dziwne, na poły ukończone ka-

mienne budowle.

„Nie! Nawet nie na połę ukończone. To jest Rhuidean, ale bez mgły i dopiero co rozpoczęto jego budowę...”

Tamten patrzył w dół z pogardą. Nazywał się Mandein, miał czterdzieści lat — młody jak na wodza klanu. W tym momencie separacja zniknęła, zastąpiła ją pełna akceptacja. Stał się Mandeinem.

— Musisz się zgodzić — powiedziała Sealdre, ale postanowił zignorować jej słowa.

Jenn stworzyli narzędzia, którymi czerpali wodę i zlewali do wielkich kamiennych basenów. Toczył już bitwy o mniejszą ilość wody, niżli zawierał choćby jeden z tych zbiorników, a tutaj ludzie przechodzili obojętnie obok nich, jakby woda nie miała żadnej wartości. Dziwny, szklany las wznosił się pośrodku całej tej krzątany, lśniąc w słońcu, a obok niego rosło najwyższe drzewo, jakie kiedykolwiek widział, wysokie najmniej na trzy pięćdziesiąt. Kamienne budowle wyglądały, jakby po ich ukończeniu w każdej pomieścić się miał cały szczep. Szaleństwo. Tego Rhuidean nie można bronić. Oczywiście, nikt nie miał zamiaru atakować Jenn. Większość unikała Jenn, tak jak oni unikali Przeklętych Zatraconych, którzy wędrowali w poszukiwaniu pieśni, o których twierdzili, że przywrócą na powrót minione dni.

Z Rhuidean wyruszyła w stronę gór procesja, kilkudziesięciu Jenn oraz dwa palankiny, każdy niesiony przez ośmiu ludzi. Na ich zbudowanie zużyto taką ilość drzewa, która wystarczyłaby na kilkanaście lektyk wodzów. Słyszał też plotki, że wśród Jenn wciąż przebywają Aes Sedai.

— Musisz zgodzić się na wszystko, czego zażądamy, mój mężu — powtórzyła Sealdre.

Wtedy spojrział na nią i przez moment poczuł ochotę, by zanurzyć dłonie w jej długie złote włosy, aby na powrót zobaczyć roześmianą dziewczynę, która złożyła u jego stóp swój paniński wianek i poprosiła, by ją poślubił. Ona jednak zachowywała powagę, była napięta i zmartwiona.

— Czy pozostali przyjdą? — zapytał.

— Niektórzy. Większość. We śnie rozmawiałam z moją siostrą, a my zawsze śniłyśmy ten sam sen. Wodzowie, którzy nie przyjdą, oraz ci, którzy się nie zgodzą... Ich szczepy zginą, Mandein. Nie miną trzy pokolenia, a zmienią się w pył, a ich siedziby oraz bydło staną się własnością pozostałych szczepów. Imiona ich zostaną zapomniane.

Nie podobały mu się jej rozmowy z Mądrymi z innych szczepów, nawet w snach. Mądre śniły jednak prawdę. Kiedy twierdziły, że wiedzą, zawsze miały rację.

— Zostań tutaj — nakazał jej. — Gdybym nie wrócił, pomóż naszym synom i córkom utrzymać jedność szczepu.

Musnęła dłonią jego policzek.

— Uczynię tak, cieniu mego życia. Ale pamiętaj. Musisz się zgodzić.

Mandein poszedł, a setka zamaskowanych kształtów ruszyła za nim w dół stoku, przemykając od głazu do głazu, z hakami i włócznie w gotowości; szałosci i brązy stapały się z nagą ziemią tak, że nawet jego oczy nie potrafiły ich wyśledzić. Sami mężczyźni — wszystkie kobiety klanu, które nosiły włócznie, zostawił wraz z mężczyznami, skupionymi wokół Sealdre. Jeżeli coś pójdzie źle, a ona zdecyduje się na jakieś bezsensowne działania, aby go ratować, mężczyźni przypuszczalnie poprą ją, kobiety natomiast, niezależnie od tego, czego będzie chciała, dopatrzą, aby bezpiecznie wróciła do ich siedziby szczepu, tylko ona bowiem będzie w stanie ochronić zarówno siedzibę, jak i sam szczep. Przynajmniej miał nadzieję, że tak zrobią. Czasami bywały bardziej zapalczywe niżli mężczyźni i znacznie od nich głupsze.

Kiedy dotarł do podnóża zbocza, idąca z Rhuidean procesja zatrzymała się na płaskiej powierzchni spękanej gliny. Gestem nakazał swoim ludziom, by padli na ziemię, i dalej poszedł sam, opuściwszy zasłonę. Świadom był obecności pozostałych, którzy schodzili z gór po obu jego stronach, a przeszli spieczoną słońcem ziemię, nadchodząc ze wszystkich stron świata. Jak wielu? Pięćdziesięciu? Może stu? Nie mógł dojrzeć niektórych twarzy, które spodziewał się zobaczyć. Sealdre jak zawsze miała rację — niektórzy nie dali posłuchu snom Mądrych. Wśród zebranych były także twarze, których nigdy przedtem nie widział, oraz twarze ludzi, których usiłował zabić, a którzy również nastawali na jego życie. Przynajmniej nikt nie zasłonił oblicza. Zabijanie w obecności Jenn stanowiło niemalże równie wielkie zło jak zabijanie samych Jenn. Miał nadzieję, że pozostali będą o tym pamiętać. Jedna zdrada i natychmiast zasłony zostaną naciągnięte na twarze; wojownicy, których każdy wódz zabrał ze sobą, spłyną w dół zboczy, a ta wyschnięta glina zamieni się w bagno krwi. Spodziewał się, że w każdej chwili może poczuć na żebrach ostrze włóczni.

Nawet obserwując czujnie stu potencjalnych zabójców, trudno było nie patrzeć na Aes Sedai, kiedy tragarze postawili ich zdobnie rzeźbione lektyki na ziemi. Kobiety o włosach tak białych, że nieomal wydawały się przezroczyste. Twarze pozbawione śladów wieku, o skórze, która wyglądała tak, jakby mógł poszarpać ją ostrzejszy podmuch wiatru. Słyszał już wcześniej, że upływ lat nie zostawia śladów na twarzach Aes Sedai. Jak stare muszą być te dwie? Co widziały przez te wszystkie lata? Czy pamiętają, jak jego pradziadek Comran po raz pierwszy odkrył *stedding* ogirów w Murze Smoka i zaczął handel z nimi? Lub, być może, czas, gdy pradziad Comrana, Rhodric, wiódł Aielów, niosąc śmierć ludziom w stalowych kaftanach, którzy przekroczyli Mur Smoka? Aes Sedai zwróciły nań swoje oczy — przenikliwie niebieskie oraz ciemne, ciemnobrązowe, pierwsze ciemne oczy, jakie widział w życiu — patrząc wnikliwie w głąb jego mózgu, w głąb jego myśli. Z wysiłkiem oderwał wzrok od tych dwu bliźniaczych spojrzeń, które znały go lepiej, niż on znał samego siebie.

Wychudzony mężczyzna o siwych włosach, wysoki, mimo że się garbił, wyszedł naprzód z grupy Jenn w towarzystwie dwu kobiet o włosach również przyprószonych siwizną, tak podobnych do siebie, iż zapewne były siostrami — patrzyły identycznymi parami głęboko osadzonych, zielonych oczu, w ten sam sposób przekrzywiały głowy, gdy chciały na coś spojrzeć dokładniej. Pozostali Jenn woleli wbijać spojrzenia niespokojnych oczu w ziemię raczej niżli w otaczających Aielów, ale nie ta trójka.

— Jestem Dermon — zaczął mężczyzna, mocnym, niskim głosem, badawcze spojrzenie jego niebieskich oczu było równie twarde jak wzrok Aielów. — To są Mordaine i Narisse. — Gestem wskazał kolejno stojące obok kobiety. — Mówimy w imieniu Rhuidean i Jenn Aiel.

Przez grupę mężczyzn skupionych wokół Mandeina przeszło poruszenie. Większości z nich roszczenie Jenn do bycia Aielami nie podobało się.

— Dlaczego nas tutaj wezwaliście? — zapytał, choć przyznanie się do tego, że został wezwany, przyszło mu z niemałym trudem.

Zamiast odpowiedzieć bezpośrednio, Dermon zmienił temat:

— Dlaczego nie nosisz miecza?

To wywołało szereg gniewnych pomruków.

— Jest zakazane — warknął Mandein. — Nawet Jenn powinni o tym wiedzieć.

Uniósł swą włócznię, musnął rękojeść noża przy pasie, potem drzewce łuku przewieszzonego przez plecy.

— Oto broń wystarczająca dla wojownika.

W pomrukach słychać było teraz aprobatę, nawet kilku mężczyzn, którzy wcześniej poprzysięgli mu śmierć, najwyraźniej zgadzało się z nim w całej rozciągłości. W niczym nie zmieniało to oczywiście ich zamiarów, gdyby trafiła się szansa, na pewno skorzystaliby z niej, potrafili jednak zdobyć się na uznanie dla tego, co powiedział. Ponadto wydawali się zadowoleni, że to właśnie on będzie przemawiał w obliczu Aes Sedai.

— Nie wiesz dlaczego — powiedziała Mordaine, a Narisse dodała: — Jest wiele rzeczy, o których nie macie pojęcia. A jednak musicie się dowiedzieć.

— Czego chcecie? — domagał się odpowiedzi Mandein.

— Was. — Dermon przebiegł wzrokiem po zgromadzonych Aielach, aby nie było wątpliwości, że słowo to odnosi się do wszystkich. — Wszyscy z was, którzy przewodzą między Aielami, muszą przybyć do Rhuidean, aby dowiedzieć się, skąd pochodzimy i dlaczego wy nie nosicie mieczy. Kto nie będzie w stanie pojąć tej wiedzy, zostawi tu swe życie.

— Wasze Mądre rozmawiały z wami — powiedziała Mordaine — w przeciwnym razie nie byłoby was tutaj. Znacnie cenę, jaką zapłacą ci, którzy odmówili.

Na czoło zgromadzonych przepchnął się Charenin, na przemian mierząc wzrokiem Jenn i Mandeina. Długa, poszarpana blizna biegnąca w dół jego twarzy była dziełem Mandeina; obaj trzykrotnie już o mało nie pozabijali się wzajemnie.



— Wystarczy po prostu przyjść do was? — zapytał Charendin. — A kto do was przyjdzie będzie przewodził Aielom?

— Nie.

Słowo zostało wypowiedziane tonem cichym jak szept, ale głosem mocnym na tyle, by posłyszały go wszystkie uszy. To po raz pierwszy odezwała się ciemnooka Aes Sedai, siedząca w rzeźbionej lektyce z kocem nasuniętym na kolana, jakby mimo lejącego się z nieba żaru ona jedynie odczuwała chłód.

— Ten pojawi się później — mówiła dalej. — Jego przyjście zapowie upadek kamienia, który nigdy nie upada. Będzie pochodził z krwi, ale nie wychowa go krew, wyjdzie z Rhuidean o świcie i zwiąże was więzami, których nie będziecie w stanie rozerwać. On zabierze was z powrotem i on was zniszczy.

Niektórzy z wodzów poruszyli się, jakby chcieli opuścić to miejsce, ale żaden nie przeszedł więcej niż kilka kroków. Każdy z nich pamiętał, co powiedziała Mądra jego szczepu: „Zgódźcie się albo zostaniemy zniszczeni, jakbyśmy nigdy nie istnieli. Zgódźcie się albo zniszczycie samych siebie”.

— To jest jakiś podstęp — krzyknął Charendin. Czując na sobie spojrzenie Aes Sedai, zniżył głos, ale wciąż wrzał w nim gniew. — Macie zamiar zdobyć kontrolę nad szczepami. Aielowie nie ugną kolan przed żadnym mężczyzną ani przed żadną kobietą.

Poderwał głowę do góry, unikając wzroku Aes Sedai.

— Przed nikim — wymamrotał.

— Nie dążymy do zdobycia nad wami kontroli — oznajmiła im Narişe.

— Nasze dni dobiegają końca — powiedziała Mordaine. — Nadejdzie dzień, kiedy już nie będzie Jenn i zostanieie tylko wy, aby podtrzymać pamięć o Aielach. Musicie więc pamiętać albo wszystko będzie na nic, wszystko zostanie stracone.

Stanowczość w jej głosie i niewzruszona pewność zamknęły usta Charendinowi, ale Mandein miał jeszcze jedno pytanie.

— Dlaczego? Jeżeli znacie swoje przeznaczenie, po co to wszystko? — Gestem objął budowle wznoszące się w oddali.

— To jest nasz cel — odrzekł spokojnie Dermon. — Przez długie lata szukaliśmy tego miejsca, a teraz przygotowujemy je, niezależnie od intencji, jakie onegdaj mieliśmy. Robimy, co do nas należy, i trwamy w wierze.

Mandein badawczo wpatrzył się w twarz tamtego. Nie było w niej śladu strachu.

— Jesteście Aielami — powiedział, a kiedy usłyszał ciche parsknięcia ze strony kilku wodzów, podniósł głos: — Pójdę do Jenn Aiel.

— Nie możesz wejść do Rhuidean uzbrojony — poinformował go Dermon.

Mandein zaśmiał się w głos z zuchwałości tamtego. Żądać od Aiela, żeby zostawił swoją broń. Pozbył się jednak włóczni, łuku oraz noża i ruszył naprzód.

— Zabierz mnie do Rhuidean, Aielu. Sprawdzę twoją odwagę.

\* \* \*

Rand zamrugał, kiedy migotliwe światła uraziły jego oczy. Naprawdę był Mandeinem, wciąż czuł pogardę dla Jenn, która ustępowała miejsca podziwowi. Czy Jenn byli Aielami czy nie? Wyglądali tak samo, wysocy, z jasnymi oczyma w spalonych słońcem twarzach, ubrani w podobne rzeczy, wyjąwszy brak zasłon. Nie nosili jednak żadnej broni prócz prostych noży przy pasie, stosownych raczej do pracy niżli walki. A coś takiego jak Aiel bez broni, nie istniało.

Znajdował się znacznie głębiej pośród kolumn, niżby to można wytłumaczyć tym jednym krokiem, który zrobił świadomie i dużo bliżej Muradina niż poprzednio. Nieruchome spojrzenie tamtego zmieniło się w przeraźliwy grymas.

Gruboziarnisty pył zachrząścił pod podeszwami jego butów, kiedy dał drugi krok.

\* \* \*

Nazywał się Rhoderic, miał wkrótce skończyć dwadzieścia lat. Słońce lało z nieba złoty żar, ale zasłonę miał zaciągniętą na twarz, a jego oczy rozglądały się wokół czujnie. Włócznie trzymał gotowe do walki — jedną w prawej dłoni, pozostałe trzy w drugiej razem z małą tarczą z byczej skóry — i sam również był gotów. Jeordam znajdował się w dole na zbrązowiałej płaskiej łące, na południe od wzgórz, gdzie większość krzaków była karłowata i uschnięta. Włosy starego mężczyzny były całkiem białe, niczym ta rzecz nazywana śniegiem, o której opowiadali starsi, ale oczy bystre, toteż obserwacja, jak kopacze studni wyciągają worki wypełnione wodą, nie pochłaniała całej jego uwagi.

Na północy i wschodzie wznosiły się góry, północne pasmo było wysokie, jego granie o szczytach pokrytych bielą ostro wcinały się w niebo, ale wydawały się skarłałe w porównaniu ze wschodnimi gigantami. Tamte nasuwały nieodparte wrażenie, że oto ziemia postanowiła dotknąć niebios i być może właśnie jej się udało. Może ta biel to był właśnie śnieg? Nigdy się nie dowie. Wobec takiej przeszkody Jenn musieli zdecydować się na podróż w kierunku wschodnim. Od wielu już miesięcy podążali na północ, wzdłuż tego górskiego muru, boleśnie ciągnąc za sobą swe wozy, wciąż wypierając się Aielów, którzy szli za nimi. Przynajmniej gdy przekraczali rzekę, natrafili na wodę, choć nie było jej dużo. Minęły już lata, od kiedy Rhoderic widział rzekę, której nie potrafiłby przejść w bród; teraz napotykali tylko suche koryta spękanej gliny, zniesionej z gór. Miał nadzieję, że deszcze ponownie zaczną padać i ziemia na powrót się zazieleni. Pamiętał czasy,

kiedy świat był zielony.

Usłyszał konie, zanim jeszcze ich zobaczył, trzech mężczyzn jechało pośród brunatnych wzgórz, odziani w długie skórzane kaftany, naszywane metalowymi krążkami, dwóch miało lance. Znał tego, który prowadził grupę — Garam, niewiele od niego starszy syn władcy miasta mającego za ich plecami. Ślepi byli mieszkańcy tego miasta. Nie widzieli Aielów, którzy poruszali się, kiedy tamci ich mijali, wtopionych w tą niegościnną ziemię, prawie niewidzialnych. Rhoderic opuścił zasłonę; nie będzie zabijania, chyba że jeźdźcy sami zaczną. Nie ubolewał nad tym, ale nie potrafił zaufać ludziom, którzy mieszkali w domach i w miastach. Zbyt wiele stoczył z nimi bitew. Opowieści podawały, że działo się tak od zawsze.

Garam ściągnął wodze, uniósł prawą dłoń w pozdrowieniu. Był szczupłym, ciemnokim mężczyzną, podobnie jak jego dwaj towarzysze, ale cała trójka wyglądała na twardych i znających się na rzeczy.

— Hej, Rhoderic. Czy wasi ludzie już skończyli napełniać worki?

— Widzę cię, Garam — odrzekł głosem bezbarwnym, wypranym z emocji. Na widok ludzi dosiadających koni czuł niepokój, większy nawet niż na widok ich mieczy. Aielowie używali zwierząt jucznych i pociągowych, ale w siedzeniu na grzbiecie zwierzęcia było coś nienaturalnego. Każdemu powinny wystarczyć własne nogi. — Już wkrótce. Czy twój ojciec wycofał nam swoje pozwolenie na czerpanie wody na tych ziemiach?

Żadne inne miasto nie wydało im dotąd takiego pozwolenia. O wodę trzeba było walczyć, jeśli w jej pobliżu żyli jacyś ludzie, a ludzie żyli zawsze tam, gdzie była woda. Samemu trudno byłoby mu pokonać tych trzech. Przystąpił z nogi na nogę, gotując się do tańca, a przypuszczalnie również i na śmierć.

— Nie uczynił tak — odpowiedział Garam. Nie zauważył nawet poruszenia Rhoderica. — Mamy w mieście obfite źródła, a ojciec mówi, że kiedy odjedziecie, będziemy mieli nowe studnie, które wykopaliście i które wystarczą nam do czasu, zanim sami nie odejdziemy. Ale twój dziadek chciał wiedzieć, kiedy tamci ruszą, a właśnie tak się stało.

Wsparł łokieć na łęku siodła.

— Powiedz mi, Rhoderic, czy oni naprawdę są takimi samymi ludźmi jak wy?

— Oni są Jenn Aiel, my jesteśmy Aielami. Jesteśmy tym samym, a jednak nie. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć, Garam. — Tak naprawdę to sam tego nie rozumiał.

— Dokąd idą? — zapytał Jeordam.

Rhoderic spokojnie skłonił się swemu dziadkowi, usłyszał odgłos kroków, ciche dźwięki, jaki wydawały miękkie buty, i rozpoznał po nim Aiela. Ludzie z miasta nie spostrzegli zbliżania się Jeordama i zaskoczeni szarpnęli wodze swych koni. Tylko uniesiona dłoń Garama powstrzymała ich przed opuszczeniem ostrzy lanc. Rhoderic i jego dziadek czekali.

— Na wschód — powiedział Garam, kiedy już zdołał opanować swego konia. — Przez Grzbiet Świata. — Wskazał gestem górskie szczyty, wcinające się w niebo.

Rhoderic zamrugał, ale Jeordam tylko zapytał chłodnym tonem:

— Co znajduje się po ich drugiej stronie?

— Koniec świata, z tego, co wiem — odpowiedział Garam. — Nie jestem nawet pewien, czy przez góry da się w ogóle przejść. — Zawahał się. — Jenn mają ze sobą Aes Sedai. Kilkadziesiąt, z tego, co słyszałem. Czy podróżowanie tak blisko Aes Sedai nie napawa was niepokojem? Słyszałem, że kiedyś świat był inny, ale one go zniszczyły.

Wzmianka o Aes Sedai sprawiła, że Rhoderic naprawdę się zdenerwował, ale jego twarz pozostała niewzruszona. Były ich tylko cztery, nie zaś kilkadziesiąt, ale wystarczająco dużo, by przypomnieć sobie wszystkie opowieści o tym, jak Aielowie zawiedli Aes Sedai, w sposób, którego nikt nie znał. Same Aes Sedai na pewno wiedziały. W ciągu roku, jaki minął od ich przybycia, rzadko opuszczały wozy Jenn, ale kiedy do tego dochodziło, patrzyły na Aielów oczyma przepętnionymi smutkiem. Rhoderic nie był jedynym, który starał się ich unikać.

— Strzeżemy Jenn — oznajmił Jeordam. — A to oni podróżują w towarzystwie Aes Sedai.

Garam pokiwał głową, jakby to rzeczywiście czyniło dlań jakąś różnicę, potem ponownie pochylił się w siodle i przemówił, zniżając głos.

— Mój ojciec ma doradczynię Aes Sedai, choć stara się nie afiszować z nią w mieście. Ona właśnie powiada, że musimy opuścić te wzgórza i ruszać na wschód. Twierdzi, że wyschłe rzeki znów wypełnią się wodą, a my na brzegu jednej z nich wybudujemy wielkie miasto. Wiele rzeczy można się od niej dowiedzieć. Słyszałem także, że Aes Sedai planują budowę miasta... znalazły nawet ogirów, aby je dla nich wybudowali. Ogirów! — Potrząsnął głową, jakby przywoływał się ze świata legend do rzeczywistości. — Czy sądzisz, że ponownie zamierzają rządzić światem? Aes Sedai? Uważam, że powinniśmy je pozabijać, zanim znowu nas zniszczą.

— Postępuj wedle tego, co uznasz za najlepsze. — Głos Jeordama nie zdradzał w najmniejszej mierze jego własnych poglądów. — Ja muszę przygotować moich ludzi do przeprawy przez te góry.

Ciemnowłosa mężczyzna wyprostował się w siodle, najwyraźniej rozczarowany. Rhoderic podejrzewał, że spodziewał się uzyskać pomoc Aielów przy zabijaniu Aes Sedai.

— Grzbiet Świata — powiedział Garam szorstko. — Kiedyś nosił inne miano. Nazywano go Murem Smoka.

— Nazwa jak najbardziej stosowna — zareplikował Jeordam.

Rhoderic spojrział na szczyty górujące w oddali. Nazwa stosowna dla Aielów. Tajna nazwa ich własnego ludu, o której nikomu nie mówiono, brzmiała: Lud

Smoka. Nie wiedział, dlaczego trzymano ją w sekrecie, nigdy nie wypowiadając głośno, wyjąwszy tę jedną chwilę, gdy otrzymywało się włócznie. Cóż może znajdować się poza tym Murem Smoka? Z pewnością będą tam ludzie, z którymi trzeba będzie walczyć. Zawsze tak było. Cały świat zamieszkiwali jedynie Aielowie, Jenn oraz ich wrogowie. Nikt więcej. Aielowie, Jenn i wrogowie.

\* \* \*

Rand wciągnął głęboki oddech tak łapczywie, jakby nie oddychał od wielu godzin. Przyprawiające o ból oczu kręgi światła pełzły po otaczających go kolumnach. Słowa wciąż tłukły się echem po głowie. Aielowie, Jenn i ich wrogowie oto, z czego składa się świat. Z pewnością wówczas jeszcze nie doszli do Pustkowie. Widział — przeżywał — czas, zanim Aielowie osiedli w swojej Ziemi Trzech Sfer.

Z każdą chwilą znajdował się bliżej Muradina. Oczy Aiela biegały niespokojnie, zdawał się wzdrygać przed wykonaniem następnego kroku.

Rand ruszył naprzód.

\* \* \*

Pochylony lekko na okrytym białym płaszczem zboczu wzgórza, Jeordam nie zwracał uwagi na zimno i obserwował piątkę ludzi pracujących w jego stronę. Trzech mężczyzn w płaszczach i dwie kobiety w workowatych sukniach z trudem przedzierali się przez śnieg. Zima powinna już dawno się skończyć, wedle przepowiedni starców, ale ich słowom towarzyszyły zazwyczaj utyskiwania, że pory roku odmieniły się względem tego, co było dawniej. Utrzymywali także, że jeszcze niedawno ziemia trzęsła się, a góry wznosiły lub zapadały niczym powierzchnia wody na stawie pośrodku lata, gdy rzucić weń kamień. Jeordam nie wierzył ich opowieściom. Miał osiemnaście lat, urodził się w namiocie i to było całe życie, jakie znał. Śnieg, namioty i obowiązek ochrony.

Opuścił zasłonę i wspierając się na swej długiej włóczni, powstał powoli, aby nie przerazić ludzi z wozów, ale oni i tak zatrzymali się nagle, z wzrokiem wbitym w jego broń — we włócznie, łuk zwisający na plecach i kołczan przy pasie. Na pozór żaden nie wydawał się starszy od niego.

— Potrzebujecie nas, Jenn? — zawołał.

— Nazywasz nas w ten sposób, by z nas szydzić — odkrzyknął wysoki mężczyzna o ostrym nosie. — Ale to prawda. My jesteśmy jedynymi prawdziwymi Aielami. Wy zdradziliście Drogę.

— To kłamstwo! — warknął Jeordam. — Nigdy nie wziętem do ręki miecza.

Wciągnął głęboki, powolny oddech, aby się uspokoić. Nie wysłano go tutaj po to, by złościł się na Jenn.

— Jeżeli się zgubiliście, to wasze wozy są tam. — Wskazał na południe ostrzem swej włóczni.

Jedna z kobiet położyła dłoń na ramieniu ostronosego i przemówiła doń cicho. Pozostali pokiwali głowami i na koniec ostronosy również przytaknął, choć niechętnie. Kobieta była piękna, pasma jasnych włosów wymykały się spod szala udrapowanego na głowie. Stała przed Jeordamem i powiedziała:

— Nie zgubiliśmy się.

Spojrzała na niego niespodziewanie, jakby widziała go pierwszy raz, potem ściślej owinęła się szalem.

Przytaknął, nie spodziewał się innej odpowiedzi. Jenn starali się konsekwentnie unikać mieszkańców namiotów, nawet wówczas, gdy potrzebna im była pomoc. Ci, którzy postępowali inaczej, zazwyczaj znajdowali się w sytuacji tak rozpaczliwej, że od nikogo innego nie mogli już oczekiwać pomocy.

— Chodźcie za mną.

Od namiotów jego ojca, tylko na poły pokrytych niedawno spadłym śniegiem, dzieliła ich mila drogi przez wzgórza. Jego ludzie uważnie obserwowali obcych, nie odrywając się jednocześnie od swoich zajęć, czy było to gotowanie czy czyszczenie broni, czy choćby zabawa z dziećmi w śnieżki. Dumny był ze swego szczerpu, liczącego blisko dwieście członków, ich obóz stanowił największy z dziesięciu, które od północy otaczały karawanę wozów. Na Jenn jednak nie wywarł on szczególnego wrażenia. Denerwowało go, że Jenn są o tylekroć liczniejsi od Aielów.

Lewin wyszedł ze swego namiotu, wysoki, siwiejący mężczyzna o twardych rysach twarzy; powiadano, że Lewin nigdy się nie rozpromienia, a Jeordam z pewnością nigdy nie widział uśmiechu na jego twarzy. Być może, zanim jego matka zmarła na gorączkę, wszystko było inaczej, ale Jeordam tak naprawdę nie wierzył w to.

Jasnowłosa kobieta — na imię miała Morin — opowiedziała historię, którą Jeordam właściwie spodziewał się usłyszeć. Jenn handlowali z jakąś wioską, otoczoną murem z bali, a następnego nocy ludzie z wioski przyszli odebrać to, co wcześniej sprzedali, a nawet więcej. Jenn zawsze sądzili, że mogą wierzyć ludziom, którzy mieszkają w domach, zawsze uważali, iż Droga ich ochroni. Wymieniła poległych — ojcowie, matka, pierwsi bracia. Uprawdzonych w niewolę — pierwsza siostra, siostra-matka, córka. To ostatnie zaskoczyło Jeordama; Morin mówiła z goryczą o swej pięcioletniej córce, którą porwano, by wychowała ją

inna kobieta. Wpatrując się w nią uważnie, dodał jej w myślach kilka lat.

— Przyprawimy ich z powrotem — obiecał Lewin. Wziął pęk włóczni, który mu podano, i wbił ich ostrza w ziemię. — Możecie zostać z nami, jeśli chcecie, ale wówczas musicie bronić siebie i innych. Jeżeli zostaniecie, nigdy nie będzie wam wolno wrócić do wozów.

Ostronosy, słysząc te słowa, odwrócił się i pośpieszył tą samą drogą, którą przyszli; rzadko zdarzało się, że w tym momencie odchodził tylko jeden.

— Ci, którzy zechcą iść z nami do wioski, dostaną włócznię. Ale pamiętajcie, jeżeli weźmiecie włócznię do ręki, by użyć ich przeciwko ludziom, będziecie musieli zostać z nami. — Jego głos i spojrzenie oczu były twarde niczym kamień. — Dla Jenn staniecie się wówczas niczym martwi.

Jeden z mężczyzn zawahał się, ale po chwili podobnie jak pozostali wyciągnął włócznię z ziemi. Morin postąpiła tak samo. Jeordam zapatrzył się na nią ze zdziwieniem, a Lewin aż zamrugął.

— Ty nie musisz brać włóczni, by zostać — poinformował ją Lewin — albo by domagać się od nas, byśmy odprowadzili twoich ludzi. Ujęcie włóczni oznacza gotowość do walki, a nie tylko do samoobrony. Możesz ją odłożyć, nie będzie w tym wstydu.

— Oni zabrali moją córkę — powiedziała Morin.

Ku niepomiernemu zaskoczeniu Jeordama, Lewin tylko chwilę się zawahał, nim na koniec kiwnął głową.

— To pierwszy raz dla wszystkich rzeczy. Dla wszystkich rzeczy. A więc niech tak będzie.

Ruszył przez obóz i poklepując ludzi po ramionach, wzywał ich do złożenia wizyty w otoczonej drewnianym murem wiosce. Jeordam był pierwszym wezwanym, jego ojciec zawsze wybierał go jako pierwszego, od dnia, kiedy był już na tyle dorosły, by nosić włócznię. Nie mógł postępować inaczej.

Morin miała problemy z włócznią, drzewce zaplątało się w jej długie suknie.

— Nie musisz iść — powiedział Jeordam. — Nigdy żadna kobieta tego nie robiła. Przyprawimy ci twoją córkę.

— Sama zamierzam przyprowadzić Kirin — powiedziała zapalczywie. — Nie powstrzymasz mnie.

Uparta kobieta.

— W takim razie musisz się ubrać w strój podobny do tego. Gestem wskazał swój szarobrazowy kaftan i spodnie. — Nie możesz wędrować nocą po tej ziemi w sukni.

Zanim zdążyła zareagować, wyjął włócznię z jej rąk.

— Nielatwo wyuczyć się włóczni.

Dwaj mężczyźni, którzy z nią przyszli, byli najlepszym tego dowodem — nie rozumieli poleceń, omal nie potykali się o własne nogi. Znalazł więc topór i za

jego pomocą odrąbał część drzewca długości mniej więcej jednego kroku. Zostały jakieś cztery stopy, w tym niemalże jedną stanowiło stalowe ostrze.

— Będziecie tym zadawać ciosy, kłuc. Tylko tyle. Drzewca używa się również do parowania ciosów, ale zamiast tego znajdę wam coś do drugiej dłoni, co będzie mogło służyć za tarczę.

Popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

— Ile masz lat? — zapytała, w jej głosie brzmiało bezbrzeżne zdumienie.

Kiedy jej powiedział, zadumana pokiwała tylko głową. Po chwili on z kolei zapytał:

— Czy jeden z tych mężczyzn jest twoim mężem? — Wciąż potykali się niezręcznie o włócznię.

— Mój mąż zdążył już opłakać Kirin. Bardziej troszczy się o drzewa niż o swoją własną córkę.

— Drzewa?

— Drzewa Życia. — Kiedy wciąż patrzył na nią kompletnie nie rozumiejącym wzrokiem, potrząsnęła głową. — Trzy małe drzewka zasadzone w baryłkach. Troszczą się o nie w takim samym stopniu jak o siebie samych. Kiedy znajdą bezpieczne miejsce, zamierzają je zasadzić; powiadają, że wówczas powrócą dawne dni. Oni. Powiedziałam, oni. Bardzo dobrze. Już nie jestem Jenn. — Ujęła drzewce skróconej włóczni. — To jest teraz mój mąż.

Przyjrzała mu się uważnie i zapytała:

— Gdyby ktoś wprowadził twoje dziecko, czy mówiłbyś o Drodze Liścia i cierpieniu, które zesłano, aby cię doświadczyć? — Potrząsnął głową, a wtedy dodała: — Tak też myślałam. Będiesz znakomitym ojcem. Naucz mnie posługiwać się włócznią.

Dziwna kobieta, ale piękna. Wziął z jej rąk włócznię i rozpoczął naukę, wyjaśniając na głos kolejne ruchy. Krótkim drzewcem można było się posługiwać szybko i zręcznie.

Morin obserwowała go, nie przestając się dziwnie uśmiechać, ale włócznia pochłaniała go całkowicie.

— Widziałam twoją twarz we śnie — powiedziała cicho, ale on puścił jej słowa mimo uszu. Mając taką włócznię, potrafiłby operować nią szybciej niż człowiek uzbrojony w miecz. Oczywista duszy widział już, jak Aielowie pokonują wszystkich szermierzy. Nikt nie zdoła im się przeciwstawić. Nikt.

Światła rozbłyskiwały w kolumnach szkła, Rand był już na poły ślepy. Muradin znajdował się już tylko o krok lub dwa przed nim, patrzył wprost na niego, obnażając zęby, warczał cicho. Kolumny przenosiły ich wstecz, w zagubioną w otchłani dziejów historię Aielów. Stopy Randa poruszyły się jakby same z siebie. Naprzód. Cofając się w czasie.



\* \* \*

Lewin poprawił chroniącą przed pyłem zasłonę twarzy i spojrzał w dół na mały obóz, gdzie węgle dogasającego ogniska wciąż jarzyły się pod żelaznym kociołkiem. Wiatr przyniósł woń na poły spalonego gulaszu. Leżące wokół ognia, owinięte w koce ciała oblewała księżycowa poświata. W zasięgu wzroku nie było żadnych koni. Żałował, że nie może się napić, ale tylko dzieciom dawano wodę między posiłkami. Niejasno przypominał sobie czasy, kiedy wody było znacznie więcej, kiedy dni nie były tak upalne i pyliste, a wiatr czasami ustawał. Noc przynosiła nieznaczną jedynie ulgę, zastępując posępne, palące słońce dokuczliwym chłodem. Owinął się ściślej w pelerynę ze skór dzikiego kozła, która służyła mu również za koc.

Jego towarzysze podeszli bliżej, okutani jak on, potykając się o skały i mamrocząc, aż pewien był, że powinni obudzić wszystkich śpiących w dole. On sam nie narzekał, przywykł do tego w znacznie większym stopniu niż oni. Zasłony przeciwko pyłowi zakrywały ich twarze, ale bez trudu wiedział, kto jest kim. Luca, o ramionach półtora raza szerszych niż pozostali, lubił robić kawały. Gearan, chudy jak bocian, najlepszy biegacz ze wszystkich wozów. Charlin i Alijha, którzy stanowili swoje zwierciadlane niemalże odbicia, wyjąwszy zwyczaj Charlina, by przekrzywiać głowę, kiedy się czymś trapił, tak jak to właśnie miało miejsce; ich siostra, Colline, znajdowała się na dole, w tym obozie. Podobnie jak Maigran, siostra Lewina.

Kiedy podręczne torby dziewcząt zostały znalezione na ziemi zdeptanej podczas walki, wszyscy byli gotowi opłakać zmarłych i ruszać dalej, jak czynili to już tak wiele razy wcześniej. Nawet pradziadek Lewina. Gdyby Adan wiedział, co zaplanowała sobie ich piątka, powstrzymałby ich z pewnością. Adan jednak potrafił tylko mamrotać o dochowaniu wierności Aes Sedai, których Lewin nigdy w życiu nie widział, oraz o staraniu się, by Aielowie pozostali przy życiu. Aielowie jako lud, ale nie poszczególne jednostki. Nawet nie Maigran.

— Jest ich czworo — wyszeptał Lewin. — Dziewczęta są po tej stronie ognia. Obudzę je... cicho... i wyślizgniemy się, póki mężczyźni będą spali.

Jego przyjaciele popatrzyli po sobie, pokiwali głowami. Sądził, że powinni byli wcześniej ułożyć sobie jakiś plan, zamiast myśleć tylko o tym, że należy ruszyć za dziewczętami oraz jak niepostrzeżenie opuścić wozy. Nie był nawet pewien, że ruszą za tymi mężczyznami albo że znajdą ich, zanim ci zdążą wrócić do wioski, z której pochodzili — zbiorowiska nieporządných szałasów, od którego przegnano Aielów kijami i kamieniami. Gdyby napastnicy dotarli tak daleko, nic już nie można by zrobić.

— A co jeśli się obudzą? — zapytał Gearan.

— Nie zostawię Colline — warknął Charlin, niemalże wchodząc w słowo swojemu bratu, i dodał ciszej: — Odbierzemy je, Gearan.

— Tak się stanie — zgodził się Lewin. Luca szturchnął Gearana pod żebra, a Gearan pokiwał głową.

Zejscie na dół w ciemnościach okazało się niełatwym zadaniem. Wyschnięte na chrust gałązki chrzęściły pod stopami, kamienie i odłamki skał maleńkimi lawinami pędziły przed nimi po stoku. Im bardziej Lewin starał się poruszać cicho, tym więcej zdawał się robić hałasu. Luca wpadł na kolczasty krzew, który zatrzeszczał głośno, ale ostatecznie udało mu się wydostać, teraz ciężko dyszał. Charlin poślizgnął się i zjechał pół drogi po stoku, mimo to w dole nikt się nie poruszył.

W niewielkiej odległości od obozu Lewin przystanął, wymienił pełne niepokoju spojrzenia z przyjaciółmi, potem na palcach wszedł między śpiące postacie. Własny oddech brzmiał w jego uszach niczym grzmot, podobnie jak przeraźliwe chrapanie dobiegające od jednej z czterech wielkich, nakrytych kocami postaci. Zamarł w chwili, gdy donośne chrapanie urwało się, a jeden ze śpiących poruszył. Przybrał wygodniejszą pozycję, chrapanie rozległo się na powrót, a Lewin wypuścił długo wstrzymywany oddech.

Ostrożnie przykucnął przy jednym z dwu mniejszych stosików skór i odsunął ostrożnie szorstki wełniany koc, aż sztywny z brudu. Maigran patrzyła na niego, twarz jej była cała w sińcach i skaleczeniach, podarta suknia zmieniła się w coś niewiele lepszego niż łachman. Przyłożył dłoń do jej ust, aby powstrzymać krzyk, ale ona patrzyła tylko niewidzącym wzrokiem, nawet nie mrugnęła.

— Zamierzam zarznąć cię jak świnię, chłopcze.

Jeden z większych pagórków rozprostował się, mężczyzna o postrzępionej brodzie, ubrany w brudne łachmany wstał, długi nóż w jego dłoni połyskiwał blade w świetle księżyca. Zaczął kopać swych towarzyszy, wydobywając z nich chrząknięcia i pojękiwania.

— Jak zwykłego świniaka. Będiesz kwiczał, chłopcze, czy po prostu uciekniesz?

— Ucieknę — powiedział Lewin, ale jego siostra wciąż patrzyła niewidzącymi oczyma. Oszalałym gestem zaczął szarpać ją za ramiona, starając się popchnąć w kierunku, gdzie czekali na nich pozostali. — Uciekaj!

Niezręcznie wygramoliła się spod kocy, zeszywniała, niemalże leciała mu przez ręce. Colline obudziła się — mógł słyszeć jej pojękiwania — ale wydawało się, że chce tylko ściślej otulić się kocami, ukryć w nich. Maigran stała nieruchomo, patrzyła w pustkę, nic nie widząc.

— Wychodzi na to, że nawet tyle ci się nie uda. — Z grymasem na twarzy wielki mężczyzna szedł, omijając ognisko, nóż trzymał opuszczoną ręką. Pozostali siadali na swych pościelach, śmiali się w głos, przypatrując zabawie.

Lewin nie wiedział, co robić. Nie może zostawić swojej siostry. Wszystko, co

mógł zrobić, to umrzeć. Być może w ten sposób da Maigran szansę ucieczki.

— Uciekaj, Maigran! Błagam, uciekaj! — Nie poruszyła się. Zdawała się nawet nie słyszeć jego słów. Co oni jej zrobili?

Brodacz podszedł bliżej, niespiesznie, chichotał, rozkoszując się sytuacją.

— Niiieeeeeeeeeeeeeee! — Z ciemności nocy wybiegł Charlin, otoczył ramionami mężczyznę z nożem, powalił go na ziemię. Pozostali zerwali się na nogi. Jeden z nich, z ogoloną głową, która połyskiwała w świetle ogniska, wyciągnął miecz i zamierzył się na Charlina.

Lewin nie potrafił sobie później przypomnieć, jak to się wszystko stało. Jakimś sposobem nagle miał w rękę ciężki kociołek. Trzymając go za żelazny uchwyt, uderzył w łusą głowę, rozległo się głośnie chrupnięcie. Mężczyzna runął na ziemię, jakby nagle jego kości zmieniły się w wodę. Wytracony z równowagi Lewin chwiejnie przestępował z nogi na nogę, starając się nie wpaść w ogień, wreszcie padł obok żaru, wypuszczając z dłoni kociołek. Ciemny mężczyzna, z włosami zaplecionymi w warkoczyki, wyciągnął swój miecz, gotów do cięcia. Lewin gramolił się niezgrabnie, leżąc na grzbiecie jak pająk, z oczyma utkwionymi w ostrym szpicu miecza, dłonie szaleńczo szukały czegoś, czym mógłby się osłonić, jakiegoś kija, czegokolwiek. Jego ręka natrafiła na okrągły kij. Ścisnął go, pchnął nim szczerzące zęby w uśmiechu mężczyznę. Ciemne oczy tamtego rozszerzyły się, miecz wypadł mu z dłoni, krew rzuciła się ustami. To nie był kij, lecz włócznia.

Drzewce wypadło mu z ręki, puścił je, jakby parzyło, w chwili gdy zdał sobie sprawę, co trzyma. Za późno. Odczołgał się, by uniknąć padającego ciała tamtego, spojrzał nań, zadrzał. Martwy człowiek. Człowiek, którego zabił. Wiatr zdał się nagle bardzo zimny.

Po jakimś czasie zaczął się zastanawiać, dlaczego żaden z pozostałych nie zabił go. Był zaskoczony, gdy zobaczył resztę swoich przyjaciół skupionych wokół ogniska. Gearan, Luca i Alijha siedzieli, dysząc ciężko i spoglądając rozszerzonymi oczyma sponad swych zasłon. Spod kocy, którymi przykryta była Colline, wciąż dobiegało ciche, spazmatyczne łkanie, a Maigran dalej stała, patrząc nieruchomo w jeden punkt. Charlin zamarł na kolanach, obejmując się ramionami. A czterej mężczyźni, mieszkańcy tamtej wioski... Lewin przenosił spojrzenie z jednej nieruchomej, zakrwawionej postaci na drugą.

— My... ich pozabialiśmy. — Głos Luki drżał. — My... Niech Światłość zlituje się nad nami.

Lewin podpełzł do Charlina i delikatnie dotknął jego ramienia.

— Jesteś ranny?

Charlin przewrócił się. Czerwona wilgoć spływała po jego dłoniach, ściskających rękojeść sztyletu wbitego w brzuch.

— To boli, Lewin — wyszeptał. Przeszył go spazm i światło uszło z jego oczu.

— Co mamy teraz zrobić? — zapytał Gearan. — Charlin nie żyje, a my... Światłości, co myśmy zrobili? Co powinniśmy zrobić?

— Zabierzemy dziewczęta z powrotem do wozów. — Lewin nie potrafił odebrać oczu od szklistego spojrzenia Charlina. — To zrobimy.

Zebrawi wszystkie przedmioty, które mogły się do czegoś przydać, głównie kociołek i noże. Trudno było o rzeczy wykonane z metalu.

— Nie powinniśmy czynić sobie wyrzutów — oznajmił szorstko Alijha. — Z pewnością wcześniej ukradli je komuś innemu.

Jednak kiedy Alijha zaczął podnosić jeden z mieczy, Lewin powstrzymał go.

— Nie, Alijha. To jest broń stworzona do zabijania ludzi. Nie ma żadnego innego zastosowania. — Alijha nie powiedział nic, tylko potoczył oczami po czterech ciałach zabitych, spojrzął na włócznie, które Luca owijał kocami, by stworzyć nosze dla zwłok Charlina. Lewin ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na ciała tamtych z wioski. — Dzięki włóczni można polować na zwierzynę, Alijha. Miecz się do tego nie nadaje. Jest zakazany przez Droge.

Alijha wciąż nie odzywał się ani słowem, ale Lewinowi wydawało się, że warknął cicho za zasłoną. Kiedy jednak wreszcie ruszyli w noc, miecz pozostał obok gasnących węgli i ciał martwych mężczyzn.

To była długa droga przez ciemności, na dodatek marsz utrudniały im zaimprovizowane nosze, na których nieśli Charlina, wiatr zrywał się czasami, podnosząc z ziemi chmury pyłu. Maigran chwiejnie szła obok nich, wpatrzona martwym wzrokiem w przestrzeń przed sobą; nie zdawała sobie sprawy, kim jest ani gdzie się znajduje. Colline, na poły struchlała, obawiała się najwidoczniej również własnego brata, podskakiwała za najlżejszym dotknięciem. Nie tak sobie Lewin wyobrażał ich powrót. W jego marzeniach dziewczęta śmiały się, szczęśliwe, że wracają do swych ruchomych domów, wszyscy się śmiali. Nie nieśli ciała Charlina. Nie ścigały ich wspomnienia tego, co właśnie zrobili.

Przed nimi zamajaczyły światła ognisk, na których gotowano strawę, potem zobaczyli wozy; uprząże były już przygotowane, by rano wprząc w nie zwierzęta i natychmiast ruszać. Po zmroku nikt nie opuszczał wnętrza wozu, dlatego Lewina zaskoczył widok cieni trzech postaci, spieszących ku nim w ciemnościach. Wśród mroku odznaczały się białe jak mleko włosy Adana. Pozostałą dwójkę stanowili: Nerrine, matka Colline, oraz Saralin, matka jego i Maigran. Lewin pełen złych przeczuć, opuścił zasłonę.

Kobiety podbiegły do swych córek, obsypały je pieścizotami i uspokajającymi słowami. Colline utonęła w objęciach matki, wydając z siebie ciche westchnienie świadczące, że ją poznała; Maigran ledwie zauważyła Saralin, która wybuchnęła płaczem na widok skaleczeń na twarzy córki.

Adan spojrzął krzywo na młodzieńców, zmarszczki nieustannie rozcinające troską jego twarz pogłębiły się.

— Na Światłość, cóż się stało? Kiedy odkryliśmy, że wy zniknęliście rów-

niez... — Aż podskoczył, kiedy zobaczył nosze, na których nieśli Charlina. — Co się stało? — zapytał ponownie, jakby lękając się odpowiedzi.

Lewin powoli otwierał usta, ale Maigran przemówiła pierwsza.

— Oni ich pozabijali. — Patrzyła na coś w oddali, jej głos był równie naiwny jak głos dziecka. — Żli ludzie skrzywdzili nas. Oni... Potem przyszedł Lewin i pozabijał ich.

— Nie powinnaś mówić takich rzeczy — powiedziała uspakajająco Saralin. — Ty... — Przerwała i spojrzała głęboko w oczy córki, potem odwróciła się i przeniosła niepewny wzrok na Lewina. — Czy to...? Czy to prawda?

— Musieliśmy — powiedział Alijha zbolalym głosem. — Próbowali nas zabić. Zabili Charlina.

Adan aż cofnął się na dźwięk tych słów.

— Wy... zabijaliście? Zabijaliście ludzi? A co z Przymierzem? Nikomu nie wyrządzamy krzywdy. Nikomu! Nie istnieje powód wystarczająco dobry, aby usprawiedliwić zabijanie drugiej ludzkiej istoty. Nie ma takiego!

— Oni porwali Maigran, pradziadku — powiedział Lewin. — Porwali Maigran i Colline i zrobili im krzywdę. Oni...

— Nie ma takiego powodu! — ryknął Adan, cały drżąc z gniewu. — Musimy akceptować to, co przynosi los. Nasze cierpienia zesłane są na nas, abyśmy zaświadczyli o naszej wierności. Akceptujemy je i znosimy! Nie mordujemy! Nie zboczyliście z Drogi, wy ją porzuciliście. Nie jesteście już dłużej Da'shain. Jesteście zdeprawowani, ale nie pozwolę wam deprawować reszty Aielów. Opuśćcie nas, obcy. Mordercy! W wozach Aielów nie ma dla was miejsca.

Odwrócił się do nich plecami i odszedł, jakby naprawdę już dla niego nie istnieli. Saralin i Nerrina ruszyły za nim, prowadząc dziewczęta.

— Matko? — powiedział cicho Lewin i aż się cofnął, kiedy spojrzała na niego zimnym wzrokiem. — Matko, proszę...

— Kim jesteś, ty, który się tak do mnie zwracasz? Zakryj swoją twarz przede mną, obcy. Miałam syna, miałam kiedyś syna o twarzy takiej jak twoja. Jest mi przykro, że podobne oblicze ma również morderca.

I poprowadziła Maigran za pozostałymi.

— Wciąż jestem Aielem — wykrzyknął Lewin, ale tamci nie obejrzel się więcej. Uświadomił sobie, że słyszy płacz Luki. Wiatr wzmógł się, podrywał w górę chmury pyłu; zasłonił twarz. — Jestem Aielem!

\* \* \*

Dziko pulsujące światła wwiercały się w oczy Randa. Ból straty Lewina wciąż

przepelniał jego duszę, a jego myśli cwałowały wściekle. Lewin nie nosił broni. Nie wiedział, jak jej używać. Zabijanie przerażało go. To nie miało sensu.

Teraz znajdował się niemalże w jednej linii z Muradinem, ale tamten nie był nawet świadom jego obecności. Grymas na twarzy, usta rozwarte do krzyku, na czole perlił się pot. Drżał, jakby usiłował biec i nie mógł.

Stopy Randa poniosły go naprzód i wstecz.

## WEZWANI

Naprzód, i wstecz. Adan leżał w jamie w piasku i tuląc do siebie płaczące dzieci swego syna, zasłaniał im oczy połą zniszczonego kaftana. Po jego twarzy również płynęły strumienie łez, ale łkał w całkowitym milczeniu, spoglądając jednocześnie ostrożnie przez krawędź zagłębienia. W wieku pięciu i sześciu lat Maigran oraz Lewin mieli prawo płakać; Adan zdziwiony był, że również jemu zostały jeszcze jakieś łzy.

Kilka wozów płonęło. Zabici leżeli tam, gdzie padli. Konie już odprowadzono, z wyjątkiem tych, które wciąż stały przywiązane do kilku wozów, ich ładunek rzucano właśnie na ziemię. Po raz pierwszy nawet w najmniejszym stopniu nie zainteresował go los przedmiotów ukrytych w skrzyniach, które Aes Sedai oddały pod opiekę Aielów, a które teraz poniewierały się w błocie. Nie pierwszy raz miał okazję na to patrzeć, nie pierwszy raz widział ciała Aielów, ale tym razem nie dbał o nic. Mężczyźni uzbrojeni w miecze, włócznie i łuki, mężczyźni będący sprawcami tych morderstw, ładowali właśnie puste wozy. Ładowali na nie kobiety. Patrzył na Rheę, swoją córkę, jak wpychano ją na skrzynię wozu wraz z innymi, jak stłoczone zostały wszystkie razem przez roześmianych zabójców. Ostatnia z jego dzieci. Elwin zmarł z głodu w wieku dziesięciu lat, Sorelle miała lat dwadzieścia, gdy powaliła ją gorączka, którą wcześniej zapowiedziały jej sny, wreszcie Jaren — rok temu rzucił się z urwiska, kiedy mając dziewiętnaście lat, odkrył, że potrafi przenosić. Tego ranka Marind.

Miał ochotę krzyknąć. Chciał wybiec z ukrycia i powstrzymać ich przed zabraniem jego ostatniego dziecka. Przeszkodzić im w jakiś sposób. Ale gdyby tak naprawdę postąpił? Zabiliby go, a Rheę i tak zabrali. Mogliby również pomordować dzieci. Wśród ciał, leżących w kałużach własnej krwi, były również maleńkie.

Maigran przyłgnęła doń, jakby się obawiała, że może ją zostawić, a Lewin zeszywniał, jakby chciał się bardziej przytulić, ale czuł jednocześnie, że jest już zbyt dury. Adan pogładził dzieci po głowach i mocniej przytulił ich twarze do piersi. Nie przestawał jednak patrzeć, do czasu aż wozy odjechały w dal, otoczone przez pokrzykujących jeźdźców, do czasu, aż ich konie zniknęły, kierując się w stronę parujących na horyzoncie gór.

Dopiero wtedy wstał i puścił dzieci.

— Zaczekajcie tutaj na mnie — nakazał im. — Czekaście, dopóki nie wrócę. Przyłgnęły do siebie i patrząc na niego umorusanymi od łez twarzyczkami, pokiwały niepewnie główkami.

Wypełzył z kryjówki i podszedł do jednego z ciał, delikatnie odwrócił je na plecy. Siedre wyglądała, jakby spała, jej twarz miała taki wyraz jak każdego ranka, gdy budziła się obok niego. Zawsze zaskakiwały go pasma siwizny, które odkrywał w jej rudozłoty włosach; była jego miłością, jego życiem, zawsze tak samo młoda i świeża w jego oczach. Starał się nie patrzeć na plamę krwi, która barwiła przód sukni, płynąc z rany ziejącej pod piersiami.

— Co zamierzasz teraz zrobić, Adan? Powiedz nam! Co?

Odgarnął włosy z twarzy Siedre — zawsze je schludnie zaplatała — i wstał, odwracając się powoli, by stawić czoło grupce wściekłych, przerażonych ludzi. Wśród nich rej wodził Sulwin, wysoki mężczyzna o głęboko osadzonych oczach. Sulwin zapuszczał długie włosy, jakby chciał ukryć, że jest Aielem. Wielu mężczyzn tak robiło. To nie czyniło jednak żadnej różnicy ani tym ostatnim napastnikom, ani też tym, którzy byli przed nimi.

— Mam zamiar pogrzebać naszych zmarłych i ruszać naprzód, Sulwin. — Jego spojrzenie przesunęło się z powrotem na ciało Siedre. — Co jeszcze pozostało tutaj do zrobienia?

— Jechać dalej, Adan? Jakim sposobem? Nie mamy już koni. Prawie skończyła się woda i żywność. Wszystko, co mamy, to wozy pełne rzeczy, po które nigdy już nie zgłoszą się Aes Sedai. Co jest w tych skrzyniach, Adan? Co w nich jest, że musimy oddawać za nie swe życie, aby przewieźć je przez cały świat, nie mogąc nawet ich dotknąć. Nie możemy tak dłużej żyć!

— Możemy! — krzyknął Adan. — I tak się stanie! Mamy nogi, mamy grzbieity. Jeżeli będzie trzeba, sami zaprzęgniemy się do wozów. Dochowamy wierności naszym zobowiązaniom!

Przeżył szok, gdy zobaczył, że wygraża tamtemu zaciśniętą pięścią. Pięścią. Jego dłoń drżała, kiedy powoli rozprostował palce i pozwolił ręce opaść bezwładnie wzdłuż boku.

Sulwin cofnął się, potem jednak znowu odzyskał pewność siebie, miał wszak za plecami swych towarzyszy.

— Nie, Adan. Oczekiwano od nas, że znajdziemy bezpieczne miejsce, i niektórzy z nas mają zamiar tak postąpić. Mój pradziadek opowiadał mi często historie, które słyszał jako chłopiec, historie o czasach, kiedy żyliśmy w bezpiecznym miejscu, a ludzie przychodzili, by posłuchać, jak śpiewamy. Tak więc chcemy odnaleźć miejsce, gdzie bezpieczni będziemy mogli znowu śpiewać.

— Śpiewać? — zadrwił Adan. — Ja też słyszałem te stare historie, że Aielowie potrafili precudnie śpiewać, ale o tamtych starych pieśniach wiesz nie więcej ode mnie. Te pieśni przepadły, a dawne dni już nie wrócą. Nie zrezygnujemy z naszego obowiązku względem Aes Sedai, aby ściagać marę, która przepadła na wieki.



— Niektórzy z nas tak zrobią, Adan. — Pozostali mężczyźni, którzy stali za Sulwinem, pokiwali głowami. — Mamy zamiar odnaleźć bezpieczne miejsce. I również pieśni. Tak zrobimy!

Nagły łoskot spowodował, że Adan odwrócił nagle głowę. Pozostali zausznicy Sulwina rozładowywali właśnie jeden z wozów, a wielka, płaska skrzynia wymknęła im się z rąk, spadła na ziemię i częściowo się rozbiła, ukazując coś, co wyglądało jak wypolerowana framuga drzwi z ciemnego, czerwonego kamienia. Kolejne wozy były również opróżniane przez dalszych przyjaciół Sulwina. Przy najmniej czwarta część jego ludzi zajęła się opróżnianiem wozów ze wszystkiego prócz wody i żywności.

— Nie próbuj nas powstrzymać — ostrzegł Sulwin.

Adan powtórnie rozluźnił zaciśniętą pięść.

— Nie jesteście Aielami — powiedział. — Zdradziliście wszystko. Kimkolwiek teraz się staliście, przestaliście być Aielami!

Dochowujemy Drogi Liścia równie wiernie jak ty, Adan.

— Idźcie! — krzyknął Adan. — Idźcie! Nie jesteście Aielami! Jesteście zatraceni! Zatraceni! Nie mam ochoty na was patrzeć! Idźcie!

Sulwin i pozostali potykali się w pośpiechu, chcąc tylko jak najszybciej znaleźć się z dala od niego.

Jego serce otuliła najczarniejsza rozpacz, kiedy przyjrzał się bliżej wozom i ciałom pomordowanych, leżącym w rzędzie. Tak wielu zginęło, tak wielu rannych jęczało, kiedy udzielano im pomocy. Sulwin oraz jego zatraceni wykazali jednak odrobinę troski przy rozładowywaniu wozów. Ludzie z mieczami rozbijali skrzynie, dopóki nie zrozumieli, że wewnątrz nie ma ani złota, ani żywności. Żywność była cenniejsza od złota. Adan wbił wzrok w kamienną futrynę drzwi, stłoczone bezładnie stopy kamiennych figurek, dziwne, kryształowe postacie, stojące pośród donic ze szczepami drzewa chora, które ludzie Sulwina również uznali za zupełnie niepotrzebne. Jakie mogło być przeznaczenie tych rzeczy? Czy to wobec nich mieli dochować swej wiary? Jeżeli tak, niech tak się stanie. Niektóre da się uratować. Nie było jak stwierdzić, co było dla Aes Sedai najważniejsze, ale niektóre z nich da się uratować.

Zobaczył Maigran i Lewina uczepionych poły sukni ich matki. Był zadowolony, że choć Saralin przeżyła, aby się nimi zająć; jego ostatni syn, jej mąż, ojciec dzieci, padł przeszyty pierwszą strzałą wystrzeloną tego ranka. Niektóre da się uratować. Uratuje Aielów, niezależnie od ceny, jaką miałby zapłacić.

Ukląkł i wziął ciało Siedre w ramiona.

— Wciąż dochowujemy wiary, Aes Sedai — szeptał cicho. — Jak długo jeszcze będziemy musieli być wierni?

Skłonił głowę na piersi swej żony i zapłakał.

\* \* \*

Łzy spływały z oczu Randa, bezgłośnie wyszeptał:  
„Siedre”.

Droga Liścia? Nie na tym polegała wiara Aielów. Nie potrafił myśleć jasno, ledwie był w stanie w ogóle zebrać myśli. Światła wirowały coraz szybciej i szybciej. Obok niego Muradin rozdziawiał usta w bezgłośnym wyciu; Aiel wytrzeszczał oczy, jakby właśnie oglądał śmierć całego świata. Razem poszli naprzód.

\* \* \*

Jonai stał na krawędzi zbocza i patrzył na zachód ponad wodą, na powierzchni której igrały promienie słońca. W odległości stu lig w tamtą stronę leżało Comelle. Przynajmniej kiedyś leżało tam Comelle. Comelle przytulone do zboczy górskich nad morzem. Sto lig na zachód, tam gdzie teraz było już tylko morze. Gdyby Alnora żyła, być może wszystko byłoby łatwiejsze do zniesienia. Bez jej snów, ledwie wiedział, dokąd pójść, co zrobić. Bez niej ledwie potrafił się zmusić, by żyć. Czuł każdy siwy włos na swojej głowie, gdy odwrócił się i powlókł ku wozom czekającym w odległości mili. Wozów było teraz znacznie mniej, zdradzały ślady zużycia. Ludzi również ubywało, kilka tysięcy tam, gdzie powinny być dziesiątki. Wciąż zbyt wielu, by pomieścili się na wozach. Wszyscy wędrowali pieszo, oprócz dzieci, zbyt małych, by iść.

Adana spotkał w pierwszym wozie; oczy wysokiego młodzieńca były nazbyt przepelnione troską. Jonai niemalże oczekiwał, że gdyby się dostatecznie szybko odwrócił za siebie, to dostrzegłby Willima. Ale Willim został odesłany, rzecz jasna, całe lata temu, kiedy zaczął przenosić, niezależnie od tego, jak bardzo stał się do tego nie dopuścić. Na świecie wciąż było zbyt wielu przenoszących mężczyzn; musieli odsyłać chłopców, którzy zdradzali najmniejsze oznaki. Musieli. Żałował jednak, że nie ma przy nim jego dzieci. Kiedy umarła Esole? Wydawała się taka mała, kiedy składali do pośpiesznie wykopanej dziury jej ciało zmarnowane chorobą, w pobliżu bowiem nie było żadnej Aes Sedai, która by ją Uzdrowiła.

— To są ogirowie, ojciec — powiedział podniecony Adan. Jonai podejrzewał, że Adan zawsze sądził, iż jego opowieści o ogirach są tylko tym, czym się zdawały na pozór, a więc fantastycznymi opowieściami właśnie. — Nadchodzą z północy.

Adan poprowadził go do kompletnie wycieńczonej grupy, liczącej nie więcej niż pięćdziesięciu ogirów, z zapadniętymi policzkami, smutnymi oczyma, zakończone pędzelkami uszy opadały nisko. Przywykł już do wycieńczonych twarzy

swych ludzi oraz do ich wystrzępionej odzieży, ale podobny obraz u ogirów wywołał u niego wstrząs. Wciąż jednak miał ludzi, o których musiał się troszczyć, i obowiązki wobec Aes Sedai, które należało wypełnić. Jak wiele czasu minęło, odkąd po raz ostatni widział Aes Sedai? To było tuż po śmierci Alnory. Zbyt późno dla Alnory. Kobieta uzdrowiła wszystkich chorych, którzy jeszcze żyli, wzięła kilka *sa'angrali* i poszła w swoją stronę, śmiejąc się gorzko, kiedy zapytał ją, gdzie można znaleźć bezpieczne miejsce. Suknię miała połataną, z postrzępio-nym rąbkiem. Nie był pewien, czy zachowała jeszcze zdrowe zmysły. Twierdziła, że jeden z Przeklętych został tylko częściowo schwytany, albo nawet wcale; Ishamael wciąż wywiera swój wpływ na świat, mówiła. Musiała być równie szalona jak żyjący jeszcze Aes Sedai mężczyźni.

Wrócił myślą do ogirów, kiedy tak stali przed nim, niepewnie wsparci na swych wielkich nogach. Od czasu śmierci Amory jego myśli wędrowały aż nazbyt bezładnie. W rękach mieli chleb i dzbany. Zdumiało go lekkie ukłucie gniewu, że dopuszczono kogoś innego do ich skromnych zapasów jedzenia. Ilu jego ludzi mogło pożywić się tym, co pochłonie pięćdziesięciu ogirów? Nie. Trzeba się dzielić. Dawać za darmo. Ilu nie będzie jadło? Stu ludzi? Dwustu?

— Macie ze sobą sadzonki — powiedział jeden z ogirów. Jego grube palce delikatnie gładziły potrójne liście dwu drzewek chora, zasadzonych w baryłkach przymocowanych do boku wozu.

— Kilka — odrzekł grzecznie Adan. — One usychają, ale starzy ludzie zawsze zdążą rozsadzić je na nowo. — On nie miał czasu, by zajmować się drzewami. Musiał troszczyć się o swój lud. — Jak jest na północy?

— Żle — odpowiedziała kobieta ogir. — Spustoszone Ziemie rozszerzają się coraz dalej na południe, są tam Myrddraale i trolloki.

— Sądziłem, że wszyscy wyginęli. — A więc nie na północ. Nie mogą skręcić na północ. Południe? Morze Jeren leży w odległości dziesięciu dni drogi na południe. Ale czy jeszcze? Był zmęczony. Tak zmęczony.

— Przyszliście ze wschodu? — zapytał kolejny ogir. Wytarł swoją miskę piętką chleba i przełknął głośno. — Jak jest na wschodzie?

— Żle — odrzekł Jonai. — Choć dla was może nie będzie tak strasznie. Dziesięć, nie, dwanaście dni temu, jacyś ludzie zabrali trzecią część naszych koni, zanim udało nam się uciec. Musieliśmy porzucić wozy.

Myśl o tym przepełniała go bólem. Zostawili wozy i to, co na nich było. Rzeczy, które Aes Sedai oddały im pod opiekę — porzucone. Że nie zdarzyło się to po raz pierwszy, tylko pogarszało sprawę.

— Niemalże wszyscy, których spotykamy, odbierają nam jakieś rzeczy, co tylko zechcą. Być może wobec ogirów się nie ośmielą.

— Być może — kobieta ogir powiedziała to takim tonem, jakby nie wierzyła własnym słowom. Jonai nie potrafił stwierdzić, czy sam w nie wierzy; nie było już bezpiecznych miejsc. — Czy wiesz może, gdzie możemy znaleźć *steding*?

Jonai spojrzął na nią.

— Nie. Nie, nie wiem. Ale z pewnością wy potraficie odnaleźć *stedding*.

— Uciekaliśmy tak długo, tak daleko — powiedział któryś z ogirów, z tyłu gromady, a inny dodał żalonym tonem: — Ziemia zmieniała się tak bardzo.

— Myślę, że musimy wkrótce odnaleźć *stedding*, w przeciwnym razie umrzemy — oznajmiła ta pierwsza kobieta. — Czuję... tęsknotę... drażącą mnie do szpiku kości. Musimy odnaleźć *stedding*. Musimy.

— Nie potrafię wam pomóc — powiedział ze smutkiem Jonai. Poczuł, jak coś go ściska w piersiach. Ziemia zmieniała się nie do poznania, zmieniała się wciąż, równina, po której podróżowali zeszłego roku, mogła już się wypiętrzyć w górski łańcuch. Spustoszone ziemie wciąż się rozrastały. Myrddraale i trolloki wciąż żyły. Ludzie, którzy kradli, ludzie o twarzach jak pyski zwierząt, ludzie, którzy nie rozpoznawali i nie znali Da'shain. Ledwie mógł oddychać. Ogirowie, zatraceni. Aielowie, zatraceni. Wszystko zatracone. Ucisk w piersiach rozlał się bólem, osunął się na kolana, padł twarzą na ziemię. Dłoń przyciśnięta do serca zwarła się w pięść.

Adan przykląkł przy nim i głosem pełnym troski pytał:

— Ojczy, co ci jest? O co chodzi? Co mogę zrobić?

Jonai udało się pochwycić wystrzępiony kołnierz syna, przyciągnąć jego twarz bliżej swojej.

— Zabierz... ludzi... na południe.

Przemocą dobywał słowa ze swego gardła, mógł mówić tylko w przerwach między spazmami, które rozrywały mu serce.

— Ojczy, ty jesteś jedynym, który...

— Słuchaj. Słuchaj! Zabierz ich... na południe. Zabierz... Aielów... w bezpieczne miejsce. Dotrzymaj... Przymierza. Strzeż... tego, co Aes Sedai... nam powierzyły... dopóki... po to nie przyjdą. Droga... Liścia. Musisz...

Próbował. Solinda Sedai będzie musiała zrozumieć. Próbował. Amora.

\* \* \*

Amora. Dźwięk imienia powoli rozwiewał się, ból w piersi Randa zelżał. Bez sensu. To nie miało sensu. Jak ci ludzie mogli być Aielami?

Kolumny oślepiająco pulsowały. Powietrze drżało i tętniło.

Obok niego usta Muradina rozwarły się w bezskutecznym wysiłku zdobycia wrzasku z płuc. Aiel zdarł swą zasłonę, rył paznokciami twarz, zostawiając głębokie, krwawe szramy. Naprzód.

\* \* \*

Jonai spieszył po opustoszałych ulicach, starając się nie patrzeć na strzaskane budowle i martwe drzewa chora. Wszystko martwe. Przynajmniej resztki dawno porzuconych jo-kartów zostały odciągnięte na bok. Fale uderzeniowe wciąż wstrząsały ziemią pod jego stopami. Miał na sobie, rzecz jasna, ubiór roboczy, swój *cadin'sor*, chociaż do pracy, którą mu zlecono, nie posiadał należytych umiejętności. Liczył sobie sześćdziesiąt trzy lata, rozkwit sił; na pewno nie na tyle jeszcze stary, by osiwieć, a jednak czuł się jak starzec.

Nikt nie zakwestionował jego prawa wejścia do Komnaty Sług; przy wielkim, otoczonym kolumnami wejściu nie było nikogo, kto mógłby o cokolwiek pytać lub choćby wypowiedzieć pozdrowienia. Za to wewnątrz miotła się na wszystkie strony ludzka masa, ramiona spieszących wypełniały papiery i skrzynie, oczy wyrażały niepokój, nikt jednak nawet na niego nie spojrział. Wszystko otaczała atmosfera paniki, rosnącej wraz z każdym kolejnym wstrząsem ziemi. Zmartwiony pokonał westybul i wbiegł na górę po szerokich schodach. Srebrzystobiały elkamień był zablocony. Nikt nie miał czasu na sprzątanie. Być może nikogo to już nie obchodziło.

Nie musiał pukać do drzwi, których szukał. Nie były to jedne z tych wielkich inkrustowanych odrzwi do komnat zebrań, ale zwykłe, niczym nie wyróżniające się drzwiczki. Do środka wślizgnął się jednak po cichu i po chwili zrozumiał, że dobrze zrobił. Jakaś szóstka Aes Sedai stała wokół długiego stołu sprzecząc się, najwyraźniej nie zwracając najmniejszej uwagi na wstrząsy, od których drżał budynek. Wszystkie były kobietami.

Zadrzał zastanawiając się, czy kiedykolwiek mężczyźni zajmą jeszcze miejsce w tego typu zgromadzeniu. Kiedy jednak zobaczył przedmiot leżący na stole, drżenie zmieniło się w niepohamowany dygot. Kryształowy miecz — zapewne przedmiot Mocy, choć być może jedynie zdobna zabawka, nie potrafił powiedzieć — leżał na sztandarze Smoka, Lewsa Therina Telamona, który przykrywał stół niczym obrus, spływając na posadzkę. Coś zakłuło go w sercu. A cóż on tutaj robi? Dlaczego nie został zniszczony wraz z pamięcią o tym przeklętym człowieku?

— Cóż za pożytek z twojego Przepowiadania — Oselle niemalże krzyczała — jeżeli nie potrafisz nam powiedzieć „kiedy”? — Trzęsa się cała z gniewu. — Od tego zależą losy świata! Przyszłość! Samo Koło!

Ciemnooka Deindre spojrzała na nią ze swoim zwykłym spokojem.

— Nie jestem Stwórcą. Mogę wam powiedzieć tylko to, co Przepowiadam.

— Pokój, siostry. — Solinda zachowała najwięcej spokoju z nich wszystkich, jej staroświecka suknia wyglądała, jakby zrobiono ją z jednolitej, bladobłękitnej mgiełki. Rude włosy o złotawym odcieniu, spływające aż na biodra, były niemalże

tego koloru co jego włosy. Jego pradziadek służył jej jeszcze jako młody człowiek, ale ona wciąż wyglądała młodziej od samego Jonai; była wszak Aes Sedai. — Czas na kłótnie w naszym gronie dawno minął. Jaraic i Haindar będą tutaj jutro.

— Co oznacza, że nie możemy pozwolić sobie na pomyłki, Solinda.

— Musimy wiedzieć. . .

— Czy jest jakaś szansa. . . ?

Jonai przestał słuchać. Zwrócił na niego uwagę, kiedy będą gotowe. Prócz Aes Sedai nie był sam w pomieszczeniu. Oparty o ścianę w pobliżu drzwi siedział Someshta, wielka postać upleciona jakby z liści i pnączy, siedział, a mimo to jeszcze górował odrobinę wzrostem nad Jonai. Szczelina zeschniętych brązów i węglowej czerni biegła po twarzy Nyma, wplatając się w zieloną trawę jego włosów, a kiedy spojrzał na Jonai, w jego oczach rozbrzmiał smutek.

Kiedy Jonai kiwnął mu głową, rozchylił palcami szparę i zmarszczył brwi.

— Czy ja cię znam? — zapytał cicho.

— Jestem twoim przyjacielem — odrzekł ze smutkiem Jonai. Od lat już nie widział Somesthy, ale słyszał, że większość Nym wyginęła. — Kiedy byłem dzieckiem, woziłeś mnie na barana. Czy nic z tego nie pamiętasz?

— Śpiew — powiedział Someshta. — Czy w ogóle był śpiew? Tak wiele przepadło. Aes Sedai powiadają, że niektóre rzeczy powrócą. Jesteś Synem Smoka, nieprawdaż?

Jonai zamrugał. To miano mogło przysporzyć kłopotów, mimo że było prawdziwe. Jak wielu obywateli jednak wierzyło jeszcze, że Da'shain Aiel służyli kiedyś Smokowi, nie zaś pozostałym Aes Sedai?

— Jonai?

Odwrócił się na dźwięk głosu Solindy, przyklęknął na kolanie, kiedy podeszła bliżej. Pozostałe wciąż się kłóciły, choć znacznie ciszej.

— Czy wszystko jest gotowe, Jonai? — zapytała.

— Wszystko, Aes Sedai. Solinda Sedai. . . — Zawahał się, zrobił głęboki wdech. — Solinda Sedai, niektórzy z nas chcą zostać. Możemy wciąż wam służyć.

— Czy wiesz, co stało się z Aielami w Tzora? — Pokiwał głową, a wtedy ona westchnęła i rozczesała mu dłonią włosy, jak czyniła to, kiedy był dzieckiem. — Oczywiście, że wiesz. Wy, Da'shain, macie więcej odwagi niż. . . Dziesięć tysięcy Aielów splótło dłonie i śpiewało, starając się przypomnieć szaleńcowi, kim byli kiedyś i kim był on, starając się zawrócić go swymi ciałami i swoją pieśnią. Jaric Mondoran pozabijał ich. Stał tam, wpatrując się w nich jak w układankę, zabijał ich, a oni tylko zwierali szyki nad pomordowanymi i śpiewali. Powiedziano mi, że ostatniego Aiela słuchał niemal przez godzinę, zanim go spalił. A potem samo Tzora stanęło w płomieniach, będących jednym wielkim ogniem, który pochłonięła kamień, metal i ciało. W miejscu, gdzie stało niegdyś drugie co do wielkości miasto świata, jest teraz szklana pustynia.

— Wielu ludzi miało możliwość ucieczki, Aes Sedai. Da'shain dali im czas, by mogli się uratować. My się nie boimy.

Jej dłoń wpiła się boleśnie w jego włosy.

— Obywatele już opuścili Paaren Disen, Jonai. Oprócz tego Da'shain wciąż mają swoją rolę do odegrania, gdyby tylko Deindre mogła widzieć wystarczająco daleko, aby dowiedzieć się, na czym ta rola polega. W każdym razie coś mam zamiar stąd uratować, a tym czymś jesteś ty.

— Jak powiadasz — powiedział niechętnie. — Zajmiemy się tym, co oddasz pod naszą opiekę, dopóki nie zechcecie tego na powrót odebrać.

— Oczywiście. Rzeczy, które wam damy. — Uśmiechnęła się do niego i zwolniła swój uchwyt, wygładzając mu włosy jeszcze raz, zanim splotła dłonie. — Zawieziecie te... rzeczy... w bezpieczne miejsce, Jonai. Nie zatrzymujcie się nigdzie, bądźcie cały czas w ruchu, dopóki nie znajdziecie bezpiecznego miejsca, gdzie nikt nie będzie mógł was skrzywdzić.

— Jak rozkażesz, Aes Sedai.

— A co z Couminem, Jonai? Czy już się uspokoił?

Nie potrafił nic wymyślić, musiał powiedzieć jej prawdę, chociaż raczej wolałby odgryźć sobie język.

— Mój ojciec ukrywa się gdzieś w mieście. Starał się namówić nas do... oporu. Nie posłucha nas, Aes Sedai. Nie posłucha. Znalazł gdzieś starą lancę udarową i... — Nie potrafił mówić dalej. Spodziewał się, że będzie zła, ale jej oczy lśniły od łez.

— Dotrzymuj Przymierza, Jonai. Choćby Da'shain stracili wszystko, dopilnuj, by zachowali Drogę Liścia. Obiecay mi.

— Oczywiście, Aes Sedai — powiedział, głęboko wstrząśnięty. Przymierze było tożsame z Aielami, a Aielowie byli Przymierzem; porzucić Drogę Liścia znaczyło wyprzeć się tego, czym byli. Coumin był odmieńcem. Już od dzieciństwa był dziwny, jak powiadano, nie chciał być uważany za Aiela, choć nikt nie wiedział dlaczego.

— Idź już, Jonai. Chcę, byś do jutra znalazł się daleko od Paaren Disen. I pamiętaj, cały czas w ruchu. Dbaj o bezpieczeństwo Aielów.

Przykląkł na kolano i skłonił głowę, ale ona już zdążyła odejść, wracając do przerwanej dyskusji.

— Czy możemy zaufać Kodamowi i jego towarzyszom, Solinda?

— Musimy, Oselle. Są młodzi i niedoświadczeni, ale skaza ledwie ich dotknęła i... I nie mamy innego wyboru.

— A więc zrobimy to, co konieczne. Miecz musi poczekać. Someshta, mamy zadanie dla ostatniego z Nym, jeżeli zechcesz się go podjąć. Prosiłszy was już o nazbyt wiele, teraz musimy prosić o jeszcze.

Kiedy Nym podniósł się, zamiatając włosami sufit, Jonai, kłaniając się oficjalnie, ruszył do wyjścia. Pochłonięte już bez reszty kolejnymi planami, nie

zwróciły nań najmniejszej uwagi, ale nie uważał, by poniósł przez to uszczerbek na honorze. Nie sądził, by jeszcze kiedykolwiek miał je zobaczyć ponownie.

Wybiegł z Komnaty Sług i biegł całą drogę przez miasto aż do miejsca, gdzie czekało wielkie zgromadzenie. Tysiące wozów, ustawionych w dziesięciu kolumnach, rozciągało się na przestrzeni niemalże dwu lig; wozy załadowane żywnością i beczułkami z wodą, wozy załadowane zapakowanymi w skrzynie rzeczami, które Aes Sedai oddały pod opiekę Aielom, *angreale*, *sa'angreale* oraz *ter'angreale*, wszystkie rzeczy, które należało trzymać poza zasięgiem mężczyzn, którzy popadali w szaleństwo, gdy przenosili Jedyną Moc. Kiedyś znalazłyby się inne sposoby na przetransportowanie ich, jo-karty i skoczki, koptery i wielkie megaloty. Teraz z trudem zebrane konie i wozy będą musiały wystarczyć. Pomiedzy wozami stali ludzie, tak wielu, że mogliby zasiedlić całe miasto, przypuszczalnie wszyscy Aielowie, którzy pozostali przy życiu na całym świecie.

Setka wyszła na jego spotkanie, mężczyźni i kobiety, przedstawiciele tych, którzy chcieli wiedzieć, czy Aes Sedai nie udzieliły niektórym przynajmniej zgody na pozostanie.

— Nie — powiedział im. Niektórzy niechętnie marszczyli brwi, wtedy dodał: — Musimy słuchać. Jesteśmy Da'shain Aiel i słuchamy Aes Sedai.

Powoli wracali do wozów, a wtedy wydawało mu się, że ktoś wymienił imię Coumina, ale nie pozwolił, by odciągnęło to jego uwagę. Pośpieszył do swojego wozu, na czele środkowej kolumny. Konie płoszyły się wraz z każdym drzeniem przenikającym ziemię.

Jego synowie siedzieli już na koźle — Willim, piętnastoletni, trzymał wodze, Adan, który skończył dziesięć lat, siedział obok niego, obaj szczerzyli zęby w uśmiechu, pełni nerwowego podniecenia. Małutka Esole leżała, bawiąc się lalką, na płótnie przykrywającym ich dobytek oraz, znacznie ważniejsze, przedmioty powierzone im przez Aes Sedai. W wozach nie było miejsca dla nikogo prócz starców i dzieci. Kilkanaście sadzonek chory w glinianych donicach stało za koźlem, zasadzą je na powrót, kiedy dotrą w bezpieczne miejsce. Głupio było tak je wozić, jednak znajdowały się na każdym wozie. Coś z czasów dawno minionych; symbol lepszych czasów, które nadejdą. Ludziom potrzebne były i nadzieja, i symbole.

Amora czekała na niego obok zaprzęgu, lśniące czarne włosy spadały falami na jej ramiona, przypominając mu dzień, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, jeszcze jako młodą dziewczynę. Teraz zmartwienie wyrzeźbiło głębokie zmarszczki wokół jej oczu.

Udało mu się uśmiechnąć do niej, a niepokój skryć głęboko w sercu.

— Wszystko będzie dobrze, żono mego serca. — Nie odpowiedziała, a wtedy dodał: — Czy śniłaś?

— Jeszcze nie czas — wymruczała. — Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze i nic nie zakłóci wszechrzeczy. — Uśmiechając się drżącymi wargami, dotknęła jego policzka. — Kiedy jestem z tobą, wiem, że tak będzie, mężu



mego serca.

Jonai pomachał ręką ponad głową i dany przez niego sygnał rozszedł się wzdłuż kolumn. Powoli wozy zaczęły ruszać, Aielowie opuszczali Paaren Disen.

\* \* \*

Rand potrząsnął głową. Za dużo. Wspomnienia tłoczyły się po głowie, nakładały na siebie. Powietrze zdawało się wypełnione błyskawicami. Wiatr podrywał gruboziarnisty pył, kręcąc nim wiry. Muradin wyrył paznokciami głębokie szczyliny w swej twarzy, teraz wbijał palce w oczy. Naprzód.

\* \* \*

Coumin ukląkł na skraju zaoranego terenu, odziany w robocze ubranie, prosty brązowawo-szary kaftan, spodnie i miękkie sznurowane buty, w jednym rzędzie z podobnymi do niego, otaczającymi pole, po dziesięciu ludzi z Da'shain Aiel rozstawionych w odległości podwójnego wyciągnięcia ramion, potem ogir i tak na przemian. Mógł dojrzeć następne pole, otoczone w taki sam sposób, za pracującymi, na szczycie uzbrojonych jo-kartów siedzieli żołnierze z ich lancami udarowymi. Nad głowami krążyły patrole w kopterach, śmiertelne osy z czarnego metalu z dwojgiem ludzi w środku. Miał dopiero szesnaście lat, ale kobiety, biorąc pod uwagę głębię jego głosu, pozwoliły mu na koniec wziąć udział w śpiewaniu nasion.

Żołnierze fascynowali go, podobnie ludzie i ogirowie, w taki sposób, jak fascynujące mogą wydawać się jaskrawe barwy na grzbiecie jadowitego węża. Oni zabijali. Pradziadek jego ojca, Charn, twierdził, że ongiś w ogóle nie było żołnierzy, ale Coumin w to nie wierzył. Gdyby nie żołnierze, to ktoż by powstrzymał Jeźdźców Nocy i trolloki przed zabiciem wszystkich? Rzecz jasna, dodawał Cham, nie było wówczas również żadnych Myrddraali ani trolloków. Żadnych Przeklętych ani Wykutych W Cieniu. Cham opowiadał wiele historii, o których twierdził, że pochodzą z czasów, zanim pojawili się żołnierze, Jeźdźcy Nocy i trolloki, kiedy Ciemny Władca Grobu był uwięziony i nikt nie znał jego imienia ani też znaczenia słowa „wojna”. Coumin nie potrafił sobie wyobrazić takiego świata; kiedy się urodził, wojna trwała już od dawna.

Znajdował jednak przyjemność w tych opowieściach Charna, nawet nie po-

trafiąc w nie do końca uwierzyć, niekiedy jednak starzec marszczył czoło i smutek przepełniał jego głos. Na przykład wówczas, kiedy twierdził, że służył kiedyś jednemu z Przeklętych, samej Lanfear. To tak, jakby powiedzieć, iż służył Ishamaelowi. Skoro jego opowieści musiały być tak mocno podkoloryzowane, to Coumin wolałby usłyszeć o służbie u Lewsa Therina, u samego wielkiego przywódcy. Rzecz jasna każdy wówczas mógłby zapytać, dlaczego dalej nie służy Smokowi, ale tak było lepiej, niż przyznawać się do prawdy. Couminowi nie podobał się sposób, w jaki ludzie patrzyli na Chama, kiedy twierdził, że Lanfear nie zawsze była zła.

Zamieszanie przy jednym z krańców pola oznaczało, że zbliża się Nym. Wielka postać, o głowę, ramiona i piersi wyższa od dowolnego z ogirów, wkroczyła na siewny grunt, a Coumin nie musiał widzieć tego, by wiedzieć, że zostawia za sobą ślad pełen kielków. To był Someshta, otoczony chmurami motyli, białych, żółtych i niebieskich. Wśród ludzi z miasta rozległy się podniecone szepty, a ci, do których należało to pole, zbiegli się, by patrzeć. Teraz każde pole mogło mieć własnego Nym.

Coumin zastanawiał się, czy mógłby zapytać Someshta o opowieści Chama. Raz z nim rozmawiał, a Someshta był wystarczająco stary, by wiedzieć, czy Charn mówi prawdę; ze wszystkich istot Nym żyli najdłużej. Niektórzy powiadali, że nigdy nie umierają i nie umrą, dopóki będą rosły rośliny. Ale nie była to odpowiednia chwila na rozmyślania o indagowaniu Nym.

Zaczęli ogirowie, jak przystało, wstali i zaintonowali pieśń; głębokie basy potoczyły się nad polem, jakby to sama ziemia śpiewała. Aielowie podjęli pieśń, męskie głosy poczęły na swą własną nutę, głębszą nawet partiami od głosu ogirów. Jednak pieśni splatały się razem, a Someshta chwycił je i wplatał w swój taniec, sunąc po polu nagłymi zakosami, z szeroko rozwartymi ramionami, a motyle latały wokół niego, siadając na czubkach rozczapierzonych palców.

Coumin mógł postyszeć śpiewanie ziaren dochodzące z pozostałych pól, słyszał, jak kobiety klaszczą, ponaglając mężczyzn, wybijając rytm pulsu nowego życia, ale wiedza ta majaczyła jedynie na krawędzi świadomości. Pieśń pochłonięła go, czuł się, jakby to jego, a nie tylko dźwięki, które wydawał, Someshta wplatał w glebę i owijał wokół nasion. Nasion, nie będących już w najmniejszej mierze nasionami. Kielki Zemais pokrywały całe pole, z każdym tupnięciem Nym coraz wyższe. Żadna klęska nie zaszkodzi tym roślinom, żaden szkodnik; śpiewane ziarno urośnie na koniec na podwójną wysokość człowieka i wypełni spichlerze miasta. Dlatego właśnie został zrodzony dla tej pieśni i innych pieśni ziarna. Nie żałował, że Aes Sedai odsunęły go od siebie, gdy miał dziesięć lat, twierdząc, iż zatracił iskrę. Możliwość uczenia się u Aes Sedai mogła być cudowna, z pewnością jednak nie w takim stopniu jak ta chwila.

Pieśń zamierała powoli, Aielowie wiedli ją ku zakończeniu. Someshta przełamał jeszcze kilka kroków po tym, jak ścichły ostatnie głosy i zdawało się, że

melodia wciąż jeszcze brzmi cichutko w powietrzu, dopóki się poruszał. Potem zatrzymał się i wszystko się skończyło.

Zaskoczony Coumin zorientował się, że ludzie z miasta zniknęli, ale nie starczyło mu czasu na długie dociekanie, dokąd poszli i dlaczego. Kobiety podeszły bliżej, roześmiane gratulowały mężczyznom. Teraz on sam był już jednym z mężczyzn, a nie tylko chłopcem, choć kobiety nie potrafiły się zdecydować, czy całować go w usta, czy tylko targać za krótkie, rude włosy.

Wówczas zobaczył żołnierza stojącego w odległości kilku tylko kroków, który ich obserwował. Zostawił gdzieś swą lancę udarową i zdobną bitewną pelerynę, ale wciąż miał na głowie hełm, przypominający łeb jakiegoś monstrualnego owada. Jego żuchwy skrywały twarz, ale czarna przyłbica udarowa była podniesiona. Czując, że zbyt się wyróżnia, żołnierz ściągnął hełm, ukazując twarz młodego, ciemnowłosego mężczyzny, najwyżej cztery lub pięć lat starszego od Coumina. Coumin spojrzał w nieruchome oczy tamtego i zadrżał. Twarz była cztery, pięć lat starsza, ale te oczy. . . Żołnierz również zaczął swoje szkolenie w wieku dziesięciu lat. Coumin był zadowolony, że Aielom oszczędzono takiego wyboru.

Jeden z ogirów, Tornada, podszedł bliżej, pędzelki jego uszu wyprężyły się pytająco.

— Masz jakieś wieści, wojowniku? Kiedy śpiewaliśmy, dostrzegłem jakieś zamieszanie pomiędzy jo-kartami.

Żołnierz zawahał się.

— Przypuszczam, że mogę ci powiedzieć, choć nie zostało to jeszcze potwierdzone. Otrzymaliśmy raport, że Lews Therin poprowadził Towarzyszy do uderzenia na Shayol Ghul, tego ranka, o świcie. Coś zakłóca komunikację, ale z raportu wynika, że Odyniec został zapieczętowany w środku, wraz z większością Przeklętych. Być może nawet ze wszystkimi.

— A więc to koniec — wydyszał Tornada. — Wreszcie koniec, chwała Światłości.

— Tak. — Żołnierz rozejrzał się dookoła, nagle jakby zagubiony. — Tak. . . przypuszczam. Przypuszczam. . .

Spojrzał na swoje dłonie, potem pozwolił im bezwładnie opaść wzdłuż boków. W jego głosie brzmiało zmęczenie.

— Miejscowi nie potrafili zaczekać z rozpoczęciem świętowania. Jeżeli wieści są prawdziwe, może się to przeciągnąć na całe dni. Zastanawiam się, czy. . . ? Nie, nie zechcą, by żołnierze się do nich przyłączyli. A wy?

— Na dzisiejszy wieczór może tak — powiedział Tornada. — Ale musimy odwiedzić jeszcze trzy miasta, zanim skończymy obchód.

— Oczywiście. Czekają was jeszcze prace. Dużo pracy. — Żołnierz ponownie rozejrzał się dookoła. — Zostały też trolloki. Nawet jeżeli Przeklęci odeszli, wciąż zostały trolloki. Oraz Jeźdźcy Nocy.

Kiwając głową do swoich myśli, poszedł w kierunku jo-kartów.

Tornada w ogóle nie wyglądał na podnieconego, rzecz jasna, ale Coumin był równie oszołomiony co młody żołnierz. Koniec wojny? Jaki będzie świat bez wojny? Nagle poczuł, że musi porozmawiać z Charnem.

Odgłosy świętowania usłyszał już w sporej odległości od miasta — śmiech, śpiewy. Dzwony na wieży miejskiego ratusza biły bezustannie. Mieszkańcy miasta tańczyli na ulicach, mężczyźni, kobiety i dzieci. Coumin przepychał się między nimi szukając. Charn wybrał na miejsce swego pobytu jedną z gospód, w których zatrzymywali się Aielowie, gdy nie zamierzali brać udziału w śpiewaniu — nawet Aes Sedai nie potrafiły już uśmierzyć definitywnie bólu w jego kolanach — ale w taką noc z pewnością wyjdzie na zewnątrz.

Znienacka coś uderzyło Coumina w szczękę, aż nogi się pod nim ugięły; grmolił się na kolana, zanim jeszcze w ogóle zrozumiał, że upadł. Na dłoni przyłożonej do warg zobaczył krew. Spojrzał w górę i zobaczył rozszoszczoną twarz jakiegoś mieszkańca miasta, który stał nad nim, masując pięść.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał.

Tamten splunął na niego.

— Przekłęci nie żyją. Nie żyją, słyszysz? Lanfear nie będzie cię dłużej chronić. Z korzeniami wyrwiemy was wszystkich, was, którzy służyliście Przekłętym, udając jednocześnie, że jesteście po naszej stronie, i potraktujemy was wszystkich tak samo, jak potraktowaliśmy tamtego starego szaleńca.

Jakaś kobieta szarpała mężczyznę za rękaw.

— Zostaw, Toma. Chodź i powstrzymaj ten swój głupi jęzor! Chcesz, żeby przyszli po ciebie ogirowie?

Nagle opamiętawszy się, człowiek pozwolił odciągnąć się w tłum.

Coumin chwiejnie podniósł się i pobiegł, nie zważając na krew ciekącą po policzku.

W gospodzie panowała cisza i pustka. Nie było w środku karczmarza ani też kucharza i pomocników. Coumin przebiegł przez wszystkie pomieszczenia wołając:

— Charn? Charn? Charn!

Być może jest z tyłu. Charn lubił siadywać pod korzenną jabłonią, rosnącą za gospodą i opowiadać historie z czasów, gdy był młody.

Coumin wybiegł przez tylne wejście i potknął się, padając na twarz. Zahaczył stopą o rzucony luzem but. Jeden z roboczych butów, które Charn nosił zawsze, odkąd nie przyłączał się już do śpiewaków. Coś kazało mu spojrzeć w górę.

Siwowłose ciało Charna wisiało na linie przerzuconej przez kalenicę, z jedną nogą bosą, palce zaś jednej dłoni przyciśnięte były do gardła, jakby próbowały rozluźnić pętlę.

— Dlaczego? — tępo wyszeptał Coumin. — Jesteśmy Da'shain. Dlaczego?

Nie było nikogo, kto odpowiedziałby na to pytanie. Przyciskając but do piersi, ukląkł tam, patrząc w górę na ciało Charna, a ponad nim toczył się zgiełk zabawy.

\* \* \*

Rand drżał. Światła kolumn przemieniły się w drżącą, błękitną mgłę, która jakby nazbyt lita zdawała się wyszarpywać pazurami nerwy spod skóry. Wiatr wył, jeden z wielkich wirów prawie wsysał go do środka. Muradinowi udało się naciągnąć zasłonę na twarz; krwawe oczodoły spoglądały ślepo znad krawędzi materii. Aiel zuł coś, a krwawa piana leciała mu na pierś. Naprzód.

\* \* \*

Charn przepchał się na szerokiej, zatłoczonej ulicy, pod rozpostartymi gałęziami drzew chora, których potrójne liście rozsiewały wokół siebie atmosferę spokoju i błogości, w cieniu srebrzystych budowli, dotykających nieba. Miasto bez drzew chora byłoby pozbawione wyrazu niczym pustkowie. Jo-karty bzyczały cicho w dole ulicy, a wielkie, białe megaloty mknęły po niebie, wioząc obywateli do Comelle, Tzora albo jeszcze gdzie indziej. Sam rzadko korzystał z megalotów — jeżeli musiał udać się dalej, zazwyczaj podróżował w towarzystwie Aes Sedai — ale tej nocy miał zamiar dostać się do M’jinn. Dzisiaj przypadała dwudziesta piąta rocznica dnia, w którym otrzymał imię, i dzisiaj też postanowił przyjąć ostatnią propozycję małżeństwa, jaką złożyła mu Nalla. Zastanawiał się, czy będzie zaskoczona; przez cały rok trzymał ją na dystans, nie mając zamiaru już się ustatkować. Łączyło się to bowiem ze zmianą służby i przeniesieniem do Zorelle Sedai, u której służyła Nalla, ale Mierin Sedai dała mu już swoje błogosławieństwo.

Okrzyknął róg i ledwie starczyło mu czasu, by dostrzec ciemnego, potężnie zbudowanego mężczyznę z modną, wąską brodą, zanim ramię tamtego posłało go na ziemię. Padł na plecy, głowa odbiła się od chodnika, przed oczyma zatańczyły gwiazdy. Oszołomiony nie był w stanie się podnieść.

— Uważaj, jak chodzisz — powiedział tamten z irytacją, wygładzając czerwony kaftan bez rękawów i otrzepując koronki przy mankietach koszuli. Ciemne włosy, opadające na ramiona, miał związane nad karkiem. Taka była najnowsza moda, wszyscy, którzy nie przysięgali Przymierza, starali się jak najbardziej upodobnić do Aielów.

Jasnowłosa kobieta, która mu towarzyszyła, położyła dłoń na jego ramieniu mówiąc:

— Jom, spójrz na jego włosy. On jest Aielem, Jom.

Charn przeczesał palcami krótko przycięte, złotorude włosy, aby sprawdzić,

czy nie rozciął sobie skóry. Szarpnął raz za długą kitę na karku, zamiast potrząsnąć głową. Siniak, pomyślał, nic groźnego.

— Jest nim zaiste. — Arogancja tamtego zmieniła się w konsternację. — Wybacz mi, Da'shain. Jestem człowiekiem, który powinien uważniej patrzeć, jak chodzi. Pozwól, bym ci pomógł.

Natychmiast wprowadził swe słowa w czyn, podnosząc Charna.

— Czy nic ci się nie stało? Pozwolisz, że wezwę skoczka, by zabrał cię tam, dokąd zmierzasz?

— Nic mi się nie stało, obywatelu — odrzekł łagodnie Charn. — Doprawdy, to moja wina.

Rzeczywiście tak mogło być, spieszył się wszak, nie zwracając uwagi na otoczenie. Mógł zranić tego człowieka.

— Czy nie skaleczyłem cię? Proszę, wybacz mi.

Mężczyzna już otworzył usta, by zaprotestować — obywatele zawsze zachowywali się w ten sposób, zdawali się uważać, że Aielowie wykonani są ze szklanych włókien — ale nim zdążył przemówić, ziemia zadrżała pod ich stopami. Powietrze zadrżało również, kolejnymi falami. Mężczyzna rozejrzał się dookoła niepewnie, owinał ściślej swym modnym płaszczem siebie i swoją panią, tak że ich głowy wyglądały jakby oddzielone od ciał.

— Co to jest, Da'shein?

Pozostali, którzy również zauważyli fryzurę Charna, zaniepokojeni zaczęli gromadzić się dookoła, zadając to samo pytanie, ale nie zwrócił na nich uwagi, nawet nie pomyślawszy, że jest niegrzeczny. Natychmiast zaczął przepychać się przez tłum, jego oczy wbite były w Sharom — białą sferę, mającą tysiąc stóp średnicy, która unosiła się wśród błękitnych i srebrnych kopuł Collam Daan.

Mierin powiedziała, że dzisiaj nastąpi ten dzień. Powiedziała, że odnalazła nowe źródło Jedynej Mocy. Kobiety i mężczyźni Aes Sedai będą odtąd mogli czerpać z tego samego źródła, miast z oddzielnych połówek. Dzieła, które dzięki zatarciu się różnic mężczyźni i kobiety będą mogli wykonywać zjednoczeni, staną się jeszcze wspanialsze. I również dzisiaj ona i Beidomon po raz pierwszy z niego zaczerpną — po raz ostatni mężczyzna i kobieta będą pracować razem, władając odmiennymi Mocami. Dzisiaj.

Coś, jakby maleńki płatek bieli oderwał się od Sharom, ciągnąc smugę czarnego ognia; opadł w dół, zwodniczo powoli, jakby nic nie znaczył. Potem tysiąc plam wytrysnęło wszędzie wokół potężnej białej kuli. Sharom rozpadło się niczym skorupka jajka i zaczęło płynąć w dół, opadając niczym obsydianowe piekło. Mrok pojawił się na niebie, połykając słońce i jakby rozbłyśkując czernią. Ludzie krzyczeli, krzyczeli wszędzie.

Wraz z pierwszym wytryskiem ognia Charn zaczął biec ku Coltam Daan, ale wiedział, że jest już za późno. Przysięgał służyć Aes Sedai, i oto się spóźnił. Gdy biegł, łzy ciurkiem płynęły po jego twarzy.

\* \* \*

Mrugając rozpaczliwie, aby przegnać plamy wirujące mu przed oczyma, Rand ścisnął obiema rękoma głowę. Obraz ogromnej sfery wciąż trwał w jego pamięci. Płonęła czernią, padała.

„Czy naprawdę widziałem, jak wywiercono dziurę w więzieniu Czarnego? Naprawdę? — Stał na skraju lasu kolumn, patrząc na *Avendesore*. — Drzewo chora. Miasto bez drzew chora staje się pustkowiem. A teraz pozostało tylko jedno”.

Kolumny iskrzyły się błękitną poświatą, odbijając się w sklepionej nad nimi mgielnej kopule. Po Muradinie zniknął wszelki ślad; Rand nie podejrzewał, że Aiel wyszedł z lasu kolumn wcześniej. Albo że to mu się kiedykolwiek uda.

Nagle coś zobaczył, nisko w gałęziach Drzewa Życia. Kołysząca się powoli postać. Człowiek, zwisający w zadzierzgniętej na szyi pętli, przerzuconej przez kij oparty na dwóch gałęziach.

Z nieartykułowanym wyciem podbiegł do drzewa, w biegu sięgnął po *saidina*, płonący miecz załśnił w jego dłoni, gdy już leciał w powietrzu. Jednym ciosem przeciął linę. Razem z Matem opadli na pokryty pyłem biały kamień, ziemia rezonowała bliźniaczym jękiem. Uwolniony kij załomotał obok nich; to nie był żaden kij, lecz włócznia o czarnym drzewcu, z jednostronną, lekko zakrzywioną klingą krótkiego miecza zamocowaną miast zwykłego ostrza. Rand nie zwróciłby na nią uwagi, nawet gdyby zrobiona była ze złota czy *cuendillara*, wysadzana szafirami i łzami ognia.

Pozwolił zniknąć mieczowi, odejść Mocy, rozluźnił pętlę na szyi Mata i przyłożył ucho do jego piersi. Nic. Desperacko rozerwał jego kaftan i koszulę, jednocześnie zrywając skórzany rzemień, na którym wisiał srebrny medalion. Odrzucił go na bok, posłuchał znowu. Nic. Śladu pulsu. Martwy.

„Nie! Gdybym mu nie pozwolił iść za sobą, nic by mu się nie stało. Nie mogę pozwolić mu umrzeć!”

Tak mocno, jak tylko był w stanie, uderzył pięścią w pierś Mata, posłuchał ponownie. Nic. Uderzył jeszcze raz, posłuchał. Tak. Jest. Słabe bicie serca. Było. Takie słabe, takie wolne. I spowalniające wciąż. Mat jednak jeszcze żył, pomimo ciemno purpurowej pręgi wisielczej, która otaczała jego szyję. Wciąż można było przywrócić go do życia.

Rand nabrał głęboko powietrza w płuca, na kolanach obszedł Mata i tchnął powietrze w jego usta, tak mocno, jak tylko potrafił. Potem znowu. I jeszcze raz. Potem stanął nad nim w rozkroku, chwycił za pasek jego spodni i szarpnął do góry, unosząc biodra tamtego ponad bruk. W górę, w dół, trzykrotnie, a potem ponownie sztuczne oddychanie. Mógł przenosić, w ten sposób na pewno byłoby mu łatwiej. Powstrzymało go wspomnienie tamtej dziewczynki w Kamieniu.

Chciał, żeby Mat żył, a nie był tylko kukiełką poruszaną przez Moc. Pewnego razu, jeszcze w Polu Emonda widział, jak Pan Luhhan przywrócił do życia chłopca, którego znaleziono w wodach Winnej Jagody. Tak więc unosił jego biodra i wdychał powietrze do płuc, unosił i wdychał. I modlił się.

Nagle Mat szarpnął się, zakaszłał. Rand ukląkł przy nim, kiedy tamten chwycił się obiema dłońmi za gardło, przewrócił na bok i gwałtownie rżęząc, kurczowo łapał powietrze.

Mat jedną dłonią dotknął kawałka liny i zadrżał.

— Te cholerne... kozie... syny — wymamrotał ochryple. — Oni chcieli... mnie zabić.

— Kto chciał? — zapytał Rand, rozglądając się czujnie dookoła.

Odpowiedziały mu spojrzeniem opustoszałe ruiny na poły ukończonych pałaców wokół wielkiego zaśmieconego placu. Nie było najmniejszych wątpliwości, że w Rhiudean oprócz nich dwóch nie ma nikogo. Chyba że Muradin wciąż żył i gdzieś się tu ukrywał.

— Ci ludzie... po tamtej stronie... tej... przekrzywionej ramy. — Przełykając z bólem ślinę, Mat usiadł i wciągnął urywany oddech. — Tutaj też jest taka, Rand.

Jego głos brzmiał wciąż, jakby wydobywał się z zupełnie zdartego gardła.

— Udało ci się przez nią przejść? Odpowiadają na pytania? — To mogło się przydać. Rozpaczliwie potrzebował kolejnych odpowiedzi. Tysiące pytań i tylko kilka pojedynczych odpowiedzi.

— Żadnych odpowiedzi — odrzekł Mat ochryple. — Oszukują. I próbowali mnie zabić.

Podniósł do góry medalion, srebrna głowa lisa niemalże wypełniła mu dłoń, i po chwili, krzywiąc się, wsunął go do kieszeni.

— Przynajmniej też im coś zabrałem.

Przyciągnął do siebie osobliwą włócznię i przesunął palcami po czarnym drzewcu. Przez całą jego długość biegł rząd dziwnych, pochyłych liter, z obu stron ujęty w nawias przez parę ptaków inkrustowanych w metalu ciemniejszym nawet od drzewa, z którego wykonano drzewce. Kruki, zdawało się Randowi. Kolejną parę wygrawerowano na ostrzu. Z niewyraźnym, złym uśmiechem Mat podniósł się, na poły wspierając na włóczni, wieńczące ją ostrze miecza zaczynało się na wysokości jego głowy. Nie zatroszczył się nawet o to, by zapiąć kaftan czy zawiązać koszulę.

— Ją również zatrzymam. Oni wymyślili ten żart, niemniej wezmę ją.

— Żart?

Mat przytaknął.

— Zgodnie z tym, co jest tu napisane.

Tak brzmią słowa naszego traktatu; oto zawarliśmy umowę.



Myśl jest strzałą czasu; pamięć nigdy nie ginie.  
To, o co się prosi, jest dane. Zapłacono cenę.

— Niezły żart, jak widzisz. Jeżeli będę miał kiedykolwiek szansę, potnę ich na kawałki za pomocą tego dowcipu. Już ja im dam „myśl i pamięć”. — Zamrugnął, przeczesując palcami włosy. — Światłości, ależ boli mnie głowa. Tak mi się w niej kręci, jakby tam wirowały tysiące fragmentów snów, a każdy z nich kłuł niczym igła. Czy myślisz, że Moiraine będzie chciała coś z tym zrobić, jeśli poproszę?

— Na pewno się zgodzi — odpowiedział powoli Rand. Mat musiał nieźle oberwać, jeśli myślał o pomocy Aes Sedai. Ponownie spojrzął na drzewce czarnej włóczni. Większość napisu zakrywała dłoń Mata, ale część była widoczna. Cokolwiek było tam napisane, nie potrafił tego odczytać. W jaki sposób udało się Matowi? Puste okna Rhuidean spoglądały na niego szyderczo. Wciąż skrywamy wiele sekretów, zdawały się mówić. Gorszych znacznie niż te, które znasz.

— Wracajmy już, Mat. Nie mam pojęcia, co się może zdarzyć, jeżeli będziemy zmuszeni wędrować o zmroku przez dolinę. A nie chcę zostawać tu ani chwili dłużej.

— Ten pomysł mi się podoba — zgodził się Mat kaszląc. — Pod warunkiem że zatrzymamy się przy fontannie, żeby się napić.

Rand dostosował swój krok do tempa marszu Mata; tamten z początku szedł powoli, kuśtykał właściwie, podpierając się przy każdym kroku włócznią niczym kosturem. Zatrzymał się raz, by spojrzeć na dwie figurki, przedstawiające postacie mężczyzny i kobiety, z kryształową kulą w dłoniach, ale zostawił je na miejscu. Jeszcze nie. Jeszcze długo nie, o ile będzie miał szczęście.

Kiedy zostawili za sobą plac, wyszli na ulicę, wzdłuż której wznosiły się nie dokończone pałace; ich wygląd przerażał, poszarpane dachy górowały na nimi niczym mury potężnej fortecy. Ran objął *saidina*, chociaż nie dostrzegł nigdzie bezpośredniego zagrożenia. Czuł jednak przez skórę, jakby mordercze oczy wwiercały się w jego plecy. Rhuidean rozciągało się wokół spokojne i puste, pozbawione cieni w padającej zewsząd błękitnej poświacie swego mgiełnego dachu. Pył na ulicach marszczyły poddmuchy lekkiego wiatru... Wiatr? Nie było żadnego wiatru.

— Och, niech szczenę — wymamrotał Mat. — Wydaje mi się, że wpakowaliśmy się w kłopoty, Rand. Gdy przebywam blisko ciebie, to zawsze wciągasz mnie w kłopoty.

Zmarszczki pyłu zaczęły biec szybciej, nakładały się na siebie, tworząc większe bruzdy, wciąż drżały.

— Czy możemy iść szybciej? — zapytał Rand.

— Iść? Krew i krwawe popioły, mogę już biec. — Przyłożywszy ukośnie włócznię do piersi, Mat, zgodnie z tym co powiedział wcześniej, ruszył niezgrab-

nym galopem.

Biegając obok niego, Rand przywołał z powrotem swój miecz, niepewny, czy w ogóle na coś się przyda przeciwko drżącym liniom pyłu, niepewny, czy w ogóle jest to konieczne. To tylko kurz.

„Nie, nie jest to żaden przekłety kurz. To jedna z tych baniek. Zło Czarnego, dryfujące po Wzorze, w poszukiwaniu Przeklętych *ta'veren*. Wiem, że to jest to”.

Wszędzie wokół nich pył drżał i marszczył się, stając coraz grubszy, jego fałdy zbiegały się ze sobą. Znienacka, dokładnie naprzeciwko nich, jakiś kształt wyłonił się z basenu wyschniętej fontanny, materialna postać przypominająca ludzką, ciemna, o twarzy pozbawionej rysów, z palcami niczym ostre szpony. W absolutnym milczeniu skoczyła w ich stronę.

Ran poruszał się instynktownie — Księżyc Wschodzący Ponad Wodą — i wykute z Mocy ostrze przecięło ciemną postać. W mgnieniu oka zmieniła się w sporą chmurę pyłu, która opadła na bruk.

W jej miejsce jednakże pojawiły się zaraz kolejne ciemne zjawy bez twarzy i ruszyły na nich ze wszystkich stron naraz, żadna nie była podobna do drugiej, choć wszystkie wyciągały te same szpony. Rand tańczył między nimi formy, klinga jego miecza kreśliła w powietrzu zawile wzory — tam, gdzie przeszła, zostawały obłoki kurzu. Mat operował swą włócznią jak pałką, uderzał wirowymi ruchami, czasem jednak korzystając z ostrza, tak sprawnie, jakby posługiwał się nim przez całe życie. Stwory ginęły — albo przynajmniej na powrót zmieniały się w pył — było ich jednak tak wiele, ponadto poruszały się niezwykle szybko. Krew spływała po twarzy Randa, a stara rana w boku paliła grożąc, iż otworzy się ponownie. Czerwone krople spryskiwały również oblicze Mata, spływając na pierś. Zbyt wiele i nazbyt szybkie.

„Nie wykorzystujesz nawet w dziesiątej części tego, co już potrafisz”.

Tak powiedziała mu Lanfear. Zaśmiał się, nie ustając w tańcu form. Nauczył się więc czegoś od jednej z Przeklętych. Nie miał nic przeciwko temu, nawet jeśli niekoniecznie takie były jej intencje. Tak, potrafił. Zaczepnął ze Źródła, splótł pasma Mocy i wysłał powietrzny wir do wnętrza każdej ze zjaw. Ekspłodowały naraz kłębam kurzu, od którego schwycił go kaszel. Jak daleko okiem sięgnąć, powietrze przesycił kurz.

Kaszłąc i ciężko dysząc, Mat stał wsparty na swej czarnej włóczni.

— Czy to twoje dzieło? — wyskrzecztał, ocierając krew zalewającą mu oczy. — Rychło w czas. Jeżeli wiedziałeś, jak to zrobić, dlaczego, do cholery, nie zrobiłeś tego od razu?

Rand roześmiał się ponownie. . .

„Ponieważ o tym nie pomyślałem. Ponieważ nie wiedziałem jak, dopóki tego nie zrobiłem”.

. . . ale śmiech zamarł mu w gardle. Pył powoli osiadał na ziemi, ale w momencie gdy dotykał bruku, zaczynał się znowu marszczyć i poruszać.

— Uciekamy — powiedział. — Musimy się stąd wydostać. Uciekajmy!

Ramię w ramię wbiegli w mgłę, po drodze uderzając we wszystkie bruzdy pyłu, które osiągały niebezpieczną grubość, kopali je, uderzali, byle tylko powstrzymać fuzję. Rand na wszystkie strony rozsyłał powietrzne wiry. Rozproszony kurz jednakże natychmiast zaczynał znowu gromadzić się, teraz już szybciej, jeszcze zanim opadł na ziemię. Nie przerywali biegu, pokonali mgłę, wypadli na przestrzeń zalaną mglistym światłem rzucającym ostre cienie.

Z obolałym boki Rand odwrócił się, gotów cisnąć błyskawicą, ogniem, czymkolwiek. Z mgły jednak nic nie wyszło za nimi. Być może stanowiła ona nieprzekraczalny mur dla tych ciemnych postaci. Może należały do niej, jak do swego naturalnego środowiska. Może... Nie wiedział. I tak naprawdę wcale o to nie dbał, dopóki nie szły za nimi.

— Niech skonam — wymamrotał ochryple Mat — spędziliśmy w tym miejscu całą noc. Już prawie świta. Nie sądziłem, że trwało to tak długo.

Rand spojrział w niebo. Słońce nie zdążyło się wspiąć jeszcze ponad górskie szczyty; jasna, do bólu niemal, aureola kreśliła linię poszarpanych wierzchołków. Długie cienie kładły się na dnie doliny.

„Wyjdzie z Rhuidean o świcie i zwiąże was więzią, której nie będziecie w stanie rozerwać. Zabierze was z powrotem i zniszczy was”.

— Wracajmy w góry — powiedział cicho. — Będą na nas czekać.

„Na mnie”.

## W DROGACH

Ciemność zalegająca w Drogach dławiała światło latarni Perrina; wokół tyczki, na której ją powiesił, rozlewała się niewielka plama jasności o ostrych brzegach — pośrodku niej stali on i Gaul. Skrzypienie siodła, zgrzytliwy szczęk kopyt na kamieniu, zdawały się nie sięgać dalej w mrok niż słabe światło. W powietrzu nie było żadnych zapachów, kompletnie nic. Aiel bez trudu dotrzymywał kroku Stepperowi, nie spuszczać z oka niewyraźnie majaczącej poświaty latarni należącej do grupy Loiala. Perrin nawet w myślach nie potrafił nazywać jej grupą Faile. Nastrój panujący w Drogach zdawał się nie wywierać na Gaulu najmniejszego wrażenia, niezależnie od reputacji, jaką się cieszyły. Perrin jednak nie potrafił się powstrzymać od nerwowego nasłuchiwania, i dwa dni — lub to, co można by liczyć jako dni w tym pozbawionym światła miejscu — niczego nie zmieniły w jego zachowaniu. To jego uszy jako pierwsze zapewne pochwycą odgłos, który będzie zapowiedzią ich rychłej śmierci lub gorszego od niej losu — odgłos wiatru zrywającego się tam, gdzie żaden wiatr nie ma prawa wiać. I rzeczywiście, nie będzie to żaden wiatr, lecz *Machin Shin*, Czarny Wiatr, który pożera dusze. Nie potrafił pozbyć się myśli, że podróżowanie po Drogach było przejawem bezrozumnej kompletnie głupoty, ale kiedy nagle potrzebą, pojęcie głupoty również ulegało zmianie.

Słabe światło z przodu zatrzymało się, a on ściągnął wodze, przystając na środku czegoś, co wyglądało jak starożytny kamienny most, rozpościerający się łukiem nad całkowitą czernią, wrażenie starożytności potęgowały pęknięcia w balustradach mostu oraz dziury i płytkie wgłębienia o poszarpanych brzegach, którymi upstrzona była jego powierzchnia. Zapewne stał tutaj od jakichś trzech tysięcy lat, ale teraz wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał runąć. Być może nawet właśnie w tej chwili.

Juczne konie stłoczyły się za Stepperem; zwierzęta tręcały się pyskami i niespokojnie przewracały oczami, wpatrzone w otaczający mrok. Perrin rozumiał, jak się czują. Kilku dodatkowych towarzyszy do kompanii uczyniłoby ciężar bezkresnej nocy znacznie łatwiejszym do zniesienia. A jednak nie zbliżyły się nawet na stopę do światła latarni w przodzie, choćby przyszło mu wędrować samotnie. Nie miał zamiaru ryzykować ponownie powtórki tego, co zdarzyło się wcześniej,

zaraz na pierwszej Wyspie, tuż po przekroczeniu Bramy w Łzie. Z irytacją podrapał się po kędzierzawej brodzie. Nie miał pojęcia, czego się dokładnie spodziewał, ale przecież nie. . .

*Zawieszona na tyczce latarnia zachybotwała, kiedy zsiadł z siodła i poprowadził Steppera oraz juczne konie w kierunku Drogowskazu, wysokiej płyty z białego kamienia, pokrytej pochylą srebrną ornamentyką odległe przypominającą kształtami liście i winorośl, upstrzoną plamkami, jakby wylano na nią kwas. Rzecz jasna, nie potrafił tego odczytać — tym musiał zająć się Loial; napisy bowiem wykonano w języku ogirów — toteż po krótkiej chwili obszedł płytę i dokładniej zwiedził Wyspę. Była identyczna jak te, które widział wcześniej, z wysoką do piersi barierą z białego kamienia, o prostych balustradach ozdobionych skomplikowanym wzorem. Przed nim pojawiały się kolejne mosty, wyginając nad mrokiem, a rampy pozbawione balustrad biegły w górę lub w dół, jakby zawieszone zupełnie w pustce. Wszystko znaczyły pęknięcia, szczeliny o poszarpanych brzegach oraz płytkie wgłębienia, jakby wygnite w kamieniu. Kiedy konie szły, spod ich kopyt z cichym chrzęstem odpryskiwały odłamki złuszczonej się skaty. Gaul patrzył w mrok, na pozór zupełnie spokojny, ale przecież nie wiedział, co się w nim czai. Natomiast Perrin wiedział — aż za dobrze.*

*Kiedy Loial wraz z pozostałymi podjechał bliżej, Faile natychmiast zeskoczyła ze swej karej klaczy i nie spuszczać wzroku z jego twarzy, podeszła prosto do Perrina. Już żałował, że w jakiś sposób zdołał ją zmartwić, ale ona w najmniejszym stopniu nie wyglądała na zmartwioną. Nie potrafił nawet odczytać znaczenia wyrazu jej twarzy, widział jedynie zdecydowanie.*

*— Czy zdecydowałaś się porozmawiać ze mną wprost, zamiast mówić nad moją głę. . . ?*

*Cios, jaki wymierzyła mu pełnym zamachem ramienia, spowodował, że barwne plamy zatańczyły przed jego oczyma.*

*— Czego chciałaś dokazać? — praktycznie rzecz biorąc, wypluta te słowa. — Co chciałaś udowodnić, wdzierając się tutaj niczym dzika świnia? Z nikim się nie liczysz. Z nikim!*

*Powoli wciągnął głęboki oddech.*

*— Prosiłem cię wcześniej, abyś tego nie robiła.*

*Jej ciemne oczy o nakrapianych tęczęwkach rozszerzyły się, jakby to, co powiedział, dopiero wprawiło ją w furję. Drugi cios był silniejszy od pierwszego, omal nie wystawiając mu szczęki. Aielowie patrzyli z zainteresowaniem, uszy Loiala zaś opadły.*

*— Powiedziałem ci, byś tego nie robiła więcej — warknął.*

*Jej pięści nie były zbyt wielkie, ale nagły cios pod żebra niemalże pozbawił go tchu i odrzucił na bok, a już unosiła dłoń po raz kolejny. Warknął, chwycił ją za kark i. . .*

*Cóż, to była jej wina. Była. Prosił ją, żeby go nie biła, ostrzegął. Tylko i wy-*

łącznie jej wina. Był jednakowoż zaskoczony, że nawet nie spróbowała wyciągnąć jednego ze swych noży; nosiła ich przy sobie bodajże tyle samo co Mat.

Rzecz jasna, była wściekła. Wściekła na Loiala, który próbował interweniować. Sama potrafi o siebie zadbać, wielkie dzięki. Wściekła na Bain i Chiad, że nie próbowały się wtrącić; zapomniała języka w gębie, kiedy wyjaśniły jej, że nie sądziły, iż miałyby ochotę, by wtrącały się do bójki, którą sama wywołała.

„Kiedy decydujesz się walczyć — powiedziała Bain — musisz zgodzić się na wszelkie konsekwencje”.

Ale już dłużej nie gniewała się na niego, nawet odrobinę. To napawało go niepokojem. Tylko patrzyła na niego, jej ciemne oczy lśniły od nieotartych łez, co napełniało go z kolei poczuciem winy, a to następnie wywoływało w nim gniew. Dlaczego miałby się czuć winny? Czy miał spokojnie stać bez ruchu i czekać, aż skończy go bić? Dosiadła Jaskółki i została w siodle, sztywna, niezręczna i patrzyła nań z wyrazem twarzy, którego nie potrafił odczytać. To już zdenerwowało go naprawdę. Omal nie zaczął żałować, że wówczas nie wyciągnęła noża. Omal.

— Ruszyli dalej — powiedział Gaul.

Perrin wrócił do rzeczywistości. Latarnia tamtych poruszała się. A teraz znowu zatrzymała. Jedno z nich zauważyło, że nie jadą za nimi. Przypuszczałnie Loial. Faile mogła nie dbać, czy się zgubią, a dwie kobiety Aielów dwukrotnie już próbowały go namówić na samotny spacer w ich towarzystwie. Nie potrzebował lekkiego, przeczącego znaku głową Gaula, by odmówić. Obcasami pognął Steppera naprzód, juczny koń poszedł za nim.

Ten Drogowskaz był znacznie bardziej zniszczony niż wszystkie, jakie dotąd widział, ale przejechał obok, rzucając nań tylko przelotne spojrzenie. Światła latarni tamtych schodziły już w dół po jednej z łagodnie nachylonych ramp; z westchnieniem pojechał w ślad za nimi. Nienawidził ramp. Otoczone jedynie ciemnością, zaczynały skręcać, w dół i dookoła, a cały świat rozpływał się w otaczającym mroku, zostawało jedynie zdławione światło lampy kołyszącej się nad głową. Coś mówiło mu, że upadek przez krawędź oznaczałby spadanie bez kresu. Stepper i koń juczny bez najmniejszego ponaglania trzymały się środka rampy i nawet Gaul unikał bliskości krawędzi. Co gorsza, kiedy rampa kończyła się na kolejnej Wyspie, nie było sposobu, żeby nie wyciągnąć oczywistego wniosku — że ta musiała znajdować się dokładnie pod tamtą, którą dopiero co opuścili. Poczul odrobinę ulgi, gdy zobaczył, że Gaul również spogląda w górę, że nie tylko on zastanawia się, co utrzymuje Wyspy w powietrzu oraz czy ta niewidzialna konstrukcja jest aby jeszcze dostatecznie wytrzymała.

Po raz kolejny latarnie Loiala i Faile zatrzymały się przy Drogowskazu i ponownie ściągnął wodze, tuż przy zejściu z rampy. Tym razem jednak tamci nie ruszyli dalej. Po kilku chwilach głos Faile zawołał:

— Perrin!

Wymienił spojrzenia z Gaulem, ale Aiel tylko wzruszył ramionami. Faile nie

odzywała się do Perrina od czasu jak. . .

— Perrin, chodź tutaj. — Głos nie rozkazywał w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale również trudno byłoby go określić jako prośbę.

Bain i Chiad przycupnęły, oparte swobodnie o płytę Drogowskazu, Faile zaś z Loialem siedzieli na koniach niedaleko od nich, trzymając w dłoniach tyczki latarni. Ogir prowadził ich juczne zwierzęta; strzygł pędzelkami uszu, przenosząc spojrzenie z Perrina na Faile i z powrotem. Ona natomiast zdawała się całkowicie zaabsorbowana poprawianiem podróżnych rękawiczek, zrobionych z jakiegoś rodzaju zielonej skóry, z grzbietami wyhaftowanymi w złote sokoły. Zdażyła również zmienić sukienkę. Nowa była skrojona wedle tego samego fasonu, z wysokim karczkiem i wąskimi, rozciętymi spódnicami, ale uszyto ją z zielonego, brokatowego jedwabiu, i w jakiś sposób zdawała się uwydatniać jej łono. Perrin nigdy dotąd nie widział tej sukni.

— Czego chcesz? — zapytał ostrożnie.

Uniosła oczy, jakby zaskoczona jego widokiem, z namysłem przekrzywiła głowę, potem zaś uśmiechnęła się tak, jakby wszystko to robiła nieświadomie.

— Och, chciałam się przekonać, czy nauczyłeś się przychodzić, gdy cię wołała.

Jej uśmiech pogłębił się, a to dlatego, że usłyszała, jak zgrzyta zębami. Potarł nos; powietrze tutaj zachowało lekką skazę jakiegoś paskudnego zapachu.

Gaul zachichotał cicho.

— Równie dobrze mógłbyś próbować zrozumieć słońce, Perrin. Po prostu jest, i nic w nim do rozumienia. Nie potrafisz żyć bez niego, ale ono zawsze wyrówna z tobą rachunki. Podobnie jest z kobietami.

Bain pochyliła się, aby wyszeptać coś do ucha Chain, i obie wybuchnęły śmiechem. Ze sposobu, w jaki spoglądały na niego i Gaula, Perrin osądził, że raczej wolałyby nie wiedzieć, co je tak rozśmieszyło.

— To zupełnie nie tak — zagrzmiał Loial, jego uszy poruszyły się niespokojnie. Rzucił Faile oskarżycielskie spojrzenie, które jednak w najmniejszym stopniu nie zbiło jej z tropu. Uśmiechnęła się doń szeroko i wróciła do swoich rękawiczek, ponownie naciągając je na każdy palec.

— Przykro mi, Perrin. Nalegała na to, żeby to właśnie ona ciebie zawołała. To dlatego. Dojechaliśmy. — Wskazał na podstawę Drogowskazu, gdzie upstrzona wyżłobieniami szeroka biała linia biegła, kierując się nie ku mostowi czy kolejnej rampie, lecz w ciemność.

— Brama w Manetheren, Perrin.

Perrin pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Nie chciał zasugerować, by jechali po tej linii, by Faile nie mogła tego po raz kolejny wykorzystać dla uzyskania przewagi. Machinalnie znowu potarł nos; ten niemalże niewyczuwalny, daleki zapach paskudztwa był denerwujący. Nie zamierzał już więcej się odzywać, nawet po to, by sformułować najbardziej choćby rozsądną propozycję. Jeżeli chciała je-

chać na czele, pozwoli jej na to. Siedziała tylko w siodle, zabawiła się bezmyślnie rękawiczkami, najwyraźniej czekając, aż on pierwszy coś powie, aby mogła mu jakoś błyskotliwie dociać. Lubiła być błyskotliwa, on, przeciwnie, zazwyczaj mówił, co myśli. Zdenerwował się wreszcie, zawrócił Steppera, zamierzając jechać choćby i bez niej czy Loiala. Linia prowadziła do Bramy, sam był w stanie znaleźć otwierający ją liść *Avendesory*.

Nagle posłyszał odległy, stłumiony odgłos kopyt w ciemnościach, a wrażenie wstrętnego zapachu odnalazło drogę do jego pamięci.

— Trolloki! — wrzasnął.

Gaul odwrócił się lekko, wbijając włócznię w osłoniętą czarną kolczugą pierś wilczopyskiego trolloka, który skoczył na niego z ciemności, wznosząc miecz o klindze przypominającej ostrze kosy. Chwilę później Aiel uwolnił włócznię i dał niewielki krok na bok pozwalając, by wielka postać swobodnie runęła na ziemię. Za nią jednak pojawiły się kolejne, krąg światła ujawnił koźle pyski, kły dzików, okrutne dzioby i poskręcane rogi, w dłoniach stworów zalśniły wygięte miecze, ostrza i kolce toporów, hakowate włócznie. Konie zaczęły wierzgać i rzeć.

Trzymając wysoko tyczkę z latarnią — na myśl o konieczności walki w ciemnościach, zimny pot wystąpił mu na czoło — Perrin sięgnął po broń i ciał w oblicze zniekształcone ostrożnym pyskiem. Zdumiony zdał sobie sprawę, że trzyma w dłoni młot, który choć nie wyposażony w ostrze jak topór, to ze swą wagą dziesięciu funtów był równie groźną bronią; uderzenie potężnego obucha, wzmocnione siłą kowalskiego ramienia, odrzuciło trolloka do tyłu — zatoczył się, wrzeszcząc i ściskając pazurami zmiażdżoną twarz.

Loial uderzył tyczką latarni w łeb o koźlich rogach i jego latarnia pękła; zalany płonąca oliwą, trollok pomknął z wyciem w ciemność. Ogir sięgnął za nim tyczką, jego wielkie dłonie wykonały szybki, nieznaczny zamach, kiedy jednak cios doszedł celu, rozległo się ostre chrupnięcie pękających kości. Jeden z noży Faile rozkwitł krwią w aż nazbyt ludzkim oku ponad pyskiem, z którego sterczały kły odyńca. Aielowie przedstawiali w tańcu włócznie, w jakiś sposób znaleźli czas, by naciągnąć zasłony na twarze. Perrin uderzał, uderzał, uderzał. Wir śmierci, który trwał... Minutę? Pięć? Zdawało się, że minęła godzina. Nagle jednak okazało się, że wszystkie trolloki leżą na ziemi, martwe lub wierzgające w przedśmiertnej agonii.

Perrin łapał powietrze urywanym oddechem; prawe ramię zdrętwiało tak, iż wydawało mu się, że ciężar młota może je oderwać. Twarz go paliła, czuł wilgoć spływającą po boku, po nodze, gdzie stał trolloka dosięgnęła ciała. Ubiór każdego z Aielów znaczyła przynajmniej jedna ciemniejsza plama na brązowszarej materii, a po udzie Loiala również spływała krwawa strużka. Oczy Perrina przemknęły po całej gromadzie, szukając Faile. Jeżeli coś jej się stało... Siedziała na grzbiecie swej karej klaczy, z nożem w dłoni przygotowanym do rzutu. Udało jej się nawet ściągnąć rękawiczki i schludnie zatknąć za pasek. Nie widział, żeby odnio-



sła jakąś ranę. W mieszających się zapachach krwi — ludzkiej, ogira, trolloków — nie potrafiłby rozpoznać, że krwawi, ale znał jej normalny zapach i nie wy-czuwał w nim bolesnej woni rany. Jaskrawe światło poraziło wzrok trolloków, ich oczy nie przystosowały się doń dość szybko. Całkiem niewykłuczone, iż to gwał-towne wtargnięcie w oświetlony obszar stanowiło jedną z głównych przyczyn, dla których jeszcze wszyscy żyli, natomiast martwe ciała tamtych leżały u ich stóp.

To było wszystko, co zostało im ofiarowane, chwila spokoju, moment na zła-panie oddechu, wystarczająco długi, by rozejrzeć się dookoła. Z rykiem przypo-minającym grzechot setek funtów kości w wielkiej maszynie do mielenia mięsa, w krąg światła wskoczył Pomor, w jego bezokim spojrzeniu była śmierć, czarny miecz zamigotał niczym błyskawica. Konie zakwiczały, rwąc się do ucieczki.

Gaulowi ledwie udało się odeprzeć cios miecza swoją małą tarczą, ostrze od-cięło jej fragment, jakby warstwy sprasowanej byczej skóry nie były niczym moc-niejszym niż papier. Aiel zachwiał się, uchylił przed następnym ciosem — ledwie i zachwiał ponownie. Dwie strzały utkwily w piersi Myrddraala. Bain i Chiad za-tknęły swoje włócznie za uprząż, mocującą futerał łuku na plecach, i teraz strze-lały ze swych wygiętych rogowych łuków. Kolejne strzały wbiły się w pierś Pół-człowieka. Gaul zadawał ciosy i kłuł włócznią. Jeden z noży Faile wbił się nagle w tę gładką, białą jak u robaka twarz. Pomor jednak nie upadł, jakby nic nie mogło mu przeszkodzić w realizacji opętańczego zamiaru pozabijania ich wszystkich. Tylko najbardziej szaleńcze uniki Gaula ratowały go przed śmiercią.

Zęby Perrina obnażył nieświadomy grymas. Nienawidził trolloków jako wro-ga swej rasy, ale Niezrodzony...? Warto było umrzeć, by tylko zabić Niezrodzo-nego.

„Zatopić swoje zęby w jego gardle...!”

Nie dbając o to, że może stanąć na drodze strzał Bain i Chiad, podprowadził Steppera bliżej do grzbietu Niezrodzonego, przemocą niemalże popychając kasz-tana naprzód, i kolanami, i wędzidłem. W ostatniej chwili stwór odwrócił się od Gaula, najwyraźniej zupełnie nie dbając o ostrze włóczni, sterczące mu z pleców, i spojrzał na Perrina tym bezokim spojrzeniem, które napełniało strachem każde ludzkie serce. Za późno. Młot Perrina opadł, roztrzaskując tę głowę razem z jej spojrzeniem.

Nawet powalony i w istocie pozbawiony głowy, Myrddraal wciąż szarpał się, rozdając na ślepo ciosy wykutym w Trakandarze ostrzem. Stepper odsunął się na bok, nerwowo rzucając łbem, i nagle Perrin poczuł, jakby wylano na niego ku-beł zimnej wody. Czarna stal zadawała rany, które nawet Aes Sedai przysparzały trudności w leczeniu, a on ruszył do ataku, nawet nie myśląc o obronie.

„Moje zęby w jego... Światłości, muszę bardziej się pilnować. Muszę coś z tym zrobić!”

W ciemnościach skrywających odległy kraniec Wyspy słyszał tupot kopyt, szuranie butów, ciężkie oddechy i gardłowe pomruki. Kolejne trolloki, jak wiele

nie potrafił stwierdzić. Szkoda, że nie były połączone z tym Myrddraalem, choć mogą się wzbraniać przed atakiem, kiedy nie będzie nimi miał kto pokierować. Trolloki zazwyczaj bywały tchórzliwe, wołały nierówny stosunek sił i łatwe zabicie. Lecz nawet bez Myrddraala mogą na koniec zdecydować się na atak.

— Brama — powiedział. — Musimy do niej dotrzeć, zanim one postanowią, co z nami zrobić.

Użył zakrwawionego młota, by gestem nakazać jazdę wciąż wahającej się Faile. Tamta natychmiast ściągnęła wodze Jaskółki, a on był tak zaskoczony, że wybuchnął:

— Nie masz zamiaru się kłócić?

— Nie wówczas, gdy mówisz do rzeczy — odrzekła szybko. — Nie wówczas, gdy mówisz do rzeczy. Loial?

Ogir pojechał z przodu na swym wysokim rumaku o pęcinach obrośniętych włosom. Perrin pojechał za nim i za Faile, nie wypuszczając młota z dłoni, Aielowie szli obok niego z łukami gotowymi do strzału. Stukot kopyt i szuranie butów szło za nimi w ciemności, towarzyszyły im ochryple pomruki w języku nazbyt wstrętnym dla ludzkiego gardła. Coraz dalej i dalej, a mamrotania przybliżały się, w miarę jak trolloki zbierały odwagę.

Czułe uszy Perrina pochwyciły kolejny dźwięk niczym ocieranie jedwabiu o jedwab. Strach przeszył go do szpiku kości. Coraz głośniejszy, jakby daleki oddech olbrzyma, wznoszący się, opadający i wznoszący ponownie, za każdym razem odrobinę wyżej.

— Szybko! — krzyknął. — Szybko!

— Spieszę się — warknął Loial. — Ja... Ten dźwięk! Czy to...? Światłości, oświeć nasze dusze i niech chroni nas dłoń Stwórcy! Otwiera się! Otwiera się! Muszę być ostatni. Wychodzić! Wychodzić! Ale niezbyt... Nie, Faile!

Perrin zaryzykował spojrzenie przez jego ramię. Bliźniacze odrzwia wyrzeźbione w liście, które wyglądały jak żywe, rozsunęły się, otwierając widok na dolinę, widzianą jakby przez przydymione szkło. Loial zsiadł z konia, aby usunąć liść *Avendesory* i zamknąć bramę, a Faile chwyciła wodze jego wielkiego rumaka oraz jucznych koni. Z nagłym okrzykiem:

— Za mną! Szybko! — Wbiła pięty w boki Jaskółki i taireńska klacz ruszyła w kierunku polany.

— Za nią — nakazał Aielom Perrin. — Szybko! Z tym nie da się walczyć.

Byli na tyle mądrzy, że zawahali się tylko na mgnienie oka, Gaul wkrótce biegł już przy jednym z jucznych koni, Stepper zrównał się z Loialem.

— Czy możesz w jakiś sposób zamknąć ją na dobre? Zablokować?

W ochrypanych pomrukach pojawiła się nuta szaleństwa, trolloki również rozpoznały ten dźwięk. Nadchodził *Machin Shin*. Wszystko, co żywe, musiało uciekać z Dróg.

— Tak — potwierdził Loial. — Tak. Ale jedź. Jedź! Perrin szybko zawrócił Steppera w kierunku Bramy, zanim zdążył się zorientować, co robi, odrzucił głowę do tyłu i zawył, wkładając w swój głos pogardę i wyzwanie.

„Głupi! Głupi! Głupi!”

Z oczyma wbitymi w tę studnię mroku wycofał Steppera spod Bramy. Lodołaty dreszcz pełzył po jego skórze, a czas zdawał się rozciągać. Nagle wstrząsnęła nim radość z opuszczenia Dróg.

Aielowie wciąż odwracali głowy, patrząc na Bramę. Rozproszyli się po stoku wśród niskich krzaków i karłowatych górskich sosen oraz jodeł o poskręcanych przez wiatr gałęziach. Nałożyli strzały na cięciwy. Faile właśnie dochodziła do siebie, w miejscu gdzie zsunęła się z siodła Jaskółki, kara klacz trącała ją nozdrzami. Galop z Dróg był równie nieprzyjemny jak wjazd do środka; szczęściem udało jej się nie skreślić karku, sobie albo swemu wierzchowcowi. Wysoki koń Loiala oraz juczne zwierzęta drżały, jakby po ciosie między oczy. Perrin otworzył usta, a ona wbiła weń spojrzenie płonących oczu, jakby prowokowała go do jakiegokolwiek komentarza, być może w końcu jakiegoś sympatycznego. Skrzywił się gniewnie i rozsądnie postanowił milczeć.

Nagle Loial wypadł pędem z Bramy, wyskoczył z mętnego srebrnego lustra, które odbiło jego obraz, w momencie gdy toczył się po trawie. Po piętach niemalże dreptały mu dwa trolloki, baranie rogi i pysk, dziób orła i pierzasty czub, ale zanim zdążyły się choćby w połowie wydostać na zewnątrz, lśniąca powierzchnia przybrała matowoczną barwę, bulgocząc i pieniając się przylgnęła do ich ciał.

W głowie Perrina rozszeptwały się głosy, tysiące bełkoczących, szalonych głosów wgrzyzało się w jego mózg.

„Gorzka krew. Pić krew i kruszyć kości. Wysysać szpik. Gorzki szpik, słodkie krzyki. Śpiewne krzyki. Śpiewać krzyki. Małe dusze. Gryzące dusze. Zeżreć je. Cóż za słodki ból”.

Skrzecząc i wyjąc trolloki walczyły z kipiącą wokół nich ciemnością, pazurami starając się ją rozerwać, gdy wciągała ich do środka, coraz głębiej i głębiej, aż została tylko jedna owłosiona łapa, szaleńczo kurcząca palce, a potem już wyłącznie ciemność, wylewająca się na zewnątrz, szukająca. Powoli zamykały się odrzwia Bramy, zsuwały razem, ściskając ciemność, tak że przeciekała już tylko między nimi. Głosy w głowie Perrina ucichły wreszcie. Loial pobiegł szybko naprzód, aby umieścić nie jeden, lecz dwa potrójne liście między milionem innych liści oraz pnączy. Brama na powrót zmieniła się w kamień, fragment skalnej ściany, wyrzeźbionej w skomplikowany wzór, samotnej na rzadko zalesionym zboczu. Pomiędzy milionem pnączy i liści był nie jeden, lecz dwa liście *Avedesory*. Loial przeniósł również wewnętrzny liść na zewnątrz.

Z piersi ogira wyrwało się głębokie, pełne ulgi westchnienie.

— To jest wszystko, co mogłem zrobić. Teraz da się ją otworzyć tylko z tej strony. — Obdarzył Perrina spojrzeniem jednocześnie nieustępliwym i pełnym

niepokoję. — Mógłbym zamknąć ją na zawsze, usuwając liść, ale to by zniszczyło Bramę, Perrin. My stworzyliśmy Drogi i opiekowaliśmy się nimi. Być może któregoś dnia da się je oczyścić. Nie potrafię zniszczyć Bramy.

— To wystarczy — zapewnił go Perrin. Czy trolloki zmierzały właśnie do tej Bramy, czy też było to tylko przypadkowe spotkanie? W każdym razie powinno wystarczyć.

— Co to...? — zaczęła niepewnie Faile. Nawet Aielowie wyglądali na lekko wstrząśniętych.

— *Machin Shin* — odrzekł Loial. — Czarny Wiatr. Twór Cienia albo coś, co wylęzło się w Drogach z ich własnej skazy... tego nie wie nikt. Żal mi trolloków. Nawet ich.

Perrin nie potrafił zdecydować, czy podziela jego uczucia, nawet w obliczu takiej śmierci. Widział, co zostawało po ludziach, którzy wpadali w ręce trolloków. Trolloki jadły wszystko, a czasami lubiły oprawiać mięso, które jeszcze żyło. Nie można sobie pozwalać na litość względem nich.

Kopyta Steppera zazgrzytały na kamiennych odłamkach, kiedy Perrin zawrócił go i pojechał sprawdzić, gdzie się znajdują.

Dookoła wznosiły się skryte w chmurach szczyty, od tych chmur brały właśnie swoją nazwę — Góry Mgły. Na tej wysokości powietrze było chłodne, nawet latem, a szczególnie w porównaniu z Łżą. Wieczne słońce zachodziło za zachodnie szczyty, lśniąc w wodzie strumieni, które spływały, wpadając do rzeki płynącej dnem długiej doliny. Nazywano ją kiedyś *Manetherendrelle*, ale Perrin od dzieciństwa przyzwyczał się nazywać Białą Rzeką tę jej część, która płynęła wzdłuż południowej granicy Dwu Rzek, poprzecinana ciągiem katarakt, zmieniających jej nurt w pienisty wodny pył. *Manetherendrelle*. Wody Górskiego Domu.

Odsłonięta skała, czy to na dnie położonej niżej doliny, czy na otaczających ją zboczach, lśniła niczym szkło. Kiedyś stało tutaj miasto, obejmujące swym terenem dolinę i góry. *Manetheren*, miasto wzbijających się ku niebu iglic i plu-skających fontann, stolica wielkiego narodu noszącego to samo miano, zapewne najpiękniejsze miasto na świecie, przynajmniej wedle dawnych opowieści ogirów. Zniknęło bez śladu, wyjąwszy niemożliwą do zniszczenia Bramę, która stała w gaju ogirów. Spalone do gołej skały ponad dwa tysiące lat temu, podczas gdy wciąż szalały Wojny z trollokami, zniszczone przez Jedyną Moc po śmierci swego ostatniego króla, *Aemona al Caar al Thorin*, który padł podczas krwawej bitwy z Cieniem. Miejsce, na którym stoczono bitwę, ludzie nazwali *Polem Aemona* i pobudowali na nim wioskę zwaną *Polem Emonda*.

Perrin zadrżał. To było tak dawno. Od tego czasu trolloki pojawiły się tutaj raz jeden, ponad rok temu, na *Zimową Noc*, poprzedzającą dzień, w którym on, *Rand* i *Mat* zostali zmuszeni do ucieczki w towarzystwie *Moiraine*. Czas ten wydawał się dzisiaj już tak odległy. Skoro Brama została zablokowana, tamte wydarzenia z pewnością nie mogą się powtórzyć.

„Teraz chodzi o Białe Płascze. Nimi muszę się przejmować, a nie trollkami”.

Para białoskrzydłych jastrzębi krążyła nad odległym krańcem doliny. Nagle Perrin dojrzał niewyraźną smugę wznoszącej się strzały. Jeden z jastrzębi stulił skrzydła i runął na ziemię. Zdumiewszy się Perrin zmarszczył brwi. Dlaczego ktoś miałby polować na jastrzębie tak wysoko w górach? W okolicach, gdzie były farmy, miałyby to sens ze względu na kurczęta i gęsi, ale tutaj? Z jakiego powodu ktokolwiek miałby tutaj w ogóle przebywać? Ludzie z Dwu Rzek unikali gór.

Drugi jastrząb złożył skrzydła i zanurkował w kierunku miejsca, gdzie upadł jego towarzysz, ale nagle rozpaczliwie pomknął w górę. Z gałęzi drzew uniosła się czarna chmura kruków; otoczyły go dzikim trzepotem, a kiedy z powrotem usiadły na gałęziach, po jastrzębiu nie zostało ani śladu.

Perrin wypuścił długo wstrzymywany oddech. Widział już, jak kruki lub inne ptaki atakowały jastrzębia, który znalazł się zbyt blisko ich gniazd, ale tym razem nie potrafił uwierzyć, by cała sprawa była równie prosta. Ptaki wyleciały z tego samego miejsca, z którego wystrzelono strzałę. Kruki. Czasami Cień używał zwierząt jako szpiegów. Zazwyczaj były to szczury i inni padlinożercy. Przede wszystkim jednak kruki. Pamiętał żywo swoją ucieczkę przed oskrzydłującym go stadem kruków, ścigających go w taki sposób, jakby kierowały się rozumem.

— W co się tak wpatrujesz? — zapytała Faile, osłaniając oczy, by wyraźnie widzieć dno doliny. — Czy to są ptaki?

— Tylko ptaki — odrzekł.

„Być może tak też i było. Nie chcę nikogo straszyć, zanim sam nie zdobęde pewności. I nie w tej chwili, kiedy jeszcze trzęsą się na wspomnienie *Machin Shin*”.

Zdał sobie sprawę, że w dłoni wciąż ścisną okrwawiony młot, lepki od czarnej posoki Myrddraala. Palce wymacały zasychającą na policzku wilgoć, zlepiającą włosy brody. Kiedy schodzili w dół po zboczach, zaczął mu dokuczać bok, rana w nodze paliła. W jukach znalazł świeżą koszulę i oczyścił obuch młota. Za parę chwil dowie się, czy naprawdę jest się czego obawiać w tych górach. Jeżeli są tu jeszcze jacyś ludzie, wilki będą o nich wiedziały.

Faile zaczęła rozpinać jego kaftan.

— Co robisz? — Wystraszył się.

— Mam zamiar opatrzeć twoje rany — odwarknęła. — Nie chcę dopuścić, abyś wykrwawił się na śmierć. To właśnie byłoby w twoim stylu: umrzeć i zostać na moich barkach obowiązkiem pogrzebania cię. Nie ruszaj się.

— Dziękuję ci — powiedział cicho, a ona spojrzała na niego zaskoczona.

Kazała mu zdjąć wszystko prócz bielizny, by móc przemyć rany i posmarować maścią. Oczywiście nie mógł dostrzec cięcia na policzku, ale czuł, że nie może być poważne. Natomiast cięcie przez lewy bok miało ponad dłoń długości, przeszło dokładnie po żebrze, a rana od włóczni w prawym udzie również by-

ła głęboka. Faile musiała ją zaszyć — igłą i nitką z podręcznych przyborów do szycia. Wytrzymał to ze stoickim spokojem; ona zaś mrugała przy każdym nakłuciu. Przez cały czas, gdy szyła, mruczała coś niewyraźnie pod nosem, szczególnie wówczas, kiedy smarowała ciemną, szczypiącą mazią jego policzek; wyglądała wtedy, jakby to były jej rany, z jego winy, jednak dłonie owijające bandaż wokół żeber i uda okazały się niezwykle delikatne. Owe dotknięcia i wściekle pomruki stanowiły zaskakujący kontrast. Wprawilo to Perrina w kompletne pomieszenie.

Kiedy wyciągał czystą koszulę i zapasowe spodnie z juków, zobaczył, jak Faile przekłada palec przez rozcięcie w kaftanie. Dwa cale w prawo i już nigdy by nie opuścił tamtej Wyspy. Naciągając buty, sięgnął po kaftan — rzuciła mu go.

— Nie powinienes się spodziewać, że zeszyję go dla ciebie. Mam zamiar porzucić na tym, co już zeszyłam! Słyszysz mnie, Perrinie Aybara?

— Nie prosiłem. . .

— Nawet nie powinienes o tym myśleć! To wszystko!

Odeszła szybkim krokiem, by pomóc Aielom, którzy opatrywali się wzajem oraz Loialowi. Stanowili dziwną gromadkę, ogir z opadniętymi krzaczastymi brwiami, Gaul i Chiad patrzący na siebie niczym dwa rozwścieczone koty oraz Faile smarująca maścią i owijająca bandażami, przez cały czas rzucając na niego oskarżycielskie spojrzenia. Co on miał teraz z tym wszystkim zrobić?

Perrin potrząsnął głową. Gaul miał rację, równie dobrze można by się starać zrozumieć słońce.

Mimo iż wiedział, co powinien teraz zrobić, wciąż się wahał, pomny tego, co przytrafiło mu się w Drogach podczas walki z Pomorem. Kiedyś już widział mężczyznę, który zapomniał o swoim człowieczeństwie. To samo mogło przydarzyć się również jemu.

„Głupiec. Musisz przeżyć jedynie kilka kolejnych dni. Tylko do czasu, aż nie znajdziesz Białych Płaszczy”.

A poza tym musiał wiedzieć. Te kruki.

Wysłał swoje myśli na wędrówkę po dolinie, w poszukiwaniu wilków. Tam gdzie nie było ludzi, zawsze przebywały wilki, a gdyby na dodatek znalazły się blisko, mógłby z nimi porozmawiać. Wilki unikały ludzi, nie zwracając na nich uwagi, na tyle, na ile oczywiście było to możliwe, ale nienawidziły trolloków za to, że nie były tworamami natury, Myrdraalami zaś gardziły, obdarzając ich nienawiścią zbyt wszechpotężną, by dawała się opanować. Jeżeli w Górach Mgły był jakiś Pomiot Cienia, wilki powiedzą mu o tym.

Jego myśli nie natrafiły na najmniejszy ślad wilków. Nic. Powinny tu być, na takim pustkowiu. Mógł dostrzec jelenia pasącego się na dnie doliny. Być może żadne wilki nie znajdowały się dostatecznie blisko. Mogły się ze sobą porozumiewać na określonej odległości, ale nawet mila stanowiła dystans przekraczający możliwość nawiązania kontaktu. Może w górach był on jeszcze mniejszy. Mogło tak być.

Jego wzrok prześlizgnął się po spowitych chmurami szczytach i spoczął na miejscu w odległym krańcu doliny, skąd wyleciały kruki. Być może jutro uda mu się znaleźć wilki. Nie chciał nawet rozważać innych możliwości.

## WIEŻA GHENJEI

Ponieważ noc była już bliska, nie mieli innego wyjścia, jak rozbić obóz na górze, w pobliżu Bramy. Dwa obozy. Faile nalegała na to.

— Czas z tym skończyć — poinformował ją Loial pełnym niesmaku basem. — Wyjechaliśmy z Dróg, a ja dotrzymałem mojej przysięgi. Koniec z tym.

Faile przybrała jedną ze swych póż, znamionujących skończony upór, z brodą uniesioną do góry i pięściami wspartymi na biodrach.

— Zostaw to, Loial — powiedział Perrin. — Będę obozował jakiś kawałek dalej.

Loial spojrzął na Faile, która odwróciła się do dwóch kobiet Aiel, gdy tylko usłyszała, że Perin się zgadza, potem potrząsała swoją wielką głową i wykonał taki ruch, jakby chciał się przyłączyć do Perrina i Gaula. Perin zatrzymał go delikatnym gestem, tak nieznacznym, że miał nadzieję, iż żadna z kobiet go nie zauważyła.

Obóz rozbił naprawdę niedaleko, w odległości nie większej niż dwadzieścia kroków. Brama mogła być zamknięta, ale wciąż były kruki i w powietrzu wisiało coś, co mogły zapowiadać. Chciał być blisko w razie potrzeby. Jeżeli Faile się to nie spodoba, to trudno. W takim stopniu przyzwyczał się do ignorowania jej protestów, że drażniło go, gdy nic nie mówiła.

Nie zwracając uwagi na rwanie w boku i udzie, rozsiodła Stepera i uwolnił od ciężarów juczne konie, pętając je i sypiąc do worków po kilka garści jęczmienia i owsa. Z pewnością tak wysoko nie było dla nich zbyt wiele paszy. Co zaś się tyczy tego, co tu było... Nasadził cięciwę na swój łuk i położył go wraz z kołczanem blisko ognia, a topór wyciągnął z pętli przy pasie.

Gaul dołączył do niego, gdy rozpałał ogień, a potem w całkowitym milczeniu zjedli posiłek złożony z chleba, sera i suszonego mięsa, który popili czystą wodą. Słońce zaszło za góry, kreśląc sylwetki szczytów i barwiąc czerwienią chmury. Cienie skryły dolinę, powietrze powoli zaczął przesycać chłód.

Otrzeawszy okruchy z dłoni, Perrin poszedł wyciągnąć z juków swój gruby płaszcz z zielonej wełny. Być może, bardziej niż mu się wydawało, przywykł do upału panującego w Łzie. Przy kobiecym ognisku, spowitym w cieniu, rzecz jasna nie panowało milczenie; słyszał, jak się śmieją oraz strzepy tego; o czym



mówiły, a które spowodowały, że zaczerwienił się po same uszy. Kobiety mogły rozmawiać o wszystkim, nie miały w ogóle żadnych oporów. Loial odsunął się od nich na tyle, na ile mógł, chociaż wciąż siedział w świetle i starał się zagłębić w lekturze. Przypuszczalnie nawet sobie nie zdawały sprawy, że wprawiają go w zakłopotanie; może wydawało im się, iż mówią na tyle cicho, że ogir nie słyszał.

Mrucząc coś do siebie, Perrin wrócił do ogniska i usiadł naprzeciw Gaula. Aiel zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na panujący chłód.

— Czy znasz jakieś wesołe historie?

— Wesołe historie? Nie potrafię od ręki żadnej sobie przypomnieć. — Oczy Gaula pobiegły w stronę drugiego ogniska i roztaczającego się wokół niego śmiechu. — Opowiedziałbym coś, gdybym potrafił. Pamiętasz słońce?

Perrin zaśmiał się głośno, tak by tamte również go słyszały.

— Pamiętam. Kobiety!

Wesołość przy sąsiednim ognisku przycichła na chwilę, a potem rozbrzmiała na powrót z równą siłą. To powinno im wystarczyć. Inni ludzie też potrafią się śmiać. Perrin zapatrzył się ponuro w ogień. Bolały go rany.

Po chwili Gaul powiedział:

— To miejsce z każdą chwilą znacznie bardziej przypomina Ziemię Trzech Sfer niż pozostałe części mokradeł. Oczywiście jest tu wciąż zbyt dużo wody, a drzewa są zbyt wysokie i nazbyt liczne, ale nie jest tak obce jak miejsce zwane lasem.

Ziemia była tutaj kiepska, nie odrodziła się do czasu, gdy ogień zniszczył Mahetheren, rosły na niej rzadkie drzewa, wszystkie dziwacznie poskręcane przez wiatr, karłowate, o grubych pniach, nie przekraczające trzydziestu stóp. Perrin uznał to miejsce za najbardziej spustoszone ze wszystkich, jakie dotąd w życiu widział.

— Chciałbym któregoś dnia zobaczyć twoją Ziemię Trzech Sfer, Gaul.

— Być może będziesz mógł, jak uporamy się z tym, co mamy tutaj zrobić.

— Być może. — Oczywiście szanse były niewielkie. Tak naprawdę to żadne. Mógł powiedzieć o tym Aielowi, ale nie miał ochoty rozmawiać na te tematy, ani, jeśli już o to chodzi, również o nich myśleć.

— Tutaj znajdowało się Manetheren? Pochodzisz z krwi Manetheren?

— To było Manetheren — odparł Perrin. — Przypuszczam, że tak.

Trudno było uwierzyć, że w tych małych farmach i cichych wioskach mieszkają ludzie, będący ostatnimi spadkobiercami krwi Manetheren, ale tak właśnie twierdziła Moiraine. Dawna krew wciąż silna jest w Dwu Rzekach, powiadała.

— To było dawno temu, Gaul. Teraz jesteśmy farmerami, pasterzami, a nie wielkimi wojownikami ani nie wielkim narodem.

Gaul uśmiechnął się lekko.

— Skoro tak twierdzisz. Widziałem, jak tańczyłeś włócznie, widziałem też Randa al'Thora oraz tego, na którego wołacie Mat. Ale skoro tak twierdzisz...

Perrin poruszył się niespokojnie. Jak bardzo się zmienił od czasu wyjazdu z domu? On, ale także Rand i Mat? Nie chodziło tylko o jego oczy i o wilki, i o to, że Rand potrafił przenosić, to było mało istotne. Ale jak bardzo zmienili się wewnętrznie? Co jeszcze zostało z dawnych chłopców z Dwu Rzek? Z całej trójki Mat był najbardziej sobą, takim, jakim go pamiętał. Wręcz nawet jeszcze bardziej, jakby wyjazd z domu wyzwolił w nim coś, czego nie potrafił wcześniej z siebie wydobyć.

— Słyszałeś o Manetheren?

— Wiemy więcej o waszym świecie, niż przypuszczacie. Ale mniej, niż sądzimy. Dawno temu pokonałem Mur Smoka i czytałem książki przywożone przez handlarzy. Wiedziałem, że istnieją „łodzie”, „rzeki” i „lasy”, albo przynajmniej wydawało mi się, że wiem. — Słowa te w ustach Gaula zabrzmiały jak wyrazy z obcego języka. — Tak właśnie wyobrażałem sobie „las”. — Gestem wskazał rzadkie drzewa, skarłate w porównaniu z tym, czym powinny być. — Wiara w pewne rzeczy wcale nie czyni ich prawdziwymi. A co z Jeźdźcem Nocy i bękartami Tego Który Zabija Liść? Czy sądzisz, że to przypadek, iż natknęliśmy się na trolloki w pobliżu tej Bramy?

— Nie. — Westchnął Perrin. — Widziałem kruki w dole doliny. Być może były to zwykłe ptaki, ale po spotkaniu z trollokami nie chcę ryzykować.

Gaul pokiwał głową.

— To mogły być Oczy Cienia. Jeżeli przygotowujesz się na najgorsze, wszystkie niespodzianki są potem przyjemne.

— Z przyjemnymi niespodziankami potrafię sobie poradzić. — Perrin poszukał w myślach wilków i ponownie niczego nie znalazł. — Być może dzisiejszej nocy uda mi się czegoś dowiedzieć. Może. Jeżeli coś się stanie, obudzić mnie zaraz, choćby kopniakami.

W jego własnych uszach zabrzmiało to dziwnie, ale Gaul tylko kolejny raz pokiwał głową.

— Gaul, nigdy nie próbowałeś mnie pytać o moje oczy, ani nawet nie przyjrzałeś im się po raz drugi. Żaden z Aielów tego nie zrobił. — Wiedział, że jego oczy lśnią złotem w świetle ogniska.

— Świat się zmienia — powiedział cicho Gaul. — Rhuarc, a także Jheran, wódz mojego klanu, no i oczywiście Mądre również, usiłowali to ukryć, ale teraz są już niespokojni, od czasu jak wysłali nas przez Mur Smoka na poszukiwanie Tego Który Przychodzi Ze Świttem. Przypuszczam, że ta przemiana nie będzie taka, w jaką zawsze wierzyliśmy, nie mam pojęcia, czym będzie się różnić, ale różnić się będzie na pewno. Stwórca zesłał nas do Ziemi Trzech Sfer, aby wykuć i ukształtować nas, a także by ukarać za grzech, na cóż jednak zostaliśmy ukształtowani?

Znienacka ponuro potrząsnął głową.

— Colinda, Mądra z Siedziby Gorących Źródeł, mówi mi, że jak na Kamien-

nego Psa, zdecydowanie za dużo myślę, a Bair, najstarsza Mądra wśród Shaarad, grozi, że wyśle mnie do Rhuidean po śmierci Jherama, czy tego będę chciał, czy nie. Mając na uwadze to wszystko, Perrin, cóż znaczy kolor oczu człowieka?

— Żałuję, że wszyscy tak nie myślą.

Przy drugim ognisku wesołość wreszcie ucichła. Jedna z kobiet Aielów — Perrin nie potrafił stwierdzić która objęła pierwszą wartę; odwróciła się plecami do ognia, pozostali zaś usnęli. To był męczący dzień. Łatwo będzie zasnąć, zatopić się we śnie, którego potrzebował. Położył się obok ogniska, otulając płaszczem.

— Pamiętaj, szturchnij mnie lub nawet kopnij, jeżeli będzie trzeba.

Sen ogarnął go natychmiast, jeszcze zanim Gaul skończył potakiwać głową, a wraz z nim pojawiły się widzenia.

\* \* \*

Był dzień, a on stał samotnie obok Bramy, wyglądającej niczym ładnie wyrzeźbiony kawałek ściany, zupełnie tutaj nie pasujący. Oprócz tego na stoku nie było najmniejszego śladu ludzkiej obecności. Niebo było jasne i czyste, a lekka bryza przyniosła z doliny zapach jeleni i królików, przepiórek i gołębi, a prócz tego tysiące rozmaitych woni wody, ziemi i drzew. To był wilczy sen.

Przez chwilę uczucie bycia wilkiem zdominowało go prawie całkowicie. Miał łapy i... Nie! Przesunął dłońmi po ciele i z ulgą stwierdził, że czuje swoje własne ciało, swój kaftan i płaszcz. Oraz szeroki pas, za którym zazwyczaj tkwił topór, a teraz pętla przytrzymała na poły przeciągnięty przez nią młot.

Zmarszczył brwi i zniechęca, na chwilę tylko, w miejscu młota zamigotał topór, bezcielesny i mglisty. Błyskawicznie jednak zmienił się z powrotem w młot. Ssąc wargę, miał nadzieję, że tak już zostanie. Topór zapewne był lepszą bronią, ale on wołał swój młot. Nie pamiętał, by coś takiego zdarzyło mu się wcześniej, żeby coś się zmieniło, ale w istocie niewiele wiedział o tym osobliwym miejscu. Jeżeli w ogóle to można było nazwać miejscem. To był wilczy sen i dziwne działy się w nim rzeczy, z pewnością nie mniej dziwne niż w zwykłych snach.

Jakby myśl o dziwaczności wyzwoliła nagle jedną z nich, część nieba bowiem ponad górami pociemniała nagle, zmieniła się w okno wychodzące na inny świat. Pośród wirów huraganu stał Rand, śmiejąc się dziko, wręcz szaleńczo, z uniesionymi ramionami, a na skrzydłach wiatru płynęły małe sylwetki, złote i szkarłatne, przypominające do złudzenia dziwne zwierza przedstawionego na sztandarze Smoka; ukryte oczy obserwowały Randa, ale trudno było stwierdzić, czy on wie o tym. Dziwne „okno” zamigotało, ale natychmiast zastąpiło je kolejne, znajdujące się jeszcze dalej, a w nim Nynaeve i Elayne skradały się ostrożnie poprzez

obląkany krajobraz pokrzywionych, mrocznych budowli, ścigając jakąś niebezpieczną bestię. Perrin nie potrafiłby powiedzieć, skąd wie, iż bestia jest niebezpieczna, nie miał jednak w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Obraz zniknął i kolejny czarny kleks rozlał się na niebie. Mat, stojący na rozstajach dróg. Rzucił monetę, wybrał jedno rozwidlenie i nagle miał na sobie kapelusz o szerokim rondzie, a w ręku pałkę zakończoną szerokim ostrzem miecza, której używał jako kostura. Kolejne „okno”, a z niego spjrzały nań Egwene oraz kobieta o długich siwych włosach, patrzyły na niego zaskoczone; za ich plecami Biała Wieża kruszyła się, kamień po kamieniu. Potem one również zniknęły.

Perrin wziął głęboki oddech. Widział już przedtem podobne obrazy, właśnie tutaj, w wilczym śnie i uważał, iż te widzenia są w pewnym sensie rzeczywiste albo przynajmniej coś wyrażają. Czymkolwiek były, wilki ich nie widziały. Moiraine sugerowała, że wilczy sen jest tym czymś, co nazywała *Tel'aran'rhiod*, ale nie rozwijała dalej tego tematu. Podśluchał raz, jak Egwene i Elayne rozmawiały o snach, ale Egwene i tak już wiedziała o nim i wilkach nazbyt wiele, być może równie dużo jak Moiraine. A nie było to coś, o czym potrafiłby rozmawiać, nawet z nią.

Był jeden człowiek, z którym mógłby na ten temat porozmawiać. Żałował, że nie spotkał po raz wtóry Elyasa Machery, tego, który wprowadził go w wilczy świat. Elyas musiał wiedzieć o tych rzeczach wszystko. Kiedy pomyślał o nim, przez moment wydawało mu się, że słyszy swoje imię, słabo niesione przez wiatr, ale kiedy starał się wsłuchać bliżej w odległy głos, znalazł tylko szum wiatru. Był tutaj całkiem sam.

— Skoczek! — zawołał i dodał w myślach:

„Skoczek!”

Wilk umarł już dawno temu, a jednak wciąż żył, tutaj. Wilczy sen był miejscem, do którego szły wilki po śmierci, aby oczekiwać na powtórne narodziny. Dla nich był czymś znacznie więcej niż tylko snem; nawet na jawie wydawały się częściowo w nim żyć. Jedną rzeczywistością była dla nich prawie tak samo realna — być może nawet równie realna — jak ta druga.

— Skoczek!

„Skoczek!”

Skoczek się nie pojawił.

Wszystko na nic. Znalazł się tutaj dla określonego celu i powinien zająć się jego realizacją. W najlepszym razie dostanie się do miejsca, gdzie przedtem widział kruki, zajmie mu wiele godzin.

Zrobił krok — krajobraz dookoła niego rozmazał się i postawił stopę obok wąskiego strumyka, o brzegach porośniętych chylącą się nad nim cykuta i górską wierzbą, a okryte chmurami szczyty znalazły się wysoko w górze. Przez chwilę wpatrywał się w nie zadziwiony. Znajdował się w przeciwnym niż Brama krańcu doliny. W rzeczy samej, dokładnie w tym miejscu, do którego zmierzał,

w miejscu, z którego wylatywały kruki, skąd wystrzelono strzałę, która trafiła pierwszego jastrzębia. Coś takiego nie zdarzyło mu się nigdy dotąd. Czy to dlatego, że uczył się coraz więcej na temat wilczych snów — Skoczek zawsze karcił go za ignorancję — czy też tym razem sama natura snu była odmienna?

Ostrożnie zrobił następny krok, ale to był już tylko zwykły krok. Wokół nie było śladów bytności łuczника czy kruków, najmniejszego tropu, lotki z pióra czy zapachu. Sam zresztą nie wiedział, czego miałyby się spodziewać. Oczywiście, że nie będzie po nich żadnego śladu, jeśli również nie znajdą się we śnie. Gdyby udało mu się jednak znaleźć wilki, mogłyby mu pomóc odnaleźć swoich braci i siostry, żyjących w świecie jawy, tamte zaś z kolei poinformowałyby go, czy w górach znajduje się jakiś Pomiot Cienia. Może, gdyby znalazł się wyżej, usłyszałyby jego wezwanie.

Wypatrzył punkt na najwyższym szczycie otaczającym dolinę, tuż pod chmurami, i dał krok w jego stronę. Świat rozmazał się i w jednej chwili już stał na zboczu góry, a białe bałwany tworzyły dach, pięć piędzi ponad jego głową. Mimo woli zaśmiał się. To było zabawne. Stąd mógł widzieć całą dolinę rozciągającą się u jego stóp.

— Skoczek! — Żadnej odpowiedzi.

Przeskoczył na następną górę, zawołał ponownie, potem była kolejna, i jeszcze jedna; zmierzał na wschód, w kierunku Dwu Rzek. Skoczek nie odpowiadał. Co gorsza, Perrin nie wyczuwał tu również obecności innych wilków. W wilczych snach zawsze były wilki. Zawsze.

Skakał ze szczytu na szczyt — kolejne kroki rozmazywały świat — wzywał, szukał. Góry, rozciągające się pod nim, były całkiem puste, wyjąwszy jelenia i inną zwierzynę. Od czasu do czasu jednak jego wzrok wyławiał ślady ludzkiej bytności. Starożytne ślady. Dwukrotnie dwie potężne rzeźby w zboczach, wielkie na całą górę, w innym miejscu dziwne kanciaste litery, wysokie na dwie piędzi; wyrzeźbione w poprzek zbocza, rzucały cień zbyt niewyraźny i przejrzysty. Deszcze i wiatr starły rysy twarzy rzeźb, a oczy mniej bystre niżli jego mogłyby z łatwością wziąć same litery za naturalny skutek erozji. Góry i zbocza ustąpiły miejsca Piaszczystem Wzgórzom, wielkiej pofałdowanej równinie pagórków, z rzadka porośniętych ostrą trawą i lichymi krzewami, ongiś bowiem, przed Pęknięciem, stanowiły wybrzeże wielkiego morza. I wtedy, nagle, zobaczył drugiego człowieka — stał na szczycie jednego z piaszczystych pagórków.

Znajdował się zbyt daleko, by można go było widzieć wyraźnie, po prostu wysoka, ciemnowłosa sylwetka, z pewnością jednak nie był to troll ani nic z tego rodzaju. Ubrany w błękitny kaftan, z łukiem przewieszonym przez plecy, pochylał się nad czymś leżącym na ziemi. Niskie krzaki nie pozwalały jednak dojrzeć, co to jest. W jego postaci było jednak coś znajomego.

Zerwał się wiatr i Perrin poczuł odległy, słaby zapach tamtego. Chłodny zapach, nie potrafił go inaczej określić. Chłodny i nie do końca ludzki. Zanim się

zorientował, już trzymał w dłoni własny łuk, na cięciwę nasadzona była strzała, a ciężar kołczana obciążał pas.

Człowiek spojrział w górę, dostrzegł Perrina. Na mgnienie oka zawahał się, potem odwrócił i zmienił w smugę mknącą wśród wzgórz.

Perrin skoczył w dół do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stał tamten, spojrział na to, czym on się zajmował, i bez namysłu rzucił się w pościg, zostawiając za sobą na poły obłupione ze skóry ciało wilka. Martwy wilk w wilczym śnie. To było nie do pomyślenia. Cóż mogło tutaj zabić wilka? Jakieś zło.

Ten, którego ścigał, uciekał przed nim, za każdym krokiem pokonując całe mile, prawie znikając mu z oczu. Wydostał się poza wzgórze, pokonał splątany Zachodni Las, w którym stały rzadko rozproszone farmy, i pomknął dalej nad polami uprawnymi, szachownicą otoczonych żywopłotem pól i małymi zagajnikami, aż do Wzgórza Czat. Dziwny był widok krytych strzechą domów rozłożonej na wzgórzu wioski, na której ulicach nie było żadnych ludzi oraz farm wyglądających na całkowicie opuszczone. Nie spuszczał też z oka uciekającego przed nim człowieka. Do tego stopnia przyzwyczał się do tej szczególnej pogoni, że nawet się nie zdziwił, kiedy kolejny długi skok przeniósł go na prawy brzeg Rzeki Taren, a kolejny pomiędzy nagie wzgórze pozbawione drzew i wszelkiej trawy. Biegł na północ i na wschód, ponad strumieniami, drogami, wąskimi rzekami, całą uwagę skupiając na mężczyźnie przed sobą. Krajobraz stał się płaski, porośnięty trawą, co jakiś czas rosły w nim zagajniki; nie było widać śladu człowieka. Nagle coś zaślśniło w oddali — iskrząca się w promieniach słońca metalowa wieża. Jego ofiara pośpieszyła prosto do niej i zniknęła w środku. Perrin w dwóch skokach znalazł się przy budowli.

Wieża o średnicy czterdziestu stóp, wznosząca się ku niebu na dobre dwieście, lśniła niczym hartowana stal. Równie dobrze mogła być kolumną litego metalu. Perrin dwukrotnie obszedł ją dookoła, nie znalazłszy wejścia, nawet szczeliny czy choćby rysy na jej gładkiej, pionowej ścianie. Jednak zapach tamtego wisiał w powietrzu, chłodna, nieludzka woń. Tutaj ślad się urywał. Człowiek — jeśli w ogóle był to człowiek — w jakiś sposób dostał się do środka. Musiał tylko dowiedzieć się jak, by móc pójść za nim.

„Stój!” To był jedynie strumień pierwotnych emocji, które umysł Perrina ubrał w słowa. „Stój!”

Odwrócił się dokładnie w tej samej chwili, gdy przed nim wylądował na ziemi wysoki, sięgający mu do pasa, posiwiały i pokryty bliznami, szary wilk. Wyglądało to tak, jakby spadł z nieba, co równie dobrze mogło być prawdą. Skoczek zawsze zazdrościł orłom ich umiejętności lotu, a tutaj, w tym świecie, sam potrafił fruwać. Spojrzenia dwu par żółtych oczu spotkały się.

— Dlaczego, Skoczek? On zabił wilka.

„Ludzie zabijali wilki, a wilki zabijały ludzi. Dlaczego tym razem gniew płonie w twoim gardle?”

— Nie wiem — przyznał Perrin po namyśle. — Być może dlatego, że zdarzyło się to tutaj. Nie wiedziałem, że tu można w ogóle zabić wilka. Sądziłem, że wilki są bezpieczne we śnie.

„Ścigałeś Oprawcę, Młody Byku. On znajduje się tutaj cieleśnie i potrafi zabijać”.

— Cieleśnie? Twierdzisz, że nie tylko śniąc? W jaki sposób może być tutaj cieleśnie?

„Nie wiem. Jest to rzecz niejasno pamiętana z dawnych czasów, która znowu okazała się prawdziwa. Dzisiaj stwory Cienia chodzą w snach. Istoty stworzone przez Jad Serca. Nie ma bezpiecznych miejsc”.

— Cóż, w tej chwili znajduje się w środku. — Perrin przyjrzał się pozbawionej jakichkolwiek występow metalowej wieży. — Jeżeli uda mi się stwierdzić, jak wszedł do środka, będę mógł z nim skończyć.

„Głupi szczeniak, rozgrzebujący gniazdo ziemnej osy. To miejsce jest złe. Wszyscy o tym wiedzą. A ty będziesz ścigał zło w samym środku zła. Oprawca umie zabijać”.

Perrin zawahał się. W emocjach, jakie jego umysł skojarzył ze słowem „zabijać”, pojawił się krańcowy ton.

— Skoczek, co się dzieje z wilkiem, który umiera we śnie?

Wilk milczał przez chwilę.

„Kiedy umieramy tutaj, umieramy na zawsze, Młody Byku. Nie wiem, czy to samo dotyczy ciebie, ale przypuszczam, że tak jest”.

— Niebezpieczne miejsce, łuczniku. Wieża Ghenjei jest niedobrym miejscem dla ludzi.

Perrin odwrócił się i na poły już uniósł łuk, zanim zobaczył kobietę, stojącą w odległości kilku kroków, gruby warkocz złotych włosów sięgał jej do pasa, przypominał mu do złudzenia podobne warkoczki, jakie nosiły kobiety w Dwu Rzekach, był jednakże znacznie misterniej spleciony. Jej ubiór miał dziwny krój, krótki biały kaftan oraz luźne spodnie, z jakiegoś bladożółtego materiału, związane w kostkach nad płaskimi butami. Czarny płaszcz zdawał się skrywać coś, co lśniło srebrem przy boku.

Poruszyła się i metaliczny błysk zgasł.

— Masz bystre oczy, łuczniku. Przyszło mi to do głowy już wówczas, kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz.

Jak długo go obserwowała? W zakłopotanie wprawiało go, że udało jej się podejść tak niezauważenie. Przynajmniej Skoczek mógłby go ostrzec. Wilk leżał, skryty w sięgającej do kolan trawie, z pyskiem wspartym na przednich łapach i obserwował go.

Kobieta zdawała się mieć w sobie coś znajomego, Perrin jednak nie miał wątpliwości, że pamiętałby, gdyby ją kiedykolwiek wcześniej spotkał. Kim była, że

znalazła się w wilczym śnie? Czy może naprawdę był to również *Tel'aran'rhiod* Moiraine?

— Czy jesteś Aes Sedai?

— Nie, łuczniku. — Zaśmiała się. — Przyszłam tylko po to, by cię ostrzec, nie dbając o zakazy. Kiedy raz wejdzie się do Wieży Ghenjei, trudno potem wrócić do świata ludzi. Tutaj jest to niemal zupełnie niemożliwe. Posiadasz najwyższą odwagę, o której niektórzy twierdzą, iż jest nieodróżnialna od szaleństwa.

Nie można z niej wyjść? Ten człowiek — Oprawca — z pewnością wszedł do środka. Dlaczego miałby to zrobić, gdyby potem nie potrafił wyjść?

— Skoczek również powiedział, że to niebezpieczne. Wieża Ghenjei? Cóż to jest?

Jej oczy rozszerzyły się i szybko spojrzała na Skoczka, który leżał z brzuchem zanurzonym w trawie i nie zwracając na nią uwagi, obserwował Perrina.

— Potrafisz rozmawiać z wilkami? Dzisiaj jest to umiejętność dawno zapomniana w legendach. A więc dlatego jesteś tutaj. Powinam wiedzieć. Wieża? To są drzwi, łuczniku, do światów Aelfinn oraz Eelfinn. — Wypowiedziała te nazwy takim tonem, jakby sądziła, że powinien je rozpoznać. Kiedy spojrzał na nią nie rozumiejącym wzrokiem, dodała: — Czy kiedykolwiek grałeś w grę zwaną węże i lisy?

— Wszystkie dzieci w to grają. Przynajmniej tak się dzieje w Dwu Rzekach. Ale przestają, kiedy stają się na tyle duże, by zrozumieć, że nie ma sposobu na wygraną.

— Wyjąwszy złamanie reguł gry — poprawiła go. — Odwaga wzmacnia, ogień oślepia, muzyka odurza, żelazo wiąże.

— To jest wiersz z gry. Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z tą wieżą?

— Istnieją sposoby wygrania z lisami i węzami. Gra jest pamiątką po dawnych interesach. Nie ma znaczenia, dopóki będziesz trzymał się z daleka od Aelfinn i Eelfinn. Nie są źli w taki sposób, w jaki złem jest Cień, jednak do tego stopnia różnią się od ludzi, że równie dobrze można ich za takowych uważać. Nie wolno im ufać, łuczniku. Trzymaj się z dala od Wieży Ghenjei. Na ile możesz, unikaj Świata Snów. Przebudziły się ciemne stwory.

— Takie, jak ten człowiek, którego ścigałem? Oprawca?

— To jest dobre imię dla niego. Twój Oprawca nie jest stary, łuczniku, ale jego zło sięga najdawniejszych czasów. — Zdało mu się, jakby leciutko wspierała się na czymś, być może na tej srebrnej rzeczy, której nie potrafił dokładnie dostrzec. — Zdaje mi się, że już dużo ci powiedziałam. Nie rozumiem, dlaczego to ja właśnie zaczęłam mówić pierwsza. Oczywiście. Jesteś *ta'veren*, łuczniku?

— Kim ty jesteś? — Zdawała się wiedzieć niezwykle dużo na temat tej wieży i wilczych snów.

„Ale była zaskoczona, kiedy jej powiedziałam, że potrafię rozmawiać ze Skoczkiem”.



— Wydaje mi się, że gdzieś już musiałem cię spotkać.  
— Złamałam już zbyt wiele zakazów, łuczniku.  
— Zakazów? Jakich zakazów? — Na ziemię obok Skoczka padł cień, a Perrin odwrócił się szybko, zły, że ponownie dał się zaskoczyć. Nikogo tam jednak nie było. Ale on przecież widział na własne oczy — cień mężczyzny z rękojeściami dwu mieczy wystającymi znad ramion. Coś w tym obrazie poruszyło zapomnianą strunę jego pamięci.  
— On ma rację — powiedziała stojąca za nim kobieta. — Nie powinnam z tobą rozmawiać.  
Kiedy się odwrócił, jej również już nie było. Jak tylko okiem sięgnąć otaczała go jedynie równina traw, na której co jakiś czas rosły rzadkie zagajniki. Błyszcząca, srebrzysta wieża trwała niewzruszona.  
Zmarszczył brwi i spojrzał na Skoczka, który wreszcie uniósł łeb.  
— To cud, że nie opadły cię wiewiórki ziemne — wymruczał Perrin. — Co o niej sądzisz?  
„O niej? Ona? — Skoczek wstał i rozejrzał się dookoła. — Gdzie?”  
— Rozmawiałem z nią. Tutaj. Przed momentem.  
„Rzuciłeś słowa na wiatr, Młody Byku. Nie ma tu żadnej onej. Tylko ty i ja”.  
Perrin zirytowany podrapał brodę. Była tutaj. Nie rozmawiał przecież z samym sobą.  
— Dziwne rzeczy mogą się tutaj dziać — wymruczał pod nosem. — Ona mówiła to samo co ty, Skoczek. Kazała mi się trzymać z daleka od tej wieży.  
„Jest mądra”.  
W myśli pojawił się element powątpiewania. Skoczek wciąż nie wierzył, że była tu jakaś „ona”.  
— Strasznie daleko odszedłem od swego pierwotnego celu — zrzędził Perrin. Wyjaśnił, jaka potrzeba kierowała jego poszukiwaniami wilków w Dwu Rzekach albo wyżej w górach, poinformował Skoczka o krukach i o spotkaniu z trollkami w Drogach.  
Kiedy skończył, Skoczek przez dłuższy czas nic nie mówił, jego kosmaty ogon zwisał nisko i sztywno. Na koniec wreszcie...  
„Unikaj swego dawnego domu, Młody Byku. — Obraz, który umysł Perrin określił jako dom, przedstawiał w istocie teren oznakowany przez wilcze stado. — Tutaj nie ma już żadnych wilków. Te, które były, a którym nie udało się uciec, nie żyją. Tutaj Oprawca nawiedza sny”.  
— Muszę wrócić do domu, Skoczek. Muszę.  
„Uważaj na siebie, Młody Byku. Dzień Ostatniego Polowania zbliża się coraz szybciej. Pobiegniemy razem w Ostatnim Polowaniu”.  
— Pobiegniemy — powiedział ze smutkiem Perrin. Pięknie było wyobrazić sobie, że po śmierci mógłby dalej tutaj żyć; czasami zdawało mu się, że jest już na poły wilkiem. — Muszę już iść, Skoczek.

„Obyś zażył dobrego polowania, Młody Byku, i poznał tę, która urodzi ci wiele szczeniaków”.

— Do widzenia, Skoczek.

\* \* \*

Otworzył oczy i zobaczył odblask mętnego światła, rzucanego przez żar wygasającego ogniska na skalną ścianę. Gaul przycupnął na skraju ciemnej poświaty i wpatrywał się w mrok. W drugim obozowisku właśnie wstawała Faile, obejmując swoją wartość. Księżyc wisiał nad górami, w jego świetle chmury wyglądały niczym perłowe cienie. Perrin ocenił, że musiał spać nie dłużej niż jakieś dwie godziny.

— Teraz ja trochę będę czuwał — powiedział, odrzucając płaszcz.

Gaul pokiwał głową i położył się na ziemi, dokładnie tam, gdzie przedtem kuczał.

— Gaul? — Aiel uniósł głowę. — W Dwu Rzekach może być gorzej, niż przypuszczałem.

— Zazwyczaj tak bywa — odrzekł cicho Gaul. — Na tym polega życie.

Aiel spokojnie skłonił głowę i ułożył się do snu.

Oprawca. Kim był? Czym był? Pomiot Cienia przy Bramie, kruki w Górach Mgły oraz ten człowiek, zwany Oprawcą, w Dwu Rzekach. To nie mógł być zbieg okoliczności, niezależnie od tego, czego by się chciało.

## POWRÓT DO DOMU

Podróż do Zachodniego Lasu w wilczym śnie nie zabrała mu więcej jak kilka kroków czy coś koło tego, w świecie realnym natomiast, w którym musieli wydość się z gór i pokonać Piaszczyste Wzgórza, trwała trzy długie dni konnej jazdy. Aielowie nie mieli najmniejszych problemów z dotrzymaniem kroku zwierzętom, ale same wierzchowce nie potrafiły poruszać się szybko po drodze, która na przemian wiodła to w dół, to pod górę. Rany Perrina swędziały dokuczliwie gojąc się — maść Faile najwyraźniej działała.

Przez większość czasu jechali w milczeniu, otaczającą ich ciszę częściej przerywało szczeknięcie polującego lisa czy niesiony echem krzyk jastrzębia niż czyjeś słowa. Przynajmniej nie widzieli już więcej kruków. Niejednokrotnie zdawało mu się, że Faile za chwilę podjedzie do niego na swej klaczy, chcąc coś powiedzieć, ale za każdym razem najwyraźniej coś ją powstrzymywało. Był z tego zadowolony; najbardziej ze wszystkiego pragnął z nią porozmawiać, ale co będzie, jeśli znowu skończy się na kłótni? Skarcił się w myśli za takie zachcianki. Oszukała Loiala, oszukała jego. Przez nią wszystko będzie gorzej, wszystko znacznie trudniejsze. Żałował, że nie może jej znowu pocałować. Żałował, że nie potrafi postanowić, iż ma już tego dość, i odjechać. Dlaczego musiała być taka uparta?

Ona i dwie kobiety Aiel trzymały się razem, Bain i Chiad biegły po obu bokach Jaskółki, żadna z nich nie wysforowywała się naprzód. Czasami wszystkie trzy szeptały coś cicho do siebie, po czym tak demonstracyjnie unikały patrzenia w jego stronę, że równie dobrze mogłyby rzucać weń kamieniami. Na prośbę Perrina Loial jechał razem z nimi, chociaż sytuacja najwyraźniej nie przedstawiała wytrącać go z równowagi. Strzygł bezustannie uszami, w jego postawie było coś, co mówiło, że wolałby raczej nigdy nawet nie słyszeć o istnieniu ludzi. Gaulowi natomiast wszystko wydawało się raczej zdecydowanie zabawne, kiedy Perrin spoglądał w jego stronę, widział wciąż na twarzy tamtego lekki, tajemniczy uśmiech.

Sam z kolei nie przestawał się zamartwiać, a naciągnięty łuk trzymał wsparty o łąk siodła. Czy ten człowiek, zwany przez Skoczka Oprawcą, grasował po Dwu Rzekach tylko w wilczym śnie, czy również przebywał tam na jawie? Perrin podejrzewał, że raczej prawdziwa jest ta druga możliwość i że to właśnie Oprawca

zastrzelił wówczas jastrzębia bez żadnej przyczyny. To był kolejny kłopot, z którym musiał sobie poradzić, nie licząc Synów Światłości.

Jego rodzina mieszkała na sporej farmie, położonej o ponad pół dnia drogi od Pola Emonda, niemalże w samym Wodnym Lesie. Ojciec, matka, siostry i maleńki braciszek. Paetram będzie miał już teraz dziewięć lat i bez wątplenia zdecydowanie zaprotestuje przeciwko nazywaniu go małym braciszkiem, Deselle będzie pulchną dwunastolatką, Adora zaś skończy już lat szesnaście i być może otrzyma pozwolenie na zaplecenie włosów. Wuj Eward, brat ojca oraz ciocia Magde, zbudowana prawie tak potężnie, jak jej mąż, a także ich dzieci. Ciocia Neain, która każdego ranka chodziła na grób wujka Carlina, i również ich dzieci, a także ciocia-babcia Ealsin, która nigdy nie wyszła za mąż, z ostrym nosem i bystrymi oczyma, które zawsze wypatrzyły, co każde z nich zamierzało zrobić. Kiedy został uczniem pana Luhhana, widywał ich jedynie w dni świąteczne, odległość była zbyt duża na przypadkowe odwiedziny, a zawsze tyle miał pracy do wykonania. Jeżeli Białe Płaszczki zajmą się polowaniem na Aybarów, nie będzie trudno ich znaleźć. Za to był odpowiedzialny, nie zaś za jakiegoś Oprawcę. Mógł zrobić tylko tyle. Chronić swoją rodzinę oraz Faile. To przede wszystkim. W następnej kolejności wioska, potem wilki, dopiero na końcu ten Oprawca. Jeden człowiek nie poradzi sobie ze wszystkim.

Zachodni Las rósł na kamienistej glebie, w której od czasu do czasu pojawiały się porośnięte jeżynami skalne odkrywki, drzewa były potężne, rosły gęsto, tylko czasami gąszcz przecinały nieliczne ścieżki, nieliczne były też farmy w tej okolicy. Jako chłopiec przemierzał często nieprzebytą knieję, sam albo w towarzystwie Randa i Mata, polując z łukiem lub procą, zastawiając sidła na króliki, lub najzwyczajniej wędrował tylko, bez celu, dla samej wędrowki. Wiewiórki o puszystych kitach skakały z drzewa na drzewo, cętkowane drozdy szczebiotały przedrzeźniane przez czarnoskrzydłe przedrzeźniacze, niebieskogrzbieta przepiórka wyprysnęła z krzaków tuż przed podróżnymi — to wszystko mówiło mu o domu. Sam zapach ziemi, przewracanej końskimi kopytami, już był swojski.

Mógł skierować się prosto do Pola Emonda, ale zamiast tak uczynić, skreślił bardziej na północ, przez las, aby na koniec, w momencie gdy słońce chyliło się już ku wierzchołkom drzew, przeciąć szeroki, nierówny trakt zwany Drogą Kamieniołomu. Skąd ta nazwa, nikt w Dwu Rzekach nie wiedział, trakt zresztą ledwie przypominał drogę, po prostu porośnięta zielskiem przecinka wśród drzew, z bliska dopiero ujawniająca głębokie koleiny, jakie zostawiły na niej całe generacje wozów i wózków. Gdzieś tam fragmenty dawnego bruku wystawały na powierzchnię. Być może droga prowadziła do kamieniołomu, z którego brano kamień do budowy Manetheren.

Farma, do której zmieszał Perrin, leżała niedaleko drogi, schowana za rzędami jabłoni i gruszy, na których właśnie dojrzewały owoce. Poczł zapach dobiegający z farmy, zanim jeszcze ją zobaczył. Zapach spalonego drzewa; zastarzały zapach,

który jednak nawet po roku wciąż jeszcze dawałby się wyczuć.

Zatrzymał konia na skraju drzew i przez chwilę patrzył tylko, zanim wjechał na teren tego, co niegdyś stanowiło farmę al'Thorów; juczne konie szły w ślad za jego kasztanem. Z farmy została jedynie otoczona kamiennym murem zagroda dla owiec, brama była otwarta i wisiała na jednym zawiasie. Pociemniały od sadzy komin rzucał skośny cień na stos popłątanych, zwęglonych belek farmy. Ze stodoły i pomieszczenia, w którym dojrzewał tytoń, zostały jedynie popioły. Na polu tytoniowym i w warzywniku rosło zielsko, a ogród najwyraźniej ktoś stratował; większość roślin prócz zęboliści i pióropuszników była połamana i uschła.

Nawet nie pomyślał o nałożeniu strzały na cięciwę. Pogorzelnisko było stare, spalone drzewo wyglądzone i poczerniałe przez wiele już deszczów. Dławnik potrzebował co najmniej miesiąca, aby wyrosnąć tak wysoko. Obrósł nawet pług i bronę, leżące na skraju pola; rdza przebijała spod bladych, wąskich liści.

Aielowie przeszukiwali uważnie farmę, z włóczyniami w pogotowiu, dokładnie badali teren, rozgrzebując popioły. Bain wyszła z ruin domu, spojrzała na Perrina i potrząsnęła przecząco głową. Przynajmniej Tam al'Thor nie zginął tutaj.

„Oni wiedzą. Wiedzą, Rand. Powinieneś przyjechać ze mną”.

Powstrzymanie się przed pchnięciem Steppera w galop, który trwałby przez całą drogę na farmę jego rodziny, niemal przekraczało jego siły. Ostatecznie wszak było to i tak niemożliwe, nawet Stepper zajeździłby się na śmierć, zmuszony biec tak daleko. Być może tutaj miał do czynienia z dziełem trollaków. Jeżeli tak, to wówczas niewykluczone, że jego rodzina wciąż uprawiała swoją farmę, nadal bezpieczna. Wciągnął głęboko powietrze w nozdrza, ale zapach spalonego drzewa tłumiał wszelkie inne wonie.

Gaul zatrzymał się obok niego.

— Ktokolwiek to zrobił, dawno temu już odszedł. Zabili kilka owiec i rozpędzili resztę. Później ktoś przyszedł, aby pozbierać stado i popędził je na północ. Dwóch ludzi, jak sądzę, ale ślady są tak stare, że nie można mieć pewności.

— Czy jest jakaś wskazówka mówiąca, kto to mógł być?

Gaul potrząsnęła głową. To mogły być trollaki. Dziwne było życzyć sobie takiej rzeczy. I głupie. Białe Płaszczki znały jego imię i jak się okazało, zapewne wiedziały również o Randzie.

„Wiedzą, jak się nazywam”.

Spojrzał na popioły, które zostały z farmy al'Thorów, a Stepper poruszył się niespokojnie, kiedy wodze zadrżały mu w dłoniach.

Loial zsiadł z konia na skraju sadu, ale jego głowa i tak tonęła w koronie drzewa. Faile podjechała do Perrina, z wzrokiem wbitym w jego twarz, jej klacz stąpała lekko i wdzięcznie.

— Czy to...? Czy znałeś ludzi, którzy tutaj mieszkali?

— Rand tu mieszkał, razem z ojcem.

— Och. Sądziłam, że to może być... — Nie musiała kończyć zdania, ulga i współczucie w jej głosie mówiły same za siebie. — Czy twoja rodzina mieszka w pobliżu?

— Nie — odparł oschle, a ona cofnęła się, jakby ją uderzył. Wciąż jednak patrzyła na niego, jakby na coś czekała. Co musiałby zrobić, aby ją zniechęcić? Skoro nie udało się dotąd, nic więcej nie byłby zdolny uczynić.

Cienie stawały się coraz dłuższe, słońce dotykało już wierzchołków drzew. Zawrócił Steppera, niegrzecznie odwracając się do niej plecami.

— Gaul, dzisiejszej nocy będziemy obozować w pobliżu. Chciałbym wyruszyć wczesnym rankiem. — Rzucił ukradkowe spojrzenie przez ramię, Faile jechała za Loialem, sztywno siedząc w siodle. — W Polu Emonda będą wiedzieli... — Gdzie stacjonują Białe Płaszczki tak, żeby mógł oddać się w ich ręce, zanim skrzywdzą jego rodzinę. Jeżeli dotąd się to jeszcze nie stało. Jeżeli farma, na której przyszedł na świat, nie wygląda jak widok rozpościerający się przed jego oczami. Nie. Musi zdążyć na czas, aby to wszystko przerwać.

— Oni będą wiedzieli, jak się rzeczy mają.

— Wczesnym rankiem więc — Gaul zawahał się. — Nie powinieneś jej w ten sposób traktować. Ona jest prawie *Far Dareis Mai*, a jeśli Panna cię kocha, nie uciekniesz przed nią, choćbyś nie wiadomo jak szybko biegł.

— Pozwól mi samemu martwić się o Faile. — W ostatniej chwili złagodził nieco ton głosu, to nie Gaula wszak chciał się pozbyć. — Tak rychło, jak się tylko da. Dopóki Faile wciąż będzie spała.

Tej nocy w obu obozowiskach pod gałęziami jabłoni panowała cisza. Kilukrotnie wstawała jedna z kobiet Aiel i spoglądała w kierunku małego ogniska, przy którym siedzieli on i Gaul, ale pohukiwanie sowy i końskie człapanie stanowiły jedyne dźwięki, jakie rozlegały się wśród ciemności i ciszy. Perrin nie mógł spać, wciąż jeszcze pozostała godzina do świtu, księżyc w pełni wciąż wisiał na niebie, gdy wraz z Gaułem wymknęli się — Aiel zupełnie bezgłośnie w swych miękkich butach, a końskie kopyta również nie zrobiły większego hałasu. Bain, a może Chiad, obserwowała, jak odjeżdżali. Nie potrafił powiedzieć która, w każdym razie nie obudziła Faile, za co był jej wdzięczny.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy wreszcie wydostali się z Zachodniego Lasu, nieco poniżej wioski, i wjechali na polne drogi oznaczone koleinami wozów oraz ścieżki w większości obrośnięte żywopłotem lub ograniczone niskimi kamiennymi murkami. Nad kominami farm unosiły się szare pasma dymu, jak można było osądzić po zapachu, dobre gospodynie zajęte były porannymi wypiekami. Mężczyźni znajdowali się już na polach tytoniu lub jęczmienia, a chłopcy doglądali stad czarnołybch owiec na pastwiskach. Niektórzy ludzie dostrzegli ich, gdy przejeżdżali obok, ale Perrin prowadził Steppera szybkim krokiem w nadziei, że nikt nie znajduje się dostatecznie blisko, by go rozpoznać czy ewentualnie dziwować się osobliwemu ubiorowi Gaula lub jego włóczniom.

Wokół Pola Emonda również spodziewał się napotkać ludzi, toteż ominął wioskę szerokim łukiem od wschodu, jej ubite gliniane ulice i kryte strzechą dachy, skupione wokół łąki, na której z kamiennej odkrywki wytryskiwała sama Winna Jagoda, strumieniem tak byстрыm, że zdolnym powalić człowieka; tam był początek rzeki Winna Jagoda. Zniszczenia, które pamiętał z tamtej Zimowej Nocy przeszło rok temu — spalone domy i dziurawe dachy — zostały w całości usunięte. A więc trolloki mogły się już więcej nie pojawić w Polu Emonda. Modlił się, by nikt nie musiał powtórnie przeżywać podobnej zgrozy. Gospoda „Winna Jagoda” stała niemal na samym wschodnim krańcu wioski, wciśnięta między mocny drewniany Most Wozów, biegnący nad byстрыm nurtem rzeki Winna Jagoda, a wielki, stary, kamienny fundament, pośrodku którego rósł potężny dąb. Przy stołach pod jego grubymi gałęziami zasiadali ludzie w pogodne popołudnia i obserwowali grających w kule. Oczywiście tak wcześnie rano miejsca przy stołach były puste. Mógł to z łatwością dostrzec, znajdowali się bowiem w odległości kilku domów na wschód. Parter samej gospody pobudowano z rzecznoego kamienia, na pierwszym piętrze wzdłuż całej długości budynku biegł wystający balkon, z lśniącej zaś czerwonej dachówki sterczał las kominów; był to jedyny nie kryty strzechą dach w promieniu wielu mil.

Perrin przywiązał Steppera oraz juczne konie do słupka w pobliżu kuchennych drzwi i rzucił okiem na krytą strzechą stajnię. Słyszał dobiegające stamtąd odgłosy ludzkiej krzątania, zapewne Hu i Tad czyścili boksy, w których pan al' Vere trzymał swój zaprzęg potężnych dhurranów; wynajmował je zazwyczaj temu, kto miał do przewiezienia naprawdę poważny ładunek. Zza gospody również dobiegały rozmaite odgłosy, szmer rozmów na łące, gęganie gęsi, turkot wozu. Nie zdjął juków z koni, to nie będzie długi postój. Gestem dał Gaulowi znak, by poszedł za nim, i szybko, nim któryś ze stajennych pokaże się na zewnątrz, wszedł do środka, zabierając ze sobą łuk.

Kuchnia była pusta, oba żelazne piece i jedyne palenisko zimne, choć w powietrzu wisiał zapach pieczonego ciasta. Chleb i placek miodowy. W gospodzie rzadko ktoś mieszkał na dłużej, wyjąwszy chwile, gdy z Baerlon przybywali kupcy po wełnę i tytoń, tudzież raz w miesiącu pojawiał się handlarz, kiedy śnieg nie czynił drogi nieprzejezdną; natomiast mieszkańcy wioski schodzili się dopiero znacznie później, by zjeść coś lub wypić, ponieważ cały dzień zajmowała im praca we własnych obejściach lub na polach. Ktoś jednak mógł znajdować się w środku, toteż Perrin dosłownie na palcach pokonał krótki korytarz wiodący z kuchni do wspólnej sali, a potem uchylił drzwi, by spojrzeć przez szczelinę do wnętrza.

Wcześniej tysiące razy przecież bywał w tym kwadratowym pomieszczeniu, z kominkiem z rzecznych kamieni, który zajmował połowę jego długości; na gzymsie znajdującym się na wysokości ramion mężczyzny stała wypolerowana puszcza na tytoń oraz cenny zegar pana al' Vere. Wszystko jednak zdawało się ja-

kieś mniejsze niżli we wspomnieniach. Na krzesłach z wysokimi oparciami, ustawionych przed kominkiem obradowała zazwyczaj Rada Wioski. Książki Brandelvyna al'Vere stały na półce po przeciwnej stronie kominka — kiedyś Perrin nie potrafił sobie wyobrazić większej liczby książek zgromadzonych w jednym miejscu ponad tych kilkadziesiąt zniszczonych tomów — a baryłki z *ale* i winem spoczywały pod kolejną ścianą. Pazur, żółty kot mieszkający w gospodzie, jak zwykle spał na wierzchu jednej z nich.

Nie licząc Brana al'Vere oraz jego żony, Marin, którzy odziani w białe fartuchy polerowali srebrną zastawę przy jednym ze stołów, we wspólnej sali panowała pustka. Pan al'Vere był potężnym, okrągłym mężczyzną, o rzadkich siwych włosach; pani al'Vere zaś szczupłą i macierzyńską kobietą, jej gruby, siwiejący warokocz zwisał przez jedno ramię. Pachniała ciastem, a przez ten zapach przebijała woń róż. Perrin pamiętał ich jako ludzi, którzy często się śmiali, teraz jednak oboje wyglądali na zatroskanych, a na twarzy Burmistrza gościł mars, który z pewnością nie miał nic wspólnego ze stanem srebrnego kubka, trzymanego w dłoni.

— Panie al'Vere? — Otworzył drzwi i wszedł do środka. — Pani al'Vere. To ja, Perrin.

Poderwali się na nogi tak gwałtownie, że krzesła przewróciły się na podłogę, a przestraszony Pazur aż podskoczył. Pani al'Vere przyłożyła dłoń do ust; ona i jej mąż zamarli z wyrazem absolutnego niedowierzania na twarzach, patrząc w równym stopniu na niego co na Gaula. To wystarczyło, by Perrin zaczął nerwowo przekładać łuk z ręki do ręki. Szczególnie wówczas, gdy Bran podbiegł do jednego z frontowych okien — a poruszał się niezwykle szybko, biorąc pod uwagę jego tuszę — rozsunał chroniące przed słońcem zasłony i wyrzwał na zewnątrz, jakby spodziewając się ujrzeć kolejnych Aielów pod gospodą.

— Perrin? — Pani al'Vere wymamrotała z niedowierzaniem. — To naprawdę ty. Omal cię nie poznałam, z tą brodą i... Twój policzek. Gdzie ty...? Czy Egwene jest z tobą?

Perrin bezwiednie musnął palcami na poły zagojone cięcie na policzku żałując, że wcześniej się nie umył albo przynajmniej nie zostawił łuku i topora w kuchni. Dotąd zupełnie nie brał pod uwagę tego, jak bardzo może przerazić swoim widokiem.

— Nie. To nie ma nic wspólnego z nią. Jest bezpieczna. — Znacznie bardziej bezpieczna, jeżeli wraca już do Tar Valon, ale nawet jeśli wciąż pozostaje w Łzie z Randem, to i tak nic jej nie grozi. Uznał jednak, że winien jest matce Egwene coś więcej niż tylko tę niewiele mówiącą uwagę. — Pani al'Vere, Egwene studiuje, aby zostać Aes Sedai. Nynaeve również.

— Wiem — powiedziała cicho, dotykając kieszeni fartucha. — Dostałam od niej trzy listy z Tar Valon. Z tego, co napisała, wynika, że wysłała ich więcej, Nynaeve zaś przynajmniej jeden, jednakże do naszych rąk dotarły tylko te trzy. Pisała co nieco o swych zajęciach, które zdają się niezwykle wyczerpujące i trudne.



— Ale to jest to, czego ona chce. — Trzy listy? Opadło go poczucie winy, nerwowo zaszurał stopami. On sam do nikogo nie napisał, od czasu krótkiej kartki, jaką zostawił dla rodziny i pana Luhhana tej nocy, gdy Moiraine zabrała ich z Pola Emonda. Ani jednego listu.

— Tak to też i wygląda, chociaż inaczej wyobrażałam sobie jej przyszłość. To nie jest coś, o czym mogłabym opowiadać wielu ludziom, nieprawdaż? W każdym razie pisze, że znalazła tam przyjaciółki, miłe dziewczyny, jak wynika z tego, co o nich mówi. Elayne oraz Min. Czy znasz je?

— Spotkaliśmy się. Przypuszczam, że mogłabyś je polubić. — Ile Egwene powiedziała w listach? Najwyraźniej niedużo. Niech pani al'Vere myśli sobie, co chce, nie miał najmniejszego zamiaru martwić jej opowieściami o rzeczach, na które nie mogła nic poradzić. Co było, minęło. Egwene była teraz już w dostatecznym stopniu bezpieczna.

Nagle przypomniał sobie o milczącej obecności Gaula i pośpiesznie przedstawił go gospodarzom. Bran aż zamrugał, gdy dowiedział się, że Gaul jest Aielem, zmarszczył brwi na widok jego włóczni oraz czarnej zasłony zwisającej na piersi z *shoufy*, ale jego żona najzwyczajniej w świecie powiedziała:

— Witamy w Polu Emonda, panie Gaul, oraz w gospodzie „Winna Jagoda”.

— Obyś zawsze miała cień i wodę, pani tego dachu — odpowiedział ceremonialnie Gaul, kłaniając się jej. — Ośmielam się prosić o pozwolenie na obronę twego dachu i siedziby.

Ledwie zawahała się, nim odpowiedziała, jakby słyszała takie rzeczy na co dzień.

— Łaskawa propozycja. Ale musisz pozwolić mi zachować prawo zdecydowania, kiedy taka pomoc będzie potrzebna.

— Jak powiadasz, pani tego dachu. Twój honor jest moim. — Spod swego kaftana Gaul wyciągnął złotą solniczkę, maleńki dzbanuszek przymocowany do grzbietu pięknie wykonanego lwa, i podał jej.

— Ofiarowuję mały podarek twemu domowi.

Marin al'Vere przyjęła go w taki sposób, jak postąpiłaby z każdym podarunkiem, jej oblicze jednak z trudem skrywało przeżyty szok. Perrin wątpił, by w całych Dwu Rzekach dało się znaleźć równie piękny drobiazg, z pewnością zaś nie wykonany ze złota. W Dwu Rzekach było bardzo niewiele złotych monet, a jeszcze mniej złotych ozdób. Miał nadzieję, że ona nigdy się nie dowie, iż to cacko stanowiło kiedyś własność skarbcza Łzy, jednak mógł się założyć, że tak właśnie było.

— Mój chłopcze — powiedział Bran — być może powinienem powiedzieć: „witaj w domu”, ale dlaczego wróciłeś?

— Dowiedziałem się o Białych Płaszczach, panie al'Vere — odpowiedział zwyczajnie Perrin.

Burmistrz wymienił z żoną ponure spojrzenia, a potem powiedział:

— Jednakże ponownie pytam, dlaczego wróciłeś? Nie możesz niczego zatrzymać, mój chłopcze, ani zmienić. Lepiej byłoby, gdybyś odszedł. Jeżeli nie posiadasz konia, dam ci jednego. Jeżeli masz, wskakuj na jego grzbiet i jedź na północ. Sądziłem, że Białe Płaszczki strzegą Taren Ferry... Czy to od nich pochodzi ta ozdoba na twojej twarzy?

— Nie. To...

— To nie ma znaczenia. Jeżeli udało ci się prześlizgnąć obok nich w jedną stronę, zapewne dasz radę wracając. Główny obóz znajduje się powyżej Wzgórza Czat, ale na ich patrole można natknąć się wszędzie. Zrób, jak powiadam, mój chłopcze.

— Nie zwlekaj, Perrin — pani al'Vere dodała szybko, lecz zdecydowanie, takim głosem, który zazwyczaj zamykał dyskusję i powodował, iż ludzie robili to, czego sobie życzyła. — Nie czekaj nawet godziny. Zapakuję ci węzełek, który będziesz mógł zabrać ze sobą. Trochę świeżego chleba i sera, trochę miodu i pieczonej wołowiny, pikle. Musisz uciekać, Perrin.

— Nie mogę. Wiecie więc, że im chodzi o mnie, w przeciwnym razie nie chcielibyście, abym uciekał. — I nie skomentowali koloru jego oczu, nie spytali nawet, czy nie jest chory. Pani al'Vere ledwie wyglądała na zaskoczoną. Wiedzieli. — Jeżeli im się poddam, mogę przerwać to wszystko...

Podskoczył, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi korytarza, a do środka weszła Faile, za nią zaś Bain i Chiad.

Pan al'Vere potarł dłonią łysą czoło, widząc odzienie Panien Włóczni identyczne z tym, które nosił Gaul, był tylko trochę zdziwiony, że ma przed sobą kobiety. Wyglądał, jakby zdenerwowało go raczej ich nagłe wtargnięcie. Pazur usiadł i podejrzliwie przyglądał się obcym. Perrin zastanawiał się, czy kot również i jego bierze za jednego z nich. Zastanawiał się także, w jaki sposób go znalazły i gdzie jest Loial.

Nie dała mu wiele czasu na zebranie myśli, stanęła przed nim, wsparła pięści na biodrach. W jakiś sposób udało jej się wykonać tę sztuczkę, do której były zdolne chyba jedynie kobiety — wydawała się wyższa tylko dlatego, że kipiała gniewem.

— Poddać się im? Czy to właśnie zaplanowałeś sobie od samego początku? Ty skończony idioto! Twój mózg już chyba zupełnie skamieniał, Perrinie Aybara. Od samego początku składałeś się z mięśni porośniętych włosami, ale teraz nie ma już nawet tego. Jeżeli Białe Płaszczki ścigają cię, to kiedy im się poddasz, zostaniesz powieszony. Dlaczego im na tobie zależy?

— Ponieważ zabijałem Białe Płaszczki. — Spojrzał na nią z góry, ignorując jęk pani al'Vere. — Tej nocy, kiedy ciebie spotkałem, a oprócz tego jeszcze dwóch wcześniej. Oni wiedzą o tamtych dwóch, Faile, i uważają mnie za Sprzymierzeńca Ciemności.

Wkrótce i tak dowie się wszystkiego. Gdyby przyparła go do muru, opowie-

działby jej, dlaczego to zrobił, ale tylko w cztery oczy. Przynajmniej dwóch z Białych Płaszczy, Geofram Bornhald oraz Jaret Byar, podejrzewało coś na temat jego związków z wilkami. Człowiek, który przestaje z wilkami, musi być Sprzymierzeńcem Ciemności. Być może jeden z tej dwójki lub nawet obaj należeli do Białych Płaszczy stacjonujących tutaj.

— Oni wierzą, że to prawda.

— Nie jesteś w większym stopniu Sprzymierzeńcem Ciemności niż ja — wyszeptała ochryple. — Prędzej słońce stanie się Sprzymierzeńcem Ciemności.

— To niczego nie zmienia, Faile. Muszę zrobić to, co konieczne.

— Ty otumaniony matole! Nie musisz robić żadnej z szaleńczych rzeczy! Ty gęsimózgu! Jeżeli spróbujesz coś takiego zrobić, sama, własnoręcznie, cię powieszę!

— Perrin — powiedziała spokojnie pani al' Vere — czy mógłbyś mnie przedstawić tej młodej kobiecie, która ma o tobie tak wysokie mniemanie?

Twarz Faile zapłonęła jaskrawą purpurą, kiedy zdała sobie sprawę, że zupełnie zignorowała pana i panią al' Vere. Zaczęła nagle się kłaniać w wyszukanie grzeczny sposób i kwieciście przeproszać. Bain i Chiad zachowały się tak samo jak Gaul, prosząc o pozwolenie na ochronę domostwa pani al' Vere i dając jej w prezencie złoty dzbanuszek zdobiony liśćmi oraz zdobny srebrny młynek do pieprzu, większy niż złożone pięści Perrina, którego szczyt wieńczyła jakaś fantastyczna istota, na poły koń, na poły ryba.

Bran al' Vere patrzył na to wszystko, marszcząc brwi, pocierając czoło i mrużąc coś pod nosem. Perrin postłuszał powtarzające się słowo „Aielowie”, wypowiedziane tonem pełnym niedowierzania. Burmistrz bez przerwy spoglądał przez okno. Nie zdziwiłby się na widok kolejnych Aielów, ponieważ zaskoczony był jedynie wówczas, gdy dowiedział się, że Gaul jest Aielem. Być może obawiał się wizyty Białych Płaszczy.

Marin al' Vere natomiast, przeciwnie niż mąż, wzięła całą sprawę w swoje ręce, traktując Faile, Bain i Chiad w ten sam sposób, jak wszystkie inne podróżujące kobiety, którym zdarzało się przekroczyć próg gospody; ze współczuciem wypytywała o trudy podróży, podziwiała suknię Faile do konnej jazdy — dzisiaj był to ciemnoniebieski jedwab — i opowiadała Aielom, jak bardzo podoba jej się kolor i blask ich włosów. Perrin podejrzewał, że Bain i Chiad zapewne nie wiedzą do końca, jak ją traktować, ale nie minęło wiele czasu, gdy za pomocą szczególnego rodzaju macierzyńskiego zdecydowania usadziła je przy stole, wyposażyła w mokre ręczniki, którymi mogły zetrzeć podróżny kurz z twarzy i dłoni, a potem poczęstowała herbatą, którą nalewała z wielkiego, pomalowanego w czerwone paski dzbanuszka, który pamiętał tak dobrze.

Zabawny był widok tych groźnych, gwałtownych kobiet — bez wahania zaliczył do nich również Faile — nagle gorliwie zapewniających panią al' Vere, że jest im bardziej niż wygodnie, że niczego im nie trzeba, że dostatecznie już dużo

dla nich zrobiła; zabawne było widzieć, jak siedzą z szeroko otwartymi oczyma, niczym dzieci pozbawione najmniejszej możliwości stawienia jej oporu. Widok ten byłby zabawny, gdyby w istocie w podobny sposób nie zdobyła jego i Gaula, których również posadziła za stołem domagając się, by umyli ręce i twarze, zanim dostaną filiżankę herbaty. Gaul przez cały czas nieznacznie się uśmiechał — posiadał osobliwe poczucie humoru.

Ku jego zaskoczeniu nie spojrzała ani razu na jego łuk i topór ani na broń Aielów. W Dwu Rzekach ludzie rzadko nosili choćby łuk, a ona zawsze nalegała, by odłożyli broń na bok, zanim zasiądą do stołu. Zawsze. Teraz jednak nie zwracała na nią uwagi.

Kolejna niespodzianka spotkała go, gdy Bran postawił przy jego łokciu srebrny kubek wypełniony co najmniej do połowy jabłkową brandy zamiast porcją trunku, nie większą niż naparstek, jaką zazwyczaj pili mężczyźni w gospodzie. W czasie gdy opuszczał Dwie Rzeki, zaproponowano by mu jabłecznik, o ile nie mleko, albo wino obficie rozcieńczone wodą, pół kubka do posiłku, cały zaś tylko z okazji świąt. Przyjemnie było wiedzieć, że jest się traktowanym jak dorosły mężczyzna, ale ledwie zwrócił na to uwagę. Przyzwyczyił się już do wina, rzadko jednak pijał coś mocniejszego.

— Perrin — zaczął burmistrz, gdy tylko zajął miejsce obok żony — nikt nie wierzy, że jesteś Sprzymierzeńcem Ciemności. Nikt, kto zachował choć resztkę zdrowych zmysłów. Nie ma powodu, dla którego miałby cię powiesić.

Faile pokiwała głową, gwałtownie przytakując, ale Perrin nie zwrócił na nią uwagi.

— Nie pozwolę się zawrócić z wybranej drogi, panie al'Vere. Białe Płaszczki chcą mnie złapać, a jeśli im się nie uda, mogą zwrócić się przeciwko najbliższemu Aybary, jaki im wpadnie w ręce. Białe Płaszczki nie potrzebują wiele, by postanowić, że ktoś jest winien. To nie są mili ludzie.

— Wiemy — powiedziała cicho pani al'Vere.

Jej mąż wpatrywał się w swe dłonie zaplecione na stole.

— Perrin, twoja rodzina odeszła.

— Odeszli? Chcesz powiedzieć, że ich farmę spalono już? — Dłoń Perrina zacisnęła się wokół srebrnego kubka. — Miałem nadzieję, że zdążę na czas. Powinienem wiedzieć lepiej, jak mniemam. Zbyt dużo czasu minęło, odkąd dotarły do mnie wieści. Być może będę w stanie pomóc mojemu tacie i wujkowi Ewardowi w odbudowie. Gdzie oni się zatrzymali? Chciałbym ich przynajmniej odwiedzić w pierwszej kolejności.

Bran skrzywił się, a jego żona uspakajająco pogłaskała go po ramieniu. Kiedy jednak dziwnym trafem jej spojrzenie spoczęło na Perrinie, zobaczył w jej oczach tylko smutek i litość.

— Oni nie żyją, mój chłopcze — wykrztusił z siebie Bran.

— Nie żyją? Nie. To nie może być...

Perrin zmarszczył brwi, czując znieczeka wilgoć płynącą między palcami, i spojrzął w dół na zgnieciony kubek, jakby się zastanawiał, skąd się tam wziął.

— Przykro mi. Nie chciałem. . . — Sięgnął po spłaszczone srebro, starając się wyprostować je samymi palcami. W taki sposób nie mogło mu się udać. Oczywiście, że nie. Bardzo ostrożnie postawił zniszczony kubek na środku stołu. — Zrobię wam inny. Potrafię. . .

Wytarł dłoń o kaftan i nagle pojął, że gładzi topór wiszący przy pasie. Dlaczego wszyscy mu się tak przyglądają?

— Jesteście pewni? — Jego głos rozbrzmiewał we własnych uszach, jakby dobiegał z oddali. — Adora i Deselle? Paet? Moja matka?

— Wszyscy — powiedział Bran. — Twoje ciotki i wujowie również, a także twoi kuzyni. Wszyscy, którzy mieszkali na farmie. Pomagałem ich pogrzebać, mój chłopcze. Na tym niskim pagórku, gdzie rosną jabłonie.

Perrin wsadził kciuk w usta. To straszna głupota skaleczyć się własnym toporem.

— Moja matka lubi kwiecie jabłoni. Białe Płaszcze. Dlaczego oni mieliby. . . ? Niech szczenę. Paet miał dopiero dziewięć lat. Dziewczeta. . . — Mówił głosem zupełnie pozbawionym wyrazu. Zdziwił się, że nie czuje nic. Żadnych uczuć. Powinien chyba zawrzeć jakieś emocje w tych słowach. Jakieś uczucie.

— To były trolloki — szybko dodała pani al'Vere. — One wróciły, Perrin. Nie w taki sposób, jak to było za pierwszym razem, teraz nie zaatakowały wioski, ale grasują po okolicy. Większość farm stojących samotnie została opuszczona. Nikt nie wychodzi na zewnątrz po nocy, nawet w pobliżu wioski. Tak samo jest od Deven Ride aż do Wzgórza Czat, a być może nawet i w Taren Ferry. Białe Płaszcze, niezależnie od tego, że nie są nazbyt dobrzy, stanowią naszą jedyną ochronę. Wiem o tym, że uratowali dwie rodziny, gdy trolloki zaatakowały ich farmy.

— Chciałem. . . Miałem nadzieję. . .

Nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć, czego właściwie chciał. Chodziło o coś z trollokami. Nie potrafił sobie przypomnieć. Białe Płaszcze chronią Dwie Rzeki? Tego było aż za dużo, miał ochotę się roześmiać.

— Ojciec Randa. Farma Tama. To też były trolloki?

Pani al'Vere otworzyła usta, ale Bran wszedł jej w słowo.

— On zasługuje na prawdę, Marin. To były Białe Płaszcze, Perrin. Tam i w siedzibie Cauthona.

— Rodzina Mata również? Randa, Mata i moja.

Dziwne. Jego głos brzmiał tak beznamiętnie, jakby rozmawiał o pogodzie.

— Czy oni również nie żyją?

— Żyją, mój chłopcze. Żyją, Abell i Tam ukrywają się gdzieś w Zachodnim Lesie. I matka Mata oraz jego siostry. . . Również żyją.

— Ukrywają się?

— Nie ma potrzeby dalej tego roztrząsać — Powiedziała szybko pani al'Vere. — Bran, przynieś mu następny kubek brandy. A ty wypij ten, Perrin. — Jej mąż dalej nie ruszał się z miejsca, dopiero groźny grymas brwi skłonił go do wstania od stołu. — Zaproponowałabym ci łóżko, ale tu nie jest bezpiecznie. Pewni ludzie pognaliby na poszukiwanie lorda Bornhald, gdyby się dowiedzieli, że jesteś tutaj. Eward Congar i Hari Coplin łaszą się do Białych Płaszczy niczym dobrze wytresowane psy, chętni przypodobać się i wyznać wszystko, co wiedzą, a Cenn Buie nie jest o wiele lepszy. A także Will Congar chętnie donosiłby tamtym, gdyby Daise go nie powstrzymała. Ona jest teraz Wiedzącą. Perrin, lepiej będzie jak sobie pójdziesz stąd. Wierz mi.

Perrin powoli pokręcił głową; tego wszystkiego było za dużo, by był w stanie jakoś to przyjąć. Daise Congar Wiedzącą? Ta kobieta była zbudowana niczym byk. Białe Płaszczki chronią Pole Emonda? Harti, Eward i Witt współpracują z nimi. Niczego więcej nie można by się spodziewać od Congarów czy Coplinów, ale Cenn Buie był członkiem Rady Wioski. Lord Bornhald. A więc Geofram Bornhald jest tutaj. Faile patrzyła na niego, jej oczy były wielkie i wilgotne. Dlaczego jej miałyby się zbierać na płacz?

— Jest jeszcze coś, Brandelwynie al'Vere — powiedział nagle Gaul. — Zdradza to twoja twarz.

— Jest — przyznał Bran.

— Nie, Marin — dodał zdecydowanie, gdy lekko potrząsnęła głową. — On zasługuje na prawdę. Na całą prawdę.

Z westchnieniem zaplotła dłonie. Marin al'Vere zazwyczaj udawało się przeprowadzić swoją wolę, wyjąwszy moment, gdy twarz Brana przybierała wyraz stanowczy, jak w tej chwili.

— Jaką prawdę? — zapytał Perrin.

Jego matka lubiła kwiaty jabłoni.

— Przede wszystkim z Białymi Płaszczkami jest Padan Fain — ciągnął dalej Bran. — Teraz nazywa się Ordeith, ale to on, ma to samo zezowate spojrzenie.

— On jest Sprzymierzeńcem Ciemności — powiedział nieobecny głosem Perrin.

Adora i Deselle wiosną zawsze wplatały we włosy kwiaty jabłoni.

— Słyszałem to z jego własnych ust. To on sprowadził trolloki tamtej Zimowej Nocy.

Paet lubił się wspinać na jabłonie; zniecacka potrafił obrzucić cię jabłkami, jeśli się go nie pilnowało.

— Doprawdy — ponuro zauważył Burmistrz. — Cóż, to interesujące. Cieszy się poważaniem wśród Białych Płaszczy. Po raz pierwszy usłyszeliśmy o nich, jak spalili farmę Tama. To była robota Faina, on prowadził Białe Płaszczki, które to zrobiły. Tam al'Thor naszpikował czterech lub pięciu strzałami, a potem uciekł do lasu i dotarł do farmy Cauthona w sam czas, aby ich powstrzymać przed

zabranie Abella. Jednak aresztowali Natti i dziewczęta. Oraz Harala Luhhana i Alsbet. Sądzę, że Fain chciałby ich powiesić, ale lord Bornhald się na to nie zgodził. Oczywiście, również ich nie wypuścił. O ile wiem, nie stała im się żadna krzywda, jednak trzymają ich w obozie Białych Płaszcy koło Wzgórza Czat. Z jakiegoś powodu Fain nienawidzi ciebie, Randa i Mata. Oferuje sto sztuk złota za każdego z waszych krewnych; dwieście za Tama i Abella. Natomiast lord Bornhald w szczególny sposób zdaje się interesować tobą. Kiedy pojawia się tutaj patrol Białych Płaszcy, zazwyczaj przyjeżdża z nimi i wypytuje o ciebie.

— Tak — powiedział Perrin. — Oczywiście. Nie ma w tym nic dziwnego.

Perrin z Dwu Rzek, który poluje razem z wilkami. Sprzymierzeniec Ciemności. Fain mógł dopowiedzieć im resztę.

„Fain z Synami Światłości?”

To była odległa myśl. Jednak lepiej myśleć o tym niż o trollokach. Skrzywił się, wpatrując w swoje dłonie, oparł je o stół, by nie drżały.

— Chronią was przed trollokami.

Marin al' Vere nachyliła się do niego, zmarszczyła czoło. — Perrin, potrzebujemy Białych Płaszcy. Tak, spalili farmę Tama i Abella, aresztują ludzi i zachowują się tak, jakby wszystko, co widzą, stanowiło ich własność, ale Alsbet, Natti oraz wszystkim pozostałym nie wyrządzili żadnej krzywdy, tylko trzymają ich w zamknięciu, a to się da z czasem jakoś odkręcić. Na kilku drzwiach pojawił się Kieł Smoka, ale nikt poza Congarami i Coplinami nie przywiązuje do tego najmniejszego znaczenia, a zapewne to właśnie oni go nabazgrali. Abell i Tam mogą się jeszcze długo ukrywać w lesie, do czasu aż Białe Płaszcze odejdą. Wcześniej czy później musi to nastąpić. Ale dopóki są tu trolloki, potrzebujemy ich. Proszę, zrozum. To nie jest tak, że wolelibyśmy raczej ich niżli ciebie, ale potrzebujemy ich i jednocześnie nie chcemy, by cię powiesili.

— Czy nazywasz to ochroną, pani tego dachu? — zapytała Bain. — Jeżeli prosisz lwa, aby ochronił cię przed wilkami, wybierasz tylko ten żołądek, w którym zamierzasz skończyć.

— Czy nie możecie obronić się sami? — dodała Chiad. — Widziałam, jak walczą Perrin i Mat Cauthon, a także Rand al'Thor. Oni są z tej samej krwi, co wy.

— Jesteśmy farmerami, prostymi ludźmi. Lord Luc ciągle mówi o organizowaniu ludzi do walki z trollokami, ale pójdzie z nim oznaczałoby dla mężczyzn pozostawienie swoich rodzin bez ochrony — rzekł Bran i westchnął.

Perrin kompletnie się zgubił. Kim jest lord Luc? Zadał pytanie, a pani al' Vere odpowiedziała mu.

— Przybył do nas mniej więcej w tym samym czasie co Białe Płaszcze. Znasz tę opowieść, *Wielkie Polowanie na Róg*? Lord Luc sądzi, że Róg Valere znajduje się gdzieś w Górach Mgły, nad Dwoma Rzekami. Ale zrezygnował ze swego polowania ze względu na nasze problemy. Lord Luc jest wielkim dżentelmenem,

o najbardziej wyszukanych manierach.

Przyglądziła włosy, na jej ustach pojawił się pełen aprobaty uśmiech. Bran spojrział na nią z ukosa i chrząknął gniewnie.

Myśliwi polujący na Róg. Trolloki. Dwie Rzeki kompletnie nie przypominały miejsca, które opuścił.

— Faile jest również Myśliwą polującą na Róg. Czy znasz tego lorda Luca, Faile?

— Ja mam tego dosyć — oznajmiła. Potem podeszła do Perrina, objęła jego głowę i przytuliła ją do swego brzucha.

— Twoja matka nie żyje — powiedziała cicho. — Twój ojciec nie żyje. Twoje siostry nie żyją, a także twój brat. Twoja rodzina pomarła i nie potrafisz już tego zmienić. Z pewnością nie przez śmierć swoją. Pozwól sobie na żal. Nie duś jej w swym wnętrzu, gdzie zacznie się jątrzyć.

Wziął ją za ramiona, mając zamiar odsunąć od siebie, ale z jakiegoś powodu tylko zacisnął dłonie, jakby ten uścisk był jedyną rzeczą, która go podtrzymywała. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że płacze, że łka w jej suknię niczym dziecko. Co ona musi sobie o nim pomyśleć? Otworzył już usta, żeby powiedzieć jej, że wszystko jest w porządku, przeprosić za swoje załamanie, ale zdobył się tylko na tyle:

— Nie mogłem przyjechać wcześniej. Nie mogłem... Nie...

Zacisnął zęby, żeby powstrzymać potok skarg.

— Wiem — wyszeptala, strosząc mu włosy w obecności całego świata, jakby był małym chłopcem. — Wiem.

Chciał przestać, ale im dłużej zapewniała go, że rozumie, tym bardziej płakał, jakby jej delikatne ręce spoczywające na jego głowie wyciskały zeń łzy.



## ZA DEBEM

Wtulony w Faile, Perrin zupełnie zatracił poczucie czasu. Nie miał pojęcia, jak długo płakał. Przed oczyma przelatowały mu wizerunki najbliższych — roześmiany ojciec pokazujący mu, jak trzymać łuk, matka śpiewająca podczas przędzenia wełny, Adora i Deselle dokuczające mu, gdy ogolił się pierwszy raz, Paet wpatrzony w barda wytrzeszczonymi oczyma, dawno temu, podczas Niedzieli. Obrazy grobów, zimnych i samotnych obok siebie. Płakał, dopóki starczyło mu łez. Kiedy na koniec przestał, zorientował się, że zostali sami w izbie, nie licząc Pazura, który mył się, siedząc na szczycie baryłki. Czuł się lepiej wiedząc, że pozostali wyszli z pomieszczenia i nie oglądali go w takim stanie. Już obecność Faile wystarczająco zawstydziała. A jednak w pewnym sensie zadowolony był, że z nim została; żałował tylko, że widziała i słyszała wszystko.

Trzymając jego dłonie w swoich, Faile zasiadła na sąsiednim krześle. Była tak piękna z tymi wielkimi, ciemnymi oczyma o lekko nakrapianych tęczęwkach oraz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby ją przeprosić za to, jak ją traktował przez kilka ostatnich dni. Ona zapewne wymyśli, jak zmusić go, by za wszystko odpowiednio zapłacił.

— Czy zrezygnowałeś już z pomysłu poddania się Białym Płaszczom? — zapytała. W jej głosie nie pozostał nawet ślad, który wskazywałby, że jeszcze przed chwilą obserwowała go płaczącego jak dziecko.

— Wychodzi na to, że nie przyniosłoby to niczego dobrego. Niezależnie od tego, co zrobię, będą dalej ścigać ojca Randa i ojca Mata. Moja rodzina... — Szybko puścił jej dłonie, ale ona nawet nie mrugnęła, tylko uśmiechnęła się lekko. — Muszę uwolnić pana Luhhana i jego żonę, jeśli tylko będę w stanie, oraz matkę i siostry Mata; obiecałem mu, że będę się nimi opiekował. I trzeba zrobić coś z tymi trollokami.

Być może ten lord Luc będzie miał jakieś pomysły. Przynajmniej Brama została zablokowana, nic już nie wydobędzie się z Dróg. Szczególnie chciał zrobić coś z tymi trollokami.

— Nie uda mi się niczego dokonać, jeśli pozwolę na to, by mnie powiesili.

— Bardzo się cieszę, że wreszcie dotarło to do ciebie — powiedziała sucho. — Jakież jeszcze głupie pomysły na temat odsyłania mnie?

— Nie.

On zbierał siły przed burzą, ona jednak zwyczajnie pokiwała głową, jakby to jedno słowo stanowiło wszystko, na co czekała i czego pragnęła. Drobną rzecz, nic, o co warto było się kłócić. Zamierzała sprawić, że zapłaci najwyższą cenę.

— Jest nas pięcioro, Perrin, sześcioro, jeżeli Loial się zgodzi. A jeśli uda nam się znaleźć Tama al'Thora i Abella Cauthona... Czy oni równie dobrze sobie radzą z łukiem jak ty?

— Lepiej — odrzekł z przekonaniem. — Są dużo lepsi.

Krótkie, nie dowierzające skinienie głowy.

— Wobec tego będzie nas ośmioro. Na początek. Być może później dołączą do nas pozostali. No i jest ten lord Luc. On przypuszczalnie będzie chciał dowodzić, ale jeżeli nie jest niespełna rozumu, nie będzie to miało znaczenia. Chociaż trudno się spodziewać po kimś, kto złożył Przysięgę Myśliwego, że jest człowiekiem rozsądnym. Spotykałam już takich, którym się zdawało, że połknęli wszystkie rozумы, a na dodatek uparci byli jak muły.

— Wiem. — Spojrzała na niego ostro, a jemu udało się stłumić wykwitający na twarzy uśmiech. — To znaczy, że spotykałaś takich. Sam kiedyś widziałem dwóch, stąd wiem.

— Och, tamci. Cóż, możemy mieć tylko nadzieję, że lord Luc nie jest próżnym kłamcą i samochwałem. — W jej oczach rozbłysło nagle światło, ścisnęła mocniej jego dłoń, jakby chciała dodać swoją siłę do jego. — Będiesz zapewne chciał odwiedzić swoją rodzinną farmę. Pojadę z tobą, jeśli mi pozwolisz.

— Kiedy będę mógł, pojadę, Faile.

Nie teraz jednak. Jeszcze nie. Gdyby w tej chwili miał oglądać ten rząd grobów pod jabłoniami... To było zupełnie niezwykle. Zawsze traktował swoją siłę jako coś zupełnie oczywistego, a teraz okazało się, że w ogóle nie jest silny. Cóż, rozplakał się jak małe dziecko. Najwyższy czas zrobić coś po męsku.

— Najpierw rzeczy najważniejsze. Myślę, że powinniśmy zacząć od znalezienia Tama i Abella.

W drzwiach wiodących do wspólnej sali ukazała się głowa pana al'Vere, kiedy zobaczył, że spokojnie siedzą przy stole, śmiało wszedł do środka.

— W kuchni jest ogir — zwrócił się do Perrina, wpatrując w niego ogłupiałym spojrzeniem. — Ogir. Pije herbatę. Największa filiżanka w jego dłoniach wygląda...

Złożył dwa palce, jakby chciał schwytać naparstek.

— Być może Marin potrafi udawać, że codziennie właściwie gościmy Aielów w naszej gospodzie, ale na widok Loiala omal nie zemdląca. Nalałem jej podwójną porcję brandy, a ona wypła ją jak wodę. Omal nie wypłała płuc, tak kaszłała, zwykle nie pija nic mocniejszego niż wino. Myślę jednak, że gdybym nalał jej ponownie, to też by wypła. — Nagle zacisnął usta i wbił wzrok w jakąś nie istniejącą plamkę na nieskazitelnie białym fartuchu. — Czy już czujesz się lepiej,

mój chłopcze?

— Czuję się dobrze, panie al'Vere — pośpiesznie odrzekł Perrin. — Panie al'Vere, nie możemy tu dłużej zostać. Ktoś może donieść Białym Płaszczom, że mnie ukrywacie.

— Och, nie ma aż tak wielu, którzy by się na to zdobyli. Nie wszyscy Coplinowie i również nie każdy Congar. — Nie zaproponował im jednak, by zostali.

— Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć pana al'Thora i pana Cauthona?

— Zazwyczaj przebywają w Zachodnim Lesie. — Powiedział powoli Bran. — To wiem na pewno. Nie pozostają długo w jednym miejscu. — Zaplótł palce na wydatnym brzuchu i przekrzywił głowę na bok. — Nie masz zamiaru stąd odjechać, nieprawdaż? No cóż. Powiedziałem Marin, że tego nie zrobisz, ale nie chciała mi wierzyć. Ona sądzi, że lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś opuścił te strony... lepiej dla ciebie... i jak większość kobiet pewna jest, że jeśli dostatecznie długo będzie cię namawiać, to wreszcie zaczniesz patrzeć na wszystko jej oczami.

— Cóż, panie al'Vere — powiedziała słodko Faile — ja natomiast zawsze uważałam mężczyzn za rozumne stworzenia, które wybiorą właściwą drogę, jeśli im się ją najpierw wskaże.

Burmistrz obdarzył ją uśmiechem pełnym rozbawienia.

— A więc namówisz Perrina, by stąd odjechał, jak rozumiem? Marin ma rację, tak będzie najmądrzej, jeśli chce uniknąć stryczka. Jedynym powodem do zostania może być tylko to, że mężczyzna czasami nie ma prawa uciekać. Nie? Cóż, bez wątpienia ty wiesz lepiej. — Zignorował jej przykre spojrzenie. — Chodź, mój chłopcze. Przekażmy Marin dobre wieści. Zaciśnij zęby i skryj swe zamiary, ponieważ ona nie zaprzestanie prób mających na celu zmianę twojej decyzji.

Na podłodze w kuchni siedzieli ze skrzyżowanymi nogami Loial i Aielowie. Z pewnością w całej gospodzie nie było krzesła na tyle dużego, by udźwignęło ogira. Siedział więc na podłodze, z łokciem wspartym na blacie stołu, wystarczająco wielki, by móc spojrzeć Marin al'Vere prosto w oczy. Bran najwyraźniej przesadzał, mówiąc o tym, jak maleńka zdaje się filiżanka w dłoniach ogira, jednak dopiero po uważnym przyjrzeniu się Perrin stwierdził, że tamten pije herbatę z pokrytej białą emalią miski do zupy.

Pani al'Vere wciąż dokładała wszelkich wysiłków, by udawać, że Aielowie i ogiry to absolutnie normalna rzecz. Krzątała się dookoła nich z tacą, na której leżał chleb, ser oraz pikle, upewniając się, że nikomu niczego nie potrzeba, że wszyscy z apetytem jedzą, ale za każdym razem, gdy zawadziła spojrzeniem o ogira, rozszerzały jej się oczy, chociaż on starał się ją uspokoić, prawiając komplementy na temat jej pieczywa. Zakończony pędzelkami uszy ruszały się niespokojnie, ilekroć spojrzała na niego, natomiast ona w takich momentach drżała nerwowo, potem potrząsała głową, a gruby, siwiejący warkocz kołysał się energicznie. Gdyby dać im jeszcze kilka godzin, to oboje zapewne położyliby się do łóżek wstrząsani dreszczami.

Na widok Perrina Loial westchnął z ulgą i postawił swoją filiżankę — miseczkę — na stole, ale w następnej chwili jego szeroką twarz zasnuł smutek.

— Przykro mi słyszeć o twojej stracie, Perrin. Łączę się z tobą w żalu. Pani al'Vere... — Zastrzygł dziko uszami, nawet nie spoglądając na nią, ona zaś drgnęła. — ...mówiła mi, że odjedziesz stąd, że teraz nie masz tu już nic do roboty. Jeżeli zechcesz, zaśpiewam jabłoniom, zanim wyruszymy.

Bran i Marin wymienili zaskoczone spojrzenia, a Burmistrz tak się zapomniał, że otwarcie zaczął dłubać palcem w uchu.

— Dziękuję ci, Loial. Skorzystam z twojej propozycji, kiedy nadejdzie stosowny czas. Ale mam tu jeszcze coś do zrobienia, zanim wyjadę.

Pani al'Vere z ostrym trzaskiem ustawiła tacę na stole i wpatrzyła się w niego, ale nie pozwolił zbić się z tropu i spokojnie wyjaśnił swoje zamiary: znaleźć Tama al'Thora i Abella oraz uwolnić ludzi przetrzymywanych przez Białe Płaszczce. Nie nadmienił nic o trollokach, chociaż wiązał z nimi mgliste plany. Być może wcale nie były takie niejasne. Nie miał zamiaru wyjeżdżać, dopóki w Dwu Rzekach pozostanie choć jeden żywy trollok albo Myrddraal. Zatknał kciuki za pas, by powstrzymać się od mimowolnego głaskania ostrza topora.

— To nie będzie łatwe — powiedział na koniec. — Wdzięczny będę, jeśli zechcecie przyłączyć się do mnie, ale zrozumieć, jeżeli postanowicie odejść. To nie jest wasza walka, a trzymając się blisko ludzi z Pola Emonda, narazicie się na dostateczną ilość kłopotów. Poza tym, Loial, tutaj nie napiszesz zbyt wiele ze swej książki.

— Tu czy tam, to jest ten sam bój, jak sądzę — odparował Loial. — Książka może poczekać. Być może w ten sposób napiszę rozdział o tobie.

— Powiedziałem, że pójdę z tobą — wtrącił Gaul, mimo iż nikt go wcześniej nie pytał o zdanie. — Trudy podróży nie mają dla mnie znaczenia. Winien ci jestem dług krwi.

Bain i Chiad spojrzały pytająco na Faile, a kiedy pokiwała głową, również wyraziły pragnienie pozostania.

— Uparta głupota — powiedziała pani al'Vere — wszyscy jesteście siebie warci. Najpewniej skończycie na szubienicy, jeśli uda wam się dożyć do tego czasu. Wiecie o tym, nieprawdaż? — Kiedy spojrzeli na nią, rozwiązała fartuch i ściągnęła go przez głowę. — Cóż, jeśli okazaliście się na tyle głupi, by zostać, to przypuszczam, że najlepiej będzie, jak zaprowadzę was do miejsca, gdzie będziecie mogli się ukryć.

Jej mąż zdawał się zaskoczony tą nagłą rezygnacją, ale szybko doszedł do siebie.

— Sądzę, że najlepszy będzie stary lazaret, Marin. Teraz nikt już go nie odwiedza, a większa część dachu zapewne jeszcze się trzyma.

Budynek, wciąż nazywany nowym lazaretem, do którego zabierano chorych, aby zapewnić im odpowiednią opiekę, w przypadku gdy choroba okazywała się

zakaźna, stał na wschodnim krańcu wioski, za młynem pana Thane, od chłopięcych czasów Perrina. Stary zaś lazaret, w Zachodnim Lesie, został niemal całkowicie zniszczony podczas którejś z dawnych burz. Perrin zapamiętał budowlę na poły zarośniętą przez pnącza i krzaki dzikiej róży, z ptasimi gniazdami w resztkach strzechy, z leżem borsuka przy tylnych schodach. To będzie dobre miejsce na kryjówkę.

Pani al'Vere rzuciła Granowi ostre spojrzenie, jakby zaskoczyło ją, że o tym pomyślał.

— Przypuszczam, że się nada. Przynajmniej na dzisiejszą noc. Tam właśnie ich zaprowadzę.

— Nie ma potrzeby, żebyś ty się tym zajmowała, Marin. Ja z łatwością mogę wskazać im drogę, jeżeli Perrin jej nie pamięta.

— Czasami zapominasz, że jesteś Burmistrzem, Bran. Zwracasz na siebie uwagę, ludzie zaczną się zastanawiać, dokąd idziesz i co zamierzasz. Dlaczego nie zostaniesz tutaj? Gdyby ktoś wpadł do gospody, będziesz mógł rozwiązać wszelkie podejrzenia. W kociołku na piecu jest gulasz barani oraz zupa z soczewicy, którą należy tylko podgrzać. I oczywiście nikomu więcej nie mów o lazarecie, Bran. Lepiej, żeby nikt nawet nie pamiętał o jego istnieniu.

— Nie jestem głupcem, Marin — odrzekł sztywno.

— Wiem, że nie jesteś, mój drogi. — Poklepała męża po policzku, ale ten wyraz czułości wydał się wszystkim odrobinę nieszczerzy.

— Możesz sprowadzić na nas kłopoty — wymruczała, zanim zabrała się za wydawanie szczegółowych poleceń.

Mieli się przeprawić w małych grupkach, by nie przyciągać uwagi. Ona sama przejedzie przez wioskę i spotka się z nimi w lesie na jej przeciwległym krańcu. Aielowie zapewnili ją, że z łatwością znajdą rozszczepiony przez piorun dąb, który im szczegółowo opisała, i wyslizgnęli się tylnymi drzwiami. Perrin wiedział, o które drzewo chodzi, wielki dąb położony jakąś milę za skrajem wioski, który wyglądał, jakby rozłupał go cios jakiegoś potężnego topora, choć wciąż jeszcze jakoś żył i zielenił się każdej wiosny. Nie miał wątpliwości, że bez najmniejszych kłopotów mógłby dojść prosto do lazaretu, ale pani al'Vere nalegała, by wszyscy spotkali się przy dębie.

— Pójdiesz sam i Światłość jedna wie, na kogo się nadziejesz.

Spojrzała na Loiala — wstał już, zamiatając powałę swą kędzierzawą czupryną — i westchnęła.

— Chciałabym, żeby dało się coś zrobić z twoim wzrostem, panie Loialu. Wiem, że jest gorąco, ale czy nie mógłbyś nosić przez cały czas płaszcz z naciągniętym kapturem? Nawet w dzisiejszych czasach większość ludzi wciąż może przekonać samych siebie, że nie dostrzegli tego, co widzieli na własne oczy, jeśli się tego nie spodziewali, ale jedno spojrzenie na twoją twarz... Nie chodzi o to, żebyś nie był całkiem przystojny, bez wątplenia, ale nigdy nie uda ci się ujść za

mieszkańca Dwu Rzek.

Szeroki uśmiech Loiala niemalże przeciął na pół jego twarz pod szerokim, przypominającym zwierzęcy pysk nosem.

— Dzień wcale nie wydaje się nazbyt ciepły na płaszcz, pani al' Vere.

Poprawiając lekki, zrobiony na drutach szal z błękitnymi frędzlami wyprowadziła Perrina, Faile oraz Loiala na dziedziniec przed stajnią, a tam, przez chwilę, wyglądało na to, że wszelkie wysiłki utrzymania ich obecności w tajemnicy pójdą na marne. Cenn Buie, podobny do starego, skręconego korzenia, przyglądał się koniom paciorkowatymi oczyma. W szczególności zaś wysokiemu wierzchowcowi Loiala, wzrostem dorównującemu dhurranom Brana. Drapał się po głowie, wpatrując w ogromne siodło na grzbiecie potężnego rumaka.

Na widok Loiala jego oczy rozszerzyły się i opadła mu szczęka.

— Tr... tr.. trollok! — udało mu się na koniec wykrztusić.

— Nie rób z siebie starego głupca, Cennie Buie — skarciła go Marin, odchodząc parę kroków na bok, by przyciągnąć uwagę strzecharza. Perrin trzymał oczy spuszczone, wpatrywał się w swój łuk i nie mówił ani słowa. — Czy wyobrażasz sobie, że stałabym spokojnie w tylnych drzwiach swego domu w towarzystwie trolloka? — Parsknęła pogardliwie. — Pan Loial jest ogirem, o czym sam byś się przekonał, gdybyś nie był kłótniwy jak gęś, która woli skarżyć się bezustannie, zamiast zobaczyć to, co ma przed samym dziobem. Przejeżdża przez naszą wioskę i nie ma czasu na zadawanie się z takimi jak ty. Zajmij się lepiej swoimi sprawami i zostaw naszych gości w spokoju. Wiesz dobrze, że Corin Ayellin od miesiący ściga cię za partacką robotę, jaką wykonałeś na jej dachu.

Cenn przeżuł w ustach słowo „ogir”, stał w milczeniu, mrugając oczyma. Przez chwilę zdawało się, że wpadnie w złość, chcąc bronić efektów swej pracy, ale nagle jego spojrzenie padło na Perrina, a oczy zwęziły się.

— On! To on! Ścigają cię, ty szczeniaku, ty szubrawcze, który uciekasz z Aes Sedai, by zostać Sprzymierzeńcem Ciemności. To stało się podczas poprzedniej bytności trollków. A teraz wróciłeś, a one razem z tobą. Chcesz mi powiedzieć, że to tylko zbieg okoliczności? Co się stało z twoimi oczami? Jesteś chory? Przywlokłeś jakąś chorobę ze świata, by nas pozarażać, abyśmy wszyscy umarli, jakby nie dość było trolloków? Synowie Światłości zajmą się tobą. Możesz być tego pewien.

Perrin poczuł, jak Faile napina mięśnie, a kiedy zrozumiał, że sięga po nóż, szybko położył dłoń na jej ramieniu. Co ona sobie wyobraża? Cenn był irytującym starym głupcem, ale to jeszcze nie powód, żeby zaraz używać noża. Rozwścieczona szarpnęła głową, ale ostatecznie na tym geście poprzestała.

— Dosyć, Cenn — ostro przerwała mu Marin. — Zatrzymasz wszystko dla siebie czy też zaczniesz biegać do Białych Płaszczy z donosami, jak to robią Hari i jego brat Darl? Mam swoje podejrzenia co do przyczyny, dla której Białe Płaszczce przeszukały księgozbiór Brana. Zabrali sześć książek, a potem, pod jego

własnym dachem, przesłuchali go w sprawie herezji. Ze wszystkich możliwych rzeczy wymyślili sobie właśnie herezję! Ponieważ nie zgadzali się z tym, co ktoś napisał w książce. Masz szczęście, że nie zmusiłam cię, byś odkupił mu te książki. Szperali po całej gospodzie niczym łasice. W poszukiwaniu kolejnych „błuznierczych pism”, jak powiadali, jakby ktoś chciał ukrywać książki. Zerwali wszystkie materace z łóżek, brudząc moją lnianą pościel. Masz szczęście, że nie przywlokłam cię za grzbiet, byś wszystko poprał i uporządkował.

Z każdym jej zdaniem Cenn zapadał się coraz bardziej w sobie, w rezultacie kościste ramiona nieledwie sterczały mu ponad głowę.

— Niczego im nie powiedziałem, Marin — protestował. — Tylko dlatego, że człowiek wspom. . . to jest, chciałem rzec, tylko dlatego, że zdarzyło mi się powiedzieć. . . napomknąć. . . — Opanował się jakoś i odzyskał częściowo dawny rezon, wciąż jednak nie ośmielał się patrzeć w jej oczy. — Mam zamiar omówić tę sprawę z Radą, Marin. To znaczy jego sprawę. — Wykrzywionym palcem wskazał Perrina. — Dopóki on jest tutaj, wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli Synowie Światłości odkryją, że udzielasz mu schronienia, mogą obwinąć całą wioskę. Nie skończy się wówczas na pobrudzonej pościeli i rzeczach wywleczonych z szaf.

— To jest sprawa Koła Kobiet. — Marin owinęła szal wokół ramion i podeszła bliżej, stając oko w oko ze strzecharzem. Był nieco wyższy od niej, ale atmosfera grobowej powagi dodała jej jakby kilka cali wzrostu. Zaczął coś bełkotać, nie pozwoliła mu jednak wtrącić ani jednego słowa. — Sprawa Koła, Cennie Buie. Jeżeli sądzisz, że jest inaczej. . . jeśli w ogóle ośmielisz się pomyśleć o zarzuceniu mi kłamstwa. . . lepiej wcześniej ugryź się w język. Jeżeli choć szepniesz słowo o sprawach Koła Kobiet komukolwiek, włączając w to Radę Wioski. . .

— Koło nie ma prawa wtrącać się w sprawy Rady — krzyknął.

— . . . a przekonasz się, czy twoja żona nie każe ci przypadkiem spać w stodole. I jeść to, co zostawia po sobie twoje mleczne krowy. Sądzisz, że Rada ma pierwszeństwo względem Koła? Wyślę zaraz Daise Congar, by przekonała cię, jeśli nadal tego potrzebujesz, i wszystko ma się inaczej.

Cenn skurczył się w sobie na tyle, na ile tylko mógł. Jeżeli Daise Congar była Wiedzącą, to będzie zdolna zapewne przez cały następny rok wlewać mu w gardło jakieś paskudne mikstury, a Cenn był nazbyt chudy i wątyły, aby jej to utrudnić. Jediną kobietą w Polu Emonda, potężniej zbudowaną od Daise Congar, była Alsbet Luhhan, a Daise miała nadto paskudny charakter i usposobienie. Perrin nie potrafił wyobrazić sobie jej w roli Wiedzącej; Nynaeve może dostać rozstroju nerwowego, gdy dowie się, kto ją zastąpił. Ona sam zresztą wierzyła zawsze, że posiada przemiłe usposobienie.

— Nie ma potrzeby się złościć, Marin — wymamrotał pojednawczo Cenn. — Chcesz, żebym milczał, będę milczał. Obojętnie jednak, czy będzie to Koło Kobiet czy nie, ryzykujesz sprowadzenie nam wszystkim na karki Synów Światłości.

Marin tylko uniosła brew i po chwili Cenn wymknął się chyłkiem, mamrocząc coś pod nosem.

— Dobrze zrobione — powiedziała Faile, kiedy Cenn zniknął za rogiem gospody. — Myślę, że powinnam pobierać u ciebie lekcje. Nawet w połowie nie potrafię sobie tak dobrze dać rady z Perrinem, jak ty z panem al' Vere i z tym człowiekiem. — Uśmiechnęła się do Perrina, by upewnić go, że żartuje. Przynajmniej on miał nadzieję, że jej uśmiech to właśnie znaczył.

— Musisz wiedzieć, kiedy skrócić im smycz — odpowiedziała starsza kobieta — a czasami trzeba im pozwolić, by zrobili to, co sobie wbili do głowy. — Marszcząc czoło, patrzyła w ślad za Cennem, nie do końca zwracając uwagę na to, co mówi, wyjąwszy może moment, gdy dodała: — A niektórych to można już tylko spętać i zostawić w stajni.

Perrin rozpaczliwie starał się wtrącić jakieś słowo. Faile z pewnością nie potrzebowała tego typu porad.

— Czy on rzeczywiście będzie trzymał język za zębami, jak pani myśli, pani al' Vere?

— Wierzę, że będzie — odparła. — Wprawdzie Cenn urodził się chyba z bólem zębów, a z upływem lat stawał się tylko coraz gorszy, ale nie jest taki jak Hari Coplin.

Wciąż jednak nie potrafiła nadać pewności swemu głosowi.

— Lepiej ruszajmy — zaproponował. Nikt nie protestował.

Słońce stało wyżej na niebie, niżli się spodziewał, minęło już południe, co oznaczało, że większość ludzi przebywa w swoich domach na obiedzie. Tych kilku, którzy zostali na dworze — będą to zapewne chłopcy pasący owce i krowy — również zajmie się spożywaniem posiłków, które przyniesiono im owinięte w płótno; będą zbyt zajęci swoim jedzeniem, za daleko od drogi, po której jeżdżą wozy, by zwracać uwagę na to, kto przechodzi obok. Jednakże, jak się później okazało, postać Loiala przyciągnęła kilka niespokojnych spojrzeń, mimo głębokiego kaptura, ocieniającego twarz. Nawet na grzbiecie Steppera Perrin nie sięgał ogirowi do jego szerokiej piersi, kiedy ten dosiadał swego wysokiego wierzchowca. Dla ludzi obserwujących ich z oddali musieli wyglądać jak dorosły z dwójką dzieci na kucykach, prowadzący za sobą juczne kuce. Z pewnością nie był to normalny widok, Perin jednak miał nadzieję, że ci, którzy ich widzieli, tak sobie właśnie pomyślą. Plotki mogły przyciągnąć czyjaś uwagę. Musiał się starać, by nie dawać powodów do ich powstawania, zanim nie uwolni pani Luhhan i pozostałych. Gdyby tylko Cenn nie rozповідаł. Sam również naciągnął kaptur swego płaszcza. I to też mogło stać się przedmiotem komentarzy, ale na pewno nie takich, jakie rozniosłyby się w przypadku, gdyby ktoś zobaczył jego brodę i definitywnie stwierdził, że z pewnością nie może być dzieckiem.

Nie miał kłopotów ze znalezieniem rozszczepionego dębu, którego wewnętrzna część poczerniała i stwardniała niczym żelazo, ziemia pod szerokimi rozłoży-



stymi gałęziami była goła. Zwyczajny przejazd przez wioskę był zdecydowanie szybszy niż okrążanie jej dookoła, dlatego też pani al'Veve już na nich czekała. Aielowie również byli na miejscu, przykucnęli na ściółce zwiędłych dębowych liści, zasłanej łupinami zjedzonych przez wiewiórki żołądki; Gaul siedział w pewnej odległości od dwóch kobiet. Panny i Gaul obserwowali siebie nawzajem z równą czujnością co otaczający ich las. Perrin nie miał wątpliwości, że udało im się dotrzeć do tego miejsca niepostrzeżenie. Żałował, że nie posiada takich umiejętności, wprawdzie sam nieźle potrafił skradać się w lesie, lecz Aielom było chyba obojętne, czy ukrywają się w lesie, na polu czy w mieście. Kiedy nie chcieli, żeby ich dostrzeżono, zawsze znajdowali sposób, by się tak stało.

Pani al'Veve uparła się resztę drogi pokonać pieszo utrzymując, że teren jest zbyt zarośnięty na konną jazdę. Perrin nie zupełnie się z nią zgadzał, ale ostatecznie zsiadł z konia. Z pewnością nie było najwygodniej, samemu idąc pieszo, prowadzić konnych. W każdym razie głowę przepełniały mu najrozmaitsze plany. Powinien obejrzeć obóz Białych Płaszczy przy Wzgórzu Czat, zanim zdecyduje, w jaki sposób uwolnić panią Luhhan i pozostałych więźniów. A gdzie ukryli się Tam i Abell? Ani Bran, ani pani al'Veve nie powiedzieli nic na ten temat, być może sami nie wiedzieli. Jeżeli Tam i Abell dotąd nie uwolnili więźniów, musiało to być doprawdy trudne. On jednak wymyśli sposób. Potem będzie się mógł zająć trollkami.

Nikt z wioski od lat już nie przemierzał tej drogi, ścieżka niemalże zarosła, jednak pod wysokimi drzewami roślinność nie pleniła się tak bujnie. Aielowie przemykali bokiem w absolutnej ciszy, ale zgodnie z naleganiami pani al'Veve trzymali się blisko pozostałych. Loial mruczał z aprobatą na widok wielkich dębów, szczególnie okazałej jodły czy skórzanego liścia. Czasami w gałęziach drzew rozlegał się śpiew przedrzeźniacza lub gila, raz Perrin wyczuł zapach lisa przyczajonego obok ich ścieżki.

Nagle jego nozdrza pochwyciły zapach człowieka, którego przed chwilą wcale tam nie było, usłyszał cichy szelest. Aielowie sprężyli się, przykucnęli z gotowymi do ataku włóczniami, a Perrin sięgnął do kołczana.

— Zachowajcie spokój — powiedziała z naciskiem pani al'Veve, gestem nakazując opuścić broń.

Nagle przed nimi pojawiło się dwu mężczyzn; wysoki, ciemnowłosy i szczupły stał po lewej stronie, niższy, krępy i siwiejący po prawej. Obaj trzymali w dłoniach łuki, ze strzałami nałożonymi na cięciwy, gotowi w jednej chwili podnieść je i naciągnąć. Przy pasach, na biodrach wisały kołczany, po przeciwnej stronie miecze. Obaj nosili płaszcze, które zdawały się wtapiać w otaczającą roślinność.

— Strażnicy! — wykrzyknął Perrin. — Dlaczego pani nam nie powiedziała, że są tu Aes Sedai, pani al'Veve? Pan al'Veve również o tym nie wspominał. Dlaczego?

— Ponieważ nic nie wiedział — odrzekła pośpiesznie. — Nie kłamałam mó-

więc, że to sprawa Koła Kobiet. — Przeniosła wzrok na dwóch Strażników, żaden z nich nawet na chwilę nie odprężył się. — Thomas, Ihvon, znacie mnie. Opuśćcie te łuki. Wiecie, że nigdy nie przyprowadziłabym tu nikogo, kto chciałby wam zrobić krzywdę.

— Ogir — powiedział ten siwowłosy — Aielowie, człowiek o żółtych oczach. . . oczywiście ten, którego poszukują Białe Płaszczce. . . oraz ognista młoda dziewczyna z nożami.

Perrin spojrział na Faile, trzymała w dłoni ostrze gotowe do rzutu. Nie sposób było odmówić racji jej zachowaniu. To mogli być Strażnicy, jednak najdrobniejszym znakiem nie zdradzali, że mają zamiar opuścić łuki. Aielowie również gotowi byli natychmiast zatańczyć włócznie, nie tracąc nawet czasu na zasłonięcie twarzy.

— Dziwne towarzystwo, pani al'Vere — ciągnął dalej siwowłosy Strażnik. — Zobaczmy. Ihvon?

Szczuplejszy mężczyzna pokiwał głową i zanurkował w poszycie leśne; Perrin ledwie mógł usłyszeć, jak przemykał się przez gąszcz.

— Co masz na myśli, nazywając to sprawami Koła Kobiet? — dopytywał się Perrin. — Rozumiem, że Białe Płaszczce mogłyby narobić kłopotów, gdyby się dowiedziały o Aes Sedai i dlaczego nie mówisz nic Hari Coplinowi, ale dlaczego trzymać to w tajemnicy przed Burmistrzem? I przed nami?

— Ponieważ tak obiecałyśmy — powiedziała z rozdrażnieniem pani al'Vere.

Jej irytacja zdawała się w równej mierze dotyczyć Perrina, jak i pilnującego ich Strażnika — jego zachowanie doprawdy trudno byłoby określić innym słowem — a nawet, w najmniejszym stopniu, samych Aes Sedai.

— Były na Wzgórzu Czat, kiedy pojawiły się Białe Płaszczce. Nikt nie wiedział kim są, wyjąwszy członkinie tamtejszego Koła Kobiet, które przyprowadziły je do nas, byśmy je ukryły. To jest najlepszy sposób na dochowanie tajemnicy, jeżeli wie o niej jak najmniej osób. Znam dwie kobiety, które powstrzymują się przed spaniem w łóżkach swych mężów w obawie, iż mogłyby coś powiedzieć przez sen. Zgodziłyśmy się utrzymać wszystko w tajemnicy.

— Dlaczego teraz postanowiłaś to zmienić? — zapytał twardym głosem Strażnik.

— Z powodów, które uznałam za odpowiednie i wystarczające, Thomas. — Ze sposobu, w jaki poprawiała szal, Perrin wywnioskował, że wołałaby, aby Koło oraz Aes Sedai przyznały jej rację. Plotki głosiły, że Koło Kobiet potrafi być znacznie bardziej nieprzyjemne względem swoich członkiń, niż bywało wobec reszty mieszkańców wioski. — Gdzie mogłabym cię lepiej ukryć, Perrin, niż w towarzystwie Aes Sedai? Wkrótce sam się przekonasz. Musisz po prostu mi zaufać.

— Są Aes Sedai i Aes Sedai — odrzekł na to Perrin.

Jednak te, które uważał za najgorsze, Czerwone Ajah, nie nakładały zobowiązań na Strażników; Czerwone Ajah w ogóle raczej nie lubiły mężczyzn. Ten

Thomas ma takie ciemne, nieruchome oczy. Bez wątpienia mogliby go pokonać albo jeszcze lepiej, zwyczajnie mu uciec, ale on z pewnością przeszłyby strzałą pierwszego, który zrobiłby coś, co by mu się nie spodobało, ponadto Perrin skłonny był się założyć, że tamten ma pod ręką więcej grotów gotowych do natychmiastowego nasadzenia na cięciwę. Aielowie byli podobnego zdania; wciąż wyglądali na przygotowanych w każdej chwili do rozpierzchnięcia się na wszystkie strony, ale jednocześnie widać było, że mogą stać w miejscu, choćby dopokąd słońce nie zamrznie. Perrin klepnął Faile w ramię.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział.

— Oczywiście — rzekła z uśmiechem. Schowała już swoje ostrza. — Jeżeli mówi tak pani al'Vere. Ja jej ufam.

Perrin miał nadzieję, że się nie pomylił. Nie ufał już tylu ludziom, co kiedyś. Na pewno nie Aes Sedai. I niewykluczone, że również nawet Marin al'Vere. Choć, być może, te Aes Sedai pomogą mu walczyć z trollokami. Każdemu, kto gotów byłby się do niego przyłączyć, zaufa z pewnością. Do jakiego jednak stopnia może polegać na Aes Sedai? Robiły to, co robiły, kierując się wyłącznie własnymi racjami; dla niego Dwie Rzeki stanowiły dom, ale dla nich mogły być jedynie kamieniami na planszy. Faile i Marin jednak zdawały się im ufać, a Aielowie czekali, co przyniesie przyszłość. W tej chwili wyglądało na to, że on również nie ma innego wyjścia.

## ZAPEWNIENIA

Po kilku minutach Ihvon wrócił.

— Możecie jechać, pani al' Vere. — To było wszystko, co powiedział, zanim obaj z Thomasem zniknęli w krzakach, wywołując tylko lekki szmer liści.

— Są bardzo dobrzy — wymruczał Gaul, wciąż podejrzliwie rozglądając się dookoła.

— Dziecko potrafiłoby się w czymś takim schować — zareplikowała Chiad. Wpatrywała się jednak w leśne poszycie równie uważnie jak Gaul.

Żaden z Aielów nie miał szczególnej ochoty iść naprzód. Nie chodziło o jakąś niechęć, z pewnością nie był to też strach, jednak wyraźnie nie mieli ochoty. Perrin miał nadzieję, że któregoś dnia pozna dokładnie uczucia, jakie Aielowie żywią wobec Aes Sedai. Któregoś dnia. Dzisiaj jednak sam nie znajdował się w szczególnie entuzjastycznym nastroju.

— Chodźmy więc spotkać się z tymi twoimi Aes Sedai — zwrócił się kwaśnym tonem do pani al' Vere.

Stary lazaret okazał się znacznie bardziej zrujnowany niżli w jego wspomnieniach, rozkraczona parterowa budowla chwiejnie chyliła się ku ziemi, połowa pomieszczeń pozbawiona była dachu, a w jednym z nich rosło czterdziestostopowe drzewo Borgum. Ze wszystkich stron napierał nań las. Ściany porastała gęstwa pnączy i krzewów dzikiej róży, pozostałości strzechy pokrywała gruba powłoka zieleni; pomyślał sobie, że być może tylko dzięki nim budynek jeszcze stoi. Frontowe drzwi jednak były oczyszczone z roślinności. Poczuł zapach koni oraz słaby aromat fasoli i szynki, jednak, o dziwo, nie towarzyszył mu zapach palonego drewna.

Po przywiązaniu koni do niskich gałęzi weszli za panią al' Vere do wnętrza. W środku panował mrok, zarośnięte pnączami okna nie przepuszczały zbyt dużo światła. Pokój frontowy był dosyć duży i pozbawiony jakiegokolwiek umeblowania, w kątach leżała ziemia, wisiało kilka pajęczyn, które uniknęły skutków niezbyt dokładnego sprzątnięcia. Na podłodze leżały cztery koce, a pod ścianą siodła, torby podróżne i zgrabnie zwinięte tobołki, na kamiennym palenisku stał mały kociołek, dochodziły z niego zapachy gotowanej stawy, choć na palenisku nie płonął ogień. W mniejszym kociołku wrzała właśnie woda, najwyraźniej nast-

wiona na herbatę. Dwie Aes Sedai oczekiwały ich. Marin al'Vere ukloniła się pośpiesznie i z jej ust popłynęła lawina niespokojnych wyjaśnień i usprawiedliwień. Potem zreflektowała się i zaczęła równie niezdarnie wszystkim sobie wzajemnie przedstawiać.

Perrin wsparł policzek o drzewce łuku. Rozpoznał te Aes Sedai. Verin Mathwin, pulchna, o kwadratowej twarzy, z ciemnymi włosami, poprządkanymi pasmami siwizny — pomimo gładkich, nieznaczonych upływem czasu, policzków Aes Sedai — należała do Brązowych Ajah i jak wszystkie Brązowe zapewne poświęcała połowę swego życia na poszukiwanie wiedzy, nie dbając o to, czy to wiedza dawna i zaginiona, czy nowa. Czasami jej ciemne oczy traciły ten zamglony, senny wyraz, tak jak teraz, gdy nie zwracając uwagi na Marin, patrzyła na niego wzrokiem ostrym niby nóż. Oprócz Moiraine była jedną z dwóch Aes Sedai, co do których miał pewność, że wiedzą o Randzie, podejrzewał też, iż niewykluczone jest, że więcej wie o nim samym, niżli zdrazca. Kiedy zaczęła słuchać słów Marin, jej oczy znowu zaszyły mgłą, przez chwilę jednak miał wrażenie, że ważyła go na szalkach wagi zastanawiając się, jak włączyć do własnych planów. Powinien być bardzo ostrożny, przebywając w jej pobliżu.

Drugiej, ciemnowłosej, szczupłej kobiety w ciemnozielonej jedwabnej sukni podróżnej, która stanowiła ostry kontrast z prostymi brązami Verin, poplamionymi atramentem na mankietach, nigdy dotąd nie poznał, a widział jedynie raz. Alanna Mosvani była Zieloną Ajah, jeżeli dobrze pamiętał, piękną kobietą o długich czarnych włosach i głębokim spojrzeniu czarnych oczu, które badawczo wpatrywały się weń, kiedy słuchała wyjaśnień Marin. Przypomniało mu się, co kiedyś powiedziała Egwene.

„Niektóre Aes Sedai, które nie powinny niczego wiedzieć o Randzie, zdradzają nadmierne zainteresowanie jego osobą. Elaida na przykład oraz Alanna Mosvani. Nie sądzę, bym którejs z nich ufała”.

Zapewne najlepiej będzie się zdać na osąd Egwene, zanim sam nie dojdzie do własnych wniosków.

Ożywił się, kiedy Marin, wciąż lekliwym tonem, powiedziała:

— Pytałaś mnie o niego, Verin Sedai. To znaczy o Perrina. O wszystkich trzech chłopców, ale o Perrina również. Wydawało mi się, że najprostszym sposobem uchronienia go przed śmiercią będzie przyprowadzenie go do ciebie. Po prostu nie starczyło czasu, by najpierw zapytać. Proszę postaraj się zro. . .

— Wszystko jest w najlepszym porządku, pani al'Vere — wtrąciła Verin uspokajającym głosem. — Postąpiłaś, jak należało. Perrin jest teraz w odpowiednich rękach. Ponadto zawsze chciałam dowiedzieć się więcej o Aielach, a możliwość rozmowy z ogirem stanowi sama w sobie przyjemność. Pogrzebię trochę w twojej głowie Loial. Odkryłam ostatnio kilka fascynujących rzeczy w książkach ogirów.

Loial odpowiedział jej pełnym zadowolenia uśmiechem; wszystko, co dotyczyło książek, zdawało się go niepomiernie radować. Gaul, dla odmiany, wymie-

nił ostrzegawcze spojrzenia z Bain i Chiad.

— Wszystko będzie w porządku, pod warunkiem że nie zrobisz tego ponownie — powiedziała twardym głosem Alanna. — Chyba że... Jesteś sam? — zapytała Perrina tonem domagającym się odpowiedzi. I to natychmiastowej. — Czy pozostali dwaj może wrócili razem z tobą?

— A dlaczego wy się tutaj znalazłyście? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Perrin! — ostro odezwała się pani al'Vere. — Bacz na to, jak się zachowujesz! Mogłeś nabrać jakichś niedobrych przyzwyczajęń gdzieś w świecie, kiedy jednak wracasz do domu, musisz zachowywać się na powrót poprawnie.

— Proszę się nie kłopotać — uspokoiła ją Verin. — Perrin i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Ja rozumiem, o co mu chodzi.

Wpatrzony w niego ciemne oczy rozbłyły na moment.

— Zaopiekujemy się nim. — Chłodne słowa Alarmy można było rozmaicie interpretować.

Verin uśmiechnęła się i poklepała Marin po ramieniu.

— Lepiej zrobisz, wracając do wioski. Nie chcemy, by ktoś się zastanawiał, dlaczego spacerujesz sama po lesie.

Pani al'Vere pokiwała głową. Na moment tylko przystanęła obok Perrina i położyła dłoń na jego ramieniu.

— Wiesz, że cię lubię — powiedziała delikatnie. — Pamiętaj tylko, że jeżeli dasz się zabić, to i tak niczego tym nie zmienisz. Rób, co ci każą Aes Sedai.

Odburknął coś wymijającego, ale to zdało się ją zadowalać. Kiedy pani al'Vere zniknęła wśród drzew, Verin powiedziała:

— My również cię lubimy, Perrin. Jeżeli jest coś, co mogłybyśmy zrobić, zrobimy to.

Nie chciał myśleć teraz o swojej rodzinie.

— Wciąż nie odpowiedziałas na moje pytanie.

— Perrin! — Faile usiłowała naśladować ton pani al'Vere, co niemalże jej się udało całkowicie, ale on nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

— Dlaczego tu przyjechałyście? To wygląda na zbyt szczęśliwy zbieg okoliczności. Białe Płaszczce, trolloki i wy dwie, wszyscy znaleźli się w tym samym czasie w Dwu Rzekach.

— To nie jest żaden zbieg okoliczności — odparowała Verin. — Ach, zagotowała się woda na herbatę.

Woda kipiała w kociołku, ona zaś zaczęła się krzątać wokół niego, wrzuciła do środka garść liści, posłała Faile po metalowe kubki, ukryte w jednym z tobołków pod ścianą. Alanna, zaplótwszy ręce na piersiach, nie spuszczała wzroku z Perrina, chłodny wyraz jej twarzy stanowił ostry kontrast z zapalem krzątania tamtych.

— Z każdym rokiem — kontynuowała Verin — odkrywamy coraz więcej dziewcząt, które można nauczyć przenoszenia. Sheriam uważa, że przez ostatnie trzy tysiące lat mogłyśmy osłabić tę zdolność w ludzkim gatunku przez to, iż

poskramiałyśmy każdego mężczyznę, który potrafił przetrwać. A oto dowód na to: niewielu tego rodzaju mężczyzn udało się obecnie znaleźć. Cóż, choćby zapisy sprzed stu lat stwierdzają, że zdarzało się takich przynajmniej dwóch lub trzech rocznie, a przed pięciuset laty...

Alanna odkaszlnęła.

— A cóż innego możemy zrobić, Verin? Pozwolić im popadać w szaleństwo? Przyjąć opętany plan Białych?

— Sądzę, że nie — odparowała spokojnie Verin. — Nawet jeśli udałoby się znaleźć kobiety, które by chciały urodzić dziecko poskromionego mężczyzny, nie ma żadnych gwarancji, że będzie ono w stanie przetrwać albo że będzie dziewczynką, jeśli już o to chodzi. Ja zaproponowałam tylko, że jeśli rzeczywiście chcą wzbogacić rasę, to wówczas my, Aes Sedai, powinnyśmy mieć dzieci, w szczególności zaś one same, to znaczy Białe siostry, skoro jako pierwsze podniosły tę kwestię. Alviarin nie była szczególnie rozbawiona.

— Rzeczywiście nie miała powodu — zaśmiała się Alanna. Nagły rozbłysk zadowolenia w jej ciemnych, zapalczawych oczach był doprawdy zaskakujący. — Żałuję, że nie mogłam widzieć wówczas jej twarzy.

— Wyraz jej twarzy był... interesujący — powiedziała z rozbawieniem Brązowa siostra. — Uspokój się, Perrin. Zaraz odpowiem ci na twoje pytanie. Herbaty?

Starając się nie pokazywać po sobie gniewu, który w nim płonął, zmusił się, by usiąść na podłodze, mając za plecami wsparty o ścianę łuk, a w dłoniach metalowy kubek pełen herbaty. Wszyscy zasiedli kołem na środku pomieszczenia. Alanna zajęła się wyjaśnieniem powodów ich obecności w Dwu Rzekach, być może to ona właśnie podjęła teraz ten temat, ze względu na skłonność Verin do wdawania się w kolejne dygresje.

— Tutaj, w Dwu Rzekach, gdzie, jak podejrzewam, żadna Aes Sedai nie pojawiła się w ciągu ostatniego tysiąca lat, Moiraine odnalazła dwie kobiety, które nie tylko można było nauczyć przenoszenia, ale które posiadają wrodzone zdolności, a nadto słyszała o trzeciej, która zmarła, ponieważ nie potrafiła sama opanować tej umiejętności.

— Nie wspominając już o trzech *ta'veren* — wymamrotała Verina, nie odejmując kubka od ust.

— Czy macie jakiegokolwiek pojęcie — kontynuowała Alanna — jak wiele miasteczek i wiosek musimy zazwyczaj odwiedzić, aby znaleźć trzy dziewczyny z wrodzonymi zdolnościami? Zdziwiałe więc jest tylko to, iż zabrało nam tak wiele czasu, nim przybyłyśmy po kolejne. Stara krew jest bardzo silna tutaj, w Dwu Rzekach. Byłyśmy we Wzgórzu Czat jedynie tydzień, zanim pojawili się tam Synowie, ale zachowywałyśmy całkowitą ostrożność, nie chcąc zdradzić, kim jesteśmy, przed nikim, wyjąwszy lokalne Koło Kobiet, i udało nam się znaleźć cztery dziewczęta, które można nauczyć przenoszenia oraz jedno dziecko,

o którym sędzę, że może mieć wrodzone zdolności.

— Trudno w tej kwestii uzyskać pewność — dodała Verin. — Ona ma dopiero dwanaście lat. Żadna nie zbliża się nawet do możliwości Egwene czy Nynaeve, ale liczba ta jest co najmniej znacząca. W okolicach Wzgórza Czat mogą być zapewne kolejne dwie lub trzy. Nie miałyśmy okazji, by przebadać dziewczęta tutaj lub dalej na południe. Taren Ferry zaś, muszę to przyznać, okazało się całkowitym rozczarowaniem. Przypuszczam, że zbyt wielka jest tam domieszka krwi z zewnątrz.

Perrin musiał przyznać, że te wyjaśnienia brzmią sensownie. Nie odpowiedziały jednak na wszystkie jego pytania ani nie rozproszyły wszelkich wątpliwości. Poruszył się, rozprostowując ścierpniętą nogę. Rana od włóczni w udzie znowu zaczęła boleć.

— Nie rozumiem, dlaczego ukrywacie się tutaj? Białe Płaszczce aresztują niewinnych ludzi, a wy sobie siedzicie w lesie. Trolloki najwyraźniej zupełnie swobodnie wędrują po Dwu Rzekach, a wy siedzicie w lesie. — Loial mruzczał coś pod nosem. Perrin pochwycił coś o „rozniewaniu Aes Sedai” i „gnieździe szerszeni”, ale nie przestał ich naciskać. — Dlaczego nie zrobicie czegoś? Jesteście Aes Sedai! Niech szczenę, dlaczego czegoś nie zrobicie?

— Perrin! — zasyczała Faile, a potem posłała Verin i Alarmie przeproszający uśmiech. — Proszę, wybaczone mu. Moiraine Sedai zupełnie go zepsuła. Ona ma dość swobodne maniery, jak przypuszczam, i pozwalała mu na różne rzeczy. Proszę, nie gniewajcie się na niego. On się poprawi.

Spojrzała na niego ostro zaznaczając, że wszystko, co powiedziała, przeznaczone było w tym samym stopniu, albo nawet większym, dla jego jak i dla ich uszu. Zrewanżował się jej spojrzeniem, w którym zawarł część tego gniewu, jaki go przepełniał. Nie miała prawa wtrącać się w te sprawy.

— Swobodne maniery? — Verin aż zamrugnęła, powtarzając te słowa. — Moiraine? Nigdy nie zauważyłam.

Alanna gestem nakazała Faile milczenie.

— Oczywiście nic nie rozumiesz — zwróciła się do Perrina głosem pełnym napięcia. — Nie masz pojęcia, w ramach jakich ograniczeń musimy działać. Trzy Przysięgi to nie pustosłowie. Przyprowadziłam tutaj ze sobą dwóch Strażników. — Zielone były jedynymi Ajah, które nakładały zobowiązania na więcej niż jednego Strażnika od razu; wedle tego, co słyszał, zazwyczaj było ich kilku, nawet trzech lub czterech. — Synowie dopadli Oweina, gdy przekraczał otwarte pole. Czułam każdą strzałę, która trafiała w jego ciało, zanim wreszcie zginął. Czułam, jak umierał. Gdybym tam była, obroniłabym jego i siebie również, posługując się Mocą. Ale nie wolno mi używać jej, by się mścić. Nie zezwalają na to Trzy Przysięgi. Synowie są równie paskudni, jak potrafią być tylko mężczyźni, naprawdę niewiele dzieli ich od Sprzymierzeńców Ciemności, ale nie są Sprzymierzeńcami Ciemności, i z tego powodu bezpieczni są przed atakiem Mocy, wyjąwszy samo-



obronę. To nie podlega najmniejszej wątpliwości, nawet gdybyśmy maksymalnie rozciągnęły interpretację Trzech Przysiąg.

— Jeśli zaś chodzi o trolloki — dodała Verin — zabiłyśmy sporą ich liczbę, a ponadto dwóch Myrddraali, ale też mamy swoje ograniczenia. Półludzie potrafią do pewnego stopnia wyczuć, kiedy ktoś przenosi. Jeżeli ściągnęłybyśmy sobie na głowy setkę trolloków, wówczas i tak niewiele więcej mogłybyśmy zrobić, jak tylko uciekać.

Perrin podrapał się po brodzie. Mógł się czegoś takiego spodziewać, powinien wiedzieć. Widział, jak Moiraine walczyła z trollokami, i miał pewne pojęcie na temat tego, na co ją stać, a na co nie. Zdał sobie sprawę, że zastanawia się na tym, w jaki sposób Rand zabił wszystkie trolloki w Kamieniu, tylko że Rand był silniejszy od każdej z tych Aes Sedai, zapewne silniejszy nawet od obu naraz. Cóż, niezależnie od tego, czy mu pomogą czy nie, wciąż miał zamiar pozabijać wszystkie trolloki w Dwu Rzekach. Po tym, jak uwolni rodzinę Mata oraz państwa Luhhan. Jeżeli zastanowi się nad tym dostatecznie głęboko, musi znaleźć jakiś sposób. Udo bolało go coraz bardziej.

— Jesteś ranny. — Alanna ustawiła kubek na podłodze i przysunęła się, klękając przy nim. Ujęła jego głowę w swe dłonie. Przeszył go dreszcz. — Tak. Widzę. Wygląda na to, że nie zrobiłeś sobie tego sam, przy goleniu.

— To były trolloki, Aes Sedai — poinformowała ją Bain. — Kiedy wyszliśmy z Dróg w górach.

Chiad lekko trąciła ją w łokieć, wtedy urwała.

— Zamknąłem Bramę — dodał szybko Loial. — Nikt nie będzie mógł z niej skorzystać, o ile nie otworzy jej z tej strony.

— Tak właśnie przypuszczałam, że muszą wychodzić stamtąd — wymruczała na poły do siebie Verin. — Moiraine mówiła mi, że korzystają z Dróg. Wcześniej czy później zacznie to być dla nas prawdziwym problemem.

Perrin zaczął się zastanawiać, jak wobec tego nazwałaby to, co się właśnie dzieje.

— Drogi — powiedziała Alanna, wciąż trzymając jego głowę. — *Ta'veren!* Młodzi bohaterowie! — Wypowiedziała te słowa takim tonem, że trudno było się zorientować, czy stanowią pochwałę czy przekleństwo.

— Nie jestem bohaterem — odrzekł flegmatycznie. — Drogi były najszybszym sposobem dostania się tutaj. To wszystko.

Zielona siostra ciągnęła dalej, jakby on w ogóle się nie odzywał.

— Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Zasiadająca na Tronie Amyrlin pozwala wam trzem spacerować sobie swobodnie po świecie. Elaida od dawna ostrzyła sobie na was zęby, i nie tylko ona jedna, ona po prostu robiła to w najbardziej widoczny sposób. Skoro pieczęcie słabną i zbliża się Ostatnia Bitwa, ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, są trzej *ta'veren* spokojnie chodzący swoimi drogami. Ja bym przywiązała was do siebie sznurem, nawet nałożyłabym na was zobowią-

zania. — Usiłował szarpnąć się, ale ona tylko wzmocniła uchwyt i uśmiechnęła się. — Nie jestem jeszcze tak zdziczała, żeby nakładać na mężczyznę zobowiązania wbrew jego woli. Jeszcze nie całkiem. — Tak naprawdę to nie miał pewności, do jakiego stopnia żartuje; jej uśmiech nie obejmował oczu. Przesunęła palcami po na poły wygojonej ranie na policzku. — Jeśli o to chodzi, minęło już zbyt wiele czasu. Nawet pomimo uzdrawiania zostanie ci blizna.

— Nie obchodzi mnie, czy jestem przystojny — wymamrotał i tego już wystarczyło, by Faile wybuchnęła głośnym śmiechem.

— A któż ci naopowiadał takich rzeczy? — zapytała. Zaskoczyło go, że Alanna również się roześmiała.

Perrin zmarszczył brwi zastanawiając się, czy śmieją się z niego, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wstrząsnął nim szok uzdrawiania, podobny do lodowatego podmuchu. Był w stanie tylko z trudem łapać oddech. Te kilka chwil, zanim Alanna go puściła, wydawało się wiecznością.

Kiedy powrócił już normalny oddech, Zielona siostra ujmowała z kolei w dłonie płomiennorudą głowę Bain, Verin zajęła się Gaulem, a Chiad badała sprawność swego lewego ramienia, wymachując nim w górę i w dół, na jej twarzy gościł wyraz zadowolenia.

Faile zajęła miejsce obok Perrina, które opuściła Alanna, i przesunęła palcem po jego policzku, wzdłuż blizny pod okiem.

— Znamię piękności — powiedziała, śmiejąc się leciutko.

— Co?

— Och, to coś, co matują sobie kobiety Domani. To tylko taki idiotyczny komentarz.

Pomimo jej uśmiechu, lub może właśnie z jego powodu, obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem. Naprawdę wyśmiewała się z niego, tylko że on nie rozumiał dokładnie, na czym ta kpina polega.

Do pomieszczenia wślizgnął się Ihvon, wyszeptał coś do ucha Alarmy i ponownie wyszedł na zewnątrz, usłyszawszy, również szeptem wypowiedzianą, odpowiedź. Nawet na drewnianej podłodze jego kroki ledwie było słychać. Kilka chwil później szuranie butów na schodach zapowiedziało kolejnych przybyszów.

Perrin zerwał się na równe nogi, gdy zobaczył w drzwiach Tama al'Thora i Abella Cauthona, z łukami w dłoniach, odzianych w wymiętoszone ubrania, z dwudniowym zarostem połyskującym siwizną i znamionującym mężczyzn, którzy śpią w prymitywnych warunkach. Byli na polowaniu, u pasa Tama wisały cztery króliki, przy pasie Abella trzy. Oczywiście było, że spodziewali się Aes Sedai oraz gości, ale widok Loiala wprowadził ich w najwyższe zdumienie — ponad półtora raza wyższy od nich, z uszami zakończonymi pędzelkami i szerokim nosem, przypominającym zwierzęcy pysk. Na widok Aielów po obliczu Tama przemknął cień, znak że rozpoznał ich.

Krótko przypatrywał się im z namysłem, a potem przeniósł wzrok na Perrina

i wówczas jego zaskoczenie stało się równie wielkie, jak wtedy, gdy zobaczył Loiala. Tam był krępy mężczyzną o szerokiej piersi i pomimo włosów całkiem już prawie siwych wciąż wyglądał na kogoś, kogo chyba tylko trzęsienie ziemi potrafiłoby powalić na kolana, a nawet i ono nie starczyłoby, żeby stracił głowę.

— Perrin, chłopcze! — zawołał. — Czy Rand jest z tobą?

— A co z Matem? — zapytał skwapliwie Abell. Z wyglądu do złudzenia przypominał postarzałego, siwiejącego Mata, tylko jego oczy patrzyły znacznie poważniej. Człowiek, który nie utył zanadto wraz z upływem lat, poruszający się nadal szybkim i zwinnym krokiem.

— Mają się dobrze — zapewnił ich Ferrin. — Są w Łzie.

Kątem oka pochwycił spojrzenie Verin; doskonale wiedziała, co dla Randa oznaczała Łza. Alanna natomiast ledwie zdawała się słyszeć wypowiedane słowa.

— Przyjechaliby ze mną, ale nie wiedzieliśmy, iż rzeczy mają się tutaj aż tak źle. — Jedno i drugie było prawdą, tego był pewien. — Mat spędza czas na grze w kości, w które zazwyczaj wygrywa, i całowaniu się z dziewczętami. Rand... Cóż, ostatnim razem, kiedy widziałem Randa, miał na sobie strojny kaftan, a u boku złotowłosą piękność.

— To podobne do mojego Mata — zachichotał Abell.

— Być może dobrze się stało, że nie przyjechali — powiedział powoli Tam. — Biorąc pod uwagę te trolloki. A Białe Płaszcz... — Wzruszył ramionami.

— Wiesz, że trolloki wróciły? — Perrin przytaknął. — Czy tamta Aes Sedai mówiła prawdę? Moiraine. Czy oni wówczas, tamtej Zimowej Nocy, przyszli po was, po trzech chłopców? Dowiedziałeś się może dlaczego?

Brązowa siostra rzuciła Perrinowi ostrzegawcze spojrzenie. Alanna zdawała się całkowicie pochłonięta przeglądaniem swoich toreb podróжных, ale podejrzewał, że mimo to z pewnością uważnie słucha. Jednak nie dlatego się zawahał. Po prostu nie było sposobu, by zwyczajnie spojrzeć mu w oczy i powiedzieć Tamowi, że jego syn potrafi przenosić, że Rand jest Smokiem Odrodzonym. Jak w ogóle można komuś coś takiego powiedzieć? Zamiast prawdy wyrzucił z siebie tylko:

— Będziesz musiał zapytać Moiraine. Aes Sedai nie mówią więcej, niż uznają za stosowne.

— Zauważyłem — powiedział sucho Tam.

Obie Aes Sedai bez najmniejszych wątpliwości uważnie przysłuchiwały się jego słowom i teraz już żadna nie udawała, iż jest inaczej. Alanna spod wygiętych w lodowaty łuk brwi spoglądała na Tama, Abell zaś nerwowo przebierał nogami, jakby sądził, że Tam wystawia na niebezpieczną próbę swoje szczęście. Jednocześnie potrzebna było czegoś więcej niżli spojrzenia, by onieśmielić Tama al'Thora.

— Czy możemy porozmawiać na zewnątrz? — Perrin zwrócił się do mężczyzny z pytaniem. — Chciałbym odetchnąć świeżym powietrzem.

W istocie chciał porozmawiać bez podsłuchujących i obserwujących go Aes Sedai, ale nie mógł przecież tego na głos powiedzieć.

Tam i Abell zgodzili się, przypuszczalnie im również ciążyły badawcze spojrzenia Verin i Alarmy, ale najpierw zajęli się sprawą królików, które wręczyli Zielonej siostrze.

— Mielśmy zamiar zatrzymać dwa dla siebie — powiedział Abell — ale zdaje się, że przybyło gąb do wykarmienia.

— Nie ma potrzeby, byście dzielili się z nami. — Alanna powiedziała to takim tonem, jakby wcześniej już wielokrotnie mówiła te same słowa.

— Lubimy spłacać zaciągnięte długi — odrzekł jej Tam, podobnym tonem głosu. — Aes Sedai były na tyle miłe, że trochę nas uzdrowiły — dodał na użytek Perrina — a my nie chcemy nic na kredyt, na wypadek gdybyśmy ponownie znaleźli się w potrzebie.

Perrin pokiwał głową. Rozumiał, że można nie chcieć przyjmować podarunków od Aes Sedai.

„Dar Aes Sedai ma w sobie zawsze jakiś haczyk” — głosiło stare powiedzenie.

Cóż, on z pewnością zdążył się o tym przekonać. W istocie jednak nie miało znaczenia, czy przyjmujesz prezent, czy za niego płacisz, Aes Sedai i tak zawsze potrafiły zastawić pułapkę. Verin patrzyła na niego z lekkim uśmiechem, jakby doskonale rozumiała, jakie myśli właśnie przelatują mu przez głowę.

Kiedy trójka mężczyzn ruszyła do wyjścia, zabierając ze sobą łuki, Faile podniosła się, by pójść za nimi. Perrin jednak spojrzał na nią i przecząco pokręcił głową, a ku jego zdumieniu ona nie upierała się i posłusznie siedła z powrotem. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest chora.

Po krótkiej przerwie, podczas której Tam i Abell podziwiali Steppera i Jaskółkę, odeszli kawałek dalej pod osłonę drzew. Słońce zachodziło już, wydłużały się cienie. Starsi mężczyźni powiedzieli kilka żartów na temat jego brody, ale ani słowem nie wspomnieli o oczach. Dziwne, ale wcale się tym nie przejął. Miał znacznie poważniejsze zmartwienia niż to, czy ktoś uzna kolor jego oczu za osobliwość.

Odpowiadając na żartobliwe pytanie Abella, czy „ta rzecz” dobra jest do przedzania zupy, pogładził brodę i powiedział spokojnie:

— Faile się podoba.

— Oho — zachichotał Tam. — To ta dziewczyna, czyż nie? Wygląda na osobkę z niezłym charakterem. Przez nią spędzisz bezsenne noce, starając się odróżnić górę od dołu.

— Jest tylko jeden sposób na radzenie sobie z takimi dziewczynami — dodał Abell, kiwając głową. — Pozwól jej myśleć, że to ona wszystkim kieruje. Wówczas, kiedy w ważnej kwestii będziesz miał inne zdanie, zanim otrząśnie się z szoku, wszystko ułoży się po twojej myśli i będzie już za późno, aby dręczyła cię, żebyś coś zmienił.

To przypominało Perrinowi w dużej mierze rady, jakich pani al’Vere udzielała Faile na temat postępowania z mężczyznami. Zaczął się nawet zastanawiać, czy

przypadkiem Abell i Marin nie porównywali kiedyś notatek. Niepodobna. Być może warto byłoby tego spróbować z Faile. Tylko że w każdym przypadku ona zdawała się mieć własny sposób na załatwianie takich spraw.

Spojrzał przez ramię. Lazaret skryły niemal całkowicie drzewa. Powinni być już bezpieczni przed wzrokiem i słuchem Aes Sedai. Wsłuchał się uważnie w odgłosy lasu, wziął głęboki oddech. W oddali dzieciół stukał w drzewo. Na liściastych gałęziach ponad głową harcowały wiewiórki, a niedaleko przemknął lis, niosąc w pysku swoją zdobycz — królika. Poza nimi trzema nie wyczuwał dookoła żadnego ludzkiego zapachu, nic, co mogłoby zdradzić podsłuchującego, ukrytego w gęstwinie Strażnika. Być może był nazbyt ostrożny, ale niezależnie od tego, czy miał rację czy nie, nie potrafił przejść do porządku dziennego nad przypadkiem, stawiającym na jego drodze dwie Aes Sedai, które znał już wcześniej, przy czym jednej z nich nie ufała Egwene, co do drugiej zaś nie miał pewności, czy sam jej ufa.

— Macie zamiar zostać tutaj? — zapytał. — Z Verin i Alanną?

— Raczej niechętnie — odpowiedział Abell. — Jak człowiek może spokojnie spać pod tym samym dachem z Aes Sedai? A do tego się to tutaj sprowadza.

— Wydawało nam się, że to będzie dobre miejsce na kryjówkę — dodał Tam. — Ale one były tu już przed nami. Sądzę, że ci dwaj Strażnicy mogli nas obu zabić, gdyby w pobliżu nie było Marin oraz kilku kobiet z Koła.

Abell skrzywił się.

— Ja myślę natomiast, że to Aes Sedai zapobiegły wszystkiemu, kiedy dowiedziały się, kim jesteście. To znaczy kim są nasi synowie. Zbyt się wami interesują, jak na mój gust. Zawahał się i napiął łuk. — Ta Alanna zdradziła nam, że jesteście *ta'veren*. Wszyscy trzej. Słyszałem, że Aes Sedai nie mogą kłamać.

— Nie widzę po sobie żadnych śladów czegoś takiego — powiedział gniewnie Perrin. — Po Macie również nie.

Tam spojrzał na niego, kiedy nie wspomniał o Randzie musiał się nauczyć lepiej kłamać, aby łatwiej dochowywać własnych i cudzych tajemnic — ale powiedział tylko tyle:

— Może nie wiesz po prostu, jakich śladów szukać. Jak to się stało, że podróżujesz w towarzystwie ogira oraz Aielów?

— Ostatni handlarz, z którym rozmawiałem, mówił mi, że Aielowie przeszli przez Grzbiet Świata — wtrącił Abell — ale nie uwierzyłem mu. Mówił też, że słyszał, iż Aielowie są w Murandy oraz być może w Altarze. Nie był pewien dokładnie, gdzie ich widziano, ale upierał się, że daleko od Pustkowia.

— To wszystko nie ma nic wspólnego z *ta'veren* — odrzekł Perrin. — Loial jest przyjacielem i przyjechał tu ze mną, aby mi pomóc. Gaul również jest przyjacielem, jak przypuszczam. Bain zaś i Chiad podróżują z Faile, a nie ze mną. Wszystko jest trochę skomplikowane, ale jakoś tak się to ułożyło. Nie ma to nic wspólnego z byciem *ta'veren*.

— Cóż, niezależnie, jakie są po temu powody — podsumował Abell — te Aes Sedai interesują się wami, chłopcy. Tam i ja przejechaliśmy całą drogę do Tar Valon, starając się dowiedzieć, gdzie jesteście. Z trudem udało nam się wydobyć spod ziemi jedną, która znała wasze imiona, ale było jasne, że coś ukrywa. Praktycznie, ledwie zdążyliśmy się uklonić, Strażniczka Kronik wsadziła nas już na statek płynący w dół rzeki, z kieszeniami wypchanymi złotem i uszami pełnymi mętnych obietnic. Nie podoba mi się pomysł, że Wieża mogłaby w jakiś sposób wykorzystywać Mata.

Perrin igłował, że nie może opowiedzieć ojcu Mata nic z tego, co się naprawdę działo, ale nie był pewien, czy uda mu się z niewzruszoną twarzą wygłosić tak wielkie kłamstwo. Moiraine nie strzegła Mata dlatego, że lubiła jego uśmiech; Mat zaplątał się w sprawy Wieży równie głęboko jak on sam, być może nawet głębiej. Wszyscy trzej zostali już ściśle związani, a Wieża trzymała sznurki.

Przez czas jakiś stali w ciszy, wreszcie Tam powiedział na koniec:

— Chłopcze, jeśli chodzi o twoją rodzinę. Mam smutne wieści.

— Wiem — powiedział Perrin szybko i ponownie zapadło milczenie, każdy wpatrywał się w czubki własnych butów. Cisza była właśnie tym, czego potrzebowali. Kilka chwil na powściągnięcie bolesnych emocji i opanowanie zmieszania, wyraźnie malującego się na twarzach.

Zatrzepotały skrzydła, Perrin spojrział w górę i dostrzegł wielkiego kruka, który przysiadł na gałęzi dębu, w odległości jakichś pięćdziesięciu kroków, paciorowate oczy obserwowały uważnie trzech mężczyzn. Jego dłoń skoczyła do kołczana, ale zanim zdążył przyciągnąć lotki do policzka, dwie strzały jednocześnie zbiły kruka z jego grzędy. Tam i Abell już nakładali nowe strzały, oczy przepatrywały drzewa i niebo w poszukiwaniu kolejnych czarnych ptaszysk. Nie było żadnych.

Strzała Tama trafiła kruka w głowę, w czym nie było żadnego przypadku, i co szczególnie Perrina nie zaskoczyło. Nie kłamał, mówiąc Faile, że ci dwaj są lepszymi łucznikami od niego. Nikt w Dwu Rzekach nie potrafił dorównać Tamowi w strzelaniu.

— Paskudne stwory — mruczał Abell, opierając stopę na ciele ptaka, by wyciągnąć swoją strzałę. Wbił grot w ziemię, by go oczyścić, potem schował na powrót do kołczana. — W dzisiejszych czasach wszędzie można je spotkać.

— Aes Sedai powiedziały nam o krukach — dodał Tam — szpiegują dla Pomorów. Mówimy o tym każdemu. Koło Kobiet również. Nikt jednak nie zwracał na nie szczególnej uwagi, zanim nie zaczęły atakować owiec, wykluwając im oczy, niektóre zadziobały na śmierć. Już i bez tego wełna będzie tego roku kiepska. Choć, jak przypuszczam, nie ma to wielkiego znaczenia. Z jednej strony Białe Płaszczce, z drugiej trolloki, wątpię, czy tego roku jacyś kupcy przyjadą po wełnę.

— Jakiś głupiec od tego wszystkiego zwariował — dodał Abell. — Być może więcej niż jeden. Znajdujemy wszystkie rodzaje zabitej zwierzyny. Króliki, jele-

nie, lisy, nawet niedźwiedzia. Ktoś zabija je i zostawia, by zgniły. Większość nie została nawet obdarta ze skóry. I to musi być jeden człowiek lub kilku ludzi, nie zaś trolloki, znalazłem bowiem ślady butów. Potężnie zbudowany, ale za mały na trolloka. Hańba i marnotrawstwo.

Oprawca. Oprawca był tu, nie tylko w wilczym śnie. Oprawca i trolloki. Mężczyzna ze snu wydawał się znajomy. Perrin nasunął butem ziemię i liście na martwego kruka. Dla trolloków zostanie mu później dużo czasu. Całe życie, jeśli będzie trzeba.

— Obiecałem Matowi, że zajmę się Bode i Eldrinem, panie Cauthon. Jak trudno będzie ich uwolnić, ich oraz wszystkich pozostałych.

— Trudno — westchnął Abell, a twarz mu posmutniała. Nagle zaczął wyglądać na swój wiek, a nawet starzej. — Potwornie trudno. Po tym jak ją zabrali, podszedłem raz wystarczająco blisko, by widzieć Natti. Spacerowała wokół namiotu, gdzie trzymają wszystkich. Mogłem ją widzieć, ale rozdzielało nas kilkuset Białych Płaszczy. Zrobiłem się trochę nieostrożny i jeden z nich zranił mnie strzałą. Gdyby Tam nie zaniósł mnie do Aes Sedai. . .

— Obóz został rozbity we właściwym miejscu — przerwał mu Tam — dokładnie pod Wzgórzem Czat. Siedem lub osiem setek żołnierzy. Patrole, dzień i noc, głównie na drodze wiodącej ze Wzgórza do Pola Emonda. Gdyby bardziej się rozciągnęli, ułatwiliby nam sprawę, ale wyjąwszy jakichś stu ludzi przy promie Taren Ferry, oddali resztę Dwu Rzek we władanie trolloków. Słyszałem, że szczególnie strasznie jest niżej, wokół Deven Ride. Każdej nocy płonie tam kolejna farma. To samo dzieje się między Wzgórzem Czat a Rzeką Taren. Wyciągnięcie Natti i pozostałych nie będzie łatwe, a potem jeszcze będziemy musieli się martwić, czy Aes Sedai pozwolą im tutaj zostać. Te dwie nie są szczególnie zadowolone z faktu, iż ktokolwiek wie o ich obecności.

— Z pewnością ktoś udzieli im schronienia — zaprotestował Perrin. — Nie powiecie mi chyba, że wszyscy odwrócili się do was plecami. Chyba nie wierzą, że jesteście Sprzymierzeńcami Ciemności?

Kiedy mówił te słowa, przypomniał sobie Cenna Buie.

— Nie, nie o to chodzi — wyjaśnił mu Tam — z wyjątkiem kilku głupców. Mnóstwo ludzi chętnie częstuje nas obiadem albo proponuje nocleg w stodole, czasem nawet w łóżku, musisz jednak zrozumieć, że obawiają się pomagać ściganym przez Białe Płaszcze. I nie ma za co ich winić. Rzeczywistość staje się coraz twardsza i bardziej brutalna, a każdy ma własną rodzinę, którą musi chronić. Poprosić kogoś, by wziął do siebie Natti wraz z dziewczynkami oraz Harala i Alsbet. . . Cóż, mogłoby się okazać, że prosimy o zbyt wiele.

— Miałem lepsze zdanie o ludziach z Dwu Rzek — wymamrotał Perrin.

Abell zdobył się na słaby uśmiech.

— Większość ludzi czuje się jak pochwycona pomiędzy kamienie młyńskie, Perrin. Liczą tylko, że nie zostaną zmieleni na mąkę przez trolloków z jednej,

a Białe Płaszczce z drugiej strony.

— Powinni przestać na coś liczyć i zacząć coś robić. — Przez chwilę Perrin czuł się kompletnie zagubiony. Nie mieszkał tutaj wraz z nimi, nie miał pojęcia, jak to jest. Miał jednak rację. Dopóki ludzie chowali się za plecami Synów Światłości, gotowi byli zrobić wszystko, czego tamci chcieli, niezależnie od tego, czy zabierali książki, czy aresztowali kobiety i dziewczęta. — Jutro przyjrę się obozowi Białych Płaszcz. Musi być jakiś sposób, by ich uwolnić. A kiedy już to zrobimy, zajmijmy się trollokami. Pewien Strażnik powiedział mi kiedyś, że trolloki nazywają Pustkowie Aiel „Ziemią Śmierci”. Mam zamiar sprawić, by tę nazwę nadali również Dwu Rzekom.

— Perrin — zaczął Tam, potem przerwał, wyglądając na zakłopotanego.

Perrin wiedział, że tutaj, w cieniu pod gałęziami dębu, jego oczy fosforyzują żółtym blaskiem.

Tam westchnął.

— Najpierw zobaczymy, co da się zrobić dla Natti i pozostałych. Potem się zastanowimy, jak postąpić z trollokami.

— Nie pozwól, by gniew zżerał cię od środka, chłopcze — zauważył cicho Abell. — Nienawiść potrafi rosnąć, aż w końcu wypali wszystko, co jest w tobie.

— Nic mnie nie zżera, nic mnie nie wypali — odpowiedział mu Perrin głosem zupełnie pozbawionym wyrazu. z— Najzwyczajniej w świecie mam zamiar zrobić to, co konieczne.

Przesunął kciukiem po ostrzu topora. To, co konieczne.